

Alexandre Dumas

WICEHRABIA DE BRAGELONNE

Tom pierwszy

WIDMO RICHELIEUGO

W gabinecie kardynalskiego pałacu, przy stole z pozłaczanymi rogami, obłożonym papierami, książkami i rozmaitego rodzaju pismami, siedział mężczyzna z głową opartą na dłoni.

Przyjrząwszy się purpurowej sutannie, kosztownym koronkom, wsłuchawszy się w samotnię pokoju, w grobową ciszę przedpokoi i w miarowy krok straży w przysionkach, można było mniemać, że cień kardynała Richelieugo znajduje się w jego pracowni.

I rzeczywiście był to tylko cień wielkiego męża. Osłabiona Francja, zachwiana powaga króla, powtórnie osłabiona a zrewoltowana magnateria, w granicach państwa plądrujący wróg: wszystko to wskazywało, że Richelieugo już nie było.

Krużganki były puste. Nie roiły się już tam dawne tłumy dworzan. Za to podwórze i przysionki napełnione były strażami, a z ulicy dolatywał złowrogi szmer niezadowolenia i dość częsty huk strzałów, które dawały poznać gwardiom, szwajcarom, muszkietierom, żołnierzom otaczającym Palais-Royal (bo i pałac kardynała zmienił swą nazwę), że i lud w broń jest zaopatrzony. Cieniem Richelieugo był Mazarini.

Mazarini był sam i czuł się osłabiony.

— Obcokrajowiec — szeptał do siebie — Włoch, oto ich ulubione słowo. Słowem tym Conciniego zasztyletowali, powiesili. Gdybym ja na to zezwolił i mnie by również zamordowali, powiesili, rozszarpali, chociaż im nic. złego nie uczyniłem, chyba żem ich troszkę podskubał i wycisnął. Głupcy, nie czują, że raczej szkodzą im ci, którzy posiadają dar prawienia im gładkich słówek w czystym dialekcie paryskim.

— Tak, tak — mówił dalej minister z ironicznym uśmiechem, który snuł się dziwnie na białych jego ustach — wasz krzyk okazał mi dzisiaj, że los faworytów jest bardzo zmienny; jednakże, ponieważ to wam tak dobrze jest znane, powinniście także wiedzieć, że ja nie zwyczajnym jestem faworytem. Hrabia d'Essex posiadał kosztowny, diamentami przyozdobiony pierścień, którym go królowa obdarzyła, ja mam skromny tylko pierścień z wrytym nań nazwiskiem i datą. Ale pierścień ten był pobłogosławiony w Palais-Royal, nie mogą więc mnie zgubić, jakby sobie tego życzyli. Nie widzą tego, iż to moja sprawka, że po bezustannym okrzyku „precz z Mazarinim”, krzycząc będą „niech żyje pan de Beaufort”, potem „niech żyje książę!” a w końcu jeszcze żywiej „niech żyje parlament!” Lecz pan de Beaufort jest w Vincennes, książę dziś lub jutro podąży za nim, a parlament...

Tu przemienił się uśmiech kardynała w wyraz srogiej nienawiści, o którą sądząc z łagodnych rysów twarzy, nikt by był kardynała nie posądzał.

— A parlament, ha! zobaczymy, co się z nim stanie, mamy Orleanów i Montargis. O, ja nie stracę na próżno czasu w tej sprawie i właśnie ci, którzy zaczęli krzyczeć „precz z Mazarinim”, będą z większą jeszcze wściekłością wołali na tamtych „niechaj ginie jeden po drugim, niechaj żaden nie ujdzie!”

Richelieu, którego nienawidzili, dopóki żył — chwałą go ciągle, odkąd umarł — niżej upadł aniżeli ja. Przecież jego częściej odpędzano, a jeszcze częściej obawiał się, że go odpędzą. Mnie królowa nigdy nie oddali, a jeżeli będę zmuszony ustąpić temu motłochowi, ona również to uczyni i ucieknie, gdy będę zmuszony uciekać. Wówczas zobaczymy, czy mi dadzą radę ci przywódcy tłumu bez królowej i bez króla.

O, gdybym tylko nie był obcokrajowcem, gdybym był Francuzem i szlachcicem!

I znowu pogrążył się w swych marzeniach.

Położenie rzeczywiście było trudne i z każdym dniem coraz więcej się wikłało. Chciwy minister uciskał naród ciągłymi podatkami. Naród, któremu nie pozostało nic więcej prócz gołej duszy, naród uspokajany odniesionymi zwycięstwami nad nieprzyjacielem zrozumiał, że laury nie są mięsem, którym by się mógł pożywić i począł od dawnego już czasu szemrać.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Gdy bowiem lud tylko szemrze, nie słyszy tego dwór odgradzony obywatelstwem i szlachtą od pospólstwa. Lecz Mazarini był o tyle nieostrożny, że obraził reprezentantów wyższych urzędów. Sprzedał bowiem sześć posad tak zwanych mistrzów requete'y, a ponieważ były one połączone z wysoką płacą, więc przez przyrost dwunastu nowych traciły na dawnej wartości. Przeto dotychczasowi urzędnicy połączyli się i poprzysięgli nie dopuścić do tego pomnożenia posad i wszelkim prześladowaniom w tej mierze silny stawili opór, przy czym związali się przyrzeczeniem, że gdyby który z nich wskutek jawnie stawianego oporu urząd stracił, inni się złożą, aby mu szkodę tę wynagrodzić.

Dnia siódmego stycznia zebrało się ośmuset kupców Paryża i zaprotestowali przeciwko nowemu podatkowi, który na właścicieli domów nałożyć chciano. Wydelegowali dziesięciu spośród siebie, aby ci przedłożyli sprawę tę księciu Orleańskiemu, który wedle zwyczaju odgrywał rolę filantropijnego demokraty. Książę wysłuchał ich łaskawie, przyrzekł mówić

o tym z królową i pożegnał ich zwykłym swoim: „zobaczymy, co da się zrobić”.

Dnia dziewiątego stawili się także mistrzowie requete'y, a ich przywódca mówił z taką siłą i odwagą, że kardynał osłupiał; pożegnał ich słowami księcia Orleańskiego: „zobaczymy, co da się zrobić”.

Ażeby więc „zobaczyć, co da się zrobić” — zwołano radę

i zawezwano na nią ministra finansów d'Emery'ego. Lud burzył się przeciw d'Emery'emu już choćby dlatego, że był ministrem skarbu, poza tym należało przyznać, że rzeczywiście na to zasłużył.

Był on synem bankiera z Lyonu, nazwiskiem Particelli, który jednak wskutek bankructwa nazwisko swe zmienił na d'Emery. Kardynał Richelieu, odkrywwszy w nim znakomity talent w dziedzinie skarbowości państwowej, przedstawił go pod nazwiskiem d'Emery królowi Ludwikowi XIII, bardzo go chwalać.

— O, tym lepiej — odrzekł król — i bardzo jestem ucieszony, że mi przedstawiacie pana d'Emery na to stanowisko, gdzie trzeba człowieka uczciwego. Mówiono mi bowiem, że protegujecie tego oszusta Particellego, i obawiałem się już, że będziecie nastawać na to, aby go przyjąć.

— Ach, najjaśniejszy panie — odparł kardynał — niechaj się wasza królewska mość uspokoi, Particelli nie należy już do żyjących.

— O, tym lepiej — zawołał król — nie na próżno więc nazwano mnie Ludwikiem Sprawiedliwym.

D'Emery więc został ministrem. Zawezwano go na radę; przybiegł blady i zaniepokojony, uniewinniając się wypadkiem, jaki miał syn jego na placu przed Palais-Royal. Tłum bowiem zarzucał mu niesłychaną rozrzutność i luksus jego małżonki, której mieszkanie wybite było czerwonym aksamitem ze złotymi frędzlami. Pani ta była córką Mikołaja Lecamusa, królewskiego sekretarza w r. 1617, który przybył do Paryża z dwudziestu ośmiu liwrami, a w krótkim stosunkowo czasie rozdzielił dziesięć milionów między swe dzieci, zostawiając sobie oprócz tego czterdzieści tysięcy rocznej renty. Na skutek tego wypadku rada nie powzięła żadnego postanowienia.

W następnym dniu obstało zrewoltowane pospólstwo pierwszego prezydenta Mathieu Molégo; prezydent zdołał uratować się tylko dzięki osobistej odwadze i przytomności umysłu. Przechodzącej do Notre-Dame królowej rzucały się do nóg kobiety i wołały o sprawiedliwość.

Po południu odbyło się posiedzenie rady, na którym postanowiono wzmocnić powagę królewską; wskutek tego zwołano na następny dzień parlament.

Król, wówczas dziesięć lat liczący, kazał w tym dniu odbyć modły dziękczynne w Notre-Dame za szczęśliwe przebycie ospy, na którą chorował, a po wysłuchaniu mszy św. udał się wśród szeregów przybocznych straży i muszkietierów do parlamentu, gdzie na uroczystym posiedzeniu nie tylko wydane dawniej edykty potwierdził, lecz pięć nowych wydał, o których kardynał Retz mówi, że jedne zgubniejsze były od drugich. Przeciwko tym edyktom wystąpili — dotychczas jeszcze w partii dworskiej będący — pierwszy prezydent Blancmesnil i radca Broussel.

Po wydaniu edyktów wracał król z parlamentu do PalaisRoyal; ogromne tłumy zalegające ulice, nie wiedząc, czy król okazał narodowi sprawiedliwość, nie wzniosły ani jednego okrzyku dla okazania radości z powodu wyzdrowienia swego monarchy; przeciwnie — twarze były zachmurzone, z wyrazem niezadowolenia, a nawet groźby.

W obawie rewolty pozostawiono wojska na ulicach. Obawa ta nie była płonna; skoro bowiem rozeszła się wiadomość, że król zamiast zmniejszyć, powiększył podatki, rosły tłumy niezadowolonych, wołające z dziką rozpaczą: śmierć Mazariniemu — niech żyje Broussel, niech żyje Blancmesnil!

Właśnie miano wojskom wydać rozkaz rozproszenia tłumów, gdy przełożony kupców stanął w Palais-Royal, domagając się audiencji.

Oświadczył on, że jeżeli rząd nie wycofa natychmiast tego rozkazu, cały Paryż stanie pod bronią w przeciągu dwóch godzin.

Naradzano się, co uczynić, gdy do komnaty wpadł Comminges, oficer gwardii, w podartej odzieży i z pokrwawioną twarzą. Na jego widok przeraziła się królowa, dopytując się, co było tego przyczyną.

Jak przewidział przełożony kupców, wzburzyły się umysły na widok występującej gwardii. Tłumy, dopadłszy dzwonoń, zaczęły bić na trwogę. Comminges trzymał się mężnie, a nawet uwięził jednego przywódcę rokoszan i rozkazał go dla przykładu powiesić na krzyżu Trahoir. Gwardia wlokła pochwyconego, aby spełnić rozkaz, napadnięta wszakże przez liczniejsze tłumy, zmuszona była bronić się. Delikwent wykorzystał tę chwilę i zdołał uciec, a dostawszy się na ulicę Tiquetonne, wpadł do jednej z kamienic. Dom ten obsadzono i rozbito bramę w celu odszukania zbiega.

Wszelkie zabiegi jednakże były daremne; Comminges ustawił przeto przed bramą domu posterunek, sam zaś z resztą swego oddziału udał się z powrotem do Palais-Royal, aby o tym wypadku uwiadomić królową. Ścigano go wśród złorzeczeń i przekleństw, raniono mu kilku żołnierzy, a jego uderzono kamieniem w czoło.

Sprawozdanie Comminges'a okazało słusność rady przełożonego kupców. Rząd nie miał na tyle siły, aby rokoszowi takich rozmiarów skutecznie stawić tamę. Kardynał kazał więc ogłosić, że wojska zostały rozstawione tylko dla uświetnienia dzisiejszej uroczystości i że natychmiast się wycofają. I rzeczywiście — około godziny czwartej ściągnięto wojska z powrotem do Palais-Royal. Wystawiono natomiast posterunki przy bramie de Sergents, przy szpitalu ociemniałych i pod murami Saint-Roch. Oprócz tego zapełniono dziedzińce i sutereny pałacu szwajcarami i muszkietierami.

Taki więc był stan rzeczy, gdyśmy czytelnika wprowadzili do pracowni kardynała Mazariniego, która poprzednio była także pracownią Richelieugo. Widzieliśmy, jakie wrażenie uczynił na nim groźny szmer niezadowolonego pospólstwa i częste strzały, odbijające się ponurym echem o ściany pracowni.

Nagle, jak gdyby powziął jakiś zamiar, wzniosł twarz o zmarszczonym czole, spojrzął na ogromny zegar ścienny, wskazujący już godzinę szóstą, i chwyciwszy srebrno-złotą świstawkę ze stołu, wydał kilka dość ostrych tonów.

Natychmiast otworzyły się ukryte w ścianie drzwi, do komnaty wszedł czarno ubrany mężczyzna i stanął za krzesłem.

— Bernonin — zapytał kardynał służącego, nie oglądając się nawet — jacy muszkietierowie są dziś na straży pałacu?

— Czarni muszkietierowie.

— Która kompania?

— Kompania Tréville.

— Czy jest jaki oficer kompanii w przedpokoju?

— Porucznik d'Artagnan.

— Czy to człowiek, któremu można zaufać? — Tak jest, eminencjo.

— Podaj mi uniform muszkieterski i pomóż mi się przebrać. Służący opuścił milcząco komnatę i wrócił za chwilę z żądanym ubiorem.

Kardynał rozbierał się w zamyśleniu z uroczystych szat, w których wystąpił na posiedzeniu parlamentarnym, i włożył uniform muszkietera, który jako dawny żołnierz włoski, nosił z pewną gracją.

— Zawołaj mi pana d'Artagnan.

Służący przesunął się znowu milcząco jak cień i znikł w środkowych podwojach.

Kardynał, zostawszy sam, przyglądał się z zadowoleniem odbitej w zwierciadle swej postaci; był jeszcze młody, nie liczył bowiem więcej nad czterdzieści sześć lat, wysoki, pięknie zbudowany, o zdrowej cerze, ognistym oku. Na majestatyczne szerokie czoło spadały lśniąco ciemnoblonde kędzierzawe włosy, a zarost ciemniejszy od włosów i sztucznie żelazem opalony nadawał twarzy jego miły jakiś, łagodny wyraz.

Przypasawszy miecz, przyglądał się z upodobaniem pięknym swoim, starannie utrzymanym ręką; rzucił potem wielkie łosiowe, do uniformu należące rękawice, a wziął cienkie jedwabne.

W tej chwili otworzyły się znowu podwoje.

— Pan d'Artagnan — zaanonsował służący. Oficer wszedł do komnaty.

Był to mężczyzna lat około czterdziestu, niezbyt wysoki, lecz dobrze zbudowany, o żywym, rozumnym spojrzeniu, z czarnym zarostem i czarnymi włosami, które już siwieć zaczęły, jak to się zdarzać zwykło tym, którzy albo zbyt dobrze, albo bardzo źle życia swego używali..

D'Artagnan postąpił cztery kroki naprzód i poznał dawną pracownię Richelieugo, do której w dawno minionych czasach był wzywany. Spostrzegłszy, że w komnacie był tylko muszkietier z jego kompanii, zwrócił na niego swe oczy i w tej chwili dostrzegł, że muszkietierem tym był sam kardynał.

Stał więc w pełnej uszanowania, lecz i godności zarazem postawie, jak przystało na człowieka szlacheckiego pochodzenia, który w życiu swoim z wielkimi panami często miał do czynienia.

Kardynał zwrócił na niego swoje raczej przebiegłe niż przenikliwe oczy i przyglądał mu się uważnie; potem po kilku sekundach milczenia zapytał:

— Pan d'Artagnan?

— Tak jest, eminencjo! — odpowiedział oficer.

— Mój panie — rzekł kardynał. — Pójdziecie ze mną, a raczej ja pójdę z wami.

— Według rozkazu — odrzekł d'Artagnan. — Chcę sam wizytować warty obok Palais-Royal. Czy grozi jakieś niebezpieczeństwo?

— Niebezpieczeństwo? — zapytał d'Artagnan — a jakie?

— Tłum jest bardzo rozgoryczony.

— Mundur królewskich muszkietierów jest bardzo poważany i gdyby ktoś śmiał go znieważać, sam czterystu gałganów zmusiłbym do ucieczki.

— Czy widzieliście, co spotkało Comminges'a?

— Pan Comminges jest gwardzistą, a nie muszkietierem.

— Czy chcecie przez to powiedzieć — dodał z uśmiechem kardynał — że muszkietierowie są lepszymi żołnierzami aniżeli gwardziści?

— Eminencjo! każdy chwali swój mundur.

— Ja stanowię wyjątek — rzekł Mazarini — przecież widzicie, iż złożyłem mój mundur, by wasz wdziąć.

— Eminencjo! — rzekł d'Artagnan — jest to, tylko skromność. Ja z mojej strony oświadczam, że gdybym miał na sobie mundur waszej eminencji, wystarczyłoby to dla mnie w zupełności.

— Ale mundur ten nie jest zbyt bezpieczny, aby wyjść w nim tego wieczora. Bernoninie, podaj kapelusz!

Służący przyniósł szeroki kanciasty kapelusz, który kardynał nałożył i zwrócił się znowu do d'Artagnana.

— Czy są osiodłane konie w stajni?

— Tak jest, eminencjo. — Więc pojedziemy.

— Ilu ludzi życzy sobie eminencja?

— Powiedzieliście, iż podolicie we czterech zmusić do ucieczki stu gałganów; ponieważ spotkać można dwustu — więc miejcie się na baczności. — Ja pojedę za wami, poświeć nam, Bernoninie!

Służący wziął świecę do ręki, kardynał zabrał mały kluczyk ze swego biurka, otworzył drzwi na ukryte schody i znalazł się w jednej chwili na dziedzińcu Palais-Royal.

II

PATROL NOCNY

W dziesięć minut potem kłusował mały oddział przez ulicę des Bons Enfants.

W mieście panowało wielkie wzburzenie. Liczne tłumy przebiegające ulice mierzyły wojskowych okiem groźnej ironii. Tu i ówdzie dawał się słyszeć huk strzałów, mianowicie z ulicy Saint-Denis, to znowu odezwał się złowrogo dzwon, nie wiedzieć, czyją, ręką w ruch wprawiony.

Gdy przybyli niedaleko Barrière-Sergents, d'Artagnan zapytał, czy odwachem dowodzi porucznik Comminges. Wartownik wskazał ręką na oficera, który oparłszy swą dłoń na karku konia rozmawiał opodal z jego jeźdźcem.

— Ot, tam stoi pan de Comminges — zaraportował d'Artagnan wróciwszy do kardynała.

Kardynał podjechał ku wspomnianemu, a d'Artagnan usunął się na bok z właściwą sobie skromnością; z uszanowania zaś, z jakim oficerowie kapelusze swe zdejmowali, wnioskował, że wszyscy poznali kardynała.

— Brawo, Guitaut — rzekł kardynał do jeźdźca — jak widzę, jesteś pan zawsze czynny i wierny — zawsze ten sam mimo sześćdziesięciu czterech lat. Coś pan opowiadał temu młodemu człowiekowi? — Opowiadałem mu, wasza eminencjo, że w dziwnych żyjemy czasach, że dzień dzisiejszy podobny jest do jednego z owych dni Ligi, które w młodych moich latach widziałem. Czy uwierzy wasza eminencja, że na ulicach Saint-Denis i Saint-Martin radzono nad wzniesieniem barykad?

— A co panu na to odpowiedział Comminges, kochany Guitaut?

— Eminencjo! — wtrącił Comminges — ja mu odpowiedziałem, że dla utworzenia Ligi jednego tylko brakuje, co mi się wszakże nieodzowne zdaje — mianowicie takiego księcia de Guise. A zresztą jedno i to samo nie powtarza się nigdy po raz drugi.

— Prawda, że się nie powtórzy lecz oni utworzą fronde, jak się sami wyrażają — dodał Guitaut.

— Cóż to jest f r o n d e? — zapytał Mazarini.

— To jest nazwa, którą swej partii nadali.

— A skąd powstała ta nazwa?

— Jak się zdaje, radca Bachaumont wyrzekł przed kilku dniami w Pałacu Sprawiedliwości: „Wszyscy ci spiskujący podobni są do małych uliczników, którzy bawiąc się na wałach Paryża procą (fronde), uciekają za nadejściem porucznika policji, aby się po jego odejściu znowu zebrać”. Spiskowcy podchwycili zaraz wyraz frondę, tak jak to kiedyś stronnicy księcia de Guise w Brukseli uczynili, i nazwali się f r o n d e u r s. Wczoraj i dzisiaj było już wszystko a la fronde, chleb, kapelusze, rękawiczki, wachlarze. Lecz niech eminencja sam raczy posłuchać.

W tej chwili otworzyło się rzeczywiście okno w przeciwnym domu; stanął w nim jakiś mężczyzna i zaśpiewał piosenkę, w którą spiskowcy tchnęli całą nienawiść przeciw Mazariniemu.

— Niegodziwiec! — wycedził przez zęby Guitaut.

— Eminencjo — zapytał Comminges, który wskutek doznanej rany był w złym humorze i chętnie by się pomścił — czy mam temu nędznikowi kulę wpakować w gardło, aby się inaczej nauczył śpiewać?

Przy tych słowach chwycił za pistolet tkwiący w olstrach.

— O nie, nie! — zawołał Mazarini. — Diavolo! kochany przyjacielu, pan byś wszystko zepsuł, a sprawa jest przecież na najlepszej drodze. Znam ja was, Francuzów, na wylot; dziś śpiewają, a jutro za to zapłacą. W czasach Ligi, o której Guitaut dopiero co mówił, śpiewano tylko msze. Chodź, Guitaut, chodź, zobaczymy, czy odwach przy Quinze-Vingts równie dobrze spełnia swoją powinność, jak odwach przy Barrière Sergents.

Pożegnawszy Comminges'a lekkim skinieniem ręki, wrócił do d'Artagnana, który się natychmiast wysunął na czoło niewielkiego swego oddziału i dał znak do dalszego pochodu.

— To prawda — rzekł do siebie Comminges, gdy się oddalili — wszystko się dzieje tak, jak ktoś chce, skoro tylko zapłaci.

Zwrócono się w ulicę Saint-Honoré, gdzie znowu trzeba było rozpedzać zgromadzone tłumy.

Na ulicy Saint-Thomas du Leonore stał posterunek Quinze-Vingts.

— I cóż? — zapytał Guitaut.

— Tu nic złego się nie stało, ale w hotelu... Wskazał przy tym na wspaniałe gmach.

— W tym hotelu? — powtórzył Guitaut. — Przecież to Hotel Rambouillet.

— Nie wiem, czy to Hotel Rambouillet — odparł podoficer — widziałem tam tylko wielu wchodzących ludzi o nadzwyczaj podejrzanym fizjonomii.

— Ech! — zawołał śmiejąc się Guitaut — toż to są poeci.

— Ależ, Guitaut — rzekł Mazarini — przecież nie powinieneś mówić z takim lekceważeniem o poetach. Czyż nie wiesz, że i ja w mej młodości byłem poetą i pisywałem podobne wiersze jak pan de Beuserade?

— Wasza eminencja pisywałeś wiersze?

— Tak, tak, ja; czy mam który z nich zarecytować?

— Ja nie rozumiem po włosku, eminencjo.

— Tak, ale po francusku rozumiesz, dobry, poczciwy Guitaut? — odparł Mazarini i położył łaskawie dłoń swoją na jego ramieniu — i jakikolwiek by ci dano rozkaz w tym języku, wykonałbyś go niezwłocznie?

— Rzecz naturalna, eminencjo, jak to już tego dałem dowody; oczywista, jeżeli rozkaz ten pochodzi od królowej.

— Tak, tak — odpowiedział Mazarini gryząc wargi aż do krwi — ja wiem, że ty duszą i ciałem jesteś jej oddany.

— Naprzód, panie d'Artagnan! — zawołał kardynał — i z tej strony nic nam nie grozi.

D'Artagnan stanął znowu na czele swego oddziału, nie powiedziawszy ani słowa, z owym biernym posłuszeństwem, które znamionuje starego żołnierza.

Mazarini wracał mocno zamyślony; wszystko, co słyszał, utwierdziło go w przekonaniu, że w wypadku niebezpiecznych wstrząsów politycznych, jedynie u królowej mógłby szukać oparcia, które jednak ministrowi wydało się bardzo wątpliwe i niepewne.

Ponieważ przybyli na dziedziniec pałacowy — kardynał skierował swe kroki ku przechadzającemu się samotnie po dziedzińcu oficerowi.

Był nim d'Artagnan, który stosownie do rozkazu oczekiwał tu kardynała.

D'Artagnan skłonił się i postępował w milczeniu za kardynałem. Tajemniczymi schodami weszli do komnaty, którą przed niedawnym czasem byli opuścili.

Kardynał usiadł przy swoim biurku, wziął kartę papieru i rozpoczął pisać.

D'Artagnan stał obojętny i czekał bez niecierpliwości i ciekawości. Stał się automatem wojskowym. Działął czy raczej spełniał rozkazy jakby mechanicznie.

Kardynał złożył list i zapieczętował go.

— Panie d'Artagnan, odniesiesz tę depeszę do Bastylii i przywieziesz osobę, o której w liście mówię; weź pan powóz z eskortą i straż dobrze więźnia.

D'Artagnan odebrał list, przyłożył, salutując, dłoń do kapelusza, zrobił w lewo zwrot i oddalił się z komnaty. Wkrótce potem słysząc dał się suchy, urywany głos komendy:

— Czterech ludzi do eskorty — powóz — mego konia!

W pięć minut potem zaturkotały na obszernym dziedzińcu pałacowym koła powozu i zadźwięczały uderzające o kamienie podkowy kopyt końskich.

III

DWAJ DAWNI PRZYJACIELE

D'Artagnan przybył do Bastylii o godzinie wpół do dziewiątej.

Kazał się natychmiast zameldować u gubernatora, który gdy się dowiedział, że oficer przybył z rozkazem i w imieniu ministra, pośpieszył aż do głównych schodów naprzeciwko przybyłemu.

Gubernatorem Bastylii był podówczas pan du Tremblay, brat kapucyna Józefa, byłego faworyta Richelieugo, z przydomkiem „szarej eminencji”.

Gdy marszałek de Bassompierre siedział uwięziony w Bastylii, w której lat dwadzieścia przebył, i gdy towarzysze jego w marzeniach o wolności mówili: — ja w tym albo w owym czasie opuszczę Bastylię — zwykł był mawiać: — a ja moi panowie, wyjdę z niej, gdy ją pan du Tremblay opuści. — Chciał przez to powiedzieć, że Tremblay po śmierci kardynała utraci posadę w Bastylii, a on sam odzyska swoją dawną u dworu.

Przepowiednia ta w części się ziściła, chociaż niezupełnie. Po śmierci kardynała pan du Tremblay utrzymał się przy swej dawniej posiadzie, a tylko Bassompierre opuścił swoje więzienie.

Pan du Tremblay przyjął d'Artagnana z wielką uprzejmością, a ponieważ sam miał siadać do stołu, przeto zaproponował mu wieczерzę u siebie.

— Zaproszenie pańskie przyjąłbym z największą przyjemnością — odpowiedział d'Artagnan — lecz jeżeli się nie mylę, napisano na kopercie listu „bardzo pilno”.

— W istocie — rzekł pan du Tremblay — hej, majorze, niech sprowadzą nr 256.

Przy wejściu do Bastylii przestawał człowiek być istotą, stawał się liczbą.

Zgrzyt otwieranych zamków wywołał u d'Artagnana pewne drżenie. Nie chciał przeto zsiadać z konia i przyglądał się owym żelaznym zasuwom, głęboko wmurowanym oknom i ogromowi murów, które dotąd tylko znał z drugiej strony fosy, a które go przed dwudziestu laty napawały takim strachem.

Uderzono w dzwon.

— Opuszczę pana na chwilę — rzekł du Tremblay — wołają mnie, abym podpisał wypuszczenie uwięzionego. Do widzenia, panie d'Artagnan.

— Niech mnie diabli porwą — mruknął pod nosem d'Artagnan. — Już czuję się chory, chociaż dopiero od pięciu minut jestem na tym przeklętym dziedzińcu. Nie, nie! raczej wolałbym umrzeć na barłogu, co mnie prawdopodobnie spotka, aniżeli brać dziesięć tysięcy liwrów rocznego dochodu jako gubernator Bastylii.

Zaledwo zakończył swój monolog, przyprowadzono więźnia. W d'Artagnanie widok jego wywołał odruch zdziwienia, który zaraz w sobie stłumił. Więzień wsiadł do powozu, nie poznawszy lub udając, że nie poznaje d'Artagnana.

— Moi panowie — zawołał d'Artagnan na czterech swoich muszkieterów — polecono jak największą czujność ze względu na więźnia, a ponieważ powóz u drzwiczek nie ma zamków, przeto wsiadę razem z więźniem. Panie de Lillebonne, zechciej pan konia mego prowadzić.

— Z przyjemnością, panie poruczniku.

D'Artagnan zeskoczył z konia, oddał cugle muszkieterowi, a sam wsiadł do powozu i zawołał tonem ostrym i zimnym:

— Kłusem do Palais-Royal!

Powóz ruszył, a gdy się wtoczył w zagłębienie bramy, d'Artagnan rzucił się na szyję więźnia i zawołał:

— Rochefort! to pan jesteś? nie mylę się?

— D'Artagnan! — zawołał z kolei Rochefort ze zdziwieniem.

— O mój biedny przyjacielu, uważałem pana za umarłego, ponieważ od lat pięciu nigdzie cię znaleźć nie mogłem.

— Na honor! — zawołał Rochefort — mnie się zdaje, że różnica między zmarłym a pogrzebanym nie jest wielka. Ja byłem dotychczas pogrzebany, a przynajmniej niewiele do tego brakowało.

— I za jakież przewinienie wsadzono pana do Bastylii?

— Chcesz pan, abym ci prawdę wyznał?

— Tak..

— Otóż tedy — ja nie wiem i nie znam tego przewinienia.

— Rochefort, pan mi nie ufasz.

— Nie! na honor szlachcica, gdyż nie podobna, abym tam za to miał być, o co mnie obwiniają.

— O cóż pana obwiniają?

— O złodziejstwo!

— Pan złodziejem? Ha, pan żartujesz!

— Rozumiem; pan chcesz dalszych objaśnień, prawda?

— Oczywiście.

— Słuchaj więc pan. Pewnego wieczora zebraliśmy się w kilku, książę d'Harcourt, Fontrailles, de Rieux i inni, na pohulanekę do Reinarda w Tuileryach. Książę d'Harcourt zrobił propozycję pójścia na Pont-Neuf i zdzierania tamże płaszczy z przechodniów. Jak pan wiesz, była to zabawa wprowadzona przez księcia d'Orléans.

— Czyś pan zwariował, panie Rochefort — w pańskim wieku ...?

— Nie, byłem pijany; ponieważ mi się wszakże zabawa ta nie bardzo podobała, przeto skłoniłem pana de Rieux do wejścia

na spiżowego konia i przyglądania się raczej z tej wysokości wykonywanym na spokojnych obywateli atakom. Propozycja moja została przyjęta. Wkrótce też wdrapliśmy się za pomocą ostróg, które nam w tym razie służyły za strzemiona, na spiżowego kolosa, siedzieliśmy znakomicie i mieliśmy pyszny widok.

Ściągnięto już pięć lub sześć płaszczy z nieporównaną zręcznością, a żaden z obrabowanych nie odważył się słowem wyrazić swego niezadowolenia, gdy jakiejś nie znanej mi cielecej głowie wpadło na myśl zawołać odwach. W tej chwili otoczyła nas cała zgraja żołdactwa.

Księżciu d'Harcourt, Fontrailles i innym udało się uciec, toż samo chciał uczynić de Rieux. Ja go powstrzymałem i tłumaczyłem mu, że tu, gdzie jesteśmy, szukać nas nie będą. Nie zważał jednakże na moje perswazje i stąpił na ostrogę, aby zniżyć na ziemię: ostroga się odłamała, a on upadł, złamał nogę i — zamiast milczeć, co by jedynym było ratunkiem — zaczął najokropniej krzyczeć. Natenczas i ja chciałem zeskoczyć — jednakże już było za późno; skoczyłem w ramiona oprawców, którzy mnie do Châtelet zawiedli, w tym mocnym przekonaniu, że z dniem jutrzejszym mnie uwolnią.

Upłynął dzień jeden i drugi, upłynął tydzień; wreszcie napisałem list do kardynała. W tym samym dniu odwieziono mnie do Bastylii, gdzie już pięć lat siedzę. Czyż pan sądzisz, że przyczyną mego więzienia jest to, że usiadł poza statua Henryka IV?

— Nie, pan masz rację, to nie może być przyczyną, lecz dzisiaj dowiesz się niezawodnie o niej.

— Ach, prawda, zapomniałem się pana zapytać, dokąd mnie wiesziesz?

— Do kardynała.

— Czegóż on chce ode mnie?

— Tego nie wiem, nie wiedziałem nawet, że pan jesteś tym, po którego mnie wysłano.

— Nie podobna! pan jest faworytem?

— Ja, faworytem! — zawołał d'Artagnan — o mój kochany hrabio, ja dzisiaj bardziej jeszcze jestem Gaskończykiem za szczęściem gonącym, aniżeli wówczas, kiedy pana przed dwudziestu laty w Meung po raz pierwszy ujrzałem.

Ciężkim westchnieniem zakończył tę odpowiedź.

— A przecież pan przybyłeś z rozkazem?

— Ponieważ przypadkiem znajdowałem się w przedpokoju, kardynał zwrócił się do mnie z rozkazem, co by zresztą każdego innego mogło spotkać; dotąd wszakże ciągle jeszcze jestem porucznikiem muszkietarów, a jeżeli dobrze liczę, jestem nim już blisko lat dwadzieścia jeden.

— W każdym razie nie spotkało pana żadne nieszczęście, a to już jest wiele.

— I cóż za nieszczęście mogłoby mnie spotkać? Piorun nie uderza w doliny, jak mówi jakiś łaciński wiersz, a ja, kochany panie Rochefort, jestem w dolinie, i to najgłębszej, jaką sobie tylko wyobrazić można.

— Więc Mazarini wciąż jeszcze jest Mazarinim?

— Więcej niż kiedykolwiek, mój drogi, a jak twierdzą, ma być potajemnie z królową zaślubiony.

— Zaślubiony?

— Otóż takie są kobiety — odpowiedział filozoficznie d'Artagnan.

— Tak, kobiety, ale królowe?

— Och, mój Boże! w tym względzie królowe są podwójnie kobietami.

— A pan de Beaufort, czy wciąż jeszcze w więzieniu?

— Tak jest. Dlaczego pytasz?

— Ach! gdyż on mi dobrze życzył i byłby mnie wywikłał z ambarasu.

— Niezawodnie jesteś bliższym uwolnienia aniżeli on: więc ty go wywikłasz.

— Wojna przeto...

— Ma się rozpocząć.

— Z Hiszpanem?

— Nie, z Paryżem.

— Co to ma znaczyć?

— Czy słyszysz te wystrzały?

— Tak. I cóż?

— To mieszczenie strzelają. .

— I mniemasz, że można by rozpocząć z mieszczanami?

— Ale tak, oni obiecują, i gdyby mieli wodza ...

— Szkoda, że ja nie jestem wolny.

— E! mój Boże, nie rozpaczaj. Mazarini widać cię potrzebuje, kiedy posłał po ciebie, a jeżeli cię potrzebuje, w takim razie przyjm moje powinszowania. Już od wielu lat nikomu nie jestem potrzebny, widzisz więc, w jakim jestem stanie.

— Wnieś zażalenie.

— Słuchaj, Rochefort, zawrzyjmy układ.

— Jaki?

— Wiesz, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Do pioruna! noszę tego dowody, trzy pchnięcia szpady!

— Jeśli wejdiesz w łaski, nie zapomnij o mnie.

— Na honor przysięgam, ale i ty nawzajem.

— Oto moja ręka. A więc skoro tylko znajdziesz sposobność mówienia o mnie...

— Mówić będę, a ty? — Toż samo.

— Ale ... a czy można mówić o twoich przyjaciółkach?

— O jakich?

— Atos, Portos i Aramis, czyś o nich zapomniał?

— Prawie.

— Cóż się z nimi stało?

— Nic nie wiem.

— Doprawdy?

— Ależ tak, wiesz, w jaki sposób rozłączyliśmy się; żyją, oto wszystko, co mogę ci powiedzieć. Czasem mam od nich wiadomości. Ale niech mnie diabli porwą, jeśli wiem, gdzie się znajdują. Tak, na honor, Rochefort, ciebie tylko mam.

— A z zacnym... jak się nazywa ten chłopak, którego wykierowałem na sierżanta w pułku piemonckim?

— Planchet.

— Tak, z zacnym Planchetem co się stało?

— Wzenił się w sklep cukierniczy przy ulicy Lombardów. Ten chłopak zawsze lubił słodczyce, teraz jest obywatelem Paryża i według wszelkiego prawdopodobieństwa bierze w tej chwili udział w rozruchach. Zobaczysz, że ten łobuz wcześniej będzie ławnikiem aniżeli ja kapitanem.

— No, kochany d'Artagnan, odważnie; kiedy jesteśmy najniżej koła fortuny, koło się obraca i niesie nas do góry. Od dziś może los twój się odmieni.

— Amen — powiedział d'Artagnan zatrzymując karecię.

— Co robisz? — zapytał Rochefort.

— Już jesteśmy na miejscu, a nie chcę, aby widziano, że siedział razem z tobą. Nie znamy się wcale.

— Masz słuszość. Bądź zdrow. — Do widzenia. Pamiętaj o przyrzeczeniu. D'Artagnan wsiadł na konia i stanął na czele eskorty.

W pięć minut potem wjechali na podwórze Palais-Royal.

D'Artagnan wprowadził więźnia po wielkich schodach, przeszedł z nim korytarz i przedpokój. Przybywszy do drzwi gabinetu Mazariniego, gotował się oznajmić swe przybycie, kiedy Rochefort położył mu rękę na ramieniu.

— D'Artagnan — powiedział Rochefort uśmiechając się — chcesz, żebym ci powiedział, o czym myślałem przez całą drogę widząc gromady mieszczan, którzy na nas spoglądali iskrzącymi się oczyma?

— Słucham.

— Żebym tylko zawołał na pomoc, porąbaliby was na sztuki i wtenczas byłbym wolny.

— Dlaczegożes tego nie uczynił?

— A przyjaźń — odrzekł Rochefort. — O! gdyby kto inny mnie prowadził...

D'Artagnan skłonił głowę.

— Byłżeby Rochefort lepszy ode mnie? — rzekł do siebie. I kazał oznajmić o swoim przybyciu.

— Prosić pana de Rochefort — zniecierpliwionym głosem powiedział Mazarini, skoro tylko usłyszał te dwa nazwiska — Pan d'Artagnan niech raczy zaczekać, jeszcze mi będzie potrzebny.

Te wyrazy napełniły radością d'Artagnana. Jak to sam powiedział, dawno już nikt go nie potrzebował i te słowa kardynała wydały mu się szczęśliwą wróżbą.

Rochefort wszedł do gabinetu i zastał Mazariniego siedzącego przy stole, w zwykłym ubraniu, to jest w ubraniu, jakie nosili wówczas duchowni, z tą różnicą tylko, że miał pończochy i płaszcz fioletowy.

Drzwi zamknęły się, Rochefort spojrział na Mazariniego ukradkiem i spotkał podobne wejście kardynała.

Minister był zawsze ten sam — uczesany, ufryzowany, wyperfumowany. Dzięki tej staranności nie zdradzał swego wieku. Inaczej było z Rochefortem: przez pięć lat, które spędził w więzieniu, zacny przyjaciel pana de Richelieu zmienił się i postarzał: jego czarne włosy posiwiały zupełnie, a brunatna twarz przybladła. Mazarini, widząc go, nieznacznie potrząsnął głową, z wyrazem, który znaczyć miał: oto człowiek, po którym niewiele spodziewać się mogę.

Po milczeniu dosyć długim, a które wydało się Rochefortowi wiekiem, wyciągnął Mazarini z pliki papierów otwarty list i pokazując go hrabiemu rzekł:

— Znalazłem tu list, w którym prosisz o uwolnienie, panie de Rochefort. Jesteś więc uwięziony?

— Wasza eminencja — odpowiedział hrabia — wie o tym najlepiej.

— Ja? bynajmniej. W Bastylii znajduje się mnóstwo więźniów jeszcze z czasów pana Richelieugo, których nie znam nawet nazwisk.

— Ale moje nazwisko zna pan, panie kardynale, gdyż z waszego rozkazu zostałem przewieziony z Châtelet do Bastylii.

— Tak mniemacie?

— Jestem tego pewny.

— Tak, zdaje mi się, że sobie przypominam w istocie. Czy nie odmówiliście wówczas wyjazdu do Brukseli w interesie królowej.

— Więc tak! — powiedział Rochefort — otóż prawdziwa przyczyna! Szukałem jej przez pięć lat, Jakież głupiec ze mnie, że nie znalazłem jej.

— Ależ ja nie mówię, że to jest przyczyna waszego uwięzienia; zapytuję was tylko, czy nie odmówiliście udania się do Brukseli w usługach królowej, podczas gdy byliście tam na usługach nieboszczyka kardynała?

— Właśnie dlatego, że byłem tam z ramienia kardynała, powrócić nie mogłem na usługi królowej. Znajdowałem się w Brukseli w strasznej sytuacji. Było to za czasów spisku pana de Chalais. Udałem się tam dla przychwycenia jego korespondencji z arcyksięciem i wtenczas już, skoro mnie poznano, o mało co nie zostałem porąbany na sztuki. Jak mógłbym tam wrócić? Zgubiłbym królową zamiast jej służyć.

— Widzisz więc, kochany panie Rochefort, jak to najlepsze zamiary bywają źle tłumaczone. Królowa widziała w tym prostą tylko odmowę; za czasów nieboszczyka kardynała najjaśniejsza pani skarżyła się bardzo na was.

Rochefort uśmiechnął się z pogardą.

— Właśnie dlatego, mości kardynale, że dobrze służył nieboszczykowi Richelieuemu przeciw królowej, domyślić się byliście powinni, że wam także służyć będę przeciw wszystkim.

— Ja, panie de Rochefort — powiedział Mazarini — ja nie jestem taki jak pan de Richelieu, który sięgał po najwyższą władzę. Jestem zwykłym ministrem, który nie potrzebuje sług będąc sługą królowej. Jej królewska mość jest bardzo obraźliwa, dowiedziała się o waszej odmowie, wzięła ją za oznajmienie wojny i wiedząc, że jesteście człowiekiem niebezpiecznym, rozkazała mi, żebym was miał na oku. Otóż dlatego znajdujecie się w Bastylii.

— Zdaje mi się, mości kardynale — powiedział Rochefort — że jeżeli skutkiem pomyłki znajduję się w Bastylii...

— Tak, tak — mówił Mazarini — zapewne to wszystko załatwić można. Jesteście w stanie pojąć niektóre sprawy, a pojawiwszy — dobrze poprowadzić.

— Było to zdanie kardynała de Richelieu, a uwielbienie moje dla tego wielkiego człowieka zwiększa się jeszcze, skoro dowiaduję się, że to zdanie jest również waszym.

— To prawda — mówił Mazarini — kardynał był wielkim politykiem. To właśnie dawało mu tę wyższość nade mną — człowiekiem prostym i bez obłudy; właśnie to mi szkodzi, że jestem otwarty jak Francuz.

Rochefort przygryzł usta, żeby się nie uśmiechnąć.

— Przystępuję więc do rzeczy. Potrzebuję dobrych przyjaciół. Kiedy mówię „potrzebuję”, ma to znaczyć, że królowa ich potrzebuje. Nic nie czynię bez rozkazów królowej, czy rozumiecie, hrabio? Nie tak jak kardynał Richelieu, który postępował zgodnie ze swym kaprysem; dlatego też nie będę nigdy tak wielkim człowiekiem jak on, ale za to jestem dobrym człowiekiem, panie de Rochefort, i mam nadzieję, że wam tego dowiodę.

Rochefort znał ten głos pieszczotliwy, w którym niekiedy słyszeć się dawał świst podobny do syczenia węża.

— Jestem gotów wierzyć waszej eminencji — powiedział — chociaż z mojej strony miałem bardzo mało dowodów tej dobroci, o której mówi wasza eminencja. Nie zapominajcie, kardynale — mówił dalej Rochefort widząc poruszenie, które kardynał chciał ukryć — nie zapominajcie, że od pięciu lat znajduję się w Bastylii, że nic tak nie psuje myśli, jak widok świata przez kraty więzienia.

— Och! panie de Rochefort, powiedziałem ci, że do tego bynajmniej nie przyczyniłem się. Królowa... gniew kobiet i władczyń przemija, a potem nie myśli się o tym.

— Pojmuję, mości kardynale, że ona już o tym nie myśli, ona, która przepędziła pięć lat w Palais-Royal pośród uczt i dworzan, ale ja przepędziłem je w Bastylii.

— Ależ, kochany de Rochefort, czy mniemasz, że Palais-Royal jest miejscem przyjemnym? Nie, bynajmniej. Mieliliśmy tam wiele zmartwień, zapewniam cię. No, ale już nie mówmy o tym. Gram w otwarte karty. Panie de Rochefort, czy chcesz należeć do naszego stronnictwa?

— Musieliście zrozumieć, mości kardynale, że tylko tego pragnę, ale teraz nie wiem nic. W Bastylii można mówić o polityce tylko z żołnierzami i stróżami więzień, a nie możecie sobie wyobrazić, mości kardynale, jak ludzie ci są ciemni w tym względzie. Jestem zawsze za panem de Bassompierre ... Czy należy on do siedemnastu panów?

— Umarł, to wielka strata. Był to człowiek wierny królowej, a ludzi wiernych rzadko się spotyka.

— Do pioruna, wierzę temu — zawołał Rochefort — kiedy ich macie, posyłacie ich do Bastylii.

— Ale co w takim razie dowodzi wierności?

— Działanie — odpowiedział Rochefort.

— Ach! tak, działanie — odpowiedział minister zamyślając się — ale gdzie znaleźć ludzi, co działać umieją?

Rochefort wstrząsnął głową.

— Nie brak ich nigdy, mości kardynale. Tylko że szukać nie umiecie.

— Nie umiem szukać? Co chcesz przez to powiedzieć, panie de Rochefort! No, naucz mię; wiele nauczyć musieliście się, będąc tak długo na usługach nieboszczyka kardynała. Ach! to był wielki człowiek.

— Czy wasza eminencja gniewać się będzie, jeżeli mu powiem słowo prawdy?

— Ja? nigdy. Wiecie dobrze, że mnie wszystko powiedzieć można. Staram się, żeby mnie kochano, a nie, by obawiano się.

— Dowiedzcie się zatem, mości kardynale, że w pewnym więzieniu wyryte jest gwoździem na ścianie przysłowie.

— I jakież to przysłowie? — zapytał Mazarini.

— Jaki pan...

— Taki kram.

— Nie: taki sługa. Jest to mała zmiana, którą ludzie wierni, o których wam mówiłem przed chwilą, uczynili dla własnej satysfakcji.

— I cóż znaczy to przysłowie?

— Znaczy, że pan de Richelieu znajdował tuzinami ludzi mu oddanych.

— On, cel wszystkich sztyletów! On, który spędził całe życie odbijając ciosy, jakie mu przeznaczono!

— Ale je odparł, choć silnie były zadawane. Bo jeżeli miał zaciętych wrogów, miał także dobrych przyjaciół.

— Ależ ja właśnie tego żądam.

— Znałem ludzi — mówił dalej Rochefort myśląc, że nadeszła chwila dotrzymania słowa danego d'Artagnanowi — znałem ludzi, którzy przez swoją zręczność sto razy podeszli przenikliwość kardynała, swoją odwagą przewyższali jego straż i szpiegów; ludzi, którzy bez pieniędzy, bez pomocy, bez wpływów utrzymali koronę na koronowanej głowie.

— Ależ ci ludzie, o których mówicie — powiedział Mazarini uśmiechając się w duszy na myśl, że Rochefort zmierza tam, dokąd go chciał zaprowadzić — ależ ci ludzie nie byli wierni kardynałowi, ponieważ z nim walczyli.

— Nie dlatego, że lepiej byli wynagrodzeni, byli oni na nieszczęście przywiązani do tej samej królowej, dla której szukacie wiernych sług.

— Ale w jaki sposób wy możecie wiedzieć o tych wszystkich rzeczach?

— Wiem o tych rzeczach, gdyż ci ludzie byli moimi nieprzyjaciółmi w swoim czasie, gdyż wyrządziłem im wiele złego, gdyż oddali mi to w dwójnasób, gdyż jeden z nich, z którym zwłaszcza miałem do czynienia, zadał mi pchnięcie szpadą blisko siedem lat temu, było to trzecie pchnięcie z tej samej ręki... i to na rachunek dawnej sprawy.

— Ach! — powiedział dobrodusznie Mazarini — gdybym znał podobnych ludzi.

— Mości kardynale, macie jednego z nich przy drzwiach od sześciu lat i od sześciu lat uważacie go za niezdatnego do niczego.

— Któż to jest taki?

— Pan d'Artagnan.

— Ten Gaskończyk! — zawołał Mazarini ze zdziwieniem doskonale udanym.

— Ten Gaskończyk ocalił królowę i w ten sposób kardynał Richelieu musiał przyznać, że pod względem biegłości i zręczności mógłby nazwać się jego uczniem.

— Doprawdy?

— Wszystko jest prawdą, com powiedział waszej eminencji. — Opowiedz mi to, kochany panie de Rochefort.

— To bardzo trudne — rzekł hrabia uśmiechając się.

— W takim razie on sam mi to opowie.

— Bardzo wątpię.

— A dlaczego?

— Gdyż tajemnica ta nie do niego należy. Gdyż, jakem to już powiedział waszej eminencji, tajemnica ta jest tajemnicą jednej wielkiej królowej.

— I sam wypełniał te wszystkie przedsięwzięcia?

— Nie, mości kardynale, miał trzech przyjaciół, ci mu pomagali, ludzie odważni, jakich potrzeba waszej eminencji.

— I ci trzech ludzie byli z sobą złączeni?

— Tak jakby ci czterej ludzie byli jednym człowiekiem, jak gdyby te cztery serca w jednej były piersi. Czegóż oni w czterech dokonali!

— Mój kochany panie de Rochefort, w istocie zaciekawiasz mnie do najwyższego stopnia. Czy nie mógłbyś opowiedzieć mi tej historii?

— Me, ale mógłbym wam opowiedzieć powieść prawdziwą, powieść czarodziejską, ręczę wam, kardynale.

— Opowiedz mi to, panie de Rochefort, lubię bardzo powieści!

— A więc słuchajcie. Była raz królowa, ale królowa potężna, królowa jednego z najmoźniejszych państw świata, której pewien minister życzył bardzo wiele złego za to, że kiedyś życzył wiele dobrego. Nie trudźcie się na próżno, kardynale, nie zgadnicie nic. To wszystko działo się przed przybyciem waszym do państwa, w którym panowała ta królowa. Razu pewnego przybył na dwór ambasador tak dzielny, tak bogaty i wytworny, że wszystkie kobiety szalały za nim i królowa nawet, na pamiątkę zapewne biegleści, z jaką traktował sprawy polityczne, była tyle nierozważna, że dała mu pewien klejnot, którego niczym nie można było zastąpić. Ponieważ klejnot ten pochodził od króla, minister go skłonił, żeby wymógł na królowej, aby w nim ukazała się na balu. Nie potrzebuję mówić waszej eminencji, że minister wiedział, iż klejnot udał się z ambasadorem, który znajdował się bardzo daleko, z drugiej strony morza. Wielka królowa byłaby zgubiona jak ostatnia z jej poddanych, gdyż spadała z najwyższego szczybla swojej wielkości.

— Doprawdy! — powiedział Mazarini.

— Mości kardynale, czterej ludzie postanowili ocalić ją. Ci czterej ludzie nie byli książętami, nie byli ludźmi możnymi, nie byli nawet bogaci, byli to czterej żołnierze, mający wielkie serca, silne ramiona i dobre szpady. Wyruszyli w drogę. Minister wiedział o ich wyjeździe i porozstawiał ludzi na drodze, żeby im przeszkodzić w przybyciu do celu. Trzem uniemożliwiono dalsze działanie, ale jeden przybył do portu, pozabijał lub poranił tych, co go chcieli wstrzymać, przybył i odwiózł klejnot wielkiej królowej, która mogła zawiesić go na szyi w dniu oznaczonym, co przywiodło do szaleństwa ministra. Cóż powiecie o tym wyczynie, mości kardynale?

— Doskonały! — powiedział Mazarini zamyślony.

— Znam dziesięciu takich. Mazarini już nie mówił, rozmyślał. Kilka minut upłynęło.

— Czy już wasza eminencja niczego nie żąda ode mnie? — zapytał Rochefort.

— Czy pan d'Artagnan był jednym z tych czterech ludzi?

— On kierował całą sprawą. — A kim byli inni?

— Niech wasza eminencja pozwoli, aby pan d'Artagnan wymienił ich nazwiska. Byli to jego przyjaciele, nie moi, on sam miał niejaki wpływ na nich. Nie znam nawet prawdziwych ich nazwisk.

— Nie dowierzacie mi, panie de Rochefort. Słuchajcie, mówię szczerze, potrzebuję was, jego, wszystkich.

— Zaczniemy ode mnie, mości kardynale, ponieważ posłaliście po mnie, oto jestem; potem przejdziemy do nich. Dziwić się nie będziecie mojej ciekawości; kiedy się pięć lat spędzi w więzieniu, chętnie dowiedzieć się pragnie o swym przyszłym losie.

— Wy, kochany panie de Rochefort, otrzymacie miejsce powierzane tylko osobom zaufanym. Udacie się do Vincennes, gdzie pan de Beaufort jest uwięziony; będziecie go pilnować. Ale cóż to wam jest?

— To, mości kardynale, że proponujesz mi rzecz niepodobną — powiedział Rochefort potrząsając niechętnie głową.

— Jak to rzecz niepodobną? A dlaczegożby to miało być niepodobieństwem?

— Dlatego, że pan de Beaufort jest moim przyjacielem albo raczej ja jestem jego przyjacielem. Czy wasza eminencja zapomniał, że to on ręczył królowej za mnie?

— Pan de Beaufort od tego czasu stał się wrogiem stanu.

— To być może, mości kardynale, ale ponieważ nie jestem królem ani królową, ani ministrem, on przeto nie jest moim wrogiem i nie mogę przyjąć tego, co mi proponujecie.

— I to wy nazywacie poświęceniem? Winszuję wam. Wasze poświęcenie nie zmusza was do wielu rzeczy, panie de Rochefort.

— A poza tym — znów zaczął Rochefort — wasza eminencja pojmuje, że wyjść z Bastylii, żeby wejść do Vincennes, jest to tylko zmienić więzienie.

— Powiedzcie raczej, że trzymacie stronę pana de Beaufort, a to będzie o wiele szersze z waszej strony.

— Mości kardynale, przez tak długi czas byłem zamknięty, że nie trzymam niczyjej strony oprócz strony wolnego powietrza. Użyjcie mnie do czego innego, pošlijcie mnie z jakim rozkazem: niech będę zajęty czynnie, ale na wielkich drogach, jeśli to być może.

— Kochany panie de Rochefort — powiedział Mazarini swoim jowialnym tonem — gorliwość twoja za daleko cię unosi, zdaje ci się; że jeszcze jesteś młodzieńcem, ponieważ serce twoje wciąż jest młode, ale brak ci sił. Wierz mi przeto, teraz ci tylko trzeba odpoczynku. Hola! jest tam kto!

— Nic więc wasza eminencja nie postanowi względem mnie?

— Przeciwnie, postanowiłem. Bernonin wszedł.

— Zawołaj woźnego — powiedział kardynał — i zostań przy mnie — dodał po cichu.

Woźny wszedł, Mazarini napisał kilka wyrazów, oddał je temu człowiekowi, potem uklonił się.

— Bywaj zdrow, panie de Rochefort — powiedział.

— Widzę, mości kardynale, że mnie odprowadzają do Bastylii.

— Jesteś bardzo domyślny.

— Powracam więc, ale powtarzam: bardzo źle czynicie, nie umiejąc mnie użyć.

— Was! przyjaciela moich nieprzyjaciół?

— Cóż chcecie, kardynale? Należało mnie uczynić nieprzyjacielem waszych nieprzyjaciół.

— Mniemacie, hrabio, że tylko wy jesteście na świecie? Wiercie mi, znajdę takich, którzy będą więcej wari od was.

— Życzę wam tego, kardynale.

— Dobrze. Idźcie! Ale na próżno byście pisali do mnie panie de Rochefort. Listy wasze na nic by się nie przydały.

— Wyciągnąłem kasztan z ognia — mruknął Rochefort wychodząc — a jeżeliby d'Artagnan nie był zadowolony z pochwał, jakimi przed chwilą go obsypałem, byłby bardzo wybredny. Ale gdzie to, u diabła, mnie prowadzą?

W istocie wyprowadzono Rocheforta małymi schodami, zamiast przeprowadzić go przez przedpokój, w którym oczekiwał d'Artagnan. Na podwórzu znalazł eskortę i czterech eskortujących, ale na próżno szukał swego przyjaciela.

— Ach! — powiedział do siebie Rochefort — to diabelnie zmienia postać rzeczy i jeżeli wciąż jest tyle pospólstwa na ulicach, dowiedziemy Mazariniemu, że jeszcze możemy przydać się do czegoś lepszego niż do pilnowania więźnia.

I wskoczył do karety tak lekko, jak gdyby miał dwadzieścia pięć lat.

IV

ANNA AUSTRIACKA W 47 ROKU ŻYCIA

Mazarini pozostał sam z swoim kamerdynerem i na chwilę pograżył się w myślach; wiedział wiele, a jednak nie dosyć. Mazarini oszukiwał w grze; nazywał on to korzystaniem z położenia. Postanowił nie rozpoczynać partii z d'Artagnanem, dopóki nie zobaczy wszystkich kart swego przeciwnika.

— Czy wasza eminencja nic nie rozkaże? — zapytał Bernonin.

— Owszem — odrzekł Mazarini — poświęć mi, pójdę do królowej.

Bernonin wziął świecę i poszedł naprzód.

Tajemne przejście prowadziło z mieszkania Mazariniego do apartamentów królowej. Tym to przejściem udawał się Mazarini do Anny Austriackiej.

Przybywszy do pokoju sypialnego, od którego zaczynało się to przejście, Bernonin spotkał panią Beauvais. Pani Beauvais i Bernonin byli poufnymi powiernikami tych miłostek i pani Beauvais podjęła się oznajmić przybycie Mazariniego Annie Austriackiej, która znajdowała się w swojej modlitewni z młodym królem Ludwikiem XIV.

Anna Austriacka siedząc w wielkim fotelu oparta o stół, z głową pochyloną na ręce, spoglądała na dziecię królewskie, które leżąc na dywanie, przerzucało wielką książkę o wojnach. Anna Austriacka była królową, która umiała nudzić się majestatycznie i częstokroć przebywała godzinami w swojej sypialni lub modlitewni ani czytając, ani modląc się.

Książka, którą bawił się młody król, był to Quintus Curtius ozdobiony rycinami wysławiającymi czyny Aleksandra.

Pani Beauvais ukazała się we drzwiach modlitewni i oznajmiła kardynała Mazariniego.

Dziecię powstało na jedno kolano i spoglądając na matkę ze zmarszczonymi brwiami, zapytało:

— Dlaczego on wchodzi nie prosząc o audiencją?

Anna z lekka zarumieniła się.

— Jest rzeczą konieczną — odpowiedziała — żeby pierwszy minister, w czasach, w jakich żyjemy, mógł o każdej godzinie przyjść zdać królowej sprawę z tego, co się dzieje, nie wzniecając ani ciekawości, ani wyjaśnień całego dworu.

— Ale mnie się zdaje, że pan de Richelieu nie wchodził w taki sposób — odpowiedziało nieubłagane dziecię.

— Skąd możesz wiedzieć, co czynił pan de Richelieu? Byłeś tak mały.

— Nie przypominam sobie, ale pytałem się i odpowiadano mi.

— I któż ci to powiedział? — zapytała Anna Austriacka z źle ukrytym gniewem.

— Wiem, że nigdy nie powinienem wymieniać osób, które odpowiadają na moje zapytania — odpowiedziało dziecię — gdyż inaczej nie dowiedziałbym się niczego.

W tej chwili wszedł Mazarini, a król powstał, wziął książkę, zamknął ją i położył na stole.

Mazarini baczny okiem obserwował tę całą scenę, z której chciał wyczytać poprzedzającą.

Uklonił się z uszanowaniem królowej, głęboki ukłon złożył królowi, który odpowiedział mu wyniosłym skinieniem głowy, ale spojrzenie matki wyrażało niezadowolenie z tego poddania się uczuciu nienawiści, jakie Ludwik XIV od dzieciństwa powziął dla kardynała; z uśmiechem więc na ustach przyjął powitanie kardynała.

Anna Austriacka starała się wyczytać z twarzy Mazariniego powód tych niezwykłych odwiedzin, gdyż minister zazwyczaj przychodził, kiedy już wszyscy się oddalili. Mazarini nieznacznie dał znak głową, wtenczas królowa, zwracając się do pani Beauvais, rzekła:

— Już czas, żeby król udał się na spoczynek, zawołajcie Laporte'a.

Królowa już przed przyjściem kardynała kilka razy powiedziała młodemu Ludwikowi, żeby się oddalił, a dziecię ciągle obstawało przy tym, żeby zostać, ale tym razem nie uczyniło żadnej uwagi; król przygryzł usta i zbladł.

Po chwili wszedł Laporte.

Dziecię prosto poszło do niego, nie pożegnawszy matki.

— Jak to, Ludwiku— powiedziała Anna — dlaczego mnie nie uściskasz?

— Sądziłem, że gniewacie się na mnie, pani, wypędzacie mnie.

— Nie wypędzam cię, ale miałeś ospę, cierpisz jeszcze, obawiałam się, żeby ci bezsenność nie zaszkodziła.

— Najjaśniejszy panie — powiedział Laporte chcąc przerwać rozmowę — komu wasza królewska mość każe oddać świecę?

— Komu zechcesz, Laporte — odpowiedział chłopiec — byleby (dodał głośniej) nie panu Mancini.

Mancini był to siostrzeniec kardynała, na którego Ludwik XIV przelewał część nienawiści żywionej dla ministra..

Król wyszedł nie uściskawszy matki, nie ukłoniwszy się kardynałowi.

— Doskonale! — powiedział Mazarini — lubię widzieć, jak wychowują jego królewską mość w nienawiści do ukrywania tego, co czuje.

— Dlaczego? — zapytała królowa głosem prawie lęklwym.

— Ależ zdaje mi się, że wyjście króla nie potrzebuje wyjaśnień. A potem jego królewska mość nie stara się ukryć braku przywiązania do mnie, co jednak nie przeszkadza, żebym był najwierniejszy na Jego i waszej królewskiej mości usługach.

— Proszę mu przebaczyć, kardynale, jest to dziecię, które mając jeszcze nie umie, ile wam winno wdzięczności.

Kardynał uśmiechnął się.

— Ale — mówiła dalej królowa — przyszlście zapewne w jakim ważnym przedmiocie. Cóż się stało?

Mazarini usiadł w wielkim krześle i rzekł tonem melancholijnym:

— To się stało — powiedział — że według wszelkiego prawdopodobieństwa wkrótce zmuszeni będziemy rozłączyć się, gdybyś pani nie chciała udać się ze mną do Włoch.

— Dlaczego? — zapytała królowa.

— Gdyż, jak powiada opera *Thisbé* — mówił dalej Mazarini — „świat cały pragnie rozłączyć ognie nasze”.

— Żartujesz, pani — powiedziała królowa usiłując znów przybrać ton dawnej godności.

— Niestety nie, pani — powiedział Mazarini — nie żartuję bynajmniej! płakałbym raczej, proszę wierzyć, i jest czego, gdyż powiedziałem, że „świat cały pragnie rozłączyć ognie nasze”!

A że ty, pani, należysz do świata całego, chcę więc powiedzieć, że ty także opuszczasz mnie.

— Kardynale!

— Boże mój, czyliżem pani nie widział, jakie się mile uśmiechała do księcia d'Orléans albo raczej na to, co mówił do pani.

— I cóż on do mnie mówił?

— Mówił: „Wasz Mazarini jest powodem wszystkiego, niech się oddali, a wszystka pójdzie dobrze”.

— Cóżeś chciał, abym uczyniła?

— O, pani, jesteś królową, jak mi się zdaje!

— Piękne królestwo! Zależne od łaski pierwszego lepszego pisarczyka z Palais-Royal albo szlachciury z królestwa.

— Jesteś jednak dosyć silna, żeby oddalić ludzi, którzy ci się nie podobają.

— Czyli raczej tych, którzy tobie się nie podobają — odpowiedziała królowa,

— Mnie?

— Bez wątplenia. Kto oddalił panią de Chevreuse, która przez dwadzieścia lat była prześladowana za przeszłego panowania?

— Intrygantką, która chciała prowadzić dalej intrygi przeciwko mnie, intrygi rozpoczęte za czasów pana de Richelieu.

— Kto oddalił panią de Hautefort, tę wierną przyjaciółkę, która odrzuciła łaski króla, żeby moje posiadać?

— Świętoszka, która, cię przeciwko mnie podburzała.

— Kto kazał uwięzić pana de Beaufort?

— Człowiek kłótlivy, który mówił to tylko, co mogło mi zaszkodzić.

— Widzisz więc, kardynale — znów zaczęła królowa — że twoi nieprzyjaciele są moimi.

— To nie dosyć, pani, należałoby, żeby twoi przyjaciele byli także moimi.

— Moi przyjaciele, panie! (królowa wstrząsnęła głową). Niestety, już ich nie mam.

— Jak to, nie masz więcej przyjaciół w szczęściu, gdy miałaś ich w przeciwnościach?

— W szczęściu zapomniałam o tych przyjaciółach, panie; postępuję jak Maria de Medicis, która po powrocie z wygnania pogardziła wszystkimi, co dla niej cierpieli, i która powtórnie wygnana, umarła w Kolonii, opuszczona z kolei przez wszystkich, przez syna swego nawet, ponieważ wszyscy ją znienawidzili.

— A więc przypomnijmy sobie, czy nie moglibyśmy wynagrodzić złego? Szukaj, pani, między najdawniejszymi przyjaciółmi.

— Co chcesz przez to powiedzieć, panie?

— Szukaj: to tylko.

— Niestety, na próżno spoglądam wokoło siebie, nie mam wpływu na nikogo. Brata króla zawsze prowadzi jego ulubieniec. Wczoraj był Chisy, dziś jest la Rivière, jutro: będzie inny. Księciem włada pani de Longueville, którą znów włada książę de Marsillac, jej kochanek. Panem de Conti włada koadiutor, a tym ostatnim pani de Guénemèe.

— Dlatego też nie mówię, pani, abyś szukała między terażniejszymi przyjaciółmi, ale między dawnymi.

— Między dawnymi? — zapytała królowa.

— Tak, między dawnymi, między tymi, którzy ci pomagali walczyć przeciw kardynałowi Richelieu i zwyciężyć go nawet.

— Do czego on zmierza? — pomyślała królowa, z niepokojem spoglądając na kardynała.

— Tak — mówił dalej ten ostatni. — w pewnych okolicznościach z pomocą przebiegłego i silnego umysłu, który cechuje waszą królewską mość, umiałaś dzięki pomocy przyjaciół odeprzeć zamachy tego przeciwnika.

— Ja — powiedziała królowa — cierpiałam; oto wszystko.

— Tak — powiedział Mazarini — jak zwykle cierpią kobiety mszcząc się. Przystąpiwszy; do rzeczy, czy znasz pana de Rochefort? — Pan de Rochefort nie był moim przyjacielem — rzekła królowa — raczej moim najzaciętszym nieprzyjacielem, najwierniejszym stronnikiem kardynała. Sądziłam, że wiecie o tym.

— Wiem o tym dobrze — odpowiedział Mazarini — żeście go kazali zamknąć w Bastylii.

— Czy wyszedł stamtąd? — zapytała królowa.

— Nie, uspokój się, pani, wciąż tam przebywa. Czy znacie pana d'Artagnana? — mówił Mazarini spoglądając królowej w oczy.

Anna Austriacka otrzymała cios w samo serce.

— Byłżeby Gaskończyk niedyskretny? — pomyślała. Potem dodała głośno:

— D'Artagnan? Poczekaj pan. Tak, istotnie, to imię jest mi znane. D'Artagnan, muszkieter, który kochał się w jednej z moich służebnych, w biednej, nieszczęśliwej istocie, którą otruto z mojej przyczyny.

— Czy to już wszystko?

Królowa spojrzała ze zdziwieniem na kardynała.

— Ależ panie — powiedziała — zdaje mi się, że mnie badasz?

— Na które to badanie — odpowiedział Mazarini z swym wiecznym uśmiechem i zawsze słodkim głosem — odpowiadasz według swojej fantazji.

— Jasno okaż twoje chęci, a ja również jasno na nie odpowiem — rzekła królowa zaczynając niecierpliwie się.

— A więc — powiedział Mazarini kłaniając się — chcę, żebyś mi wskazała twoich przyjaciół. Okoliczności są ważne

i trzeba będzie działać energicznie.

— Znowu! — zawołała królowa — myślałam, że wszystko skończy się na panu Beaufort.

— Tak, gdy najjaśniejsza pani widziała tylko potok wszystko obalić zdolny, ale nie zwróciła uwagi na stojącą wodę. Jednak jest przysłowie o cichej wodzie.

— Dokończ — powiedziała królowa.

— Dowiedz się, pani — mówił dalej kardynał — że co dzień cierpię zniewagi, wyrządzone mi przez twoich książąt i tytułowanych służalców, przez te marionetki, które nie widzą, że trzymam nitkę, którą ich poruszam. Kazałaś uwięzić pana de Beaufort, to prawda, ale ten był najmniej niebezpieczny z nich wszystkich; jest jeszcze książę.

— Zwycięzca spod Rocroi? o nim myślisz, kardynale?

— Tak, myślę, nawet i często, ale patienza, jak mówimy my, Włosi. Potem po panu Condé jest jeszcze książę d'Orléans.

— Co mówisz? Pierwszy książę krwi, stryj króla.

— Nie pierwszy książę krwi, nie stryj króla, ale najpodlejszy spiskowiec, który za przeszłego panowania dzięki swemu charakterowi dziwacznemu, fantastycznemu, dręczony nudami, pożerany płaską ambicją, zazdrosny o wszystko, co przewyższało go odwagą i prawością, rozgniewany, że jest niczym, staje się echem wszystkich odgłosów, duszą wszystkich intryg, daje znak pójścia naprzód tym wszystkim dzielnym ludziom, na tyle głupim, że wierzą jego słowom, ale którzy wyparli się go, wszedłszy na rusztowanie! Nie pierwszy książę krwi, nie stryj króla, powtarzam, ale morderca nieszczęśliwych Chalais, Montmorency i Cinq-Mars, który stara się dziś grać tę samą stawkę, tuszy sobie, że wygra partię, ponieważ zmienił przeciwnika, i zamiast człowieka, który grozi, ma przed sobą człowieka, który się uśmiecha. Ale myli się, przegrał chcąc zgubić pana de Richelieu i ja także nie widzę potrzeby zostawiać przy królowej tego jabłka niezgody.

Anna zarumieniła się i zakryła twarz rękami.

— Nie chcę bynajmniej obrażać waszej królewskiej mości — znowu zaczął Mazarini tonem spokojniejszym, ale zarazem energicznym — chcę, żeby szanowano królową i jej ministra, gdyż w oczach wszystkich tyra jestem tylko. Król wie, że nie jestem, jak to wielu utrzymuje, żebraczym przychodniem z Włoch! Wszyscy o tym wiedzieć muszą, jak wie wasza królewska mość.

— Cóż więc mam uczynić? — zapytała Anna Austriacka. — Winnaś szukać w swoich wspomnieniach nazwisk ludzi

wiernych i przywiązanych, którzy przebyli morze wbrew panu de Richelieu, pozostawiając na całej drodze ślady krwi swojej, żeby przywieźć pewien klejnot, który w. k. mość dała panu de Buckingham.

Anna powstała rozgniewana, majestatyczna i spoglądając na kardynała z wyniosłością i godnością, rzekła:

— Znieważasz mnie, panie.

— Chcę na koniec — mówił dalej Mazarini, kończąc myśl przerwana w połowie przez królową — chcę, ażebyś to uczyniła dziś dla swego męża, coś kiedyś uczyniła dla swego kochanka.

— Znów ta potwarz — zawołała królowa. — Sądziłam, że już zamarła, wygasła. Tym lepiej! Pomówimy o niej i to wszystko wreszcie się skończy.

— Ależ pani — powiedział zdziwiony Mazarini — nie żądam, abyś wyznała mi wszystko.

— A ja chcę powiedzieć wszystko — odparła Anna Austriacka. — Chcę powiedzieć, że w istocie w tym czasie były cztery serca pełne poświęcenia, cztery dusze prawe, cztery szpady wierne, które ocaliły mi więcej aniżeli życie, gdyż ocaliły mi honor.

— Więc przyznajesz — powiedział Mazarini.

— Czy tylko występnych honor bywa narażony, kardynale? . I czy nie można zhańbić kobiety przez pozory? Tak, pozory

były przeciwko mnie i omal nie zostałam zhańbiona, a jednak przysięgam, że nie byłam występna, przysięgam.

Królowa szukała jakiej świętej rzeczy, na którą mogłaby przysiąc, i wyjmując z szafy, ukrytej w obiciu, małą szkatułkę, nabijaną srebrem i stawiając ją na ołtarzu, rzekła:

— Przysięgam na te święte relikwie, kochałam pana de Buckingham, ale pan de Buckingham nie był moim kochankiem.

— I jakież to, są relikwie, na które przysięgasz, pani? — rzekł uśmiechając się Mazarini — gdyż, uprzedzam cię, jako Rzymianin, jestem niedowiarkiem, są różne relikwie.

Królowa zdjęła złoty kluczyk z szyi i podała go kardynałowi.

— Otwórz panie — powiedziała — i zobaczysz sam.

Mazarini zdziwiony wziął klucz i otworzył szkatułkę, w której zobaczył tylko nóż pokryty rdzą i dwa listy, z których jeden był poplamiony krwią. — Co to jest? — zapytał Mazarini.

— Co to jest? — powtórzyła Anna Austriacka, królewskim gestem wyciągając nad szkatułką rękę, która mimo lat została piękna. — Oto jedyne dwa listy, jakie do niego pisałam. To jest nóż, którym go Felton przebił. Czytaj listy, panie, a zobaczysz, czy skłamałam.

Pomimo danego mu pozwolenia Mazarini, wiedziony naturalnym uczuciem, zamiast czytać listy, wziął nóż, który Buckingham umierając wyrwał z rany i przesłał królowej. Ostrze całe było zardzewiałe, gdyż krew zamieniła się w rdzę. Chwilę przyglądał się, gdy tymczasem królowa zbladła jak obrus ołtarza, na którym była wsparta, po czym włożył go do szkatułki, z mimowolnym drżeniem. — Tak — powiedział — wierzę twej przysiędze.

— Nie, nie, czytaj — powiedziała królowa marszcząc brwi — czytaj, chcę tego, rozkazuję, dlatego że pragnę, ażeby wszystko się skończyło i ażebyśmy nie powracali do tego przedmiotu. Czy mniemasz — dodała ze strasznym uśmiechem — że po raz drugi będę mogła otworzyć tę szkatułkę, kiedy znów mnie będziesz oskarżać?

Mazarini, pokonany tą energią, usłuchał i prawie machinalnie przeczytał oba te listy. W jednym królowa upomina się

o zapinki diamentowe. Był to ten sam list, który zawiózł d'Artagnan i który przybył na czas; drugi list oddał Laporte księciu; w tym królowa ostrzegała księcia, że mają go zamordować,—

i ten przybył za późno.

— Tak, pani — powiedział Mazarini — nie mam nic do powiedzenia.

— Nie, panie — powiedziała królowa zamykając szkatułkę i kładąc na niej rękę — musisz coś odpowiedzieć: że zawsze byłam niewdzięczna wobec ludzi, którzy mnie ocalili i uczynili, co mogli, żeby jego ocalić, że nic nie dałam temu dzielnemu d'Artagnan, o którym mówiliście przed chwilą, dałam mu tylko swoją rękę do pocałowania i ten diament.

Królowa wyciągnęła swoją piękną rękę do kardynała i pokazała mu kamień błyszczący na jej palcu.

— Sprzedał go, jak się zdaje — dodała — sprzedał w chwili niedostatku. Sprzedał go, aby mnie ocalić powtórnie, aby posłać do księcia i uprzedzić, że go zamordować zamierzają.

— Więc d'Artagnan wiedział o tym?

— Wiedział o wszystkim. W jaki sposób? — tego nie wiem. Sprzedał go panu des Essarts, spostrzegłam go na jego palcu. Ale ten diament do niego należy; oddaj mu go ode mnie i ponieważ jesteś tak szczęśliwy, że masz przy sobie takiego człowieka, staraj się uczynić go użytecznym.

— Dziękuję ci, pani — powiedział Mazarini — skorzystam z rady.

— A teraz — powiedziała królowa, jak gdyby zgnębiona wzruszeniem — czy masz jeszcze jakie pytanie?

— O, nie, pani — odpowiedział kardynał swoim głosem pieszczotliwym — prosić tylko będę o przebaczenie za moje niesprawiedliwe podejrzenie, ale tak cię kocham, że dziwić cię nie powinno, że jestem zazdrosny, nawet o przeszłość.

Uśmiech, jakiego niesposób opisać, przebiegł po ustach królowej.

— Jeśli więc nic więcej nie żadasz ode mnie, zostaw mnie. Powinieneś rozumieć, że po takiej scenie pragnę być sama.

Mazarini uklonił się.

— Wychodzę, pani — powiedział — ale czy pozwolisz mi powrócić?

— Tak, ale jutro; przez ten czas muszę przyjść do siebie. Kardynał pocałował rękę królowej, po czym się oddalił.

Zaledwie wyszedł, królowa przeszła do apartamentu swego syna i zapytała Laporte'a, czy król już się położył. Laporte pokazał jej ręką śpiące dziecko.

Anna Austriacka wstąpiła na stopnie łoża, zbliżyła usta do czoła syna i z wolna złożyła na nim pocałunek, potem oddaliła się w milczeniu, tak jak przysła, i powiedziała tylko do Laporte'a.

— Staraj się, kochany Laporte, żeby król chętniej patrzył na kardynała, któremu oboje winni jesteśmy wiele wdzięczności.

GASKOŃCZYK I WŁOCH

Kardynał tymczasem powrócił do swego gabinetu, przy którego drzwiach czuwał Bernonin, zapytał go, czy nie zaszło co nowego i czy dowiedział się, co się dzieje w mieście. Otrzymałszy uspokajającą odpowiedź, kazał mu oddalić się.

Zostawszy sam, otworzył drzwi korytarza, potem drzwi przedpokoju. D'Artagnan, utrudzony, spał na ławce.

— Panie d'Artagnan — przemówił do niego łagodnym głosem. D'Artagnan nie poruszył się.

— Panie d'Artagnan! — zawołał głośniejszym głosem. D'Artagnan ciągle spał.

Kardynał zbliżył się ku niemu i trącił go w ramię. Tym razem, d'Artagnan zadrżał, obudził się, a budząc się, stanął jak żołnierz pod bronią.

— Otóż jestem, któż mię woła?

— Ja — rzekł Mazarini z uprzejmym wyrazem twarzy.

— Wybacz, eminencjo, ale byłem tak strudzony...

— Nie potrzebujecie przeproszać — odpowiedział Mazarini — gdyż jesteście strudzeni w moich usługach. D'Artagnan uwielbiał uprzejmość kardynała.

— Hm! — powiedział do siebie. — Czyżby prawdziwe było przysłowie, że szczęście przychodzi do nas we śnie?

— Proszę udać się za mną — rozkazał Mazarini.

— Tak — pomyślał d'Artagnan — Rochefort dotrzymał słowa; ale którądy u diabła przeszedł, żem go nie widział.

I rozglądał się po wszystkich kątach gabinetu, ale Rocheforta nie było.

— Panie d'Artagnan — powiedział Mazarini sadowiac się w fotelu — zawsze uważałem was za człowieka odważnego i zacnego.

— To być może — pomyślał d'Artagnan — ale wiele czasu potrzebował, żeby mi to powiedzieć.

Ta uwaga nie przeszkodziła mu jednak uklonnie się aż do ziemi.

— Przyszedł czas — mówił dalej Mazarini — użycia waszego talentu i męstwa.

Oczy oficera zabłysły promieniem radości, który jednak wkrótce zgasł, gdyż d'Artagnan nie wiedział, do czego Mazarini zmierza.

— Rozkazujcie, panie, gotów jestem słuchać was.

— Panie d'Artagnan — mówił dalej Mazarini — w czasie przeszłego panowania odbyliście pewne wyprawy...

— Wasza eminencja jest zbyt dobry, że raczy o nich przypominać... To prawda, odbyłem kampanię z niejakim powodzeniem.

— Nie mówię o wyprawach wojennych — powiedział Mazarini — bo chociaż były głośne, jednak inne przygłuszały je. D'Artagnan udał zadziwienie. — I cóż! nie odpowiadacie?

— Czekam, póki wasza eminencja nie powie mi, o jakich wyprawach chce mówić.

— Mówię o tej awanturze... E! wiecie dobrze, o czym chcę mówić.

— Niestety, nie, mości kardynale — odpowiedział zadziwiony d'Artagnan.

— Jesteście małowówny, tym lepiej. Chcę mówić o tej awanturze królowej, o tych zapinkach, o tej podróży, którą odbyliście wraz ze swoimi trzema towarzyszami.

— Byłżeby to podstęp? — pomyślał Gaskończyk — trzymajmy się ostro.

I przybrał wyraz osłupienia, jakiego by mu pozazdrościł Mondori albo Bellerose, dwaj najlepsi aktorzy ówczesni.

— Bardzo dobrze — rzekł Mazarini — brawo! słusznie mi powiedziano, że jesteście człowiekiem, jakiego mi trzeba. No, cóż byście uczynili dla mnie?

— Wszystko, co wasza eminencja uczynić każe — odpowiedział d'Artagnan.

— Czy uczynilibyście dla mnie to, coście uczynili dla pewnej królowej?

— Nie ma wątpliwości — pomyślał d'Artagnan — chce mnie' skłonić do mówienia i zobaczymy, czy mu się uda. Ten nie jest przecież tak przebiegły jak kardynał de Richelieu! — Dla pewnej królowej? Nie rozumiem.

— Nie rozumiecie, że potrzebuję was i waszych trzech przyjaciół.

— Jakich przyjaciół?

— Dawnych, trzech dawnych przyjaciół.

— Dawniej, mości kardynale, miałem nie trzech przyjaciół, miałem ich pięćdziesięciu. W dwudziestym roku życia wszystkich nazywamy przyjaciółmi.

— Dobrze, dobrze, panie oficerze — powiedział Mazarini — małomówność jest pięknym przymiotem. Ale dziś moglibyście pożałować, żeście byli zbyt małomówny.

— Mości kardynale, Pitagoras przez pięć lat kazał milczeć swoim uczniom, żeby się milczeć nauczyli.

— A wy milczeliście przez lat dwadzieścia. Jest to piętnaście lat więcej, aniżeli wymagano od filozofa pitagorejczyka. Mówcie więc dzisiaj, gdyż sama królowa uwalnia was od przysięgi.

— Królowa! — powiedział d'Artagnan ze zdziwieniem, które tym razem nie było udane.

— Tak, królowa; i na dowód, że mówię do was w jej imieniu, kazała, żebym wam pokazał ten diament, który jak utrzymuje królowa, znacie i który odkupiła od pana des Essarts.

I Mazarini wyciągnął rękę do oficera, który westchnął poznając pierścień dany mu przez królową w dzień sławnego balu.

— To prawda — powiedział d'Artagnan — poznaję pierścień, który należał do królowej.

— Widzicie więc dobrze, że mówię do was w jej imieniu. Jużem wam powiedział i powtarzam, że od tego wasze szczęście zawisło.

— Na honor, mości kardynale, potrzebuję go; wasza eminencja zapomniała o mnie na tak długi czas!

— Tygodnia potrzeba tylko, żeby to wynagrodzić. Wy jesteście tu, ale gdzie są wasi przyjaciele?

— Nie wiem, kardynale. — Jak to? nie wiecie?

— Nie, już dawno, jakeśmy się rozłączyli, gdyż wszyscy trzej opuścili służbę.

— Ale gdzie ich znajdziecie?

— Wszędzie, gdzie się znajdować będą; to do mnie należy.

— Dobrze. Jakież warunki?

— Pieniędzy tyle, ile nasze przedsięwzięcia wymagać będą. Przypominam sobie, jak często brak pieniędzy stawał nam na przeszkodzie, i gdyby nie ten diament, bylibyśmy osiedli na mieliznie.

— Do pioruna! pieniądze, i to wiele, ho, ho — panie oficerze! Czy wiecie, że nie ma pieniędzy w kufрах królewskich?

— W takim razie, czyńcie tak jak ja, panie kardynale: sprzedajcie diamenty, klejnoty, wierzcie mi i nie targujcie się; wielkie rzeczy źle robić przy pomocy małych środków.

— No — powiedział Mazarini — postaramy się zadowolić was. .

— Richelieu — pomyślał d'Artagnan — dałby mi już pięćset pistołów zadatku.

— Będziecie więc moim stronnikiem?

— Tak, jeśli moi przyjaciele zechcą.

— Ale jeśli oni odmówią, czy będę mógł liczyć na was?

— Sam nigdy nic dobrego nie zrobiłem — powiedział d'Artagnan wstrząsając głową.

— Idźcie więc ich szukać.

— Cóż im powiem, żeby ich skłonić do usług dla waszej eminencji?

— Znacie ich lepiej ode mnie. Obiecujcie zależnie od charakteru.

— Cóż im mam obiecać?

— Niech mi służą, tak jak służyli królowej, a wdzięczność moja będzie bez granic.

— Cóż czynić będziemy?

— Wszystko, gdyż jak się zdaje, potraficie wszystko.

— Mości kardynale, kiedy mamy zaufanie do ludzi i kiedy chcemy, żeby oni mieli do nas zaufanie — to dokładniej ich objaśniamy.

— Bądźcie spokojni, skoro nadejdzie chwila działania, dowiecie się o wszystkich myślach moich.

— A do tego czasu?

— Czekajcie i szukajcie waszych przyjaciół.

— Może nie znajdują się w Paryżu. Wówczas trzeba będzie podróżować. Jestem tylko ubogim porucznikiem muszkietarów, a podróże są bardzo drogie.

— Moim zamiarem jest — powiedział Mazarini — żebyście nie występowali zbyt okazale, moje zamiary wymagają tajemnicy i ucierpiałyby przy wielkim ekwipunku.

— Przy tym, mości kardynale, nie mogę podróżować, gdyż moja płaca jest o trzy miesiące opóźniona; a przez dwadzieścia, dwa lata, jak służę, dorobiłem się tylko długów...

Mazarini zamyślił się na chwilę, jak gdyby toczyła w nim się walka, potem podszedł do szafy zamkniętej na trzy zamki, wyjął z niej worek i ważąc go w rękach kilka razy nim go oddał d'Artagnanowi, rzekł z westchnieniem:

— Weźcie to na kosztą podróży.

— Jeżeli to są dublony hiszpańskie albo przynajmniej złote talary — pomyślał d'Artagnan — mogę z nimi robić interesy.

Uklonił się kardynałowi i schował worek do kieszeni.

— A więc to już postanowione — powiedział kardynał — udajecie się w podróż.

— Tak, mości kardynale.

— Pisujcie do mnie codziennie, donosząc o skutkach waszych negocjacji.

— Nie omieszkam.

— Bardzo dobrze. Ale nazwiska waszych przyjaciół?

— Nazwiska moich przyjaciół? — powtórzył d'Artagnan z pewnym niepokojem.

— Kiedy wy szukać ich będziecie, ja także o nich wypytywać się będę.

— Pan hrabia de la Fère, inaczej nazywany Atos, pan du Vallon, inaczej nazywany Portos, i pan kawaler d'Herblay, dzisiaj jest duchownym.

Kardynał uśmiechnął się.

— Młodszy synowie — powiedział — którzy poukrywali swoje prawdziwe nazwiska zaciągając się do muszkietarów, żeby nie skompromitować swoich rodzin. Silne szpady, ale kieski lekkie; znamy takich.

— Jeżeli Bóg zechce, żeby te szpady były na waszych usługach, kardynale — rzekł d'Artagnan — ośmielam się wyrazić jedno życzenie, żeby z kolei kiesa waszej eminencji stała się lżejsza a ich cięższa; gdyż z tymi trzema ludźmi i ze mną wasza eminencja poruszy całą Francję i nawet całą Europę, jeśli będzie potrzeba.

— Ci Gaskończycy — powiedział Mazarini śmiejąc się — odwagą prawie dorównywają Włochom.

— W każdym razie — powiedział d'Artagnan z uśmiechem podobnym do uśmiechu kardynała — lepsi są do nacierania.

Po czym wyszedł prosząc o urlop, którego mu udzielono. Po wyjściu zbliżył się d'Artagnan do latarni znajdującej się na podwórzu i chciwie zajrzał do worka.

— Talary srebrne — zawołał z pogardą — domyślałem się tego! Ach Mazarini, Mazarini, nie ufasz mi! Tym gorzej! To ci przyniesie nieszczęście!

Kardynał tymczasem zacierał ręce.

— Sto pistolów — mówił — sto pistolów! Za sto pistolów dowiedziałem się o tajemnicy, za którą pan de Richelieu byłby zapłacił dwadzieścia tysięcy talarów. Nie licząc tego diamentu — dodał rzucając miłosne spojrzenie na pierścień, który zatrzymał, zamiast oddać d'Artagnanowi — nie licząc tego diamentu, który wart najmniej dziesięć tysięcy liwrow.

I kardynał wszedł do swojego pokoju uradowany, że osiągnął tyle korzyści przez ten wieczór; umieścił pierścień w pudełku wypełnionym wszelkiego gatunku brylantami, gdyż kardynał miał

upodobanie w kamieniach, zawołał kamerdynera, żeby go rozebrał, nie troszcząc się o krzyki i wystrzały, które wstrząsały szybami okien, chociaż było po jedenastej.

D'Artagnan tymczasem zbliżał się do ulicy Tiquetonne, gdzie mieszkał w oberży „Pod Sarną”.

VI

ZAKŁOPOTANEMU D'ARTAGNANOWI PRZYCHODZI Z POMOCĄ DAWNA ZNAJOMOŚĆ

D'Artagnan powracał do siebie zamyślony, ciesząc się, że niesie worek kardynała Mazariniego, i myśląc o tym diamencie, który kiedyś należał do niego, a który przed chwilą widział na palcu ministra.

— Gdyby ten diament kiedy dostał się w moje ręce — mówił do siebie — sprzedałbym go natychmiast, kupiłbym kawałek ziemi przy zamku mojego ojca. Zamek jest wprawdzie piękny, ale jego całe pole to ogród wielkości cmentarza paryskiego. Tam czekałbym, dopóki jaka majątna dziedziczka, ujęta moją okazałą postawą, nie zwróciłaby się o moją rękę; potem miałbym trzech chłopców; jednego zrobiłbym wielkim panem jak Atos, drugiego pięknym żołnierzem jak Portos, a trzeciego miłym duchownym jak Aramis; na honor, to daleko więcej warte aniżeli życie, jakie teraz prowadzę; ale na nieszczęście Mazarini jest skąpcem, który nigdy nie zdejmie tego pierścienia, żeby mi go dać.

Cóż by powiedział d'Artagnan, gdyby wiedział, że ten pierścień, powierzony Mazariniemu, miał być mu zwrócony?

Wchodząc na' ulicę Tiquetonne, spostrzegł, że panuje tu nadzwyczajny hałas; zbiegowisko ludzi gromadziło się pod jego domem.

— Czyżby się paliło w oberży „Pod Sarną”? — powiedział — a może mąż Magdaleny powrócił.

Ani jedno, ani drugie; d'Artagnan zbliżywszy się dostrzegł, że nie przed jego, ale przed sąsiednim domem zgromadziło się tyle ludzi.

Padaly głośne okrzyki, biegano z pochodniami, a przy ich świetle d'Artagnan spostrzegł mundury.

Zapytał, co się tu dzieje.

Odpowiedziano mu, że jakiś mieszczanin napadł z dwudziestu przyjaciółmi na karetę eskortowaną przez straż kardynalską, ale odsiecz nadeszła i mieszczanie poszli w rozsypkę. Przywódca napaści skrył się w domu przyległym do oberży. Dom ten przeto przetrząsano.

W młodości d'Artagnan byłby pobiegł tam, gdzie widział mundury, aby przyjść z pomocą żołnierzom wysłanym dla dania porządnej lekcji mieszczanom; obecnie jednak przypatrywał się temu wszystkiemu obojętnie i wszedł do oberży, nie dopytując się więcej.

O świcie obudził się, zeskoczył z łóżka i przechadzał się po izbie.

Potem otworzył starą szkatułkę, leżącą w kącie jego pokoju; była napełniona pergaminami tyczącymi się posiadłości d'Artagnana, która od dwustu lat wyszła zupełnie z posiadania jego rodziny. Wydał okrzyk radości, poznał ogromne pismo Portosa, a u spodu nabazgrane było kilka wierszy suchą ręką zacnej jego małżonki.

D'Artagnan nie trudił się odczytywaniem tego listu, wiedział, co on zawiera, szukał adresu.

Adres był: w zamku du Vallon.

Portos zapomniał o innych objaśnieniach. Uniesiony dumą myślał, że wszyscy znać powinni zamek, któremu nadał swoje nazwisko.

— Niech diabli porwą fanfaron! — zawołał d'Artagnan — zawsze ten sam! Jednak od niego chciałem zacząć. On nie potrzebuje pieniędzy — on, który odziedziczył ośm kroć sto tysięcy liwrow po panu Coquenard. Otóż brak mi najlepszego. Atos zgłupiał niezawodnie wskutek pijaństwa, Aramis niezawodnie zagłębił się w swych księgach teologicznych.

D'Artagnan raz jeszcze rzucił okiem na list Portosa:

Znajdowało się tam post-scriptum zawierające:

„Przez tego samego posłańca piszę do naszego zacnego Aramisa, znajdującego się w klasztorze”.

— W klasztorze! tak, ale w jakim klasztorze! Jest ich dwieście w Paryżu, a trzy tysiące we Francji. A może, wstępując do klasztoru, trzeci raz zmienił nazwisko. Ach! gdybym był biegły w teologii i gdybym sobie mógł przypomnieć treść jego rozpraw, jakie miał w Crèvecoeur z proboszczem Montdidier, przełożonym jezuitów, wiedziałbym, jakiej doktryny się trzyma, i odgadłbym, jakiemu się poświęcił świętemu. Gdybym też poszedł do kardynała, zażądał od niego pozwolenia wejścia do wszystkich klasztorów męskich i żeńskich? Byłaby to niezła myśl i może odnalazłbym go w ten sposób. Ale byłoby to przyznanie się z samego początku do niemożności samodzielnego działania. Wielcy wtenczas tylko są wdzięczni, kiedy się dla nich robi rzeczy niemożliwe... Gdyby to było rzeczą możliwą, mówią do nas: sam byłbym to zrobił — i mają słuszość. Ale zastanówmy się cokolwiek i pomyślmy. Od niego także dostałem list; prosił mnie o małą przysługę, której mu nie odmówiłem. Ach! tak, ale gdzieżem podział ten list?

D'Artagnan myślał przez chwilę, po czym wziął tobolek, w którym znajdowały się jego stare rzeczy; szukał swego kaftana z roku 1648, a ponieważ lubił porządek, znalazł go na swoim miejscu.

Poszukał w kieszeni i znalazł jakiś papier; był to w istocie list Aramis.

„Panie d'Artagnan — pisał Aramis — wiesz, że się pokłóciłem z pewnym szlachcicem, który mi naznaczył schadzkę na Placu Królewskim; ponieważ jestem duchownym i to zaszkodzić by mi mogło, gdybym się udał do kogo innego, nie zaś do przyjaciela tak pewnego, jakim ty jesteś, proszę cię, żebyś mi służył za sekundanta.

Wejdiesz przez ulicę Neuve-Sainte-Catherine; pod drugą latarnią po prawej stronie znajdziesz swego przeciwnika. Ja z moim znajdować się będę przy trzeciej.

Do widzenia Aramis”

D'Artagnan starał się zebrać wspomnienia: poszedł na miejsce naznaczone, zastał wskazanego przeciwnika, o którego nazwisku nie dowiedział się nigdy, zadał mu pchnięcie w ramię, potem zbliżył się do Aramisa, który do niego właśnie szedł skończywszy także rozprawę.

— Skończyliśmy — powiedział Aramis. — Zdaje mi się, że zabiłem zuchwalca. Drogi przyjacielu, jeżeli mię potrzebujesz, wiesz, że jestem zawsze na twoje usługi.

Po czym Aramis podał mu rękę i zniknął pod arkadami.

D'Artagnan nie wiedział, gdzie się znajduje Aramis, tak samo jak Atos i Portos; rzecz zaczynała stawać się nader kłopotliwa, gdy wtem usłyszał, jak stłuczono szybę w jego izbie. Pomyślał natychmiast o swoim worku, który zostawił w biurku. Pobiegł więc do niego. Nie omylił się; w chwili kiedy stanął we drzwiach, jakiś człowiek wchodził oknem.

— Ach! nędzniku — zawołał d'Artagnan, uważając tego człowieka za złodzieja i schwycił szpadę.

— Panie — zawołał człowiek — w imię niebios schowaj szpadę do pochwy i nie zabijaj mnie nie wysłuchawszy wprzód. Nie jestem złodziejem! Jestem uczciwym mieszczaninem. Nazywam się... Ale nie myślę się, to pan d'Artagnan!...

— Planchet!... — zawołał porucznik.

— Na wasze usługi — powiedział Planchet w największym uniesieniu — jeżeli jeszcze będę do nich zdolny.

— Być może — rzekł d'Artagnan — ale z jakiej u diabła przyczyny biegasz po dachach o siódmej godzinie rano w styczniu.

— Trzeba panu wiedzieć — powiedział Planchet. — Ale w istocie może i wiecie o tym.

— Cóż takiego? — zapytał d'Artagnan — ale najprzód połóż serwetę w miejsce szyby i zasuń firanki. Planchet wykonał rozkaz.

— I cóż? — zapytał d'Artagnan.

— Najprzód powiedzcie mi, panie — zapytał rozsądny Planchet — jak jesteście z panem de Rochefort?

— Doskonale! Rochefort? wiesz przecież, że on teraz jest jednym z moich najlepszych przyjaciół.

— Ach, tym lepiej!

— Ale cóż wspólnego ma Rochefort z twoim wejściem przez okno?

— Najprzód wiedzieć wam trzeba, że pan de Rochefort... Planchet zatrzymał się.

— Do pioruna! — zawołał d'Artagnan — wiem dobrze, jest w Bastylii.

— To jest, był tam — odpowiedział Planchet.

— Jak to był tam — zapytał d'Artagnan — byłżeby na tyle szczęśliwy, że uciekł stamtąd?

— Ach, panie! — zawołał z kolei Planchet — wszystko dobrze, jeżeli to nazywacie szczęściem. Wiedzieć wam więc trzeba, że wczoraj, jak się zdaje, posłano po pana de Rochefort do Bastylii.

— Do pioruna! wiem o tym dobrze, ponieważ ja tam go szukałem.

— Ale na szczęście nie wyście go odwozili, gdyż gdybym was był poznał w eskorcie, wiercie panie, że zawsze miałem za dużo dla was szacunku...

— Dokończ... cóż się stało?

— Na środku ulicy Ferronnerie, kiedy karetka pana de Rochefort przejeżdżała przez gromadę ludzi, eskorta roztrącała przechodniów. Stąd więc wynikło oburzenie. Więzień pomyślał, że sposobność jest sprzyjająca; wymienił swoje nazwisko i zawołał na pomoc. Ja również tam się znajdowałem, usłyszałem nazwisko hrabiego de Rochefort; przypomniałem sobie, że mnie zrobił sierżantem w pułku piemonckim, głośno powiedziałem, że więzień był przyjacielem pana de Beaufort; wszczął się rozruch, zatrzymano konie, rozbito eskortę. W czasie tego otworzyłem drzwiczki. Pan de Rochefort wyskoczył na ziemię i znikł w tłumie. Na nieszczęście patrol przechodził w tej chwili, połączył się ze strażą i uderzył na nas. Uciekłem w stronę ulicy Tiquetonne; ścigano mnie z bliska. Schroniłem się w sąsiednim domu, otoczono go, zrewidowano. Na próżno — na piątym piętrze znalazłem osobę litościwą, która ukryła mnie między dwa materace. Zostawałem w tym ukryciu aż do rana i myśląc, że wieczorem znów rozpoczną poszukiwania, puściłem się po rynnach szukając naprzód wejścia, a potem wyjścia w jakimkolwiek bądź domu, który by jednak nie był pilnowany. Oto moja historia i na honor, panie, byłbym w rozpacz, gdyby nie była dla was przyjemna.

— Nie — powiedział d'Artagnan — przeciwnie, jestem bardzo uradowany, że Rochefort jest wolny, ale czy wiesz, że jeżeli wpadniesz w ręce straży, będziesz powieszony bez miłosierdzia?

— Do pioruna! czy wiem o tym!... — zawołał Planchet — To właśnie mnie dręczy i dlatego jestem zadowolony, że cię odnalazłem. Jeżeli zechcecie mnie ukryć, nikt tego lepiej nie potrafi.

— Tak — powiedział d'Artagnan — uczynię to, chociaż narażam mój stopień, bo gdyby dowiedziano się, że ci dałem schronienie...

— Ach! panie, wiecie dobrze, że dla was narażę życie.

— Mógłbyś nawet powiedzieć, żeś je dla mnie narażał. Zapominam o tym tylko, co zapomniać powinien... O tym, co powinien — dobrze pamiętam. Usiądź więc tu i jedz spokojnie, gdyż widzę, że z chciwością spoglądasz na resztki mojej wieczerzy.

— Tak, panie, gdyż spiżarnia sąsiadki była bardzo źle zaopatrzona i od wczoraj jadłem tylko kawałek chleba z konfiturami. Nie pogardzam słodyczami, kiedy je mam we właściwym miejscu i czasie, ale wieczerza jednak wydała mi się bardzo skromna.

— Biedny chłopiec — powiedział d'Artagnan — no, przyjdźże do siebie, jedz.

— Ach! panie, po dwakroć ocalasz mi życie.

Usiadł do stołu i zaczął tak zajadać, jak kiedyś za dobrych czasów zajadał przy ulicy Grabarskiej. D'Artagnan przechadzał się w poprzek i wzdłuż pokoju i rozmyślał, jaką korzyść osiągnąć może z Plancheta w obecnych okolicznościach. Planchet tymczasem zajadał, aby wynagrodzić czas stracony.

Na koniec wydał to westchnienie człowieka zgłodniałego, jakie wskazuje, że zjadłszy porządnie trzeba sobie trochę odpocząć.

— No — powiedział d'Artagnan zaczynając badanie — czy wiesz, gdzie jest Atos?

— Nie, panie — odpowiedział Planchet.

— Do diabła! czy wiesz, gdzie jest Portos?

— Nie.

— Do pioruna! Aramis?

— Nie.

— Ale — powiedział Planchet — wiem, gdzie jest Bazin.

— Jak to! wiesz gdzie jest Bazin?

— Tak, panie. — Gdzie jest?

— W kościele Panny Marii.

— Czymże on tam jest?

— Zakrystianem.

— Bazin zakrystianem w kościele Panny Marii. Jesteś tego pewny?

— Zupełnie pewny; widziałem go, mówiłem z nim.

— Powinien by wiedzieć, gdzie jest jego pan.

— Rzecz prosta.

D'Artagnan namyślił się, potem wziął szpadę, płaszcz i gotował się do wyjścia.

— Panie! — zawołał Planchet płaczącym głosem — chcecie mnie opuścić. Pamiętajcie, że w was tylko pokładam nadzieję.

— Ależ tu nie przyjdą cię szukać — odpowiedział d'Artagnan.

— Wreszcie, gdyby tu kto przyszedł, pamiętajcie, panie, że dla ludzi w tym domu mieszkających jestem złodziejem.

— To prawda — powiedział d'Artagnan — czy mówisz jakim dialektem?

— Jeszcze lepiej — odparł Planchet — mówię po flamandzku.

— I gdzieś się u licha tego nauczył?

— W Artois, gdzie odbywał kampanię przez dwa lata. Słuchajcie: Goeden morgen, mynheer, ich ben begeering te weeten uwer gezondheid amstand.

— Co to ma znaczyć?...

— Dzień dobry panu, chciałbym dowiedzieć się o jego zdrowie.

— I on to nazywa językiem! Ale nic nie szkodzi — powiedział d'Artagnan — doskonale się składa.

D'Artagnan poszedł do drzwi, zawołał chłopca i kazał poprosić piękną Magdalенę.

— Co czynisz, panie?... — zawołał Planchet — chcesz naszą tajemnicę powierzyć kobiecie?

— Bądź spokojny, ta nie powie ani słowa.

W tej chwili gospodyni weszła; przybiegła śmiejąc się, miała nadzieję zastać d'Artagnana samego, ale spostrzegłszy Plancheta, zatrzymała się zdziwiona.

— Moja kochana gosposiu — rzekł d'Artagnan — przedstawiam ci twojego brata, który przybył z Flandrii, a którego na kilka dni biorę na moje usługi.

— Mego brata? — zawołała gospodyni coraz bardziej zdziwioną.

— Powiedź dzień dobry siostrze, master Peter.

— Welkom, zuster — powiedział Planchet.

— Goeden dag, broer — odpowiedziała zdziwiona gospodyni.

— Rzecz tak się ma — mówił d'Artagnan — ten pan jest twoim bratem, którego może nie znasz, ale ja go znam, przybył z Amsterdamu. Ubierzesz go w czasie mojej nieobecności; i gdy wrócę, to znaczy za godzinę, przedstawisz mi go i z twojej rekomendacji, ponieważ nic ci odmówić nie jestem w stanie, biorę go na służbę, rozumiesz?

— To jest, domyślam się, czego chcecie i czego wam potrzeba — powiedziała Magdalena.

— Jesteś doskonałą kobietą, moja piękna gosposiu, i polegam na tobie.

Po czym d'Artagnan wyszedł i udał się do kościoła Panny Marii.

VII

JAK RÓŻNY WPLYW WYWIERAĆ MOŻE PÓL PISTOLA NA ZAKRYSTIANA I NA DZIECKO Z CHÓRU

D'Artagnan wyszedł na Nowy Most, wieszając sobie, że wynalazł Plancheta. Rzeczywiście w obecnej chwili bardzo był mu potrzebny służący odważny i rozsądny. Prawda, że Planchet według wszelkiego prawdopodobieństwa niedługo miał pozostać na jego służbie. Ale i po odzyskaniu swego stanowiska przy ulicy Lombards, Planchet zawsze będzie wdzięczny d'Artagnanowi za ocalenie życia. D'Artagnan nie był niezadowolony, że mieć będzie stosunki z mieszczaństwem w chwili, kiedy mieszczaństwo wypowiada wojnę dworowi. Były to stosunki w obozie nieprzyjacielskim, a człowiek tak przebiegły jak d'Artagnan wiedział, że małe rzeczy prowadzą do wielkich.

Dlatego też szedł do kościoła Panny Marii w dobrym humorze. Wszedł do przedsionka i zwracając się do dziada, zamiatającego kaplicę, zapytał go, czy zna pana Bazina.

— Pana Bazina. zakrystiana?

— Tak.

— Oto właśnie służy do mszy przy ołtarzu Panny Marii.

D'Artagnan zadrzał z radości. Zdawało mu się, że mimo objaśnień Plancheta nigdy nie znajdzie Bazina. Teraz, kiedy uchwycił koniec nitki, był pewien, że dojdzie do kłębka.

Ukląkł naprzeciw kaplicy, żeby nie stracić z oczu Bazina. Na szczęście była to cicha msza, która wkrótce skończyć się miała. D'Artagnan zapomniał modlitw, nie wziął książki do nabożeństwa, przypatrywał się więc tylko Bazinowi.

Bazin wyglądał w swoim ubiorze świątobliwie i majestatycznie. Łatwo pojąć można, że Bazin był u szczytu swych marzeń i że laska w srebro okuta, którą trzymał w ręce, była dla niego tym, czym buława, którą Condé rzucał lub nie rzucał w szeregi nieprzyjacielskie pod Fryburgiem. Wyraz jego twarzy uległ takiej prawie zmianie jak jego ubiór. Całe jego ciało zaokrągliło się. Zdawało się, że na twarzy części wystające znikły zupełnie. Miał zawsze ten sam nos, ale policzki — zaokrąglając się — zabrały po jakiejś jego części z każdej strony; podbródek uciekał pod gardło; tłuściość zakryła mu oczy, czoło zakryte było krótko obciętymi i gładko uczesanyimi włosami.

Kapłan skończył mszę — wymówił sakramentalne słowa i oddalił się, rozdając błogosławieństwa, które wszyscy przyjmowali na kolanach.

D'Artagnan przykląkł jak inni, otrzymał błogosławieństwo, uczynił znak krzyża świętego, ale w chwili kiedy Bazin przechodził z oczami w niebo wzniesionymi, d'Artagnan pociągnął go za połę sukni.

Bazin opuścił oczy i odskoczył, jakby zobaczył węża.

— Pan d'Artagnan — zawołał — vade retro, Satanas!

— I cóż, kochany Bazin — powiedział oficer śmiejąc się — tak to przyjmujesz dawnego przyjaciela.

— Panie — odpowiedział Bazin — prawdziwymi przyjaciółmi chrześcijanina są ci, którzy mu dopomagają w osiągnięciu zbawienia, nie zaś ci, którzy go odeń odwracają.

— Nie rozumiem cię, Bazin, i nie wiem, czym przeszkadzałbym twemu zbawieniu.

— Zapominacie, panie — odpowiedział Bazin — że o mało co nie zgubiliście mojego pana i wam tylko zawdzięcza, że został w muszkietkach, kiedy powołaniem jego był stan duchowny.

— Mój kochany, sądząc z miejsca, w którym mię spotkałeś, powinien byś poznać, że się zmienił w wielu rzeczach. Wiek przywołuje rozsądek, a ponieważ nie wątpię, że twój pan jest na drodze do zbawienia, przychodzę więc zapytać cię, gdzie się znajduje, aby mi dopomógł uzyskać zbawienie.

— Chcecie raczej powiedzieć, aby go znów przywołać do świata. Na szczęście — dodał Bazin — nie wiem, gdzie on się znajduje, bo znajdując się w świętym miejscu, nie poważyłbym się kłamać.

— Jak to! — zawołał d'Artagnan w największej rozpaczy — nie wiesz, gdzie jest Aramis? .

— Najprzód — powiedział Bazin. — Aramis było to imię zguby; imię to na odwrót przeczytane jest Simara, a to jest imieniem szatana, i na szczęście dla niego na zawsze, porzucił to imię.

— A więc — mówił d'Artagnan, postanowiwszy do końca być cierpliwym — ja nie szukam Aramisa, ale raczej księdza d'Herblay. No, kochany Bazin, powiedz mi, gdzie on się znajduje.

— Czy nie słyszeliście, panie d'Artagnan, że mi odpowiedział, że nie wiem?

— Tak, bez wątplenia, ale ja na to odpowiem ci, że to jest niepodobieństwem.

— To jednak prawda, prawda, czysta prawda, jaką sam Bóg nakazuje.

D'Artagnan zrozumiał, że niczego się nie dowie od Bazina; widoczne było, że Bazin kłamie, ale kłamie żarliwie i tak śmiało, iż łatwo domyślić się można, że nic nie wyda.

— Dobrze, Bazin, ponieważ nie wiesz, gdzie mieszka twój pan, nie mówmy już o tym, rozłączmy się jak dobrzy przyjaciele, weź pół pistola i wypij za moje zdrowie.

— Nie pijam, panie — rzekł Bazin, majestatycznie odsuwając rękę oficera.

— Niewzruszony! — mruknął d'Artagnan. — Rzeczywiście, nie mam szczęścia!

I ponieważ D'Artagnan wypuścił połę Bazina, Bazin skorzystał z wolności i umknął do zakrystii, w której dopiero poczuł się bezpieczny.

D'Artagnan został nieruchomy, zamyślony, z oczami utkwionymi w drzwi, które były zaporą między nim i Bazinem, gdy wtem poczuł, jak go ktoś z lekka trącił w ramię.

Odwrócił się i chciał wydać okrzyk zdziwieniu, ale ten, co go trącił, dał mu znak milczenia.

— Ty tutaj, kochany Rochefort! — powiedział półgłosem.

— Cyt... — rzekł Rochefort — czyś wiedział, że jestem wolny?

— Dowiedziałem się z pierwszej ręki.

— Od kogo?

— Od Plancheta.

— Jak to od Plancheta?

— On to ciebie ocalił.

— Planchet? ... w istocie zdawało mi się, że go poznałem. Co dowodzi, mój kochany, że żadne wyświadczone dobrodziejstwo nie jest nadaremne.

— I cóż tu robisz?

— Przychodzę podziękować Bogu za moje szczęśliwe oswobodzenie — powiedział Rochefort.

— A potem, co jeszcze? Jestem pewny, że to nie jest wszystko.

— A potem otrzymać rozkazy od koadiutora, żeby zobaczyć, czy czasem nie można cokolwiek rozgniewać Mazariniego.

— Szaleńcze! chcesz znowu dostać się do Bastylii.

— O!... co do tego, to strzec się będę, za to ci ręczę. Czyste powietrze jest tak piękne! dlatego też — mówił dalej Rochefort oddychając pełną piersią — pójdę na wieś powędrować cokolwiek; udaję się na prowincję.

— I ja także.

— A można zapytać, dokąd udajesz się? — Szukać przyjaciół.

— Jakich przyjaciół?

— Tych, o których wczoraj mnie pytałeś.

— Panów Atosa, Portosa i Aramisa? Szukasz ich?

— Tak.

— Na honor?

— Cóż w tym dziwnego?

— Nic. To śmieszne. I z czyjego polecenia szukasz ich?

— Domyślasz się?

— Tak.

— Na nieszczęście nie wiem, gdzie się znajdują.

— Nie masz żadnego sposobu dowiedzenia się o nich? Czekaj tydzień, a ja ci o nich powiem.

— Tydzień to za wiele; nim trzy dni upłyną, muszę ich wynaleźć.

— Trzy dni to za mało — powiedział Rochefort — przecież Francja jest tak wielka.

— To nic nie znaczy; znasz wyraz „trzeba”, wyraz ten może zaprowadzić daleko.

- I kiedy zaczynasz ich szukać?
- Już zacząłem.
- Życzę szczęścia.
- Życzę pomyślnej podróży.
- Może spotkamy się w drodze.
- Niezawodnie.
- Kto wie? Los jest tak, kapryśny!
- Żegnam.

— Do widzenia. Ale, jeżeli Mazarini będzie z tobą o mnie mówić, powiedz mu, że jeszcze mogę się na co przydać.

I Rochefort oddalił się z tym uśmiechem diabelskim, który niegdyś tak często dreszczem przejmował d'Artagnana; ale d'Artagnan tym razem spojrział bez obawy, z uśmiechem melancholijnym.

— Idź, szatanie — powiedział — czyń, co chcesz, nic mnie to nie obchodzi, drugiej Konstancji na świecie nie ma.

D'Artagnan odwróciwszy się, spostrzegł Bazina, który zrzucając szaty kościelne, rozmawiał ze starszym, którego muszkietier wypytywał wszedłszy do kościoła. Bazin zdawał się być bardzo wzruszony, gdyż żywo gestykułował swoimi krótkimi rękami. D'Artagnan domyślił się, że według wszelkiego prawdopodobieństwa polecał mu największą tajemnicę względem siebie.

D'Artagnan skorzystał z tego, że się zagadali, wysunął się z katedry i przyczaił się na rogu ulicy Canettes. Bazin nie mógł wyjść, aby go d'Artagnan nie ujrzał.

W pięć minut później Bazin ukazał się w przedsionku, obejrzał się na wszystkie strony, aby przekonać się, czy go nie śledzą, ale nie dostrzegł naszego oficera. Wszedł na ulicę Notre Dame; d'Artagnan wybiegł z swojego ukrycia, zobaczył jak Bazin wszedł do domu na ulicy Calandre. Nasz oficer nie wątpił ani, przez chwilę, że w tym domu mieszka zacny zakrystian.

D'Artagnan wszedł do małego szynku, znajdującego się przy ulicy na rogu Saint-Eloi i Calandre, i kazał sobie podać szklankę hypokrasu. Przygotowanie tego napoju wymagało przynajmniej pół godziny, d'Artagnan miał więc czas śledzić Bazina nie wzbudzając podejrzeń.

Spostrzegł w szynku dwunastoletniego malca o sprytnym minie, którego — jak mu się zdawało — przed kilku minutami widział w ubiorze chłopca kościelnego. Zaczął go wypytywać i dowiedział się, że malec od szóstej do dziewiątej służył w kościele, a od dziewiątej do północy w szynku.

Kiedy rozmawiał z chłopcem, przyprowadzono konia przed dom Bazina. Koń ten był osiodłany i okiełzany. Po chwili ukazał się Bazin.

— Patrzcie, panie — powiedział chłopiec — oto nasz zakrystian udaje się w drogę.

— Dokąd on jedzie? — zapytał d'Artagnan.

— Nie wiem.

— Pół pistola, jeżeli o tym się dowiesz.

— Dla mnie pół pistola — zawołał chłopiec, którego oczy zabłyśły radością — jeżeli dowiem się, dokąd jedzie pan Bazin! To nic trudnego. Ale wy nie żartujecie, panie?

— Nie, słowo oficera; patrz — oto jest pół pistola.

I pokazał mu pieniądze nie dając go wszakże.

— Zapytam go.

— To właśnie jest sposób, żeby się nie dowiedzieć o niczym — powiedział d'Artagnan — poczekaj, aż się oddali, a potem czyń, co ci się podoba, pytaj, badaj. To do ciebie należy i pół pistola czeka.

I schował pieniądze do kieszeni.

— Rozumiem — powiedział chłopiec z uśmiechem właściwym ulicznikom paryskim — czekajcie na mnie.

D'Artagnan długo nie czekał. W pięć minut później Bazin wyruszył truchtem, regulując kroki konia uderzeniami parasola.

Bazin zawsze miał zwyczaj nosić parasol zamiast szpicruty.

Zaledwie minął róg ulicy Juiverie, chłopak puścił się jak strzała w ślad za nim.

D'Artagnan usiadł przy stole, zupełnie pewny, że za dziesięć minut będzie wiedział to, czego się chciał dowiedzieć.

W istocie, nim ten czas upłynął — chłopiec powrócił.

— I cóż? — zapytał d'Artagnan.

— Wiem — odpowiedział chłopiec.

— Dokąd pojechał?

— A dostanę pół pistola w nagrodę?

— Bez wątpienia. Odpowiedz.

— Chciałbym go zobaczyć i przekonać się, czy nie jest fałszywy?

— Oto jest.

— Hej, panie gospodarzu — zawołał chłopiec — pan oficer chce zmienić pół pistola.

Gospodarz zmienił pół pistola, a chłopiec schował pieniądze do kieszeni.

— A teraz powiedz, dokąd się udał — powiedział d'Artagnan, który patrzył na to wszystko ze śmiechem.

— Pojechał do Noisy.

— Skąd wiesz o tym?

— Ach, do pioruna! nie trzeba do tego wiele sprytu. Poznałem, że ten koń należy do rzeźnika, który go czasem wynajmuje panu Bazin. Pomyślałem, że rzeźnik nie wynająłby konia, gdyby nie wiedział, dokąd go prowadzą, chociaż jest pewny, że pan Bazin nie ukradłby mu go.

— Odpowiedział ci, że pan Bazin...

— Udał się do Noisy. A zresztą, zdaje się, że to jest w jego zwyczaju. Jeździ tam trzy razy na tydzień.

— Czy jest jaki klasztor w Noisy?

— I jaki jeszcze, klasztor jezuitów!

— Dobrze — pomyślał d'Artagnan — już nie ma wątpliwości.

— A więc jesteście zadowoleni.

— Tak. Jak się nazywasz, malcze?

— Friquet.

D'Artagnan wziął pugilares, zapisał nazwisko chłopca i adres szynku.

— Panie oficerze — powiedział chłopiec — czy można znowu zarobić pół pistola? .

— Może — odrzekł oficer.

I ponieważ dowiedział się tego, co chciał wiedzieć, zapłacił za hypokras, którego nie wypił, i żwawo udał się na ulicę Tiquetonne.

VIII

JAK D'ARTAGNAN, SZUKAJĄC ARAMISA BARDZO DALEKO, SPOSTRZEGL, ŻE SIEDZI ON NA KONIU ZA PLANCHETEM

D'Artagnan, powróciwszy do domu, zastał jakiegoś człowieka przed kominkiem; był to Planchet, ale Planchet tak zmieniony przez ubiór, że nawet d'Artagnan z trudnością go poznał.

Magdalena przedstawiła mu go wobec całej służby; Planchet odezwał się do oficera po flamandzku, oficer odpowiedział mu kilka wyrazów, które do żadnego nie należały języka, i ugoda została zawarta. Brat Magdaleny wszedł na służbę d'Artagnana.

D'Artagnan za dnia nie chciał przybyć do Noisy, obawiając się, żeby go nie poznano. Miał więc dosyć czasu, gdyż Noisy znajdowało się o cztery mile od Paryża na drodze do Meaux.

Najprzód zjadł dobre śniadanie, potem zmienił ubranie obawiając się, żeby jego ubiór porucznika muszkietierów nie wzbudził nieufności; następnie wziął najostrzejszą i najlepszą szpadę, którą brał tylko w razie wielkich wypadków; koło godziny drugiej kazał osiodłać dwa konie i w towarzystwie Plancheta wyjechał przez rogatki Villette. W sąsiednim domu ciągle jeszcze starannie poszukiwano Plancheta.

O półtorej mili od Paryża spostrzegł d'Artagnan, że wskutek niecierpliwości wyruszył za wcześnie, zatrzymał się przeto w pierwszej oberży, w której znajdowało się pełno ludzi podejrzaney powierzchowności, szykujących się, jak się zdawało, do jakiejś nocnej wyprawy. Człowiek odziany w płaszcz ukazał się w drzwiach, ale spostrzegłszy nieznanomego, dął znak ręką i dwóch pijących wyszło, żeby się z nim rozmówić.

D'Artagnan przez ten czas zbliżył się od niechcienia do gospodyni i chwalił wino, które było bardzo złe; zaczął ją wypytywać o Noisy i dowiedział się, że w tym mieście znajdowały się tylko dwa okazałe domy: jeden należał do arcybiskupa paryskiego i w nim mieszkała jego siostrzenica, księżna de Longueville, drugi — był to klasztor jezuitów, który od dawna był własnością tych zacnych ojców.

O czwartej wyruszył d'Artagnan w dalszą drogę, posuwając się zwolna, gdyż chciał przybyć późnym wieczorem.

Planchet zbliżył się do niego i powiedział:

— Założę się, panie, że myślicie o tym samym co ja.

— Wątpię bardzo — odparł z uśmiechem d'Artagnan — ale o czymże ty myślisz?

— Myślę, panie, o tych ludziach podejrzaney powierzchowności, którzy pili w tej oberży, w której myśmy się zatrzymali.

— Zawsze jesteś rozsądny, Planchet.

— To jest, panie, instynkt.

— No, cóż ci mówi instynkt w tej okoliczności?

— Mój instynkt mówi mi, że ci ludzie znajdowali się w oberży w jakichś niegodziwych zamiarach, i rozmyślałem nad tym, co mi instynkt mówił, w najciemniejszym kącie stajni, gdy wtem człowiek, odziany płaszczem, wszedł do tejże samej stajni, a za nim dwóch innych.

— Ach, ach! — zawołał d'Artagnan, opowiadanie Plancheta zgadzało się z jego spostrzeżeniami. — I cóż?

— Jeden z tych ludzi mówił:

— „On pewnie znajduje się w Noisy albo tam przybędzie dziś wieczorem, gdyż poznałem jego służącego.

— Czy jesteś pewny? — zapytał człowiek w płaszczu.

— Tak, mości książę”.

— Książę? — przerwał d'Artagnan.

— Tak, książę.. Ale słuchajcie.

— „Jeśli tam jest — powiedział drugi — co nam czynić wypada?.

— Co czynić? — powtórzył książę.

— Tak. On nie pozwoli łatwo ująć się, użyje szpady.

— W takim razie trzeba będzie czynić tak jak on. Czy macie powróż do związania mu rąk i knebel do włożenia w usta?

— Mamy to wszystko. . .

— Uważajcie, bo on będzie przebrany za kawalera.

— Bądź spokojny, panie.

— Ja będę przy tym sarn, będę kierować sprawą.

— Ręczycie za wynik?

— Ręczę za wszystko — powiedział książę;

— Dobrze, uczynimy, co tylko będzie w naszej mocy. — I po tych słowach wyszli ze stajni.

— I cóż to nas może obchodzić? — zapytał d'Artagnan. — Jest to jedna z tych wypraw, które się codziennie przedsiębiorze.

— I jesteście pewni, że ona nie przeciw nam jest skierowana?

— Przeciw nam? Dlaczego?

— Hm! przypomnijcie sobie ich słowa! „Poznałem jego służącego”, powiedział jeden z nich; to bardzo mogłoby stosować się do mnie.

— I cóż dalej?

— „On pewnie znajduje się w Noisy albo tam dziś wieczór przybędzie”, powiedział drugi; to bardzo mogłoby stosować się do was;.

— Potem?

— Potem książę powiedział: „Pamiętajcie o tym, że według wszelkiego prawdopodobieństwa przebrany będzie za kawalera”, a jak się zdaje, to nie zostawia wątpliwości, ponieważ . wy jesteście przebrani za kawalera, a nie za oficera muszkietarów. I cóż sądzicie o tym, panie?

— Niestety! kochany Planchet — powiedział d'Artagnan wydając westchnienie — powiem, że na nieszczęście minęły te czasy, kiedy książęta chcieli mnie zabijać. Były to szczęśliwe czasy. Bądź spokojny, ci ludzie nie nas mają na myśli.

— Czy pan jest tego pewny? — Ręczę za to.

— Me mówmy więc o tym. I Planchet wrócił na swoje miejsce z tą najwyższą ufnością, jaką zawsze miał dla swego pana i której piętnaście lat rozłąki bynajmniej nie zmniejszyło.

Gdy przejechali w ten sposób blisko milę, Planchet zbliżył się znowu do d'Artagnana.

— Panie — powiedział.

— Czego chcesz?

— Spójrzycie w tę stronę, czy nie widzicie pośród nocy czegoś na kształt cieni? Słuchajcie, zdaje mi się, że słyszę tętent koni.

— Nie podobna — rzekł d'Artagnan — ziemia rozmiękła od deszczu; ale zdaje mi się, że także widzę cienie.

Zatrzymał się chcąc patrzeć i słuchać.

— Jeśli nie słyhać tętentu, to przynajmniej słyhać rzenie koni: posłuchajcie.

Istotnie, rzenie koni, przedzierając się wśród nocnej ciemności, obilo się o uszy d'Artagnana.

— Są to ci sami ludzie — powiedział — ale to nas obchodzić nie powinno, jedźmy więc dalej. — I puścili się w dalszą drogę.

Około godziny dziewiątej wieczorem dojechali do pierwszych domów Noisy.

Stosownie do wiejskich zwyczajów wszyscy już spali i w całej wsi nie błyszczało ani jedno światło.

W środku wsi, panując nad głównym placem wznosiła się masa ponura, na przodzie której odwieczne lipy wyciągały swoje obnażone z liści ramiona. D'Artagnan z uwagą przypatrywał się budynkowi.

— To — powiedział do Plancheta — to jest zapewne pałac arcybiskupa, mieszkanie pięknej pani de Longueville. Ale gdzie jest klasztor?

— Klasztor? — powtórzył Planchet. — Na drugim końcu wsi. Znam go dobrze.

— Planchet, biegnij naprzód i powiedz mi, Czy które z okien jezuitów jest oświetlone.

Planchet usłuchał rozkazu i oddalił się wśród ciemności. D'Artagnan zsiadł tymczasem z konia i przymocował popręg.

Za pięć minut Planchet powrócił.

— Jedno tylko okno, panie, jest oświetlone i to od strony pola.

— Hm! — powiedział d'Artagnan — gdybym był frondystą, zapukałbym do tego domu i znalazłbym doskonały przytułek; gdybym był mnichem, zapukałbym do klasztoru i dostałbym dobrą wieczerzę, gdy tymczasem między klasztorem i pałacem spać będziemy pod gołym niebem, umierając z głodu i pragnienia.

— Tak — dodał Planchet — można tego być pewnym. Ale tymczasem chcecie, żebyśmy zapukał?

— Cyt! — powiedział d'Artagnan — światło w jednym oknie zgasło.

— Czy słyszycie, panie? — zapytał Planchet.

— W istocie, co znaczy ten hałas?

Istotnie dał się słyszeć odgłos podobny do odgłosu nadchodzącej burzy. W tej samej chwili dwa oddziały kawalerii, każdy z dziesięciu jeźdźców złożony, wybiegły z dwóch uliczek okrążających pałac i zamknęły wyjście d'Artagnanowi.

— O! — zawołał d'Artagnan dobywając szpady i kryjąc się za swego konia w tym czasie, kiedy Planchet wykonywał tenże sam manewr. — Miałżebyś odgadnąć? Czy oni istotnie z nami chcą mieć do czynienia?

— Oto jest, mamy go! — zawołali jeźdźcy rzucając się z obnażoną szpadą na d'Artagnana.

— Nie puszczajcie go! — ozwał się donośny głos.

— Bądźcie spokojni, panie!

D'Artagnan pomyślał, że nadeszła chwila wmieszania się do rozmowy.

— Hola! panowie — zawołał swoim gaskońskim dialektem — czego chcecie?

— Dowiesz się potem — ryknęli jeźdźcy.

— Wstrzymajcie się, wstrzymajcie — zawołał ten, który zdawał się dowodzić — wstrzymajcie się, to nie jego głos.

— Panowie — mówił d'Artagnan. — Zdaje się, że wścieklizna panuje w Noisy. Strzeżcie się! Pierwszy, który się zbliży na długość mojej szpady, a mam długą szpadę, będzie tego żałował.

Dowódca zbliżył się.

— Co tu robicie? — zapytał wyniosłym głosem, jak gdyby przywykł do rozkazywania.

— A wy co tu robicie? — odparł d'Artagnan.

— Bądźcie grzeczny, bo was każę porządnie przetrzepać.

— Nie chcecie wymienić swego nazwiska, gdyż przewodzicie zasadzce — powiedział d'Artagnan — ale ja, który

spokojnie podróżuję z moim służącym, nie mam tych samych co wy powodów do ukrywania mojego nazwiska.

— Dostyc, dostyc, jak się nazywacie?

— Powiem wam moje nazwisko, żebyście wiedzieli, gdzie mnie znaleźć — powiedział Gaskończyk, który nie chciał, żeby się zdawało, że uległ groźbie. — Czy znacie pana d'Artagnan?

— Porucznika muszkietierów królewskich?

— Jego samego.

— Tak, bez wątpienia.

— Słyszeliście zapewne — mówił dalej Gaskończyk — że ten d'Artagnan ma silne ramię.

— Jesteście panem d'Artagnan?

— Jestem nim.

— A więc przybyliście bronić go.

— Kogo? .

— Tego, którego szukamy.

— Zdaje się — znów zaczął d'Artagnan — że przybywając do Noisy, przybyłem do państwa zagadek.

— Odpowiedzcie — powiedział tenże sam wyniosły głos. — Czy go czekacie przy tych oknach? Czyście przybyli do Noisy, żeby go bronić?

— Nie czekam na nikogo — odpowiedział d'Artagnan zaczynając niecierpliwie się — nie bronię nikogo oprócz siebie,

ale siebie bronić będę skutecznie, o tym was uprzedzam. —W takim razie oddalcie się 'i zostawcie nas samych.

— Oddalić się stąd — powiedział d'Artagnan, któremu ta propozycja mieszała szyki — to nie tak łatwo z tego powodu, że ja i mój koń jesteśmy nadzwyczajnie utrudzeni, jeśli jednak dacie mi wieszczę i dobre łóżko w okolicy... .

— Łotrze!

— E, panie! — powiedział d'Artagnan — oszczędzajcie wyrazów, bo jeśli jeden jeszcze usłyszę taki jak ten, przysięgam

wam, że pożałujecie tego.

— No, nie można się mylić — powiedział wódz — to Gaskończyk mówi, a więc nie jest tym, którego szukamy. Dziś nam się nie udało, oddaliśmy się. Zobaczymy się, panie d'Artagnan — mówił dalej dowódca tonem wyniosłym..

— Tak, ale nigdy z tą przewagą, jaką dziś macie nade mną, bo może, kiedy się powtórnie zobaczymy, będziecie sami

i śród dnia.

— Dobrze, dobrze, w drogę, panowie.

I oddział szmerząc i złorzecząc zniknął pośród ciemności, wracając w stronę Paryża.

D'Artagnan i Planchet włożyli szpady do pochwy.

— Widzisz, głupcze — spokojnie powiedział d'Artagnan — że nie z nami spotkać się chcieli.

— Z kimże więc? — zapytał Planchet.

— Na honor, nie wiem i mało mnie to obchodzi. Teraz chcę dostać się do klasztoru jezuitów. Na koń, pojedziemy tam i zapukamy, przecież nas nie zjedzą.

D'Artagnan wskoczył na siodło.

Planchet chciał zrobić to samo, gdy wtem ciężar niespodziany upadł za nim na konia, który się ugiął.

— Panie — zawołał Planchet — za mną ktoś siedzi. D'Artagnan odwrócił się i w istocie spostrzegł dwóch ludzi

na jednym koniu.

— Czy nas diabeł prześladowuje! — zawołał d'Artagnan dobywając szpady w zamiarze uderzenia na przybysza.

— Nie, kochany d'Artagnan — powiedział ten, do którego stosowały się te wyrazy. — to nie diabeł, to ja, Aramis. Galopem, Planchet, a na końcu wsi zwrócić się na lewo.

I Planchet wioząc za sobą Aramisa puścił się galopem, za nim jechał d'Artagnan, który zaczął przypuszczać; że to jakiś sen fantastyczny.

IX

OPAT D'HERBLAY

Przy końcu wsi Planchet zawrócił na lewo, stosownie do rozkazu Aramisa, i zatrzymał się pod oświetlonym oknem. Aramis zeskoczył z konia i trzy razy klasnął w ręce. Okno natychmiast otworzyło się i spuściła się sznurowa drabina.

— Kochany d'Artagnan — powiedział Aramis — jeżeli chcesz wejść, będę bardzo szczęśliwy.

— A więc tak wchodzi się do ciebie? — powiedział d'Artagnan.

— Po dziewiątej wieczorem, do pioruna, nie można inaczej — odpowiedział Aramis.

— Wybacz, kochany przyjacielu — rzekł d'Artagnan — ale zdaje mi się, żeś powiedział „do pioruna!”

— Tak myślisz! — powiedział Aramis śmiejąc się — nie możesz sobie wyobrazić, kochany przyjacielu, jakich złych nałogów nabiera się w tych murach. Czemu nie wchodzisz?

— Idź naprzód, wejdę za tobą. Jak mówił nieboszczyk kardynał do nieboszczyka króla: „Żeby wam pokazać drogę, najjaśniejszy panie”.

I Aramis lekko wszedł na drabinę, i za chwilę dosięgnął okna.

D'Artagnan wszedł za nim, ale wolniej; łatwo dostrzec można było, że nie był tak dobrze obeznany z tym sposobem wchodzenia jak jego przyjaciel.

— Wybacz. — powiedział Aramis widząc jego niezręczność — gdybym był wiedział o tym szczęściu, że masz mnie odwiedzić, byłbym kazał przynieść drabinę ogrodnika. Ale dla mnie ta jest wystarczająca.

— Panie — powiedział Planchet widząc swojego pana u celu tej szczególnej podróży — ten sposób wchodzenia jest dobry dla pana Aramisa, jest również dobry dla was, może i mnie by się przydał, ale nasze konie nie mogą wejść na drabinę.

— Zaprowadź je pod tę szopę — powiedział Aramis, pokazując mu budynek wznoszący się na równinie — tam znajdziesz słomę dla nich.

— A dla mnie? — zapytał Planchet.

— Przyjdiesz pod to okno, trzy razy klaśniesz w ręce, a podamy ci posiłek, bądź spokojny, tu się z głodu nie umiera.

Aramis wciągnął drabinę i zamknął okno.

D'Artagnan oglądał pokój.

Nigdy nie widział pokoju bardziej żołnierskiego, a zarazem bardziej wykwintnego. W każdym rogu wisiała zdobyta na nieprzyjacielu broń; cztery wielkie obrazy przedstawiały kardynała de Lorraine, kardynała Richelieu, kardynała Lavalette i arcybiskupa Bordeaux, wszystkich w wojennych ubiorach. Nic nie świadczyło o tym, że to jest mieszkanie duchownego; obicia były adamaszkowe, kobierce z Alencon, a szczególnie łóżko bardziej podobne było do łóżka ładnej kobietki aniżeli do łoża dawnego muszkietera.

— Patrzysz na moje gniazdo — powiedział Aramis — wszak dosyć wygodne. Ale czego tak oglądasz się na wszystkie strony?

— Szukam tego, kto ci rzucił drabinę, nie widzę nikogo, a jednak drabina nie wypadła sama.

— Nie, Bazin ją wyrzucił.

— Ach! — zawołał d'Artagnan.

— Ale — mówił dalej Aramis — pan Bazin jest to człowiek bardzo dobrze wychowany, który widząc, że nie sam powracam, usunął się przez delikatność. Usiądź, przyjacielu, pomówimy.

Aramis podsunął d'Artagnanowi szeroki fotel.

— Zjesz ze mną wieczerę, prawda? — powiedział Aramis.

— Jeżeli chcesz, to i owszem — powiedział d'Artagnan — i to z największą przyjemnością; droga wznieciła we mnie diabelny apetyt.

— Mój kochany przyjacielu, znajdziesz u mnie bardzo skromny posiłek, nie spodziewałem się ciebie bynajmniej.

— Czy jestem zagrożony omletem, takim jak w Crèvecoeur?

— Spodziewać się należy — powiedział Aramis — że przy pomocy Boga i Bazina znajdziemy coś pożywniejszego w spiżarni zacnych ojców jezuitów. Bazin, mój przyjacielu — zawołał Aramis — Bazin, chodźże tutaj.

Drzwi się otworzyły i Bazin ukazał się, ale spostrzegłszy d'Artagnana wydał okrzyk rozpaczy.

— Mój kochany Bazin — powiedział d'Artagnan — bardzo miło mi widzieć, jak bezczelnie kłamiesz, nawet w kościele.

— Panie — powiedział Bazin — dowiedziałem się od zacnych ojców jezuitów, że wolno jest kłamać, kiedy się kłamie w dobrych zamiarach.

— Dobrze, dobrze, Bazin, d'Artagnan umiera z głodu i ja także, daj nam wieczerę i dobrego wina.

Bazin skłonił się na znak posłuszeństwa, wydał głębokie westchnienie i wyszedł.

— Teraz, kiedy jesteśmy sami, kochany Aramisie — powiedział d'Artagnan spoglądając po pokoju — powiedz mi, skąd' przybyłeś; kiedyś wsiadł na konia za Planchetem.

— Do pioruna! widzisz, że z nieba.

— Z nieba? — powtórzył d'Artagnan potrząsając głową — nie zdaje mi się.

— Mój przyjacielu — rzekł Aramis z miną zarozumialca, jakiej nigdy nie miał w czasach, gdy znajdował się w muszkietkach — jeśli nie przybyłem z nieba, to przynajmniej wyszedłem z raju, co jest nadzwyczaj podobne jedno do drugiego.

— Teraz rozumiem — powiedział d'Artagnan — że aż do dziś uczeni nie mogli oznaczyć miejsca raju! Jedni mówili, że

znajduje się na górze Ararat, drudzy, że między Eufratem a Tygrysem; zdaje się, że go szukano bardzo daleko, a on znajdował się bardzo blisko. Raj jest w Noisy, w pałacu arcybiskupa. Wychodzi się z niego nie drzwiami, ale oknem: nie po marmurowych schodach przedsionka, ale po gałęziach lipy, anioł z mieczem ognistym, który go strzeże, zmienił swoje niebiańskie imię Gabriel, na imię ziemskie, na imię księcia de Marsillac.

Aramis wybuchnął śmiechem.

Bazin, który 'właśnie wchodził w tej chwili, podniósł do góry dwie ręce, a w nich dwie butelki wina.

— Czy jesteś już gotów?

— Zaraz, panie — odrzekł Bazin — potrzebowałem dosyć czasu, ażeby...

— Gdyż zawsze ci się zdaje, że masz na sobie ubiór zakrystiana — przerwał Aramis — i ciągle czytasz brewiarz.

Uprzedzam cię, jeżeli czyszcząc wszystkie narzędzia kościelne zapomnisz polerować mojej szpady, każe cię upiec.

Bazin przerażony przeżegnał się butelką, d'Artagnan zaś zdziwiony obejściem i tonem swego przyjaciela, które tak były sprzeczne z obejściem muszkietera Aramisa, stał osłupiały, przypatrując się i nie mogąc uwierzyć.

Bazin żwawo przykrył stół białym obrusem, a na nim rozstawił tyle rzeczy złożonych, woniejących, apetycznych, że d'Artagnan nie mógł wyjść z podziwu.

— Czy spodziewałeś się kogo? — zapytał d'Artagnan.

— Zawsze jestem przygotowany, a zresztą wiedziałem, że mnie szukasz.

— Od kogo się dowiedziałeś?

— Przez Bazina, który cię wziął za diabła i przybiegł zawiadomić mnie o grożącym duszy mojej niebezpieczeństwie, jeżeli znów znajdę się w tak złym towarzystwie, jak. towarzystwo porucznika muszkietarów.

— O, panie! — powiedział Bazin składając ręce.

— No wiesz, że nie lubię hipokryzji. Lepiej zrobisz, gdy otworzysz okno i podasz chleb, wino i kurczę swemu przyjacielowi. Planchetowi, który już od godziny klaszcze w ręce.

W istocie Planchet, który dał słomy i owsa koniom, przyszedł pod okno i powtórzył kilkakrotnie znak umówiony.

Bazin usłuchał rozkazu, uwiązał na sznurku trzy żądane przedmioty i spuścił je Planchetowi, który nie żądając nic więcej, usunął się pod szopę.

— Teraz wieczierzajmy — rzekł Aramis.

Dwaj przyjaciele zasiedli do stołu i Aramis zaczął rozbierać pularcę, kuropatwy i szynkę z rzeczywicie gastronomiczną zręcznością.

— Do pioruna! — zawołał d'Artagnan — pięknie sobie żyjesz.

— Tak, dosyć dobrze. Na post mam dyspensę, którą mi wyjednał koadiutor, z powodu mego zdrowia, a oprócz tego wziąłem za kucharza tego, który służył u Lafallone'a, najslawniejszego żarłoka epoki, który zawsze taką odmawiał modlitwę po. obiedzie: „Boże! dozwól mi dobrze to strawić, co tak dobrze zjadłem”.

— Co mu jednak nie przeszkodziło umrzeć z niestrawności — rzekł śmiejąc się d'Artagnan.

— Cóż chcesz — odparł Aramis — nikt nie uniknie swego przeznaczenia.

— Ale wybacz mi pytanie, które zadać ci chciałem — zaczął d'Artagnan.

— Jesteśmy przecie przyjaciółmi.

— Więc z bogaciłeś się?

— O, nie! zarabiam dwanaście tysięcy liwrow na rok nie licząc małego beneficium danego mi przez księcia, które mi przynosi z tysiąc talarów.

— Jakimże sposobem zarabiasz te dwanaście tysięcy liwrow — zapytał d'Artagnan — czy pisząc poematy?

— Nie, wyrzekłem się poezji, oprócz wesołych śpiewek, pięknych sonetów i niewinnych epigramów: Mój przyjacielu, piszę kazania.

— Jak to kazania?

— Kazania, cudowne!

— Które wygłaszasz?

— Nie, które sprzedaję.

— Komu?

— Tym, którzy pragną być wielkimi kaznodziejami. — Jak to, a sam nie chciałeś osiągnąć tej sławy?

— Wolę pieniądze. Bazin, podaj nam wino hiszpańskie i udaj się do twego pokoju, gdyż pan d'Artagnan chce zapewne powiedzieć mi coś w tajemnicy.

D'Artagnan przytwierdził, po czym Bazin oddalił się, postawiwszy na stole wino.

Dwaj przyjaciele zostawszy sami, przez chwilę milczeli. Aramis, wydawało się, oczekiwał miłego trawienia. D'Artagnan przygotowywał przemówienie. Każdy z nich rzucał na drugiego ukradkowe spojrzenie.

X

DWAJ GASPARDOWIE

— Czyś też sobie wspominał, kochany Aramisie, te piękne dni naszej młodości, które minęły w zabawie, śmiechu i bitwach?

— I nieraz ich żałowałem. Były to szczęśliwe czasy. Delectabile tempus!

— Te piękne dni mogą się odrodzić, te piękne czasy mogą wrócić! Otrzymałem polecenie szukania moich towarzyszy i chciałem zacząć od ciebie, który byłeś duszą naszego towarzystwa.

Aramis skłonił się bardziej z grzeczności aniżeli ze wzruszenia.

— Miałbym mieszać się do polityki? — powiedział suchym głosem, rozpierając się w fotelu; Ach! kochany d'Artagnan, patrz, jak ja żyję spokojnie i wygodnie. Wiesz, że spotkała nas wielka niewdzięczność.

— To prawda — odpowiedział d'Artagnan — ale może wielcy żałują swej niewdzięczności.

— W takim razie to byłoby co innego. A zresztą, gdybyśmy tylko mieli chęć, teraz byłaby właściwa pora po temu.

— Skąd o tym wiesz, kiedy nie zajmujesz się polityką?

— Nie zajmuję się nią osobiście, ale żyję w świecie, w którym się nią zajmują. Trudniąc się poezją, zajmując miłością, wszedłem w stosunki z panem de Sarrasin, który należy do stronnictwa pana de Conti, z panem de Voiture, który należy do stronnictwa koadiutora, i z panem de Bois-Robert, który nie należy do żadnego albo do wszystkich. Stąd więc jestem świadomy wszystkiego.

— Domyślałem się tego — rzekł d'Artagnan.

— A potem, mój przyjacielu, uważaj mnie za echo. powtarzające to tylko, co usłyszało — mówił dalej Aramis. — Słyszałem, że w tej chwili kardynał Mazarini jest bardzo niespokojny. Zdaje się, że nie chcą go słuchać, jak niegdyś słuchali nieboszczyka kardynała, gdyż przyznać należy, że to był wielki człowiek.

— Nie będę zaprzeczał, on to zrobił mnie porucznikiem.

— Moja pierwsza opinia była za kardynałem, bo chociaż go nienawidzą, jednak siłą geniuszu potrafi triumfować nad swymi nieprzyjaciółmi. Takie było moje pierwsze zdanie, ale ponieważ jestem bardzo nieświadomy w tym przedmiocie, a -pokora nie dozwala mi polegać na własnym zdaniu, żądałem przeto objaśnień. Mój przyjacielu, dowiedz się, że... Aramis zatrzymał się..

— Że?... — zapytał d'Artagnan..

— Muszę upokorzyć mą dumę — rzekł Aramis — i wyznać, że się omylił.

— Doprawdy?

— Tak, wypytywałem się i otrzymałem odpowiedź od rozmaitych osób o różnych poglądach, że Mazarini nie jest geniuszem.

— Ba! — zawołał d'Artagnan.

— Jest to marny człowiek, który był służącym u kardynała Bentivoglio, który wyrósł przy pomocy intrygi. Jest to człowiek bez imienia. Nazbiera on dużo talarów, nadweręży dochody królewskie, sobie płacić będzie wszystkie pensje, które kardynał Richelieu płacił innym. Zdaje się oprócz tego, że nie jest szlachcicem ani z obojścia, ani z serca. Gzy znasz go? Ja, nie.

— Masz słuszność — powiedział d'Artagnan — w tym, co mi mówisz, jest cokolwiek prawdy.

— A więc jestem bardzo dumny, że mogę być jednego z tobą zdania.

— Ale nie mówisz o nim samym, o jego partii i stosunkach. — To prawda. Ma za sobą królową. — To cokolwiek znaczy, jak mi się zdaje.

— Ale nie ma za sobą króla.

— To dziecię.

— Które za cztery lata będzie pełnoletnie.

— Mówimy o terażniejszości.

— Ale, nie o przyszłości. A jeszcze do tego: w terażniejszości nie ma za sobą ani parlamentu, ani ludu, to znaczy nie ma pieniędzy. Nie ma za sobą ani książąt, ani szlachty, to znaczy nie ma szpady.

D'Axtagnan potarł sobie czoło. Musiał przyznać przed sobą samym, że to, co mówił Aramis, było gruntownie przemyślane.

— Słuchaj, mój biedny przyjacielu, zawsze patrzę przenikliwie. Może źle czynię, że mówię do ciebie tak otwarcie, bo zdaje mi się, że skłaniasz się na stronę Mazariniego.

— Ja! — zawołał d'Artagnan — ja bynajmniej.

— Mówiłeś o posłannictwie.

— Mówiłem? W takim razie źle uczyniłem. Nie, powiedziałem sobie tylko jak ty: że sprawy wikłają się. Byliśmy czterema walecznymi rycerzami, posiadaliśmy cztery serca silnie związane, złączmy na nowo nie serca, bo te nigdy rozłączone nie były, ale złączmy los i odwagę.

— Masz słuszość, d'Artagnan — mówił dalej Aramis — a dowód, że miałem tę samą myśl co ty, z tą tylko różnicą, że nie mając twojej płodnej wyobraźni, nie powziąłem jej, ale mi ją poddano; dziś wszyscy potrzebują pomocników, czyniono mi propozycję, wzmiankowano cokolwiek o naszych dawnych wyprawach i wyznam ci otwarcie, że koadiutor mówił mi o tym.

— Pan de Gondy, nieprzyjaciel kardynała — zawołał d'Artagnan.

— Nie, przyjaciel króla — powiedział Aramis — przyjaciel króla! Szło więc o to, żeby służyć królowi, to jest obowiązek szlachcica.

— Ale król z Mazarinim, mój przyjacielu.

— Z czynu, nie zaś z chęci; z pozoru, nie z serca i to są właśnie sidła, jakie zastawiają nieprzyjaciele króla na biedne dziecko.

— Ależ, kochany Aramisie, proponujesz mi po prostu wojnę domową.

— Wojnę za króla.

— Ależ król będzie na czele armii, gdzie będzie kardynał.

— Ale sercem będzie tam, gdzie będzie pan de Beaufort.

— Pan de Beaufort jest w Vincennes,

— Pan de Beaufort lub ktokolwiek bądź inny: pan de Beaufort lub książę.

— Ale książę udaje się do armii i jest zupełnie oddany kardynałowi.

— Toczą się właśnie w tej chwili między nimi małe sprzeczki. Jeśli więc nie książę, to pan de Conti.

— Ależ pan de Conti ma zostać kardynałem; żądają dla niego kapelusza.

— Czy nie ma bardzo wojowniczych kardynałów? — zapytał Aramis. — Patrz, oto masz nad głową czterech kardynałów, którzy także wiele znaczyli na czele armii.

— Ależ generał garbaty!

— Pod pancerzem garbu widać nie będzie. A potem przypomnij sobie, że Aleksander był kulawy, a Hannibal jednooki.

— Czy wiele upatrujesz korzyści w tej partii? — zapytał d'Artagnan.

— Widzę w niej protekcję możnych książąt.

— Wszystko to mogłoby się stać, gdyby można rozłączyć króla z matką.

— Może się też to stanie.

— Nigdy! — zawołał d'Artagnan. — Odwołuję się do ciebie, Aramisie, do ciebie, który znasz Annę Austriacką tak dobrze jak ja. Mniemaszże, żeby ona mogła zapomnieć kiedykolwiek, że jej syn jest dla niej bezpieczeństwem, gwarancją poważania, majątku i życia? Należałoby, żeby przeszła na stronę książąt i opuściła Mazariniego: ale wiesz lepiej niż kto inny, jak ważne ma powody, żeby go nigdy nie porzucić.

— Może i masz słuszość — powiedział Aramis zamyślony — dlatego też nie wejść w stosunki...

— Z nimi, ale ze mną...

— Z nikim. Jestem duchownym, nie potrzebuję mieszać się do spraw politycznych i ręczę ci, że się w nie mieszać nie będę.

— Słuchaj, Aramisie — powiedział d'Artagnan — podoba mi się twoja filozofia i na honor, nie wiem, jaka u diabła mucha mnie ukąsiła; mam miejsce, które mię żywi! Mogę po śmierci pana Treville, który starzeje się, zostać kapitanem

muszkietarów: jest to dosyć dla biednego Gaskończyka; i czuję, że poprzestałbym na skromnym i spokojnym życiu; zamiast więc uganiać się za przygodami, przyjmę zaproszenie Portosa, pojedę polować w jego dobrach. Czy wiesz, że Portos ma dobra?

— Wiem dobrze. Pięć mil lasu, dom, pola, łąki; jest panem na górach i dolinach i procesuje się o prawa feudalne z biskupem w Noyon.

„Dobrze — powiedział d'Artagnan do siebie — właśnie o tym wiedzieć chciałem. Portos jest w Pikardii”. Potem dodał głośno: .

— I przybrał swoje dawne nazwisko, du Vallon.

— Do którego dodał de Bracieux, nazwę włości, która była baronią.

— A zatem ujrzymy Portosa baronem.

— Zapewne.

I dwaj przyjaciele głośno się roześmieli.

— Tak więc — zaczął znów d'Artagnan — nie chcesz przejść do Mazariniego?

— Ani ty do książąt?

— Nie. Nie przechodzimy zatem do nikogo i pozostaniemy przyjaciółmi.

— Tak — odrzekł Aramis — bądźmy muszkietarami.

— Nawet z tą małą tonsurą? — zapytał d'Artagnan.

— Szczególnie z tą małą tonsurą! — zawołał Aramis — to jest właśnie największa ponęta.

— A zatem do widzenia — rzekł d'Artagnan.

— Nie zatrzymuję cię — odrzekł Aramis — bo nie wiem, gdziebym cię mógł umieścić na noc.

— Och, przecież jestem zaledwie o trzy mile od Paryża, konie wypoczęły i za pół godziny będę w domu.

D'Artagnan nalał sobie ostatnią szklanekę wina.

— Za nasze dawne czasy! — zawołał.

— Tak, ale na nieszczęście te czasy już przeszły.

— Ba! — odparł d'Artagnan — może też powrócą. Jeślibyś mnie potrzebował, pamiętaj: ulica Tiquetonne, hotel „Pod Sarną”.

— A ja w klasztorze jezuitów, od szóstej z rana do ósmej wieczorem przez drzwi, od ósmej wieczorem do szóstej z rana przez okno.

— Bądź zdrow.

— Och, nie puszcze cię tak, pozwól się odprowadzić. To mówiąc, wziął szpadę i płaszcz.

„Chce być pewnym, że się oddalam” — pomyślał d'Artagnan.

Aramis gwizdnął na Bazina, ale Bazin spał w przedpokoju nad resztkami wieczerzy i trzeba było targnąć go za ucho, aby go zbudzić.

Bazin przeciągnął się, przetarł oczy i starał się usnąć na, nowo.

— Hej, panie śpiochu, prędko drabinę!

— Drabinę? — powtórzył Bazin. ziewnąwszy tak, że ledwo szczęka nie wyskoczyła mu z zawias — drabina została przy oknie.

— Ale ta druga, ogrodnika, czyż nie widziałeś, że d'Artagnan zaledwie zdołał dostać się na górę, a jeszcze trudniej będzie mu zejść.

D'Artagnan chciał go zapewnić, że zejdzie z łatwością, ale przyszła mu pewna myśl i zamilkł.

Bazin westchnął głęboko i poszedł po drabinę, i w chwilę potem mocna drabina przystawiona została do muru.

— Oto mi dobry środek komunikacji; kobieta mogłaby śmiało wejść po takiej drabinie.

Aramis bystrym spojrzeniem chciał przeniknąć myśl swego przyjaciela aż do głębi jego duszy, ale d'Artagnan wytrzymał to spojrzenie z cudowną naiwnością i w tej chwili stawiał nogę na pierwszym szczeblu drabiny, a za chwilę był już na dole.

Bazin został przy oknie.

— Zostań tu — rzekł Aramis — zaraz wrócę.

Obaj poszli ku stajni, skąd wyszedł Planchet trzymając za cugle dwa konie.

— Otóż to — rzekł Aramis — sługa czujny i pilny, nie tak jak ten próżniak Bazin. Idź za nami, Planchet, pójdę z wami aż do końca wsi.

Istotnie dwaj przyjaciele przeszli przez całą wieś, rozmawiając o rzeczach obojętnych. Kiedy dochodzili do ostatnich budynków, Aramis odezwał się:

— Dalej, mój przyjacielu, idź swoją drogą, fortuna uśmiecha się do ciebie, nie daj jej wymknąć się, pamiętaj, że jest jak kukułka, i obchodź się z nią odpowiednio. Co do mnie, pozostanę beczynny. Bądź zdrow!

— A więc niezmiennie — rzekł d'Artagnan — to, com ci przedstawiał, nie podoba ci się?

— To by mi się bardzo podobało — odrzekł Aramis — gdybym był takim człowiekiem jak inni. Jestem mieszaniną sprzeczności: to, czego dziś nienawidzę, mogę jutro uwielbiać i odwrotnie. Widzisz więc, że nie mogę zobowiązywać się tak jak ty, który jesteś stały.

„Kłamiesz — rzekł sam do siebie d'Artagnan — przeciwnie, ty najlepiej umiesz wybrać sobie cel i iść ku niemu skrycie”.

— Bądźże mi zdrow, mój kochany — mówił dalej Aramis — dziękuję ci za dobre chęci, a szczególnie za wspomnienia, jakie twoja obecność wzbudziła we mnie.

Uściskali się. Planchet już wskoczył na konia, d'Artagnan uczynił to samo, potem jeszcze podali sobie ręce po' przyjacielsku. Aramis stał nieporuszony, dopóki nie stracił ich z oczu.

Ale o dwieście kroków d'Artagnan zatrzymał się nagle, skoczył z konia, rzucił lejce Planchetowi, wydobyl pistolety z olstr i zatknął je za pas.

— Co to panu? — zapytał przerażony Planchet.

— Nic, ale niech nikt nie powie, że on mię na dudka wystrychnął. Zostań tu, usuń się na stronę i czekaj na mnie.

To rzekłszy d'Artagnan przeskoczył przez rów przy drodze i puścił się przez pola, tak aby obejść wioskę. Między domem, w którym mieszkała pani de Longueville, i klasztorem jezuitów była próżna przestrzeń otoczona tylko płotem.

Może godzinę wcześniej trudno było znaleźć ten płot, ale księżyc wznosił się już i chociaż niekiedy zakrywały go chmury, było na tyle widno, że można było widzieć drogę.

D'Artagnan podszedł do płotu i schował się za nim. Przechodząc koło domu, w którym odbyła się opisana wyżej scena, spostrzegł, że w tym samym oknie zabłysło światło. Był pewien, że Aramis nie wrócił jeszcze i nie miał sam powrócić. W istocie usłyszał po chwili stapanie i odgłos cichej rozmowy.

Przy początku płotu stapanie ustało, d'Artagnan przykląkł starając się ukryć jak najlepiej.

W tej chwili z wielkim zdziwieniem spostrzegł dwóch mężczyzn, ale to zdziwienie trwało krótko, bo wnet usłyszał słodki i dźwięczny głos i poznał, że jednym z tych mężczyzn była przebrana kobieta.

— Bądź spokojny, mój drogi — mówił głos kobiecy — już tego więcej nie będzie; odkryłam podziemie przechodzące pod drogą i będziesz mógł tamtędy bez trudności wchodzić i wychodzić.

— Och — powiedział drugi głos, w którym d'Artagnan poznał głos swego przyjaciela Aramisa — przysięgam ci, księżniczko, że gdyby twoja sława nie wymagała tych wszystkich ostrożności, gdyby tylko moje życie było narażone...

— Wiem, wiem, że jesteś śmiały i gardzisz niebezpieczeństwem, ale nie do mnie samej należysz, lecz do całego naszego stronnictwa, bądź więc roztropny i ostrożny.

— Zawsze jestem posłuszny — odpowiedział Aramis — kiedy mi rozkazuje głos tak słodki. .

I czule ucałował jej rękę.

— Ach! — zawołał głos kobiecy.

— Co to jest? — zapytał Aramis.

— Czyż nie widzisz, że wiatr porwał mój kapelusz? Aramis pobiegł za ulatującym kapeluszem, a d'Artagnan,

korzystając z tego, starał się znaleźć dziurę w płocie, aby się przyjrzeć drugiej osobie. Księżyc — równie może jak on ciekawy — wyjrzał właśnie zza chmury i d'Artagnan przy jego świetle poznał błękitne oczy, złote włosy i piękną postać księżny de Longueville.

Aramis powrócił, śmiejąc się, z jednym kapeluszem na głowie, a drugim w ręku i udał się z swoim towarzyszem ku klasztorowi jezuitów.

— Dobrze — rzekł do siebie d'Artagnan podnosząc się i otrzepując kolana — mam cię teraz, należysz do frondy i jesteś kochankiem pani de Longueville.

XI

PORTOS DU VALLON, PAN NA BRACIEUX I PIERREFONDS

Dzięki objaśnieniom otrzymanym od Aramisa, d'Artagnan wiedział już, że Portos miał rodowe prawdziwe nazwisko du Vallon, a teraz dowiedział się, że od swojej posiadłości nazwał się de Bracieux i miał proces z biskupem w Noyon.

A zatem w okolicy Noyon należało mu szukać tej posiadłości, to jest za granicą Ile-de-France i Pikardii.

Niezwłocznie ułożył sobie plan podróży: pojedzie do Damartin, gdzie schodzą się dwie drogi — jedna prowadzi do Soissons, druga do Compiègne; tam wypyta się o dobra de Bracieux i stosownie do odpowiedzi pojedzie dalej albo prosto, albo weźmie na lewo.

Planchet, który jeszcze nie był pewny, czy może bezpiecznie wrócić do swego domu, oświadczył, że pojedzie za d'Artagnanem choćby na koniec świata, bez względu, czy droga będzie w lewo, czy w prawo, prosił tylko swego pana, żeby jeździł wieczorem, albowiem ciemności były bezpieczniejsze. D'Artagnan radził mu, ażeby zawiadomił swoją żonę, co się z nim dzieje, w celu uspokojenia jej w tym względzie, ale Planchet bardzo rozsądnie odpowiedział, że żona jego nie umrze z niepokoju nie wiedząc, gdzie on się znajduje, natomiast gdyby ona знаła miejsce jego pobytu, on znając niepowściągliwość jej języka — co chwila umierałby z niepokoju.

Te powody zdawały się d'Artagnanowi tak słuszne, że nie należał więcej i około godziny ósmej wieczorem wyruszył z oberży „Pod Sarną”, i w towarzystwie Plancheta wyjechał z Paryża przez bramę St. Denis:

O północy dwaj podróżni przybyli do Damartin.

Już było za późno do zasięgnięcia wiadomości, oberżysta „Pod Łabędziem” już spał. D'Artagnan odłożył pytania do dnia następnego.

Nazajutrz kazał zawołać, gospodarza. Był to jeden z tych przebiegłych Normandczyków, którzy nie mówią ani tak, ani nie i którzy sądzą zawsze, że skompromitowaliby się odpowiadając wprost na zadawane pytania. Zaledwie domyślając się, że powinien udać się prosto tą drogą, którą tu przybył, ruszył d'Artagnan dalej. O godzinie dziewiątej z rana był w Nanteuil i tu zatrzymał się na śniadanie.

Tym razem gospodarzem oberży był otwarty, poczciwy Pikardyjczyk, który — poznawszy, że Planchet jest jego współziomkiem — bez trudu udzielił wszelkich żądanych wyjaśnień. Posiadłość de Bracieux była oddalona o parę mil od Villers-Cofferets.

D'Artagnan puścił się więc ku temu miastu i stanął w znajomej sobie oberży „Pod Złotym Delfinem”.

Tam dowiedział się, że posiadłość de Bracieux jest o cztery mile od tego miasta, ale że nie tam należało szukać Portosa. Portos miał istotnie zatargi z biskupem w Noyon (chodziło o ziemię Pierrefonds, graniczącą z jego posiadłościami). Znudzony tymi komplikacjami prawnymi, na których wcale się nie rozumiał, kupił posiadłość Pierrefonds i do dwóch dawnych nazwisk swoich dołączył jeszcze i to nowe. Nazywał się teraz du Vallon de Bracieux de Pierrefonds i mieszkał w tej ostatniej posiadłości.

Trzeba było znowu czekać dnia następnego.

Ruszono w drogę o godzinie ósmej. Zbłądzić byłoby bardzo trudno, należało jechać wielką drogą z Villers-Cofferets do Compiègne i — wyjechawszy z lasu — skierować się na prawo.

Przy wyjściu z lasu spostrzegł d'Artagnan drogę, którą mu udać się kazano, a przy końcu jej wieżę ogromnego zamku feudalnego.

— Na mą duszę, panie — odezwał się Planchet — to śliczna majątność i pięknie utrzymana; jeśli należy do pana Portosa, szczerze mu tego winszuję.

— Do licha! — odpowiedział d'Artagnan — nie nazywaj go Portosem ani nawet du Vallon, nazywaj go de Bracieux albo de Pierrefonds, bo przez to mógłbym nie osiągnąć celu mojej podróży.

Im bardziej zbliżał się do zamku, tym więcej przekonywał się d'Artagnan, że jego przyjaciel nie może tu mieszkać; wieże, chociaż silnie zbudowane i jakby nowe, były otwarte i jakby opustoszałe, rzekłbyś, że jakiś olbrzym porąbał je siekierą.

Jadąc coraz dalej, spostrzegł d'Artagnan u stóp swoich piękną dolinę, w głębi której nad pięknym jeziorem drzymało kilkanaście domów tu i ówdzie rozproszonych, które zdawały się uznawać zwierzchnią władzę pięknego zamku, zbudowanego za czasów Henryka V. Tym razem d'Artagnan nie wątpił, że ma przed sobą posiadłość i dom Portosa.

W dziesięć minut później znalazł się d'Artagnan w alei symetrycznie wysadzonej pięknymi topolami, u której końca znajdowała się żelazna krata ze złożonymi ostrzami. W głębi alei na tłustym i ciężkim stępadku siedział pan ubrany na zielono 'ze złotym. Po prawej i po lewej ręce otaczali go lokaje wygalonowani od stóp do głów i mnóstwo pokornych postaci zdawało się składać mu hołdy uszanowania.

— Miałżeby to być pan du Vallon de Bracieux de Pierrefonds? — rzekł półgłosem d'Artagnan. — Do licha, jakże się skurczył od czasu, jak się nie nazywa Portosem.

— To nie może być on — odezwał się Planchet odpowiadając na słowa d'Artagnana. — Pan Portos miał blisko sześć stóp, a ten ledwie pięć.

— A jednak — rzekł znowu d'Artagnan — patrz, jak się nisko kłaniają temu jegomościowi.

To powiedziawszy dał d'Artagnan koniowi ostrogę, puszczając go ku gromadzie otaczającej ową znakomitą osobę.

— Jezus! Maria! panie! — zawołał Planchet, który także z swojej strony zdawał się poznawać zielonego jegomościa — czy podobna, żeby to był on!

Na ten wykrzyk ów jegomość obrócił się z wolna z miną bardzo szlachetną i dwaj podróżni mogli spostrzec zupełnie wyraźnie duże oczy, rumiane policzki i wymowny uśmiech Mousquetona.

W istocie był to Mousqueton tłusty jak słonina, błyszczący zdrowiem, który — poznając d'Artagnana — daleki od hipokryzji Bazina, zsunął się z swego stępaka na ziemię i z kapeluszem w rękę przybliżył się do naszego oficera.

— Pan d'Artagnan! pan d'Artagnan! — powtarzał Mousqueton pocąc się z radości. — Pan d'Artagnan! ach, co za radość dla mego pana i łaskawcy, pana du Vallon de Bracieux de Pierrefonds.

— Poczciwy Mousqueton! a więc twój pan jest tutaj?

— Znajdujesz się pan w jego posiadłościach.

— Ale jakżeś ty piękny, jaki tłusty, kwitnący — mówił dalej d'Artagnan, niezmordowanie wyliczając zmiany, jakie dobrobyt sprawił w dawnym zawsze głodnym Mousquetonie.

— Bogu dzięki, proszę pana — odpowiedział Mousqueton — mam się dość dobrze.

— Ale czemuż nie powitasz twego dawnego przyjaciela Plancheta?

— Co, Planchet! To jest Planchet? — zawołał Mousqueton wyciągając ręce ku towarzyszowi d'Artagnana, a lzy zabłyśły w jego dużych oczach.

— Ja sam — odpowiedział zawsze rozsądny Planchet — ale chciałem pierwej przekonać się, czy nie stałeś się dumny.

— Stać się dumnym względem starego przyjaciela? Nigdy, mój kochany. Tyś tak nie myślał albo nie znasz jeszcze Mousquetona.

— Tym lepiej — odrzekł Planchet zsiadając z konia i podając rękę Mousquetonowi — to nie tak jak ten łotr Bazin, który przez dwie godziny pozwolił mi nudzić się pod tą nędzną szopą, udając, że 'mnie nawet nie poznaje.

Planchet i Mousqueton uściskali się z czułością, która głęboko wzruszyła obecnych, sądzących, że Planchet musi być jakimś wielkim panem przebrany, kiedy Mousqueton, którego wysokie położenie szanowali, wita się z nim tak uprzejmie.

— A teraz, panie — odezwał się Mousqueton uwolniwszy się z uścisków Plancheta, który nadaremnie starał się objąć rękoma należycie okrągłą postać swego przyjaciela — a teraz, panie, pozwól mi oddalić się na chwilę, bo nie chciałbym, aby mój pan od kogo innego dowiedział się o pańskim przybyciu, nie przebaczyłby mi, gdybym się dał komu w tym względzie uprzedzić.

— Drogi mój przyjaciel! — zawołał d'Artagnan nie chcąc nazwać Portosa ani dawnym, ani nowym nazwiskiem — więc mnie nie zapomniał?

— Zapomnieć pana! — wykrzyknął Mousqueton — ach, mój Boże! nie było dnia, żebyśmy nie oczekiwali wiadomości, że pan został mianowany marszałkiem w miejsce pana de Gassion albo pana de Bassompierre.

D'Artagnan uśmiechnął się melancholijnie na tę uwagę pocziwego Mousquetona.

— A wy — mówił dalej ten ostatni — pozostanie przy panu hrabim d'Artagnan, a ja pójdę uwiadomić jego wysokość o przybyciu tak pożądanego gościa.

I z pomocą dwóch pocziwych wieśniaków dostawszy się na grzbiet swego konia Mousqueton puścił się do zamku drobnym truchtem, który dowodził, że zwierzę to posiada niepospolitą siłę. Planchet tymczasem, lżejszy od swego dawnego przyjaciela, bez niczyjej pomocy wskoczył na siodło.

— No, tu jakoś dobrze się zaczyna — rzekł d'Artagnan — nie ma tu ani tajemnic, ani polityki; tu śmieją się głośno, płaczą z radości, wszystkie twarze czerstwe i wesołe, nawet natura zdaje się obchodzić jakąś uroczystość.

— A mnie się zdaje — dodał Planchet — że stąd już czuję rozkoszną woń pieczeni, że widzę kuchcików stojących rzędem, aby nam się przypatrzeć w przejściu. Ach, panie! jakiegoż to kucharza musi mieć pan de Pierrefonds, który tak bardzo lubił smacznie zjeść, wtenczas nawet, kiedy się nazywał tylko pan Portos.

— Wiesz, ty mnie przestraszasz — odpowiedział d'Artagnan. — Jeśli rzeczywistość odpowiada pozorom — na nic moje zamiary. Człowiek tak szczęśliwy nie tak łatwo gotów będzie zrzec się swojego szczęścia i pewno nie lepiej mi się tu powiedzie niż u Aramis.

XII

D'ARTAGNAN PRZEKONAŁ SIĘ ODNALAZŁSZY PORTOSA, ŻE MAJĄTEK SZCZĘŚCIA NIE DAJE

W chwili gdy d'Artagnan zsiadł z konia, olbrzymia postać ukazała się na progu. Oddajmy sprawiedliwość d'Artagnanowi, że serce zabiło mu radośnie na jej widok.

Pobiegł do Portosa i rzucił się w jego objęcia. Cała liczna służba z pewnej odległości patrzyła z pełną uszanowania ciekawością. Mousqueton obcierał sobie oczy, bo od chwili gdy zobaczył d'Artagnana i Plancheta, nie przestał płakać z radości.

Portos wziął przyjaciela za rękę.

— Jakże cieszę się, że cię znów zobaczyłem, kochany d'Artagnan! — zawołał głosem, który z barytonu zmienił się na bas — więc nie zapomniałeś o mnie.

— Zapomnieć o tobie! ach, kochany du Vallon, można zapomnieć najpiękniejszych dni swojej młodości i swoich prawdziwych przyjaciół i niebezpieczeństw, na które się razem narażało? Kiedy cię widzę, nie ma jednej chwili z naszego dawnego pożycia, która by nie ożyła w pamięci mojej.

— Tak, tak — odrzekł Portos — mieliśmy piękne chwile w owym dobrym czasie; niemało daliśmy się we znaki temu biednemu kardynałowi.

I westchnął silnie. D'Artagnan bacznie mu się przypatrywał.

— Ale porzuciwszy przeszłość — mówił dalej Portos — witaj mi, kochany przyjacielu. Rad ci jestem szczerze. Dopomożesz mi odzyskać dawną wesołość. Będziemy jutro gonili zające po moich łąkach, które są prześliczne, albo zapolujemy

na samy w moich lasach, najpiękniejszych w całej okolicy. Mam cztery charty uważane za najszybsze w prowincji i sforę ogarów, jakich nie znajdziesz w całej Francji. I Portos westchnął drugi raz.

„Co to ma znaczyć — pomyślał d'Artagnan — czyżby mój dawny kolega nie był tak szczęśliwy, jak się wydaje?” Potem rzekł głośno:

— Ale przede wszystkim przedstawię cię pani du Vallon, bo przypominam sobie twój list z uprzejmym zaproszeniem, abym do ciebie przyjechał, w którym twoja żona raczyła kilka wyrazów dopisać.

Trzecie westchnienie Portosa.

— Straciłem moją żonę przed dwoma laty i dotąd jeszcze jestem niepokieszony z tego powodu; dlatego też, opuściłem mój zamek du Vallon i zamieszkałem w mojej majątności de Bracieux, wskutek czego musiałem kupić tę oto ziemię, gdzie teraz mieszkam. Biedna pani du Vallon! — mówił dalej Portos — nie była to kobieta zbyt zrównoważona, ale przyzwyczaiła się do mojego charakteru i mych kaprysów.

— A więc jesteś bogaty i wolny? — zawołał d'Artagnan.

— Niestety! — odrzekł Portos — jestem wdowcem i mam czterdzieści tysięcy liwów dochodu. Ale pójdźmy na śniadanie, jeśli jesteś głodny.

— I owszem — rzekł d'Artagnan — powietrze poranne wzmogło mój apetyt.

— O, tak, powietrze w moich dobrach jest doskonałe. Weszli do zamku; wszystko tam od podłogi do sufitu błyszczało od złota, gzymsy były złoczone, rzeźby złoczone, poręcze i nogi krzesel złoczone.

Stół zupełnie już zastawiony czekał na nich.

— Jak widzisz — odezwał się Portos — to moje zwyczajne nakrycie.

— Do licha! — odrzekł d'Artagnan — jest ci czego powinszować.

— Skosztuj kotletów, mój kochany d'Artagnan, to z moich własnych baranów.

- Twoje barany są bardzo delikatne; co za miękkość!
- Bo pasą się na moich łąkach, które są nieocenione.
- Dajże mi jeszcze parę kotletów.
- Nie, skosztuj lepiej tego zająca, którego ubiłem wczoraj w moim ogrodzie.
- Ach! co za smak wytworny! — zawołał d'Artagnan — zapewne żywią się samą macierzanką.
- A co myślisz o moim winie? — zapytał Portos — nieprawdaż, że przyjemne?
- Doskonałe!
- A jednak to jest wino miejscowe.
- Czy podobna?
- Tak, małe wzgórze na południe, z tamtej strony, daje mi kilkanaście beczek.
- A to porządna winnica.

Portos westchnął piąty raz; d'Artagnan bacznie liczył jego westchnienia.

— Hm, mój przyjacielu — rzekł pragnąc zgłębić tajemnicę tej zagadki — można by pomyśleć, że coś cię trapi, czy nie jesteś cierpiący? czy twoje zdrowie?...

— W najlepszym stanie, mój drogi, nigdy nie byłem zdrowszy i silniejszy, zaręczam, że jednym uderzeniem pięści zabiłbym wołu.

— A więc zmartwienie familijne?

— Familijne! na szczęście jestem sam jeden i nie mam żadnego krewnego na świecie.

— No, ależ nareszcie powiedz mi, co jest powodem twoich westchnień?

— Mój kochany — odpowiedział Portos — będę z tobą szczery; nie jestem szczęśliwy.

— Ty nie jesteś szczęśliwy, Portosie? Ty, który masz zamki, łąki, góry, lasy, ty nareszcie, który masz czterdzieści tysięcy liwrów rocznego dochodu, ty nie jesteś szczęśliwy?

— Mój kochany, mam to wszystko, to prawda, ale, pośród tego wszystkiego jestem sam.

— Aha, rozumiem! Masz dokoła sąsiadów do niczego, z którymi nie możesz przestawać, a tym bardziej przyjaźnić się.

Portos zbladł i wypił ogromną szklanicę swojego miejscowego wina.

— Nie, nie to, przeciwnie — rzekł po chwili — wystaw sobie, że to są szlachciurki, z których każdy ma jakiś tytuł i twierdzi, że pochodzi od Taramonda, Karola Wielkiego, a co najmniej od Hugona Kapeta. Z początku jako nowoprzybyły musiałem naturalnie Czynić pierwsze kroki; czyniłem je, ale ty wiesz, mój przyjacielu, że pani du Vallon...

Portos — mówiąc te słowa — zdawał się dusić z braku powietrza.

— Pani du Vallon — mówił nareszcie dalej po krótkiej przerwie — była bardzo godną kobietą, ale jej szlachectwo było nieco wątpliwe. Pierwszy jej mąż (sądzę, mój kochany d'Artagnan, że ci nic nowego nie powiem) był prokuratorem sądowym. Oni to ocenili za uwłaczające, nazywali nieprzyzwoitym. Za ten wyraz byłbym gotów zabić trzydzieści tysięcy ludzi. Zabiłem tylko dwóch, ale to wystarczyło i skłoniło innych do milczenia, ale nie uczyniło ich moimi przyjaciółmi. Nie mam żadnego towarzystwa, żyję sam, nudzę się, zatrujęm sobie życie.

D'Artagnan uśmiechnął się, spostrzegł najsłabsze miejsce i przygotował cios.

— W końcu — rzekł — jesteś wdowcem i twoja żona nie może ci już przeszkadzać.

— Tak, ale widzisz, nie pochodzę z szlachty historycznej, jak Coucy, który poprzestawał na tytule sire, i Rohanowie, którzy nie chcieli być książętami; dlatego więc wszyscy ci ludzie, będący wicehrabiami lub hrabiami, mają wyższość nade mną w kościele, przy uroczystościach, wszędzie, ja nie mogę nic przeciw temu powiedzieć... Ach! gdybym był przynajmniej...

— Baronem, nieprawdaż? — zawołał d'Artagnan dokończając wykrzyknik swego przyjaciela.

— Ach! — zawołał Portos, którego rysy zabłysły radością — ach! gdybym był baronem.

„Brawo! — pomyślał d'Artagnan — tu jestem pewny, że mi się mój zamiar uda”.

Potem rzekł głośno:

— Cóż ty na to powiesz, mój przyjacielu, że ja tu przybyłem umyślnie dlatego, aby ci ofiarować ten tytuł, którego tak bardzo pragniesz.

Portos skoczył z swego krzesła, tak że aż się cała sala zatrzęsała, dwie czy trzy butelki stojące na stole straciły równowagę i spadły na ziemię, rozbiły się w kawałki. Mousqueton przybiegł na odgłos tego upadku, a za nim w niejakiej odległości w sieni ukazał się Planchet z pełnymi ustami i serwetą w ręce. —

Tylko uprzedzić cię muszę, kochany przyjacielu, żebyś kiedy nie powiedział, że cię podszedł, ponieważ będziesz musiał bardzo zmienić tryb życia.

— Mianowicie?

— Wdziac na powrót pancerz, przypasać szpadę, gonić za awanturami, zostawić, jak to bywało dawniej, cokolwiek krwi swojej po drodze, wreszcie wiesz, jak to dawniej bywało.

— A, do licha! — zawołał Portos.

— Tak, tak, rozumiem, popsuleś się, kochany przyjacielu, utyłeś i ręka nie ma już tej sprężystości, której tylekroć doświadczyła straż pana kardynała.

— Oho, ręka jest jeszcze doskonała, zaręczam ci — odrzekł Portos pokazując dłoń podobną do łopatki baraniej.

— Tym lepiej!

— Więc mamy znowu wojnę prowadzić?

— Tak, nie inaczej, mój przyjacielu.

— A przeciw komu?

— Czy zajmowałeś się stanem polityki od czasu, jak zrzuciłeś mundur?

— Ja? Ani na jedną chwilę.

— A więc za kim jesteś, za Mazarinim, czy za książętami?

— Ja? Nie jestem za nikim.

— To znaczy, że gotów jesteś trzymać z nami, tym lepiej, kochany Portosie, to jest najdogodniejsze położenie do zrobienia interesu. Wiedz tedy, mój przyjacielu, że przychodzę do ciebie ze strony kardynała.

Ten wyraz sprawił pożądane wrażenie na Portosie, jakby to był jeszcze rok 1640 i jakby chodziło o dawnego wielkiego kardynała.

— No, no — rzekł po chwili — czegoż chce ode mnie jego eminencja?

— Jego eminencja chce mieć ciebie w swojej służbie.

— A któż kardynałowi mówił o mnie?

— Rochefort. Czy przypominasz sobie?

— A jakże? Ten sam, który nas tyle utrudził w owym czasie, przez którego tyleśmy się nabiegali po różnych drogach, ten nareszcie, któremu dałeś w różnych czasach trzy porządne pchnięcia szpadą na rachunek pewnych zasług, wszak prawda?

— Tak, ale wiesz zapewne, że on stał się naszym przyjacielem? — zapytał d'Artagnan.

— Nie, o tym nie wiedziałem. A więc już nie ma do ciebie urazy?

— Mylisz się, Portosie — odrzekł d'Artagnan — to ja właśnie nie mam do niego urazy.

Portos nie bardzo zrozumiał, o co idzie.

— Powiadasz więc — mówił dalej — że to hrabia de Rochefort mówił o mnie kardynałowi?

— Tak, oprócz niego królowa.

— Jak to królowa?

— Aby cię natchnąć ufnością, powierzyła mu nawet ów sławny diament, wiesz, który sprzedałem panu des Essarts i który nie wiem jakim sposobem — do jej rąk powrócił.

— Hm, zdaje mi się — rzekł Portos z swoim prostym zdrowym rozsądkiem — że lepiej by zrobiła, gdyby go tobie samemu oddała.

— Ja także tak sędzę — odpowiedział d'Artagnan — ale cóż robić; wiesz, że niektóre osoby mają czasem pewne dziwactwa. Ale kto ma w swoich rękach bogactwa i zaszczyty

i może je rozdawać — temu muszą służyć ci, którzy ich potrzebują i pragną.

— Tak, trzeba służyć im i być wiernym, i poświęcać się dla nich. A więc ty służysz w tej chwili...

— Królowi, królowej i kardynałowi, a nadto zaręczyłem, że i ty będziesz im służył z całym poświęceniem.

— I powiadasz, żeś postawił dla mnie pewne warunki?

— Korzystne, mój przyjacielu, doskonałe! Najprzód masz pieniądze, nieprawdaż? Czterdzieści tysięcy liwrow dochodu; tak powiedziałaś, zdaje mi się.

Portos zmieszał się cokolwiek.

— To jest, mój przyjacielu — odpowiedział niepewnym głosem — widzisz . . . człowiek nigdy nie ma nadto pieniędzy. Pani du Vallon zostawiła dziedzictwo w stanie nieuporządkowanym, ja nie jestem wielkim prawnikiem i rozpatrując się, spostrzegłem . . .

„Obawia się, czy nie przyszedłem pożyczyć od niego” — pomyślał d'Artagnan. — Ach mój przyjacielu — rzekł głośno — tym lepiej, jeśli potrzebujesz pieniędzy.

— Jak to tym lepiej? — zapytał Portos.

— Tak jest, ponieważ jego ekscelencja da ci wszystko, czego będziesz żądał: pieniądze, dobra, tytuły.

— Aha, więc to tak — zawołał Portos, którego oczy żywo zabłyśły na ostatni wyraz d'Artagnana.

— Za dawnego kardynała — mówił dalej d'Artagnan — nie umieliśmy korzystać z darów losu, a była to dobra pora, nie mówię tego do ciebie, który miałeś przed sobą czterdzieści tysięcy liwrowych dochodu i wydałeś mi się najszcześliwszym człowiekiem w świecie.

Portos westchnął.

— Jednakże — mówił dalej d'Artagnan — pomimo twoich czterdziestu tysięcy liwrowych rocznego dochodu, a może nawet dlatego, że tyle posiadasz, zdaje mi się, że mała mitra lub korona na drzwiczkach twego powozu wyglądałaby bardzo ładnie, nieprawdaż?

— Ach, bez wątpienia! — odpowiedział Portos.

— A więc, mój przyjacielu, chwytaj ją, jest ona na końcu twojej szpady. Nie będziemy sobie wzajemnie szkodzili. Twoim celem jest tytuł, moim pieniądze. Niech tylko zbiorę tyle; żebym, mógł kazać odnowić Artagnan, któremu moi przodkowie, zubożeni przez wojny krzyżowe, pozwolili prawie zwalić się w ruinę, i żebym mógł dokupić kawał ziemi przyległej, nie będę potrzebował ani żądał więcej. Osiadę spokojnie w moim rodzinnym ustroniu i czekać będę śmierci.

— A ja — zawołał Portos — chcę być baronem!

— Będziesz nim.

— A czy nie myślałeś także o innych naszych przyjaciółach? — zapytał Portos.

— I owszem; widziałem się z Aramisem.

— No i czegoż on żąda? Zapewne infuly biskupiej.

— Aramis — odpowiedział d'Artagnan, który nie chciał zniszczyć uroku, jakiemu uległ Portos — Aramis, wystaw sobie, został księdzem, jezuitą, żyje jak borsuk w lesie, niczego nie pragnie, zrzeka się wszystkiego i tylko myśli o zbawieniu duszy. Me mogłem go niczym nakłonić do naszej sprawy.

— Tym gorzej — odpowiedział Portos — on miał dobrą głowę; a Atos?

— Nie widziałem go, ale stąd właśnie chcę się udać do niego. Czy nie wiesz, gdzie go mam szukać?

— Niedaleko Blois, w małej posiadłości, którą odziedziczył po jakimś krewnym.

— A która nazywa się?

— Bragelonne. Uważaj, mój kochany. Atos, ten Atos szlachetny, jak Cezar, odziedziczył posiadłości nadające tytuł hrabiego. Cóż on zrobi z tymi hrabstwami? Hrabstwo de la Fère, hrabstwo de Bragelonne?

— Jeszcze do tego nie mając dzieci!

— Hm! — mówił dalej Portos — słyszałem, że przybrał syna, jakiegoś młodego człowieka, który, z twarzy niezmiernie jest do niego podobny.

— Co, Atos! nasz Atos, który był skromny i cnotliwy jak Scypion? Czy widziałeś go?

— Nie.

— A więc jutro pojedę do niego i zawiozę mu twoje uściski. Ale wiesz co, między nami mówiąc, obawiam się, czy jego skłonność do wina nie przyspieszyła jego przedwczesnej starości i zbyt go nie osłabiła.

— To prawda — rzekł Portos — że on pił niepospolicie.

— A przy tym on był najstarszym z nas wszystkich — rzekł d'Artagnan.

— Tylko o parę lat — odpowiedział Portos — ale jego poważny wygląd czynił go starszym.

— Tak, to prawda. A więc jeśli go zjednamy dla naszych zamiarów, tym lepiej. Jeśli zaś nie, ha, to będziemy musieli obejść się bez niego. My dwaj staniemy za dwunastu.

— Tak — zawołał Portos uśmiechając się na wspomnienie dawnych czynów — ale we czterech stanęlibyśmy za trzydziestu sześciu; tym bardziej, że jak mówisz, rzemiosło będzie niełatwe.

— Trudne dla rekrutów, to prawda, ale dla nas łatwe. — Czy to na długo się zanosi?

— Hm, może potrwać trzy lub cztery lata.

— Będziemy się często bili?

— Spodziewam się.

— Tym lepiej, na honor, tym lepiej — zawołał Portos — nie masz wyobrażenia, mój kochany, jak bardzo trzeszczą mi kości od czasu, jak tu jestem! Niekiedy w niedzielę po mszy biegam konno po wsiach sąsiednich, żeby spotkać jakąś małą zaczepkę, bo czuję, że mi tego potrzeba; ale ani rusz. Czy to, że mnie szanują, czy też boją się, co jest prawdopodobniejsze, pozwalają mi tratować psami zboże, jeżdżą wszystkim prawie po karkach i zawsze wracam jeszcze bardziej znudzony. Powiedz mi przynajmniej, czy w Paryżu łatwiej o bójkę.

— Och, co do tego, mój przyjacielu, teraz jest cudownie: nie ma ani zakazów, ani straży kardynała, ani Jussaca, ani innych wyźłów. Pod pierwszą lepszą latarnią, w oberży, gdzie chcesz, czyś kardynalista, czy frondysta, raz, dwa, trzy i po wszystkim. Pan de Guise zabił pana de Coligny na środku Placu Królewskiego i nic z tego nie wynikło.

— Ach, kiedy tak, to wybornie! — zawołał Portos.

— A prócz tego, wkrótce zapewne będziemy mieli porządne bitwy, z działami, z oblężeniami, z pożarami; oho! będzie dużo różności.

— A więc nie waham się ani chwili..

— Mam twoje słowo?

— Tak, stanowczo! Będę się bił za Mazariniego. Ale . . .

— Ale?

— On mi nada tytuł barona?

— Och, do pioruna — odrzekł d'Artagnan — tego bądź pewny z góry. Powiedziałem ci i powtarzam: ręczę ci za baronostwo.

Po tym przyrzeczeniu Portos, który nigdy nie wątpił w świętość słowa swego przyjaciela, wrócił z nim do zamku.

XIII

W KTÓRYM POKAZUJE SIĘ, ŻE JEŻELI PORTOSOWI NIE WYSTARCZAŁO JEGO STANOWISKO, MOUSQUETON ZE SWEGO

ZADOWOLONY BYŁ NAJZUPEŁNIEJ

Gdy wracali do zamku, Portos marzył o baronostwie, a d'Artagnan rozmyślał nad słabością natury ludzkiej, która zawsze niezadowolona z tego, co posiada, pragnie tego, czego nie ma. Gdyby był na miejscu Portosa, d'Artagnan byłby się uważał za najszczęśliwszego człowieka na ziemi; a do szczęścia czegoś brakowało Portosowi: pięciu liter, które by kładł przed swoimi nazwiskami, i małej korony, którą by mógł kazać wymalować na drzwiczkach swojego powozu.

„Zdaje się, że aż do śmierci — mówił sam do siebie d'Artagnan — będę rozglądać się na prawo i lewo i nigdy nie spotkam twarzy człowieka zupełnie szczęśliwego”.

Czynił właśnie tę filozoficzną uwagę, kiedy Opatrzność dała mu dowód, że się myli. Kiedy Portos opuścił go udając się do kuchni, żeby wydać niektóre rozkazy swojemu kucharzowi, ujrzał zbliżającego się Mousquetona. Twarz tego poczciwego chłopca zdawała się twarzą człowieka najzupełniej szczęśliwego.

„Otóż znalazłem to, czego szukałem — rzekł do siebie d'Artagnan — ale, niestety, biedny chłopiec nie wie, po co ja tu przybyłem”.

Mousqueton stał w pewnej odległości. D'Artagnan usiadł na ławie i skinął na niego, aby się przybliżył.

— Panie — rzekł Mousqueton — chciałbym prosić pana o jedną łaskę.

— Mów, mój przyjacielu — odrzekł d'Artagnan.

— Kiedy nie śmiem, obawiam się, żebyś pan nie pomyślał, że dobrobyt zepsuł mię.

— Jesteś więc szczęśliwy, mój przyjacielu? — zapytał d'Artagnan.

— Tak szczęśliwy, jak tylko być można; a jednak pan możesz mię uczynić jeszcze szczęśliwszym.

— Mów więc, a jeśli to ode mnie zależeć będzie — bądź pewny pomyślnego skutku.

— O! to zupełnie od pana zależy.

— Mów więc, słucham.

— Chciałem tylko prosić pana o tę łaskę, żeby mnie pan nie nazywał Mousqueton, ale Mouston. Ód czasu jak zostałem intendentem u mojego pana, przybrałem to nazwisko, które jest daleko piękniejsze i wzbudza dla mnie uszanowanie moich podwładnych. Pan wiesz dobrze, jak bardzo subordynacja potrzebna jest między służącymi.

D'Artagnan uśmiechnął się; Portos, jak mógł, przedłużał swoje nazwiska, a Mousqueton skracał swoje.

— I cóż, łaskawy panie? — zapytał Mousqueton drżąc cały.

— Z całego serca, mój kochany Mouston — odpowiedział d'Artagnan — bądź spokojny; nie zapomnę twojego żądania, a jeśli ci to będzie przyjemne, nie będę ci nawet mówił ty.

— Ach! — zawołał Mousqueton rumieniąc się z radości — gdybyś pań raczył uczynić mi ten zaszczyt, byłbym mu wdzięczny do śmierci. Ale to może byłoby zbyt dobrą dobrocią z pańskiej strony.

„Ach! — pomyślał d'Artagnan — to zbyt mało w zamian za troski, jakie czekają tego biedaka z powodu mojego przybycia”.

— Czy pan długo zechcesz nas cieszyć swoją obecnością?— zapytał Mousqueton, którego twarz, pozbywszy się ostatniej chmurki, błysnęła jak rozwinięta piwonია.

— Jutro wyjeżdżam, mój przyjacielu — odpowiedział d'Artagnan.

— Ach, mój Boże, więc pan dlatego tylko tu przyjechał, abyśmy smucili się po jego odjeździe.

— Obawiam się, żeś nie zgadł — powiedział d'Artagnan tak cicho, że Mousqueton, który oddalił się z niskimi ukłonami, nie mógł go dosłyszeć.

W duszy d'Artagnan czuł niejaki wyrzuty, choć serce jego było dość zahartowane. Nie żałował on tego, że wciągnął Portosa w sprawę, w której jego życie i majątek mogły być skompromitowane, bo Portos chętnie narażał to wszystko, aby otrzymać tytuł barona, którego pragnął od lat piętnastu; ale Mousqueton nie pragnął niczego więcej, tylko żeby go nazywano Mouston, nie byłoż więc okrucieństwem wyrywać go z jego rozkosznego życia? Ta myśl zajmowała go, gdy nadszedł Portos.

— Do stołu! — rzekł wchodząc.

— Co, do stołu? — zapytał d'Artagnan — a któraż godzina?

— Już po pierwszej, mój kochany.

— Twój dom jest rajem! zapomina się w nim o czasie. Idę za tobą, ale wcale nie jestem głodny.

— Pójdź, chociaż nie zawsze można jeść, ale pić można ciągle, jest to jedna z zasad naszego Atosa, której znaczenie nauczyłem się oceniać, od czasu jak się nudzę.

D'Artagnan, który z natury i wychowania gaskońskiego był dość wstrzemięźliwy w napoju, nie zdawał się być tak bardzo przekonany jak jego przyjaciel o prawdziwości owej zasady Atosa, jednakże czynił, co mógł, aby dotrzymać placu swemu gospodarzowi.

Patrząc na jedzącego Portosa i popijając, nie mógł d'Artagnan pozbyć się myśli o Mousquetowie, a to tym bardziej, że Mousqueton zamiast sam usługiwać do stołu, co by było poniżające dla jego teraźniejszej godności, niekiedy tylko ukazywał się we drzwiach i okazywał swoją wdzięczność dla d'Artagnana przez dobór starego i wybornego wina, które kazał przynosić.

Kiedy więc przy deserze, na niemy znak d'Artagnana, Portos kazał oddalić się służącym i został sam ze swoim przyjacielem, d'Artagnan tak zaczął rozmowę.

— Powiedz mi, mój kochany Portosie, któż będzie ci towarzyszył w naszej wyprawie?

— Hm, naturalnie — odpowiedział Portos — któż by inny, jak nie Mouston.

To był cios dla d'Artagnana, widział już, jak uprzejmy uśmiech intendenta zmienił się w grymas bólu.

— Bo widzisz — mówił dalej po chwili namysłu — Mouston nie jest już młody, prócz tego utył niezmiernie i zapewne utracił nawyk do czynnej służby.

— Wiem o tym — odrzekł Portos. — Ale przyzwyczyłem się do niego, a oprócz tego on sam nie chciałby mię porzucić, bo zbyt jest przywiązany do mnie.

„O, ślepa miłości własna!” — pomyślał d'Artagnan.

— A poza tym, ty sam — zapytał Portos — czyż nie masz zawsze tego samego służącego, tego poczciwego, dzielnego, dowcipnego... ach, jakże on się nazywał?

— Planchet. Tak, spotkałem go znowu, ale on nie jest już służącym,

— A czymże jest?

— Za tysiąc sześćset liwrow, wiesz, tych, które zarobił przy oblężeniu La Rochelle zanosząc list lordowi de Winter, założył sobie porządny sklepik przy ulicy Lombardów i jest cukiernikiem.

— A, jest cukiernikiem przy ulicy Lombardów, ale jakimże sposobem jest tu z tobą?

— Zrobił jakiegoś figla i boi się, .. żeby go o to nie niepokojono.

— No widzisz — mówił Portos — czyby to kto był powiedział, że kiedyś. Planchet ułatwi ucieczkę Rochefortowi i że ty go za to u siebie ukrywać będziesz?

— Nie byłbym temu uwierzył. Ale to co innego; wypadki zmieniają ludzi.

— Nic prawdziwszego — odrzekł Portos. — Ale wiesz, co się nie zmienia? Wino, mój przyjacielu, wino! Skosztuj no tego, to jest hiszpańskie, jakie najbardziej lubił nasz przyjaciel Atos, to jest kseres.

W tej chwili intendent przyszedł zapytać pana o rozporządzenie na jutrzejsze śniadanie i względem zamierzonego polowania.

— Powiedz mi, Mouston — zapytał Portos — czy moja broń jest w dobrym stanie?

D'Artagnan dla ukrycia swego zakłopotania zaczął bębnić w stół palcami.

— Broń, jaśnie panie? — zapytał Mouston — jaka broń?

— Do pioruna! moja zbroja!

— Jaka zbroja?

— Moja zbroja wojenna!

— Tak sądzę, jaśnie panie, ale nie wiem z pewnością.

— Jutro więc przekonaj się i każ ją oczyścić, jeśli będzie potrzeba. Który mój koń najlepszy do prędkiego biegu?

— Wulkan.

— A do ciężarów?

— Bayard.

— Któregoż ty najbardziej lubisz?

— Ja, jaśnie panie, najbardziej lubię Rustanda, to dobre zwierzę, umiem się z nim zawsze porozumieć.

— A silny jest?

— Jest to mieszanina normandzko-meklemburska — wytrwa dnie i noce w robocie.

— To dobrze. Każesz więc obejrzeć i przygotować konie, wyczyścić moją zbroję i broń; a dla siebie pistolety i kordelas.

— Więc puszcza się w drogę, jaśnie panie? — pytał Mousqueton już nieco niespokojny.

D'Artagnan, który dotychczas lekko bębnił w stół palcami, zaczął teraz bębnić mocnego marsza.

— Coś lepszego jeszcze, Moustonie — odpowiedział Portos. — Udamy się na wyprawę, panie? — zapytał znowu intendent, którego róże na twarzy zaczęły się zmieniać na lilie.

— Wracamy do służby, Moustonie. — odpowiedział Portos usiłując ciągle przywrócić swoim wąsom ten wygląd marsowy, który dawno już straciły.

Zaledwie Portos wymówił te słowa, kiedy Mousqueton zaczął drżeć tak, że aż zęby jego grzechotały. Patrzał na d'Artagnana z niewymownym wyrazem tkliwego wyrzutu, którego nasz muszkieter nie mógł wytrzymać bez wzruszenia, potem — obracając się do swego pana — biedny intendent powtórzył głosem konającym:

— Do służby w szeregach królewskich?

— Tak i nie. Będziemy znowu walczyli, szukali różnych awantur; jednym słowem — wrócimy do dawnego sposobu życia.

Te ostatnie wyrazy spadły na Mousquetona jak uderzenie pioruna, bo właśnie przykrości dawnego sposobu życia czyniły mu terazniejszy tak słodkim.

— Och, mój Boże! co słyszę? — zawołał znowu Mousqueton, zwracając tkliwe jeszcze i zarazem błagające spojrzenie na d'Artagnana.

— Cóż robić, mój biedny Mouston — rzekł d'Artagnan — fatalność.

Pomimo że pomny prośby biednego intendenta, d'Artagnan nazwał go nowoprzybranym imieniem, słowa jego niezdolne pocieszyć biedaka zostawiły go w takim pomieszaniu, a raczej przerażeniu, że zaledwie trafił do drzwi i wyszedłszy nie zamknął ich nawet za sobą.

— Poczciwy Mouston, nie posiada się radości — odezwał się Portos takim tonem, jakim zapewne Don. Kichot zachęcał swojego Sancho do ostatniej wyprawy.

Dwaj przyjaciele, pozostawszy sami, zaczęli rozmawiać o przyszłości i budować tysiączne zamki na lodzie. Skutkiem dobrego wina, które im Mousqueton podsuwał przy stole, d'Artagnan widział przed sobą same tylko pistole i poczwórne dukaty, a Portos niebieską wstęgę i płaszcz książęcy. Zasnęli przy stole i musiano ich obudzić, aby się udali na spoczynek.

Nazajutrz rano Mousqueton uspokoił się nieco, kiedy go d'Artagnan upewnił, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa służba zatrzyma ich stale w Paryżu.

— Ale zdaje mi się, że dawniej ... — rzekł bojaźliwie Mousqueton.

— Och, mój przyjacielu, dawniej zupełnie inaczej wojowano. Teraz to są tylko sprawy dyplomatyczne, zapytaj Plancheta.

Mousqueton udał się po objaśnienia do swego dawnego przyjaciela, który we wszystkim potwierdził słowa swego pana.

Portos, upolowawszy z swoim gościem parę sam, oprowadziwszy go po swoich lasach, górach, stawach i łąkach, pokazał mu swoje psy, konie i wszystko, co posiadał, i zjadłszy z nim jeszcze trzy

najwspanialsze obiady — zażądał ostatecznych zleceń i instrukcji od d'Artagnana, który musiał opuścić go, aby się udać w dalszą drogę.

— Słuchajże, mój przyjacielu — rzekł d'Artagnan — potrzebuję czterech dni na drogę stąd do Blois, jeden dzień tam pozostanę, za trzy lub cztery dni mogę być z Blois w Paryżu. Wyjedź więc stąd w tydzień po mnie; stań przy ulicy Tiquetonne w oberży „Pod Sarną” i czekaj mojego powrotu.

— Zgoda — rzekł Portos.

— Ja pojedę do Atosa, wiem prawie na pewno, że to będzie daremna droga, ale trzeba przecież wypełnić dług dawnej przyjaźni.

— Gdybym pojechał do niego z tobą — rzekł Portos — może by to rozerwało mię cokolwiek.

— Zapewne i mnie byłoby to przyjemne, ale ty nie miałbyś czasu do poczynienia potrzebnych przygotowań.

— Masz słuszość. Jedź więc sam, a ja się tu zajmę wyprawą. Od chwili powzięcia tego zamiaru czuję w sobie niewymowny zapał.

— To dobrze! to wybornie!

I dwaj przyjaciele rozłączyli się na granicy posiadłości Portosa, który aż do tego miejsca odprowadził swego przyjaciela.

— No, przynajmniej nie będę sam — mówił do siebie d'Artagnan, zmierzając drogą ku Villers-Cofferets. — Ten zuch Portos jest jeszcze dzielny chłopcem. Jeśli Atos przyłączy się do nas, będziemy mogli we trzech żartować sobie z Aramisem i jego intryg miłosnych.

W Villers-Cofferets napisał do kardynała:

„Już mam na usługi waszej eminencji jednego, który wart jest dwudziestu. Jadę do Blois do hrabiego de la Fère, który mieszka w zamku de Bragelonne niedaleko od tego miasta”.

I pojechał do Blois, rozmawiając w drodze z Planchetem, który mu był wielką rozrywką w nudach podróży.

XIV

DWIE ANIELSKIE GŁÓWKI

Droga była daleka, ale d'Artagnan nie troszczył się o to: wiedział dobrze, że konie jego należycie wypoczęły i wypasły się na obroku jego przyjaciela, du Vallon de Bracieux de Pierrefonds. Z zaufaniem więc puścił się w pięciodniową podróż, z swoim wiernym Planchetem.

W drodze d'Artagnan ciągle wracał do myśli, która go nieustannie dręczyła.

„Wiem, że moja podróż do Atosa jest bezużyteczna, ale winienem ten krok dawnemu przyjacielowi, który zapowiadał się na najszlachetniejszego i najwspaniałomyślniejszego z ludzi”.

W pewnej chwili jeden z tych ciężkich wozów ciągnionych przez woły, które rozwożą drzewo z pięknych lasów tej okolicy aż do portów Loary, wjechał z bocznej ścieżki na drogę, którą postępowali nasi dwaj jeźdźcy. Prowadził go człowiek trzymający w ręku długą tykę, ostro zakończoną, którą pobudzał do szybkiego kroku swój powolny zaprząg.

— Hej, przyjacielu! — zawołał Planchet.

— Co panowie rozkażą? — zapytał wieśniak tym czystym językiem, właściwym tamtejszym mieszkańcom.

— Szukamy domu hrabiego de la Fère — odpowiedział d'Artagnan — czy znac to nazwisko, czy w tej okolicy mieszka kto, co by je nosił?

Wieśniak zdjął kapelusz, słysząc to nazwisko, i odpowiedział:

— To drzewo, które wiozę, jest jego, zrąbałem je w jego lesie i wiozę do zamku.

— Zamek? — rzekł sam do siebie d'Artagnan — zamek! A, rozumiem! Atos zmusił zapewne swoich wieśniaków, podobnie jak Portos, żeby go nazywali jaśnie panem, a jego dom zamkiem.

Woły szły zwolna, d'Artagnan i Planchet postępowali za wozem, ale na koniec znudziło ich to.

— Więc to jest droga do zamku? — zapytał d'Artagnan wieśniaka — możemy jechać nią nie obawiając się zbłądzenia?

— Tak, panie — odrzekł wieśniak — możecie jechać.

Wkrótce przy zakręcie drogi ukazał się oczom naszych podróżnych zamek; za nim o ćwierć mili widać było biały dom otoczony drzewami.

Na ten widok d'Artagnan, który zwykle niełatwy był do wzruszeń, uczuł jakiś dziwny niepokój, przenikający aż do głębi jego serca, tak to potężne są w całym biegu życia wspomnienia młodości.

D'Artagnan postąpił jeszcze kilkanaście kroków i znalazł się przed kratą.

Za tą bramą widać było obszerny dziedziniec, po którym służący w rozmaitych liberiach oprowadzali kilkanaście koni wierzchowych; stała tam także karetka z czterema końmi krajowego chowu, dokoła zaś dziedzińca kwitły starannie wypielęgnowane grędy rozmaitych kwiatów.

— Omyliliśmy się albo ten wieśniak zwiódł nas — rzekł d'Artagnan — to być nie może, żeby tu mieszkał Atos. Mój Boże, czyliżby on umarł i kto inny tegoż nazwiska był właścicielem tej ziemi? Zsiądź z konia, Planchet, i pójdz zapytać się, bo ja doprawdy nie mam odwagi.

Planchet, trzymając konia za cugle, przybliżył się do kraty

i poruszył dzwon umieszczony przy niej. Natychmiast ukazał

się jeden ze służby, człowiek z siwymi włosami, ale trzymający się jeszcze zupełnie prosto.

— Czy tu mieszka hrabia de la Fère? — zapytał Planchet.

— Tak, panie, tutaj — odpowiedział służący.

— Pan hrabia był dawniej w służbie królewskiej, nieprawdaż?

— Tak jest.

— I miał służącego nazwiskiem Grimaud? — zapytał jeszcze Planchet.

— Pana Grimauda nie ma teraz w zamku — odpowiedział służący, nie nawykły do podobnych zapytań, i zmierzył Plancheta od stóp do głów.

— A więc — zawołał Planchet z radością — widzę, że to jest ten sam hrabia de la Fère, którego szukamy. Zechciej mi więc otworzyć, bo chciałbym zawiadomić pana hrabiego, że mój pan, szlachcic i dawny jego przyjaciel, przyjechał odwiedzić go.

— Czemużecie tego zaraz nie powiedzieli? — rzekł służący otwierając kratę, — Ale gdzie jest wasz pan?

— Jedzie za mną o kilka kroków.

Służący otworzył kratę, a Planchet dał znak d'Artagnanowi, który z sercem bijącym wjechał konno na dziedziniec,

Planchet, stanąwszy na progu, usłyszał głos pochodzący z niższej sali:

— Gdzież jest ten szlachcic i dlaczego nie przyprowadzono go tutaj?

Ten głos, który doszedł aż do d'Artagnana, obudził w sercu jego tysiące uczuć, tysiące wspomnień przeszłości. Zeskoczył z konia, podczas gdy Planchet zbliżał się do pana domu.

— Znam tego chłopca — rzekł Atos spostrzegając Plancheta.

— Och, tak, panie hrabio, znasz mnie pan i ja mam to szczęście znać pana. Jestem Planchet, panie hrabio, ten Planchet. . .

Pocziwy sługa nie mógł dokończyć, tak bardzo zmieszał go niespodziany widok pana domu.

— Co, Planchet! — zawołał Atos — czyżby d'Artagnan był tu?

— Oto mię masz, przyjacielu, oto mię masz, kochany Atosie — rzekł d'Artagnan jękając się i prawie chwiejąc się na nogach.

Na te słowa widoczne wzruszenie objawiło się z kolei na pięknej twarzy i spokojnych rysach Atosa. Poskoczył do d'Artagnana i uścisnął go czule. D'Artagnan z swojej strony, ochłonawszy z pierwszego zmieszania, oddał mu serdeczny uścisk, który łzami zabłysł w jego oczach.

Wtedy Atos wziął go za rękę i wprowadził do sali, gdzie było wiele osób. Wszyscy powstali.

— Przedstawiam państwu — rzekł Atos — kawalera d'Artagnan, porucznika muszkieterów jego królewskiej mości, szczerego przyjaciela i jednego z najwaleczniejszych i najprzyjemniejszych rycerzy, jakich kiedykolwiek znałem.

D'Artagnan, podług zwyczaju, przyjmował oświadczenia grzeczności obecnych i odwzajemnił im się z wdziękiem, zajął miejsce między nimi i kiedy przerwana na chwilę rozmowa stała się znowu ogólna, zaczął pilnie przypatrywać się Atosowi.

Rzecz dziwna! Atos prawie wcale się nie zmienił. Jego piękne oczy uwolnione od szarawej oprawy, którą rysowały niegdyś niewczasy i zbytki, zdawały się być większymi i czystszyymi niż kiedykolwiek; jego twarz, nieco wydłużona, zyskała na majestatyczności, jego ręce zawsze zadziwiające, piękne i nerwowe błyszczały powabnie pod koronkowym mankietem.

Był on teraz szczuplejszy niż dawniej, ale zaokrąglone szerokie barki okazywały niepospolitą siłę, włosy czarne spływały wdzięcznie na ramiona; głos jego był świeży, jakby Atos miał dopiero dwadzieścia pięć lat, a piękne, zęby, dotąd świetnie białe, przydawały cudownego uroku jego uśmiechowi.

Tymczasem goście hrabiego czując, że dwaj przyjaciele pragną zapewne pozostać sami, zaczęli przygotowywać się do odjazdu; ale wtem dał się słyszeć hałas szczekających psów na podwórzu i kilka osób razem zawołało:

— Ach, to Raul powraca!

D'Artagnan dotychczas nic nie rozumiał, bo jeszcze nie ochłonął z dziwnych wrażeń, jakich na samym wstępie doznał. Obrócił się prawie machinalnie, kiedy piętnastoletni młodzieniec ubrany skromnie, ale z świetnym smakiem, wszedł do salonu zdejmując zgrabnie piękny kapelusz, ozdobiony długim szkarłatnym piórem. . .

Ta nowa osoba zupełnie niespodziewanie zajęła jego uwagę. Mnóstwo myśli powstało w jego głowie, tłumacząc mu wszystkie zmiany w Atosie, które dotychczas były dla niego niezrozumiałe. Uderzające podobieństwo między Atosem i tym dziecięciem wyjaśniało mu tajemnicę tego życia tak zmienionego. Czekał patrząc i słuchając.

— A, powróciłeś, Raulu — rzekł hrabia.

— Tak, panie — odpowiedział młodzieniec z uszanowaniem — i spełniłem polecenie, które mi dałeś.

— Ale co ci jest? — zapytał Atos z troskliwością — jesteś blady i zdajesz się być niespokojny.

— Ponieważ, panie, nieszczęśliwy wypadek zdarzył się naszej młodej sąsiadce.

— Pannie de la Valliere? — zapytał żywo Atos.

— Cóż się stało? — zawołało kilka głosów.

— Przechadzała się z swoją Marceliną w ogrodzie, gdzie cieśle ociosują belki; przejeżdżając tam konno, spostrzegłem ją i zatrzymałem się. Ona także spostrzegła mnie i kiedy chciała zeskoczyć z pieńka, na którym stała, padła nieszczęśliwie i nie mogła się podnieść. Obawiam się, czy nie zwicchnęła sobie nogi.

— Ach, mój Boże! — zawołał Atos — a pani Saint-Remy, jej matka, czy została zawiadomiona?

— Nie, panie, pani de Saint-Remy znajduje się w Blois przy księżnej Orleanu. Obawiałem się, żeby pierwszej pomocy nie udzielono jej niezręcznie i przybiegłem prosić cię, panie, o radę.

— Poślij śpiesznie do Blois, Raulu, albo lepiej siądź na koń i sam pojedź.

Raul uklonił się.

— Ale gdzie jest Ludwika? — zapytał znowu hrabia.

— Przyniosłem ją tutaj, panie, i złożyłem u żony Charlota, która tymczasem kazała jej włożyć nogę w zimną wodę.

Po tym wyjaśnieniu, które dało zręczny pozór do ruszenia się z miejsca, goście Atosa pożegnali go, sam tylko stary książę de Barbé, który skutkiem dwudziestoletniej przyjaźni był spoufalcony z samym de la Valliere, poszedł zobaczyć małą Ludwikę, która płakała, ale — zobaczywszy Raula — otarła zaraz łzy i uśmiechnęła się.

Książę zaproponował zawieźć Ludwikę do Blois w swojej karecie.

— Masz słuszność, książę — rzekł Atos — prędzej będzie przy swojej matce. Co do ciebie, Raulu, pewien jestem, że twoja nieostrożność była przyczyną tego wypadku.

— Och, nie, nie, panie! upewniam cię! — zawołała młoda dziewczyna; Raul zbladł na myśl, że może był istotnie winien i tylko kilka wyrazów niezrozumiałych wymówił, jakby uniewinniając się.

— Pojedź jednak do Blois — mówił dalej hrabia z dobrocią — przeproś od siebie i ode mnie panią de Saint-Remy i powracaj.

Rumieniec ożywił na nowo lica młodzieńca; zapytawszy wzrokiem hrabiego, czy powinien to uczynić, wziął na swoje, dość już silne ramiona młodą dziewczynkę, której piękna główka, cierpiąca i uśmiechająca się zarazem, spoczywała na jego ramieniu i ostrożnie złożył ją w karecie; potem wskoczywszy na siodło ze zręcznością i wdziękiem doskonałego jeźdźcy, skłonił się Atosowi i d'Artagnanowi, oddalił się szybko i zrównał się z drzwiczkami karety, a oczy jego nie odwracały się od osoby w niej umieszczonej.

ZAMEK BRAGELONNE

D'Artagnan w czasie tej całej sceny stał z oczami wytrzeszczonymi, ustami prawie otwartymi; znalazł rzeczy tak mało zgodne z jego przewidywaniem, że zgłupiał z podziwu.

Atos wziął go za rękę i wyprowadził do ogrodu.

— Nim nam przygotowują wieczerzę — powiedział uśmiechając się — pozwolisz, mój przyjacielu, że wyjaśnię tajemnicę, która snem ci się wydaje.

— To prawda, panie hrabio — powiedział d'Artagnan, który czuł, że Atos znów odzyskiwał nad nim tę wyższość arystokratyczną, jaką miał zawsze.

Atos spojrział na niego ze swoim łagodnym uśmiechem.

— Po pierwsze, mój kochany d'Artagnan, tu nie ma pana hrabiego: Jeżeli cię nazwał kawalerem, to jedynie, żeby cię przedstawić moim gościom i żeby wiedzieli, kto jesteś, ale dla ciebie, d'Artagnan, zawsze jestem Atosem, twoim towarzyszem, twoim przyjacielem. A może wolisz ceremonie, bo mniej mnie kochasz.

— O! niech mnie Bóg zachowa! — zawołał Gaskończyk z tym szlachetnym wybuchem młodości, który tak rzadko odzyskujemy w dojrzałym wieku.

— A więc wróćmy do dawnego obejścia i na początek bądźmy otwarci. Wszystko cię tu dziwi.

— Nadzwyczajnie.

— Ale co cię dziwi najbardziej — powiedział Atos z uśmiechem — to ja, przyznaj.

— Przyznaję.

— Jestem jeszcze młody, nieprawdaż, pomimo moich czterdziestu dziewięciu lat. Jeszcze można mnie poznać.

— Przeciwnie — powiedział d'Artagnan gotów korzystać z przyrzeczenia otwartości — nie podobna poznać cię.

— Ach! rozumiem — powiedział Atos z lekkim zmieszaniem — wszystko ma swój koniec, d'Artagnan, a szaleństwo również, jak wszystko.

— A oprócz tego, jak mi się zdaje, zaszła zmiana w twoim położeniu. Mieszkasz bardzo ładnie. Ten dom do ciebie zapewne należy.

— Tak jest, to ta mała posiadłość, którą odziedziczyłem po opuszczeniu służby.

— Masz park, konie, ekwipaże. Atos uśmiechnął się.

— Park ma dwadzieścia morgów — powiedział — dwadzieścia morgów, na których znajduje się także warzywo. Konie mam dwa, ma się rozumieć nie licząc podjezdka mojego służącego. Moja psiarnia składa się z czterech ogarów, dwóch chartów i wyżła. A przy tym — dodał z uśmiechem — nie wszystko do mnie należy.

— Tak, rozumiem — powiedział d'Artagnan — część należy do młodego Raula.

I d'Artagnan spojrział na Atosa z mimowolnym uśmiechem.

— Odgadłeś, mój przyjacielu — odrzekł Atos,

— A ten młodzieniec jest zapewne twoim synem chrzestnym, a może krewnym. Ach! jakżeś się zmienił, mój kochany Atosie.

— Ten młodzieniec — odpowiedział Atos ze spokojem — jest sierotą, którego matka zostawiła u pewnego proboszcza wiejskiego; wykarmiłem go, wychowałem.

— Musi być do ciebie bardzo przywiązany?

— Zdaje mi się, że mnie kocha jak własnego ojca.

— I jest wdzięczny.

— O! co się tyczy wdzięczności — powiedział Atos — ta jest wzajemna; winien mu jestem tyle, ile on mnie; jemu nie mówię tego, ale mówię tobie, d'Artagnan, że ja mu więcej winien.

— Jak to? — zapytał zdziwiony muszkieter.

— Tak, to on spowodował we mnie zmianę, której się tak dziwisz. Schnąłem jak biedne drzewo osamotnione, którego nic nie wstrzymuje na ziemi; tylko głębokie uczucie mogło we mnie wzniecić zamiłowanie życia. Kochanka? byłem za stary. To dziecię odzyskać mi kazało wszystko, co utracił; już nie miałem odwagi żyć dla siebie, żyłem dla niego. Nauki wiele znaczą dla młodzieńca, przykład znaczy więcej jeszcze, d'Artagnan. Dawałem mu przykład, poprawiłem się z wad, które miałem; udawałem cnoty, których nie miałem. Dlatego też, nie pochlebiam sobie, ale Raul będzie takim dobrym szlachcicem, jakim w naszych biednych czasach być można.

D'Artagnan spoglądał na Atosa z wzrastającym uwielbieniem. Przechadzali się po alei świeżej i cienistej, w którą niekiedy wdzierały się promienie zachodzącego słońca. Jeden z tych złocistych promieni oświecił twarz Atosa, a oczy jego zdawały się odbijać z kolei tę jasność łagodną i spokojną.

— I jesteś szczęśliwy? — zapytał przyjaciela.

— Tak szczęśliwy, jak tylko wolno być stworzeniu boskiemu na tej ziemi. Ale dokończ myśl swoją, d'Artagnan, gdyż nie powiedziałaś całej.

— Nic przed tobą ukryć nie można. Tak, chciałem cię zapytać, czy nie masz czasami wzruszeń niespodziewanych, które byłyby podobne ...

— Do wyrzutów sumienia? Kończę myśl twoją. Tak i nie; nie mam wyrzutów sumienia, bo gdybyśmy byli pozwolili żyć tej kobiecie, byłaby bez wątpienia kończyła swoje dzieło zniszczenia; ale to nie znaczy, przyjacielu, że jestem przekonany, iż mieliśmy prawo uczynić to, cośmy uczynili. Może każda krew przelana musi być odpokutowana. Ona swoją pokutę wykonała, może teraz i na nas kolej nadejdzie.

— Nieraz myślałem jak ty, Atosie — powiedział d'Artagnan.

— Ta kobieta miała syna.

— Tak.

— Czyś kiedy słyszał o nim?

— Nigdy.

— Teraz może mieć lat dwadzieścia trzy — szepnął Atos — często myślę o tym młodzieńcu.

— To dziwne; ja o nim zapomniałem zupełnie.

Atos uśmiechnął się melancholijnie.

— A o lordzie de Winter miałeś jaką wiadomość?

— Wiem, że jest w wielkich łaskach u króla Karola I.

— Pewnie podzielił jego los, który jest oplakany w obecnej chwili. Patrz, d'Artagnan, to potwierdzi ci, co powiedział. On pozwolił płynąć krwi Strafforda, krew wymaga krwi. A królowa? .

— Jaka królowa?

— Henrieta Angielska, córka Henryka IV.

— Znajduje się w Luwrze.

— Tak, w Luwrze, gdzie nic nie ma. W czasie nadzwyczajnego zimna tej zimy, jej słaba córka, jak mi powiedziano, nie mogła wstawać z łóżka. Czy pojmujesz? — powiedział Atos wzruszając ramionami. — Córka Henryka IV, drżąca z zimna dla braku jednej szczapy drzewa! Dlaczegoż nie żądała gościnności u pierwszego lepszego, zamiast żądać jej u Mazariniego! Nie byłoby jej zbywało na niczym.

— A więc znasz ją?

— Nie, ale moja matka widziała ją, kiedy była dzieckiem. Czym ci mówił, że moja matka była damą dworu Marii de Medicis?

— Nigdy; ty nie mówisz takich rzeczy, Atosie.

— Przeciwnie, jak się okoliczność nadarzy. .

— Portos nie czekałby na nią tak cierpliwie — powiedział d'Artagnan z uśmiechem.

— Każdy ma swoją naturę. Portos, mimo próżności, ma wiele przymiotów.

— Opuściłem go przed pięciu dniami — powiedział d'Artagnan.

I opowiedział mu z gaskońską wesołością wszystkie okazyłości Portosa w jego zamku w Pierrefonds.

— Dziwię się — odrzekł Atos uśmiechając się — żeśmy kiedyś przypadkowo utworzyli towarzystwo, i to tak ściśle połączone. Przyjaźń głęboko zakorzenia się w sercach uczciwych; wierz mi, d'Artagnan, tylko niegodziwi nie wierzą w przyjaźń, gdyż jej nie rozumieją. Cóż Aramis?.

— Widziałem go także — odrzekł d'Artagnan — ale zdawał mi się być zimny.

— A! widziałeś Aramisa — powtórzył Atos spoglądając na d'Artagnana swoim badawczym okiem. — W istocie, kochany przyjacielu, odbywasz prawdziwą pielgrzymkę w świątyni przyjaźni, jak mówią poeci.

— Tak — powiedział d'Artagnan nieco zmieszany.

— Aramis, jak wiesz, jest z natury zimny — mówił dalej Atos — a poza tym ciągle jest zawikłany w intrygi z kobietami.

— W tej chwili zdaje mi się, że jego nowa intryga miłosna jest bardzo zawiła.

Atos nic nie odpowiedział. „Nieciekawy” — pomyślał sobie d'Artagnan. Atos nie tylko nie odpowiedział, ale nawet zmienił przedmiot rozmowy.

— Widzisz — rzekł zwracając uwagę d'Artagnana — że po godzinnej przechadzce stanęliśmy znów w bramie zamku. Prędko obeszlśmy całe moje posiadłości.

— Wszystko to jest piękne, a we wszystkim czuć szlachetnego właściciela — odpowiedział d'Artagnan.

W tej chwili dał się słyszeć tętent konia.

— To Raul powraca — rzekł Atos — dowiemy się o stanie biednej małej.

W istocie młodzieniec ukazał się u bramy i wjechał na dziedziniec cały kurzem okryty, potem zeskoczywszy z konia, którego cugle oddał masztalerzowi, zbliżył się i uklonił hrabiemu i d'Artagnanowi z grzecznością i uszanowaniem.

— Ten pan — rzekł Atos biorąc za rękę d'Artagnana — jest kawalerem d'Artagnan, o którym nieraz mówiłem ci.

— Panie — odezwał się młodzieniec, powtórnie kłaniając się z uszanowaniem — pan hrabia wspominał przede mną imię pańskie jako przykład, ile razy chciał wymienić szlachcica walecznego i wspaniałomyślnego.

Te słowa, zawierające niewymowną i nieudaną grzeczność, przyjemnie wzruszyły d'Artagnana. Podał rękę Raulowi mówiąc:

— Mój młody przyjacielu, wszystkie pochwały, jakich mi kto udzieli, powinny zwrócić się do pana hrabiego, ponieważ jemu winienem moje wykształcenie w każdym względzie i nie jego wina, jeśli uczeń nie we wszystkim godnie korzystał z jego nauk. Ale pewien jestem, że ty mu to wynagrodzisz. Podoba mi się twoje obejście, Raulu, i twoja uprzejmość wzruszyła mię.

Atos był niezmiernie ucieszony, spojrział z wdzięcznością na d'Artagnana, potem uśmiechnął się serdecznie do młodzieńca.

„Teraz — rzekł do siebie d'Artagnan, którego baczności nie uszedł wyraz twarzy Atosa — teraz jestem już pewny”.

— No i cóż? — rzekł Atos — spodziewam się, że ten wypadek nie pociągnął za sobą szkodliwych skutków.

— Jeszcze nic nie wiadomo, panie, lekarz nie mógł nic powiedzieć stanowczo z powodu spuchnięcia. Obawia się, czy jaki nerw nie został nadwerżony.

— I dlaczego nie zostałeś dłużej przy pani de Saint-Remy? — Obawiałem się spóźnić na wieczerzę — odpowiedział

Raul — żeby na mnie nie musiano czekać.

W tej chwili mały chłopak przyszedł donieść, że wieczerza już na stole.

Atos przeprowadził swego gościa do sali jadalnej bardzo prostej, której okna z jednej strony wychodziły na ogród, a z drugiej na grzędy pięknych i rzadkich kwiatów.

D'Artagnan spojrział na wspaniałe nakrycie; srebra starożytne były widocznie spuścizną po przodkach.

— Siądźmy i jedzmy, mój przyjacielu. Ale, ale — dodał po chwili Atos obracając się do lokaja, który przyniósł zupę — zawołaj Charlota.

Służący wyszedł i wkrótce ukazał się ten, który otworzył bramę d'Artagnanowi.

— Mój kochany Charlot. — rzekł do niego Atos — polecam tobie szczególnie, na cały czas pobytu u nas mego przyjaciela, jego służącego Plancheta, Lubi on dobre wino, a ty masz klucze od piwnicy. Przez kilka dni doświadczał niewygód podróży i nie wzgardzi pewnie miękkim łóżkiem. Pamiętaj więc o wszystkim.

Charlot ukłonił się i wyszedł.

— To jest bardzo poczciwy człowiek — rzekł Atos — służy u mnie już osiemnaście lat.

— Myślisz o wszystkim — rzekł d'Artagnan — i dziękuję ci za pamięć o moim Planchecie, mój kochany Atosie.

Młodzieniec na to nazwisko spojrział z zadziwieniem na d'Artagnana, jakby chciał zapytać, kogo tak nazywa.

— To imię dziwi cię, nieprawdaż Raulu? — zapytał Atos uśmiechając się. — To było moje nazwisko wojenne wtenczas, kiedy pan d'Artagnan, dwaj jego dzielni przyjaciele i ja walczyliśmy pod dowództwem zmarłego kardynała i pana de Bassompierre, który także umarł. Pan d'Artagnan nie zapomniał tego imienia i ile razy wymówi je, serce moje rośnie z radości.

— To imię było sławne i nieraz należał mu się zaszczyt triumfu, szczególnie...

— Ach, dokończ pan — zawołał Raul z młodzieńczą ciekawością.

— Doprawdy nie przypominam sobie, o czym chciałeś mówić — rzekł Atos.

— Jak to, zapomniałeś, mój przyjacielu, o bastionie Saint-Gervais i tej serwecie, którą trzy kule zamieniły w chorągiew. Ja mam lepszą pamięć niż ty, pamiętam to wszystko i opowiem ci to, mój młody przyjacielu.

I d'Artagnan opowiadał Raulowi całą historię bastionu, tak jak Atos opowiedział czyn swojego przodka Engueranda.

Podczas tego opowiadania zdawało się młodzieńcowi, że słyszy opis jednego z tych czynów wojennych, jakie opowiadali Tasso albo Ariosto, a które należą do czarodziejskich czasów dawnego rycerstwa.

— Ale, mój kochany Raulu, d'Artagnan zapomniał ci powiedzieć — dodał Atos — że w owym czasie on sam był jednym z najdzielniejszych rycerzy, ręka stalowa, oko orle, miał lat osiemnaście, to jest, był tylko o trzy lata starszy od ciebie, kiedy go pierwszy raz widział w robocie, i to przeciw dwóm niepospolitym rębaczom.

— I pan d'Artagnan zwyciężył ich? — zapytał młodzieniec, którego oczy błyszcząły żywym ogniem i zdawały się dopytywać o najdrobniejsze szczegóły.

— Jednego zabiłem, jak mi się zdaje — rzekł d'Artagnan przerywając Atosowi wejrzeniem — ,a drugiego rozbroiłem czy też raniłem, nie pamiętam.

— Tak raniłeś go. Oho, byłeś dzielnym szermierzem.

— Och, jeszcze niewiele z tego straciłem — rzekł d'Artagnan z swoim uśmiechem gaskońskim, pełnym zadowolenia z samego siebie. — I niedawno jeszcze... Spojrzenie Atosa zamknęło mu usta.

— Chcę, żebyś wiedział, Raulu — zaczął znowu Atos — ty, który uważasz się za dobrego rębacza i którego próżność może kiedyś doznać okrutnego zawodu; chcę, żebyś wiedział, jak niebezpieczny jest człowiek łączący zimną krew z zręcznością, bo nigdy nie zdołałbym ci przedstawić bardziej uderzającego przykładu: poproś jutro pana d'Artagnana, jeśli nie będzie zbyt znużony, żeby ci dał jedną lekcję.

— Do pioruna, mój kochany Atosie, jesteś przecie sam niepospolitym mistrzem, szczególnie ze względu na przymioty, które chwalisz we mnie. Wiesz, że dziś jeszcze Planchet wspominał mi o tym sławnym pojedynku z lordem de Winter i jego towarzyszami. Ach, młodzieńcze — mówił d'Artagnan — musi tu gdzieś być szpada, którą często nazywałem pierwszą we Francji.

— Musiałem zepsuć sobie rękę przy nauce z tym dzieckiem.

— Są pewne ręce, które nigdy się nie psują, ale za to wiele innych zepsuć mogą.

Młodzieniec byłby, rad, żeby ta rozmowa przedłużyła się aż do rana, ale Atos zwrócił jego uwagę, że gość ich musi być znużony podróżą i potrzebuje spoczynku.

XVI

DYPLOMACJA ATOSA

D'Artagnan położył się do łóżka nie dlatego, żeby spać, ale żeby być sam i myśleć o tym wszystkim, co widział i słyszał tego wieczora.

Te myśli nie dały usnąć d'Artagnanowi pomimo znużenia. Układał on plan natarcia i chociaż wiedział, że Atos jest niepospolitym przeciwnikiem, postanowił jednak zaraz po śniadaniu przystąpić do dzieła.

W całym zamku nie słyhać było nic więcej prócz równego i jednostajnego odgłosu kroków w pokoju nad sypialnią d'Artagnana, który osądził, że to jest zapewne sypialnia Atosa.

„Przechadza się i myśli — pomyślał d'Artagnan — ale o czym myśli? Tego wiedzieć nie podobna”.

Na koniec Atos udał się zapewne na spoczynek, bo ten ostatni odgłos ustał.

Cisza i znużenie zwyciężyły. d'Artagnana; zamknął oczy i prawie w tej samej chwili usnął.

Zaledwie jutrzienka pozłociła firanki jego łóżka, wstał i otworzył okno; zdawało mu się, że widzi kogoś chodzącego po dziedzińcu ostrożnie, aby nie sprawić szelestu. Nawykły do uważania na wszystko, co go otacza, przypatrywał się pilnie i rozpoznał błękitny kaftan i czarne włosy Raula.

Młodzieniec otworzył stajnię, wyprowadził z niej tego samego konia, na którym jechał dnia poprzedniego, osiodłał go tak szybko i zręcznie jak najwprawniejszy masztalerz, potem wyprowadził go boczną furtką, którą z cicha otworzył i zamknął za sobą, i d'Artagnan widział z góry, jak pędem strzały puścił się długą aleją, schylając się pod gałęziami akacji i kasztanów.

D'Artagnan zauważył, że ta droga prowadzi do Blois.

— Oho! — mówił do siebie Gaskończyk — ten mały łotrzyk już ma swoje figielki i zdaje mi się, że nie podziela nienawiści Atosa dla płci pięknej. Nie jedzie na polowanie, bo nie ma ani broni, ani psów. Nie udaje się ze zleceniem, bo się ukrywa. Przed kimże się kryje? przede mną czy przed swoim ojcem? ... bo pewien jestem, że hrabia jest jego ojcem. Do pioruna! o tym będę wnet wiedział, bo wprost zapytam się Atosa.

D'Artagnan pozostał przy oknie, aby nikogo nie budzić, dopiero kiedy usłyszał otwierające się drzwi i okiennice zamku, przyglądał ostatni raz włosy, pokręcił węża, obtarł skrzydła kapelusza rękawem kaftana i zszedł na dół. Kiedy był na ostatnim stopniu, spostrzegł na dziedzińcu Atosa schylonego jak człowiek, który szuka dukata w piasku.

— Dzień dobry, kochany gospodarzu — rzekł d'Artagnan.

— Dzień dobry, kochany przyjacielu, miałeś przyjemną noc?

— Wyborną! jak twoje łóżko, jak wieczera wczorajsza i jak twoje serdeczne przyjęcie. Ale czemuś się tak przypatrywał? Może stałeś się miłośnikiem tulipanów?

— Mój drogi, nie byłoby z czego śmiać się. Na wsi gusty zmieniają się bardzo i nie wiedząc sami o tym — zaczynamy powoli lubić te wszystkie piękne rzeczy, które pod dobrotliwym okiem Stwórcy wyrastają z wnętrza ziemi, a którymi gardzimy w miastach. Przypatrywałem się liliom, które kazałem umieścić przy tym wodobiorze, a które dziś rano zostały zdeptane. Ci ogrodnicy są strasznie niezgrabni: zapewne wożąc wodę prowadzili konia po trawniku.

D'Artagnan uśmiechnął się i poprowadził przyjaciela wzdłuż alei, na której można było spostrzec mnóstwo podobnych śladów jak te, które zgniotły owe lilie.

— Patrz — rzekł obojętnie — zdaje mi się, że tu są ślady kopyt końskich.

— Prawda — rzekł Atos — i to ślady zupełnie świeże!

— W istocie, świeże — powtórzył d'Artagnan.

— Któż by wyjeżdżał stąd dziś z rana? — pytał sam siebie Atos z niepokojem. — Czyżby koń uciekł ze stajni? — dodał głośniejsze.

— Nie zdaje się — rzekł d'Artagnan — bo kroki są równe i bardzo spokojne.

— Gdzie jest Raul — zawołał Atos — co to znaczy, że go dotąd nie widzę?

— Pst! — odezwał się d'Artagnan kładąc palce na ustach. — Cóż się stało? — zapytał Atos.

D'Artagnan opowiedział to, co widział, obserwując wyraz twarzy swego gospodarza.

— A, zgaduję teraz wszystko — rzekł Atos z lekkim wzruszeniem ramion — biedny chłopiec pojechał do Blois.

— Po co?

— Ech, mój Boże; dowiedzieć się o zdrowie małej la Valliere; wiesz, tej dziewczynki, która sobie wczoraj stłukła nogę.

— Tak sądzisz? — zapytał niedowierzająco d'Artagnan.

— Nie tylko sądzę, ale jestem tego pewny — odpowiedział Atos. — Czyż nie zauważyłeś, że Raul jest zakochany?

— Brawo! ale w kim? w tym siedmioletnim dziecięciu?

— Mój kochany, w wieku Raula serce jest tak pełne, że trzeba uczucia jego przelać na jakikolwiek przedmiot, urojony lub rzeczywisty. Miłość Raula ma w sobie i jedno, i drugie.

— Żartujesz zapewne! jak to, ta młoda dziewczynka?... — Czyliż jej nie widziałeś? to jest najpiękniejsze stworzenie na świecie: włosy srebrzystoblond, oczy błękitne, żywe i omdlewające zarazem.

— A cóż ty mówisz o tej miłości?

— Nic nie mówię, śmieję się; ale te pierwsze potrzeby serca są tak gwałtowne, te pierwsze wylewy miłosnej melancholii u młodych ludzi są zarazem tak słodkie i pełne goryczy, że często zdają się mieć rzeczywiste charakter istotnej namiętności. Pamiętam, że będąc w wieku Raula zakochałem się w posągu greckim, który dobry król Henryk IV darował mojemu ojcu, i zdawało mi się, że zmysły postradam, kiedy mi powiedziano, że historia o Pigmalionie była tylko bajką.

— Jest to skutek bezczynności. Nie dość zatrudniasz Raula, i dlatego on sam sobie wynajduje zajęcie.

— Bez wątpienia, dlatego też zamyślam o oddaleniu go stąd.

— Bardzo dobrze uczynisz.

— To prawda, ale rozedrze mu to serce i cierpieć będzie tak, jakby to była rzeczywista miłość. Od trzech czy czterech lat, a wtedy Raul sam jeszcze był dzieckiem, zaczął uwielbiać w myśli to małe bóstwo i pokochałby ją może kiedyś jeszcze gwałtowniej, gdyby tu dłużej pozostał. Te dzieci codziennie razem marzą i rozmawiają ó rzeczach zupełnie poważnych, jakby dwudziestoletni kochankowie. Rodzice małej la Vallière długo uśmiechali się na to wszystko, ale już teraz zaczynają marszczyć brwi.

— Dziecinada! Ale Raula trzeba czymś zająć; oddał go Stąd jak najprędzej, bo inaczej nie zrobisz nigdy z niego człowieka.

— Sądzę — rzekł Atos — że pošlę go do Paryża.

— Ach! — zawołał d'Artagnan.

I pomyślał, że nadeszła chwila rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich.

— Jeśli zechcesz. — rzekł — możesz zapewnić mu. dobry los.

— Ach! — zawołał z kolei Atos.

— Chciałem nawet zasięgnąć twojej rady w pewnym przedmiocie, który mi przyszedł do głowy.

— Słucham.

— Jak sądzisz, czy nadszedł teraz czas wejścia na służbę?

— Ależ ty przecież ciągle jesteś w służbie.

— Ale ja mówię o służbie czynnej. Czy dawniejsze życie nasze nie wabi cię? Gdyby czekały cię rzeczywiste korzyści, czy nie miałbyś ochoty rozpocząć znowu ze mną i z naszym przyjacielem Portosem walecznych czynów naszej młodości?

— A więc czynisz mi formalną propozycję?

— Jasno i otwarcie.

— Abym wstąpił, w szeregi?

— Tak.

— Czyjej strony i przeciw komu? — zapytał nagle Atos zwracając na Gaskończyka swoje jasne i miłe spojrzenie.

— Do pioruna, prędko jesteś!

— I wyraźny. Słuchaj dobrze, d'Artagnan. Jedna jest tylko osoba i jej sprawa, której człowiek taki jak ja może być użyteczny; to jest król i jego sprawa.

— Właśnie o tę sprawę mi chodzi — rzekł muszkieter.

— Tak, ale — zaczął znowu Atos z powagą — jeżeli przez sprawę króla rozumiesz sprawę Mazariniego, to znowu nie rozumiemy się.

— Nie mówię tego stanowczo.

— Słuchaj, d'Artagnan — rzekł Atos — nie grajmy w ciuciubabkę. Twoje wahanie, twoje wybiegi powiadają mi wyraźnie, od której strony przychodzisz; Do tej sprawy nikt się nie przyznaje głośno i zachęcając do niej czyni to z cicha i zmieszonym głosem,

— Ach, mój kochany Atosie! — zawołał d'Artagnan.

— Och, wiesz dobrze, że nie mówię tego do ciebie, który jesteś perłą ludzi zacnych i odważnych; mówię to o tym Włochu, skąpcu i intrygancie, który zamierza przystroić swoje czoło koroną, który więzi tych, co mu stoją na przeszkodzie, nie śmiać zabijać ich, tak jak to czynił nasz kardynał, wielki kardynał; o tym, który swoją sprawę nazywa sprawą króla, a źle obchodzi się z królową, jak słyszałem, co zresztą byłoby własną jej winą. I takiego to pana proponujesz mi, d'Artagnan? Bardzo ci dziękuję!

— Żywszy jesteś niż dawniej — rzekł d'Artagnan — i lata zamiast ostudzić rozpałyły twoją krew. Któż ci mówi, że to jest mój pan i że jego chcę ci narzucić?

„Do pioruna — rzekł sam do siebie Gaskończyk — nie wydawajmy naszych tajemnic człowiekowi tak źle usposobionemu”.

— No, ale cóż to za propozycje, które miałeś mi uczynić? — zaczął znowu Atos.

— Och, mój Boże, nic prostsze. Ty żyjesz w swojej posiadłości i wydajesz się być tu szczęśliwy. Portos ma pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy liwrów dochodu, a Aramis ma zawsze z piętnaście księżniczek, które tak sobie wydzierają prałata, jak dawniej wydierały sobie muszkietera, ale ja, cóż czynię na tym świecie? Noszę mój bawoli kaftan i zbroję od lat dwudziestu i swoją niską rangę, nie postępując naprzód, nie cofając się. Jednym słowem, jakbym nie żył. I teraz, kiedy chodzi o wskrzeszenie mię jakby, ty mi z góry powiadasz: To jest skąpiec, zły człowiek, zły pan! Na szatana, zgadzam się w tym względzie z twoim zdaniem, ale znajdźże mi lepszego pana albo zrób mię bogatym.

Atos namyślał się przez parę sekund i przez te parę sekund zrozumiał całą politykę d'Artagnana, który zapędził się w pierwszej chwili za daleko i usiłował teraz zamaskować swoją grę.

Atos spostrzegł, że propozycje, jakie mu czyniono, były rzeczywiste i byłyby się zupełnie jasno i wyraźnie objawiły, gdyby słuchał cierpliwie.

„Wiem już — pomyślał sobie — d'Artagnan jest stronnikiem Mazariniego”.

Od tej chwili ważył każde słowo z niezmierną ostrożnością.

Z swojej strony d'Artagnan podwoił także ostrożność.

— Ale mówiłeś, że masz jakąś myśl — zaczął znowu Atos.

— Tak, w istocie. Chciałem zasięgnąć rady od was, aby uczynić coś razem, bo jedni bez drugich bylibyśmy zawsze nie w komplecie.

— To prawda! Mówiłeś mi o Portosie, skłoniłeś go więc do szukania szczęścia. Ale do licha, czego mu brak! — ma przecież znakomity majątek.

— Bez wątpienia, ma go; ale człowiek jest już taki, że zawsze czegoś pragnie...

— I czegoż pragnie Portos? — Zostać baronem.

— Ach, prawda! zapomniałem — zawołał Atos śmiejąc się. „Prawda — pomyślał d'Artagnan — ale skądże on wie

o tym? Czyliżby korespondował z Aramisem? ach, gdybym tego tylko dowiedział się, z pewnością wiedziałbym wszystko”.

Rozmowa skończyła się na tym, bo właśnie w tej chwili wszedł Raul. Atos chciał połajac go lekko, ale młodzieniec był tak smutny, że hrabia nie miał odwagi do strofowania i zapytał go, co mu się stało.

— Czy wasza sąsiadka słabsza jest dzisiaj? — zapytał d'Artagnan.

— Ach, panie — odrzekł Raul zgnębiony boleścią — upadek jej był bardzo ciężki i chociaż nie ma widocznego uszkodzenia, lekarz obawia się, czy nie będzie kuleć całe życie.

— Ach, to byłoby okropne! — zawołał Atos. D'Artagnan miał na końcu języka mały żarcik, ale zatrzymał się widząc szczere przejęcie Atosa.

— Ach, panie, co mię najokropniej dręczy — zaczął znów Raul — to to, że ja jestem przyczyną tego nieszczęścia.

— Jak to, ty, Raulu? — zapytał Atos.

— Tak jest, wszakże skoczyła z pieńka po to, aby przybiec do mnie.

— Nie pozostaje ci nic, jak zaślubić ją, aby wynagrodzić jej to nieszczęście i zmazać swoją winę — rzekł d'Artagnan.

— Och, panie, żartujesz z prawdziwej boleści! — zawołał Raul — to bardzo niedobrze.

I chcąc być sam, aby wypłakać się do woli, młodzieniec oddalił się do swego pokoju, gdzie pozostał aż do śniadania.

Dwóch przyjaciół nie skłóciła ranna rozmowa, dlatego jedli śniadanie z największym apetytem, spoglądając niekiedy na biednego Raula, który prawie nic nie jadł.

Przy końcu śniadania przyniesiono dwa listy, które Atos przeczytał z największą uwagą, nie mogąc wstrzymać kilkakrotnego drżenia.

D'Artagnan, który siedział po drugiej stronie stołu i miał wzrok nadzwyczaj bystry, byłby przysiągł, że poznaje niewątpliwie drobne pismo Aramis'a w jednym liście; drugi był pisany ręką kobietą, niepewną, jakby drżącą.

— Pójdźmy — rzekł d'Artagnan do Raula widząc, że Atos chciałby zostać sam — pójdźmy zajrzeć do zbrojowni, to cię rozerwie, młodzieńcze.

Młody człowiek spojrział na Atosa, który na to spojrzenie odpowiedział zezwalającym skinieniem.

D'Artagnan i Raul zeszli do dolnej sali, gdzie były porozwieszane floretty, maski, plastrony, rękawice i wszelkie inne sprzęty do fechtowania.

— I cóż? — zapytał Atos wchodząc w kwadrans później.

— Ma rękę zupełnie jak twoją, mój kochany Atosie — odpowiedział d'Artagnan. — a jeżeli jeszcze ma twoją zimną krew — doprawdy jest czego powinszować.

Młodzieniec był nieco zawstydzony, za ledwie bowiem raz lub dwa razy dotknął d'Artagnana w ramię lub nogę, a tymczasem ten dosięgnął ze dwadzieścia razy jego piersi.

W tej chwili wszedł Charlot przynosząc bardzo pilny list do d'Artagnana, z którym przybył umyślny posłaniec.

Teraz z kolei Atos spoglądał spod oka.

D'Artagnan przeczytał list bez żadnego wzruszenia, a po przeczytaniu rzekł z lekkim poruszeniem głowy:

— Patrz, mój kochany przyjacielu, co to jest służba. Na honor, masz słusność, że jej nie chcesz na nowo przyjąć.. Pan de Treville jest słaby, kompania nie może obejść się beze mnie i każą mi wracać.

— Wracasz do Paryża? — zapytał żywo Atos.

— Tak jest, niezwłocznie. A ty nie pojedziesz tam? Atos zarumienił się nieco i odpowiedział:

— Jeśli tam będę, chętnie się z tobą zobaczę.

— Hola, Planchet! — zawołał d'Artagnan we drzwiach — jedziemy za dziesięć minut. Daj koniom owsa.

Potem odwracając się do Atosa:"

— Zdaje mi się — rzekł — że mi tu czegoś brakuje i w istocie przykro mi, że odjeżdżam nie zobaczywszy tego poczciwego Grimauda.

— Grimaud! — powtórzył Atos. — Ach, prawda, dziwiłem się także, że nie pytałeś o niego. Pożyczyłem go jednemu z moich przyjaciół.

— A czy on rozumie jego znaki? — zapytał żartobliwie d'Artagnan.

— Spodziewam się — odrzekł Atos.

Dwaj przyjaciele uścisnęli się serdecznie. D'Artagnan ścisnął rękę Raula, żądał od Atosa przyrzeczenia, że odwiedzi go, jeśli przyjedzie do Paryża, lub że napisze do niego, jeśli by nie miał się tam udać, i wsiadł na konia. Planchet, zawsze gorliwy, już siedział na swoim.

— Czy nie pojedziecie ze mną? — rzekł d'Artagnan do Raula uśmiechając się — jadę przez Blois.

Raul spojrział na Atosa, który zatrzymał go w miejscu prawie niedostrzegalnym skinieniem.

— Nie, panie — odpowiedział grzecznie młodzieniec — zostanę z panem hrabią.

— W takim razie bądźcie zdrowi, moi przyjaciele — rzekł d'Artagnan — niech Bóg będzie z wami, jak mawialiśmy zawsze, kiedyśmy żegnali się za czasów nieboszczyka kardynała.

Atos pożegnał go ręką, Raul ukłonem i d'Artagnan z Planchetem odjechali.

Hrabia patrzył za nimi, mając rękę opartą na ramieniu młodzieńca, który wzrostem już mu prawie dorównywał, ale skoro tylko znikli im z oczu, rzekł do młodzieńca:

— Raulu, pojedziemy dziś wieczór do Paryża.

— Jak to? — zapytał młodzieniec blednąc.

— Możesz pojechać złożyć moje i twoje pożegnanie pani de Saint-Remy, czekać cię będę o godzinie siódmej.

Młodzieniec skłonił się z wyrazem jednocześnie boleści i wdzięczności i poszedł osiodłać swego konia.

D'Artagnan z swojej strony, odjechawszy tak daleko, że go nie można było widzieć z zamku, wydobył z kieszeni list przed chwilą otrzymany i przeczytał go raz jeszcze.

„Wracajcie natychmiast do Paryża J. M.”

— List aż nadto suchy — mruknął d'Artagnan — i gdyby nie było dopisku, może bym go nie zrozumiał, ale na szczęście jest dopisek.

I przeczytał ten ważny dopisek, który kazał zapomnieć mu o suchości listu.

„P.S. Wstąpcie do podskarbiego królewskiego w Blois, powiedzcie mu wasze nazwisko i pokażcie ten list, a otrzymacie dwieście pistolów”.

— Na honor! — rzekł d'Artagnan — lubię tę pracę i widzę, że kardynał lepiej umie pisać, niż myślałem. Dalej, Planchet, oddam wizytę panu podskarbiemu królewskiemu, a potem naprzód.

— Do Paryża, panie?

— Do Paryża!

I obaj puścili się szybkim kłusem.

XVII

PAN DE BEAUFORT

Powiemy teraz, co zaszło i co było powodem wezwania d'Artagnana do Paryża.

Pewnego wieczoru, kiedy Mazarini udawał się podług zwyczaju do królowej wówczas, kiedy nikogo u niej nie było, przechodząc koło sali straży, której jedne drzwi stykały się z jego przedpokojem, usłyszał głośną rozmowę, chciał wiedzieć, o czym rozmawiają żołnierze, zbliżył się więc na palcach podług swego zwyczaju, uchylił drzwi i przesunął głowę przez ten otwór.

Żołnierze rozmawiali dość żywo.

— A ja ci powiadam — rzekł jeden — że jeżeli Coysel przepowiedział to, to rzecz ta jest tak pewna, jakby się już spełniła. Nie znam go wcale, ale słyszałem, że jest nie tylko astrologiem, ale nawet czarownikiem.

— Do pioruna! mój kochany, jeśli on jest twoim przyjacielem — strzeż się, bo wyświadczasz mu złą przysługę.

— A to dlaczego?

— Bo może go spotkać nieprzyjemny proces.

— Ech! teraz już nie palą czarowników.

— Tak, ale zdaje mi się, że to nie bardzo dawno, jak nieboszczyk kardynał kazał spalić Urbana Grandier. Ja mogę coś o tym powiedzieć, stałem na straży przy stosie i widziałem, jak się upiekł.

— Mój kochany, Urban Grandier nie był czarownikiem, ale mędrce, to wcale co innego. Urban Grandier nie przepowiadał przyszłości, ale znał dobrze przeszłość, co niekiedy jest daleko gorsze.

Mazarini chcąc poznać przepowiednię, o której rozmawiano, pozostał na miejscu.

— Nie utrzymuję wcale, że Coysel nie jest czarownikiem — mówił znowu jeden z żołnierzy — ale ci powiadam, że jeżeli ogłosi za wcześniej swoją przepowiednię, to właśnie będzie powodem niesprawdzenia się jej.

— Dlaczego?

— Rzecz najprostsza. Gdybyśmy na przykład my dwaj pojedynkowali się z sobą i gdybym ci powiedział: „Uderzę teraz w ramię albo w piersi”, naturalnie ty byś odbił moje ciosy. Otóż tedy, jeśli Coysel powie tak głośno, żeby go kardynał usłyszał: „Nim tyle a tyle dni upłynie, ten a ten więzień ucieknie”, naturalne jest, że kardynał użyje tak skutecznych środków, że więzień nie będzie mógł uciec.

— Ach, mój Boże! — odezwał się inny, który zdawał się spać leżąc na ławie, a który pomimo pozornego uspienia nie stracił ani jednego wyrazu z tej rozmowy — czy sądzisz, że człowiek może uniknąć swego przeznaczenia? Jeśli tam wysoko napisane jest, że księżę de Beaufort ma uciec, tedy księżę ucieknie i wszelkie środki zapobieżenia temu, jakie by przedsięwziął kardynał, będą bezskuteczne.

Mazarini zadrzał. Był on Włochem, a więc był zabobonny; postąpił szybko pomiędzy żołnierzy, którzy spostrzegłszy go przerwali natychmiast rozmowę.

— O czym, panowie, mówicie? — rzekł ze swoją uprzejmą miną — że księżę Beaufort wy dostał się z więzienia?

— Nie, proszę waszej eminencji — powiedział ów żołnierz, który nie dowierzał przepowiedni — dotychczas jeszcze nie, mówiono tylko, że ma uciec.

— I któż to mówił?

— Powtórz swoją historię, Saint-Laurent — rzekł ten sam żołnierz do drugiego.

— Otóż — proszę waszej eminencji — opowiadałem moim kolegom to, com słyszał o przepowiedni niejakiego Coysel, który utrzymuje, że księżę de Beaufort, jakkolwiek ściśle strzeżony, wymknie się z więzienia przed Zielonymi Świątkami.

— A ten Coysel to jest marzyciel? szalony? — zapytał kardynał, ciągle uśmiechając się.

— Bynajmniej — odpowiedział żołnierz wierzący w przepowiednie — on przepowiedział wiele rzeczy, które się sprawdzały, jak na przykład, że jej królewska mość będzie mieć syna, że pan de Coligny zginie w pojedynku z księciem de Guise, na koniec, że koadiutor zostanie mianowany kardynałem. I cóż? królowa nie tylko miała jednego syna, ale w dwa lata później i drugiego i pan de Coligny został zabity.

— Tak — rzekł Mazarini — ale koadiutor nie jest jeszcze kardynałem.

— Prawda — odrzekł żołnierz — ale nim będzie.

Mazarini skrzywił ironicznie twarz, jakby chciał powiedzieć: jeszcze kapelusze dla niego nie jest uszyty; potem dodał:

— A zatem, mój przyjacielu, sądzisz, że księżę de Beaufort ucieknie z więzienia?

— Tak mocno ufam tej przepowiedni — odrzekł żołnierz — że gdyby wasza eminencja ofiarował mi w tej chwili urząd pana de Chavigny, to jest gubernatorstwo zamku Vincennes, nie przyjąłbym go. Na drugi dzień po Zielonych Świątkach to bym nie odrzucił tak pięknej posady.

Nic bardziej nie przekonywa jak silne przekonanie innych, wywiera ono wpływ swój nawet na niedowiarków, a Mazarini nie tylko nie był niedowiarkiem, ale jak powiedzieliśmy, był zabobonny. Oddalił się więc bardzo zamyślony.

— Skąpiec — rzekł jeden z żołnierzy po odejściu kardynała — udaje, że nie wierzy w przepowiednię twego czarownika, Saint-Laurent, żeby nie dać kilku pistoletów w nagrodę, ale niezawodnie nie zaniedba skorzystać z twojej przestrogi.

W istocie, zamiast udać się do pokoju królowej, powrócił Mazarini do swego gabinetu i zawoławszy Bernonina, wydał mu rozkaz, aby nazajutrz o świcie posłano po strażnika, którego umieścić przy księciu de Beaufort, i aby go obudzono, skoro tylko ten przybędzie.

Nie wiedząc o tym wcale, żołnierze, których widzieliśmy w sali przylegającej do przedpokoju kardynała, dotknęli najdrażliwszej jego rany. Od pięciu lat, odkąd księżę de Beaufort siedział w więzieniu twierdzy Vincenne's, nie było ani jednego dnia, żeby Mazarini nie myślał o tym, że kiedyś księżę wydobędzie się z tego zamknięcia. Nie podobna było zatrzymać na całe życie w 'więzieniu wnuka Henryka IV, szczególnie kiedy ten wnuk miał zaledwie lat trzydzieści. Ale gdyby w jakikolwiek sposób wyszedł z więzienia, można było z łatwością przewidzieć, jak dalece księżę musiał nienawidzić tego, któremu winien był swoje uwięzienie, tego, który pozbawił go bogactw, sławy, szczęścia i miłości, przez którego stracił kilka lat najpiękniejszej młodości, bo czyż lata spędzone w zamknięciu w Vincennes mogły zaliczyć się do życia? Tymczasem jednak Mazarini podwajał strażę strzegącą księcia de Beaufort i podobny był do skąpca, który nie może spać myśląc o swoim skarbie. Często zrywał się nagle w nocy, bo mu się śniło, że mu ktoś ukradł jego więźnia; wtedy dopytywał się o niego i zawsze dowiadywał się z goryczą, że więzień gra, pije i śpiewa, jest w najlepszym humorze i tylko niekiedy przerywa swoje śpiewy, gry i biesiady zaklinając się, że kardynał drogo mu kiedyś zapłaci za te wszystkie rozrywki, do których używania przymusza go, trzymając go w Vincennes.

Ta myśl bardzo zajmowała kardynała w snach, dlatego też, kiedy z rana Bernonin wszedł do jego gabinetu, aby go obudzić, pierwszym jego zapytaniem było:

— A co? co nowego? czy księżę de Beaufort uciekł z Vincennes?

— Nie sądzę, za pozwoleniem waszej eminencji — rzekł Bernonin, który nigdy nie tracił swojej urzędowej powagi — ale w każdym razie wasza eminencja wkrótce dowie się o tym, bo właśnie strażnik la Ramée, po którego posłano dziś do Vincennes, czeka na rozkazy waszej eminencji.

— Otwórz i wprowadź go tu — rzekł Mazarini układając poduszki tak, żeby mógł nie wstając z łóżka przyjąć wezwanego strażnika.

Po chwili wszedł strażnik; był to mężczyzna rosły i otyły, z twarzą wesołą i dość przyjemną. Spokojny wyraz jego oblicza wzbudził obawę Mazariniego.

— Ten człowiek ma minę głupca — mruknął kardynał. Dozorca stał przy drzwiach w milczeniu.

— Zbliź się pan — rzekł Mazarini. Dozorca uczynił zadość rozkazowi.

— Wiesz pan, co tu mówią? — mówił dalej kardynał.

— Nie wiem — odrzekł dozorca.

— Otóż tedy mówią, że książe de Beaufort ma uciec z Vincennes, jeśli jeszcze dotychczas nie uciekł.

Twarz strażnika wyraziła najzupełniejsze osłupienie. Otworzył jednocześnie małe oczy i usta, aby swobodnie pochłonąć żarcik, którym go jego eminencja zaszczylić raczył, potem nie mogąc dłużej utrzymać powagi, roześmiał się tak głośno, że ciężkie jego członki wstrząsane były tym śmiechem jakby w febrze.

Mazarini ucieszył się tym wylaniem zadowolenia, ale zachował poważną minę.

La Ramée naśmiawszy się i otarłszy łzy z oczu, uczuł potrzebę wytłumaczenia się z tego wybuchu wesołości, którego nie mógł wstrzymać.

— Książe de Beaufort miałby uciec? — rzekł — czyliż wasza eminencja nie wie, gdzie się książe de Beaufort znajduje?

— Owszem, wiem, że się znajduje w więzieniu Vincennes.

— Tak, proszę waszej eminencji, w którym mury mają siedem stóp grubości, z oknami opatrzonymi kratą *żelazną*, grubą jak moja ręka.

— Mój panie — powiedział Mazarini — cierpliwość przebija najgrubsze mury, a małą sprężynką od zegarka można przepiłować najsilniejsze kraty.

— Ale wasza eminencja nie wie zapewne, że książe ma przy sobie ośmiu żołnierzy, czterech w przedpokoju, a czterech w pokoju, i że ci żołnierze nie odstępują go ani na chwilę.

— Alę on wychodzi z pokoju, grywa w piłkę, w wolanta...

— Są to rozrywki dozwolone więźniom, ale jeśli wasza eminencja zechce, będzie mu można wzbronić tych gier.

— Och, nie, nie — odpowiedział Mazarini, który obawiał się, że gdyby odjął księciu te niewinne rozrywki, tym bardziej musiałby być pewny jego nienawiści i obawiać się jej skutków w razie wyjścia księcia z więzienia. — Pytam tylko, z kim on grywa.

— Grywa z oficerem straży albo ze mną, albo z innymi więźniami.

— Ale czy nie zbliża się w czasie gry do murów?

— Czyliż wasza eminencja nie zna naszych murów? Są one na sześćdziesiąt stóp wysokie i wątpię, żeby książe de Beaufort tak był znudzony życiem, aby się narażał na skręcenie karku, skacząc z takiej wysokości.

— Hm — mruknął Mazarini, który zaczął uspokajać się. — Mówisz więc, kochany panie Ramée...

— Że jeśli książe de Beaufort nie wynajdzie sposobu zmienienia się w ptaszka, głową moją odpowiadam za niego.

— Strzeż się pan, za daleko się posuwasz — zaczął znowu Mazarini. — Pan de Beaufort powiedział żołnierzom, którzy go prowadzili do Vincennes, że często myślał o możliwości dostania się do więzienia i że na ten wypadek ma czterdzieści sposobów do ucieczki.

— Chciej mi wierzyć, wasza eminencjo — odpowiedział la Ramée — że gdyby między tymi czterdziestu sposobami był choć jeden dobry, książe już by dawno nie znajdował się w Vincennes.

— Ja też w te wszystkie sposoby nie wierzę — rzekł Mazarini.

— Przy tym waszą eminencja zapomina, że pan de Chavigny jest gubernatorem w Vincennes! — mówił dalej la Ramée — i że pan de Chavigny nie zalicza się do przyjaciół pana de Beaufort.

— Tak, ale pan de Chavigny oddała się stamtąd niekiedy.

— Kiedy on się oddała, ja pozostaję.

— Ale kiedy pan się oddalasz....

— Kiedy ja sam zmuszony jestem oddalić się, zostawiam na moim miejscu zucha, który wzdycha do posady dozorca królewskiego i który upewniam waszą eminencję, jest dobrym strażnikiem. Od czasu jak go wziętem do moich usług, jedno tylko mogę mu zarzucić, że jest nadto surowy dla swego więźnia.

— I któż to jest ten cerber? — zapytał kardynał.

— Niejaki Grimaud.

— Cóż on robił pierwiej, nim go umieściliście przy sobie w Vincennes?

— Mieszkał na prowincji, jak mi mówił ten, który mi go polecił, miał on tam jakiś nieprzyjemny wypadek z powodu swego nieopanowanego charakteru i sądzę, że rad by mieć

zapewniłą sobie bezkarność przez mundur, który by przywdział.

— I któż panu polecił tego człowieka?

— Intendent księcia de Gramont.

— Można mu więc zaufać? — Tak jak mnie.

— Nie jest gadułą?

— Ach, mój Boże! przez pewien czas sądziłem, że jest niemy, mówił prawie tylko znakami, zdaje się, że jego dawny pan tak go nauczył i przyzwyczał.

— Dobrze więc, powiedz mu pan, że jeżeli będzie dobrze pełnił swoje obowiązki strażnika, zamkniemy oczy na jego figle prowincjonalne, damy mu mundur urzędowy, który mu zjedna uszanowanie, i w kieszenie tego munduru włożymy kilka pistoli, aby mógł wypić, za zdrowie jego królewskiej mości.

Mazarini był rozrzutny w obietnicach, co czyniło go bardzo różnym od pana Grimaud, o którym mówił pan la Ramée, ten bowiem mówił mało, ale wiele czynił.

Po odejściu dozorczy, ponieważ była godzina dziewiąta z rana, Mazarini wstał, ubrał się, uperfumował i udał się do królowej, aby jej wyjaśnić przyczyny, które go zatrzymały w jego gabinecie. Królowa, która równie jak kardynał obawiała się pana de Beaufort, i która była prawie tak zabobonna jak Mazarini, słuchała z największą uwagą jego mowy, prosiła go o powtórzenie co do słowa zapewnień, jakie mu dawał la Ramée, a gdy skończył, zawołała:

— Ach! niestety, dlaczego nie mamy takiego Grimaud przy każdym z książąt.

— Cierpliwości! — rzekł Mazarini z swoim włoskim uśmiechem — może kiedyś przyjdzie do tego, ale tymczasem...

— I cóż tymczasem?...

— Przedsięwzmem wszelkie środki ostrożności — odpowiedział kardynał.

I na skutek tego postanowienia napisał wiadomy nam list do d'Artagnana.

XVIII

CZYM SIĘ ZABAWIAŁ KSIĄŻĘ DE BEAUFORT W WIEŻY VINCENNES

Pan de Chavigny był kreaturą nieboszczyka Richelieugo, niektórzy nawet utrzymują, że był jego synem, nic więc dziwnego, że miał wiele dowcipu w wynajdywaniu sposobów dokuczania temu, kogo nie lubił. Naprzód więc kazał zabrać księciu zostawione mu dotąd noże stalowe i widelce srebrne, a zastąpić je nożami srebrnymi i widelcami drewnianymi. Pan de Beaufort uskarżał się na to, ale pan de Chavigny kazał mu powiedzieć, iż dowiedział się, że Mazarini miał oświadczyć pani de Vendôme, że jej syn do śmierci ma być zatrzymany w więzieniu Vincennes; lękał się więc, żeby ta smutna wiadomość nie skłoniła księcia do jakiego zamachu na własne życie. W kilka dni potem książę spostrzegł dwa szeregi drzewek cienkich jak palec, wysadzonych w miejscach, gdzie grywał w wolanta. Książę zapytał, co to znaczy; odpowiedziano mu, że to dla zapewnienia mu kiedyś cienistej przechadzki. Na koniec pewnego poranku ogrodnik oświadczył mu, jakby chcąc przyjemność sprawić, że kazano mu założyć kwatery szparagów dla użytku księcia. Wiadomo, że szparagi, które potrzebują czterech lat do wydania części jadalnej, wówczas przy niższym stanie ogrodnictwa potrzebowały prawie dwa razy tyle czasu. Ta grzeczność zatem rozgniewała księcia do najwyższego stopnia.

Wtedy dopiero książę pomyślał, że trzeba by spróbować którego z czterdziestu sposobów ucieczki i użył najprzód najprostszego, to jest starał się przekupić pana la Ramée, ale pan la Ramée, który kupił swoją posadę dozorczy za półtora tysiąca talarów, nie chciał jej postradać. Dlatego zamiast przystać na propozycje księcia, pobiegł co prędzej zawiadomić o tym pana de Chavigny, który natychmiast postawił ośmiu ludzi w samym pokoju pana de Beaufort, podwoił warty i patrol placówki. Od tej chwili książę nie mógł ani kroku uczynić bez towarzystwa czterech żołnierzy przed sobą i czterech za sobą.

Pan de Beaufort śmiał się bardzo z początku z tej surowości, która go bawiła, i powtarzał to głośno dodając, że skoro, mu się sprzykrzy ta straż honorowa — ma jeszcze trzydzieści dziewięć sposobów wydobywania się z Vincennes.

Ale niedługo przestało to bawić księcia i zaczęło go niezmiernie nudzić. Przez pół roku nie okazywał tego znużenia, ale widząc nieustannie ośmiu ludzi siedzących, kiedy on siedział, wstających, gdy wstawał, idących, gdy szedł i zatrzymujących się, gdy stanął, zaczął marszczyć brwi i rachować dni. To nowe prześladowanie zwiększyło nienawiść księcia dla Mazariniego. Książę kłął od rana do wieczora, rozprawiając o siekance, którą każe kiedyś zrobić z uszu Mazariniego, a ten wiedząc najdokładniej o wszystkim, co pan de Beaufort robił lub mówił w swoim więzieniu, mimo woli drżał i naciskał beret na uszy.

Pewnego dnia pan de Beaufort zgromadził swoich dozorców i miał do nich następującą przemowę, ma się rozumieć ułożoną poprzednio.

— Moi panowie — rzekł książę — zechcecież ścierpieć, aby wnuk dobrego króla Henryka IV był bez przerwy obsypywany obelgami i krzywdami, do krośset diabłów! jak mówił mój dziad. Wiedźcie, że dawniej panowałem prawie w Paryżu! Królowa nadszalała mi i nazywała mnie najszlachetniejszym mężem Francji. Panowie obywatele, wyprowadźcie mnie stąd; pójdę prosto do Luwru, nakręcę karku Mazariniemu, a was wszystkich porobię oficerami z dobrą pensją. Do krośset diabłów, dalej marsz!

Ale jakkolwiek patetyczna była wymowa wnuka Henryka IV, nie wzruszyła wcale tych serc kamiennych; żaden się nie poruszył, co widząc pan de Beaufort powiedział im, że wszyscy są tchórzami, i uznał ich za swoich śmiertelnych wrogów.

Ile razy pan de Chavigny przychodził odwiedzić go, co zdarzało się przynajmniej dwa lub trzy razy w tygodniu, książę drażnił go pogrózkami.

— Co byś pan uczynił w tym wypadku — mówił raz do niego — gdybyś nagle zobaczył ukazującą się pod murami Vincennes armię paryżan z muszkietami, przybywającą uwolnić mię.

— Książę — odpowiedział pan de Chavigny z głębokim ukłonem — mam tu na wałach dwanaście dział pozycyjnych, a w składzie trzydzieści tysięcy ładunków, będę więc sypał ogień z całych sił.

— Dobrze, ale jak wystrzelasz te trzydzieści tysięcy ładunków, oni zdobędą zamek, a jak go zdobędą, będę musiał pozwolić rozstrzelać cię, co by mi było bardzo przykre.

I z kolei książę ukłonił się nader grzecznie panu de Chavigny.

— Ale ja, książę panie — odpowiedział pan de Chavigny — zaraz po pierwszym, który by wstąpił na moje mury, byłbym zmuszony, chociaż z żalem, zabić waszą książęcą mość własną ręką, ponieważ jego osoba jest mi szczególnie polecona i powinienem oddać ją żywą lub umarłą.

I ukłonił się znowu księciu.

— Tak — mówił dalej książę — ale ci poczciwi ludzie nie pierwaj tu przybędą, aż sprawią bankiet z Mazariniego, a wtedy pan nie będzie śmiał podnieść ręki na mnie z obawy, żeby paryżanie nie zrobili z pana bigosu, co by jeszcze nieprzyjemniejsze było, jak być rozstrzelanym.

Te żarciki słodko-gorzkie trwały przez dziesięć minut lub kwadrans i kończyły się zwykle w ten sposób: . Pan de Chavigny wołał odwracając się do drzwi:

— Hola! la Ramée! La Kamee wchodzi!

— La Kamee — mówił dalej pan de Chavigny — polecam ci najszczególniej księcia de Beaufort, obchodź się z nim z wszelkimi względami należnymi jego imieniu i stopniowi i dlatego właśnie nie spuszcza go z oka ani na chwilę.

Potem oddalił się, ukłoniwszy się księciu z grzecznością ironiczną, która tego ostatniego doprowadzała do największego gniewu.

La Ramée zatem był współstołownikiem księcia, jego nieustannym stróżem, cieniem jego ciała. Ale musimy przyznać, że towarzystwo pana la Ramée, wesołego, otwartego biesiadnika, dzielnego przy kielichu, doskonałego gracza w piłkę i zresztą poczciwego w duszy, mającego w oczach księcia tę jedną wadę, że się nie dał przekupić, stało się dla niego raczej rozrywką niż ciężarem.

Ale nie. tak było ze strony pana la Ramée, chociaż wysoko cenił zaszczyt znajdowania się pod zamknięciem z więźniem tak znakomitym, jednakże przyjemność poufałego pożycia z wnukiem Henryka IV nie wynagradzała mu dostatecznie przyjemności, jakiej byłby doznał, gdyby mógł niekiedy odwiedzić swoją rodzinę. Można być doskonałym dozorcą, ale zarazem dobrym ojcem i mężem. Otóż tedy pan la Ramée kochał zapamiętałe swoją żonę i dzieci, a od pewnego czasu nie widział ich inaczej, jak z wysokości murów, kiedy — dla przyniesienia mu pociechy — te drogie mu istoty przychodziły przechadzać się z drugiej strony fosy. Naturalnie nie było to dosyć dla niego i la Ramée uczuł, że jego humor, który uważał za przyczynę swego zdrowia, a który właśnie był jego skutkiem, nie wytrzyma długo przy takim porządku rzeczy. To przekonanie bardziej się jeszcze utwierdziło, kiedy wskutek coraz bardziej wzrastającej niechęci między księciem i panem de Chavigny ten ostatni zaprzestał odwiedzać swego więźnia. La Ramée uczuł wtedy, że odpowiedzialność, jaką wziął na siebie, zwiększyła się, a ponieważ bardzo pragnął ulżyć jej nieco, z radością przyjął propozycję swego przyjaciela, intendenta u marszałka de Gramont, aby sobie wziął pomocnika. Mówił zaraz o tym panu de Chavigny, który nie miał nic przeciwko temu, jeśli tylko kandydat odpowie wymaganiom.

Zdaje nam się zupełnie niepotrzebne skreślić naszym czytelnikom fizyczny lub moralny obraz Grimauda, jeśli (jak się spodziewamy) niezapamiętali pierwszej części naszej historii, bo w takim razie pamiętają zapewne charakter tej zacnej osoby, w której nie zaszła żadna zmiana prócz przybycia dwudziestu lat życia, przez co stał się jeszcze bardziej małomówny, a raczej milczący, chociaż od chwili zmiany swojego losu Atos dał mu pozwolenie mówienia. Ale to zaszło już po dwunastu czy piętnastu latach przymusowego milczenia, a przyzwyczajenie tyloletnie stało się dla niego drugą naturą.

XIX

GRIMAUD ZACZYNA DZIAŁAĆ

Grimaud więc przedstawił się z swoją korzystną powierzchownością w zamku Vincennes. Pan de Chavigny wmawiał w siebie i w innych, że ma oko nieomyślne, co mogłoby potwierdzić domysł, że był synem Richelieugo, który także zawsze miał do tego pretensję. Przypatrzył się więc bystro kandydatowi i osądził, że krzaczaste brwi, wąskie usta, nos orli i wystające policzki Grimauda są doskonałą wróżbą. Zapytał go tylko dwunastu wyrazami, Grimaud odpowiedział tylko czterema.

— O, to mi dzielny chłopak, od razu go poznałem — zawołał pan de Chavigny. — Idź, mój przyjacielu, przedstaw się panu la Ramée i powiedz mu, że ja jestem zupełnie z ciebie kontent.

Grimaud zrobił w lewo zwrot i udał się do pana la Ramée, gdzie miał podlec daleko ściślejszemu badaniu. Pan la Ramée wiedział, że gubernator zupełnie zdaje się na niego i nawzajem chciał znaleźć zastępcę, na którego mógłby się zdać równie zupełnie.

Grimaud miał właśnie przymioty, jakie każdy dozorca pragnie znaleźć w swoim zastępcy, dlatego po tysiącnych zapytaniach, na które otrzymał zaledwie czwartą część w odpowiedzi, la Ramée zachwycony tą wstrzemięźliwością słów zatarł ręce i przyjął Grimauda.

— Instrukcja? — zapytał Grimaud.

— Następująca: nigdy nie zostawiać więźnia samego, zabrać mu wszelkie ostre narzędzia, nie pozwalać mu dawać znaków ludziom przechadzającym się pod murami więzienia i zbyt długo rozmawiać z pilnującą go strażą.

— Nic więcej? — zapytał Grimaud.

— Na razie nic. Jeśliby zaszły nowe jakie okoliczności, otrzymasz nowe polecenie.

— Dobrze — odpowiedział Grimaud.

I wszedł do księcia de Beaufort. .

Ten właśnie zajęty był czesaniem swojej brody, którą zapuścił równie jak włosy, aby dokuczyć Mazariniemu, ukazując zanedbanie. Ale przed kilku dniami, zobaczywszy z wysokości swego więzienia przejeżdżający mimo powóz pani Montbazon, której wspomnienie zawsze mu było drogie, nie chciał być dla niej takim jak dla Mazariniego, w nadziei więc, że ją zobaczy, prosił, aby mu dano ołowiany grzebień i dostał go.

Księżę żądał ołowianego grzebienia, bo jak prawie wszyscy blondyni, mając rudą brodę, farbował ją przez czesanie ołowianym grzebieniem.

Grimaud wchodząc zobaczył grzebień, który księżę położył na stole, uklonił się i wziął grzebień.

Księżę spojrział ze zdziwieniem na tę szczególną figurę. Grimaud włożył grzebień do kieszeni.

— Hola! co to znaczy? — zawołał księżę — cóż to za nowa fizjonomia.

Grimaud nic nie odpowiedział, tylko uklonił się po raz drugi.

— Czy jesteś niemy? — zawołał księżę. Grimaud skinął głową przecząco.

— Kim więc jesteś — odpowiadaj, rozkazuję ci — rzekł księżę.

— Dozorcą — odpowiedział Grimaud.

— Dozorcą! — zawołał księżę — brawo, tylko tej karykatury brakowało jeszcze do mojej kolekcji. Hola! la Ramée!

Zawołany la Ramée przybiegł natychmiast. Na nieszczęście dla księcia, zdając się na Grimauda, chciał on pojechać do Paryża, już był na dziedzińcu i zawrócił z nieukontentowaniem.

— Co księżę rozkaże? — zapytał wchodząc,

— Kto to jest ten niedołęga, który zabrał mi grzebień i schował do kieszeni? — zapytał pan de Beaufort.

— Jest to nowoprzyjęty dozorca, chłopiec bardzo zdatny do swego urzędu, spodziewam się, że księżę wkrótce oddasz mu sprawiedliwość jak pan de Chavigny i ja.

— Ale dlaczego zabrał mój grzebień?

— W istocie — rzekł la Ramée — dlaczego wzięłeś grzebień księciu?

Grimaud dobył grzebień z kieszeni, przesunął palcem po zębach i pokazując skrajny ząb grubszy niż inne, powiedział tylko jeden wyraz:

— Ostry.

— To prawda — rzekł la Ramée.

— Co mówił ten głupiec? — zapytał księżę.

— Że wszelkie narzędzia ostre wzbronione są waszej książęcej mości.

— Ależ, mój la Ramée, przecież ty sam dałeś mi ten grzebień.

— I bardzo źle uczyniłem, bo dając go waszej książęcej mości, uchybiłem przepisom — odpowiedział la Ramée.

Księżę spojrział wściekle na Grimauda, który oddał grzebień panu la Ramée.

— Przewiduję — rzekł księżę z cicha — że tego człowieka znienawidzę bardziej niż kogo bądź innego.

Księżę rozmyślał nad wykonaniem żartu, na który wiele liczył; zażądał na jutrzejsze śniadanie raków i cały dzień postanowił przepędzić na budowaniu kratki, za którą chciał umieścić w wydrążeniu framugi największego raka. Ponieważ czerwony kolor tego skorupiaka objaśnić miał alegorię zamierzoną przez księcia, ten zawczasu cieszył się myślą, że uwięzi i n e f f i g i e Mazariniego, nie mogąc go uwięzić i n natura, i że zarazem nikt mu nie będzie mógł nic innego zarzucić, jak tylko, że uwięził raka.

Wyszedłszy na przechadzkę, księżę ułamał kilka gałązek, z których zamierzał związać kratkę, i po długim szukaniu z wielką radością znalazł kawałek stłuczonej szklanki, która miała mu być pomocna w robocie. Wszedłszy do izby zajął się zaraz przyrządzaniem jutrzejszej zabawki.

Grimaud bystro, badawczym okiem patrzył na wszystko.

Nazajutrz z rana kratka była gotowa i aby ją przymocować do podłogi, księżę zaczął kawałkiem stłuczonego szkła zaostrzać jej końce.

La Ramée patrzył na wszystkie te przygotowania z ciekawością ojca, który chce się nauczyć jakiejś nowej zabawki dla ucieszenia nią syna.

Grimaud wszedł, kiedy księżę odłożył kawałek stłuczonego szkła, chociaż jeszcze nie zaostrzył dostatecznie słupków, ale przerwał sobie tę robotę, aby uprzątnąć framugę.

Księżę spojrział z nieukontentowaniem na Grimauda, ale zapomniał o nim na chwilę, ciesząc się w myśli zabawnymi skutkami swojego nowego wymysłu.

Ale uprzątnąwszy miejsce mające stanowić więzienie dla raka księżę obejrzał się szukając kawałka szkła, który położył na boku, i spostrzegł, że go już tam nie było.

— Kto mi wziął mój kawałek szkła? — zapytał księżę marszcząc brwi.

Grimaud odpowiedział skinieniem, że on.

— Jak to, znowu ty? a dlaczego?

— Tak — powtórzył la Ramée — dlaczego wzięłeś księciu ten kawałek szkła?

Grimaud pokazał szkło i przesunąwszy palcem po brzegu rzekł:

— Ostre.

— To prawda! — zawołał la Ramée. — Do pioruna, ten chłopak jest nieoceniony.

— Mości Grimaud! — zawołał księżę — dla twojego własnego dobra przestrzegam cię, nie nasuwaj mi się tak blisko, abym cię mógł ręką dosięgnąć.

Grimaud uklonił się i usunął się w głąb pokoju.

— Nie gniewaj się, księżę — rzekł la Ramée — i pozwól mi twoją małą krateczkę, zaostrzę jej końce scyzorykiem, który mam przy sobie.

— Pan! — zawołał księżę śmiejąc się.

— Czemuż nie, przecież tyle potrafię zrobić.

— W istocie to będzie jeszcze śmieszniej, masz, mój kochany la Ramée.

La Ramée, który nie zrozumiał znaczenia słów księcia, zaostrił dolne końce dwóch słupków bardzo kształtnie.

— A teraz — rzekł dalej książę — umocuj te dwa końce w spodzie framugi, a ja pójde poszukać pacjenta.

La Ramée przyklął na podłodze i za pomocą scyzoryka wywierciwszy dwie dziurki między deskami, osadził w nich mocno końce kratki.

Książę przez ten czas wybrawszy największego raka wsadził go za kratę śmiejąc się z całego serca.

La Ramée także śmiał się do rozpuku, nie wiedząc z czego . się śmieje, a czterej żołnierze straży poszli za jego przykładem.

Sam tylko Grimaud nie śmiał się. Zbliżył się do la Ramée i pokazując palcem na raka rzekł:

— To Mazarini.

— Uwięziony przez księcia , de Beaufort i pana Jakuba Chryzostoma la Ramée, dozorcę zamku Vincennes — dodał książę śmiejąc się jeszcze głośniej niż poprzednio.

La Ramée krzyknął z przestachem i rzucił się ku kratce, którą wyrwał z framugi, połamał na kawałki i wyrzucił za okno. To samo chciał zrobić z rakiem, tak był pomieszany, ale Grimaud wziął mu go z ręki mówiąc:

— Lepiej go zjeść! — i włożył raka do kieszeni.

Książę był tak ucieszony tą sceną, że prawie nie mógł gniewać się na Grimauda za rolę, jaką on w niej odegrał. Ale kiedy przeminęła chwila wesołości, książę zastanowił się nad całym wypadkiem i uczuł, że Grimaud nie dla rozweselenia go objaśnił swemu zwierzchnikowi myśl alegorii z rakiem, a nienawiść, jaką powziął od pierwszego wejrzenia ku temu nowemu strażnikowi, jeszcze się bardziej zwiększyła.

Historia o raku, ku wielkiemu zmartwieniu pana la Ramée, rozeszła się po całym zamku i nawet za jego murami. Pan de Chavigny, który w duszy nienawidził Mazariniego, po cichu opowiedział cały wypadek kilku przyjaciółom, którzy z swojej strony rozgłosili go u dworu.

Tymczasem pan de Beaufort nudził się znowu w swoim więzieniu, szukając jakiej bądź rozrywki. Upatrzył pomiędzy pilnującą go strażą jednego, którego rysy dość korzystnie przemawiały za nim i tym bardziej był dla niego przychylny, im bardziej postępował w nienawiści ku nowemu strażnikowi. Pewnego poranku, kiedy wziął swego ulubionego żołnierza na stronę i rozmawiał z nim przez pewien czas sam na sam, wszedł Grimaud, popatrzył przez chwilę, po czym zbliżając się z uszanowaniem, do księcia i żołnierza, wziął tego ostatniego za rękę.

— Czego chcesz? — zapytał gwałtownie książę. Grimaud odprowadził na kilka kroków żołnierza i pokazał

mu drzwi.

— Wyjdź — rzekł ponuro.

Żołnierz wyszedł.

— Ach, to nie do zniesienia! — zawołał książę — lękaj się mego gniewu.

Grimaud uklonił się z uszanowaniem.

— Połamię ci kości! — krzyknął książę z większym gniewem. Grimaud cofnął się z ukłonem.

— Własnymi rękami uduszę cię.

Grimaud znowu uklonił się, cofając się jeszcze dalej.

— I to natychmiast — dodał książę pomyślawszy, że lepiej od razu zakończyć tę sprawę.

I wyciągnął ku Grimaudowi dwie silne ręce.

Grimaud, widząc to, nie zawołał pomocy ani starał się bronić, podniósł tylko wskazujący palec prawej ręki do ust i z najuprzejmiejszym uśmiechem wymówił tylko:

— Cicho!

Tak rzadkim był zjawiskiem u Grimauda uśmiech, gest i wyraz, że książę zatrzymał się nagle W największym zadziwieniu.

Grimaud, korzystając z chwili, dobył z podszewki swojej kamizelki śliczniuchny, malutki, wonny bilecik i podał go księciu nie mówiąc ani słowa.

Książę bardziej jeszcze zdziwiony wziął bilet i poznając pismo zawołał:

— Od pani de Montbazon!

Grimaud skinął głową.

Książę rozdarł szybko kopertę, przetarł oczy ręką, tak bardzo był zmieszany, i czytał, co następuje:

„Kochany książę!

Możesz najzupełniej zaufać poczciwemu człowiekowi, który ci ten list odda, jest to bowiem służący pewnego rycerza, który do nas należy i który zapewnił nas o jego wierności przez dwadzieścia lat wypróbowanej. Przystał on na objęcie służby w więzieniu i zamknięcie wraz z wami w Vincennes, aby przygotować i zapewnić waszą ucieczkę, którą my się zajmujemy.

Chwila uwolnienia zbliża się, nabierzcie cierpliwości i odwagi myśląc o tym, że mimo czasu i nieobecności, wszyscy wasi przyjaciele zachowali dla was uczucia, jakie od dawna żywili.

Zawsze wam szczerze życzliwa

Maria de Montbazon

P. S. Podpisałam całe nazwisko, bo byłoby zbyt próżnością przypuszczać, że po pięciu latach oddalenia poznalibyście moje pismo i odgadli podpis dwóch liter początkowych”.

Książę przez chwilę pozostawał w zupełnym osłupieniu. To, czego nadaremnie oczekiwał od lat pięciu, spadło mu nagle z nieba, w chwili kiedy się tego najmniej spodziewał.

— Och! droga. Mario — rzekł z cicha, skończywszy czytanie. — A więc to ciebie widziałem w głębi karety! Jak ta! ona myśli jeszcze o mnie po pięciu latach rozłąki?

Potem, odwracając się do Grimauda, rzekł:

— Ach ty, mój dzielny chłopcze, chcesz mi pomóc? Grimaud skinął głową.

— I przybyłeś tu umyślnie dlatego? Grimaud powtórzył to samo skinienie.

— A ja chciałem go udusić! — zawołał książę. Grimaud uśmiechnął się.

— Ale czekaj — rzekł książę.

I zaczął szukać w kieszeni.

— Czekaj — powtórzył sięgając do innych kieszeni — podobne poświęcenie się dla wnuka Henryka IV nie zostanie bez nagrody.

Poruszenie księcia de Beaufort okazywało najpiękniejszy w świecie zamiar, ale zapomniał o tym, że w Vincennes nie zostawiano więźniom pieniędzy.

Grimaud, widząc kłopot księcia, wydobyl z kieszeni kiesę pełną złota i podał mu ją: .

— Zapewne tego, książę, szukasz — rzekł.

Książę wziął kiesę i chciał ją wypróżnić w ręce Grimauda, ale ten cofnął się mówiąc:

— Dziękuję wam, książę — otrzymałem już zapłatę. Książę, coraz bardziej zdziwiony, podał mu rękę. Grimaud

zbliżył się i pocałował ją z uszanowaniem.

— A teraz — zapytał' książę — cóż uczynimy?

— Teraz jest godzina jedenasta z rana — rzekł Grimaud.— Niech książę. o drugiej pójdzie grać w piłkę z panem la Ramée

i rzuci kilka piłek poza mury zamku.

— Dobrze, a potem?...

— Potem książę zbliży się do muru i zawoła do człowieka pracującego w fosie, żeby pozbierał piłki i rzucił do zamku.

— Rozumiem — rzekł książę.

Twarz Grimauda okazywała żywe zadowolenie, po chwili chciał odejść.

— Jak to? — zapytał książę zatrzymując go — nie chcesz nic przyjąć ode mnie?

— Chciałbym, żeby mi książę jedną rzecz obiecał.

— Mów.

— Że kiedy będziemy uciekać, wszędzie i zawsze ja będę szedł pierwszy, bo jeżeliby schwymano waszą książęcą mość, w najgorszym razie wróciłbyś, panie, do więzienia, tymczasem ze mną pewno by się gorzej skończyło.

— Najszlachetniej — rzekł książę — i na honor szlachcica, stanie się, jak żądasz.

— Teraz — dodał Grimaud — pozostaje mi tylko prosić księcia pana, aby mię jak dotąd zaszczycił całą swoją nienawiścią.

— Będę się starał — odpowiedział książę. Po chwili zastukano do drzwi.

Książę włożył list i sakiewkę do kieszeni i rzucił się na łóżko. Wiedziano, że to jest jedyna jego pociecha w chwilach wielkich nudów. Grimaud otworzył drzwi. Był to pan la Ramée, który wracał od kardynała, gdzie rozegrała się scena, którą opisaliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów.

La Ramée rzucił wokoło badawcze spojrzenie i widząc ciągle te same oznaki nienawiści między więźniem i nowym dozorcą, uśmiechnął się z wewnętrznym zadowoleniem.

Potem, zwracając się do Grimauda, rzekł:

— Dobrze, mój przyjacielu, dobrze, mówiło się właśnie o tobie w pewnym miejscu i spodziewam się, że wkrótce otrzymasz nowiny, które ci będą bardzo przyjemne.

Grimaud uklonił się z miną uprzejmą i wyszedł, co zwykle czynił, kiedy jego zwierzchnik przybywał.

— I cóż — rzekł la Ramée z rubasznym uśmiechem — wasza książęca mość zawsze niemile patrzysz na tego biedaka?

— Ach, to ty, panie la Ramée — zawołał książę — właśnie czekałem na ciebie niecierpliwie. Rzuciłem się na łóżko i odwróciłem do ściany, aby nie doznawać pokusy dotrzymania słowa i połamania kości temu niegodziwcowi Grimaud.

— Nie sądzę jednak — rzekł la Ramée czyniąc dowcipną przymówkę do milczenia swego podwładnego — żeby Grimaud powiedział coś, co by się nie podobało waszej książęcej mości.

— Naturalnie, że nie, to jest niemy dzikus. Ale mówiłem ci, kochany la Ramée, że czekałem twego przybycia niecierpliwie.

— Książę, jesteś zbyt dobry — rzekł la Ramée ucieszony grzecznością pana de Beaufort.

— Tak — mówił dalej książę — w istocie jestem dziś tak niezgrabny, że się tym ubawisz niezawodnie.

— Zagramy więc w piłkę — rzekł machinalnie la Ramée.

— Jeśli zechcesz.

— Jestem na rozkazy waszej książęcej mości.

— Wiesz co, kochany la Ramée, jesteś doskonałym człowiekiem i rad bym całe życie przepędzić w Vincennes, aby tylko być zawsze z tobą.

— Sądzę, że Mazarini nie ma zamiaru przeszkodzić spełnieniu się tego życzenia waszej książęcej mości.

— Jak to, czy go widziałeś w tych dniach?

— Przysłał tu dziś po mnie.

— W istocie, aby z tobą o mnie mówić?

— A o kimże innym mógłbym mówić? Na honor, książę, pan jesteś jego nocnym straszidłem. Książę uśmiechnął się gorzko.

— Ach! — rzekł — gdybyś chciał przyjąć moje ofiary, la Ramée.

— Otóż znowu stare dzieje, proszę was, książę, przestańcie.

— La Ramée, powiedziałem ci i powtarzam, że zapewnisz sobie świetny los. Niech tylko wyjdę stąd, a natychmiast będę panem Paryża.

— Cyt! cyt! czyliż ja powinienem słuchać takich rzeczy? Oto śliczna rozmowa dla oficera królewskiego! Widzę, książę, że będę musiał poszukać drugiego Grimauda.

— No, nie mówmy już o tym. Otóż tedy była o mnie mowa między tobą i kardynałem. La Kamee, powinien byś, jak cię jeszcze raz wezwie, dać mi swoje suknie, ja bym poszedł za ciebie, udusiłbym go i gdybyś to za warunek położył, wróciłbym dobrowolnie do więzienia.

— Książę, widzę, że muszę zawołać Grimauda.

— Już nie mówię o tym. No i cóż powiedział ci ten Mazarini?

— Co mi powiedział? Żebym podwoił gorliwość strzeżenia waszej książęcej mości.

— I po cóż to podwojenie? — zapytał książę niespokojny.

— Ponieważ jeden astrolog przepowiedział, że nam książę ucieknie.

— Ach! jakiś astrolog to przepowiedział — powtórzył książę zadrżawszy mimowolnie.

— Istotnie — odpowiedział la Ramée — te łotry nie wiedzą już, co robić, żeby dokuczać biednym ludziom.

— I cóżeś ty powiedział jego eminencji?

— Że jeżeli astrolog ten pisze kalendarze, nikt nie powinien ich kupować.

— Dlaczego?

— Bo aby uciec, książę musiałbyś stać się ptakiem albo rybą.

— Dobrześ niestety powiedział. No, pójdźmy grać w piłkę.

— Muszę prosić waszą książęcą mość, żeby mi raczył dać jeszcze na pół godziny zwolnienie.

— Po co?

— Ponieważ Mazarini jest dumniejszy od waszej książęcej mości i nie zaprosił mię nawet na śniadanie.

— No, to każe ci przynieść tu co do zjedzenia.

— Nie, nie, mości książę, dziękuję. Właśnie miałem księciu donieść, że pasztetnik, który mieszkał naprzeciwko i którego nazywano starym Marteau...

— Cóż?

— Przed ośmiu dniami sprzedał swój zakład jednemu pasztetnikowi z Paryża, który jak się zdaje z porady lekarzy wyprowadził się na wieś.

— Nie widzę jednak, co to może mnie obchodzić.

— Cierpliwości, mości książę. Otóż ten przeklęty pasztetnik wystawia przed swoim sklepem mnóstwo rzeczy, na których widok ślinka cieknie.

— Och, ty żarłoku!

— Nie trzeba być żarłokiem, żeby lubić dobrze zjeść. W naturze człowieka leży chęć szukania doskonałości tak w pasztetach, jak i w innych rzeczach. Otóż ten pasztetnik widząc mię przechodzącego wyszedł do mnie i rzekł:

— „Panie la Ramée, bardzo byłoby mi przyjemnie, gdybym mógł *znaleźć* zbyt moich wyrobów u więźniów, kupiłem ten zakład od mego poprzednika, ponieważ zapewnił mię, że bardzo dużo sprzedawał zawsze do zamku, tymczasem, na honor, przez cały ten czas, jak tu jestem, pan de Chavigny nie kupił jeszcze ode mnie ani jednego ciastka.

— Zapewne — odpowiedziałem mu — pan de Chavigny obawia się, że ciastka pańskie nie będą dobre.

— Niedobre! moje ciastka! Panie la Ramée, chcę pana uczynić sędzią i to natychmiast

— Nie mogę — odpowiedziałem mu — muszę iść do zamku.

— A więc idź pan, gdzie go powinnośc wzywa, ponieważ widzę, że się pan śpieszy; ale chciej tu powrócić za pół godziny.

— Za pół godziny?

— Tak jest. Czy pan już jesteś po śniadaniu? — Jeszcze nie.

— Brawo! Czeka więc pana pasztet i butelka starego burgunda". — Widzisz więc, wasza książęcą mość, iż będąc jeszcze na sucho, chciałbym jego pozwolenia.

I la Ramée uklonił się.

— No, idź, idź — odpowiedział książę — ale pamiętaj, że ci daję pół godziny czasu.

— Mogęz obiecać następcy starego Marteau, że wasza książęcą mość raczysz zaszczyścić jego kuchnię swoim zaufaniem?

— I owszem, tylko żeby nie kładł grzybów do pasztetów, wiesz dobrze — dodał książę — te grzyby tutejszej okolicy są trucizną dla mojej rodziny.

La Ramée wyszedł nie zauważając niby tej aluzji, a w pięć minut potem wszedł oficer straży pod pozorem, żeby książę się nie nudził, właściwie zaś wskutek nowych rozkazów kardynała, który polecił nie spuszczać więźnia z oka.

Ale przed jego wejściem książę miał czas przeczytać jeszcze raz list pani de Montbazon, który mu dowodził, że jego przyjaciele nie zapomnieli o nim i zajmują się jego uwolnieniem; w jaki sposób — o tym jeszcze nie wiedział, ale pomimo milczenia Grimauda, spodziewał się wydobyć jeszcze z niego i tę wiadomość. Książę pokładał teraz zupełne w nim zaufanie, nie trudno mu bowiem było odgadnąć, że te wszystkie drobne prześladowania, jakie Grimaud wynajdywał przeciw niemu w pierwszych dniach swego pobytu w więzieniu, miały na celu to tylko, żeby nikt w zamku nie mógł powziąć podejrzenia o wzajemnym porozumieniu więźnia z dozorcą.

Ten podstęp obudził w księciu wysokie wyobrażenie o przebiegłości i zręczności Grimauda, któremu postanowił ślepo zaufać.

CO SIĘ ZNAJDOWAŁO WEWNĄTRZ PASZTETU, SPORZĄDZONEGO PRZEZ NASTĘPCĘ OJCA MARTEAU

W pół godziny powrócił la Ramée, wesoły i zadowolony jak człowiek, który dobrze zjadł i wypił. Uznał on pasztety nowego restauratora za doskonałe, a jego wino za wyborne.

Pogoda była piękna i pozwalała zabawić się projektowaną grą w piłkę. W Vincennes grano w piłkę pod gołym niebem; nic więc nie było trudnego dla księcia wykonać to, co mu Grimaud zalecił, to jest, wyrzucić kilka piłek w fosę poza murem.

Jednakże przed uderzeniem drugiej godziny książę grał dosyć zręcznie, bo druga godzina była chwilą umówioną. Przegrał jednak kilka partii, co usprawiedliwiało, że się książę gniewał i — jak to zwykle w takich razach bywa — grał coraz gorzej.

Dlatego też po uderzeniu drugiej godziny piłki coraz częściej spadały za mur, ku radości pana la Ramée, który znaczył dla siebie piętnaście punktów za każdą piłkę, która przeleciała za metę.

Wkrótce tak wiele piłek wyszło za mur, że ich zabrakło do gry. La Ramée chciał posłać kogoś, aby je pozbił w fosie, ale książę uczynił bardzo słuszną uwagę, że to by wiele czasu zajęło, i zbliżając się do muru, który w tym miejscu — jak mówił la Ramée — miał przynajmniej pięćdziesiąt stóp wysokości, spostrzegł człowieka pracującego w jednym z licznych ogródków pokrywających spadzistość fosy.

— Hej, przyjacielu! — zawołał książę.

Człowiek pracujący na dole podniósł głowę i książę zaledwie nie krzyknął ze zdziwienia. Tak, ten ogrodnik był to Rochefort, który jak książę sądził — był zamknięty w Bastylii.

— A czego panowie potrzebujecie?

— Bądź tak dobry, rzuć nam te' piłki, które tam spadły — zawołał książę.

Ogrodnik zaczął zaraz zbierać piłki i rzucać je w górę, la Ramée i żołnierze podejmowali je. Jedna spadła przy nogach księcia, który domyślił się, że była umyślnie dla niego przeznaczona, i schował ją do kieszeni.

Potem, podziękowawszy skinieniem mniemanemu ogrodnikowi, wrócił do gry.

Ale widocznie książę nie miał szczęścia, piłki ciągle wylatywały za metę, dwie czy trzy wpadły w fosę, a ponieważ ogrodnik oddalił się, przeto nie było komu podać ich, i na koniec książę oświadczył, że wstydzi się tak ciąglej niezręczności i nie chce grać dłużej.

La Ramée był zachwycony, że tak zupełnie zwyciężył swego przeciwnika.

Książę wróciwszy do swego pokoju położył się, co prawie zawsze czynił od czasu, jak mu zabrano jego bibliotekę.

La Ramée zabrał suknie księcia pod pozorem, że były zakurzone i że każe oczyścić je, ale właściwie dlatego, żeby być pewnym, iż książę nie oddali się z swego pokoju.

Na szczęście książę miał czas ukryć piłkę pod poduszką. Skoro tylko zamknięto drzwi, książę rozdarł zębami poszycie piłki, bo nie zostawiono mu żadnego ostrego narzędzia, i znalazł w niej list następujący:

„Książę, twoi przyjaciele czuwają i godzina uwolnienia zbliża się. Pojutrze każ sobie przynieść pasztet od nowego restauratora, którym jest kucharz waszej książęcej mości, Noirmont. Nie otwieraj pasztetu, aż będziesz sam, spodziewam się, że będziesz zadowolony z tego, co w nim znajdziesz. Zawsze wierny sługa waszej książęcej mości, w Bastylii czy gdziekolwiek indziej

Hrabia de Rochefort

P.S. Wasza książęca mość może najzupełniej powierzyć się Grimaudowi; jest to bardzo rozsądny człowiek i zupełnie nam oddany".

Książę, któremu zwrócono ogień od chwili, jak się zrzekł rysunków, spalił ten list również jak poprzedni, od pani de Montbazon, chociaż mu to było przykre; już miał i piłkę wrzucić w ogień, ale pomyślał, że ta może mu się przydać do przesłania odpowiedzi Rochefortowi.

Strzeżono go bardzo pilnie, bo zaledwie usłyszano, że przeszedł się po pokoju, la Ramée wszedł.

— Czy wasza książęca mość potrzebuje czego? — rzekł.

— Zimno mi było i rozżarzyłem ogień, żeby się rozgrzać. Wiesz, mój kochany, że izby w Vincennes bardzo są chłodne.

I książę położył się znowu do łóżka i schował nieznacznie piłkę pod poduszkę.

— Ale, mój kochany la Ramée, zapomniałem zapytać się, jak ci smakowało śniadanie u nowego paszтетnika.

— W istocie, książę, muszę mu oddać sprawiedliwość, paszтет jego był doskonały i wino niepospolite.

— Bardzo wierzę, że jego kuchnia i piwnica lepsze są niż u pana de Chavigny.

— I cóż księciu przeszkadza spróbować ich? Ja nawet już przyrzekłem mu, że będzie miał zbyt w zamku.

— Masz słuszość — rzekł książę — jeśli mam tu pozostać na całe życie, jak kardynał mi obiecuje, powinienem wynaleźć sobie pociechę i rozrywkę na stare lata, zrobię się zatem żarłokiem.

— Książę — rzekł la Ramée — chciej posłuchać dobrej rady i nie czekaj z tym, aż będziesz stary.

„Zdaje się — rzekł książę sam do siebie — że zamiłowanie do dobrego jedzenia jest słabością mojego poczciwego la Ramée. Dobrze, będziemy umieli korzystać z tego”.

Potem odezwał się głośno:

— Zgoda, mój kochany la Ramée, chcę skorzystać z twojej rady. Wszak to pojutrze święto.

— Tak, mości książę. Zielone Świątki.

— Czy zechcesz dać mi lekcję pojutrze?

— Czego?

— Jedzenia.

— Z całego serca.

— Ale ta lekcja powinna odbyć się sam na sam, między nami dwoma. Poślemy żołnierzy na obiad do kuchni pana de Chavigny, a sami wyprawimy sobie śniadanie, którego urządzenie tobie powierzam.

Propozycja była ponętna. Ale pan la Ramée był starym lisem, który znał wszystkie sidła, jakie mogą zastawić więźniowie. Książę de Beaufort sam mówił, że ma czterdzieści sposobów ucieczki, to śniadanie może ukrywać jakiś podstęp.

Namyślał się przez jakiś czas, ale rezultatem tego namysłu było: że sam zamówi i każe przynieść pod swoim dozorem jedzenie i wino, a zatem nikt nie będzie mógł domieszać nic takiego, co by go uspić mogło, a o upiciu się nie mógł nawet pomyśleć.

Książę niespokojnym dość okiem śledził wyraz twarzy swego dozorca w czasie jego nie wypowiedzianego monologu; ale na koniec twarz pana la Ramée rozweseliła się.

— No i cóż — zapytał książę — przystajesz? — Tak, mości książę, z. jednym warunkiem. — Jakim?

— Że Grimaud będzie nam usługiwał przy stole.

Nic nie mogło być korzystniejszego dla księcia. Jednakże miał tyle władzy nad sobą, że udał największe nieukontentowanie.

— Niech szatan porwie twój Grimaud! — zawołał gniewnie — on mi zepsuje całą biesiadę.

— Każę mu stać za księciem, a ponieważ on prawie nigdy nie mówi, książę więc nie będzie go ani słyszał, ani widział i przy dobrej woli będzie mógł wyobrazić sobie, że on jest o sto mil od nas.

— Mój kochany — rzekł książę — wiesz, co ja widzę najwyraźniej w tym wszystkim? że mi nie dowierzasz.

— Mości książę, pojutrze Zielone Świątki.

— A cóż dla mnie znaczą Zielone Świątki!

— Czy nie powiedziałem waszej książęcej mości, co prorokuje jakiś człowiek?

— Cóż takiego? zapomniałem.

— Że nim miną Zielone Świątki, wasza książęca mość wydobędzie się z więzienia.

— I ty wierzysz, w czarowników?

— Ja nie, ale kardynał wierzy, jest bowiem Włochem, a zatem zabobonny.

Książę wzruszył ramionami.

— A więc niech i tak będzie — rzekł z dobroduszą wybornie udaną — przyjmuję obecność Grimauda, ale więcej nikogo. Ty zajmiesz się wszystkim, zamówisz śniadanie podług twego gustu, jedno tylko wymawiam sobie, żeby był pasztet od tego pasztetnika, którego tak chwalisz. Zamówisz go dla mnie, żeby następca starego Marteau wysilił swoją umiejętność, i przyrzekniesz, że będzie miał u mnie zbyt nie tylko teraz, ale nawet jak już wyjdę z więzienia.

— Zawsze więc książę myślisz, że z niego wyjdiesz? — rzekł la Ramée.

— Do pioruna! — odpowiedział książę — chociażby po śmierci Mazariniego, jestem o piętnaście lat młodszy od niego. To prawda — dodał po chwili — że w Vincennes krócej się żyje.

— Co za myśl, książę! — zawołał la Ramée.

— Albo raczej prędzej się umiera, co na jedno wychodzi — dodał pan de Beaufort.

— Pójdę zamówić śniadanie! — rzekł la Ramée chcąc przerwać księciu myśli, które wzięły tak nieprzyjemny obrót.

— Czy sądzisz, że twoje lekcje ze mną nie będą nadaremne i że nauczysz czegoś twego ucznia?

— Jestem tego pewny — odpowiedział la Ramée.

— Tak, jeśli ja ci dam czas do tego — mruknął książę.

— Czy wasza książęca mość mówił co? — zapytał la Ramée, który tych słów nie usłyszał.

— Mówiłem, żebyś — zamawiając śniadanie — nie oszczędzał szkatuły kardynała, który dobrowolnie przyjął na siebie koszty mojego utrzymania.

La Ramée zatrzymał się przy drzwiach.

— Kogo mam tu przysłać dla rozrywki waszej książęcej mości? — zapytał.

— Kogo chcesz, byle nie Grimauda.

— A więc oficera straży.

— Dobrze, i niech przyniesie z sobą szachy.

— Stanie się zadość woli waszej książęcej mości.

La Ramée wszedł.

W pięć minut potem wszedł oficer warty i książę Beaufort zaczął z nim partię szachów.

Tak książę zabił czas do godziny ósmej wieczór. Niedługo miała nadejść noc, a z nocą sen.

Książę tak myślał, ale sen jest to kapryśne bóstwo i najmniej wtenczas śpieszy się do nas, kiedy go wołamy. Książę przewracał się w łóżku do północy, na koniec usnął.

Zbudziwszy się, książę czynił, co tylko mógł, aby nie zasnąć na nowo, i la Ramée wszedłszy z rana zastał go tak bladym i znużonym, że z troskliwością zapytał go, czy nie jest chory.

— W istocie — rzekł jeden z żołnierzy, który spał w pokoju księcia, ale przepędził noc bezsennością z powodu bólu zębów — jego książęca mość miał noc bardzo niespokojną i kilka razy we śnie wołał o pomoc.

— Cóż to jest waszej książęcej mości? — zapytał la Ramée.

— Ech, to ty — odpowiedział książę — twoimi przepowiedniami ucieczki przewróciłeś mi w głowie, śniło mi się, że uciekłam stąd i zem kark skrzył.

La Ramée roześmiał się głośno.

— Widzisz, książę, to jest przestroga nieba i spodziewam się, że wasza książęca mość nie popełnisz tej nieroztropności.

— Masz słusność, mój kochany la Ramée — odrzekł książę obcierając pot z czoła — nie chcę o niczym już myśleć tylko o jedzeniu i picu.

La Ramée kazał oddalić się straży pod różnymi pozorami.

— No i cóż? — zapytał książę, kiedy pozostali sami.

— Śniadanie już zamówione — odpowiedział la Ramée. — I z czegoż będzie się składało, panie mistrzu obrzędów?

— Wasza książęca mość raczyłeś zdać się na mój gust.

— Ale będzie pasztet?

— Naturalnie, ogromny jak wieża.

— Zrobiony przez następcę starego Marteau? — Tak jest.

— I powiedziałaś mu, że to dla mnie?

— Powiedziałem.

— A cóż on powiedział?

— Że całych sił dołoży, żeby zadowolić waszą książęcą mość.

— To dobrze! — zawołał książę zacierając ręce.

— Do pioruna! — rzekł la Ramée — zdaje mi się, że niedługo uczeń przewyższy nauczyciela, od pięciu lat nie widziałem waszej książęcej mości tak wesołym, jak teraz, kiedy mówimy o śniadaniu.

Książę spostrzegł, że nie dość był panem siebie. W tej chwili, jakby podsłuchiwał u drzwi i uznał, że trzeba odwrócić uwagę pana la Kamee — Grimaud wszedł i skinął na niego, że ma mu coś do powiedzenia. La Ramée zbliżył się do Grimauda, który powiedział mu coś do ucha.

Książę przez ten czas uspokoił się zupełnie.

— Zabroniłem temu człowiekowi wchodzić tu bez mego pozwolenia — rzekł cierpko.

— Racz mu wasza książęca mość przebaczyć; bo on przyszedł na moje wezwanie.

— I dlaczegoś go wezwał, kiedy wiesz, że go nie lubię?

— Wasza książęca mość przypomina sobie, co było umówione — rzekł la Ramée — że Grimaud usługiwać nam będzie przytym sławnym śniadaniu. Czy książę zapomniał o śniadaniu?

— Nie, ale zapomniałem o panu Grimaud.

— Ale to śniadanie obejść się bez niego nie może.

— No, no, już niech będzie.

— Zbliż się, mój chłopcze, i słuchaj, co ci powiem. Grimaud zbliżył się z miną najobojętniejszą.

La Ramée mówił dalej:

— Książę czyni mi zaszczyt, wzywając mię, abym jutro podzielił z nim śniadanie sam na sam.

Grimaud uczynił poruszenie, jakby nie pojmował, co to go może obchodzić.

— Tak, tak, to dotyczy ciebie — dodał la Ramée — ponieważ będziesz miał zaszczyt usługiwać nam przy tej uczcie i choć nam nie zbędzie na apetycie i pragnieniu, zawsze jeszcze zostanie się coś i na półmiskach, i w butelkach, a to coś będzie dla ciebie.

Grimaud uklonił się na znak podziękowania.

A teraz — zaczął znowu la Ramée — muszę prosić księcia o pozwolenie oddalenia się, bo pan de Chavigny, jak się zdaje, wyjeżdża na kilka dni i przed wyjazdem chce mi wydać potrzebne polecenia.

Książę chciał porozumieć się oczami z Grimaudem, ale oczy tego ostatniego nic nie mówiły.

— Idź, idź, panie la Ramée — rzekł książę — i powracaj jak najprędzej.

— Wasza książęca mość zapewne zechce pomścić się za wczorajszą przegraną piłkę.

— Tak — odpowiedział książę — ale pamiętaj, mój kochany la Ramée, że dni następują po sobie, ale nie są do siebie podobne i ja mam ochotę pobić cię dzisiaj.

La Ramée wyszedł; Grimaud patrzył za nim, nie ruszając się z miejsca; dopiero gdy się drzwi zamknęły, wydobył szybko z kieszeni ołówek i ćwiartkę papieru.

— Pisz, wasza książęca mość — rzekł.

— I cóż mam pisać?

Grimaud wskazał palcem i dyktował:

„Wszystko jest gotowe na jutrzejszy wieczór, bądźcie w pogotowiu od siódmej do dziewiętej, miejcie pod ręką luźne konie, ujdziemy pierwszym oknem galerii”. — Co więcej? — i zapytał książę.

— Co więcej? — powtórzył. Grimaud zdziwiony — podpisz, wasza książęca mość.

— Gzy to już wszystko?

— A czegoż trzeba więcej? — rzekł Grimaud, który nade wszystko lubił lakoniczność.

Książę podpisał.

— Teraz — *rzeki* dalej Grimaud — czy wasz książęca mość zniszczył tamtą piłkę?

— Jaką piłkę?

— Tę, w której był list.

— Nie, sądziłem bowiem, że może nam się przydać, i oto jest. — I książę wyjął piłkę spod poduszki, i podał ją Grimaudowi. Grimaud uśmiechnął się nieskończenie przyjemnie.

— I cóż? — zapytał książę.

— Wszyję ten list w piłkę i wasza książęca mość grając rzuci ją w fosę.

— Ale może ona nie dojdzie do rąk właściwych. — Bądź wasza książęca mość spokojny, będzie tam ktoś, kto ją podniesie.

— Ogrodnik? — zapytał książę.

Grimaud skinął głową na znak potwierdzenia..

— Ten sam co wczoraj?

Grimaud powtórzył skinienie.

— Hrabia de Rochefort?

Grimaud trzykrotnie skinął potwierdzająco.

— Ale, proszę cię — rzekł książę — powiedz mi przynajmniej cokolwiek o szczegółach naszej ucieczki.

— To mi jest wzbronione — odrzekł Grimaud — aż do chwili wykonania.

— Któż będzie na mnie czekał z tamtej strony fosy?

— Nic nie wiem, mości książę.

— Ale przynajmniej powiedz mi, co będzie w tym pasztecie, jeżeli nie chcesz, żebym zmysły stracił.

— Będą w nim dwa sztylety, sznur z węzłami i knebel.

— Rozumiem.

— Widzisz, mości książę, że będzie coś dla każdego.

— My dla siebie weźmiemy sztylety i sznur.

— A knebel damy panu la Ramée — odpowiedział Grimaud.

— Mój kochany Grimaud — rzekł książę — rzadko mówisz, ale kiedy się odezwiesz, słowa twoje są złotem.

XXI

SAINT-DENIS

Dzień zaczynał się, kiedy Atos wstał i ubrał się; łatwo było poznać po jego bladości niezwyklej, że prawie całą noc nie spał.

Teraz zajął się przygotowaniem do wyjazdu Raula. Naprzód sam oczyścił szpadę, którą dobył ze wspaniałej pochwy, i obejrzał, czy rękojeść i klinga są w należyłym stanie.

Potem w walizę przeznaczoną dla Raula włożył worek napełniony złotem, zawołał służącego, nazwiskiem Olivain, którego wziął z sobą z Blois, i kazał mu przy sobie upakować wszystko, bacząc pilnie, żeby nie brakowało nic takiego, co by mogło być użyteczne młodemu człowiekowi udającemu się do obozu.

Kiedy już wszystko było gotowe, otworzył drzwi do pokoju Raula.

W tej chwili Raul obudził się; jego oczy spotkały wzrok Atosa i zapewne zrozumiał to wszystko, co się działo w duszy człowieka, który czekał jego przebudzenia, jak kochanek czekający na przebudzenie swojej lubej, bo jego wzrok przybrał z kolei wyraz miłości bez granic.

— Pan byłeś tu? — zapytał Raul z uszanowaniem — i nie kazałeś mię obudzić.

— Chciałem, mój przyjacielu, pozwolić ci na jeszcze kilka chwil tego snu tak przyjemnego; wczorajszy dzień musiał ci zostawić ślady znużenia. Ale teraz powiedz mi, jak się czujesz?

— Najlepiej, panie, jestem zupełnie świeży, jakbym nie doznał znużenia.

— To dobrze, zawołam Olivaina, aby cię ubrał.

W dziesięć minut Raul był już zupełnie gotów.

— Teraz — rzekł Raul do służącego — zajmij się spakowaniem moich rzeczy.

— Twój pakunek już gotowy; dojrzałem, aby nic w nim nie brakowało, i konie czekają na dole.

— A ja spałem! — zawołał Raul — podczas kiedy pan, panie hrabio, raczyłeś zająć się tymi wszystkimi szczegółami. Ach! w istocie, dobroć pańska dla mnie nie ma granic.

— Dlatego też spodziewam się, że mię kochasz trochę — rzekł Atos głosem prawie rozczulonym.

— Och, panie! — zawołał Raul, który zaledwie był w stanie wstrzymać wybuch czułości — Bóg mi świadkiem, że cię kocham i czczę bez granic.

— Zobacz, czy ci czego nie brak — odezwał się Atos rozglądając się po pokoju, żeby ukryć wzruszenie.

— Nie, panie — odpowiedział Raul. Służący zbliżył się do Atosa z wahaniem i rzekł z cicha: — Pan wicehrabia nie ma szpady, bo stosownie do rozkazu pana hrabiego schowałem tę, którą miał wczoraj.

— To dobrze — odpowiedział Atos — pamiętam o tym. Zeszli na dół i zastali trzy konie osiodłane.

— Ach, panie! — zawołał z radością Raul — raczysz więc jechać ze mną?

— Odprowadzę cię cokolwiek — odpowiedział Atos. Radość błyszcząca w oczach Raula, który lekko wskoczył

na siodło.

Atos dosiadł także konia, powiedziawszy kilka słów służącemu, który wrócił do mieszkania.

Puścili się przez nowy most i już wyjeżdżali na ulicę St. Denis, kiedy Olivain połączył się z nimi.

Jechali w milczeniu. Raul czuł, że chwila rozstania zbliża się, bo słyszał, jak hrabia wieczorem, dnia poprzedniego wydawał pewne polecenia, wskazujące, że zamierza być jeszcze tego dnia w Paryżu.. Niekiedy tylko w drodze Atos dawał młodzieńcowi prawdziwie ojcowskie rady względem użycia konia i broni w ważnych wypadkach życia wojennego, polecając mu nade wszystko, żeby często pisał do niego, a szczególnie gdyby został ranny.

— Ach, otóż jesteśmy w Saint-Denis — rzekł Atos dojeżdżając do bramy tego miasta, strzeżonej przez dwóch żołnierzy.

Przejechali ulice miasta napelnione ludem z powodu uroczystości i stanęli przed starożytną katedrą, w której odprawiała się w tej chwili pierwsza msza.

— Zsiądźmy z konia, Raulu — rzekł Atos. — Ty, Olivain, potrzyмай nam konie i daj mi szpadę.

Atos wziął od służącego szpadę i wszedł z Raulem do świątyni.

Hrabia, podawszy święconą wodę młodzieńcowi, powiedział kilka słów słudze kościelnemu, który uklonił się i poszedł ku podziemiom.

— Pójdźmy za tym człowiekiem — rzekł Atos.

Kościelny otworzył kratę do grobów królewskich i zatrzymał się u góry schodów, a Atos z swoim towarzyszem zeszli na dół. Głębina podziemia oświetlona była blaskiem srebrnej lampy stojącej na ostatnim stopniu schodów, a pod tą lampą stał na dwóch podstawach hebanowych katafalk pokryty szerokim całunem z aksamitu fioletowego, usianego w złote lilie.

Raul zstąpił ze schodów krokiem powolnym i uroczystym i z głową odkrytą stanął przed zwłokami ostatniego króla.

Kilka chwil trwało milczenie, na koniec Atos przerwał je tymi słowami:

— Raulu, zaczynasz zawód pełen chwały i niebezpieczeństw, rozpoczniesz wkrótce zapewne walkę za Boga, tron, króla. Oto twoja szpada.

Raul przykląkł.

— Nosił ją mój ojciec, prawy szlachcic. Ja później nosiłem ją z kolei i nieraz okryłem ją chwałą. Jeśli twoja ręka, Raulu, jeszcze jest słabą do użycia tej broni, tym lepiej — nauczysz się bowiem dobywać jej wtedy tylko, kiedy powinność tego wymagać będzie.

— Panie — rzekł Raul biorąc szpadę z rąk hrabiego — winienem ci wszystko, ale ta szpada jest najdroższym darem od ciebie i nosić ją będę jak człowiek umiejący być wdzięczny.

I Raul ucałował z uszanowaniem rękojeść szpady.

— Dobrze — rzekł Atos. — A teraz wstań i uściśnijmy się. Raul powstał i z uniesieniem rzucił się w objęcia hrabiego. — Bądź zdrow — rzekł hrabia, który czuł, jak drży jego serce — bądź zdrow i pamiętaj o mnie.

— Och, wiecznie! wiecznie! — zawołał młodzieniec — przysięgam, że jeśliby mię spotkało nieszczęście, twoje imię, panie, będzie ostatnim wyrazem, który wymówię, myśl o tobie ostatnią moją myślą.

Atos szybko szedł po schodach, aby ukryć swoje wzruszenie, dał sztukę złota strażnikowi grobów, oddał pokłon przed ołtarzem i wyszedł przed kościół, gdzie stał Olivain z końmi.

— Olivain — rzekł hrabia — towarzyszyć będziesz panu wicehrabiemu, dopóki nie połączy się z wami Grimaud, potem jego zostawisz, a sam wrócisz do mnie. Znasz Grimauda, Raulu, jest to stary sługa pełen odwagi i rozsądku, on ci towarzyszyć będzie.

— Dziękuję, panie hrabio — rzekł Raul.

— Bądź zdrow, Raulu — rzekł hrabia — bądź zdrow, moje kochane dziecko.

— Żegnaj cię, panie — rzekł Raul — żegnaj cię, mój kochany opiekunie.

Hrabia „nie ruszył się z miejsca, dopóki odjeżdżający młodzieniec nie znikł mu z oczu. Potem rzucił cugle konia wieśniakowi, stojącemu przed kościołem, wszedł zwolna do świątyni, ukląkł w najciemniejszym miejscu i modlił się.

JEDEN Z CZTERDZIESTU SPOSOBÓW UCIECZKI PANA DE BEAUFORT

Tymczasem czas upływał tak samo więźniowi jak i tym, którzy zajmowali się uwolnieniem go; tylko więźniowi upływał daleko powolniej. Zwykle ludzie z zapałem tworzą niebezpieczne plany, ale stygną tym bardziej, im bardziej zbliża się chwila wykonania ich. Przeciwnie, książę de Beaufort, którego wrząca odwaga weszła w przysłowie, a którą pięcioletnia bezczynność uspiła chwilowo, teraz pragnął popchnąć czas i przybliżyć chwilę działania. W samej jego ucieczce, nie licząc zamiarów, jakie miał na przyszłość, a które teraz były jeszcze bardzo niepewne i nieustalone, w samej ucieczce była myśl początku zemsty, która mu rozsadzała serce. Najprzód ucieczka jego była groźnym nieszczęściem dla pana de Chavigny, którego książę nie lubił z powodu drobnych prześladowań, jakich od niego doświadczał, a jeszcze większym nieszczęściem dla Mazariniego, którego dawno już zapamiętałe nienawidził za krzywdy, jakie słusznie mógł mu zarzucać.

Prócz tego pan de Beaufort wiedział, co się dzieje w Palais-Royal, znał stosunki, jakie łączyły Mazariniego z Anną Austriacką, i wyobrażał sobie cały dramat, jaki tam powstanie, kiedy z gabinetu ministra przejdzie do pokoju królowej wieść: „Książę de Beaufort uciekł z więzienia”. Powtarzając to wszystko sam sobie, pan de Beaufort uśmiechał się z zadowoleniem; zdawało mu się, że już jest pośród pól i lasów, że czuje pod sobą dzielnego rumaka i woła silnym głosem: „Uciekłem!” To prawda; że po chwili ocknąwszy się z letargu myśli, widział się pośród czterech ścian i widział o kilka kroków pana la Ramée, który młynkował wielkimi palcami, a w przedpokoju słyszał ośmiu żołnierzy śmiejących się i pijących.

Jedyną rzeczą, która mu wynagradzała ten przykry obraz rzeczywistości, była twarz Grimauda, którego z początku tak bardzo znienawidził, a który teraz był jedyną jego nadzieją. Grimaud zdawał mu się piękny jak Apollo.

Nie potrzebujemy nadmieniać, że to wszystko było grą gorączkowej wyobraźni więźnia. Grimaud był ciągle taki sam i dlatego ani na chwilę nie zachwiało się zaufanie, jakie w nim położył jego zwierzchnik la Ramée, który teraz byłby mu więcej zawierzył niż samemu sobie, bo — jak powiedzieliśmy — la Ramée w głębi serca czuł jakąś słabość dla pana de Beaufort.

Dlatego też ten poczciwy la Ramée cieszył się szczerze z przyjemności, jaką książę zdawał się obiecywać sobie z umówionego śniadania sam na sam. La Ramée miał jedną tylko wadę; lubił dobrze zjeść, pasztet i wino smakowały mu przy pierwszych odwiedzinach u nowego restauratora, a tym razem następca ojca Marteau obiecał przyrządzić pasztet z bażanta zamiast zwykłego drobiu i dać chambertina zamiast burgunda. To wszystko okraszone towarzystwem tego dobrego księcia de Beaufort, który umiał tak dowcipne figle płać panu de Chavigny i Mazariniemu, nadawało nadchodzącym Zielonym Świątkom nieopisany powab w oczach pana la Ramée.

Nic dziwnego zatem, że la Ramée oczekiwał oznaczonej godziny z równą niecierpliwością jak pan de Beaufort.

Od samego rana zajmował się wszelkimi szczegółami i nie ufając nikomu osobiście odwiedził następcę starego Marteau. Ten przewyższył sam siebie, pokazał mu pasztet prawdziwie olbrzymi, ozdobiony na przykrywie herbami księcia de Beaufort. Pasztet był jeszcze próżny, ale obok niego leżał bażant i dwie kuropatwy szpikowane tak drobno, że wydawały się jak poduszeczki napełnione szpilkami. La Kamee połknął ślinkę na ten widok i powrócił do księcia zacierając ręce.

Na uzupełnienie uciechy, jak powiedzieliśmy, pan de Chavigny zdając się na la Ramée, wyjechał na kilka dni właśnie tego rana, przez co la Ramée stawał się zastępczo gubernatorem w Vincennes.

Co do Grimauda, ten wydawał się bardziej ponury niż kiedykolwiek.

Z rana pan de Beaufort grał w piłkę z swoim strażnikiem. Grimaud dał mu znak, aby uważał na wszystko.

Grimaud idąc przodem, wskazał drogę, którą miano iść wieczorem. Grano w piłkę w małym ogrodzeniu dziedzińca zamkowego. Było to miejsce dość puste, gdzie stawiano straż tylko wtedy, kiedy książę grał w piłkę, a i tak było to zbyt bezpieczne ze względu na wysokość murów w tym miejscu.

Trzeba było otworzyć trzy drzwi przed dojściem do tego ogrodzenia. Każde drzwi miały inny klucz i te wszystkie nosił przy sobie la Ramée.

Przybywszy do ogrodzenia, Grimaud machinalnie usiadł przy jednej strzelnicy, zwieszając nogi poza mur; widoczne więc było, że w tym miejscu miano umocować drabinkę do zejścia.

Wszystkie te manewry zrozumiałe dla pana de Beaufort nic nie znaczyły dla la Ramée.

Zacząła się gra. Tym razem pan de Beaufort był w humorze i piłki z nadzwyczajną dokładnością padały tam, gdzie były powinny; la Ramée został zupełnie pobity.

Czterej żołnierze ze straży stali w ogrodzeniu i zbierali, piłki; książę — żartując z niezręczności swego gracza — ofiarował żołnierzom dwa luidory, aby poszli pić za jego zdrowie z czterema swymi kolegami.

Żołnierze prosili pana la Ramée o pozwolenie i otrzymali je, ale tylko na ten wieczór.

Na koniec uderzyła godzina szósta i chociaż nie miano zasiąść do stołu aż o siódmej, jednak wszystko już było przygotowane; na osobnym stoliku stał ogromny pasztet z herbami księcia, reszta biesiady odpowiadała wspaniałości pasztetu.

Wszyscy oczekiwali niecierpliwie: żołnierze chcieli jak najprędzej pójść, la Ramée zacząć ucztę, a pan de Beaufort uciec z więzienia.

Jeden tylko Grimaud był zupełnie obojętny. Mógłby kto myśleć, że Atos wyuczył go milczenia i skrytości, przewidując dzisiejszy wypadek.

La Ramée oddalił żołnierzy polecając im, aby sobie pili za zdrowie księcia. Gdy odeszli, zamknął drzwi, włożył klucze do kieszeni i wskazał księciu stół z twarzą, która mówiła:

„Jeśli wasza książęca mość pozwoli?...”

Książę spojrział na Grimauda, Grimaud spojrział na zegarek.

Było dopiero kwadrans na siódmą, ucieczka umówiona była na siódmą, zostawało więc jeszcze trzy kwadransy czasu.

Książę, aby zyskać kwadrans — oświadczył, że książka, którą czyta, niezmiernie go zajmuje i że chce dokończyć rozdziału. La Ramée spojrział przez ramię księcia, aby zobaczyć, jaka książka tak żywo go zajęła, że dla niej nie śpieszył się do stołu.

Były to komentarze Juliusza Cezara, które sam la Ramée, wbrew zakazowi pana de Chavigny, przyniósł księciu przed kilku dniami.

La Ramée postanowił nie uchybić odtąd nigdy przepisom więziennym.

Tymczasem odkorkował butelki i rozkoszował się wonią pasztetu.

Z uderzeniem w pół do siódmej książę wstał i rzekł z powagą:

— Na honor, Cezar był największym bohaterem starożytności.

— Takie jest zdanie waszej książęcej mości? — rzekł la Ramée — ja zaś wolę Hannibala.

— A to dlaczego, kochany la Ramée? — zapytał książę, — Ponieważ nie zostawił po sobie komentarzy — odpowiedział la Ramée z swoim rubasznym uśmiechem.

Książę zrozumiał tę przymówkę i usiadł przy stole, dając znak panu la Ramée, aby usiadł naprzeciw niego.

La Ramée nie dał sobie tego dwa razy powtarzać.

Nie ma twarzy wyrazistszej od twarzy prawdziwego gastronomo siedzącego przy dobrze zastawionym stole. Toteż kiedy Grimaud postawił przed swoim zwierzchnikiem talerz zupy, twarz tego ostatniego wyrażała najwyższe zadowolenie.

Książę patrzył na niego z uśmiechem.

— Do stu szatanów! wiesz co, la Ramée, gdyby mi powiedziano, iż w tej chwili znajduje się we Francji człowiek szczęśliwszy od ciebie, nie uwierzyłbym temu.

— I miałbyś, mości książę, słusność! — odpowiedział la Ramée. — Co do mnie przyznaję, że kiedy jestem głodny, nie znam przyjemniejszego widoku nad stół dobrze zastawiony, a dodawszy do tego, że

honory biesiady czyni wnuk wielkiego Henryka IV, łatwo pojąć, że zaszczyt ten podwaja przyjemność uczy.

Księżę skłonił głowę, a lekki uśmiech przemknął po twarzy Grimauda, który stał za krzesłem pana la Ramée.

— Mój kochany la Ramée, jesteś niezmiernie wprawny w mówieniu grzeczności.

— Me, mości księżę odrzekł la Ramée z szczerością — mówię to, co myślę, i w tym, co mówiłem, nie ma wcale grzeczności.

— A więc jesteś do mnie istotnie przywiązany?

— Tak dalece, że śmiertelnie zmartwiłbym się, gdybyś, księżę, miał kiedyś opuścić Vincennes.

— A to szczególny sposób okazywania mi przychylności!

— Ale zważ, panie, co byś uczynił, wyszedłszy stąd? Jakie głupstwo, które by oburzyło dwór i zaprowadziło księcia do Bastylii zamiast do Vincennes! Pan de Chavigny nie jest bardzo przyjemny, przyznaję — dodał la Ramée wychylając szklankę madery — ale pan du Tremblay jest jeszcze daleko przykrzejszy.

— Czy doprawdy? — zapytał księżę, który bawił się obrotem, jaki przybrała rozmowa, i co chwila spoglądał na zegar, posuwający się zbyt wolno dla jego życzeń.

— Na honor, prawda! i dlatego można to nazwać wielkim szczęściem, że waszą księżęcą mość przysłano tu, gdzie przecież można przechadzać się, grać w piłkę i dobrze zjeść.

— Słyszac cię, powiedziano by, że byłem bardzo niewdzięczny, żem raz przynajmniej powziął myśl wydostania się stąd.

— Och, księżę, to by była prawdziwa niewdzięczność, ale też sędzę, że mości księżę nigdy o tym poważnie nie pomyślałeś.

— I owszem — odrzekł księżę — muszę ci się przyznać, może to jest szaleństwo, nie zaprzeczam, ale jeszcze niekiedy myślę o tym.

— Zawsze za pomocą jednego z tych czterdziestu sposobów? — Tak, zgadłeś — powiedział księżę.

— Ach, ponieważ wasza księżęcą mość jesteś w dobrym humorze, chciej mi powiedzieć chociaż jeden z tych sposobów.

— Z całego serca — rzekł księżę. — Grimaud, podaj mi pasztet.

— Słucham — rzekł la Ramée opierając się o poręcz krzesła, podnosząc szklankę i spoglądając przez rubinową ciecz, w niej zawartą, na ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Księżę spojrział na zegar, jeszcze brakowało dziesięciu minut do siódmej.

Grimaud postawił pasztet przed księciem, który wziął swój srebrny nóż, aby podnieść pokrywę, ale la Ramée, który obawiał się, żeby to arcydzieło nowego pasztetnika nie zostało uszkodzone, podał księciu swój nóż mający ostrze stalowe.

— Dziękuję ci, la Ramée — rzekł księżę biorąc podany nóż. — A teraz czy chcesz, abym ci powiedział ten sposób, którego najpierwej chciałem użyć i na który najwięcej liczyłem?

— Tak, ten najlepiej — odpowiedział la Ramée.

— Otóż tedy — mówił księżę przymierzając nóż do pasztetu, jakby wybierał miejsce, gdzie go ma zakroić — najprzód spodziewałem się znaleźć dozorcę, zacnego człowieka, jakim ty jesteś, la Ramée.

— Dobrze — rzekł la Ramée — masz go zatem, mości księżę. Cóż dalej?

— Tak, mam go i cieszę się z tego nieskończenie. La Ramée uklonił się..

— Dalej mówiłem sobie: Kiedy znajdę tak poczciwego człowieka jak la Ramée, postaram się, aby jeden z moich przyjaciół, o którego stosunkach ze mną nikt by tu nie wiedział, polecił mu na pomocnika człowieka zupełnie mi wiernego, z którym mógłbym się porozumieć w sprawie przygotowań do ucieczki.

— Niezła myśl! — zawołał la Ramée.

— Skoro już będę miał przy sobie tego człowieka — mówił dalej księżę — jeśli on będzie umiał odegrać swoją rolę, zjedna sobie wkrótce zaufanie swego zwierzchnika, który zupełnie będzie mu ufał, i wtedy będę mógł mieć wiadomości od moich przyjaciół.

— O, co to, to cokolwiek trudniej — rzekł la Ramée — jakim sposobem te wiadomości mogłyby się tu dostać?

— Nic łatwiejszego — rzekł księżę — podczas gry w piłkę na przykład.

— Podczas gry w piłkę? — powtórzył la Ramée, który zaczął z największą uwagą słuchać opowiadania pana de Beaufort.

— Tak, uważasz? rzucam piłkę poza mur, w fosie znajduje się człowiek, który ją podnosi. W piłce znajduje się list; zamiast rzucić mi na powrót tę samą, kiedy nań zawołam z muru, aby mi podał zgubioną piłkę, on mi rzuca inną. W tej innej znajduje się także list. Tym sposobem udzieliliśmy sobie wzajemnie wiadomości, a nikt tego nie spostrzegł.

— Do licha! — zawołał la Ramée drapiąc się za uchem — dobrze, że mi to księżę powiedziałeś; będę uważał pilnie na ludzi zbierających piłki w fosie.

Księżę uśmiechnął się.

— Ale — mówił dalej la Ramée — to wszystko, ściśle wzięwszy, jest niedostatecznym środkiem porozumienia się listownie.

— Zdaje mi się, że to już jest wiele.

— Tak, ale jeszcze nie dość.

— Uważaj tylko. Na przykład piszę do moich przyjaciół: „Bądźcie w tym dniu, o tej godzinie po drugiej stronie fosy, z dwoma końmi”.

— Hm! — przerwał la Ramée tonem niejakiej niepewności — jeśli te konie nie będą miały skrzydeł, aby wlecieć

na mury...

— Ech, mój Boże — rzekł niedbale księżę — nie chodzi o to, żeby konie mogły wlecieć na mur, ale żeby ja miał sposób zejścia w fosę.

— Sposób, a jaki?

— Drabinkę sznurową.

— Tak — rzekł la Ramée przymuszając się do uśmiechu — ale drabinkę nie tak łatwo przysłać w piłce jak list.

— W piłce nie, ale można ją przysłać w czym innym.

— W czym innym? ależ w czym?

— W pasztecie na przykład.

— W pasztecie? — powtórzył la Ramée.

— Tak. Przypuśćmy jedną rzecz — mówił dalej księżę — przypuśćmy, że mój dawny kucharz Noirmont kupił zakład restauracyjny od starego Marteau.

La Ramée zadrzał.

— La Ramée jest łakomy — mówił dalej księżę, jakby nie spostrzegł wrażenia uczynionego przez ostatnie jego wyrazy — skosztowawszy pasztetów nowego restauratora, znalazł je daleko smaczniejszymi od dawnych i namówił mię, żeby ich także skosztował. Przyjąłem tę; propozycję z warunkiem, że la Ramée jeść będzie wraz ze mną. Aby być swobodniejszym przy uczcie, la Ramée oddał straż i zostawił tylko Grimauda do usług. Grimaud jest to ten człowiek, którego mi przysłali moi przyjaciele: ten sługa, z którym ja układałem plan ucieczki, gotowy narazić się dla mnie na wszystko. Chwila ucieczki, oznaczona jest na godzinę siódmą. Otóż na kilka minut przed siódmą...

— Na kilka minut przed siódmą. — powtórzył la Ramée, któremu pot zimny zaczął występować na czoło.

— Na kilka minut przed siódmą — mówił dalej księżę *łącznie* słowa z działaniem — zdejmuję pokrywę pasztetu, znajduję w nim dwa sztylety, drabinkę sznurową i knebel. Jeden sztylet przykładam do piersi pana la Ramée i mówię: „Mój przyjacielu, bardzo mi przykro, ale jeśli krzykniesz albo poruszysz się, muszę cię zabić”.

Powiedzieliśmy, że księżę — mówiąc to — wykonywał zarazem to, co mówił: w tej chwili stał on przed biednym la Ramée dotykając jego piersi sztyletem, a głos jego nie zostawiał najmniejszej wątpliwości co do jego ostatniego postanowienia.

Tymczasem Grimaud, zawsze milczący, dobył z pasztetu drugi sztylet, sznur i knebel.

La Ramée spoglądał na każdy z tych przedmiotów z wzrastającym przerażeniem.

— Ach, księżę! — zawołał na koniec, patrząc na pana de Beaufort z wyrazem osłupienia, z którego księżę byłby w każdym innym razie śmiał się do rozpuku — księżę nie będziesz miał serca zamordować mię.

- Me, jeśli nie sprzeciwisz się mojej ucieczce.
- Ależ panie, jeśli pozwolę waszej książęcej mości uciec, jestem zgubiony.
- Zwrócę ci to, coś zapłacił za twój urząd.
- I wasza książęca mość postanowiła istotnie opuścić Vincennes?
- Jak najprędzej.
- I nic nie zdoła odwrócić waszej książęcej mości od tego zamiaru?
- Nic w świecie!
- A jeśli będę się bronił, jeśli zawołam na pomoc?

— Jakem szlachcic, zabiję cię!

W tej chwili zegar wybił godzinę siódmą.

— Siódma! — rzekł Grimaud, który dotychczas nie wymówił ani jednego wyrazu.

— Siódma — powtórzył książę — widzisz, że już czas. La Ramée mimo woli uczynił poruszenie.

Książę zmarszczył brwi i oficer uczuł jak ostrze sztyletu — przebiwszy jego suknie — gotowe było zanurzyć się w jego piersi.

— Niech się stanie wola nieba — rzekł la Ramée — nie opieram się ucieczce waszej książęcej mości, o jedną tylko łaskę śmiem jeszcze prosić.

— Cóż takiego? mów, śpiesz się.

— Każ mi, mości książę, związać.

— A to dlaczego?

— Aby nie sądzono, że byłem współnikiem przy ucieczce waszej książęcej mości.

— Ale czym cię związać?

— Pasem waszej książęcej mości — odrzekł la Ramée.

Książę zdjął pas i podał go Grimaudowi, który związał nim mocno ręce dozorca, potem to samo uczynił z jego nogami przy pomocy serwety przedartej na kilka pasów.

— A teraz knebel, proszę o niego — rzekł la Ramée — bo inaczej ukarano by mię za to, że nie krzychał. — Grimaud gotował się uczynić zadość prośbie dozorca, ale ten skinął, że jeszcze chce coś powiedzieć.

— Mów — rzekł książę. .

— Mości książę — rzekł la Ramée błagalnym głosem — jeśli z przyczyny waszej książęcej mości spotka mię jakie nieszczęście, racz pamiętać, że mam żonę i czworo dzieci.

— Bądź spokojny.

W chwilę potem la Ramée z kneblem w ustach, związany, został położony na ziemi. Grimaud przewrócił kilka krzeseł na znak odbytej walki, wyjął z kieszeni pana la Ramée klucze, otworzył.. najprzód drzwi pokoju, w którym się znajdowali, i wyszedłszy z księciem zamknął je na dwa. spusty, potem szybko poszli przez galerię prowadzącą do małego ogrodu, gdzie grywano w piłkę.

Grimaud szybko i zręcznie otworzył i zamknął za sobą troje drzwi, które spotkali na drodze. Na koniec przybyli do ogrodu. Miejsce to było w tej chwili zupełnie puste: ani straży, ani jednej osoby w oknach.

Książę spojrzął za mur i spostrzegł po drugiej stronie fosy trzech zbrojnych ludzi trzymających dwa luźne konie. Książę porozumiał się z nimi znakami.

Tymczasem Grimaud przywiązał sznur do spuszczenia się.

Nie była to drabina, tylko linka jedwabna z drążkiem poprzecznie założonym, na którym spuszczający się miał sięść jak na koniu, pomagając sobie rękami.

— Dalej, spuszcza się — rzekł książę.

— Pierwszy? — zapytał Grimaud.

— Wszakże taka była umowa, ja mniej się narażam, gdyby mnie schwytano.

— Słusznie! — odrzekł Grimaud.

I natychmiast siadłszy na drążku zaczął niebezpieczną podróż. Książę patrzył za nim z mimowolną trwogą. Grimaud przebył już trzy części drogi, kiedy sznur urwał się, a on upadł jak kamień w fosę.

Książę krzyknął, ale Grimaud nie wydał żadnego głosu, chociaż musiał być ciężko skaleczony, bo bez ruchu leżał w miejscu.

Natychmiast jeden z ludzi czekających po drugiej stronie fosy spuścił się w nią, obwiązał mocny sznur pod pachami Grimauda i dwaj inni wyciągnęli biedaka na górę.

— Spuszczaj się, mości książe — zawołał człowiek, który pozostał w fosie — nie ma więcej jak piętnaście stóp od końca sznura i murawa w fosie jest miękka.

Książę już był w powietrzu. Przeprawa jego była trudniejsza, bo nie mając już drążka służącego za siedzenie, musiał zdać się na samą tylko siłę rąk. Ale powiedzieliśmy, że książę był silny, zręczny i miał zimną krew. W kilka minut był już u końca linki i nogami nie był dalej od ziemi jak na dziesięć stóp. Puścił linkę i stanął na nogi, nic sobie nie zrobiwszy złego.

Natychmiast wdrapał się na górę fosy, gdzie znalazł hrabiego Rochefort. Dwaj inni panowie byli mu nieznani. Grimaud, zemdlony, przywiązany był na siodle jednego konia.

— Panowie! — zawołał książę — dziękuję wam później, ale teraz nie ma ani chwili do stracenia. W drogę zatem, kto mnie kocha, za mną.

I książę skoczył na koń, i puścił się galopem wołając: „Już nie jestem w więzieniu!”.

XXIII

D'ARTAGNAN PRZYBYWA W PORE

D'Artagnan odebrał w Blois sumę, którą Mazarini zdecydował się udzielić mu, bo pragnął mieć go jak najprędzej przy sobie.

Z Blois do Paryża jest cztery dni drogi dla zwykłego jeźdźca. D'Artagnan trzeciego dnia po południu był już na rogatce Saint-Denis...

Planchet odzwyczaiał się od dawnych spieszych podróży, d'Artagnan wyrzucał mu tę ociężałość.

— Och, panie — odpowiedział Planchet — czterdzieści mil w trzy dni, to trochę za ciężko dla cukiernika.

— Jak to, czyżbyś ty istotnie teraz, kiedyśmy się na nowo zeszli, chciał wrócić do twojego nędznego mieszczańskiego życia?

— Ach, panie, nie każdy jest zrodzony do czynnego życia, jak pan. Weźmy na przykład pana Atosa; któż by dziś powiedział, że to jest ten sławny zuch szukający awantur, któregośmy dawniej znali? Jak on teraz żyje? — jak folwarczny szlachciurka; widać, że nie ma nic rozkoszniejszego nad życie spokojne.

Tak rozmawiając dojechali do rogatki. Planchet nasunął kapelusz na oczy, pomyślawszy, że ma przejeżdżać przez ulice, gdzie był dobrze znany, a d'Artagnan pokręcił węża przypomniawszy sobie Portosa, który miał go czekać przy ulicy Tiquetonne. Zaczął rozmyślać, w jaki sposób mógłby on zapomnieć o rozkoszach swego domu, kuchni i piwnicy w Bracieux i Pierrefonds.

Skręcając na ulicę Montmartre, spostrzegł w jednym z okien oberży „Pod Sarną” Portosa ubranego w świetną kurtkę błękitną, haftowaną srebrem, ziewającego najokropniej, tak że przechodzący spoglądali na tego szlachcica, pięknego i bogatego, który zdawał się być tak bardzo znudzony swoją wielkością i bogactwem.

Zaledwie d'Artagnan i Planchet. wjechali na ulicę Tiquetonne, Portos zobaczył ich i poznał.

— Ach, d'Artagnan? Bogu dzięki, że przybywasz!

— Dzień dobry, kochany przyjacielu — odpowiedział d'Artagnan.

— Ach — odezwał się Portos — jak tu źle jest moim koniom.

— Doprawdy! — zawołał d'Artagnan — jakże szczerze żałuję tych szlachetnych zwierząt.

— I mnie także było dość niedobrze — mówił dalej Portos — i gdyby nie ładna gospodyni, która jest nader ujmująca i przystępna, byłbym sobie poszukał innego noclegu.

— Pojmuję, mój kochany, powietrze ulicy Tiquetonne nie może równać się z powietrzem doliny w Pierrefonds; ale bądź spokojny, znajdzie się coś lepszego.

— Kiedy?

— Spodziewam się, że wkrótce.

— Ach! tym lepiej.

Nagle rozległ się cichy i przeciągły jęk w rogu stacji. D'Artagnan spostrzegł wtedy olbrzymiego Mousquetoha, który wydał właśnie ten głos żalony.

— I ty także, mój kochany panie Mouston, nie znajdziesz tu potrzebnych wygod w tej nędznej oberży — rzekł d'Artagnan tonem, który mógł uchodzić, albo za politowanie, albo za ironię.

— Skarży się na nieznośną kuchnię — rzekł Portos.

— A czemuż nie gotuje sobie sam jak w Chantilly? — zapytał d'Artagnan.

— Ach, proszę pana, nie mam tu ani stawów książęcych do łowienia tych pięknych karpia, ani lasów, w których mogłem łapać tłuste kuropatwy. Co do piwnic, zwiedziłem je dokładnie, ale o tym, com znalazł, nie warto mówić.

— Mój kochany panie Mouston — odrzekł d'Artagnan — szczerze ubolewałbym nad tobą, gdybym nie miał czegoś daleko pilniejszego do czynienia.

Potem biorąc na stronę Portosa rzekł:

— Mój kochany du Vallon, cieszy mię, że jesteś ubrany, bo natychmiast udamy się do kardynała.

— Co, doprawdy? — zapytał Portos otwierając wielkie oczy.

— Tak, mój przyjacielu.

— Przedstawisz mnie? — To cię przestrasza?

— Nie, ale wzrusza.

— Bądź spokojny, to nie Richelieu. Ten nie porazi cię swoim majestatem.

— I zaraz idziemy do Palais-Royal?

— Natychmiast. Tylko aby się nie opóźniać, wezmę od ciebie jednego konia.

— Jak chcesz, wszystkie cztery są na twoje usługi. Ale czy weźmiesz naszych służących?

— Weź Mousquetona. Co do Plancheta, ma on swoje powody do niepokazywania się u dworu.

— Dlaczego?

— Ech, widzisz, w nienajlepszej jest harmonii z jego eminencją.

— Mouston! — zawołał Portos — osiodłaj Wulkana i Bayarda.

— A ja, panie, czy mam wziąć Rustanda?

— Nie, weź Febusa albo Superbe, jedziemy na wizytę.

— Ach — rzekł Mousqueton oddychając lżej — idzie więc tylko o odwiedzinę?

— Tak, nic więcej, panie Mouston. Jednakże na wszelki wypadek włóż pistolety w olstra, moje znajdziesz nabite przy siodle.

Mouston westchnął, bo mu się dziwne zdawało jechać z odwiedzinami w uzbrojeniu od stóp do głów.

— Masz słuszość — rzekł Portos patrząc za odchodzącym sługą — obejdziemy się bez Plancheta mając z sobą Moustona, który ma bardzo piękną postawę.

D'Artagnan uśmiechał się.

— A ty — rzekł Portos — nie przebierzesz się?

— Nie, zostanę tak jak jestem.

— Ależ jesteś cały pokryty kurzem, a twoje buty są niezmiernie zabłocone.

— To zaniedbanie w ubiorze świadczyć będzie, jak bardzo śpieszyłem się uczynić zadość rozkazom kardynała.

W tej chwili Mousqueton powrócił z trzema osiodłanymi końmi. D'Artagnan skoczył na siodło, jakby przez tydzień wypoczywał po ostatniej podróży.

— Hej! — zawołał — Planchet, podaj mi moją długą szpadę.

— Ja — rzekł Portos pokazując małą szpadę z rękojeścią bogato złożoną — wziąłem moją szpadę dworską.

— Weź twój rapier, mój przyjacielu.

— Dlaczego?

— Nie wiem, ale weź go, proszę cię.

— Mouston, mój rapier! — rzekł Portos.

— Ależ, proszę pana, to zupełnie uzbrojenie wojenne — rzekł Mouston. — Chciej mi pan powiedzieć, abym mógł stosownie do potrzeby przedsięwziąć środki ostrożności.

— Z nami, panie Mouston, ostrożność nigdy nie jest zbyteczna. Jeśli nie straciłeś pamięci, powinieneś łatwo przypomnieć sobie, że nie zwykliśmy przepędzać nocy na balach i serenadach.

— To prawda, niestety — rzekł Mouston uzbijając się od stóp do głów — ale ja o tym zapomniałem.

Puścili się dość szybko i przybyli do pałacu kardynała około, siódmej godziny. Na ulicach były tłumy ludzi, gdyż były to Zielone Świątki. Tłumy z podziwem patrzyły na dwóch jeźdźców, z których jeden był tak wyświeżony, jakby go wydobyto z pudełka, a drugi tak zakurzony, jakby wracał z pola bitwy. Mousqueton także zwracał na siebie uwagę próżniaków, a ponieważ romans Don Kichota był wtenczas we wszystkich rękach, wielu przeto mówiło, że to jest Sanczo Pansa, który straciwszy jednego pana, znalazł teraz dwóch.

Przybywszy do przedpokoju kardynała d'Artagnan znalazł się na znajomym gruncie. Muszkietierowie jego kompanii byli właśnie na służbie. D'Artagnan kazał zawołać lokaja i pokazał mu list od kardynała wzywający go do Paryża. Lokaj ukłonił się i wszedł do gabinetu.

D'Artagnan spojrział na Portosa, który — jak mu się zdawało — drżał. Uśmiechnął się i zbliżając się do jego ucha, rzekł:

— Śmiało, mój przyjacielu, nie bój się, wierz mi, oko orle zamknęło się na wieki i teraz mamy do czynienia tylko z prostym sępem. Trzymaj się sztywno jak w dniu naszego śniadania w bastionie Saint-Gervais. I nie kłaniaj się nadto nisko temu Włochowi, bo to dałoby mu za słabe wyobrażenie o tobie.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział Portos. Lokaj ukazał się znowu.

— Wejdźcie panowie — rzekł — jego eminencja oczekuje was.

Mazarini siedział w swoim gabinecie, przekreślając nazwiska na przysłanej mu liście rozmaitych pensji i wynagrodzeń. Spojrział spod oka na wchodzącego d'Artagnana i Portosa, ale nie zdradził swej radości.

— A, to wy, panie poruczniku! — rzekł — pośpieszyłeś się, bardzo mię to cieszy.

— Jestem na rozkazy waszej eminencji, wraz z panem du Vallon, który niegdyś ukrywał swój ród znakomity pod nazwiskiem Portosa.

Portos ukłonił się z godnością.

— Dzielny rycerz — rzekł Mazarini.

— Najdzielniejsze ramię we Francji — rzekł d'Artagnan — wiedziało o tym wielu, ale nie mówią, bo nie mogą już powiedzieć.

Portos ukłonił się d'Artagnanowi.

Mazarini lubił bardzo piękną, postawę w wojownikach. Z zadowoleniem spoglądał na szerokie barki, żylaste ręce i bystre oko Portosa. Zdawało mu się, że widzi przed sobą uosobienie zbawienia swojego ministerstwa i władzy w kraju. To przypomniało mu, że dawne stowarzyszenie muszkietierów składało się z czterech osób.

— A dwaj inni pańscy przyjaciele? — zapytał Mazarini.

Portos chciał otworzyć usta, aby coś powiedzieć, ale d'Artagnan uprzedził go.

— Inni nasi przyjaciele są w tej chwili zajęci, ale później połączą się z nami.

Mazarini kaszlnął lekko.

— A ten pan, swobodniejszy niż tamci, chce wrócić do służby? — zapytał Mazarini.

— Tak jest — odpowiedział d'Artagnan — i to tylko przez przychylność, ponieważ pan de Bracieux jest bogaty.

— Bogaty! — zawołał Mazarini, u którego sam ten wyraz budził wielki szacunek.

— Piętnaście tysięcy liwrow dochodu — rzekł Portos.

— A więc przez samą przychylność? — powtórzył Mazarini z swoim, chytrym uśmiechem.

— Wasza eminencja zapewne nie bardzo w to wierzy?

— A pan wierzysz w to? — zapytał Mazarini opierając oba łokcie na biurku, a brodę na dłoniach.

— Ja — odpowiedział d'Artagnan — wierzę w przychylność i poświęcenie się jak w imię chrzestne, do którego naturalnie należy dodać nazwisko wzięte od posiadłości. Każdy z natury skłonny jest do poświęcenia się, ale trzeba, żeby zawsze był cel.

— I jaki na przykład cel poświęcenia miałby mieć pański przyjaciel? .

— Mój przyjaciel posiada trzy znakomite włości: du Vallon, de Bracieux i de Pierrefonds i życzyłby sobie, żeby jedna z nich zyskała tytuł baronii.

— I nic więcej? — zawołał Mazarini, którego oczy zaiskrzyły się z radości, że może kupić poświęcenie się Portosa nie sięgając nawet do swojej szkatuły. — O, jeśli tylko to, spodziewam się, że się ,to da zrobić.

— Będę baronem! — zawołał Portos chcąc postąpić krok naprzód.

— Powiedziałem ci to — odpowiedział d'Artagnan przytrzymując go za rękę — teraz słyszałeś to z ust jego eminencji.

— A pan, panie d'Artagnan, czegożbyś pragnął?

— Panie— odrzekł d'Artagnan — za parę miesięcy będzie dwadzieścia lat, jak kardynał Richelieu mianował mnie porucznikiem.

— Tak, i pan chciałbyś, żeby kardynał Mazarini mianował cię kapitanem.

D'Artagnan uklonił się.

— To wszystko nie jest rzeczą niemożliwą. Zobaczymy, panowie, zobaczymy. Teraz, panie du Vallon, jaką wolisz służbę: w mieście czy w polu?

Portos otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale go uprzedził d'Artagnan mówiąc:

— Mój przyjaciel, pan du Vallon, jest pod tym względem zgodny ze mną; lubi usługi nadzwyczajne, przedsięwzięcia szalone, uważane prawie za niemożliwe.

Ta gaskonada podobała się Mazariniemu, jednak zamyślił się.

— Ja przyznam się panom, że zamierzyłem jednemu z was powierzyć posadę stałą; mam powody obawiania się, że... Ale cóż to się stało? — zawołał przerywając sobie Mazarini..

W istocie, dał się słyszeć w przedpokoju wielki gwar; prawie w tej chwili otworzyły się drzwi gabinetu i wpadł człowiek okryty kurzem, wołając:

— Jego eminencja! gdzie jest jego eminencja?

Mazarini sądził, że go chcą zamordować, i cofnął się z swoim krzesłem; d'Artagnan i Portos stanęli między nim i nowoprzybyłym.

— Co to jest! — zawołał Mazarini, bezpieczny za tym żywym murem — co znaczy tak gwałtowne wejście?

— Wasza eminencja przebaczy mi, gdy się wytłumaczę' — odpowiedział oficer, do którego stosował się ten wyrzut. — Jestem, de Pains, oficer straży w zamku Vincennes. Mam kilka słów do powiedzenia waszej eminencji.

Oficer ten był tak blady i znużony, że Mazarini domyślając się, iż przybył z ważną jakąś wiadomością, skinął na d'Artagnana i Portosa, aby mu pozwolili przystąpić bliżej.

D'Artagnan i Portos cofnęli się ku drzwiom gabinetu.

— Mów pan, mów prędko! — zawołał Mazarini — Cóż się stało?

— Księżę de Beaufort uciekł z zamku Vincennes. Mazarini krzyknął, zbladł i upadł prawie bez sił na krzesło. — Uszedł! — powtórzył z przerażeniem — pan de Beaufort uszedł?

— Widziałem go uciekającego z wierzchołka murów.

— I nie kazałeś pan strzelać do niego?

— Był już dwa razy dalej, niż kule dosięgnąć mogły. — A cóż czynił pan de Chavigny?

— Nie był obecny w zamku.

— A la Ramée?

— Znalaziono go w izbie więźnia, związanego, z kneblem w ustach.

— A ten człowiek, którego la Ramée przyjął sobie do pomocy?

— Był współnikiem księcia i uszedł z nim razem. Mazarini jęknął.

— Czy wolno uczynić jedną uwagę? — rzekł d'Artagnan zbliżając się.

— Mów pan — odrzekł Mazarini.

— Zdaje mi się — mówił dalej d'Artagnan — że wasza eminencja trwoni czas nazbyt drogi.

— Jak to?

— Gdyby wasza eminencja rozkazał pogonić za zbiegiem, może by dopędzono go jeszcze. Francja jest wielka, i najbliższa granica jest o sześćdziesiąt mil od Vincennes.

— A któż za nim pogoni? — zawołał Mazarini.

— Do pioruna, ja!

— I zatrzymasz go pan?

— Dłaczegóż nie.

— Zatrzymasz księcia de Beaufort, uzbrojonego, na otwartym polu?

— Gdyby tego była potrzeba, zatrzymałbym diabła i przyprowadziłbym go tu za rogi.

— Ja także! — zawołał Portos.

— I pan także? — powtórzył Mazarini spoglądając z podziwem na tych dwóch ludzi. — Ależ księżę nie podda się bez zaciętej walki.

— Tym lepiej — zawołał d'Artagnan, którego oczy zaiskrzyły się. — Walka! Ach, dawno już nie mieliśmy tej przyjemności! Nieprawdaż, Portosie?

— Walka! — krzyknął z radością Portos.

— I sądzicie, panowie, że zdołacie go dogonić?

— Jeśli będziemy mieli lepsze konie niż on.

— A więc weźcie, panowie, straż, jaką tu znajdziecie, i biegnijcie.

— Wasza eminencja rozkazuje?

— Daję pisemny rozkaz — odpowiedział Mazarini biorąc papier i pisząc na nim kilka wierszy.

— Niech wasza eminencja doda, że możemy zabierać wszystkie konie, jakie gdzie napotkamy.

— A naturalnie, służba królewska. Bierzcie, panowie, i śpieszcie.

— Spieszmy! — rzekł d'Artagnan.

— Panie du Vallon — dodał Mazarini — baronia pańska jedzie na jednym siodle z księciem de Beaufort, potrzebujesz tylko dogonić ją. Co do pana, kochany panie d'Artagnan, nic ci nie obiecuję; ale jeśli go przyprowadzisz żywego lub umarłego — zażądasz, czego zechcesz.

— Dalej, na koń, przyjacielu! — zawołał d'Artagnan biorąc Portosa za rękę.

— Jestem gotów — odpowiedział Portos z zimną krwią.

I zbiegli z wielkich schodów, zabierając z sobą żołnierzy, których znaleźli na drodze, i wołając:

— Na koń! na koń! Zebrało się dwunastu ludzi.

D'Artagnan i Portos dosiedli Wulkana i Bayarda, Mousqueton jechał na Febusie.

— Za mną! — krzyknął d'Artagnan.

— Naprzód! — zawołał Portos.

I spiąwszy ostrogami dzielne rumaki, puścili się ulicą Saint-Honoré, jak rozhukana burza.

— A cóż, panie baronie, obiecałem ci dużo ruchu, wszak dotrzymuję słowa.

— Tak, mój kapitanie.

Obejrzeni się. Mousqueton, spotniały bardziej niż jego koń,

trzymał się w przyzwoitej odległości, a za nim pośpieszali żołnierze.

Przestraszeni obywatele wyglądali z drzwi i okien, a rozdrażnione psy biegły za jeźdźcami szczekając.

Przy rogu cmentarza św. Jana d'Artagnan przewrócił jakiegoś człowieka, który nie zdążył uskoczyć na bok, ale był to zbyt drobny wypadek, aby mógł zatrzymać ludzi, którzy tak śpieszyli, i gromadka nasza nie przestała galopować, jakby jej konie miały skrzydła.

XXIV

SPOTKANIE

Pędzili dalej. W pewnej chwili dwa punkty oddzieliły się od ciemnej masy, zbliżały się i powiększały i w miarę zwiększania się przybrały postać dwóch jeźdźców.

— Aha! — zawołał d'Artagnan — idą ku nam.

— Tym gorzej dla nich — rzekł Portos.

— Kto jedzie? — krzyknął chrapliwy głos.

Trzej nasi jeźdźcy nie zatrzymali się i nic nie odpowiedzieli, tylko dał się słyszeć dźwięk szpad dobywanych z pochwy i trzask kurków pistoletowych, które odwozili dwa czarne widma.

— Cugle, w zęby! — krzyknął d'Artagnan.

Portos zrozumiał i podobnie jak d'Artagnan, dobył lewą ręką pistoletu i odwiódł go.

— Kto jedzie? — zawołano po raz drugi. — Ani kroku dalej lub zginiecie!

I dwa cienie zastąpiły drogę, a przy blasku gwiazd zabłysły lufy dwóch pistoletów wymierzonych przeciw naszym jeźdźcom.

— Precz! — krzyknął d'Artagnan — albo wy sami zginiecie.

Dwa strzały pistoletu odpowiedziały na tę groźbę, ale d'Artagnan i Portos pędzili tak gwałtownie, że w mgnieniu oka byli tuż przy swoich przeciwnikach. Zagrzmiał trzeci strzał pistoletu i przeciwnik d'Artagnana padł na ziemię. Co do Portosa, ten tak silnie uderzył na swojego, że odrzucił go na dziesięć kroków od konia.

— Dokończ, Mouston! — krzyknął Portos.

I puścił się za swoim przyjacielem, który już pędził naprzód.

— I cóż? — rzekł Portos.

— Strzaskalem mu głowę — odpowiedział d'Artagnan — a ty?

— Zwaliłem go tylko z konia, ale słyszysz... Usłyszano huk wystrzału karabinowego. Mousqueton' pędząc za swoim panem dopełnił jego rozkazu.

— Dobrze idzie! — zawołał d'Artagnan — pierwsze nasze powodzenie.

— Patrz — rzekł Portos — oto nowi gracze.

W istocie ukazało się dwóch nowych jeźdźców, którzy oddzieliwszy się od głównej gromadki, pędzili szybko, aby zatrzymać ścigających.

Tym razem d'Artagnan nie czekał nawet, aby doń przemówiono.

— Z drogi! — krzyknął — z drogi!

— Czego chcecie? — zapytał nieznajomy głos.

— Księcia! — ryknęli d'Artagnan i Portos. Odpowiedział na to głośny śmiech, który zakończył się ciężkim jękiem; d'Artagnan przeszył na wskroś śmiejącego się.

W tej samej chwili dwa wystrzały zagrzmiały jak jeden. Portos i jego przeciwnik strzelili razem.

D'Artagnan obejrzał się i zobaczył Portosa tuż przy sobie.

— Brawo, Portosie! — rzekł. — zabiłeś go zapewne.

— Sądzę, że tylko konia trafił — odpowiedział Portos.

— O, mój kochany, nie zawsze można trafić zupełnie; ale co to z moim koniem?

— Twój koń pada — odpowiedział Portos zatrzymując swojego.

W istocie, koń d'Artagnana przykląkł, szarpnął; się i padł bez życia.

Kula pierwszego przeciwnika d'Artagnana przeszła mu piersi.

D'Artagnan zaklął tak, że niebo mogłoby się wstrząsnąć.

— Czy pan potrzebuje konia? — rzekł Mousqueton..

— Naturalnie! — krzyknął d'Artagnan. — Oto jest.

— Skądże u licha masz dwa luźne konie? — zapytał d'Artagnan wskoczywszy na jednego z nich.

— Panowie ich nie żyją, a one, sądziłem, że mogą nam się przydać i wziąłem je.

Przez ten czas Portos nabijał swój pistolet.

— Prędziej! — krzyknął d'Artagnan — oto znowu dwaj. — Do szatana, czy to tak będzie aż do jutra?

W istocie dwaj nowi jeźdźcy zbliżali się pędem.

— Panie, ten, którego zwałeś z konia, podnosi się.

— Dlaczegoż nie zrobiłeś z nim tak jak z pierwszym? — Byłem zajęty, trzymałem konie.

Strzał z pistoletu dał się słyszeć z tyłu i Mousqueton krzyknął z bólu.

— Ach, panie, w drugą nogę — zawołał i prawie w to samo miejsce co na drodze do Amiens.

Portos odwrócił się i jak lew wpadł na człowieka, który gonił za nim z dobytą szpadą, ale nasz olbrzym, szybki jak myśl, zadał mu tak okropny cios w głowę rękojeścią swojej szpady, że nieszczęśliwy padł bez jęku.

Mousqueton zsunął się z konia, bo rana, którą otrzymał, nie pozwalała mu utrzymać się na siodle.

Zobaczywszy nowych przeciwników, d'Artagnan zatrzymał się i dobył pistolety.

— Jestem! — zawołał Portos — czy zaczekamy na nich, czy natrzemy?

— Natrzyjmy! — rzekł d'Artagnan.

— Natrzyjmy! — powtórzył Portos. Spięli konie ostrogami.

Przeciwnicy byli już tylko o dwadzieścia kroków od siebie.

— W imieniu króla! — krzyknął d'Artagnan — ustąpcie z drogi.

— To imię jest tu nie na miejscu — odpowiedział głos ponury i grzmiący, który zdawał się wychodzić z chmury, bo jeździec otoczony był tumanem kurzu.

— Zobaczmy! — krzyknął d'Artagnan.

— Zobaczycie! — odpowiedział ten sam głos.

Dwa strzały padły prawie jednocześnie: z pistoletu d'Artagnana i przeciwnika Portosa. Kula d'Artagnana zrzuciła kapelusz z głowy jego przeciwnika, a koń Portosa, ugodzony w pierś, padł bez tchu.

— Po raz ostatni, dokąd śpieszycie? — zapytał ten sam głos.

— Do diabła! — odpowiedział d'Artagnan.

— Bądźcie spokojni, dostaniecie się tam.

D'Artagnan spostrzegł wymierzoną ku sobie lufę muszkietu, nie miał czasu sięgnąć do olstr, ale przypomniał sobie radę, której mu kiedyś Atos udzielił. Ściągnął konia tak, że ten stanął dęba i dostał w brzuch kulę, przeznaczoną dla jego pana, a d'Artagnan czując, że rumak pada pod nim, zręcznie skoczył na ziemię.

— To, jak widzę, zupełny szlachtuz koni, a nie walka rycerzy — rzekł ten sam szyderczy głos — panowie, do szpad!

I zeskoczył z konia.

— Do szpad! bravo! to lubię — krzyknął d'Artagnan.

W dwóch skokach d'Artagnan stanął naprzeciw swego przeciwnika, którego broń starła się z jego bronią. Portos tymczasem, klęcząc za swoim koniem, trzymał w obu rękach pistolety.

Walka między d'Artagnanem i jego przeciwnikiem rozpoczęła się. Muszkieter natarł gwałtownie podług swego zwyczaju, ale tym razem spotkał siłę i zręczność, które dały mu dużo do myślenia.

Kilka uderzeń z obu stron pozostało bez skutku, iskry sypały się z dwóch szpad.

Na koniec d'Artagnan uznał za stosowne użyć swojego ulubionego ciosu; wykonał go z zręcznością i szybkością błyskawicy sądząc, że nic nie zdoła mu się oprzeć.

Cios ten został odbity.

— Kroćset szatanów! — krzyknął d'Artagnan swoim gaskońskim akcentem.

Na ten okrzyk przeciwnik jego uskoczył w tył i pochylając naprzód głowę, usiłował rozpoznać w cieniu twarz d'Artagnana.

D'Artagnan sądząc, że to jest obrót szermierski, stanął w obronnej postawie.

— Strzeż się pan! — zawołał Portos na swego przeciwnika, mam jeszcze oba pistolety nabite.

— Słusznie więc, abyś pan strzelił pierwszy. Portos strzelił.

Na błysk tego strzału, który oświecił plac bitwy, dwaj walczący krzyknęli razem: — Atos!

— D'Artagnan!

Atos podniósł szpadę, d'Artagnan opuścił swoją.

— Aramis! — krzyknął Atos — nie strzelaj.

— Ach! to ty, Aramisie! — zawołał Portos i rzucił pistolet. Aramis włożył swój pistolet w olstry, a szpadę do pochwy.

— Mój synu! — rzekł Atos podając rękę d'Artagnanowi. Tak on dawniej nazywał d'Artagnana w chwilach czułości.

— Atosie! — rzekł d'Artagnan załamując ręce — ty bronisz go! A przysięgłem przyprowadzić go żywego lub umarłego! Ach! jestem zhańbiony!

— Zabij mię! — rzekł Atos odkrywając piersi — jeśli twój honor wymaga mojej śmierci.

— Ach, biada mi! biada! — zawołał. d'Artagnan — jeden tylko człowiek w świecie mógł mię zatrzymać i los postawił mi tego człowieka na drodze. Cóż teraz powiem kardynałowi?

— Powiesz mu pan — odezwał się głos poważny i silny — że wysłał przeciw mnie jedynych dwóch ludzi zdolnych do zwalczenia jednym zamachem czterech przeciwników i do walki bez szkody przeciw hrabiemu de la Fère i kawalerowi d'Herblay, i którzy zaprzestali opierać się dopiero wtedy, gdy otoczyło ich pięćdziesięciu najdzielniejszych rycerzy Francji.

— Książę! — zawołałi razem Atos i Aramis odsuwając się na bok i zostawiając wolne przejście panu de Beaufort, podczas gdy d'Artagnan i Portos cofnęli się na krok.

— Pięćdziesięciu rycerzy — powtórzył d'Artagnan.

— Spójrzcie, panowie, wokoło, jeśli wątpicie — rzekł pan de Beaufort.

D'Artagnan i Portos spojrzeli wokół siebie i spostrzegli, że istotnie byli otoczeni znaczną liczbą zbrojnych jeźdźców.

— Słyszac waszą walkę, moi panowie — mówił dalej książę — sądziłem, że was jest ze dwudziestu, i wróciłem się z całym moim oddziałem, znużony ucieczką i pragnąc także dobyć szpady; nie uwierzyłbym, że was było tylko dwóch.

— Tak, książę — rzekł Atos — ale ci dwaj warcisi są dwudziestu.

— Panowie, proszę o wasze szpady — rzekł książę.

— Nasze szpady] — zawołał d'Artagnan podnosząc głowę i odzyskując spokój — nigdy!

— Nigdy! — powtórzył Portos. Kilku jeźdźców poruszyło się.

— Chwilkę, dostojny książę — odezwał się Atos — dwa słowa.

I zbliżył się do księcia, który nachylił się do niego, a on powiedział z cicha kilka słów.

— Dobrzej panie hrabio — odpowiedział książę — zbyt wiele jestem ci winien, abym mógł odmówić pierwszej twojej prośbie. Usuńcie się, panowie — dodał zwracając się do swego oddziału. — Panowie d'Artagnan i du Vallon — jesteście wolni.

Rozkaz został natychmiast wykonany i d'Artagnan i Portos pozostali w środku półkola utworzonego przez orszak księcia.

— A teraz, d'Herblay — rzekł Atos — zsiądź z konia i pójdz do nas.

Aramis zsiadł z konia i zbliżył się do Portosa, a Atos do d'Artagnana.

— Przyjacielu — rzekł Atos — czy żałujesz jeszcze, żeś nas nie zabił?

— Nie — rzekł d'Artagnan — żałuję, że znaleźliśmy się jeden przeciw drugiemu, my, którzy zawsze tak mocno byliśmy złączeni. Płaczę nad tym, że spotkaliśmy się w dwóch przeciwnych obozach. Ach! teraz nic nam wieść się nie będzie.

— Och! tak — wszystko się skończyło — rzekł Portos.

— A więc złączcie się z nami — rzekł Aramis.

— Przestań, d'Herblay — rzekł Atos — nie należy czynić podobnych propozycji takim ludziom jak nasi przyjaciele. Oni poszli na stronę Mazariniego, ponieważ tak im radziło sumienie, tak jak nasze kazało nam iść na stronę książąt.

— Jednakże teraz jesteśmy nieprzyjaciółmi — rzekł Portos. — Do pioruna, kto by temu uwierzył.

D'Artagnan nic nie rzekł, ale westchnął głęboko. Atos patrzył na nich przez chwilę i wziął ich dłonie w swoje.

— Panowie — rzekł — ta sprawa jest ważna. Moje serce cierpi, jakbyście je na wskroś żelazem przeszli. Tak, jesteśmy rozdzieleni — oto jest wielka smutna prawda. Ale nie wypowiedzieliśmy sobie wojny. Może moglibyśmy ułożyć warunki. Myślę, że koniecznie musimy przeprowadzić rozmowę.

— Co do mnie, żądam jej — rzekł Aramis.

— Przyjmuję ją! — zawołał d'Artagnan z dumą. Portos skinął głową na znak, że zgadza się także.

— Ułóżmy więc miejsce spotkania, dogodnie dla nas wszystkich. Tam postanowimy ostatecznie, jak mamy wobec siebie postępować.

— Dobrze — rzekli razem trzej inni.

— Zgadzacie się z moją propozycją?

— Zupełnie.

— A zatem — co do miejsca.

— Czy Plac Królewski podoba się panom?

— W Paryżu? — Tak.

Atos i Aramis spojrzeli na siebie. Aramis skinął głową potwierdzająco.

— Na Placu Królewskim, zgoda.

— A kiedy?

— Jutro wieczorem, jeśli chcecie.

— Będziecie już z powrotem?

— Niezawodnie.

— O której godzinie?

— O dziesiątej.

— Wybornie.

— Stamtąd — rzekł Atos — wyjdziemy w pokoju lub w wojnie, lecz nasz honor będzie ocalony.

— Niestety! — rzekł d'Artagnan — nasz honor jako żołnierzy jest zgubiony.

— D'Artagnan — rzekł Atos poważnie — przysięgam ci, że sprawisz mi wielką przykrość myśląc o tym, kiedy ja myślę tylko o jednej rzeczy, to jest, że skrzyżowaliśmy z sobą nasze szpady jako przeciwnicy. Tak — mówił dalej, smutnie potrząsając głową — słusznie powiedziałeś: nieszczęście padło na nas. Pójdź, Aramisie.

— A my, Portosie — rzekł d'Artagnan — wróćmy zanieść naszą hańbę kardynałowi.

— Powiedźcie mu przede wszystkim — zawołał jeden głos spośród rycerzy — że nie jestem jeszcze za stary do działania.

D'Artagnan poznał głos hrabiego de Rochefort.

— Czy mogę uczynić co dla panów? — zapytał ksiązę.

— Zaświadczyć, że uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, mości ksiązę.

— Uczynię to, moi panowie, bądźcie spokojni. Żegnam was, zobaczymy się zapewne niedługo pod Paryżem, wtenczas będziecie mieli sposobność do odwetu.

Po tych słowach ksiązę pożegnał ich ręką i puścił się galopem, a za nim wszyscy jego towarzysze.

D'Artagnan i Portos zostali na wielkim gościńcu, a przy nich człowiek, który trzymał dwa luźne konie.

Sądząc, że to Mousqueton, zbliżyli się do niego.

— Co widzę! — zawołał d'Artagnan — to ty, Grimaud?

— Grimaud? — powtórzył Portos.

Grimaud skinieniem głowy odpowiedział, że nie mylą się.

— A czyje te konie? — zapytał d'Artagnan.

— Kto nam je daje? — zapytał Portos.

— Hrabia de la Fère.

— Atosie, Atosie! — powiedział do siebie d'Artagnan — myślisz o wszystkim, jesteś prawdziwie wielki.

— To dobrze — rzekł Portos — obawiałem się już, że będę musiał powracać pieszo.

I wskoczył na siodło, d'Artagnan pierwiej już to uczynił.

— Dokądże udajesz się, Grimaud? opuszczasz twego pana?

— Tak, panie, udaję się do pana wicehrabiego de Bragelonne, do armii flandryjskiej.

Puścili się w milczeniu drogą ku Paryżowi, ale wkrótce usłyszeli jęki pochodzące, jak się zdawało, z głębi fosy.

— Co to jest? — zapytał d'Artagnan.

— To jest Mouston — odpowiedział Portos.

— Tak, panie, to ja — odezwał się żaloszny głos Mousquetona, który podniósł się z ziemi.

Portos podbiegł ku swemu intendentowi, do którego był rzeczywiście przywiązany.

— Czy jesteś ciężko ranny, mój kochany Mousqueton? — zapytał go.

— Mousqueton! — zawołał Grimaud patrząc z przychylnością na dawnego kolegę.

— Nie, panie, nie widzę, bo moja rana jest w bardzo niedogodnym miejscu.

— Nie możesz więc wsiąść na konia?

— Nie podobna.

— A iść pieszo?

— Spróbuję, przynajmniej do najbliższego domu.

— Co tu robić? trzeba nam przecież wrócić do Paryża.

— Ja się zajmę Mousquetonem — rzekł Grimaud.

— Dziękuję ci, mój poczciwy Grimaud — rzekł Portos. Grimaud zsiadł z konia i podał rękę staremu przyjacielowi,

który przyjął ją ze łzami w oczach, ale dotąd nie wiadomo, czy ich przyczyną była radość spotkania po tylu latach rozłąki, czy też ból od otrzymanej rany.

D'Artagnan i Portos jechali dalej w milczeniu.

W trzy godziny potem wyprzedził ich goniec od księcia de Beaufort, wiozący kardynałowi list, w którym książę, spełniając obietnicę uczynioną d'Artagnanowi, doniósł mu, jak walecznie sprawili się jego posłańcy.

Mazarini nie mógł spać przez całą noc po odebraniu tego listu, w którym także książę doniósł mu, że uwolniwszy się z więzienia, postanowił przeciw niemu prowadzić śmiertelną walkę.

Kardynał przeczytał ten list ze trzy razy, potem — chowając go — rzekł do siebie:

— To mię przynajmniej pociesza, że d'Artagnan, chociaż nie złapał księcia, ale goniąc za nim, rozbił radcę parlamentu Broussel. W istocie ten Gaskończyk jest nieocenionym człowiekiem, bo nawet w niezręczności swojej wyświadcza mi przysługi.

Kardynał myślał o tym człowieku, którego d'Artagnan przewrócił wyjeżdżając z Paryża, a którym był radca parlamentu Broussel.

CZTERECH DAWNYCH PRZYJACIÓŁ PRZYGOTOWUJE SIĘ DO ROZMOWY

— I cóż? — rzekł Portos, siedząc na dziedzińcu oberży przy ulicy Tiquetonne, do d'Artagnana, który z nieukontentowaną twarzą wracał z pałacu kardynała. — I cóż, źle cię przyjął, mój biedny przyjacielu?

— Nie inaczej! Doprawdy, brzydkie to zwierzę z tego człowieka. Cóż to jesz, Portosie?

— Jak widzisz, maczam biskopt w szklance wina hiszpańskiego. Uczyni to samo.

— Masz słusność. Grimblou, szklankę! Chłopiec, którego zawołano, przyniósł szklankę i d'Artagnan usiadł przy swoim przyjacielu.

— No, jakże poszło?

— Hm, pojmujesz, że nie było dwóch sposobów opowiedzenia całej rzeczy. Wszedłem, spojrział na mnie z ukosa; wzruszyłem ramionami i rzekłem:

— Nie byliśmy mocniejsi, panie kardynale.

— Tak, wiem wszystko, ale opowiedz mi pan szczegóły. — Pojmujesz, mój przyjacielu, że nie mogłem opowiadać

szczegółów bez wymienienia naszych przyjaciół, a wymienić ich — było to zgubić ich.

— Do pioruna! Naturalnie!

— Panie — odrzekłem — było ich pięćdziesięciu, a nas dwóch.

— Tak — odpowiedział — ale jednak zdaje mi się, że powiedziano mi, iż z obu stron wystrzelono kilka razy z pistoletów.

— Tak, to prawda, poszło z dymem parę nabołów prochu z tej i owej strony.

— A szpady widziały światło?

— Widziały ciemność, panie kardynale — odpowiedziałem — bo walczyliśmy wśród nocy.

— Ach, czy tak? — mówił dalej kardynał. — Uważałem cię za Gaskończyka, kochany poruczniku.

— Wtedy tylko jestem Gaskończykiem, kiedy wychodzą zwycięzcą.

Odpowiedź ta podobała mu się, bo zaczął się śmiać.

— To mię nauczy — mówił dalej po chwili — kazać lepsze konie dobierać dla mojej straży, bo gdyby żołnierze, których wzięliście z sobą, mogli byli pędzić wraz z wami i gdyby każdy z nich uczynił choć połowę tego, co pan albo jego przyjaciel, byłibyście dostawili go żywego lub umarłego.

— No, wiesz co, to zdaje się niezłe przyjęcie — rzekł Portos.

— Tak, niezupełnie — odrzekł d'Artagnan. — To niesłychane — dodał po chwili — jak w te biskopty wsiąka wina, zupełnie jak w gąbkę. Hej, Grimblou, jeszcze butelkę.

. D'Artagnan mówił dalej:

— Odchodziłem już, kiedy kardynał zawołał mnie:

— Trzy konie padły panom w drodze?

— Tak, panie kardynale.

— Ileż one były warte?

— Hm! — przerwał Portos — to dość dobry obrót, jak mi się zdaje,

— Tysiąc pistoletów! — odpowiedziałem.

— Tysiąc pistoletów! — zawołał Portos — to za wiele, jeśli zna się na komach; musiał się targować.

— W istocie, miał na to wielką ochotę, bo podskoczył na krześle jak oparzony i spojrział na mnie; ja spojrziałem także na niego, zrozumiał mnie i wydobyl z biurka bilety na Bank Lyonński.

— Na tysiąc pistoletów?

— Ani o jeden więcej, sknera! — I masz je?

— Oto są.

— No, zdaje mi się, że to jest przyzwoite postępowanie — rzekł Portos.

— Przyzwoite z ludźmi, którzy nie tylko narazili dla niego skórę, ale nawet wyświadczyli mu wielką przysługę.

— Wielką przysługę, a jaką? — zapytał Portos.

— Jak się zdaje, niechcący rozbiłem jednego z najzarliwszych radców parlamentu.

— Jak to, tego małego czarnego człowieka, którego potrafiłeś koniem przy rogu cmentarza św. Jana?

— Tak, tak, mój kochany. Ten człowiek był mu solą w oku. Na nieszczęście nie stratowałem go na śmierć, zdaje się, że wyleczy się i znowu będzie mu przeszkadzał.

— Patrzajże, a ja zawróciłem mego konia, który prosto pędził na niego.

— Kutwa! Powinien był zapłacić mi za radcę.

— Kiedy nie zabiłeś go na drodze.

— Richelieu byłby mi dał przynajmniej z pięćset talarów za radcę. Ale nie mówmy już o tym. Wiele cię kosztowały twoje zwierzęta?

— Ach, mój przyjacielu, gdyby tu był biedny Mousqueton, powiedziałby ci jak z książki, co do denara.

— Ale mniej więcej możesz przecież ocenić.

— Hm! ... Wulkan i Bayard kosztowały mię po dwieście pistołów, Febusa liczymy sto pięćdziesiąt, to będzie mniej więcej okrągło.

— Zostaje więc czterysta pięćdziesiąt pistołów — rzekł d'Artagnan dość zadowolony.

— Tak — rzekł Portos — ale kulbaki!

— Prawda, bardzo słusznie, po czemuż kulbaki?

— Hm! myślę — sto pistołów za wszystkie trzy.

— Dobrze, zostaje więc trzysta' pięćdziesiąt pistołów. Portos skinął głową na znak potwierdzenia.

— Dajmy gospodyni pięćdziesiąt pistołów za nasze wszystkie wydatki, a trzystu pozostałymi podzielmy się po połowie.

— Podzielmy się — odrzekł Portos.

— Skąpy zysk — mruknął d'Artagnan chowając do kieszeni sto pięćdziesiąt pistołów.

— Ale — rzeki Portos — chciałem cię zapytać...

— O co?

— Czy nie mówił co o mnie?

— A jakże — odrzekł d'Artagnan, nie chcąc zniechęcić swojego przyjaciela oświadczeniem, że Mazarini ani wspomniał o nim. — A jakże! powiedział...

— Cóż powiedział? — powtórzył Portos.

— Czekaj, przypomnę sobie jego słowa. Powiedział: „Co do pańskiego przyjaciela, powiedz mu pan, że może spać spokojnie”.

— Dobrze — rzekł Portos — to jest jasne jak słońce, że myśli wkrótce zrobić mię baronem.

W tej chwili dziewiąta godzina wybiła na sąsiednim kościele. D'Artagnan zadrżał.

— Ach, prawda — rzekł Portos — dziewiąta bije, a o dziesiątej, pamiętasz, mamy schadzki na Placu Królewskim.

— Ach, proszę cię, Portosie, nie mów mi o tym — zawołał d'Artagnan — ta myśl mi psuje humor od wczoraj. Nie pójde tam.

— A to dlaczego? — rzekł Portos.

— Bo to jest dla mnie okropnie bolesne zobaczyć znowu tych dwóch ludzi, przez których nie powiodło się nasze przedsięwzięcie.

— To niesłusznie, bo kiedy było jeszcze pięćdziesięciu innych, nie zdaje się, żeby każdy z nas dwóch mógł zabić dwudziestu pięciu i potem schwycić księcia.

— To prawda — rzekł d'Artagnan — ale jeśli ta schadzka ukrywa co ... — dodał po chwili.

— Och, tego nie myślisz, przyjacielu! — zawołał Portos. Portos miał słuszość, d'Artagnan nie myślał, żeby Atos

był zdolny do użycia podstępu, ale szukał jakiego bądź pozoru, żeby nie pójść na schadzkę.

— Trzeba iść — mówił dalej Portos — myśleliby, że boimy się. Mój przyjacielu, biegliśmy przeciw pięćdziesięciu nieprzyjaciołom, a nie mielibyśmy pójść do dwóch przyjaciół?

— Tak, tak, wiem — rzekł d'Artagnan — ale oni przeszli na stronę książąt nie uprzedziwszy nas o tym. Atos i Aramis grali ze mną grę, która mię niepokoi. Wczoraj odkryliśmy prawdę. Na cóż się przyda iść dziś? Aby dowiedzieć się czego innego?

— A więc istotnie nie dowierzasz? — zapytał Portos.

— Aramisowi nie dowierzam odtąd, jak został opatem. Nie uwierzysz, co się z nim stało. A ponieważ może mu się zdawać, że my przeszkadzamy mu na drodze do infuły, mógłby zapragnąć usunąć nas.

— No, co do Aramisa, to co innego, to by mię nie dziwiło.

— Książę de Beaufort może także chcieć nas złapać.

— Przecież nas trzymał i puścił. Zresztą miejmy się na baczności, uzbrojmy się i weźmy z sobą Plancheta.

— Planchet jest frondystą.

— Niech diabli biorą wojny domowe! — zawołał Portos — człowiek nie może liczyć ani na przyjaciół, ani nawet na służących. Gdyby biedny Mousqueton był tu! On przynajmniej nigdy by mię nie opuścił.

— Tak, dopóki byłbyś bogaty. Mój przyjacielu, to nie wojny domowe rozdzielają nas, ale to, że już nie jesteśmy dwudziestoletnimi młodzieńcami. Prawe natchnienia młodości ustąpiły podszeptom interesu, dążeniom ambicji, poradom samolubstwa. Tak, masz słuszość, Portosie, pójdziemy, ale pójdźmy dobrze uzbrojeni. Gdybyśmy nie przyszli, powiedzieliby, że boimy się.

— Hola, Planchet! — zawołał d'Artagnan. Planchet wszedł.

— Każ osiodłać konie i weź swój karabin.

— Ale proszę pana, przeciw komu będziemy walczyli?

— Przeciw nikomu. Jest to' tylko' środek ostrożności na wypadek, gdyby nas gdzie atakowano.

— Czy wiedzą panowie, że chciano zabić tego pocziwego pana radcę Broussel.

— Nie może być! — rzekł d'Artagnan.

— Tak, ale został należycie pomszczony, bo go paryżanie na rękach zanieśli do jego mieszkania i od wczoraj drzwie się u niego nie zamykają. Pan koadiutor, książę de Longueville i de Conti odwiedzili go, a panie de Chevreuse i de Vendôme zapisały się z odwiedzinami.

— Teraz nie dziwię się — rzekł d'Artagnan z cicha do Portosa — że Mazarini wolałby, gdybym na dobre rozbił radcę. Od kogóż wiesz o tych wszystkich szczegółach? — dodał zwracając się do Plancheta,

— Z dobrego źródła, wiem je bowiem od Friqueta, jest to syn służącej u pana Broussel, dzielny chłopak, który w razie jakichś rozruchów nie próżnowałby pewno.

— Znam to imię — rzekł d'Artagnan — ach! czy on nie jest chłopcem w kościele Notre-Dame?

— Ten sam właśnie. Bazin proteguje go.

— Wiem, wiem, zarazem jest on posługaczem w jednej oberży.

— Tak, panie.

— I cóż cię obchodzi ten malec? — zapytał Portos.

— Och, jest to zręczny chłopak, raz już udzielił mi bardzo ważnych wiadomości i może się jeszcze kiedy przydać.

— Za to, żeś rozbił jego pana.

— I któż mu to powie?

— Masz słuszość.

W tym samym czasie Atos i Aramis wjeżdżali do Paryża przedmieściami św. Antoniego. Posilili się w drodze i teraz śpieszyli, aby nie opóźnić się na schadzce; sam tylko Bazin jechał za nimi. Grimaud został przy rannym Mousquetonie i miał potem udać się za wicehrabią de Bragelonne do armii. .

— Teraz — rzekł Atos — trzeba nam wstąpić do jakiej oberży, aby zmienić ubranie, złożyć pistolety i rapiery i rozbroić naszego służącego.

— Och, bynajmniej, kochany hrabio. Pozwolisz, że nie tylko nie zgodzę się z twoim zdaniem, ale nawet starać się będę, abyś ty przystał na moje.

— Dlaczego?

— Ponieważ idziemy na schadzkę wojenną.

— Me rozumiem cię, Aramisie.

— Nasi przyjaciele są teraz może najgroźniejszymi naszymi nieprzyjaciółmi i wierz mi, Atosie — miejmy się na ostrożności.

— Och, mój kochany d'Herblay.

— Kto ci zaręczy, że d'Artagnan nie przyznał się kardynałowi, że przez nas nie powiodła się jego wyprawa? Kto zaręczy, że kardynał nie zechce skorzystać z tego spotkania, aby nas schwycić?

— Jak to, Aramisie! Sądzisz, że d'Artagnan i Portos dopomogliby do podobnej podłości?

— Między przyjaciółmi, masz słuszość, to byłoby podłością, ale między nieprzyjaciółmi jest to podstęp wojenny.

Atos założył ręce i opuścił piękną głowę na piersi.

— Mój kochany hrabio — mówił dalej Aramis — to jest natura ludzka. Me zawsze się ma dwadzieścia lat. Wiesz, że okropnie zraniliśmy miłość własną, która ślepo kieruje wszystkimi krokami d'Artagnana. Został zwyciężony. Czy nie słyszałeś, jak rozpaczał odjeżdżając? Co do Portosa, jego baronia zależała może od skutku tamtej wyprawy, tymczasem przez nas jeszcze tym razem nie będzie baronem. Któż zaręczy, czy ta sławna baronia nie zależy teraz od dzisiejszej schadzki? Miejmy się na ostrożności, kochany Atosie.

— Ale jeźliiby oni przyszli bez broni, jaka hańba dla nas.

— Och, bądź spokojny, ręczę ci, że tak nie będzie; prócz tego mamy wymówkę: przybywamy prosto z drogi i nie czujemy się bezpieczni w Paryżu.

— Musimy więc szukać wymówki przed d'Artagnanem i Portosem! Aramisie — mówił dalej Atos potrząsając smutnie głową — czynisz mię najnieszczęśliwszym z ludzi. Usiłujesz rozczarować serce, które nie umarło jeszcze zupełnie dla przyjaźni. Wolałbym, żeby mi je wydarto z piersi. Idź, jak chcesz; co do mnie, pójdę na schadzkę bez broni.

— Nie pozwolę ci iść bez broni. W ten sposób zdradzałbyś nie pojedynczego człowieka, nie Atosa, nie hrabiego de la Fère, ale całe stronnictwo, do którego należysz i które liczy na ciebie.

— Niech się stanie, jak chcesz — odpowiedział smutnie Atos.

I jechali dalej swoją drogą.

Zaledwie przybyli do krat pustego placu, spostrzegli pod arkadą przy rogu ulicy św. Katarzyny trzech ludzi.

Był to d'Artagnan i Portos. Jechali otuleni płaszczami, pod którymi sterczały szpady. Za nimi postępował Planchet z muszkietem na ramieniu.

Atos i Aramis zsiadli z koni, spostrzegłszy d'Artagnana i Portosa. Ci również to uczynili. D'Artagnan spostrzegł, że Bazin przywiązał konie do klamry przy arkadach i kazał tak samo uczynić Planchetowi.

Potem zbliżyli się do siebie, mając za sobą służących i powitali się grzecznie.

— Gdzie chcieliby panowie pomówić z nami? — zapytał Atos spostrzegając, że rozmaici ludzie zatrzymywali się i spoglądali na nich ciekawie, sądząc zapewne, że to idzie o pojedynek, do czego paryżanie tak byli przyzwyczajeni za czasów Richelieugo, a szczególnie mieszkańcy okolic Placu Królewskiego.

— Krata jest zamknięta — rzekł Aramis — ale jeźli panowie lubicie świeżość drzew i zupełną samotność, wezmę klucz z pałacu Rohan i będziemy w bardzo wygodnym miejscu.

D'Artagnan i Portos spojrzeli przez sztachety, aby przekonać się, czy nie ma kogo za kratą.

— Jeźli panowie wolelibyście inne miejsce — rzekł Atos swoim głosem szlachetnym i przekonywającym — proszę, wybierzcie!

— Ten plac, jeźli pan d'Herblay może dostać klucz od kraty, będzie, jak się zdaje, najdogodniejszy.

Aramis odszedł ostrzegając Atosa, aby nie został sam przeciw dwóm przeciwnikom, ale ten odpowiedział tylko uśmiechem i podszedł do dawnych przyjaciół, którzy stali nieporuszeni.

Aramis poszedł do pałacu Rohan i ukazał się wkrótce z człowiekiem, który mówił:

— Dajesz pan słowo?

— Masz — odrzekł Aramis dając mu luidora.

— Nie chcesz pan dać słowa? — odrzekł odźwierny potrząsając głową.

— Po cóż na taką fraszkę dawać słowo? Zaręczam ci, że w tej chwili ci panowie są naszymi przyjaciółmi.

— Tak, możesz być pewny — rzekł zimno Atos, d'Artagnan i Portos.

D'Artagnan słyszał poprzednie wyrazy i zrozumiał je.

— Widzisz? — rzekł do Portosa.

— Co?

— Nie chciał dać słowa.

— Na co?

— Ten człowiek żądał, aby mu Aramis zaręczył słowem, że nie przybyliśmy walczyć z sobą.

— I Aramis nie chciał dać słowa?

— Nie.

— A więc, baczność!

Atos ani na chwilę nie spuszczał z oka rozmawiających. Aramis otworzył furtkę i usunął się na bok, aby d'Artagnan i Portos mogli wejść. D'Artagnan wchodząc zaczepił się płaszczem o kratę, przez co odsłonił pistolety, które miał za pasem.

— Widzisz — rzekł Aramis dotykając jedną ręką ramienia Atosa, a drugą wskazując na arsenał d'Artagnana.

— Niestety, to prawda! — odrzekł Atos z głębokim westchnieniem.

I wszedł za kratę. Aramis wszedł ostatni i zamknął kratę za sobą. Dwaj służący pozostali z zewnątrz, ale jakby i oni nie ufali sobie wzajemnie, pozostali w niejakiej odległości od siebie...

XXVI

PLAC KRÓLEWSKI

Postępowano w milczeniu aż na środek placu, ale ponieważ w tej chwili księżyc — wyszedłszy zza chmur — oświecił jasno to odkryte miejsce, udano się więc pod lipy, aby pod ich gęstym cieniem mniej być widzianymi.

Czterej dawni przyjaciele zatrzymali się przed jedną z ławek, których tam było mnóstwo, i na znak Atosa d'Artagnan i Portos usiedli, a Atos i Aramis stanęli przed nimi.

Po chwili milczenia Atos zabrał głos.

— Panowie — rzekł — dowodem potęgi naszej dawnej przyjaźni jest nasza dzisiejsza schadzka, nikogo nie brak, nikt więc nie miał sobie nic do zarzucenia.

— Posłuchaj, panie hrabio — rzekł d'Artagnan — zamiast komplementów, na które — jak mi się zdaje — żaden z nas w tej chwili nie zasługuje, rozmówmy się jak ludzie prawi,

— Tego tylko pragnę — odrzekł Atos. — Znam cię jako człowieka szczerego, mów więc z całą szczerością, czy masz co do wyrzucenia mnie albo kawalerowi d'Herblay?

— Tak jest — odpowiedział d'Artagnan. — Kiedy miałem zaszczyt widzieć pana hrabiego w zamku de Bragelonne, wystąpiłem z propozycjami, które pan zrozumiałeś; zamiast odpowiedzieć mi jak przyjacielowi, żartowałeś pan ze mną. Jak z dzieckiem i tak przyjaźń, którą pan tak sławisz, nie złamała się wczoraj przez starcie się naszych szpad, ale pierwej jeszcze przez pańską obłudę w zamku.

— D'Artagnan — rzekł Atos tonem łagodnego wyrzutu.

— Żądałeś pan zupełnej szczerości. Powiedziałem z szczerością, co myślę; a teraz powtórzę to samo panu, kawalerze d'Herblay. Postąpiłem z panem otwarcie, a pan zwiodłeś mnie.

— W istocie, jesteś pan bardzo dziwaczny — odpowiedział Aramis — przyszedłeś pan, jak mówisz, aby uczynić jakieś propozycje, ale czy uczyniłeś je? Nie; tylko badałeś mię, nic więcej. Cóż ja panu powiedziałem? że Mazarini nie jest wart.

aby mu służył i że mu służyć nie będę. Nic więcej! Czy powiedziałem panu, że nikomu innemu służyć nie będę? Przeciwnie, zdaje mi się, że dałem panu do zrozumienia, iż sprzyjam stronnictwu książąt, nawet jeśli się nie mylę, mówiliśmy żartobliwie o prawdopodobieństwie przypadku, kiedybyś pan otrzymał od Mazariniego polecenie zaprowadzenia mię do Bastylii. Czy pan jesteś mężem stronnictwa? tak, bez wątpienia: dlaczegóż więc to samo nie miało być nam dozwolone? Pan miałeś swój sekret, my mieliśmy nasze; nie wydaliśmy sobie ich nawzajem, tym lepiej. To dowodzi, że jesteśmy ludźmi umiejącymi zachować tajemnicę.

— Ja panu nic nie wyrzucam — odpowiedział d'Artagnan — ale ponieważ hrabia de la Fère mówił o przyjaźni, zastanawiam się więc nad pańskim postępowaniem.

— I cóż pan w nim znajdujesz? — zapytał dumnie Aramis.

— Że jesteś godnym wychowawcą jezuitów! — odrzekł d'Artagnan wstając z rozognionym obliczem.

Widząc, że d'Artagnan wstaje, Portos wstał także. Czterej dawni muszkietierowie stali teraz przed sobą w dość groźnej postawie.

Aramis poruszył ręką, jakby chciał dobyć szpady. Atos zatrzymał go.

— D'Artagnan — rzekł — przyszedłeś tu dziś, jeszcze rozgniewany wczorajszym wypadkiem. Sądzilem, iż twoje serce jest tak wielkie, że dwudziestoletnia przyjaźń oprze się twej chwilowo obrażonej miłości własnej. Powiedz mi szczerze, czy masz mi istotnie co do zarzucenia? Jeśli zbłądził, przyjacielu, uznaj swój błąd.

Poważny i harmonijny głos Atosa nie stracił swego dawnego wpływu na d'Artagnana, gdy tymczasem głos Aramisa, stający się w gniewie ostry i krzykliwy, rozdrażniał go. Dlatego też odpowiedział spokojnie Atosowi:

— Sądzę, panie hrabio, że powinieneś być zwierzyć mi pewną tajemnicę w zamku Bragelonne i że ten pan — tu wskazał na Aramisa — miał także coś do powiedzenia mi, kiedym go odwiedził w jego klasztorze. Dlatego jednakże, że byłem dyskretny, nie należy sądzić, iż jestem głupcem. Gdybym chciał zbadać różnicę między ludźmi, których pan d'Herblay wpuszcza do siebie po drabinie sznurowej, a tymi, dla których ma drabinę drewnianą, byłbym go zmusił do mówienia.

— Do czego pan się wtrąca — zawołał Aramis zbladły z gniewu na myśl, że d'Artagnan wypatrzył jego schadzki z księżną de Longueville.

— Wtrącam się do tego, co mnie obchodzi, i udaję, że nie widzę tego, co mnie nie obchodzi, ale nienawidzę obłudników, do których zaliczam muszkietarów, którzy się robią księżmi, i księży, którzy się robią muszkietarami. I ten pan — dodał wskazując na Portosa — podziela zupełnie moje zdanie.

Portos, który dotychczas milczał, odpowiedział tylko jednym słowem, jednym poruszeniem.

Powiedział: „tak” i dobył szpady.

Aramis skoczył w tył i dobył także swojej. Wtedy Atos wyciągnął rękę z gestem nakazującym bezwarunkowe posłuszeństwo, wyjął z wolna z temblaка szpadę razem z pochwą, złamał żelazo na kolanie i rzucił je daleko od siebie.

Potem zwracając się do Aramisa:

— Aramisie — rzekł — złam swoją szpadę. Aramis wahał się.

— Trzeba tego — rzekł Atos. Potem słodkim głosem dodał ciszej:

— Ja cię proszę.

Wtedy Aramis zbladł jeszcze bardziej, ale zwyciężony tym głosem, złamał cienką klingę, założył na krzyż ręce i czekał drżąc z gniewu.

D'Artagnan i Portos cofnęli się; pierwszy jeszcze nie dobył szpady, drugi włożył swoją w pochwę.

— Nigdy — rzekł Atos, z wolna podnosząc prawą rękę ku niebu — nigdy, przysięgam to przed Bogiem, który nas widzi i słyszy wśród tej uroczystej nocy, nigdy moja szpada nie dotknie waszych, nigdy moje oko nie będzie dla was miało gniewnego spojrzenia ani moje serce jednego uderzenia nienawiści. Żyliśmy razem, kochaliśmy i nienawidziliśmy razem, przelewaliśmy krew naszą i mieszaaliśmy ją w niejednej sprawie, a nawet, dodam, istnieje między nami silniejszy daleko związek niż przyjaźń, może spółka zbrodni, bo wszyscy czterej sądziliśmy, potępili i pozbawili życia istotę ludzką, której nie mieliśmy może prawa zgładzić, chociaż ona zdawała się należeć raczej do piekła niż do tego świata. D'Artagnan, ja ciebie zawsze kochałem jak syna. Portosie, my spaliśmy przez dziesięć lat obok siebie; Aramis jest twoim bratem tak jak moim, bo on kochał cię, jak ja cię kocham i zawsze kochać będę. Czym może być Mazarini dla nas, którzy zwyciężaliśmy rękę i serce takiego męża jak Richelieu? Czym jest dla nas książę, dla nas, którzy utrzymaliśmy koronę na głowie królowej Francji? D'Artagnan, proszę cię o przebaczenie za to, że wczoraj skrzyżowałem moją szpadę z twoją, Aramis to samo' uczyni względem Portosa. A teraz nienawidźcie mnie, jeśli możecie, ale ja przysięgam wam, że wbrew waszej nienawiści zawsze was kochać i szanować będę. A teraz, Aramisie, powtórz moje słowa, a potem, jeśli zechcecie, rozejdziemy się z naszymi przyjaciółmi na zawsze.

Nastąpiła chwila uroczystego milczenia, które nareszcie przerwał Aramis,

— Przysięgam — rzekł z spokojnym czołem i szczerym spojrzeniem, ale głosem, w którym brzmiało jeszcze ostatnie drżenie wzruszenia — przysięgam, że nie czuję wcale nienawiści przeciw tym, którzy byli tak długo mymi przyjaciółmi, przysięgam, że żałuję, iż stałem z bronią przeciw tobie, Portosie; przysięgam, że nie tylko szpada moja nigdy nie skieruje się przeciw twojej piersi, ale że w mojej myśli nigdy nie będzie nieprzyjaznego uczucia dla was. Pójdź, Atosie!

— Och! nie, nie odchodźcie! — zawołał d'Artagnan, uniesiony porywem, który zdradzał gorącą krew jego rodu i wrodzoną prawość duszy. — Nie odchodźcie, bo ja także muszę przysiąc. Przysięgam, że oddałbym ostatnią kroplę mojej krwi, ostatnią część mojego ciała, aby zachować na zawsze szacunek takiego człowieka jak ty Atosie, i twoją przyjaźń, Aramisie. I rzucił się w objęcia Atosa.

— Mój synu! — zawołał Atos przyciskając go do serca.

— A ja — rzekł Portos — nic nie przysięgam, ale ledwie oddycham. Gdybym musiał walczyć przeciw wam, zdaje mi się, że wolałbym dać się na wskroś przeszyć, bo nigdy nie kochałem nikogo tak jak was.

I poczciwy Portos płacząc rzucił się w objęcia Atosa.

— Moi przyjaciele — rzekł Atos — tego oczekiwałem, tego spodziewałem się od serc waszych. Chociaż w tej chwili idziemy przeciwnymi drogami, szanuję wasze przekonanie, d'Artagnanie i Portosie, i chociaż walczymy w dwóch przeciwnych obozach, pozostaniemy przyjaciółmi. Ministrowie, książęta, wojny domowe miną jak potok, przelecą jak błyskawica, ale my pozostaniemy — tak przeczuwam.

— Tak — rzekł d'Artagnan — bądźmy zawsze dawnymi muszkietierami, a jedyną naszą chorągwią pozostanie ta sławna serweta z bastionu St. Gervais, na której wielki Richelieu kazał wyhaftować trzy lilie.

— I za każdym razem — dodał Atos — gdy się spotkamy w tłumie, na jeden wyraz: „Plac Królewski” weźmy szpadę w lewą rękę, a podajmy sobie prawą, choćby to było wśród najzaciętszej walki.

— Mówisz jak anioł — rzekł Portos.

— Jesteś najszlachetniejszym z ludzi — dodał d'Artagnan — i my wszyscy jesteśmy niżej ciebie o dziesięć łokci.

— A więc już postanowione — rzekł Atos z niewymowną radością. — Panowie, podajcie mi ręce. Czy jesteście choć trochę chrześcijanami?

— Do pioruna! — zawołał d'Artagnan.

— Będziemy nimi, aby dotrzymać naszej przysięgi — rzekł Aramis.

— Ach! gotów jestem przysiąc, choćby na Mahometa, jeśli zechcecie — rzekł Portos. — Niech mię szatan porwie, jeśli kiedy byłem tak szczęśliwy jak w tej chwili.

I poczciwy Portos ocierał oczy wilgotne jeszcze.

— Czy który z was ma jaki krzyżyk? — zapytał Atos. D'Artagnan i Portos spojrzeli po sobie, potrząsając głową. Aramis uśmiechnął się i dobył z zanadrza diamentowy

krzyżyk, zawieszony u szyi na sznurku z pereł.

— Oto jest, czego żądałeś — rzekł.

— Dobrze więc — rzekł Atos — przysięgnijmy na ten krzyż, że będziemy złączeni zawsze i wszędzie i oby ta przysięga łączyła nie tylko nas, ale i naszych potomków.

— Przysięgamy! — rzekli wszyscy czterej.

— Ach, zdrajco — rzekł cicho d'Artagnan, nachylając się do ucha Aramisa — podałeś nam do przysięgi krucyfiks ładnej frondystki.

XXVII

PROM

Spodziewamy się, że czytelnicy niezupełnie zapomnieli o młodzieńcu, którego zostawiliśmy na drodze prowadzącej do Flandrii.

Raul po kilku próbach rozmowy z Olivainem spostrzegł, że długie dni, które będzie musiał tak przepędzić, będą bardzo smutne i zaraz przyszyły mu na myśl rozmowy hrabiego tak miłe, jak zajmujące i pouczające.

Rozkazał Olivainowi zaprowadzić konie do oberży i przynieść papier i atrament.

Wkrótce ukazał się przed oczyma Raula czerstwy, rumiany oberżysta z serwetą u pasa, w bawelnianej szlafmocy na głowie i z przyborami do pisania w rękę.

— Widać, że wszyscy młodzi rycerze mają jednakowe myśli — rzekł oberżysta kłaniając się nisko, bo nie ma kwadransa, gdy jakiś młody szlachcic pięknie ubrany jak wasza cześć, wspaniałej postawy i prawie w tym samym wieku, zatrzymał się pod tymi drzwiami, kazał przynieść ten stół i krzesło, zjadł razem z podeszłym mężczyzną, który zdawał się, być jego guwernerem, cały pasztet i wypił butelkę wina Macon. Ale na szczęście mamy jeszcze takie pasztety i wino i jeśli wasza cześć rozkaże...

— Nie, mój przyjacielu. — rzeki Raul — dziękuję ci, nie potrzebuję w tej chwili nic więcej nad to, o co prosiłem, ale chciałbym, żeby pióro było dobre i atrament czarny, a w takim razie zapłacę za nie jakby za pasztet i wino.

— A więc dam pasztet i wino pańskiemu służącemu, a pióro i atrament jako bezpłatny dodatek.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział Raul.

Oberżysta położył na stole papier, pióro i atrament. Przypadkiem pióro było dość dobre i Raul zaczął pisać.

Oberżysta stał przed nim i z mimowolnym uwielbieniem patrzył na tę piękną młodzieńczą twarz, zarazem poważną i słodką.

— Nie taki to biesiadnik jak ten, co niedawno odjechał — rzekł oberżysta do Olivaina, który przyszedł upewnić się, czy Raul nie potrzebuje czego — twój pan widać nie ma wcale apetytu.

— Miał dotychczas *zawsze* i dopiero stracił go wczoraj. Raul pisał list następujący:

„Panie!

Po czterech godzinach jazdy zatrzymuję się, aby do ciebie napisać, bo mi brak ciebie w każdej chwili i ciągle oglądam się, jakbym oczekiwał twego przybycia. Byłem tak pomieszany naszym wyjazdem z domu, tak zmartwiony rozłączeniem się z tobą, że nie mogłem ci wyrazić dostatecznie, ile czułem wdzięczności i przywiązania dla ciebie. Pan mi to przebaczysz, bo twoje serce tak jest szlachetne, iż zrozumiało niezawodnie wszystko, co się działo w moim. Racz pan napisać do mnie, jak tylko twoje zatrudnienia pozwolą, bo twoje rady stanowią treść mojego istnienia, a potem przebacz pan, że śmiem powiedzieć to: jestem niespokojny; zdawało mi się, że pan sam przygotowujesz się do jakiejś niebezpiecznej wyprawy, nie śmiałem zapytywać się, bo pan nie wspomniałeś nic o niej. Widzisz więc pan, że bardzo potrzebuję wiadomości od niego.

Nie wiem, czy powinienem odważyć się prosić cię, mój drogi opiekunie, abyś raczył donieść mi, jeśli byś otrzymał jaką wiadomość o tym, jak się ma moja mała przyjaciółka, panna de la Valliere, której stan przy naszym odjeździe był nieco niepokojący. Nie potrzebuję zapewniać cię, panie, bo jesteś o tym niewątpliwie przekonany, jak drogimi są dla mnie wspomnienia czasu, który przy tobie przepędziłem. Spodziewam się, że pan niekiedy pomyślisz o mnie, i jeśli czasem uczujesz moją nieobecność, będę najszczęśliwszy pomyślawszy, że pan spostrzegł moje przywiązanie i nieograniczoną chęć poświęcenia

się dla ciebie i że umiałem dać ci poznać te moje uczucia wtenczas, kiedy miałem szczęście być przy tobie”.

Skończywszy ten list, Raul uczuł się spokojniejszy; obejrzał się, czy oberzysta albo Olivain nie patrzą, ucałował pismo, mające dojść wkrótce do rąk tego, którego kochał jak ojca.

Przez ten czas Olivain zjadł pasztet i wypił butelkę wina. Konie także wypoczęły i posiliły się. Raul zawołał oberzystę, rzucił mu sztukę złota, dosiadł konia i w Senlis oddał list na pocztę.

Przyjechawszy do Verberie, Raul kazał Olivainowi wypytać się o młodego szlachcica, który jechał przed nim. Dowiedział się, iż przejeżdżał tędy przed trzema kwadransami, ale jechał prędko.

— Starajmy się dopędzić tego młodego szlachcica — rzekł Raul do swego służącego — jedzie on do armii i jego towarzystwo będzie zapewne bardzo przyjemne.

Była czwarta godzina po południu, kiedy Raul przyjechał do Compiègne. Zjadł obiad z apetytem i zapytał znowu o młodego szlachcica, który jechał tą samą drogą. Zatrzymał on się w tej oberży, jako najporządniejszej w Compiègne, i udał się w dalszą drogę, wspominając, że chce nocować w Noyon.

— Jedźmy do Noyon — rzekł Raul.

— Panie — odpowiedział z uszanowaniem Olivain — pozwól mi uczynić uwagę, że już bardzo zmęczyliśmy konie tego poranku; sądzę, że wypadaloby tu przenocować i jutro rano dopiero wyruszyć dalej. Osiemnaście mil to dość na pierwszy dzień.

— Pan hrabia de la Fère polecił mi pośpiech — odpowiedział Raul — powinienem w cztery dni być w obozie księcia. Staniemy w Noyon o godzinie ósmej; konie wypoczną przez całą noc i o piątej godzinie rano będziemy mogli ruszyć dalej.

Olivain nie śmiał sprzeciwiać się temu postanowieniu.

— Jedź, jedź — mrucał pod nosem — wysilaj się. Jutro zamiast dwudziestu mil ujedziesz zaledwie dziesięć, pojutrze ledwo pięć, a za trzy dni pojedziesz do łóżka. Tam, przynajmniej, będzie się musiało odpocząć. Ta cała młodzież to prawdziwe fanfarony.

Widać, że Olivain nie był wychowany w szkole Planchetów i Grimaudów.

Raul czuł się istotnie znużony, lecz chciał spróbować swoich sił, a przejęty zasadami Atosa, pewny będąc, że tysiąc razy słyszał go mówiącego o wycieczkach dwudziestopięciogodzinnych, nie chciał być gorszy od swego wzoru. D'Artagnan, ten człowiek żelazny, który zdawał się składać z samych nerwów i mięśni, mocne na nim uczynił wrażenie.

Kiedy przybyli na wierzchołek pagórka, spostrzegł przed sobą rzekę. Kilku ludzi na koniach stało na brzegu i zamierzało wsiąść na statek. Raul nie wątpił, że to był ten młody szlachcic i jego towarzysze; zaczął wołać, ale jeszcze był za daleko, żeby go usłyszano; wtenczas, jakkolwiek koń jego był z mordowany, puścił go galopem, ale pochyłość drogi zakryła wkrótce przed jego wzrokiem podróżnych i gdy dostał się na drugie wzgórze, prom już odbił od brzegu i płynął ku drugiej stronie.

W tej chwili usłyszano krzyk, który zdawał się dochodzić od strony rzeki. Raul obrócił się w tę stronę i zapytał:

— Olivainie, co tam widać?

Drugi krzyk przenikliwszy od pierwszego dał się słyszeć.

— O, panie! — zawołał Olivain — lina od promu zerwała się i statek zmienił kierunek. Ale coś w wodzie się porusza.

— Ach! prawda! — krzyknął Raul — to koń i jeździec.

— Tonął! — zawołał Olivain.

To była prawda i Raul widział dokładnie, że jakiś wypadek się zdarzył i że ktoś tonął. Spisał ostrogami konia, który skoczył przez poręcz nad brzegiem i wpadł w rzekę zostawiając za sobą pniące się fale.

— Ach! panie — zawołał Olivain — co pan robisz?

Raul skierował swego konia ku nieszczęśliwemu, który był w niebezpieczeństwie. Wychowany nad brzegami Loary, był niejako wykołyszany na jej falach, sto razy przebywał ją na koniu, a z tysiąc razy przepływał. Atos pamiętając, iż z czasem ma być z niego żołnierz, zaprawiał go do wszelkich niebezpieczeństw.

— Och! mój Boże — wołał Olivain w rozpacz — co by też pan hrabia powiedział, gdyby to widział.

— Pan hrabia uczyniłby to co i ja — odpowiedział Raul kierując silnie koniem.

— Ale ja! ale ja! — wołał Olivain kręcąc się nad brzegiem — jakże ja przepłynę?

— Wskocz, tchórz! — krzyknął Raul ciągle płynąc. Potem zawołał na podróżnego, który szamotał się w wodzie o dwadzieścia kroków od niego:

— Nie trać pan odwagi, przybывamy panu z pomocą. Olivain postąpił krok, cofnął się, spał konia, wreszcie —

wstydem uniesiony — rzucił się podobnie jak Raul, powtarzając jednak ciągle:

— Umarłem, zginiemy!

Tymczasem prom płynął szybko wzdłuż rzeki, uniesiony prądem, i słychać było krzyki tych, którzy się na nim znajdowali. Jakiś siwy człowiek skoczył z promu w rzekę i płynął ku osobie, która tonęła, ale nie mógł pośpieszyć, gdyż musiał płynąć pod prąd.

Raul ciągle posuwał się i już zdawał się dosięgać celu, ale koń i jeździec, których nie spuszczał z oka, widocznie się zagłębiali. Koń już ledwo nozdrza miał nad wodą, a jeździec, który był puścił cugle, w strachu wyciągnął ręce i pochylił w tył głowę. Jeszcze tylko chwila, a wszystko miało zniknąć.

— No, odważnie! — wołał Raul.

— Za późno — szepnął młodzieniec — już za późno. Woda zalała mu głowę i przygłuszyła słowa.

Raul skoczył z konia, którego pozostawił własnemu losowi, a sam zbliżył się do szlachcica. Schwycił natychmiast konia za uzdę, podniósł mu głowę nad wodę, zwierzę odetchnęło swobodniej, podwoiło usiłowania. Raul w tejże samej chwili schwycił rękę młodzieńca, przyciągnął ją do grzywy, której ten się uchwycił z siłą człowieka tonącego. Będąc już pewny, że jeździec trzyma się mocno, Raul zajął się wyłącznie koniem, którego skierował do przeciwnego brzegu, pomagając mu pływać i zachęcając go słowem.

Nagle koń uderzył nogami o grunt i stanął na piasku.

— Uratowany! — krzyknął człowiek z siwymi włosami.

— Uratowany. — wyjąkał machinalnie szlachcic puszczając grzywę i zsuwając się z siodła na ręce Raula.

Raul znajdował się tylko o dziesięć kroków od brzegu, wyniósł zemdłonego szlachcica, położył go na trawie, rozwiązał sznurki jego kołnierza i rozpiął haftki od kaftana.

W chwilę później człowiek z siwą głową był przy nim.

Olivain na koniec także przyplłynął przeżegnawszy się z tysiąc razy, a ludzie na promie kierowali, jak mogli najlepiej, za pomocą żerdzi, którą przypadkiem na statku znaleźli.

Po chwili, dzięki staraniom Raula i człowieka towarzyszącego młodemu jeźdźcowi, życie wróciło na jego zbladłe lica. Młodzieniec otworzył oczy zrazu błędne, które wkrótce zwrócił na tego, co go uratował.

— O, panie! — zawołał — bez pana musiałbym umrzeć.

— Ale można zmartwychwstać, jak pan widzisz — rzekł Raul — i wszystko skończy się tylko na przymusowej kąpieli.

— Ach! panie — ileż ci winniśmy wdzięczności! — wołał człowiek z siwą głową.

— Ach, to ty, mój pocziwy Arminges! niemało ci strachu sprawiłem, wszak prawda? ale to nie moja wina: byłeś moim nauczycielem, czemużś mnie nie nauczył lepiej pływać?

— O, panie hrabio! — rzekł starzec — gdyby ci się nieszczęście przytrafiło, nigdybym nie śmiał pokazać się marszałkowi.

— Ale jakże się to wszystko stało? — zapytał Raul.

— Ach, panie, w najprostszy sposób — odpowiedział ten, którego nazwano hrabią. — Przepłynęliśmy połowę prawie rzeki, kiedy lina od promu zerwała się. Na krzyk przewoźników mój koń się przeląkł i skoczył w wodę. Ja źle pływać i nie śmiałem rzucić się w rzekę. Zamiast pomagać koniowi, przeszkadzałem mu jeszcze i byłbym niechybnie utonął, gdybyś pan nie przybył właśnie w czas, żeby mnie z wody wyciągnąć. Toteż, panie, jeżeli pozwolisz, chcę odtąd być twoim najlepszym przyjaciół.

— Panie — rzekł Raul kłaniając się — jestem na pańskie usługi, zapewniam pana.

— Nazywam się hrabia de Guiche — mówił dalej jeździec — mój ojciec jest marszałkiem de Gramont. A teraz, kiedy pan wiesz, kto ja jestem, czy uczynisz mi zaszczyt wymieniając swoje nazwisko.

— Ja jestem wicehrabia de Bragelonne — powiedział Raul rumieniąc się, że nie może wymienić swego ojca, jak to uczynił hrabia de Guiche.

— Wicehrabio, twoja twarz, twoja dobroć i twoja odwaga zniewalają mnie nieskończenie; posiadasz już całą moją wdzięczność. Uściskajmy się, proszę cię o twoją przyjaźń.

— Panie — mówił Raul oddając mu wzajemne uściśnienie — ja cię już także Kocham serdecznie, proszę więc na mnie liczyć jak na dozgonnego przyjaciela.

— A teraz dokąd jedziesz, wicehrabio? — zapytał de Guiche.

— Do obozu księcia, panie hrabio.

— I ja także! — zawołał młodzieniec w uniesieniu radości. — Razem więc spróbujemy naszej broni.

— Dobrze, Kochajcie się — rzekł nauczyciel — obaj młodzi, jedna wam bez wątpienia gwiazda przyświeca i powinniście się byli spotkać.

Obaj młodzieńcy uśmiechnęli się.

— A teraz — dodał nauczyciel — musicie zmienić odzież, wasi służący, którym dałem polecenie, w chwili kiedy wysiedli z promu, musieli już przybyć do oberży. Bielizna i wino ogrzewa, jedźmy.

Młodzi ludzie wsiedli więc na konie przyglądając się i dziwiąc sobie nawzajem; byli to w istocie dwaj wyborowi jeźdźcy z postawą wysmukłą, giętką; twarze ich były szlachetne, czoła wyniosłe, spojrzenia słodkie, wspaniałe. De Guiche mógł mieć lat osiemnaście, lecz nie był wyższy od Raula, choć ten miał lat szesnaście.

Podali sobie ręce i jechali obok siebie przez całą drogę od rzeki do oberży.

XXVIII

BRZASK PRZYJAŹNI

Pobył w Noyon był krótki. Raul rozkazał, żeby go zbudzono, jeżeliby Grimaud przyjechał, lecz Grimaud nie przybył.

Hrabiego de Guiche obudził o piątej rano Raul, który mu przyszedł powiedzieć dzień dobry. Zjedzono naprędce śniadanie, a do szóstej już ujechali dwie mile.

Rozmowa młodego hrabiego była nad wyraz zajmująca dla Raula. Toteż Raul chętnie słuchał, a młody hrabia ciągle opowiadał. Wychowany był w Paryżu, gdzie Raul był tylko raz jeden, na dworze, którego Raul nie znał wcale; jego figle paziowskie, dwa pojedynki, które pomimo zakazów, a nade wszystko mimo baczości guwenera, zdołał już odbyć, wzbudzały najwyższą ciekawość Raula.

Potem zaczęto rozmawiać o miłostkach. I tutaj Bragelonne mógł więcej słuchać niż rozprawiać. Słuchał więc i zdawało mu się, że spostrzegł, iż pomimo opowiedzianych trzech lub czterech awanturek mało znaczących, hrabia, również jak on, zachowywał tajemnicę w głębi serca.

Dzień przeszedł szybko. Nauczyciel hrabiego, człowiek towarzyski, światowy, mądry, przypominał nieraz Raulowi głębokie rozumowanie i żarty dowcipne i ostre Atosa, lecz pod względem wdzięku, delikatności i szlachetności obojczyca nikt nie mógł wytrzymać porównania z hrabią de la Fère.

Konie, bardziej oszczędzane niż dnia poprzedniego, zatrzymały się o czwartej po południu w Arras. Zbliżano się do teatru wojny, postanowiono więc zatrzymać się w tym mieście do dnia następnego, ponieważ oddziały Hiszpanów, korzystając niekiedy z nocnej pory, robiły wycieczki w okolicę Arrasu.

Wojska francuskie zajmowały tereny od Pont-à-Mare aż do Valenciennes, zwracając się ku Doual. Mówiono, że książę znajduje się w Béthune. Wojska nieprzyjacielskie zajęły stanowiska od Cassel aż do Courtray, a że nie było takiego rabunku i gwałtów, których by się nie dopuszczano, biedni mieszkańcy pogranicza opuszczali swoje domy i chronili się w miastach obronnych, które im obiecywać mogły bezpieczeństwo. Arras było zapełnione uciekającymi.

Mówiono o bliskiej potyczce, która miała być stanowcza, książę bowiem nie działał dotąd zaczepnie, oczekując na posiłki, które przecież nadeszły. Nasi młodzieńcy wieszali sobie, że tak w porę przybędą.

Zjedli razem wieszak i spali w tym samym pokoju. Byli oni w wieku, w którym się prędko przyjaźń zawiera, zdawało im się, że od dzieciństwa znali się i że nie podobna by im było kiedykolwiek się rozłączyć.

Nazajutrz krążyły pogłoski, że książę de Condé opuścił Béthune i usunął się do Carvin, zostawiając jednak załogę w tym mieście, ale że ta wiadomość nie była pewna, młodzieńcy postanowili udać się drogą do Béthune, gotowi zawsze zwrócić się w prawo i jechać do Carvin.

Wyjechali o siódmej rano.

De Guiche, który był młody i żywy, mówił do Raula:

— Jest nas trzech panów i trzech służących, nasi służący dobrze są uzbrojeni, a twój, zdaje mi się, zawzięty.

— Nie widziałem go nigdy w potyczce — odpowiedział Raul — ale on jest Bretończykiem, to dobrze wróży.

— Och, tak — mówił de Guiche — i pewny jestem, że dzielnie by użył karabinu w potrzebie; co do mnie, mam dwóch ludzi pewnych, którzy z moim ojcem bywali na wojnie, jest więc nas sześciu do walki. Gdybyśmy napotkali oddział partyzancki równy naszemu co do liczby, a choćby i liczniejszy, czyżbyśmy nie natarli, Raulu?

— Przeciwnie, panie — odpowiedział wicehrabia.

— Powoli, moi panowie, powoli — zawołał nauczyciel mieszając się do rozmowy — jakież to skore zamiary, na honor. A moje polecenia, panie hrabio? Czyżes zapomniał, że mam cię dostawić całego i zdrowego do obozu księcia? Jak będziesz w wojsku, wolno ci się dać zabić, jeżeli taka ochota, ale dotąd, uprzedzani, że mnie służy nazwa dowódcy, i natychmiast nakażę odwrót, i pierwszy umykam, skoro tylko zoczę przeciwnika.

De Guiche i Raul spojrzeli na siebie spod oka, uśmiechając się.

Przyjechali do Albain. Tam się dowiedzieli, że książę opuścił istotnie Béthune i znajdował się między Cambrin i Venthie.

Puszczono się, zostawiając kartkę do Grimauda, boczną drogą, którą w pół godziny dojechali do małego strumienia, wpadającego do rzeki Lys.

Na horyzoncie ukazał się dość gęsty las. Kiedy było sto kroków od niego, pan d'Arminges użył zwykłych ostrożności i wysłał naprzód służących hrabiego.

Lokaje znikli między drzewami, a młodzieńcy — śmiejąc się i rozmawiając — jechali ciągle naprzód.

Olivain został prawie o sto kroków za nimi. Z nagła usłyszano kilka wystrzałów karabinowych. Nauczyciel krzyknął, żeby się zatrzymać, młodzieńcy usłuchali i wstrzymali konie. W tejże chwili nadjechali galopem dwaj lokaje. Nasi młodzi ludzie, żeby się jak najprędzej dowiedzieć o przyczynie tych wystrzałów, puścili się naprzeciw służącym. Nauczyciel pośpieszył za nimi.

— Czy was zatrzymano? — spytali żywo młodzieńcy.

— Nie — odpowiedzieli służący — nawet zdaje się, żeśmy nie byli spostrzeżeni; strzelano o sto kroków przynajmniej przed nami w najgęstszym miejscu lasu; wróciliśmy, nie wiedząc, jak postąpić.

— Czyście nic nie widzieli? — zapytał hrabia służącego.

— Zdaje mi się — rzekł jeden z nich — że widział jeźdźców w żółtym ubraniu, którzy się przesuwali wzdłuż strumienia.

— Oto właśnie — rzekł nauczyciel — wpadliśmy na oddział Hiszpanów. Odwrót, panowie, odwrót!

Młodzieńcy spojrzeli na siebie ukradkiem, a w tej właśnie chwili usłyszano wystrzał z pistoletu, po czym głosy zaczęły wzywać pomocy.

Młodzieńcy przekonani, że żaden z nich nie myślał o odwrocie, widząc, że nauczyciel zawrócił już konia, ruszyli obaj naprzód. Raul wołał: „Do mnie, Olivain!” a hrabia de Guiche: „Za mną, Urbain i Blauchet”.

A zanim nauczyciel przyszedł do siebie ze zdziwienia, już zniknęli w lesie. Spinając konie, młodzieńcy ujęli ręką pistolety. W pięć minut przybyli do miejsca, z którego słyszeć się dały głosy.

Wtenczas zwolnili biegu koni i postępowali z ostrożnością.

— Bacność! — rzekł de Guiche — oto jeźdźcy. — Tak, trzech na koniu, a trzech zsiadli.

— Co oni robią? czy widzisz?

— Tak, zdaje mi się, że obrabowują człowieka ranionego czy też umarłego.

— To jakieś nikczemne morderstwo — powiedział de Guiche.

— A przecież to są żołnierze — odrzekł Bragelonne.

— Naprzód! — rzekł Raul.

— Naprzód! — zawołał de Guiche.

— Panowie! — krzyczał biedny nauczyciel — panowie, na miłość Boską...

Ale młodzieńcy nie słuchali. Jechali na wyścigi, a krzyki nauczyciela zbudziły uwagę Hiszpanów.

Natychmiast też trzech partyzanci, którzy byli na koniach, puścili się naprzeciw naszym młodzieńcom; tymczasem trzej inni kończyli rabować dwóch podróżnych; zbliżywszy się na dziesięć kroków, de Guiche wystrzelił i nie trafił; Hiszpan, który jechał naprzeciw Raula, wystrzelił także i Raul poczuł w lewej ręce ból podobny do uderzenia biczem. O cztery kroki wypalił, a Hiszpan, trafiony w środek piersi, wyciągnął ręce, upadł w tył na konia, który zawrócił i uniósł go.

W tej chwili Raul ujrzał jak przez chmurę lufę muszkietu skierowaną ku sobie. Polecenie Atosa przyszło mu na pamięć; szybkim poruszeniem, jak błyskawica, ściągnął konia; strzał padł. Koń skoczył w bok i upadł przyciskając nogę Raula.

Hiszpan rzucił się porywając muszkiet za lufę, chcąc rozbić kolbą głowę Raula.

W położeniu, w jakim się znajdował, Raul nie mógł ani wydobyć szpady z pochwy, ani z olstr pistoletu; widział już kolbę wymierzoną nad głową i mimowolnie miał już oczy zmrużyć, kiedy jednym skokiem de Guiche natarł na Hiszpana i przyłożył mu pistolet do gardła.

— Poddaj się! — zawołał — albo cię zabiję!

Broń wypadła z rąk żołnierza, który się poddał natychmiast. Guiche zawołał jednego ze służących i oddał mu pod straż jeńca z rozkazem, żeby go zastrzelił, gdyby chciał uciekać; sam zeskoczył z konia i zbliżył się do Raula.

— Prawdziwie, panie — rzekł Raul uśmiechając się, jakkolwiek bladość jego zdradzała wzruszenie towarzyszące zawsze pierwszemu spotkaniu — pan prędko spłacasz swoje długi. Gdyby nie pan, byłbym niechybnie zginął.

— Mój nieprzyjaciel uciekł — rzekł de Guiche — i zostawił mi zupełną swobodę pośpieszenia ci na pomoc; lecz musisz być ranny, jesteś cały zakrwawiony.

— Zdaje mi się, że dostałem lekkie draśnięcie w rękę. Pomóście mi wydobyć się spod konia, a zdaje mi się, że nic nam nie przeszkodzi w dalszej podróży.

Pan d'Arminges i Olivain zsiadli z koni i pomogli Raulowi wydobyć nogę ze strzemienia. W jednej chwili już stał na ziemi. — Nie złamał sobie pan czego? ... — zapytał de Guiche.

— Nic, Bogu dzięki — odpowiedział Raul.

— Ale cóż się stało z nieszczęśliwymi, których ci nędznicy zabili?

— Za późnośmy przybyli; pozabijali ich i uciekli ze swoją zdobyczą, moi ludzie są tam przy trupach.

— Pójdźmy zobaczyć, może żyją jeszcze i może będzie ich można uratować — rzekł Raul.

— Olivainie, zdobyliśmy dwa konie, ale ja straciłem mojego, wybierz lepszego z tych dwóch dla siebie, a mnie dasz swego.

I zbliżył się do miejsca, gdzie leżały ofiary.

XXIX

OBIAD JAK ZA DAWNYCH CZASÓW

Drugie spotkanie dawnych muszkietierów nie było tak ceremonialne i groźne jak pierwsze. Atos osądził, że stół biesiadny będzie najlepszym sposobem porozumienia. Przyjaciele jego licząc się z jego godnością i wstrzemięźliwością nie śmieli wspomnieć o dawnych ucztach z dobrych czasów. Lecz on pierwszy poddał myśl zebrania się wokół dobrze zastawionego stołu, gdzieby każdy mógł się czuć swobodnie, co dawniej najlepiej sprzyjało ich zgodzie i porozumieniu, które im zjednało przydomek nierozdzielnych.

Propozycja ta była dla wszystkich nader przyjemna, a najbardziej dla d'Artagnana, który pragnął znowu znaleźć wesołość dawnych rozmów, bo od dawna mało miał przyjemności i to jeszcze w rodzaju lichej stawy, jak to nazywał Portos, spodziewając się niedługo zostać baronem, cieszył się, że w częstym obcowaniu z Atosem i Aramisem nauczy się tonu i obejścia ludzi wyższego świata. Aramis chciał od d'Artagnana i Portosa dowiedzieć się nowin z Palais-Royal.

Co do Atosa, on jeden niczego nie oczekiwał ani chciał zyskać od innych i tylko powodowany był uczuciami czystej przyjaźni.

Ułożono się więc, że każdy da swój adres i na żądanie którego bądź wszyscy w oznaczonym czasie zgromadzą się w sławnej oberży „Pod Pustelnią”. Pierwsze zebranie naznaczone zostało na następną środę o godzinie ósmej wieczorem.

Czterej przyjaciele zebrawali się w oznaczonej godzinie.

Pierwsze słowa po spotkaniu się czterech przyjaciół były nieco wymuszone i uczta zaczęła się z niejaką sztywnością. Widać było, że d'Artagnan przymusza się do śmiechu, Atos do picia, Aramis do opowiadania, a Portos do milczenia. Atos spostrzegł to i kazał przynieść cztery butelki szampana.

Na ten rozkaz rozjaśniło się czoło d'Artagnana i zabłysła radością twarz Portosa.

Aramis zdziwił się niezmiernie, wiedział bowiem, że Atos nie tylko od dawna nie pije, ale nawet czuje nadzwyczajny wstręt do wina.

To zdziwienie zwiększyło się jeszcze, kiedy Aramis zobaczył, że Atos nalał sobie pełną szklankę i wypił z dawnym zapalem. D'Artagnan natychmiast napełnił i wypróżnił swoją szklankę, a Portos i Aramis swoje. W chwilę cztery butelki były próżne. Widać było, że biesiadnicy chcieli jak najprędzej odpędzić uboczne myśli.

W jednej chwili dzielny nektar Szampanii rozproszył wszystkie chmurki. Czterej przyjaciele zaczęli mówić głośniej, nie czekając nawet, żeby jeden skończył, nim drugi zacznie. Wkrótce, co było rzeczą prawie niesłychaną, Aramis rozpiął dwie spinki swego kaftana, co widząc Portos rozpiął wszystkie u swego.

Bitwy, długie podróże, ciosy zadane i otrzymane były pierwszym przedmiotem rozmowy, potem przeszło się do tajnej walki, prowadzonej niegdyś przeciw temu, którego dziś nazywano wielkim kardynałem.

— Na honor — rzekł Aramis — dość już chwaliliśmy umarłych, spróbujmy cokolwiek obmawiać żywych. Mam wielką ochotę powiedzieć jedną anegdotę o Mazarinim, czy wolno?

— Zawsze — odpowiedział d'Artagnan śmiejąc się serdecznie — powiedz tę anegdotkę, a jeśli będzie dowcipna, ja pierwszy dam poklask.

— Pewien znakomity książę — rzekł Aramis — z którym Mazarini starał się wejść w przymierze, przesłał mu spis warunków, pod którymi gotów był układać się z nim. Między tymi warunkami trzy nie podobały się zupełnie Mazariniemu, oświadczył przeto księciu, że gotów jest za odstąpienie od tych trzech warunków zapłacić dziesięć tysięcy liwrow.

— Ha, ha, ha! — zawołali razem trzej słuchający — to nie bardzo drogo i Mazarini mógł nie obawiać się, żeby go wzięto na słowo. Cóż ów książę odpowiedział?

— Posłał natychmiast Mazariniemu pięćdziesiąt tysięcy liwrów, prosząc go, aby więcej nie pisał do niego, i ofiarując mu drugie tyle, jeśliby zobowiązał się nigdy nawet nie mówić do niego. Zgadnijcie, co zrobił Mazarini?

— Rozgniewał się — rzekł Atos.

— Kazał wybić posłańca — rzekł Portos.

— Przyjął ofiarowane pieniądze! — zawołał d'Artagnan.

— Zgadłeś, mój kochany d'Artagnan — odpowiedział Aramis.

I wszyscy zaczęli śmiać się tak głośno, że oberzysta przybiegł zapytać się, czy czego nie potrzebują, ale w istocie sądził, że się biją.

Postanowiono jednogłownie, że duch stronnictwa na zawsze będzie wygnany z ich posiedzeń i że d'Artagnan i Portos będą mogli żartować, ile zechcą, z pana de Beaufort, o którym opowiadano wiele zabawnych anegdotek, a wzajemnie Atos i Aramis zachowają wszelką swobodę wyśmiewania Mazariniego.

— Na honor! — zawołał d'Artagnan — macie słuszność, że nienawidzicie Mazariniego, bo i on nie bardzo dobrze wam życzy.

— Nie może być! — zawołał Atos — a wiesz co, gdybym wiedział, że on zna moje nazwisko, gotów bym zmienić je.

— On nie zna twojego nazwiska, ale zna twoje czyny; wie on, że dwaj szlachcice szczególnie przyłożyli się do ucieczki księcia de Beaufort, i daję ci słowo, że najtroskliwiej kazał ich szukać.

— Komu?

— Mnie.

— Jak to tobie?

— Tak, jeszcze dziś z rana przysłał po mnie i zapytał, czy nie mam dotychczas żadnych wiadomości o tych osobach.

— I cóż ty mu odpowiedziałeś?

— Że jeszcze nic nie wiem, ale że dziś obiadować będę z osobami, od których może się czego dowiem.

— Tak mu powiedziałaś? — rzekł Portos z swoim rubasznym śmiechem. — Brawo! i cóż, Atosie, czy cię to nie przestrasza?

— Bynajmniej — odrzekł Atos — poszukiwania Mazariniego nie wzbudzają we mnie obawy.

— W tobie? — rzekł Aramis. — Powiedz mi, co też w tobie może wzbudzić obawę?

— W terażniejszości nic — to prawda.

— A w przeszłości? — zapytał Portos.

— W przeszłości to co innego — rzekł Atos z westchnieniem — w przeszłości i przyszłości.

— Czy obawiasz się o twego młodego Raula? — zapytał Aramis.

— Ech, do pioruna! — zawołał d'Artagnan — nie każdy ginie w pierwszej walce.

— Ani w drugiej — rzekł Aramis.

— Ani w trzeciej — dodał Portos — czego my czterej jesteśmy najlepszym dowodem.

— Nie — odpowiedział Atos — nie o Raula obawiam się, bo spodziewam się, że on zachowywać się będzie, jak przystoi szlachcicowi, a gdyby poległ, będzie to zgon walecznego. Jednakże, gdyby to nieszczęście miało mu się przytrafić, wtenczas...

I Atos przesunął ręką po swoim bladym czole.

— Cóż wtenczas? — zapytał Aramis.

— Wtenczas, uważałbym to nieszczęście za zadośćuczynienie.

— O!... — rzekł d'Artagnan — wiem, co przez to rozumiesz.

— I ja także — rzekł Aramis. — Ależ, Atosie, nie trzeba myśleć o tym, przeszłość już minęła.

— Ja nic nie rozumiem — powiedział Portos.

— Wypadek w Armentières — rzekł z cicha d'Artagnan.

— Wypadek w Armentières? — zapytał tamten.

— Milady...

— Ach, tak — rzekł Portos — to prawda, ja już o tym zapomniałem.

Atos spojrział na niego swoim badawczym wzrokiem.

— Tyś o tym zapomniał, Portosie? — rzekł.

— Och, tak, na honor! — powiedział Portos. — Od dawna.

— To więc nie ciąży na twoim sumieniu?

— Bynajmniej — rzekł Portos.

— A ty, Aramisie?

— Wprawdzie myślę czasem o tym — rzekł Aramis — jak o wypadku, który trudno jest ocenić stanowczo.

— A ty, d'Artagnan?

— Ja się przyznaję, że kiedy pomyślę o tym okropnym wypadku, wtenczas przychodzi mi na pamięć martwe ciało tej biednej pani Bonacieux.

Och! tak, tak — dodał z cicha — nieraz z żalem wspomniałem o ofierze, nigdy zaś nie doświadczyłem zgryzot myśląc

o jej zabójczym.

Atos poruszył głową na znak powątpiewania.

— Pomyśl — powiedział Aramis — że jeżeli przypuścimy udział sprawiedliwości boskiej w wypadkach zdarzających się na ziemi, tedy ta kobieta odebrała karę z woli bożej. My tylko zostaliśmy użyci za narzędzie i nic więcej.

— Ależ to sąd samowolny, Aramisie.

— A sędzia, cóż robi? Wszak i on sądzi samowolnie, a przecież wyrok wydaje bez obawy. Cóż kat czyni? Wszak nikt jego ręki nie przymusza, a przecież zadaje cios bez zgryzot sumienia.

— Przyznaję, że to jest okropne — rzekł d'Artagnan — lecz kiedy sobie przypomnę, iluśmy zabili Anglików, Hiszpanów, a nawet i Francuzów, którzy nam nigdy nic złego nie zrobili

i których całą winą było, że do nas mierzyli i chybili, skrzyżowali miecze z nami, a nie dość zręcznie się sprawili, zupełnie czują się niewinny w zabójstwie tej kobiety, słowo honoru!

— Ja — rzekł Portos — teraz, kiedyś mi to przypomniawszy, Atosie, widzę na nowo całą tę scenę. Milady siedziała tam, gdzie ty (Atos zbladł); ja byłem na miejscu d'Artagnana. Miałem przy boku moją szpadę, która cięła jak damasceńska; przypominasz ją sobie, Aramisie, boś ją zwał zwykle Belizardą. Otóż przysięgam wam wszystkim trzem, że gdyby tam nie było kata z Béthune... czy on był z Béthune?... tak, w istocie z Béthune... byłbym ściał głowę tej zbrodniarce bez namysłu. To była niegodziwa kobieta.

— A potem — rzekł Aramis z tą obojętnością filozofa, której nabył, odkąd został duchownym, a w której więcej było ateizmu niż ufności w Boga — na co zda się myśleć o tym? Co się stało, już się nie odrobi. Wypowiadamy się z tego postępku przy śmierci, a Bóg będzie wiedział lepiej od nas, czy to była zbrodnia, czy tylko wina, czy też zasługa. Możebyś chciał, żebym tego żałował? Przysięgam na honor i na krucyfiks, że tego tylko żałuję, iż to była kobieta.

— Ona miała syna — rzekł Atos.

— Ach, tak, wiem to dobrze — powiedział d'Artagnan — mówiłeś mi o tym, ale któż wie, co się z nim stało? Jaki los spotkał matkę, powinien był spotkać i jej potomstwo! Czyliż sądzisz, że de Winter, jego stryj, wychował tego potwora? Ręczę, że de Winter potępił syna, tak jak potępił matkę.

— W takim razie — rzekł Atos — biada mu, bo dziecko nic złego nie zrobiło.

— Dziecko umrzeć musiało albo niech mię diabli porwą! — zawołał Portos.

Usłyszano stąpanie na schodach i stukanie do drzwi. — Proszę wejść — rzekł Atos.

— Panowie — rzekł oberżysta — jest tam jakiś służący, który chce mówić z jednym z panów.

— A z którym? — zapytali czterej przyjaciele.

— Z tym, który się nazywa hrabia de la Fère.

— Ja nim jestem — rzekł Atos. — Jakże się nazywa służący?

— Grimaud.

— Ach! — zawołał Atos blednąc — już z powrotem? Cóż się więc stało Bragelonne'owi?

— Niech wejdzie — powiedział d'Artagnan — niech wejdzie. Ale Grimaud już wbiegł na schody i czekał na progu, wszedł

więc do pokoju.

Wzruszenie Grimauda, jego bladość, pot, który spływał mu po twarzy, kurzawa okrywająca jego odzienie, wszystko to utwierdziło ich w mniemaniu, że miał jakąś straszną wiadomość.

— Panowie — powiedział — ta kobieta miała dziecię, to dziecię jest dziś człowiekiem. Potomstwo nie odrodziło się od hieny, strzeżcie się, bo się do was przybliży.

Atos spojrzął na swoich przyjaciół z uśmiechem melancholijnym. Portos sięgnął po szpadę, która wisiała na ścianie. Aramis porwał za nóż, d'Artagnan zerwał się.

— Co ty mówisz, Grimaud? — zawołał ten ostatni.

— Że syn milady opuścił Anglię, że jest we Francji, że przybywa do Paryża, jeżeli już nie przybył.

— Do szatana! — rzekł Portos — jesteś tego pewny?

— Najpewniejszy — odpowiedział Grimaud.

Po tym oświadczeniu nastąpiło długie milczenie. Grimaud znużony padł na krzesło.

Atos nalał szklanek wina i podał mu ją.

— A zresztą — rzekł d'Artagnan — choćby żył, choćby i przybył do Paryża, przecieżeśmy nie takich widzieli! Niech sobie przybywa.

— O tak — rzekł Portos spoglądając na swą szpadę zawieszoną na ścianie — czekamy na niego, niech przybędzie.

— A poza tym, wszak to jeszcze dziecko — rzekł Aramis. Grimaud zerwał się.

— Dziecko — powtórzył. — Wicież panowie, co to dziecko zrobiło? Przebrany za mnicha, odkrył całą rzecz spowiadając kata z Béthune, a wypowiedawszy go i dowiedziawszy się o wszystkim, zamiast rozgrzeszenia utopił mu ten sztylet w sercu. Patrzenie, panowie, jeszcze jest skrwawiony i wilgotny.

I Grimaud rzucił na stół sztylet.

D'Artagnan, Portos i Aramis powstali i pobiegli po swoje szpady.

Sam tylko Atos został na miejscu spokojny i zamyślony.

— I ty utrzymujesz, że jest przebrany za mnicha, Grimaud? — Tak, za mnicha z zakonu ojców augustynów.

— Jakże on wygląda?

— Ma być mojego wzrostu, chudy, blady, oczy ma jasnoniebieskie, a włosy blond.

— Ale... on nie widział Raula?... — zapytał Atos.

— Przeciwnie — spotkali się obaj i właśnie sam wicehrabia przyprowadził go do umierającego.

Atos wstał nic nie mówiąc i także poszedł zdjąć swoją szpadę ze ściany.

— Ależ, moi panowie — rzekł d'Artagnan usiłując śmiać się — mnie się zdaje, żeśmy zupełnie podobni do niewieściuchów. Jak to, nas czterech, którzy nigdy nie zmrużyli oczu na widok całego wojska, drzeć mamy przed jednym dzieckiem?

— O tak — rzekł Atos — ale to dziecko przybywa w imieniu bożym.

I wyszli spiesznie z obozów.

XXX

LIST KAROLA I

Teraz trzeba, żeby czytelnik przeprowił się z nami na drugi brzeg Sekwany i towarzyszył nam aż do bramy klasztoru karmelitanek, przy ulicy św. Jakuba.

Jest jedenasta rano, a pobożne siostry dopiero co odśpiewały mszę za powodzenie oręża króla Karola I. Dwie kobiety czarno ubrane, jedna jak wdowa, druga jak sierota, wyszły z kościoła i udały się do swojej celi.

Starsza z nich uklękła na klęczniku, młodsza o kilka kroków od niej, oparłszy się o krzesło, płakała.

Starsza musiała być piękna, lecz widać, że łyzy ją postarzały. Młoda dziewica jest zachwycająca, płacz dodaje jej jeszcze wdzięku. Starsza wygląda na lat czterdzieści, dziewica ma zaledwie czternaście lat.

— Mój Boże! — mówiła modląc się klęcząca — zachowaj mego męża, zachowaj mego syna, a odbierz mi życie tak smutne, tak nędzne.

— Mój Boże! — mówiła dziewica — zachowaj mi matkę.

— Twoja matka nic już dla ciebie nie może zrobić na tym świecie, Henryko — rzekła odwracając się kobieta strapiona, klęcząca. — Twoja matka nie ma już ani tronu, ani męża, ani syna, ani pieniędzy, ani przyjaciół; twoja matka, moje biedne dziecię, jest opuszczona przez wszystkich.

— Moja matko, nabierz odwagi — rzekła młoda dziewica. — Ach! ten rok jest nieszczęśliwy dla nas — rzekła matka

opierając głowę na ramieniu dziecka — nikt o nas nie myśli w tym kraju, bo każdy musi myśleć o swoich interesach. Póki twój brat był z nami, on mi dodawał odwagi; lecz twój brat odjechał, nie może on teraz dać nawet wiadomości o sobie ani mnie, ani swemu ojcu. Zastawiłam wszystkie moje klejnoty, sprzedałam moje i twoje kosztowniejsze suknie, aby zapłacić służących, którzy nie chcieli towarzyszyć mi bez tego. Teraz musimy żyć kosztem dobroczynnych zakonnic.

— Ależ, moja matko, dlaczego nie zgłaszasz się do królowej, twojej siostry?

— Niestety, królowa, moja siostra, nie jest już królową i kto inny panuje w jej imieniu. Kiedyż potrafisz to zrozumieć?

— A więc do króla. Czy pozwolił, abym mu co powiedziała? Wiesz, moja matko, jak on mię kocha.

— Moje dziecię, mój sióstrzeniec nie jest jeszcze królem, i jak nam nieraz mówił Laporte, wiele potrzebnych rzeczy mu brakuje.

— A więc odwołajmy się do Boga! — rzekła młoda dziewica.

I uklękła obok swojej matki.

Te dwie kobiety, modlące się w tej chwili, były to córka i wnuczka Henryka IV, żona i córka Karola I.

Kończyły modlitwę, kiedy zakonnica lekko zapukała do drzwi celki.

— Wnijdź, siostro — rzekła starsza z dwóch kobiet ocierając łzy i powstając.

Zakonnica z uszanowaniem uchyliła drzwi.

— Wasza królewska mość raczy przebaczyć mi, że przerywam jej rozmyślenia — rzekła — ale w izbie dla odwiedzających znajduje się jakiś obcy pan przybyły z Anglii, który prosi o pozwolenie wręczenia waszej królewskiej mości jakiegoś listu.

— Ach, list! od króla może! Henryko, może to wiadomość od twego ojca!

— O, Boże! mam nadzieję! — Jak wygląda ten obcy?

— Jest to szlachcic chyba pięćdziesięcioletni.

— Czy nie powiedział swego nazwiska? — Milord de Winter.

— Milord de Winter! — wykrzyknęła królowa — przyjaciel mego męża! Och! wprowadź go, siostrze, wprowadź.

Królowa wybiegła naprzeciw posłańca, którego rękę chwyciła gorąco.

Lord de Winter wchodząc przykląkł i podał królowej list zwinięty i zamknięty w złotym pokrowcu.

— Ach, milordzie — rzekła królowa — przynosisz nam trzy rzeczy, których dawno już nie widziałyśmy: złoto, przyjaciela szczerego i pismo króla, naszego męża i pana.

De Winter skłonił głowę, ale nie mógł nic odpowiedzieć, tak był wzruszony.

— Milordzie — rzekła królowa pokazując list — pojmujesz pan, że pragnę jak najprędzej dowiedzieć się, co ten papier zawiera.

— Oddalam się, najjaśniejsza pani — rzekł de Winter.

— O nie, zostań, milordzie, przeczytamy w twojej obecności, prócz tego będziemy miały dla pana wiele zapytań.

De Winter usunął się o kilka kroków i stał w milczeniu. Matka i córka stanęły w framudze okna i czytały chciwie. następujący list:

„Pani i droga małżonko!

Doszliśmy do kresu. Wszystkie środki, jakie mi Bóg pozostawił, zgromadzone są w obozie pod Naseby, skąd piszę do was.

Tu czekam na armię moich zbuntowanych poddanych i chcę ostatni raz stoczyć z nimi walkę. Jeśli zostanę zwyciężony, wszystko zginęło. W takim razie starać się będę dostać do Francji. Ale czyż tam zechcą i będą mogli mnie przyjąć? W tyra względnie twoje przywiązanie, pani, i twoja roztropność może mnie oświecić. Oddawca tego listu udzieli ci, pani, szczegółów, których nie śmiałem powierzyć pismu. Jemu także zleciłem błogosławieństwo dla moich dzieci i zapewnienie uczuć mojego serca dla ciebie, pani”.

List ten był podpisany zamiast: „Karol, król” — „Karol, jeszcze dotąd król”.

Po przeczytaniu tego smutnego listu królowa zawołała z uczuciem błogiej nadziei:

— Mech nie będzie królem, niech zostanie zwyciężonym, wygnańcem, ale niech żyje! — potem po chwili milczenia dodała: — Ale powiedz mi, milordzie, nic nie ukrywaj. Gdzie jest król? Czy jego położenie istotnie jest tak rozpaczliwe, jak on sądzi?

— Niestety, pani, bardziej niż jego królewska mość sądzi.

— Ależ lord Montrose? — zagadnęła królowa. — Słyszałam o szybkich i wielkich jego powodzeniach, o bitwach wygranych pod Inverlasby, Auldome, Alfort i Kilsyth. Mówiono mi, że postępuje ku granicy, aby się złączyć z królem.

— Tak, pani, ale na granicy spotkał Lesty'ego. Zwycięstwo opuściło go. Pobity zupełnie pod Philippaugh, musiał uciekać przebrany za lokaja i w tej chwili znajduje się w Bergen, w Norwegii.

— Niech go Bóg zachowa! — zawołała królowa — to pociecha dowiedzieć się, że ci, którzy tyle razy narażali dla nas swoje życie, znajdują się w bezpiecznym miejscu. A teraz przekaż mi, milordzie to, co mój dostojny małżonek polecił ci.

— Pani — odpowiedział de Winter — król pragnie, aby wasza królewska mość starała się zbadać usposobienie króla i królowej Francji względem niego.

— Niestety, wiesz, milordzie, że król jest jeszcze dzieckiem, a królowa kobietą nader słabą. Mazarini jest tu wszystkim.

— Czyliżby on chciał odegrać we Francji tę rolę, jaką Cromwell odgrywa w Anglii?

— Och, nie, jest to Włoch chytry i przebiegły, który mógłby pomyśleć o zbrodni, ale nigdy by jej nie śmiał popełnić, i wtedy kiedy Cromwell rządzi dwiema izbami, Mazarini ma tylko za sobą królową w swojej walce przeciw parlamentowi.

— Powinni by zatem dopomagać królowi, którego parlament prześladowuje.

Królowa z goryczą potrząsnęła głową.

— Jeśli mam z siebie brać przykład, milordzie — rzekła — kardynał nic dla nas nie uczyni, a nawet może będzie przeciw nam. Obecność moja i mojej córki we Francji już mu ciąży, tym bardziej ciężałoby przybycie króla. Milordzie — dodała królowa uśmiechając się melancholijnie — to jest smutne i zawstydzające, co powiem, ale dowiedz się, że przepędziłyśmy zimę w Luwrze bez pieniędzy, bielizny, prawie bez chleba i nie wstając niekiedy z pościeli z braku ognia.

— Okropność! — zawołał de Winter.

— Otóż to jest gościnność, jakiej udzielił królowej ten minister, u którego król chce jej szukać.

— Miejmy nadzieję, najjaśniejsza pani — rzekł de Winter. — Interesem rządu francuskiego jest walczyć przeciw pretensjom parlamentu, nawet u sąsiadów. Mazarini jest politykiem i rozumie tę potrzebę.

— Ale któż nam zaręczy — rzekła królowa z powątpiewaniem — że już nas nie uprzedzili.

— Kto? — zapytał de Winter.

— Joyce, Pridge, Cromwell.

— Krawiec, kołodziej i piwowar! Och, pani, spodziewam się, że Mazarini nie zawrze przymierza z takimi ludźmi.

— A czymże był on sam? — zapytała królowa.

— Ależ dla honoru króla i królowej...

— Tak, miejmy nadzieję, że uczyni on cokolwiek dla tego honoru — odrzekła królowa. — Usta przyjaźni są zawsze wymowne, przekonałeś mię prawie, milordzie, podaj mi więc rękę i pójdźmy do ministra.

— Pani — rzekł de Winter kłaniając się — jestem zmieszany tym zaszczytem.

— Ale jeśliby odmówił — zawołała królowa Henrieta zatrzymując się — i jeśliby król przegrał bitwę...

— W takim razie król schroniłby się do Holandii, gdzie — jak słyhać — ma się znajdować jego książęca mość książę Walii.

— Czy król w razie ucieczki ma wielu takich, jak ty, milordzie, na których mógłby liczyć?

— Niestety, nie! pani — odrzekł de Winter — ale przewidziano ten przypadek i właśnie przybyłem szukać przyjaciół we Francji.

— Przyjaciół? — powtórzyła królowa potrząsając głową.

— Pani — odrzekł de Winter — niech tylko znajdę tych przyjaciół, których tu dawniej miałem, a odpowiadam za wszystko.

— Niech wam Bóg dopomoże, milordzie — rzekła królowa.

I wsiadła do powozu, a lord de Winter konno z dwoma służącymi pojechał przy drzwiczkach karety.

XXXI

LIST CROMWELLA

W chwili kiedy królowa Henrieta opuszczała klasztor karmelitanek, udając się do Palais-Royal, przed bramą królewskiej siedziby zsiadł z konia młody człowiek i oświadczył straży, że ma ważną rzecz do powiedzenia kardynałowi Mazariniemu.

Chociaż kardynał często obawiał się, ale jeszcze częściej potrzebował wiadomości i objaśnień, nietrudny był więc przystęp do niego. Nie przy pierwszej bramie była prawdziwa trudność, drugą nawet można było przebyć z łatwością, ale przy trzecich drzwiach, oprócz żołnierzy i odźwiernych, czuwał wierny Bernonin, cerber, którego nic nie mogło ugnać, którego żadna gałązka, nawet złota, nie zdołała zakłąć.

Tu więc dopiero ten, kto prosił albo żądał posłuchania, musiał ulec drobiazgowemu badaniu.

Nieznajomy, przywiązawszy konia do kraty dziedzińca, wszedł na wielkie schody i w pierwszej sali zapytał straży:

— Czy pan kardynał jest u siebie?

— Idź pan dalej — odpowiedział jeden z żołnierzy nie podnosząc głowy od kart, które trzymał w ręku.

Nieznajomy przeszedł do drugiej sali. Tu trzymali straż muszkietierowie i woźni.

Młodzieniec powtórzył zapytanie.

— Czy masz pan list posłuchania? — zapytał jeden z woźnych zbliżając się do nieznajomego;

— Mam, ale nie od kardynała Mazariniego.

— Wejdz pan i zapytaj o pana Bernonin — rzekł znowu woźny otwierając drzwi do trzeciego pokoju.

Czy przypadkiem, czy też. to było zwykle jego stanowisko, Bernonin stał za tymi drzwiami i wszystko słyszał.

— Ja jestem ten, którego pan szukasz — rzekł. — Od kogóż jest ten list, który pan przynosisz jego eminencji?

— Od generała Olivera Cromwella — rzekł nowoprzybyły — chciej pan powiedzieć to imię jego eminencji i zawiadomić mię, czy mię raczy przyjąć.

I młodzieniec stanął ze złożonymi na krzyż rękami, w postawie dumnej i ponurej.

Bernonin, obejrawszy badawczym okiem całą postać młodzieńca, wszedł do gabinetu kardynała, któremu powtórzył słowa nieznajomego.

— Człowiek z listem od Cromwella? — rzekł Mazarini — a jak wygląda?

— Jak prawdziwy Anglik: włosy rudoblond, raczej rude niż blond, oczy szarobłękitne, szare raczej niż błękitne, zresztą dumny i sztywny.

— Niech ci odda list.

— Jego eminencja prosi o list — rzekł Bernonin wróciwszy z gabinetu do przedpokoju.

— Jego eminencja nie zobaczy listu bez oddawcy, ale żebyś pan nie wątpił, że mam list — patrz, oto jest.

Bernonin spojrział na pieczęć i przekonawszy się, że list istotnie był od generała Olivera Cromwella, zabierał się wejść znowu do gabinetu.

— Dodaj pan — rzekł młodzieniec zatrzymując go za rękę — że nie jestem prostym posłańcem, ale posłem nadzwyczajnym.

Bernonin wszedł do gabinetu i, wychodząc z niego po kilku sekundach, rzekł trzymając drzwi otwarte:

— Niech pan wejdzie, jego eminencja oczekuje go. Mazarini przez ten czas ochłonał nieco ze wzruszenia, jakie

ogarnęło go wskutek niespodziewanej zapowiedzi listu Cromwella, ale przenikliwy jego umysł nie mógł w żaden sposób odgadnąć, co mogło skłonić angielskiego generała do nawiązania z nim stosunków piśmiennych.

Nieznajomy młodzieniec ukazał się na progu, trzymając w jednej ręce kapelusz, w drugiej list.

Mazarini powstał.

— Masz pan — rzekł — list wiarygodny do mnie?

— Oto' jest, panie — rzekł młodzieniec. Mazarini wziął list, odpieczętował go i przeczytał:

„Pan Mordaunt, jeden z moich sekretarzy, złoży ten list wstępny jego eminencji, kardynałowi Mazariniemu w Paryżu, prócz tego ma on inny list, poufny, dla jego eminencji.

Oliver Cromwell”

— Bardzo dobrze, panie Mordaunt, chciej mi oddać ten drugi list i usiądź.

Młodzieniec dobył z kieszeni drugi list, podał go Mazariniemu i usiadł.

Tymczasem Mazarini wziął list i nie odrywając pieczęci przewracał go na wszystkie strony, a przekonany z doświadczenia, że mało ludzi potrafi utaić przed nim co bądź, kiedy ich wypytywał patrząc im w oczy, zaczął w te słowa badanie:

— Jest pan bardzo młody, panie Mordaunt, jak na przykre rzemiosło ambasadora, gdzie nieraz potknie się noga najstarszego dyplomaty.

— Mam lat dwadzieścia trzy, ale wasza eminencja myli się mówiąc, że jestem młody, bo mam więcej lat niż wasza eminencja; chociaż nie posiadam jego mądrości.

— Jak to, panie? — rzekł Mazarini — nie rozumiem cię.

— Mówię, panie, że lata cierpień powinny liczyć się podwójnie, a ja cierpię już od lat dwudziestu.

— Ach, tak, teraz rozumiem — rzekł Mazarini — pan nie masz majątku, nieprawdaż?

Potem dodał sam do siebie.

„Ci rewolucjoniści angielscy to wszystko żebracy i włóczęgi”.

— Panie — odrzekł Mordaunt — powinienem był mieć majątek sześciomilionowy, ale mi go wydarto.

— Nie jesteś więc pan człowiekiem z gminu? — zapytał Mazarini zdziwiony.

— Gdybym używał mego tytułu, byłbym lordem, gdybym nosił moje nazwisko, wasza eminencja usłyszałaby jedno z najświetniejszych nazwisk Anglii.

— *Jakże* więc pan się nazywasz? — *zapytał* Mazarini.

— Nazywam się Mordaunt — odrzekł młodzieniec kłaniając się.

Mazarini zrozumiał, że posłaniec Cromwella chce zachować swoje incognito.

Zamilkł na chwilę, bacznie mu się przyglądając.

Młody człowiek był niewzruszony.

„Niech szatan porwie tych purytanów, wszyscy są jakby z kamienia wykuci”.

Potem dodał głośno:

— Ale zostali panu jacy krewni?

— Został mi jeden.

— A więc dopomaga panu.

— Trzy razy przedstawiłem mu się, prosząc go o pomoc, i on trzy razy kazał swoim służącym wyrzucić mnie.

— Ach, mój Boże, mój kochany panie Mordaunt — zawołał Mazarini sądząc, że wciągnie młodzieńca w pułapkę przez udaną litość — mój Boże, jak pańskie opowiadanie zajmuje mię! A więc pan nie znasz swego urodzenia?

— Znam je od niedawnego czasu.

— A pierwej?

— Uważałem się za dziecię opuszczone.

. — Nie widziałeś więc pan nigdy swojej matki?

— Przeciwnie, panie, kiedy byłem dziecięciem, przyszła ona trzy razy do mojej mamki; ostatnie jej odwiedziny pamiętam tak, jakby to było wczoraj.

— Masz pan dobrą pamięć — rzekł Mazarini.

— O, tak — odpowiedział młodzieniec z tak szczególnym akcentem, że kardynał uczył dreszcz przebiegający po jego ciele.

— A któż pana wychował? — zapytał Mazarini.

— Wieśniaczka francuska, która oddaliła mię od siebie, kiedy miałem pięć lat, ponieważ nikt jej nie przysyłał pieniędzy; wymieniła mi tylko krewnego, o którym moja matka często jej wspominała.

— I cóż się z panem stało?

— Płakałem i zebrałem na gościńcu, jeden ksiądz kalwiński wziął mię do siebie, wyuczył zasad religii i wszystkiego, co sam umiał, i dopomagał mi w poszukiwaniach mojej rodziny.

— I te poszukiwania? .

— Były bezowocne, przypadek wszystko odkrył.

— Odkryłeś pan, co się stało z jego matką?

— Dowiedziałem się, że została zamordowana przez tego krewnego, o którym wspominałem, przy pomocy czterech jego przyjaciół, ale zarazem dowiedziałem się, że byłem pozbawiony szlachectwa i wszystkich moich dóbr przez króla Karola I.

— Ach, rozumiem teraz, dlaczego pan służyysz generałowi Cromwellowi — ponieważ nienawidzisz króla.

— Tak, panie, nienawidzę go! — odrzekł młodzieniec.

Mazarini ze zdziwieniem spostrzegł szatański wyraz twarzy, z jakim młody człowiek wymówił te słowa: jak zwyczajnie twarze pokrywają się krwią, tak jego twarz w tej chwili załała żółć.

— Historia twoja, panie Mordaunt, jest okropna i żywo mię obchodzi, ale na szczęście służyysz pan potężnemu panu, i on bez wątpienia dopomoże ci w tych poszukiwaniach. Ale co do tego krewnego, o którym mi pan wspomniałeś, czy nie mógłbym ja wdać się w tę sprawę, pomówić z nim... — rzekł Mazarini, który chciał zjednać sobie przyjaciela przy boku Cromwella.

— Dziękuję waszej eminencji, ja z nim sam pomówię.

— Ależ powiedziałeś mi pan, że on się z panem źle obszedł.

— Teraz obejdzie się ze mną inaczej.

— A więc masz pan sposób, żeby pana wysłuchał?

— Mam sposób, żeby się mnie bał.

Mazarini spojrział na młodzieńca, ale zoczywszy ogień, jaki błyszczał w jego oczach, spuścił głowę i nie mając ochoty do dalszej na ten temat rozmowy, odpieczętował list Cromwella.

Mazarini, przeczytawszy kilka pierwszych wierszy, spojrział spod oka, czy Mordaunt nie śledzi wyrazu jego fizjonomii, a widząc jego zupełną obojętność, rzekł do siebie:

— Nigdy nie powierzyłbym mojej sprawy człowiekowi zajętemu swoimi interesami. Ale zobaczymy, czego żąda ten list.

List był następujący:

„Do Jego Eminencji kardynała Mazariniego

Życzeniem moim jest poznać zdanie i usposobienie W. Eminencji względem obecnych spraw Anglii. Francja jest tak bliskim naszym sąsiadem, że położenie nasze musi ją równie obchodzić, jak nas jej stan obchodzi. Anglicy prawie jednozgodnie postanowili usunąć Karola I od rządów. Będąc postawiony przez zaufanie publiczne na czele tego przedsięwzięcia, lepiej niż ktokolwiek inny umiem oceniać jego naturę i skutki. Jeśli wygram bitwę, którą postanowiłem stoczyć, Karol I nie będzie mógł znaleźć schronienia ani w Anglii, ani w Szkocji, i jeśli nie polegnie na placu lub nie zostanie wzięty do niewoli, zapewne starać się będzie dostać do Francji, aby tam zbierać stronników i pieniądze. Francja już udzieliła gościnności jego małżonce, ale królowa Henrieta jest córką Francji i ta gościnność słusznie jej się należała. Co do Karola I kwestia jest zupełnie inna i przyjmując go lub udzielając mu pomocy, Francja obrażałaby naród angielski i szkodziłaby w sposób stanowczy postępowi rządu, jaki ten naród zamierza zaprowadzić u siebie, podobny więc postępek byłby wyraźnym krokiem nieprzyjacielskim”.

W tej chwili Mazarini, zatrwożony obrotem, jaki ten list przybierał, przerwał czytanie i spojrział spod oka na młodzieńca.

Ten ciągle był pogrążony w myślach, a Mazarini czytał dalej.

„Ważne więc jest, abym mógł dowiedzieć się od Waszej Eminencji, czego mam spodziewać się od Francji. Sądzę jednak, że Francja, równie jak my, potrzebuje pokoju dla ustalenia tronu swego młodego króla.

Zatargi z parlamentem, głośnie poróżnienia z książętami, którzy dziś walczą za sprawę tronu, a jutro mogą walczyć przeciw niemu, stronnictwo prowadzone przez koadiutora, prezydenta Blancmesnil i radcę Broussel, te wszystkie nareszcie nieporządki, wkradające się w różne gałęzie stanu, dają prawdopodobieństwo wojny wewnętrznej. Znając więc mądrość Waszej Eminencji i jego osobiste położenie, osądziłem, że zapewne Wasza Eminencja zechcesz skoncentrować wszystkie siły państwa wewnątrz Francji, zostawiając wolny bieg nowemu rządowi w Anglii, do czego najważniejszym krokiem byłoby nie przyjmować Karola I na ziemię francuską i w niczym go nie wspomagać.

List mój, jak Wasza Eminencja widzi, jest zupełnie poufny i dlatego posyłam go przez człowieka, który całe moje zaufanie posiada.

Żegnam Waszą Eminencję. Jeśli za piętnaście dni nie otrzymam odpowiedzi, będę uważał mój list za niedoszły.

Oliver Cromwell”

— Panie Mordaunt — rzekł Mazarini podnosząc głos, aby wyrwać młodzieńca z zadumy — moja odpowiedź na ten list będzie tym więcej zadowolająca dla jenerała Cromwella, ponieważ mogę być pewny, że nikt nie będzie wiedział, iż mu jej udzieliłem. Chciej więc pan udać się do Boulogne-sur-Mer zaraz jutro rano i tam czekać na odpowiedź.

— Pojadę jutro — odpowiedział Mordaunt — ale jak długo wasza eminencja każe mi tam czekać na odpowiedź?

— Jeśli jej pan nie otrzymasz za dziesięć dni, będziesz mógł odjechać do: Anglii.

Mordaunt uklonił się.

— Słowo jeszcze — dodał Mazarini — panie Mordaunt. Jego osobiste wypadki mocno mię zajęły, prócz tego jenerał Cromwell w liście swoim czyni pana *ważną* osobą w oczach moich. Chciej więc pan powiedzieć mi, czy nie mógłbym być mu w czym użyteczny.

Mordaunt namyślał się przez chwilę i po widocznym wahaniu już prawie miał otworzyć usta, aby coś powiedzieć, ale w tej chwili wszedł szybko Bernonin i nachyliwszy się do ucha kardynała rzekł mu z cicha:

— Królowa Henrieta w towarzystwie jakiegoś szlachcica angielskiego weszła w tej chwili w bramę pałacu.

Mazarini podskoczył na krześle, co nie uszło baczności młodzieńca i wstrzymało zwierzenia, które — jak się zdawało — miał uczynić.

— Panie — rzekł kardynał odwracając się do Mordaunta — nazaczyłem mu Boulogne, bo sądzą, że każde miasto we Francji jest mu zarówno dogodnie. Jeślibyś jednak wolał czekać gdzie indziej, chciej tylko powiedzieć, idzie mi głównie o to, aby nie wiadano o jego pobycie w Paryżu.

— Będę czekał w Boulogne — odpowiedział Mordaunt postępując ku drzwiom, którymi wszedł.

— Nie tędy, panie, nie tędy — zawołał żywo Mazarini — chciej udać się przez tę galerię. Pragnę, aby nie widziano pana wychodzącego, nasze widzenie się powinno być tajemnicą.

Mordaunt udał się za Bernoninem, który powierzywszy go woźnemu czekającemu w galerii i poleciwszy wyprowadzić go na boczny dziedziniec, sam wrócił do gabinetu kardynała, aby wprowadzić doń królowę Henrietę, która już przechodziła przez salę straży.

MAZARINI I KRÓLOWA HENRIETA

Kardynał powstał i pośpieszył na przyjęcie królowej, którą spotkał w galerii przyległej do jego gabinetu.

Okazywał on tym więcej uszanowania dla tej królowej bez orszaku, ponieważ czuł wewnętrznie, że wiele powinien wyrzucać sobie z powodu swego skąpstwa i nieczułości..

Proszący umieją przymuszać się do przybrania wszelkiego wyrazu twarzy i córka Henryka IV uśmiechała się do tego, którego nienawidziła i którym gardziła.

„Ach — pomyślał Mazarini — jaki słodki wyraz jej twarzy! Czy przypadkiem nie przychodzi pożyczyc ode mnie pieniędzy?”

I niespokojnie spojrzawszy na swą szkatułę, obrócił nawet do środka ręki wspaniałe diament pierścienia, którego blask zwracał uwagę na jego rękę z natury białą i piękną. Na nieszczęście nie był to pierścień Gygesa, który czynił swego pana niewidzialnym, kiedy jego kamień był obrócony do wewnątrz.

A jednak Mazarini byłby w tej chwili rad stać się niewidzialny, ponieważ zgadywał, że królowa Henrieta przychodzi prosić go o coś, bo widząc ją z uśmiechem na ustach, zamiast groźby, nie mógł wątpić, że przychodzi w charakterze proszącej.

— Panie kardynale — rzekła królowa — zrazu miałam zamiar mówić o przedmiocie, który mig tu sprowadza, z królową — moją siostrą, ale namyśliłam się, ponieważ sprawy polityczne przede wszystkim należą do mężczyzn.

— Najjaśniejsza pani — rzekł Mazarini — racz wierzyć, że nie mam wyrazów na wypowiedzenie mojej wdzięczności za ten zaszczyt.

„Jakoś bardzo uprzejmy pan kardynał — pomyślała królowa — czyliżby odgadł moją sprawę?”

Wszedłszy do gabinetu, prosił Mazarini królową, aby usiadła, po czym rzekł:

— Racz, najjaśniejsza pani, wydać rozkazy najpokorniejszemu swemu słudze.

— Niestety, panie! — odrzekła królowa — odwykłam zupełnie od dawania rozkazów i przychodzę prosić, szczęśliwa, jeśli moja prośba będzie wysłuchana.

— Słucham cię, pani — rzekł Mazarini.

— Panie kardynale, idzie tu o wojnę, którą król, mąż mój, prowadzi z swymi poddanymi. Wiesz pan zapewne, że walka toczy się obecnie w Anglii, niedługo zapewne rozstrzygnie się.

— Nie wiedziałem o tym wcale — odrzekł Mazarini z lekkim wzruszeniem ramion. — Niestety! nasze własne wojny zbyt zajmują czas i umysł biednego i słabego ministra, jakim jestem.

— A więc, panie kardynale, dowiedz się pan ode mnie, że Karol I, mąż mój, postanowił wykonać krok rozstrzygający. W razie przegranej (Mazarini uczynił gest zdziwienia) należy wszystko przewidywać: w razie przegranej chciałby schronić się we Francji i żyć tu jako osoba prywatna. Cóż pan sądzisz o tym zamiarze?

Kardynał słuchał nie zdradzając wyrazem swej twarzy wrażenia, jakiego doznał; uśmiech jego był — jak zawsze — chytry i fałszywy, a kiedy królowa skończyła, rzekł najśłodszym, jak mógł, głosem:

— Czy sądzisz, najjaśniejsza pani, że Francja, wstrząsana ciągle wewnętrznymi niesnaskami, byłaby zbawiennym portem dla jej dostojnego małżonka? Korona na głowie Ludwika XIV i tak nie bardzo jest pewna, czyliż zdołałby on znieść podwójny ciężar?

— Ten ciężar nie bardzo byłby ciężki. Co się mnie dotyczy — przerwała królowa z bolesnym uśmiechem — nie żądam, aby dla mojego małżonka czyniono więcej niż dla mnie. Widzisz pan, panie kardynale, że mamy skromne wymagania.

— O, najjaśniejsza pani — zawołał kardynał, aby przerwać wyjaśnienia, które przeczuwał — co do waszej królewskiej mości to rzecz zupełnie inna. Jako córka Henryka IV, tego wielkiego, tego wzniosłego króla ...

— Którego pamięć nie przeszkadzała panu odmówić gościnności jego zięciowi? Nieprawdaż?. Powinien byś pan jednak przypomnieć sobie, że ten wielki, ten wzniosły król, zmuszony niegdyś oddalić się z Francji, udał się o pomoc do Anglii i że Anglia udzieliła mu jej. To prawda, że królowa Elżbieta nie była jego synowicą.

— Peccato! — rzekł Mazarini — wasza królewska mość nie zrozumiała mię i źle pojęła moje myśli, zapewne dlatego, że źle się wysławiam po francusku.

— Chciej pan mówić po włosku, nasza matka Maria de Medicis nauczyła nas mówić tym językiem wcześniej niż kardynał, poprzednik pana, wysłał ją na wygnanie. Jeśliby nas słyszał ten wielki, ten wzniosły król Henryk IV, musiałoby go zdziwić tak wielkie uwielbienie dla niego, połączone z takim brakiem litości dla jego rodziny.

Pot grubymi kroplami spływał po czole Mazariniego.

— Owszem, najłaskawsza pani — odrzekł nareszcie, nie korzystając z pozwolenia mówienia po włosku — pamięć tego bohatera jest mi tak droga, że gdyby król Karol I, którego oby Bóg ustrzegł od wszelkich przeciwności, przybył do Francji, ofiarowałbym mu mój dom, moje własne mieszkanie, ale niestety, byłoby to bardzo niepewne schronienie. Co chwila gmin może spalić ten dom, tak jak spalił dom marszałka d'Ancre, biednego Concino, który przecież pragnął tylko dobra Francji.

— Tak jak wasza eminencja — rzekła ironicznie królowa.

Mazarini udał, że nie zrozumiał dwuznaczności tych słów królowej.

— Więc w końcu, panie kardynale — rzekła zniecierpliwiona królowa — jakaż jest jego odpowiedź?

— Najjaśniejsza pani — rzekł Mazarini jeszcze tkliwszym głosem niż poprzednio — udzieliłbym waszej królewskiej mości jednej rady, uprzedzając atoli, że w każdym razie starać się będę uczynić wszystko, co się waszej królewskiej mości podobać będzie.

— Mów pan — odpowiedziała królowa — rada człowieka tak roztropnego i tak biegłego polityka powinna być dobra.

— Moim zdaniem mąż waszej królewskiej mości powinien bronić się do ostatniego.

— Toteż właśnie czyni, ale w razie, gdyby został zwyciężony?

— W takim razie jego królewska mość nie powinien opuszczać Anglii, bo wtedy sprawa jego byłaby zupełnie stracona.

— W takim razie, jeśli takie jest wasze zdanie, panie kardynale, i jeśli istotnie tak dobrze mu życzyście, pošlijcie mu pomoc w ludziach i pieniądzech, gdyż ja już nic dla niego uczynić nie mogę, bo sprzedałam wszystko aż do ostatniego mego klejnotu; nie pozostało mi nic. Pan wiesz o tym, bo gdyby mi było co pozostało, byłabym za to kupiła sobie drzewa dla ogrzania się tej zimy.

— Ach, pani — rzekł Mazarini — wasza królewska mość nie bierze pod uwagę tej smutnej okoliczności, że władca, który korzysta z obcej pomocy, wyraźnie świadczy o tym, że zupełnie stracił miłość swych poddanych.

— Do rzeczy, panie kardynale — zawołała królowa, zniecierpliwiona subtelными wybiegami tego chytrego umysłu — odpowiedz mi pan wyraźnie i stanowczo: jeśli król zechce pozostać w Anglii, czy pošlesz mu pan pomoc? Jeśli przybędzie do Francji, czy udzielisz mu gościnę?

— Pani — rzekł Mazarini udając największą szczerłość — spodziewam się okazać waszej królewskiej mości, jak dalece pragnę jak najspieszniej zakończyć tę sprawę.

Królowa przygryzła usta i niecierpliwie poruszyła się na krześle.

— Cóż więc pan uczynisz? — rzekła na koniec — słuchani.

— Idę natychmiast naradzić się z jej królewską mością w tym przedmiocie i następnie przedstawimy całą rzecz parlamentowi.

— Z którym pan toczysz wojnę, nieprawdaż? Zapewne radcy Broussel polecisz pan złożenie raportu. Dość, panie kardynale, dość. Rozumiem pana. Ale przedstaw moją sprawę parlamentowi, bo temu parlamentowi, chociaż nieprzyjacielowi tronu, winna jestem jedyną pomoc, która nie pozwoliła umrzeć z głodu i zimna córce tego wielkiego Henryka IV, którego pan tak uwielbiasz.

I po tych słowach królowa powstała z majestatycznym oburzeniem. Kardynał złożył ręce jakby do modlitwy i zawołał żałośnie:

— Ach pani! jak mało znasz moje serce, mój Boże!

Ale królowa Henrieta, nie odwracając się nawet w jego stronę, przeszła przez gabinet, otworzyła sama drzwi i pośród mnóstwa straży i dworzan, którzy oddawali honory należne jej stanowi, podała rękę lordowi de Winter, jedynemu prawdziwemu przyjacielowi, który jej pozostał.

— Mniejsza o to — rzekł Mazarini zostawszy sam — dużo mię to kosztowało. Ciężka rola, ale wyszedłem z niej nie powiedziawszy za wiele. Ten Cromwell to tęga głowa. Żałuję z góry tych, których weźmie na swoich ministrów. Bernonin!

Bernonin wszedł.

— Zobacz, czy młody człowiek, którego wprowadziłeś do mnie przed królową, znajduje się jeszcze w pałacu.

Bernonin wyszedł. Kardynał tymczasem obrócił na wierzch ręki diament swego pierścienia, potarł go dłonią i z zadowoleniem przyglądał się jego blaskowi.

Bernonin wrócił z panem Comminges, który był na służbie.

— Kiedy odprowadzałem młodego człowieka, o którego wasza eminencja pyta — rzekł Comminges — zatrzymał się przy szklanych drzwiach galerii i ze zdziwieniem wpatrywał się w jakiś przedmiot, zapewne w piękny obraz Rafaela, który jest umieszczony naprzeciw tych drzwi, potem zamyślił się przez chwilę i zszedł ze schodów. Widziałem, jak wszedł na swego konia i wyjechał za bramę. Ale czy wasza eminencja nie uda się do królowej?

— W jakim celu?

— Pan de Guitaut, mój wuj, powiedział mi, że jej królewska mość otrzymała wiadomość z armii.

— Dobrze, idę.

W tej chwili wszedł pan de Villequier; przybywał on istotnie wezwać kardynała do królowej.

Comminges dobrze widział, że Mordaunt przechodząc galerię spostrzegł lorda de Winter, czekającego na królową.

Na ten widok młodzieniec zatrzymał się nagle, nie z podziwu nad pięknym obrazem Rafaela, ale jakby zaczarowany strasznym widokiem; oczy jego zaiskrzyły się, dreszcz przebiegł po jego ciele i gdyby Comminges zauważył wyraz nienawiści w oczach młodzieńca, kiedy patrzył on na lorda de Winter, poznałby od razu, że ten szlachcic angielski jest jego śmiertelnym wrogiem.

Ale Mordaunt, który w pierwszej chwili chciał pójść prosto do swego stryja, namyślił się i zmieniając zamiar zszedł ze schodów, wszedł na konia i stanąwszy na rogu ulicy Richelieu, utopił wzrok w bramie pałacu królewskiego, czekając na wyjście lorda de Winter.

Niedługo czekał, bo królowa nie bawiła więcej niż kwadrans u Mazariniego, ale ten kwadrans oczekiwania zdawał się wiekiem dla czekającego; na koniec ciężka karetka wyjechała z bramy, a lord de Winter, jadąc obok drzwiczek, pochylił się, aby dogodniej rozmawiać z królową.

Konie szły truchtem i zakreśliły na drogę do Luwru, gdzie zatrzymały się, bo królowa — wyjeżdżając z klasztoru karmelitanek — poleciła swojej córce oczekiwać na nią w tym pałacu, gdzie przez całą zimę mieszkały i który opuściła niedawno dlatego, że niedostatek zdawał jej się przykrzejszym pośród tych sal złoconych.

Mordaunt jechał z daleka za powozem i widząc, że wjeżdża pod ponurą 'arkadę pałacu, zatrzymał się w cieniu po przeciwnej stronie, czekając podobnie jak przed Palais-Royal.

XXXIII

NIESZCZĘŚLIWI BIORĄ NIEKIEDY PRZYPADEK ZA ZRZĄDZENIA OPATRZNOŚCI

— I cóż, najjaśniejsza pani? — zapytał de Winter, kiedy królowa oddaliła służących.

— To stało się, com powiedziała, milordzie.

— Odmawia?

— Byłam tego pewna.

— Francja odmawia gościnności Karolowi I — ach, czyż to podobna!

— Me powiedziała, że Francja, milordzie, to tylko kardynał Mazarini, który nawet nie jest Francuzem.

— A królowa, czy mówiłaś z nią, pani?

— To byłoby na próżno! — odrzekła królowa Henrieta potrząsając smutnie głową. — Królowa nigdy nie powie „tak”, kiedy kardynał powiedział „nie”. Czyż nie wiesz, milordzie, że ten Włoch wszystkim tu rządzi? Co większa, nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że Cromwell uprzedził nas; kardynał był zmieszany mówiąc ze mną, a jednak okazał niezachwiane postanowienie odmowy. A potem, czy nie zauważyłeś, milordzie, tego ruchu w Palais-Royal, tych ludzi szybko przechodzących tam i z powrotem. Może otrzymano jakie wiadomości.

— Tak, pani, ale nie z Anglii; spieszyłem się tak bardzo, że nie podobna prawie, aby mię kto wyprzedził. Wyjechałem przed trzema dniami, cudem przebyłem obóz purytanów, wziąłem pocztę z moim służącym Tomy i konie nasze kupiłem tu w Paryżu. Zresztą sędzę, że król nie rozpocznie stanowczych kroków przed odebraniem odpowiedzi od waszej królewskiej mości.

— Odpowiesz mu, milordzie — rzekła królowa w rozpaczy — że nic nie mogę mu dopomóc, że ucierpiałam tyle co on, więcej nawet, bo muszę prosić prawie o jałmużnę fałszywych przyjaciół, którzy śmieją się z moich łez, i że nie pozostaje mu nic, jak poświęcić się i umrzeć szlachetnie.

— Ach, pani, wasza królewska mość oddaje się zwątpieniu, a może jeszcze zostaje nam jaka nadzieja.

— Nie mamy już przyjaciół, milordzie! nie mamy ich na całym świecie, prócz ciebie. Och, mój Boże! — dodała królowa wznosząc ręce do nieba — czyliż już zabrałeś do siebie wszystkie szlachetne serca, które kiedykolwiek istniały na świecie?

— Spodziewam się, że nie — rzekł de Winter — wspomniałem waszej królewskiej mości o czterech przyjaciółach.

— Cóż mogą zdziałać czterej ludzie przeciw całemu narodowi?

— Czterej ludzie oddani, gotowi umrzeć, mogą wiele zdziałać, i ci, o których mówię, w swoim czasie bardzo wiele zdziałali.

— I gdzie są ci czterej ludzie?

— Tego nie wiem. Blisko dwadzieścia lat temu straciłem ich z oczu, a jednakże ile razy widziałem króla w niebezpieczeństwie, myślałem o nich,

— I ci ludzie byli twoimi przyjaciółmi, milordzie?

— Jeden z nich miał moje życie w swoich rękach i oddał mi je; nie wiem, czy dotychczas pozostał moim przyjacielem, ale ja od owej chwili nie przestałem być nim dla niego.

— I ci ludzie znajdują się we Francji?

— Tak, spodziewam się.

— Powiedz ich nazwiska, milordzie, może je słyszałam wymawiane na dworze i potrafię dopomóc ci w ich wyszukaniu.

— Jeden z nich nazywał się kawaler d'Artagnan.

— Och, milordzie, jeśli się nie mylę, ten kawaler d'Artagnan jest porucznikiem straży, słyszałam, jak mówiono o nim, i jeśli się nie mylę, mówiono, że on zupełnie jest oddany kardynałowi.

— To byłoby nieszczęście — rzekł de Winter — i uwierzyłbym, że istotnie jesteśmy przeklęci.

— A inni? — zapytała królowa, która uchwyciła się tej ostatniej nadziei, jak rozbitek czepia się ostatniej deski ratunku.

— Drugi — mówił dalej de Winter — nazywał się hrabia de la Fère; dowiedziałem się o jego nazwisku od niego samego, bo na chwilę przed rozpoczęciem pojedynku ze mną i moimi towarzyszami ci czterej panowie wymienili nam swoje nazwiska. Co do dwóch innych, przez nawyknięcie nazywania ich przybranymi imionami, zapomniałem ich prawdziwych nazwisk.

— A jednak, mój Boże, należałoby starać się wynaleźć ich jak najprędzej — rzekła królowa — ponieważ sądzisz, milordzie, że ci zacni ludzie mogliby być użytecznymi królowi.

— Och tak. Czy nie słyszałaś kiedy opowiadania, że królowa Anna Austriacka została pewnego razu ocalona z największego niebezpieczeństwa, jakie mogło kiedykolwiek grozić królowej.

— Tak, w czasie jej miłostek z księciem de Buckingham; chodziło o jakieś zapinki diamentowe.

— Tak. To więc są ci ludzie, którzy ją ocalili, i przykro pomyśleć, że imiona ich dlatego nie są znane waszej królewskiej mości, ponieważ królowa Anna zapomniała o nich zamiast uczynić ich pierwszymi panami Francji.

— A więc, milordzie, potrzeba szukać ich, ale cóż potrafią uczynić czterej ludzie, a raczej trzej, bo co do pana d'Artagnana, na tego wcale liczyć nie możemy.

— To by nas pozbawiło jednej dzielnej szpady, ale zawsze jeszcze pozostaną trzy, nie licząc mojej, czterech ludzi zupełnie poświęconych królowi, którzy strzec go będą od nieprzyjaciół, otaczać wśród walki, dopomagać w radzie, osłaniać w ucieczce, nie wystarczy to, aby zapewnić mu zwycięstwo, ale choć wystarczy, by ocalić go, gdyby był zwyciężony, i zapewnić mu dostanie się do Francji, cokolwiek powie kardynał Mazarini; niech tylko król dostanie się na ten brzeg, nie trudno będzie znaleźć dla niego bezpieczne schronienie.

— Szukaj, milordzie, szukaj tych szlachetnych ludzi. A jeśli ich znajdziesz, jeśli zechcą udać się z tobą do Anglii, dam każdemu z nich bogate księstwo, skoro odzyskamy tron Anglii, i tyle złota, ile wart pałac Whitehall. Szukaj więc, milordzie, szukaj, zaklinam cię.

— Szukać ich będę, pani — odrzekł de Winter — i spodziewam się, że ich znajdę, ale mało mam na to czasu. Wasza królewska mość zapomina, że jej dostojny małżonek oczekuje niecierpliwie odpowiedzi od waszej królewskiej mości.

— A więc jesteśmy zgubieni! — zawołała królowa.

W tej chwili drzwi się otworzyły i ukazała się młoda księżniczka. Królowa z tą wzniosłą bohaterską mocą, właściwą matkom, wstrzymała łzy, dając znak lordowi, aby zmienił przedmiot rozmowy.

Ale choć szybka była ta zmiana, nie uszła ona przed wzrokiem czulej córki. Zatrzymała się ona na progu, westchnęła głęboko i rzekła spoglądając boleśnie na matkę.

— O moja matko, czemu zawsze płaczesz, kiedy jesteś beze mnie?

Królowa, uśmiechnięta, zamiast odpowiedzieć rzekła do lorda de Winter:

— Widzisz, milordzie, że to nawet ma swoje korzyści, iż tylko jestem częściowo królową, bo przynajmniej moje dzieci nazywają mię matką, nie panią.

Potem, obracając się do Henryki, dodała:

— Cóż powiesz, moje dziecię?

— Moja matko — odpowiedziała dziewczica — przybył do Luwru młody rycerz, który prosi o pozwolenie złożenia ci hołdu i uszanowania oświadczając, że ma list do waszej królewskiej mości od marszałka de Gramont, jeśli się nie mylę.

— Ach — rzekła królowa do lorda — to jeden z moich wiernych przyjaciół. Widzisz, milordzie, nasza służba jest tak liczna, iż córka moja musi oznajmiać każdego gościa.

— Pani, przez litość, nie rozdieraj mojej duszy! — zawołał boleśnie de Winter.

— Jak wygląda ten rycerz? — zapytała znowu królowa córki.

— Widziałam go przez okno, jest to młodzieniec mający, jak się zdaje, najwyżej szesnaście lat i nazywano go wicehrabią de Bragelonne.

Królowa skinęła głową z uśmiechem, księżniczka otworzyła drzwi i na progu ukazał się Raul.

Postąpił on parę kroków do królowej i przyklęknął.

— Pani — rzekł — przynoszę waszej królewskiej mości pismo mojego przyjaciela, hrabiego de Guiche, który oświadczył mi, że ma zaszczyt być sługą waszej królewskiej mości, pismo to zawiera ważną wiadomość dla waszej królewskiej mości.

Imię hrabiego de Guiche wywołało żywy rumieniec na licach młodej księżniczki; królowa spojrzała na nią poważnie i rzekła:

— Zdaje mi się, moja córko, iż powiedziałaś, że list ten jest od marszałka de Gramont.

— Tak sądziłam, moja matko — odrzekła zapłoniona dziewczica.

— To moja wina, najjaśniejsza pani — rzekł Raul — oznajmiłem się istotnie jako posłaniec marszałka de Gramont, ale marszałek, ranny w prawą rękę, nie mógł sam pisać i syn jego służył mu za sekretarza.

— A więc walczone? — rzekła królowa dając znak Raulowi, aby powstał.

— Tak, pani — odrzekł młodzieniec podając list lordowi de Winter, który zbliżył się do niego i przekazał pismo królowej.

Usłyszawszy o stoczonych walce młoda księżniczka otworzyła usta, jakby chciała się o coś zapytać, bardzo dla niej interesującego, ale pytanie zamarło jej na ustach, a rumieniec stopniowo zszedł z nadobnych lic.

Królowa widziała to wszystko i zapewne jej macierzyńskie serce rozumiało tę niemą wymowę, gdyż zwróciła się znowu do Raula z zapytaniem:

— Czy młodemu hrabiemu de Guiche nie zdarzył się żaden wypadek? bo nie tylko jest moim wiernym sługą, jak to panu powiedział, ale nadto moim przyjacielem.

— Nie, pani — odrzekł Raul — przeciwnie, zyskał w dniu tym ogromną sławę i spotkał go ten zaszczyt, iż książę uściskał go na polu bitwy.

Młoda księżniczka klasnęła w ręce, ale zawstydzona tym zbyt wyraźnym objawem radości odwróciła się i pochyliła nad wazonem róż, jakby chciała upoić się ich wonią.

— Zobaczymy, co nam donosi hrabia — rzekła królowa.

— Miałem zaszczyt oświadczyć waszej królewskiej mości, że hrabia pisze w imieniu swego ojca.

— Tak, panie.

Królowa odpieczętowała list i czytała głośno:

„Pani i królowo!

Nie mam zaszczytu pisać sam do W. K. Mości z powodu rany otrzymanej w prawą rękę. Powierzam ten zaszczyt mojemu synowi, hrabiemu de Guiche, który jest, również jak jego ojciec, najwierniejszym sługą W. K. Mości. Pośpieszam donieść W. K. Mości, że wygraliśmy wielką bitwę pod Lens, która to wygrana wpłynie niezmiernie na zwiększenie władzy, kardynała Mazariniego i królowej i wpływu Francji na sprawy Europy. Spodziewam się, że W. K. Mość wykorzysta to pomyślnie wydarzenie dla dopominania się u rządu francuskiego pomocy dla jej dostojnego małżonka, który będzie miał zaszczyt doręczyć ten list W. K. Mości, jest przyjacielem mojego syna, któremu ocalił życie w chwili, gdy tonął przepływając się przez rzekę. W. K. Mość może najzupełniej zaufać temu młodzieńcowi, w razie jeśliby W. K. Mość raczyła przesłać mi jakie ustne lub piśmienne zlecenie.

Mam zaszczyt itd.

Marszałek de Gramont”.

W chwili kiedy królowa przeczytała wyrazy odnoszące się do przysługi, jaką Raul wyświadczył młodemu hrabiemu de Guiche, młodzieniec prawie mimowolnie zwrócił się w stronę młodej księżniczki i ujrzał w jej oczach wyraz niewysłowionej wdzięczności. Nie było już wątpliwości: córka Karola I kochała hrabiego de Guiche.

— Wygrali bitwę pod Lens — rzekła królowa — szczęśliwi, wygrywają bitwy! Tak, marszałek de Gramont ma słuszność, to zmieni postać spraw, ale naszym nic nie pomoże, a może nawet zaszkodzi. Ta wiadomość jest świeża, dziękuję panu, że tak pośpieszyłeś z przyniesieniem mi jej. Gdyby nie pan i nie ten list, dowiedziałabym się może o tym jutro, pojutrze, kiedyby już cały Paryż wszystko wiedział.

— Pani — rzekł Raul — Luwr jest drugim pałacem, do którego ta wiadomość doszła, nikt jeszcze jej nie zna i ja przyrzekłem marszałkowi de Gramont i hrabiemu de Guiche, iż oddam ten list waszej królewskiej mości pierwej, niż uściskam mego opiekuna.

— Czy opiekun pana nazywa się Bragelonne, podobnie jak pan? — zapytał lord de Winter. — Znałem dawniej jednego szlachcica tego nazwiska, czy on żyje jeszcze?

— Nie, panie, umarł, i po nim to mój opiekun, który jak mi się zdaje, był jego bliskim krewnym, odziedziczył ziemię, której nazwisko noszę.

— A opiekun pański jak się zowie? — zapytała królowa, którą mimowolnie coś pociągało do pięknego młodzieńca.

— Hrabia de la Fère — odpowiedział Raul z ukłonem.

De Winter i królowa spojrzeli na Raula z podziwem i radością.

— Hrabia de la Fère! — zawołała królowa — zdaje mi się, że to nazwisko wymówiłeś niedawno, milordzie.

De Winter nie śmiał jeszcze wierzyć temu, co słyszał.

— Hrabia de la Fère! — zawołał także — ach, panie, zaklinam cię, odpowiedz na moje pytanie: Czy to ten hrabia de la Fère, którego przed dwudziestu laty znałem, który był muszkietierem króla Ludwika XIII i który teraz może mieć czterdzieści siedem lub osiem lat?

— Tak panie, ten sam.

— I który służył pod przybranym nazwiskiem?

— Pod nazwiskiem Atosa. Niedawno jeszcze słyszałem, jak jego przyjaciel, kawaler d'Artagnan, nazywał go tym imieniem.

— To ten, najjaśniejsza pani, ten sam. Niech Bogu będzie chwała! I hrabia jest w Paryżu? — zapytał znów Raula.

— Tak, panie.

De Winter obrócił się do królowej.

— Miej, pani, nadzieję — rzekł. — Opatrzność nam sprzyja, ponieważ sprawiła, że w tak dziwny sposób znajduję tego przyjaciela. A gdzie mieszka hrabia de la Fère, zechciej mi pan powiedzieć.

— Pan hrabia mieszka przy ulicy Guenégaud, w hotelu Karola Wielkiego.

— Dziękuję panu, chciej uprzedzić tego zacnego przyjaciela, że wkrótce pośpieszę uściskać go.

— Panie, uczynię to z wielką przyjemnością, jeżeli jej królewska mość już nie potrzebuje moich usług.

— Idź, panie wicehrabio, idź i wierz w naszą przychylność. Raul ukłonił się z głębokim uszanowaniem dwóm damom,

pożegnał z uprzejmą godnością lorda de Winter i wyszedł.

Królowa i de Winter przez pewien czas rozmawiali z cicha, aby młoda księżniczka nie słyszała, ale ta ostrożność nie była potrzebna, gdyż księżniczka zagłębiła się w myślach.

Kiedy de Winter zabierał się do odejścia, królowa rzekła doń:

— Milordzie, zachowałam ten krzyż diamentowy, który pochodzi od mojej matki, i tę gwiazdę św. Michała od mojego męża; są one warte przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy liwrów. Przysięgłam, że raczej umrę z głodu, niż rozłączę się z tymi drogimi pamiątkami, ale dziś, kiedy te klejnoty mogą mu przydać się albo jego obrońcom, trzeba wszystko poświęcić. Weź je, milordzie, i jeśli potrzeba będzie pieniędzy na waszą wyprawę, sprzedaj je, sprzedaj bez obawy. Ale jeśli będziesz mógł zachować je, uważać będę, że wyświadczyłeś mi największą przysługę, jaką szlachcic wyświadczyć może królowej, i że jeśli wrócą dla mnie dni pomyślności, ten, który mi odniesie ten krzyż i gwiazdę, będzie błogosławiony przeze mnie i moje dzieci.

— Pani i królowo — rzekł de Winter — możesz być pewna najzupełniejszego poświęcenia się swego sługi. Złożę te klejnoty w bezpiecznym miejscu; nie brałbym ich, gdyby mi zostało co z mojego dawnego majątku, ale moje dobra są skonfiskowane, kapitały wyczerpane. Za godzinę udaję się do hrabiego de la Fère i jutro wasza królewska mość otrzyma stanowczą odpowiedź.

Królowa podała lordowi rękę, którą on ucałował z uszanowaniem.

XXXIV

STRYJ I SYNOWIEC

Koń i służący lorda de Winter oczekiwali go u bramy. Lord puścił się drogą ku swemu mieszkaniu, zamyślony, oglądając się niekiedy na czarną i milczącą fasadę Luwru. W tej chwili spostrzegł odrywającą się od muru postać człowieka na koniu, posuwającą się za nim w pewnej odległości, i przypomniał sobie, że wyjeżdżając z Palais-Royal, zauważył już kogoś podobnego.

Służący lorda de Winter, który jechał za nim o parę kroków, patrzył także z niepokojem na tego jeźdźca.

— Tomy! — zawołał de Winter dając znak służącemu, aby się zbliżył.

— Jestem, milordzie.

I służący zbliżył się tak, że jechał obok swego pana.

— Czy zauważyłeś tego człowieka, który jedzie za nami?

— Tak, milordzie.

— Któż on jest?

— Nie wiem tego wcale; ale on jedzie za waszą wysokością od Palais-Royal. Zatrzymał się w Luwrze, czekając na waszą wysokość, i teraz jest znowu za nami.

— Zapewne jakiś agent kardynała — rzekł do siebie de Winter — udawajmy, że nie zwracamy uwagi na jego nadzór.

I spiąwszy konia ostrogami, zapuścił się w labirynt ulic prowadzących ku jego mieszkaniu. Lord de Winter, który dawniej przez długi czas mieszkał na Placu Królewskim, teraz także zajął mieszkanie w tej znanej sobie stronie miasta.

Nieznajomy puścił swego konia galopem.

De Winter, przyjechawszy do mieszkania, udał się do swojego pokoju. Kładąc rękawiczki i kapelusz na stole, spostrzegł w zwierciadle postać człowieka stojącego na progu.

Obrócił się. Mordaunt stał przed nim.

De Winter zbladł i stanął nieporuszony. Mordaunt stał w drzwiach zimny, groźny, podobny do posągu Komandora. Przez chwilę trwało lodowate milczenie.

— Panie — rzekł de Winter — sądziłem, że dałem panu wyraźnie do zrozumienia, iż jego natręctwo nudzi mię; oddał się więc albo zawołałam ludzi, aby cię stąd usunęli podobnie jak dawniej w Londynie. Nie jestem stryjem pana, nie znam cię wcale.

— Mój stryju — rzekł Mordaunt głosem ochrypłym i urągliwym. — Mylisz się, nie każesz mię wypędzić tym razem, tak jak to uczyniłeś w Londynie, nie będziesz śmiały. Co do zaprzeczenia, że jestem twoim synowcem, namyśl się nieco, ponieważ teraz wiem wiele rzeczy, o których nie wiedziałem przed rokiem.

— Cóż mię obchodzi to, czego pan mogłeś dowiedzieć się? — rzekł de Winter.

— Och, to pana bardzo obchodzi, mój stryju, jestem pewien, i wnet pan podzielisz moje zdanie — dodał z uśmiechem, który mimowolnym dreszczem przejął lorda de Winter. — Kiedy przedstawiłem się po raz pierwszy w Londynie, chciałem zapytać się pana, co się stało z moim majątkiem; kiedym przyszedł po raz drugi, chciałem się dowiedzieć, co splamiło moje imię? Tym razem stoję przed panem, aby panu zadać pytanie straszliwsze od tamtych wszystkich, aby panu powiedzieć, jak Bóg powiedział do pierwszego zabójcy: „Kainie, co zrobił z twoim bratem Ablem?”

Milordzie coś zrobił z twoją siostrą, z twoją siostrą, która była moją matką?

Takim ogniem błyszcząły te straszliwe oczy, że de Winter cofnął się.

— Z twoją matką? — powiedział.

— Tak jest, z moją matką, milordzie — odpowiedział młodzieniec potrząsając głową.

De Winter zawołał:

— Spytaj się piekła, nieszczęśliwy, co się z nią stało. Może ci piekło odpowie.

Młodzieniec postąpił wówczas na środek pokoju, zatrzymał się dopiero naprzeciw lorda de Winter, a złożywszy na krzyż ręce, z twarzą pobladłą z gniewu i bóleści rzekł głosem stłumionym:

— Pytałem się o nią kata z Béthune i kat z Béthune odpowiedział mi.

De Winter upadł na krzesło, jakby piorun weń uderzył, i na próżno usiłował odpowiedzieć.

— Tak, wszak prawda — mówił dalej młodzieniec — ten wyraz wszystko tłumaczy, ten klucz przepaść otwiera. Moja matka została dziedziczką majątku mojego ojca, a pan zabiłeś moją matkę! Moje nazwisko zapewniało mi majątek ojcowski, a pan pozbawiłeś mnie mojego nazwiska. A kiedyś mnie pozbawił imienia, wydarłeś mi i moje bogactwa. Już się teraz nie dziwię, żeś mnie nie poznawał; nie dziwię się, żeś wzbraniał się poznać mnie! Byłoby nieprzyzwoicie nazwać swoim synowcem człowieka, którego się uczyniło nieszczęśliwym, będąc grabieżcą; człowieka, którego się uczyniło sierotą, będąc zabójcą.

— Pan chcesz zgłębić tę straszliwą tajemnicę? — rzekł de Winter. — Dobrze, niech tak będzie! Dowiedz się więc, jaką była kobieta, o którą się dziś u mnie dopominasz: ta kobieta według wszelkiego prawdopodobieństwa otruła mojego brata i żeby po mnie wziąć spadek, chciała i mnie także zabić; mam tego dowód. Cóż pan powiesz na to?

— Powiem, że to była moja matka!

— Była przyczyną, że człowiek, dawniej sprawiedliwy, dobry, niewinny, zabił nieszczęśliwego księcia de Buckingham. Cóż pan powiesz o tej zbrodni, której mam dowody?

— To była moja matka!

— Powróciwszy do Francji, otruła w klasztorze augustianek w Béthune młodą kobietę, którą kochał jeden z jej przyjaciół. Czyż ta zbrodnia nie przekona cię o sprawiedliwości kary? I tej zbrodni dowieść mogę.

— To była moja matka! — wykrzyknął młodzieniec, z coraz wzrastającą mocą.

— Na koniec, skalana morderstwami, rozpustą, obmierzła wszystkim, groźna jeszcze jak pantera, krwi nienasycona, padła pod ciosami ludzi, których do rozpacz przywiodła, a którzy jej nigdy najmniejszej krzywdy nie wyrządzili. Znalazła sędziów, a ten kat, któregoś widział, ten kat, który ci wszystko opowiedział, jak utrzymujesz, ten kat, jeśli ci wszystko opowiedział, powinien ci być powiedzieć, że drżał z radości, mszcząc się na niej za sromotę i samobójstwo swego brata. Obciążona niesławą, hańbą dwużeństwa, siostra wyrodna, mężobójczyni, trucicielka, obrzydła wszystkim, którzy ją znali, narodom, które ją na swoje przyjęły łono, umarła przeklęta w niebie i na ziemi; taka była ta kobieta.

Boleść, silniejsza od woli Mordaunta, wyrwała się jękiem z jego piersi, krew uderzyła do jego bladej twarzy, ścisnął swe pięści, pot spływał mu po twarzy, włosy najeżyły się na głowie i zawołał pozerany wściekłością:

— Milcz pan, to była moja matka! nie chcę znać jej błędów, nie chcę znać jej występków; nie chcę znać jej zbrodni! Wiem to tylko, że miałem matkę, że pięciu ludzi, zmówiwszy się przeciw kobiecie, zabili ją potajemnie, w nocy, w milczeniu, jak nikczemni! Wiem to tylko, że pan między nimi byłeś, mój stryju, i że powiedziałaś z drugimi i głośniejsz niż drudzy: trzeba, żeby umarła! A zatem ostrzegam pana, słuchaj uważnie tych słów i niech się wryją w twą pamięć tak, żebyś ich nigdy nie zapomniał. Za to zabójstwo, które mi wszystko wydarło, zabójstwo, które mnie pozbawiło imienia, które mnie uczyniło zepsutym, ty, panie, naprzód mi odpowiesz, a następnie ci, którzy byli pana współnikami, kiedy ich wynaleźć zdołam.

I z nienawiścią w oku, z wyciągniętą pięścią Mordaunt postąpił krok jeszcze ku lordowi, straszliwy i groźny.

Ten chwycił ręką za szpadę i rzekł z uśmiechem człowieka, który od lat trzydziestu igra ze śmiercią:

— Pan mnie chce zabić? A więc będę cię musiał uznać za mego synowca, bo jesteś prawdziwym synem twojej matki.

— Nie — odpowiedział Mordaunt usiłując przybrać spokojny wyraz twarzy — nie, ja pana nie zabiję, przynajmniej nie w tej chwili, bo w ten sposób nie odkryłbym twoich współników. Ale skoro ich poznam — drżij pan; zabiłem kata z Béthune, zabiłem go bez litości, bez miłosierdzia, a on był najmniej winny z was wszystkich.

I po tych słowach młodzieniec wyszedł z pokoju i zszedł ze schodów tak spokojnie, że niczego domyślić się nie można było. Na dole stał Tomy, oparty o poręcz schodów, oczekując tylko na jedno skinienie swego pana, aby pobiec do niego.

Ale de Winter nie zawołał, odurzony i przerażony stał ciągle i dopiero gdy usłyszał tętent odjeżdżającego konia, upadł na krzesło mówiąc:

— Boże mój, dziękuję ci, że on zna tylko mnie jednego.

OJCOSTWO

Właśnie w tym samym czasie, kiedy ten wypadek się rozgrywał u lorda de Winter, Atos, siedząc przy oknie w swoim pokoju, łokciem o stół oparty, z głową wspartą na rękę, chłonał oczami i uszami to, co mu Raul opowiadał o swojej podróży i szczegółach potyczki.

Atos był szczęśliwy jak nigdy.

— I tyś brał udział w tej wielkiej bitwie, wicehrabio? — mówił dawny muszkieter.

— Tak, panie. Księżę nacierał jedenaście razy osobiście.

— Jest to wielki wojownik, wicehrabio.

— To jest bohater, panie, nie spuściłem go z oka ani na chwilę. Nacieraliśmy na nieprzyjaciela truchtem, zakazano nam pierwszym strzelać, szliśmy na Hiszpanów, stojących na wzgórzu, ze spuszczoną bronią. Kiedyśmy byli o trzydzieści kroków od nich, księżę obrócił się do żołnierzy:

„ Dzieci — powiedział — będziecie musieli wytrzymać silne natarcie, ale za to później, bądźcie spokojni, będziecie mieli możliwość odwetu.

Takie panowało milczenie, że nasi żołnierze, równie jak nieprzyjaciel mogli słyszeć te słowa. Potem podniósłszy szpadę:

— Niech się trąby odezwą — powiedział.

Kiedyśmy się zbliżyli na dwadzieścia kroków, ujrzeliśmy wszystkie muszkiety, skierowane ku nam, tworzące jedną linię świetlną, bo słońce oświecało lufy.

— Truchtem, dzieci, truchtem — rzekł księżę — to chwila decydująca”.

— Czyś się bał, Raulu? — spytał hrabia.

— O, tak, panie — odpowiedział szczerze młodzieniec — uczułem jakieś zimno i zmartwiałem cały, a na wyraz „pal!” który dał się słyszeć w języku hiszpańskim w nieprzyjacielskich szeregach, zamknąłem oczy i pomyślałem o panu!

— Czy naprawdę, Raulu? — rzekł Atos ściskając mu rękę.

— Prawda, panie. W tejże samej chwili takie usłyszałem wystrzały, że można było mniemać, że się piekło otworzyło, a ci, którzy nie byli zabici, poczuli przynajmniej gorąco ognia. Otworzyłem oczy dziwiąc się, że żyję, a nawet nie jestem ranny, trzecia część szwadronu leżała na ziemi, pokaleczona i pokrwawiona. W tej chwili spotkałem wzrok księcia i o jednej już tylko rzeczy myślałem, to jest, że on na mnie patrzy. Spiąłem konia ostrogami i znalazłem się w szeregach nieprzyjacielskich.

— I księżę był z ciebie zadowolony?

— Tak mi przynajmniej powiedział, kiedy mi polecił, żebym towarzyszył do Paryża panu de Chatillon, który tu przybył, aby udzielić tej wiadomości królowej i odwieźć zabrane chorągwie.

„Jedź pan — powiedział mi księżę — nieprzyjaciel dopiero za dwa tygodnie przyjdzie do siebie. Przez ten czas nie będę pana potrzebował. Jedź pan, uściskaj tych, których kochasz i którzy cię kochają, i powiedz mojej siostrze, księżnie de Longueville, że jej dziękuję za podarunek, który mi w osobie pana przysłała”.

— Ach, panie! — rzekł nagle Raul — przypominam sobie rzecz, o której bym zapomniał śpiesząc się z opowiadaniem panu moich czynów wojennych, mianowicie, że był u królowej angielskiej jakiś szlachcic, który kiedyś wymienił pańskie nazwisko, krzyknął ze zdziwienia i radości, powiedział, że jest pańskim przyjacielem, pytał się o pana mieszkanie i przyrzekł pana odwiedzić.

— Jakże się nazywa?

— Nie śmiałem pytać się o to, panie, ale poznałem po akcencie, że musi być Anglikiem.

— Ach! — zawołał Atos.

I pochylił głowę, jakby szukał jakiegoś wspomnienia. A gdy podniósł czoło, oczy jego ujrzaly człowieka, który stał w drzwiach na pół otwartych i patrzył na niego z rozczuleniem.

— Lord de Winter! — zawołał hrabia. — Atos, mój przyjacielu!

I obaj przez chwilę pozostali we wzajemnym uścisku; potem Atos, biorąc go za obie ręce, rzekł patrząc na niego:

— Cóż ci jest, milordzie? Zdajesz się być tak smutny, jak ja jestem wesoly.

— Tak, mój przyjacielu, to prawda, powiem nawet, że twój widok podwaja moją obawę.

I de Winter rozejrzał się naokoło, jakby szukał samotności. Raul zrozumiał, że przyjaciele mieli sobie coś do powiedzenia, i wyszedł nieznacznie.

— A teraz, kiedy jesteśmy sami — rzekł Atos — mówmy o tobie, milordzie.

— Kiedy jesteśmy sami, mówmy o nas wszystkich — Odpowiedział lord de Winter. — On jest tutaj!

— Kto?

— Syn milady.

Atos raz jeszcze usłyszawszy to imię, które zdawało się go prześladować jak złowrogie echo, wahał się przez chwilę, lekko brwi zmarszczył, a potem rzekł głosem spokojnym:

— Wiem o tym.

— Wiesz pan o tym?

— Tak, Grimaud spotkał go między Arras i Béthune i powrócił jak najspieszniej, żeby mię uprzedzić o jego przybyciu.

— Alboż Grimaud go znał?

— Nie, ale był przy człowieku umierającym, który go znał. — Przy kacie z Béthune! — zawołał de Winter.

— Pan wie o tym? — zapytał Atos zdziwiony.

— On był u mnie dopiero — rzekł de Winter — wszystko mi powiedział. Ach! mój przyjacielu, jakaż to okropna chwila! Czemużemy nie udusili dziecka razem z matką!

— I czegoż się obawiasz? — rzekł Atos — czyliż się bronić nie możemy? Czyż ten młodzieniec ma być zabójcą z rzemiosła, mordercą na wszystko gotowym? Mógł zabić kata z Béthune w chwili wściekłości, ale teraz jego zemsta już jest nasyciona.

De Winter uśmiechnął się smutnie i potrząsnął głową.

— Czyż nie znasz więc tej krwi? — zapytał.

— Ba! — powiedział Atos, usiłując uśmiechnąć się także — musiała przecie stracić nieco dzikości w drugim pokoleniu. A poza tym, mój przyjacielu, Opatrzność nas oświeciła, żebyśmy się mieli na bacności. Nie możemy nic działać, tylko czekać. Czekajmy więc. Ale jakem od razu powiedział, mówmy o tobie. Cóż cię sprowadza do Paryża?

— Ważne interesy, które później poznasz. Ale cóżem to słyszał u królowej angielskiej? Pan d'Artagnan jest stronnikiem Mazariniego. Wybacz mi moją szczerłość, mój przyjacielu, ani nienawidzę, ani ganię kardynała i twój sposób myślenia będę umiał uszanować. Czyżbyś i ty był jego stronnikiem?

— Pan d'Artagnan jest w czynnej służbie — rzekł Atos — jest żołnierzem i musi być posłuszny władzy ustanowionej. Pan d'Artagnan nie jest bogaty i potrzebuje swojego stopnia porucznikowskiego, żeby miał z czego żyć. Bogacze, jak ty, milordzie, rzadko znajdują się we Francji.

— Niestety! — rzekł de Winter — dzisiaj jestem ubogi, a może uboższy od niego. Ale wróćmy do ciebie.

— Aha! chcesz wiedzieć, czy jestem za Mazarinim. Nie, z łaski Boga. Wybacz mi także moją otwartość, milordzie.

De Winter powstał i uściskał Atosa.

— Dzięki ci, hrabio — rzekł — dzięki za tę szczęśliwą wiadomość. Odmłodniałem dzięki niej. Nie jesteś zwolennikiem kardynała, jak to dobrze!

— No, milordzie, czego żądasz ode mnie?

— Masz Jeszcze dwóch przyjaciół, panów Portosa i Aramis?

— I dodaj d'Artagnana, milordzie. Zawsze jest nas czterech przyjaciół, oddanych jeden drugiemu jak dawniej; ale kiedy trzeba służyć Mazariniemu albo walczyć z nim, być kardynalistą albo frondystą, wtenczas jest nas tylko dwóch:

— Pan Aramis jest więc z panem d'Artagnanem? — zapytał lord de Winter.

— Nie — rzekł Atos — pan Aramis czyni mi zaszczyt dzieląc swój sposób myślenia...

— Mógłżebyś zbliżyć mnie z tym przyjacielem, tak przyjemnym i dowcipnym?

— Najchętniej, jeśli tego chcesz.

— Czy się zmienił?

— Został tylko opatem.

— Przerażasz mię; musiał więc wyrzec się, ze względu na swój stan duchowny, wielkich przedsięwzięć.

— Przeciwnie — rzekł Atos uśmiechając się — nigdy nie był zapaleńszym muszkietierem, jak odkąd został opatem. Może chcesz, to pošlę po niego Raula?

— Dziękuję ci, hrabio; może by go nie zastał teraz w domu: Ale jeśli sądzisz, że możesz mi ręczyć za niego...

— Jak za samego siebie.

— Możesz więc przyrzec mi, że przyprowadzisz go jutro o dziesiątej rano na most Luwru.

— A — rzekł Atos uśmiechając się — masz, milordzie, pojedynek?

— Tak, hrabio, i piękny pojedynek, do którego spodziewam się, że będziesz należał.

— Dokąd pójdziemy, milordzie?

— Do jej królewskiej mości, królowej angielskiej, która poleciła mi, abym cię jej przedstawił, panie hrabio.

— Więc jej królewską mość zna mię?

— Ja cię znam.

— Zagadka! — rzekł Atos — ale to nic nie szkodzi, ponieważ ty znasz jej znaczenie, milordzie, nie pytam zatem o więcej. Czy nie zechcesz wieczerzać ze mną, milordzie?

— Dziękuję ci, hrabio — odrzekł de Winter — przyznam ci się, że odwiedziny tego młodego człowieka pozbawiły mię apetytu i może pozbawią mię dzisiaj snu. Jakie sprawy sprowadziły go do Paryża? Nie dla spotkania mnie przybył tu bez wątpienia, bo nie wiedział, że ja się tu udałem. Ten młody człowiek przeraża mnie, tkwi w nim zaród krwawej przyszłości.

— Cóż on robi w Anglii?

— Jest jednym z najzapaleńszych stronników Cromwella.

— Cóż więc połączyło go z tą sprawą? Matka jego i ojciec byli, jak mi się zdaje, katolikami.

— Nienawiść do Karola I.

— Za co?

— Za to, że go ogłosił nieprawym synem, odjął mu dobra i zabronił nosić nazwisko de Winter.

— I jak się teraz nazywa? — Mordaunt.

— Purytanin, przebywający we Francji w przebraniu mnicha.

— Mnicha?

— Nie wiedziałeś o tym?

— Wiem tylko to, co mi sam powiedział.

— Przypadek zdarzył, że jako mnich słuchał umierającego kata z Béthune.

— Teraz rozumiem wszystko; jest on posłańcem Cromwella.

— Do kogo?

— Do Mazariniego; królowa trafnie domyśliła się, że nas uprzedzono; teraz wszystko staje się jasne. Bądź zdrow, hrabio, do jutra.

— Ale noc jest ciemna — rzekł Atos widząc, że de Winter jest bardziej niespokojny, niż chciałby to okazać — a może nie masz z sobą służących?

— Mam Tomy'ego, dobrego, ale prostego chłopaka.

— Hola! — Olivain, Grimaud, Blaisois, weźcie muszkiety. i zawołajcie pana wicehrabiego.

Blaisois był to rosły chłopak, który w zamku de Bragelonne oznajmiał, że obiad już podany.

W pięć minut po wydaniu tego rozkazu wszedł Raul.

— Wicehrabio — rzekł Atos — odprowadzisz milorda aż do jego mieszkania i nikomu nie pozwolisz zbliżyć się do niego.

— Ach, hrabio — rzekł de Winter — za kogo mię uważasz?

— Za cudzoziemca, który nie zna Paryża — odrzekł Atos — i któremu wicehrabia de Bragelonne będzie przewodnikiem.

De Winter uścisnął rękę Atosa.

KRÓLOWA POTRZEBUJĄCA RATUNKU

O dziesiątej Atos, ze zwykłą sobie akuratnością, znajdował się na moście Luwru, spotkał już tam lorda de Winter, który właśnie przybywał.

W chwilę później zbliżył się do nich Aramis.

Nastąpiły tysiące uścisków z lordem de Winter.

— Dokąd idziemy — rzekł Aramis — czy się tam bić będą?

Do pioruna, nie mam dziś szpady przy sobie, muszę wrócić do siebie i wziąć ją.

— Nie — rzekł de Winter — pójdziemy odwiedzić królową angielską.

— Ach, bardzo dobrze — rzekł Aramis — a jaki cel mają te odwiedziny? — mówił dalej; pochylając się do ucha Atosa.

— Na honor, nie wiem; może jakiego świadectwa żądać będą od nas.

— Może to za tę przekłętą sprawkę — rzekł Aramis. — W takim razie niewielką bym miał ochotę pójść tam.

— Gdyby tak było, lord de Winter nie prowadziłby nas do królowej, bo i on ponosi część odpowiedzialności: przecież i on do nas należał.

— Ach! tak, to prawda. Idźmy więc.

Skoro przybyli do Luwru, lord de Winter poszedł pierwszy. Przy dziennym świetle Atos, Aramis, a nawet Anglik mogli widzieć, jak ubogie było udzielone królowej angielskiej mieszkanie. Wielkie salony bez żadnych sprzętów, mury odrapane, okna bez szyb nie zamykały się wcale; żadnych obić, żadnej straży ani nawet służących. Taki to widok przedstawił się Atosowi, który zwrócił na to uwagę swego towarzysza trącając go łokciem i wskazując wzrokiem tę nędzę.

— Mazarini lepiej mieszka — rzekł Aramis.

— Mazarini jest prawie królem — rzekł Atos — a pani Henrieta prawie już nie jest królową.

Królowa zdawała się czekać z niecierpliwością, bo na pierwszy szmer, jaki usłyszała w sali obok jej pokoju, wyszła sama na próg, aby przyjąć przychylnych sobie gości.

— Wejdźcie i witajcie mi, panowie — rzekła.

Wszyscy trzej weszli i stanęli; Aramis był wielce rozgniewany: ta nędza go oburzała i ciągle szukał wzrokiem nowych jej śladów.

— Dziwisz się pan zbytkowi, który tu panuje — rzekła królowa rzucając smutne spojrzenie wokoło siebie.

— Pani — rzekł Aramis — niech mi wasza królewska mość wybaczy; nie mogę ukryć oburzenia widząc, jak przyjmują na dworze francuskim córkę Henryka IV.

— Ten pan nie jest rycerzem? — zapytała królowa lorda de Winter.

— Ten pan jest opatem — brzmiała odpowiedź. Aramis zarumienił się.

— Najjaśniejsza pani — rzekł — jestem opatem, to prawda, ale nigdy nie miałem powołania do sutanny; toteż bez wahania rzucam ją i zawsze jestem gotów zostać z powrotem muszkietierem. Tego poranku, nie wiedząc, że będę miał zaszczyt stanąć przed waszą królewską mością, włożyłem te szaty, ale jestem gotów z całym poświęceniem do usług waszej królewskiej mości, cokolwiek rozkaże.

— Pan d'Herblay — odrzekł de Winter — jest jednym z tych walecznych muszkietierów króla Ludwika XIII, o których mówiłem waszej królewskiej mości.

Potem, obracając się do Atosa.

— A co do tego pana — mówił dalej — jest to szlachetny hrabia de la Fère, którego zaszczytne postępowanie tak dobrze zna najjaśniejsza pani.

— Panowie— rzekła królowa — miałam wokół siebie przed kilku laty mnóstwo dworzan, skarby i wojska na jedno skinienie ręki; wszystko to było na moje usługi. Dzisiaj rozejrzyjcie się, panowie, naokoło, zadziwi to was zapewne. Dzisiaj dla urzeczywistnienia zamiaru, który droższy mi jest nad życie, mam tylko lorda de Winter, przyjaciela od lat dwudziestu, i was, panowie, których po raz pierwszy widzę i którzy jesteście tylko mymi współrodakami.

— Dostyc to jest, najjaśniejsza pani — rzekł Atos z głębokim ukłonem — jeżeli życie trzech ludzi może być użyteczne dla waszej królewskiej mości.

— Patrzcie, panowie, to jest list, który mi przysłał mąż przez milorda de Winter. Czytajcie.

Atos i Aramis wzbraniali się.

— Czytajcie, panowie — rzekła królowa.

Atos przeczytał głośno list, który już znamy i w którym król Karol dopytywał się, czy mu udzielią gościny we Francji.

— I cóż? — spytał Atos skończywszy czytać. — I cóż — rzekła królowa — odmówił. Oba przyjaciele uśmiechnęli się z pogardą.

— A teraz, pani, co trzeba czynić? — rzekł Atos.

— Zlitujcie się więc, panowie, nad moim nieszczęściem — rzekła królowa z rozpaczą.

— Jużem miał zaszczyt pytać, co możemy uczynić, pan d'Herblay i ja?

— Ach! panie, masz w istocie szlachetne serce — zawołała królowa z wybuchem wdzięczności, a lord de Winter patrzył na nią, jakby chciał mówić: „Czyżem nie ręczył za nich?”

— A pan? — spytała królowa Aramisa.

— Ja, pani — odpowiedział tenże — gdzie tylko idzie pan hrabia de la Fère, choćby na śmierć, ja idę za nim, nie pytając dlaczego. Ale kiedy idzie o służenie pani — dodał patrząc na królowę z właściwym sobie wdziękiem — wtedy wyprzedzam pana hrabiego.

— A więc, panowie — rzekła królowa — jeśli chcecie poświęcić się dla mnie, oto co możecie uczynić. Może to za wiele, bo nie mam prawa o nie was prosić: jedźcie więc do Anglii, przyłączcie się do mojego męża, bądźcie jego przyjaciółmi, jego strażą, bądźcie przy jego boku na placu bitwy, nie odstępujcie go, a w zamian za to poświęcenie, panowie, obiecuję wam, nie wynagrodzić was, bo ten wyraz obraziłby was, ale kochać was jak siostra, przysięgam to przed Bogiem.

I królowa w zniosła oczy ku niebu zwolna i ze wzruszeniem.

— Pani — rzekł Atos — kiedyż mamy jechać?

— Przystajecie więc, panowie? — zawołała królowa z radością.

— Tak, najjaśniejsza pani, jesteśmy na rozkazy waszej królewskiej mości duszą i ciałem:

— Ach! panowie — rzekła królowa rozczulona — pierwszy raz od pięciu lat odczuwam taką radość i nadzieję. Odtąd jestem waszą przyjaciółką, a ponieważ zajmujecie się moimi sprawami, powinnam nawzajem zająć się waszymi.

— Pani — rzekł Atos — o nic nie proszę, polecam się tylko jej modlitwom.

— A ja — rzekł Aramis — jestem sam na świecie i tylko waszej królewskiej mości służę.

Królowa podała im rękę, którą ucałowali, i rzekła z cicha do lorda de Winter:

— Jak ci zabraknie pieniędzy, milordzie, nie wahaj się ani na chwilę zepsuć klejnoty, które ci dałam, wyjmij diamenty, sprzedaj je Żydowi, dostaniesz za nie pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt tysięcy liwów, wydaj je, jeśli tego będzie potrzeba, a niech tym szlachetnym ludziom nie zbywa na niczym.

Królowa przygotowała dwa listy. Jeden napisała sama, a drugi jej córka, księżniczka Henryka. Oba były zaadresowane do króla Karola. Jeden z nich dała Atosowi, drugi Aramisowi, jeśliby przypadkiem się rozłączyli.

Gdy się rozeszli, Atos udał się do pani de Vendôme, zostawił swoje nazwisko u pani de Chevreuse i napisał następujący list do d'Artagnana:

„Kochany przyjacielu, wyjeżdżam z Aramisem w ważnym interesie. Chciałbym się z tobą pożegnać, ale brak mi czasu. Nie zapomnij, że piszę do ciebie, aby ci powtórzyć jak cię kocham.

Raul pojechał do Blois i nie wie o moim odjeździe. Czuwaj nad nim w czasie mojej nieobecności, w miarę twych sił. Gdybyś przypadkiem nie miał ode mnie wiadomości za trzy miesiące, powiedz mu, żeby

otworzył paczkę zapieczętowaną pod jego adresem; znajdziesz ją w Blois w skrzynce brązowej, której klucz ci posyłam.

Uściskaj Portosa od Aramisa i ode mnie. Bądź zdrow może na zawsze”.

I posłał ten list przez Blaisois.

O naznaczonej godzinie Aramis przybył; był w ubraniu rycerza, miał przy boku dawną szpadę, której tak często używał, a której teraz rad by był użyć jak najprędzej.

Przy końcu wieczery wrócił Blaisois.

— Panie — rzekł — oto odpowiedź pana d'Artagnan.

— Przecież ci nie mówiłem, gamoni, żebyś przyniósł odpowiedź — rzekł Atos.

— Toteż odszedłem zaraz, ale kazał mnie zawołać i dał mi to. I podał Atosowi woreczek skórzany, pękaty i brzęczący. Atos rozwiązał go i wyjął zeń najpierw list następującej

treści:

„Mój kochany hrabio!

Kto się w podróż wybiera, a nade wszystko na trzy miesiące, ten nigdy nie ma za wiele pieniędzy; toteż przypomniałem sobie dawne czasy, kiedyśmy nieraz byli bez grosza, i posyłam ci połowę mego majątku. Są to pieniądze, które zdołałem wydusić od Mazariniego. Nie użyjże ich na złe, proszę cię.

Żebyśmy się mogli już nigdy nie zobaczyć, temu wcale nie wierzę, przy twoim charakterze i twojej szpadzie wszystko można zwyciężyć.

Bywaj mi więc zdrow, ale nie na zawsze.

Nie potrzebuję cię zapewniać, że od pierwszej chwili, jakem poznał Raula, pokochałem go jak syna; jednak chciej mi wierzyć, że gorąco błagam Boga, abym nie musiał zostać jego ojcem, chociaż szczyciłbym się takim synem.

Twój d'Artagnan

P.S. Ma się rozumieć, że te pięćdziesiąt luidorów są dla ciebie i dla Aramisa, którego także całuję”.

Atos uśmiechnął się i łyzy zabłyśły w jego pięknych oczach. D'Artagnan, którego zawsze tak czule kochał, kochał go także wzajemnie, chociaż został mazarinistą.

Na rogu ulicy spotkali Bazina, który biegł prawie bez tchu.

— Ach! panie — rzekł Bazin — Bogu dzięki, przybyłem na czas.

— Cóż tam nowego?

— Pan Portos był dopiero w pana mieszkaniu i zostawił to dla pana mówiąc, że koniecznie powinienem oddać to panu przed wyjazdem.

— Dobrze — rzekł Aramis biorąc worek, który mu podał Bazin. — Cóż to znów nowego?

— Niech wasza wielbność zaczeka; jest tu list.

— Czy nie wiesz, żem ci obiecał kości połamać, jeśli nie będziesz mnie nazywał rycerzem. Dawaj list!

— Jakże chcesz czytać? — spytał Atos — ciemno jak w garnku.

— Czekajcie, panowie — rzekł Bazin.

Zakrzesał ognia, zapalił stoczek do zapalania świec kościelnych, który miał zawsze przy sobie.

I przy świetle tego stoczka Aramis czytał:

„Mój kochany d'Herblay!

Dowiaduję się od d'Artagnana, który mnie pozdrawia od ciebie i od hrabiego de la Fère, że jedziecie na wyprawę, która potrwa ze dwa lub trzy miesiące, a że wiem, iż nie lubisz udawać się do przyjaciół, ja sam cię uprzedzam: posyłam ci dwieście pistołów, które możesz użyć zgodnie ze swą wolą. Oddasz mi je, gdy się sposobność zdarzy. Jak będzie mi potrzeba pieniędzy, napiszę, żeby mi przysłano z którego z moich pałaców; wiem, że w Bracieux mam leżących dwadzieścia tysięcy liwrow w złocie. A jeżeli nie posyłam ci znaczniejszej sumy, to dlatego, że się obawiam, abyż się nie wzbraniał przyjąć.

Do ciebie się udaję, bo wiesz, że zawsze byłem nieśmiały wobec hrabiego de la Fère, chociaż kocham go z całego serca, ale łatwo się domyślasz, że co tobie posyłam, jest również i dla niego.

Nie potrzebuję cię zapewniać o mojej stałej przyjaźni.

Du Vallon de Bracieux de Pierrefonds”.

— Cóż ty mówisz na to? — zapytał Aramis.

— Ja mówię, mój kochany d'Herblay, że byłoby świętokradztwem wątpić, że Opatrzność czuwa nad nami, gdy ma się takich przyjaciół.

— A więc?

— A więc podzielmy pistole Portosa, jakeśmy podzielili luidory d'Artagnana.

I zrobiwszy podział przy świetle stoczka Bazina, dwaj przyjaciele pojechali w dalszą drogę.

W kwadrans potem stanęli pod bramą Saint-Denis, gdzie de Winter czekał na nich.

XXXVII

W KTÓRYM DOWIEDZIANO, ŻE PIERWSZE NATCHNIENIE JEST ZAWSZE DOBRE

Wszyscy trzej puścili się drogą do Pikardii, którą tak dobrze znali i która nasuwała Atosowi i Aramisowi wspomnienia z młodości.

Po dwóch dniach i tyluż nocach jazdy przybyli wieczorem do Boulogne.

Przybywając do bram miasta, lord de Winter rzekł do swoich towarzyszy:

— Panowie, uczynmy tu tak jak w Paryżu; rozłączmy się, aby uniknąć podejrzeń: Ja znam tu oberżę mało uczęszczaną, ale gospodarz jej jest mi zupełnie oddany: udam się tam, bo powinienem znaleźć tam listy. Wy, panowie, udajcie się do hotelu „Pod Szpadą Henryka Wielkiego”, posilcie się, za dwie godziny bądźcie w porcie, barka nasza już tam będzie czekać.

Przyjęto propozycję lorda, znaleziono wskazany hotel. Ich suknie pokryte kurzem i swobodne obejście, po którym poznaje się ludzi przyzwyczajonych do podróży, zwracały na dwóch przyjaciół uwagę mieszkańców.

Spostrzegli jednego zwłaszcza, na którym widok ich wywarł pewne wrażenie. Człowiek ten, który zwrócił na siebie ich uwagę z tej samej przyczyny, dla której oni zwracali na siebie wzrok innych, przechadzał się smutnie w tę i ową stronę po przystani. Skoro ich spostrzegł, nie przestawał ścigać ich wzrokiem i zdawał się pałać chęcią przemówienia do nich.

Był to człowiek młody i błady; chód jego mimo powolności był mocny i śmiały; ubrany czarno, miał przy boku szpadę, którą nosił z wdziękiem.

Przybywszy do przystani Atos i Aramis zaczęli przypatrywać się małej barce przywiązanej do słupa i zupełnie przygotowanej do odpłynięcia.

— To zapewne dla nas — rzekł Atos.

— Tak — odrzekł Aramis. — Teraz tylko idzie o to, żeby de Winter nie dał czekać na siebie, bo oczekiwanie to byłoby nudne.

— Cicho — rzekł Atos — słuchają nas.

W istocie, młodzieniec, przechadzający się nad brzegiem, zatrzymał się na imię lorda de Winter; ale ponieważ twarz jego nie okazała najmniejszego wzruszenia, można więc było mniemać, że zatrzymał się przypadkiem.

— Panowie — rzekł młodzieniec kłaniając się bardzo powabnie i grzecznie — raczcie wybaczyć mi ciekawość, ale widzę, że przybywacie z Paryża, a przynajmniej, że jesteście obcymi w Boulogne.

— Tak, panie, przybywamy z Paryża — odrzekł Atos równie grzecznie. — Czym możemy służyć?

— Panie, powiedz mi, proszę, czy to prawda, że kardynał Mazarini nie jest już ministrem?

— A to dziwne pytanie! — zawołał Aramis.

— Jest nim i nie jest — odrzekł Atos — to jest: połowa Francji wypędza go, a druga połowa przez jego intrygi i obietnice trzyma go na urzędzie. To może długo jeszcze potrwać.

— Ale nie jest ani uwięziony, ani wydalony z Paryża?

— Nie, panie, przynajmniej teraz jeszcze nie.

— Dziękuję wam, panowie, za waszą grzeczność — rzekł młodzieniec oddalając się.

— Cóż sądzisz o tym młodzieńcu? — rzekł Aramis.

— Chyba jaki chciwy wiadomości parafianin, a może też szpieg.

— I ty mu tak odpowiedziałeś?

— Nie miałem prawa inaczej mu odpowiedzieć. Na pytanie grzecznie zadane musi być grzeczna odpowiedź.

— Ale jeżeli to szpieg?

— Skądby, się wziął teraz szpieg? Nie żyjemy już przecież za, czasów kardynała de Richelieu, który za najmniejszym podejrzeniem kazał zamykać porty.

— Jednak źle zrobiłeś, żeś mu w taki sposób odpowiedział — mówił Aramis odprowadzając wzrokiem młodzieńca, którego już prawie dojrzeć nie można było.

— Ale ty — rzekł Atos — również popełniłeś głupstwo wymieniając nazwisko lorda de Winter. Musiałeś przecie zauważyć, że właśnie wtedy młodzieniec się zatrzymał.

— Tym bardziej też nie trzeba się było wdawać z nim w rozmowę, ale go poprosić, żeby szedł swoją drogą.

— Klótnia byłaby gotowa — rzekł Atos.

— Odkądże to nauczyłeś się obawiać sprzeczki?

— Zawsze się lękam sprzeczki, kiedy wiem, że na mnie czekają; a ta sprzeczka mogłaby mi przeszkodzić udać się tam, dokąd wzywa mnie powinność. A zresztą, chcesz, żebym ci coś powiedział? Chciałem przyjrzeć się temu młodzieńcowi z bliska.

— A to dlaczego?

— Będiesz się ze mnie śmiał, Aramisie: powiesz mi, że ciągle tylko o jednym prawie, że jestem bojaźliwy i pełen przywidzeń.

— Cóż więc?

— Do kogo też ci się zdaje ten młodzieniec podobny?

— Do kogo? — spytał Aramis śmiejąc się.

— Do kogoś, o ile mężczyzna może być podobny do kobiety.

— Ach! do stu piorunów! — zawołał Aramis — nad tym warto pomyśleć. Me, na honor! tym razem to nie przywidzenie, mój kochany przyjacielu, i teraz, kiedy się zastanawiam, tak, istotnie, zdaje mi się, że masz słusność: te małe usta, te oczy jasnyniebieskie, które zdają się ciągle słuchać głosu rozumu, ale za to nigdy serca... To musi być jaki potomek naszej milady.

— Ty się śmiejesz, Aramisie?

— To tylko z przyzwyczajenia: bo przysięgam ci, i ja równie jak ty nie chciałbym się spotkać z tym potomkiem hieny.

— O, właśnie de Winter przybywa! — rzekł Atos.

— No, to już teraz tego tylko brakuje, żeby nasi służący kazali nam na siebie czekać — rzekł Aramis.

— O nie — rzekł Atos — widzę ich o dwadzieścia kroków za milordem. Poznają Grimauda po sztywnej postawie i długich nogach. Tomy niesie nasze muszkiety.

— Jednak wsiądziemy na statek chyba dopiero w nocy? — rzekł Aramis spoglądając ku zachodowi, gdzie już tylko lekki, odbłask słońca jak złota chmurka spostrzegać się dawał, a i ten coraz bardziej zanurzał się w morzu.

— To być może — rzekł Atos.

— Do pioruna! — odpowiedział Aramis — nie bardzo lubię morze wśród dnia, a tym bardziej w nocy; ten ryk bałwanów, szum wiatru, to straszliwe kołysanie okrętu... Wyznaję, że wolę mój klasztor w Noisy.

De Winter, skoro ich spostrzegł, przyśpieszył kroku i z zadziwiającym pośpiechem zbliżył się do nich.

— Co ci jest, milordzie? — zapytał Atos — takiś zadyszany?

— To nic — rzekł de Winter — nic ważnego. Jednakże zdaje mi się, że mijając wzgórki nadbrzeża...

I jeszcze raz się obrócił.

Atos spojrzał na Aramisa.

— Ale idźmy — mówił dalej de Winter — idźmy, szalupa czeka na nas, a nasz Okręt jest na kotwicy, widzicie go stąd, panowie? Jużbym chciał na nim się znajdować.

I jeszcze raz się obejrzał.

— Ale zdaje mi się — rzekł Aramis — żeś czego zapomniał, milordzie.

— Nic, nic, to roztargnienie.

— I on widział — rzekł z cicha Atos do Aramisa. Przybyli do schodów, które wiodły do szalupy; de Winter

kazał najpierw zejść służącym, którzy nieśli broń, potem ludziom niosącym ich rzeczy, sam zaś zaczął iść za nimi.

W tej chwili Atos spostrzegł człowieka, który szedł brzegiem morza wzdłuż przystani i przyśpieszył kroku, jakby chciał zdążyć z drugiej strony portu, który go oddzielał zaledwie o dwadzieścia kroków, i być. obecnym przy wsiadaniu ich na statek.

Zdawało mu się, jakkolwiek zmrok zaczął zapadać, że poznaje młodzieńca, który się ich wypytywał przed chwilą.

— Byłżeby to istotnie szpieg, co zechce przeszkodzić naszej podróży?

Gdyby wszakże nieznajomy miał nawet ten zamiar, już by

i tak było za późno na wykonanie go. Atos także zszedł ze schodków, nie tracąc jednak z oczu młodzieńca. Ten właśnie w tej chwili ukazał się na śluzie.

— Niezawodnie na nas czatuje — rzekł Atos — ale wsiadajmy na statek. Jak będziemy na pełnym morzu, będziemy gotowi przyjąć go.

I Atos wskoczył w barcę, która natychmiast odbiła od brzegu i zaczęła się oddalać.

Młodzieniec jednak szedł ciągle w kierunku, w jakim płynął statek, a nawet go wyprzedzał. Wdrapywał się na skały z największą trudnością, aby tylko nie stracić z oczu podróźnych.

. — Nie ma wątpliwości — rzekł Aramis do Atosa — ten młodzieniec musi nas szpiegować.

— Co za młodzieniec? — zapytał de Winter obracając się.

— 'A ten, który szedł za nami, który rozmawiał z nami i czeka teraz na nas na tej skale; widzisz go, milordzie?

De Winter obrócił się, spojrział w kierunku, który mu wskazał palcem Aramis. Latarnia morska oświetlała małą zatokę, którą mieli przepłynąć, i skałę, na której stał młodzieniec z odkrytą głową i założonymi rękami.

— To on! — zawołał lord de Winter chwytając za rękę Atosa — to on, słusznie mi się zdawało, że go poznaję, i nie omyliłem się wcale.

— Któż taki? — spytał Aramis.

— Syn milady — odpowiedział Atos.

— Mnich! — zawołał Grimaud.

Młodzieniec usłyszał te słowa; zdawało się, że wpadnie w morze, tak zbliżył się do brzegu skały pochylając się nad wodą.

— Tak, to ja, mój stryju; ja, syn milady, ja mnich, ja, sekretarz i przyjaciel Cromwella, znam już przecie ciebie i twoich towarzyszy.

Na statku było trzech walecznych ludzi, którym bez wątpienia nikt by nie mógł zaprzeczyć odwagi, a przecie te wyrazy, ten głos, ten gest groźny przejął ich dreszczem przerażenia.

Grimaud zaś tak się przeląkł, że włosy zjeżyły mu się na głowie, a pot spływał po czole.

— Ach! — rzekł Aramis — to więc jest ten synowiec, ten mnich, ten syn milady, jak sam powiada.

— Tak, niestety! — mruknął de Winter.

— A więc czekajcie — rzekł Aramis.

I wziął z tą straszliwą zimną krwią, którą posiadał zwykle w chwilach stanowczych, jeden z dwóch muszkietów, które trzymał Tomy, odwiódł kurek i wziął na cel tego człowieka, który stał na skale, *groząc* im wzrokiem i ręką jak anioł zniszczenia.

— Pal! — krzyknął Grimaud prawie nieprzytomny.

Atos rzucił się na lufę karabinu w chwili, kiedy strzał miał paść.

— Niech cię szatan porwie! — krzyknął Aramis — tak go dobrze wziąłem na cel, że byłbym mu nabój w same piersi wpakował.

— Dosyć już, żeśmy mu matkę zabili — rzekł Atos stłumionym głosem.

— Matka była zbrodniarką, która nam wszystkim dała się we znaki, a nawet wszystkim tym, co nam byli drodzy.

— Tak, ale syn nic nam jeszcze nie zrobił. Młodzieniec głośno się roześmiał.

— Ach! więc to wy jesteście — rzekł — wy to więc, znam was już przecie.

Jego szyderczy śmiech i te wyrazy groźnie rozległy się w powietrzu.

Aramis zadrżał.

— Uspokójcie się — rzekł Atos. — Cóż u szatana! czy już przestaliśmy być mężczyznami?

— No, nie — rzekł Aramis — ale on jest szatanem. I oto spytaj się stryja, czybym źle zrobił, gdybym go uwolnił od jego synowca.

De Winter w odpowiedzi westchnął tylko.

— Wszystko by się skończyło — mówił dalej Aramis. — Patrz, Atosie — rzekł Aramis — możeby jeszcze był czas. Patrz, stoi jeszcze w tym samym miejscu.

Atos obrócił się z przymusem, widok tego młodzieńca sprawiał mu widoczną przykrość.

W istocie stał on ciągle na skale, a światło latarni zdawało się otaczać wieńcem jego głowę.

— Ale cóż on robi w Boulogne? — spytał Atos, który szukał we wszystkim przyczyny.

— On mnie ścigał, mnie — rzekł de Winter.

— Żeby miał ciebie ścigać, mój przyjacielu — rzekł Atos — musiałby wiedzieć o naszym odjeździe; a według mnie przeciwnie — on nas wyprzedził.

— Kiedy tak, to nic nie rozumiem — rzekł Anglik.

— W istocie, Aramisie — rzekł Atos — myślę, że niesłusznie wstrzymałem twą rękę.

— Dajże już spokój — powiedział Aramis — wiesz, że gdybym mógł, płakałbym ze złości na ciebie.

Grimaud wydał głuche westchnienie, które podobniejsze było do ryku wściekłości.

W tej chwili jakiś głos wezwał ich z okrętu. Majtek, siedzący u steru, odpowiedział i szalupa zbliżyła się do statku.

W jednej chwili panowie, służący i wszystkie rzeczy znalazły się na pokładzie. Kapitan czekał tylko na podróżnych, żeby odpłynąć i zaledwie ci stanęli na pomoście, skierowano się ku Hasting, gdzie mieli wylądować.

W tej chwili trzech przyjaciele mimowolnie rzucili ostatnie spojrzenie na skałę, na której odznaczał się widocznie straszliwy cień, który im groził. I głos doszedł do nich z tym ostatnim wyzwaniem:

— Do widzenia, moi panowie, zobaczymy się w Anglii.

KONIEC TOMU I

TOM DRUGI

ZABURZENIA ULICZNE

Nazajutrz z rana Paryż, zbudziwszy się, musiał zdziwić się zmianą, jaka w nim zaszła. Tu i ówdzie ulice zawałone były przewracanymi wozami, stosami drzewa, kamieni itp., tu i ówdzie przechadzali się lub stali jakby na straży ludzie uzbrojeni w pałasze, halabardy lub muszkiety. Zatrzymywano na ulicach spokojnych przechodniów zmuszając ich, aby krzyczeli: „Niech żyje Broussel! Precz z Mazarinim!” Podobne sceny odbywały się pod samymi prawie bramami Palais-Royal. Oprócz tego, po wszystkich ulicach snuły się jakby w procesji gromady żebraków w łachmanach, z chorągwiemi, na których były napisy: „Patrzcie na naszą nędzę!” Wszędzie, gdzie przechodzili, rozlegały się okrzyki, a że takich gromad było dużo — krzyczano przeto w całym Paryżu.

Anna Austriacka i Mazarini zdziwili się niezmiernie, kiedy im doniesiono, co się dzieje, i nie chcieli temu wierzyć. Dopiero wyjrzawszy przez okno, przekonali się o rzeczywistości.

Mazarini wzruszył ramionami, jakby pogardzał tym całym tłumem niezadowolonych, ale zbladł widocznie i drżąc pobiegł do swego gabinetu, pozamykał złoto w szkatułkach i najpiękniejsze pierścienie włożył na palce. Królowa zaś, prędką w gniewie, zawołać kazała marszałka de la Meilleraye i poleciła mu, aby wzięwszy z sobą dostateczną liczbę żołnierzy, poszedł zobaczyć, co to wszystko znaczy.

Marszałek, który podzielał najzupełniej pogardę, jaką ówczesna szlachta czuła dla mieszczan, wziął z sobą stu pięćdziesięciu żołnierzy, ale przy moście Luwru znalazł Rocheforta z oddziałem ochotników lekkiej jazdy pożyczonych mu przez kawalera d'Humières, przy Pont-Neuf spotkał młodego Louviers z kilku tysiącami zbrojnych mieszczan, którzy mu groźnie wzbronili przejścia.

Marszałek cofnął się ku cmentarzowi des Innocents. Tu przeciął mu drogę Planchet z kilkuset halabardzistami, przy czym poległo kilku żołnierzy marszałka, który postanowił zwrócić się w ulicę St. Honoré. Tę znalazł zawałoną wozami i innymi przeszkodami, a obok nie tylko zbrojnych, mężczyzn, ale obdarłe kobiety i dzieci. Dowodził tu żebrak z parafii St. Eustache.

Marszałek sądził, że tu najłatwiej będzie mógł się przedrzeć. Kazał dwudziestu ludziom zsiąść z koni i usunąć nagromadzone przeszkody, ale ogień ręcznej broni przyjął nacierających, a na odgłos ten ukazał się z jednej strony Planchet z halabardami, z drugiej Louviers z dobrze uzbrojonym oddziałem.

Wzięty w trzy ognie marszałek, człowiek odważny, postanowił raczej umrzeć niż ustąpić sile, którą pogardzał. Dał więc znak do walki. Wyćwiczeni żołnierze zadawali razy pewną ręką i strzelali celnie, ale liczba wzięła górę: mnóstwo straży marszałka poległo wokół niego i on sam już polecił Bogu swoją duszę. Nagle tłum rozstąpił się od strony ulicy l'Arbre-Sec, wołając: „Niech żyje koadiutor!” — i Gondy w ubiorze duchownym ukazał się, przechodząc spokojnie pośród walczących i błogosławiąc na wszystkie strony z największą powagą.

Wszyscy padli na kolana.

Marszałek poznał koadiutora i pobiegł ku niemu.

— Na imię Boga! — zawołał — wydostań mię stąd, panie koadiutorze, bo wolałbym zginąć na polu bitwy.

Pośród tłumy grzmiało razem tyle wrzasków, że nie byłoby słyhać huk armat. Koadiutor podniósł rękę nakazując milczenie i wszystko ucichło.

— Moje dzieci — rzekł pan de Gondy — o ile zrozumieliście zamiary pana marszałka de la Meilleraye, który jest wam bardzo przychylny, obowiązuje się on powróciwszy do Luwru prosić królową o uwolnienie naszego kochanego radcy Broussela. Wszakże przyrzekasz to, panie marszałku — dodał de Gondy obracając się do pana de la Meilleraye.

— Naturalnie, przyrzekam — odrzekł marszałek — nie spodziewałem się, że tu o tak małą rzecz chodzi.

— Pan marszałek daje na to swoje szlacheckie słowo — rzekł znowu koadiutor.

Marszałek podniósł rękę na znak potwierdzający;

— Niech żyje koadiutor! — zawołały tłumy.

Kilka głosów dodało nawet: „Niech żyje marszałek!”, ale potem wszyscy jednogłośnie krzyknęli: „Precz z Mazarinim!”

Otworzono drogę na ulicę św. Honoriusza, jako najbliższej prowadzącą do pałacu królewskiego, i marszałek odszedł spokojnie z pozostałymi swymi żołnierzami.

Przez ten czas, jak mówiliśmy, Mazarini przebywał w swoim gabinecie, zamykając szkatułki i ukrywając swoje kosztowności. Kazał on poszukać d'Artagnana, ale nie spodziewał się, żeby go znaleziono, bo d'Artagnan nie był tego dnia na służbie. Tymczasem porucznik ukazał się na progu gabinetu kardynała w towarzystwie swego nieodłącznego towarzysza, Portosa.

— Ach, przybywajcie, panowie, przybywajcie! — zawołał ucieszony Mazarini. — Powiedzcież mi, co to się tam dzieje na mieście?

— Źle się dzieje — odrzekł d'Artagnan — oto przed chwilą, kiedyśmy tu szli do waszej eminencji, pomimo mego munduru zatrzymano nas i chciano przymusić, żebyśmy krzyczeli: „Niech żyje Broussel!” i jeszcze coś więcej, czego nie warto powtarzać.

— Powiedz pan, powiedz — rzekł Mazarini.

— Chcieli, żebyśmy krzyczeli: „Precz z Mazarinim?”. Mazarini uśmiechnął się, ale zbladł.

— I panowie wołaliście? — zapytał.

— Do pioruna, wcale nie! — odrzekł d'Artagnan.— Ja nie byłem przy głosie, a pan du Vallon ma katar i także nie mógł krzyżeć. Wtedy...

— Cóż wtedy? — zapytał Mazarini.

— Chciej, wasza eminencjo, spojrzeć na nasze szaty i kapelusze.

I d'Artagnan pokazał płaszcz przesyty czterema kulami, a kapelusz dwiema, ubranie zaś Portosa było rozdarte halabardą, a pióra od kapelusza odcięte kulą karabinową.

— Diavolo! — krzyknął Mazarini patrząc na dwóch przyjaciół z naiwnym uwielbieniem — ja wołałbym krzyżeć, co by tylko chcieli.

W tej chwili dała się słyszeć bardzo blisko głośna wrzawa.

Mazarini otarł czoło spoglądając wokół siebie. Wielką miał ochotę spojrzeć w okno, ale nie śmiał zbliżyć się.

D'Artagnan podszedł do okna z największym spokojem.

— Ho! ho! to coś ważnego — rzekł wyjrawszy — marszałek de la Meilleraye wraca bez kapelusza, porucznik Fonfrailles ma rękę na temblaku, kilku żołnierzy rannych. Co to jest! placówki biorą na cel, gotowe wystrzelić.

— Dostały one rozkaz strzelania do tłumów, które by się zbliżyły do Palais-Royal.

— Jeżeli dadzą ognia, wszystko stracone! — zawołał d'Artagnan i wychylając się z okna, krzyknął z całej siły: — nie strzelajcie! do tysiąca piorunów!

Ale głos jego nie mógł być usłyszany. Kilka strzałów z muszkietu padło ze strony pałacu. Odpowiedziano na to gwałtownym ogniem z przeciwnej strony; mnóstwo kul obilo się o fasadę pałacu, jedna z nich przeleciała nad ramieniem d'Artagnana i stłukła zwierciadło, w którym Portos przeglądał się z zadowoleniem.

— O, mój Boże! — krzyknął Mazarini — prawdziwe weneckie zwierciadło.

— Niech wasza eminencja nie płacze, to jeszcze fraszka — rzekł d'Artagnan zamykając spokojnie okno — bo zdaje się, że za godzinę nie zostanie w całym pałacu ani jedno całe zwierciadło — ani weneckie, ani paryskie.

— Ale cóż zrobić, jak temu zaradzić? — zapytał Mazarini cały drżący..

— Ech, do pioruna! oddać im Broussela, kiedy go tak pragną. Na co może się przydać waszej eminencji ten stary niedołęga?

— A pan, panie du Vallon, co byś uczynił na moim miejscu?

— I ja oddałbym starego radcę.

— Pójdźcie, panowie, pójdźcie, przedstawię zaraz tę rzecz królowej.

Przy końcu korytarza zatrzymał się Mazarini i rzekł;

— Wszakże mogę zupełnie liczyć na panów?

— Nie powtarzamy dwa razy tego samego — odrzekł d'Artagnan — oddaliśmy się na rozkazy waszej eminencji i wypełnimy je ściśle.

— Dobrze — rzekł zacierając ręce kardynał — wejdźcie, panowie, do tego gabinetu i zaczekajcie na mnie.

To powiedziawszy wyszedł z gabinetu i innymi drzwiami wszedł do sali.

II

ZABURZENIE W BUNT SIĘ PRZEMIENIA

Gabinet, w którym Mazarini kazał czekać dwóm naszym przyjaciółom, oddzielony był od salonu, w którym znajdowała się królowa, jedynie zasłoną haftowaną zawieszoną we, drzwiach, przez którą nie tylko można było wszystko słyszeć, ale nawet widzieć znaczną część sali.

W tej chwili kanclerz Séguier, ten sam, który przed dwudziestu laty z rozkazu zmarłego króla szukał aż za gorsem królowej listu, który ona tam ukryła, opowiadał Annie Austriackiej, że o mało co nie padł ofiarą rozhukanej zuchwałości gminu i że ocalał się prawie cudem.

W czasie tego opowiadania Mazarini wszedł cicho i niepostrzeżony stanąwszy w bliskości królowej słuchał.

— I cóż? — zapytała królowa po skończeniu tego opowiadania — co pan o tym wszystkim myślisz, panie kanclerzu?

— Myślę, że jest to bardzo ważne zdarzenie.

— Ale cóż mi pan radzisz w tym wypadku?

— Zdaje mi się, że mam skuteczną radę, ale nie śmiem...

— Och, dawniej śmiałeś pan coś więcej uczynić — rzekła królowa z gorzką ironią — ale nie idzie teraz o przeszłość, lecz o terażniejszość i powiedz pan zatem, jakie jest jego zdanie.

— Najjaśniejsza pani — odrzekł wahając się kanclerz — moim zdaniem należy uwolnić radcę Broussela.

Królowa, chociaż blada, zbladła jeszcze bardziej i rysy jej ściągnęły się gniewnie.

— Uwolnić Broussela — rzekła — nigdy!

W tej chwili usłyszano kroki w przyległej sali i bez meldowania wszedł marszałek de la Meilleraye.

— Ach, jesteś, panie marszałku! — zawołała Anna z radością; — spodziewam się, że rozpedziłeś cały ten motłoch.

— Pani — odrzekł marszałek — straciłem pięciu ludzi przy Pont-Neuf, sześciu przed jatkami, czterech przy rogu ulicy de l'Arbre-Sec, a trzech przy bramie pałacu królewskiego, w ogóle osiemnastu, prócz tego mam dwunastu lub piętnastu rannych. Kapelusze moje zostały nie wiem gdzie i prawdopodobnie ja sam również byłbym został na placu z resztą moich żołnierzy, gdyby mię koadiutor nie uratował z krytycznego położenia.

— A, w istocie, byłem, tego pewna, że musi on brać udział w całej tej sprawie! — zawołała z gniewem królowa, po czym dodała — cieszę się jednak, panie, żeś powrócił zdrów i cały.

— Ale, najjaśniejsza pani — rzekł marszałek — powróciłem pod jednym warunkiem, to jest, że przedstawię waszej królewskiej mości żądanie paryżan.

— Żądanie?! — powtórzyła Anna. Austriacka marszcząc brwi — panie marszałku, musiałeś istotnie znaleźć się w wielkim niebezpieczeństwie, kiedy podjąłeś się tak dziwnego posłannictwa.

— Zdaje mi się, że chcesz pani przez to mi powiedzieć, że byłem w strachu. Tak jest — dodał widząc, że królowa uśmiechnęła się — nie waham się przyznać, czułem trwogę pierwszy raz w życiu, chociaż znajdowałem się już w trzydziestu bitwach i utarczkach; tak, czułem trwogę i wolę stać przed tobą, pani, jakkolwiek groźnym jest jej uśmiech, niż przed tymi szatanami, którzy mię aż tu doprowadzili, a którzy zdają się spod ziemi wychodzić.

— Bravo! — rzekł z cicha d'Artagnan do Portosa — dobrze powiedziane.

— A zatem — rzekła królowa przygryzając usta, podczas kiedy dworacy spoglądali po sobie z podziwem — jakież jest żądanie paryżan?

— Żeby uwolniono radcę Broussela — odrzekł marszałek.

— Nigdy! — zawołała królowa — nigdy!

— Wasza królewska mość jest panią swojej woli — odpowiedział marszałek i ukłoniwszy się postąpił ku drzwiom.

— Dokąd pan idziesz? — zapytała królowa.

— Zanieść im odpowiedź waszej królewskiej mości.

— Zostań pan, ani myślę układać się z tymi bandytami.

— Pani — rzekł marszałek — dałem moje szlacheckie słowo.

— A zatem?...

— A zatem, jeżeli wasza królewska mość nie każe mię aresztować, powinienem dotrzymać tego słowa.

— Ach, jeśli tylko o to idzie — odrzekła Anna ciskając wzrokiem pioruny — nieraz już kazałam aresztować wyżej nawet stojące osoby. Panie Guitaut!

Mazarini wystąpił naprzód.

— Pani — rzekł — gdybym śmiał przedstawić z kolei moją radę.

— Czy także, żebym kazała uwolnić Broussela? w takim razie chciej pan oszczędzić słów.

— Nie — odrzekł Mazarini — chociaż ta rada jest bardzo roztropna.

— A więc o cóż idzie?

— Radziłbym wezwać koadiutora.

— Tego chytrego lisa, który jest sprawcą całego tego zamieszania?

— Tym bardziej — odrzekł Mazarini — jeśli on je spowodował, on najlepiej potrafi je uspokoić. I oto najstosowniejsza chwila — dodał spoglądając w okno — bo widzę, jak udziela błogosławieństwa na placu przed pałacem.

Królowa przez chwilę stała zamyślona, na koniec rzekła podnosząc głowę:

— Panie marszałku, idź i przyprowadź mi koadiutora. Marszałek wyszedł skłoniwszy się.

D'Artagnan odwrócił się do Portosa i rzekł:

— Ciekawym, jak się to skończy?

— Zobaczymy — odrzekł Portos ze zwykłym spokojem. Królowa podeszła do pana Comminges i szepnęła mu coś. Drzwi się otworzyły i marszałek wszedł w towarzystwie koadiutora.

Królowa zbliżyła się do pana de Gondy i zatrzymała się z zimnym wyrazem pogardliwej niechęci.

De Gondy ukłonił się z uszanowaniem.

— I cóż, panie koadiutorze — rzekła królowa — cóż pan myśli o tych żartach?

— Myślę, że to nie są żarty — odpowiedział koadiutor — ale wypadki nader groźne.

— Groźne dla tych, którzy je spowodowali po to, aby z nich korzystać! — zawołała z dumą królowa. — Ale potrafimy przywrócić porządek.

— Czy dlatego tylko, aby mi to powiedzieć, wasza królewska mość raczyła mię wezwać do siebie? — zapytał zimno de Gondy.

— Bynajmniej, kochany panie koadiutorze — pośpieszył odpowiedzieć Mazarini. — Jej królewska mość chce zasięgnąć twojej mądrej rady w okolicznościach, w jakich się znajdujemy.

Koadiutor spojrział na królowę, która skinęła głową w sposób potakujący. — A więc wasza królewska mość żąda?

— Abyś pan powiedział, co byś uczynił, będąc na jej miejscu — odrzekł prędko Mazarini.

— Będąc na miejscu jej królewskiej mości — rzekł zimno Gondy — nie wahałbym się i oddałbym im Broussela.

Królowa zaczerwieniła się z gniewu, usta jej ścisnęły się konwulsyjnie, na koniec zawołała przymuszając się do śmiechu:

— Wyborna rada, godna rycerza-opata!

De Gondy udawał, że nie zwrócił uwagi na tę obelgę, a przynajmniej okazał się obojętny. Królowa zdawała się żądać spojrzaniem od Mazariniego, aby coś powiedział. Kardynał zatarł ręce i rzekł w końcu:

— Dobra rada, rada przyjacielska. Ja bym także oddał im zaraz tego zacnego pana Broussela, żywego lub umarłego, i wszystko by się skończyło

— Gdybyś go pan oddał umarłego — wszystko skończyłoby się, ale nie tak, jak pan myślisz! .

— Jak to, czy ja powiedziałem żywego lub umarłego? ech, to sposób mówienia, brak wprawy w języku francuskim.

Królowa skinieniem pożegnała cały dwór z wyjątkiem Mazariniego. Gondy uklonił się i zabierał się do wyjścia jak inni.

— Zostań pan — rzekła zwracając się do niego królowa. „Dobrze — rzekł do siebie de Gondy — jestem pewien, że

ustąpi”.

„Dobrze — rzekł do siebie Mazarini biorąc krzesło — zobaczymy coś nowego”.

Gdy wszyscy odeszli, królowa zwróciła się do pozostałych dwóch doradców. Widać, było nadzwyczajne jej wzruszenie. Przez chwilę przechadzała się po sali, chłodząc się wachlarzem i wachając wonne olejki. Mazarini siedział na krześle zamyślony, a Gondy badawczym wzrokiem wodził po obiciach sali i kilka razy próbował, czy sztylet hiszpański, który miał ukryty pod sutanną, znajduje się pod ręką.

Wreszcie królowa zatrzymała się przed nim i rzekła drżącym jeszcze głosem: .

— Teraz, kiedy jesteśmy sami, powtórz pan radę.

— Oto jest, najjaśniejsza pani: udać chwilowy namysł, przyznać się do błędu i wypuścić z więzienia Broussela.

— Poniżyć się do tego stopnia! — krzyknęła rozgniewana Anna Austriacka — oddać im tego niegodziwego Broussela! ach! raczej udusiłabym go własnymi rękami.

I z zaciśniętymi pięściami postąpiła ku Gondy'emu, którego w tej chwili nienawidziła tak jak radcę Broussela.

Gondy nie drgnął, ani jeden muskuł jego twarzy nie poruszył się, tylko lodowate jego spojrzenie skrzyżowało się — jak miecz — z gniewnym wzrokiem królowej.

— Ten człowiek już zginął, jeśli jeszcze znajduje się jaki Vitry na dworze i wejdzie w tej chwili — rzekł Gaskończyk. — Ale w takim razie, nim Vitry zabije tego dzielnego prałata, ja znajdę Vitry'go i pewien jestem, że Mazarini bardzo będzie mi obowiązany.

— Cicho — rzekł Portos — słuchaj.

— Pani! — zawołał Mazarini chwytając królowę za rękę — co czynisz?

Potem dodał po hiszpańsku:

— Anno, czyś zmysły straciła, kłócisz się jak mieszcanka, będąc królową. Czy nie widzisz, że w osobie tego prałata masz przed sobą cały Paryż i że jeżeli on zechce, za godzinę nie będziesz miała korony. Innym razem będziesz mogła być silna i groźna, ale dziś nie czas, dziś schlebiaj, głaszcz albo będziesz tylko pospolitą kobietą.

D'Artagnan ujął rękę Portosa i ścisnął ją coraz silniej, na koniec, gdy Mazarini zamilkł, Gaskończyk rzekł z cicha do swego towarzysza:

— Nie powiedz nigdy Mazariniemu, że ja rozumiem po hiszpańsku, bo obydwaj zginęlibyśmy.

— Dobrze — odrzekł Portos.

Twarz Mazariniego tak nic nie zdradzała, że de Gondy, jakkolwiek wielki fizjonomista, myślał, iż kardynał przestrzega królowę, żeby nie unosiła się gniewem.

Królowa uspokoiła się od razu, usiadła i głosem drżącym od łez, opuściwszy rękę, rzekła:

— Przebacz mi pan, panie koadiutorze. Moje uniesienie wywołało cierpienie, jako kobietę i jako królowę oburza mnie każdy opór.

— Pani — rzekł Gondy nachylając się z uszanowaniem — niesłusznie uważa za opór to, co jest tylko szczerą wypowiedzią ich zdania. Masz, pani, najwierniejszych poddanych i nie przeciw niej wymierzona jest niechęć paryżan. Proszą oni tylko o łaskę dla swego ulubionego członka parlamentu.

Mazarini, który na słowa: „nie przeciw niej wymierzona jest niechęć paryżan", nadstawił uszu, sądząc, że kardynał będzie mówił o okrzykach „precz z Mazarinim!" bardzo był wdzięczny panu de Gondy za przemilczenie tego i rzekł najśłodszy głosem, z najprzyjemniejszym wyrazem twarzy:

— Najjaśniejsza pani, chciej wierzyć panu koadiutorowi; jest to jeden z najznakomitszych naszych polityków. Pierwszy kapelusze kardynalski, który zawakuje, zdaje się być stworzonym dla jego szlachetnej głowy.

„Och, ty chytry lisie! widzę, że mnie bardzo potrzebujesz” — pomyślał sobie Gondy.

— Co by też on nam obiecał — rzekł d'Artagnan — w chwili, gdyby chodziło o jego skórę. Do pioruna, jeśli on tak rozdaje kapelusze, gotujemy się, Portosie, i żądamy jutro dowództwa pułku dla każdego z nas. Och! niech tylko miesiąc potrwa taka gorączka, a każę dla siebie pozłocić na nowo buławę hetmańską.

— A mnie? — zapytał Portos.

— Tobie? tobie każę dać łaskę marszałkowską pana de la Meilleraye, który w tej chwili nie bardzo jest w łaskach, jak mi się zdaje.

Królowa powstała i zegnając skinieniem pana de Gondy, rzekła: — Namyślimy się jeszcze, co wypada uczynić.

Gondy spojrział na Mazariniego z podziwem. Mazarini zbliżył się do królowej, aby coś powiedzieć; w tej chwili dała się słyszeć przeraźliwa wrzawa na dziedzińcu pałacowym.

Gondy uśmiechnął się, królowa zawrzała gniewem, a Mazarini zbladł okropnie i zawołał:

— Cóż to znowu się stało?

W tej chwili Comminges wbiegł do salonu.

— Przebac, wasza królewska mość, że przychodzę nie wołany, ale tłum zebrany przed pałacem złamał opór straży i zaczyna wyłamywać bramy.

— Ilu ludzi zbrojnych znajduje się w pałacu? — zapytała królowa.

— Sześciuset.

— Stu zostawisz pan przy królu, a resztą rozpędź ten motłoch.

Comminges, jak żołnierz, chciał wyjść spełnić posłusznie rozkaz.

— Pani! — krzyknął Mazarini — gubisz nas wszystkich, siebie, króla i mnie.

Na ten krzyk wydarty z głębi duszy Anna Austriacka przerażona wstrzymała pana Comminges.

— Już za późno! — wołał Mazarini wydzierając sobie włosy — już za późno.

W tej chwili usłyszano trzask wysadzonej bramy i krzyki tłumu, który wkroczył na dziedziniec. D'Artagnan dobył szpady i Portos uczynił to samo.

— Ocal pan królową — zawołał Mazarini obracając się do koadiutora.

Gondy pospieszył do okna i otworzył je. Poznał młodego Louvières na czele niezliczonej różnorodnej masy.

— Ani kroku dalej! — krzyknął koadiutor — królowa podpisuje.

— Co pan mówisz? — zawołała królowa.

— Prawdę! — rzekł Mazarini podając jej pióro i papier — trzeba koniecznie.

Potem dodał:

— Podpisz, Anno, proszę cię, chcę tego.

Królowa upadła na krzesło, wzięła pióro i zaczęła pisać.

„Dozorca więzienia Saint-Germain uwolni radcę Broussela”.

I podpisała.

Koadiutor, który połykał oczyma każdą literę, porwał papier, gdy tylko podpis był gotów, i pobiegł do okna, a pokazując papier zawołał:

— Oto rozkaz!

Zdawało się, że cały Paryż wydał jeden okrzyk radości, potem zabrzmiały okrzyki: „Niech żyje Broussel! niech żyje koadiutor!”

— Niech żyje królowa! — zawołał de Gondy. Kilka tylko głosów powtórzyło ten okrzyk.

— A teraz, kiedy pan otrzymałeś to, czegoś żądał, żegnam go — rzekła królowa.

— Jeśli królowa będzie mnie kiedyś potrzebować, jestem zawsze na jej rozkazy — odrzekł de Gondy i oddalił się z ukłonem.

— Ach! przekłety hipokryto! — zawołała Anna Austriacka po wyjściu koadiutora — przyjdzie czas, że będziesz musiał wypić z rąk moich tę żółć, którąś dziś ze mnie wycisnął.

Mazarini zbliżył się do królowej.

— Zostaw mnie! nie jesteś mężczyzną! — zawołała z gniewem królowa i wyszła.

— To ty nie jesteś kobietą! — mruknął Mazarini.

Po chwili namysłu przypomniał sobie, że d'Artagnan i Portos są w przyległym gabinecie i musieli wszystko widzieć i słyszeć. Zmarszczył brwi, poszedł prosto do zasłony, podniósł ją i zastał gabinet pusty.

Po ostatnich słowach królowej d'Artagnan wziął Portosa za rękę i uprowadził go do galerii.

Mazarini wszedł tam i znalazł dwóch przyjaciół przechadzających się wzdłuż i wszerz.

— Dlaczego oddaliliście się panowie z gabinetu? — zapytał kardynał.

— Ponieważ — odpowiedział d'Artagnan — królowa kazała wszystkim oddalić się, a ja sądziłem, że ten rozkaz i nas dotyczy.

— A zatem jesteście tu, panowie...

— Od kwadransa mniej więcej — odrzekł d'Artagnan, dając znak Portosowi, żeby nie zaprzeczał temu.

Mazarini spostrzegł ten znak i przekonał się, że d'Artagnan widział i słyszał wszystko, ale wdzięczny mu był za to kłamstwo.

— Panie d'Artagnan — rzekł — jesteś pan w istocie człowiekiem, jakiego szukałem, i możesz liczyć na mnie.

Potem ukłoniwszy się najuprzejmiej dwom przyjaciołom, wrócił do swego gabinetu znacznie spokojniejszy, bo po podpisaniu uwolnienia Broussela wszystko ucichło jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

III

WIDZENIE

D'Artagnan przez czas rozruchów zdołał wymóc na Raulu, aby pozostał w domu, nie mieszając się do niczego; nie bez trudu przyszło młodzieńcowi być w tym względzie posłusznym d'Artagnanowi, ale on żądał tego w imieniu hrabiego de la Fère i Raul nie miał siły opierać się. Wieczorem dnia poprzedniego Raul, złożony pożegnalną wizytę księżnej de Chevreuse, odjechał z powrotem do armii.

D'Artagnan przepędził tę noc u Portosa. Szpady i pistolety leżały tuż pod ręką przy łóżkach.

D'Artagnan spał jeszcze i śniło mu się, że niebo pokryło się wielką, żółtą chmurą, że z tej chmury padał deszcz złoty i że on podstawiał swój kapelusz pod rynnę.

Portosowi znowu śniło się, że drzwiczki jego powozu były za małe dla zmieszczenia herbów, które kazał na nich malować.

O siódmej godzinie obudził ich lokaj, który przyniósł list do d'Artagnana.

— Od kogo? — zapytał Gaskończyk.

— Od jej królewskiej mości — odpowiedział służący.

— Co ... co on mówi? — zapytał Portos podnosząc się na łóżku.

D'Artagnan poprosił posłańca, aby przeszedł do przyległego pokoju, i zeskoczywszy z łóżka przebiegł szybko oczyma list, a podając go Portosowi rzekł z cicha:

— Przyjacielu, tym razem mamy już: ty baronię, a ja patent kapitana. Masz, czytaj i osądź.

Portos wyciągnął rękę, wziął list i przeczytał następujące wyrazy skreślone drżącą ręką:

„Królowa chce pomówić z panem d'Artagnan, niech więc uda się z posłańcem”.

— I cóż? — rzekł Portos — nie widzę tu nic nadzwyczajnego.

— A ja widzę wiele. Kiedy mnie wzywają, widać, że rzeczy musiały się bardzo zawikłać. Pomyśl tylko, jak głęboko królowa musiała sięgnąć pamięcią, kiedy po dwudziestu latach przypomniała sobie mnie.

— Masz słuszność — zawołał Portos.

— Naostrz swoją szpadę, baronie, nabij pistolety i każ dać koniom owsa; ręczę ci, że do jutra będzie coś nowego.

— Może to zasadzka, żeby nas się pozbyć.

— To ja zwącham, nie bój się; prawda, że Mazarini jest Włochem, ale ja jestem Gaskończykiem.

I d'Artagnan ubrał się w mgnieniu oka.

Kiedy Portos zapinał mu płaszcz, zapukano znowu do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołał d'Artagnan.

Wszedł drugi służący z listem i podając go rzekł:

— Od jego eminencji kardynała Mazarini. D'Artagnan spojrział na Portosa.

— Otóż i drugi — rzekł Portos — od czegoż teraz zacząć?

— Nic trudnego, jego eminencja wzywa mię dopiero za pół godziny.

— To dobrze.

— Mój przyjacielu — rzekł d'Artagnan do służącego — powiedz jego eminencji, że za pół godziny będę na jego rozkazy.

Służący uklonił się i wyszedł.

— To szczęście, że nie widział tamtego — rzekł d'Artagnan.

— Sądziś więc, że te dwa wezwania nie dotyczą jednej sprawy?

— Jestem tego pewien.

— Dalej, dalej, d'Artagnan, spiesz się, pamiętaj, że królowa czeka na ciebie, po niej kardynał, a po nim ja.

D'Artagnan przywołał posłańca królowej.

— Jestem gotów — rzekł — prowadź mię, mój przyjacielu. Przewodnik przeprowadził go przez ulicę des Petits-Champs

i zwróciwszy się na lewo wprowadził go przez małą furtkę ogrodu, wychodzącą na ulicę Richelieu; potem skrytymi schodkami udali się do oratorium Anny Austriackiej.

Jakieś wzruszenie, którego nie umiał sobie wytłumaczyć, przyspieszało bicie serca d'Artagnana; utracił już ślepe zaufanie młodości i doświadczenie nauczyło go oceniać ważność przyszłych wypadków. Dawniej byłby spotkał się z królową jak młody człowiek witający piękną kobietę; teraz oczekiwał jej jak prosty żołnierz swojego generała.

Dał się słyszeć lekki szelest, d'Artagnan zadrżał i ujrzał białą rękę podnoszącą zasłonę drzwi; po białości i piękności poznał tę rękę królewską, którą kiedyś podano mu do pocałowania.

Królowa weszła.

— To pan, panie d'Artagnan — rzekła Anna Austriacka spoglądając na niego wzrokiem czulej melancholii — poznaję pana. Spójrz pan na mnie, jestem królową, czy poznajesz mię pan?

— Nie, pani — odrzekł d'Artagnan.

— Czy już nie pamiętasz pan — mówiła dalej królowa tym uroczym głosem, którym umiała przemawiać, gdy chciała — że niegdyś królowa potrzebowała rycerza walecznego i zupełnie jej oddanego, że znalazła go i chociaż mogło zdawać się, że zapomniała o nim, zachowała jednak dla niego miejsce w głębi serca.

— Nie wiem o tym, pani — odpowiedział muszkieter.

— Tym gorzej, panie — rzekła Anna Austriacka — tym gorzej dla królowej, bo ona w tej chwili potrzebuje znowu tej waleczności i poświęcenia.

— Jak to! — rzekł d'Artagnan — królowa otoczona sługami tak wiernymi, doradcami tak mądrymi, ludźmi tak wielkimi dzięki swym zasługom i godnościom, raczyła rzucić okiem na prostego żołnierza.

Anna zrozumiała ten zręcznie ukryty wyrzut; była wzruszona, lecz nie rozgniewana. Tyle bezinteresowności ze strony szlachcica gaskońskiego poniżało ją i czuła, że pozwoliła zwyciężyć się tej wspaniałomyślności.

— Wszystko to, co mi pan mówisz o tych, którzy mię otaczają, może jest prawdą — rzekła — ale ja do pana tylko mam zaufanie. Wiem, że pan służysz kardynałowi, chciej i mnie usłużyć, a ja się zajmę twoim losem. Powiedz pan, czy zechcesz uczynić dla mnie dziś to, co niegdyś uczynił dla królowej ów rycerz, którego nie znasz.

— Uczynię wszystko, co tylko wasza królewska mość rozkażesz — rzekł d'Artagnan.

Królowa namyślała się przez chwilę i rzekła znowu:

— Może pan lubisz spoczynek?

— Nie wiem, pani, bo nigdy nie spoczywałem.

— Masz pan przyjaciół?

— Miałem trzech; dwaj opuścili Paryż i nie wiem, gdzie się znajdują. Jeden mi tylko pozostał, ale to jest jeden z tych, którzy znali rycerza, o którym, królowo, raczyłaś wspomnieć.

— To dobrze — rzekła królowa — pan i jego przyjaciel znaczący tyle co cała armia.

— Cóż potrzeba czynić, pani?

— Przyjdź pan tu o godzinie piątej, a powiem mu, ale nikomu w świecie nie wspominaj pan o schadzce, którą mu naznaczyłam.

— Nie, pani.

— Przysięgnij pan na ten krzyż.

— Pani, nigdy nie złamałem mego słowa. Kiedy powiem „nie” — to jest tyle co przysięga.

Królowa, chociaż zdziwiona tą mową, do której, nie przyzwyczaili jej dworacy, uważała, że to przychylna zapowiedź tej gorliwości i energii, z jaką d'Artagnan wykonywać będzie jej zamiary. Nasz Gaskończyk często z wyrachowaniem ukrywał pod formą rubasznej prawości subtelny swój umysł.

— Czy wasza królewska mość na teraz nie ma więcej rozkazów dla mnie? — zapytał.

— Nie, panie, i zostawiam mu swobodę aż do oznaczonej godziny.

D'Artagnan uklonił się i wyszedł.

— Do pioruna — rzekł wyszedłszy — zdaje się, że tu bardzo mię potrzebują.

Potem, ponieważ upłynęło już pół godziny, przeszedł przez galerię i zapukał do drzwi kardynała. Bernonin wprowadził go.

— Jestem na rozkazy waszej eminencji — rzekł d'Artagnan. I zgodnie ze swym zwyczajem, szybko rzucił okiem wokoło

i spostrzegł, że Mazarini miał przed sobą list zapieczętowany, ale był on położony pieczętką do góry i nie podobna było odgadnąć adresu.

— Idziesz pan od królowej — rzekł Mazarini patrząc bystro w oczy Gaskończyka.

— Ja? Kto to powiedział waszej eminencji?

— Nikt, ale wiem o tym..

— Przykro mi, iż muszę powiedzieć, że wasza eminencja jest w błędzie — odpowiedział bezczelnie d'Artagnan.

— Sam otworzyłem drzwi do przedpokoju i widziałem pana idącego od strony galerii.

— Ponieważ wprowadzono mię przez skryte schody.

— Jak to?

— Nie wiem, musiała zająć omyłka.

Mazarini wiedział, że nie łatwo było wyciągnąć od d'Artagnana to, co on chciał ukryć, wyrzekł się więc teraz rozwiązania tej tajemnicy.

— Mówmy o moich interesach, ponieważ pan nie chcesz powiedzieć mi o swoich.

D'Artagnan uklonił się.

— Lubisz pan podróże? — zapytał kardynał. — Spędziłem prawie całe życie na gościńcach. — Czy nie zatrzymuje pana nic w Paryżu?

— Nic mię nie może zatrzymać prócz rozkazu z góry.

— Dobrze; oto jest list, który trzeba doręczyć podług adresu.

— Podług adresu? Ależ tu wcale go nie ma. W istocie koperta listu była zupełnie czysta.

— Tak, jest tu bowiem podwójna koperta.

— Rozumiem, to znaczy, że dopiero przybywszy do pewnego oznaczonego miejsca, powinienem rozedrzeć wierzchnią

kopertę i dowiedzieć się, dokąd mam się dalej udać.

— Tak, zupełnie słusznie. Jedź pan więc! Masz pan przy sobie swego przyjaciela, pana du Vallon, zabierzesz go ze sobą.

„Do pioruna! — rzekł sam do siebie d'Artagnan — pan kardynał wie, że słyszeliśmy jego wczorajszą rozmowę, i chce nas oddalić z Paryża”.

— Czybyś pan wahał się? — zapytał Mazarini.

— Bynajmniej, jadę natychmiast. Chciałbym tylko prosić...

— O co? Mów pan.

— Żeby wasza eminencja udała się na chwilę do królowej.

— Kiedy?

— W tej chwili.

— Po co?

— Powiedzieć królowej te tylko wyrazy: „Posyłam pana d'Artagnan w pewne miejsce i poleciłem mu wyjechać natychmiast”.

— Widzisz pan, że byłeś u królowej — rzekł Mazarini.

— Miałem zaszczyt oświadczyć waszej eminencji, iż być może, że zaszła jakaś omyłka.

— Cóż to wszystko znaczy? — zapytał Mazarini.

— Śmiem powtórzyć moją prośbę....

— Dobrze, idę do królowej; zaczekaj pan tu na mnie. Mazarini spojrział uważnie, czy nie zostawił jakiego klucza

w szafie, i wyszedł.

Upłynęło dziesięć minut, w czasie których d'Artagnan czynił, co tylko mógł, aby przeczytać, co było napisane na wewnętrznej kopercie, ale nadaremnie.

Mazarini wrócił błady i zamyślony usiadł przy biurku. D'Artagnan przypatrywał mu się bystro, wyęzając wzrok jak przed chwilą dla przeczytania adresu, ale twarz kardynała była równie nieprzenikniona jak koperta listu.

„Do licha — pomyślał d'Artagnan — ma minę rozgniewanego — czyżby na mnie? Rozmyśla może nad posłaniem mnie do Bastylii. Brawo! Za pierwszym słowem uduszę jego eminencję i zostaję frondystą. Będą mnie nosili w triumfie jak radcę Broussela i Atos ogłosi mnie Brutusem francuskim. To byłoby zabawne”.

Gaskończyk z swoją zawsze galopującą wyobraźnią w jednym mgnieniu oka przejrzał wszystkie korzyści takiej sytuacji.

Ale Mazarini nie wydał rozkazu, o którym myślał d'Artagnan. .

— Masz pan słuszość, kochany panie d'Artagnan, nie możesz odjechać teraz.

— Ach! — rzekł d'Artagnan.

— Oddaj mi pan zatem tę depezę.

D'Artagnan oddał list. Mazarini przyjrzał się bacznie, czy pieczęć została nienaruszona.

— Potrzebuję pana dziś wieczór, bądź łaskaw, przyjdź tu za dwie godziny.

— Za dwie godziny — powtórzył d'Artagnan.— W tym czasie mam schadzkę, której nie mogę uchybić.

— Bądź pan spokojny — odrzekł Mazarini — to będzie wspólna schadzka w jednym interesie.

„Dobrze — pomyślał d'Artagnan — byłem tego pewien”.

— Przyjdźże pan o godzinie piątej i przyprowadź z sobą pana du Vallon, ale zostaw go w przedpokoju, chcę pomówić z panem sam na sam.

D'Artagnan uklonił się, a kłaniając się mówił do siebie: „Z obu stron jeden rozkaz, o jednej godzinie i w pałacu:

domyślam się. No, jest to tajemnica, za którą pan de Gondy zapłaciłby sto tysięcy liwrów”.

— Pan namyślasz się? — rzekł Mazarini niespokojny.

— Tak jest, namyślam się, czy mamy przyjść uzbrojeni.

— Uzbrojeni od stóp do głów — rzekł Mazarini.

— Będziemy! — odrzekł d'Artagnan.

Uklonił się, wyszedł i pobiegł powtórzyć swemu przyjacielowi treść rozmowy dodając obietnicę ze strony Mazariniego, która wprawiała Portosa w niepojętą radość.

IV

UCIECZKA

Palais-Royal, w chwili gdy d'Artagnan przybył doń około godziny piątej po południu, przedstawiał najweselszy widok. Nie było w tym nic dziwnego: królowa zgodnie z życzeniami paryżan kazała uwolnić panów Broussela i Blancmesnila. Jedna strona zatem nie miała żądań, druga — żadnego powodu do obawy.

Na dworze była wielka uroczystość, której pozorem stał się powrót księcia, zwycięzcy pod Lens. Książęta, księżniczki, wszystkie znakomite osoby były zaproszone i powozy ich zapełniały dziedziniec pałacu już od południa. Po obiedzie miały być gry u królowej.

Anna Austriacka nadzwyczaj pięknie wyglądała tego dnia i błyszczała bardziej niż kiedykolwiek dowcipem i wesołością. Kiedy wstano od stołu, Mazarini oddalił się nieznacznie. D'Artagnan już był na swoim stanowisku oczekując w przedpokoju kardynała. Mazarini wszedł z uśmiechniętą twarzą, wziął go za rękę i wprowadził do gabinetu.

— Kochany panie d'Artagnan — rzekł Mazarini siadając — chcę w tej chwili dać panu dowód największego zaufania, jakie minister może okazać oficerowi w służbie królewskiej.

D'Artagnan. ukłonił się i rzekł:

— Spodziewam się, że wasza wielebność okazuje mi to zaufanie w przekonaniu, że jestem go godzien.

— Najgodniejszy ze wszystkich, mój kochany przyjacielu.

— A więc przyznam się waszej eminencji, że od dawna niecierpliwie oczekuję podobnej sposobności. Niech więc wasza eminencja zechce powiedzieć, o co idzie.

— Dziś wieczór, kochany panie d'Artagnan, będziesz miał w twych rękach całość państwa.

Mazarini zatrzymał się.

— Chciej, wasza eminencja, wytłumaczyć mi to jaśniej.

— Królowa postanowiła odbyć z królem małą przejażdżkę do Saint-Germain.

— O! O! — rzekł d'Artagnan — to znaczy, że królowa chce wyjechać z Paryża.

— Kaprys kobiecy, rozumiesz pan.

— Tak, rozumiem zupełnie dobrze.

— Dlatego to królowa wezwała pana dziś rano i prosiła, abys powrócił o piątej wieczorem.

„Miała powód żądać, żebym przed nikim nie wspomniał o tym spotkaniu z nią” — rzekł do siebie d'Artagnan. — Czy pan nie pochwalasz tej małej podróży, kochany panie d'Artagnan? — spytał Mazarini nieco zaniepokojony.

— Ja? a to dlaczego?

— Ponieważ zauważyłem, żeś pan wzruszył ramionami.

— Ech, to jest mój sposób rozmawiania ze sobą.

— A zatem pochwalasz pan tę podróż?

— Ani ganię, ani pochwalam, czekam tylko rozkazów waszej eminencji.

— Dobrze. Na pana właśnie zwróciłem oczy i wybrałem go do przeprowadzenia króla i królowej do Saint-Germain.

D'Artagnan nic nie odrzekł.

— Widzisz pan zatem — mówił dalej Mazarini — że jak powiedziałem, całość państwa złożona będzie w rękach pańskich.

- Tak, panie kardynale, i czuję całą odpowiedzialność podobnego obowiązku.
- Przyjmujesz go pan jednak?
- Przyjmuję.
- I sądzisz, że jest to możliwe do wykonania?
- Według mnie wszystko jest możliwe do wykonania.
- Może w drodze uderzy kto na pana? — To jest bardzo prawdopodobne.
- I cóż pan uczynisz w takim przypadku?
- Przejdę pomiędzy tymi, którzy mię zaczepią. — A jeśli oni pana nie przepuszczą?
- Tym gorzej dla nich, bo w takim razie przejdę po ich głowach.
- I doprowadzisz króla i królową do Saint-Germain, całych i zdrowych?
- Doprowadzę.
- Ręczysz za to swym życiem?
- Ręczę.
- Kochany poruczniku, jesteś bohaterem! — rzekł Mazarini patrząc z uwielbieniem na d'Artagnana. D'Artagnan uśmiechnął się.
- A mnie? — rzekł Mazarini po chwili milczenia, patrząc bystro na d'Artagnana.
- Jak to? nie rozumiem waszej eminencji.
- A mnie, jeżeli zechcę pojechać, czy przeprowadzisz pan bezpiecznie?
- To będzie trudniej.
- Jak to?
- Waszą eminencję mogą poznać.
- Nawet w tym przebraniu? — zapytał Mazarini.

I to mówiąc podniósł płaszcz, leżący na fotelu i ukrywający dotychczas kompletne ubranie bogatego szlachcica.

- Jeśli wasza eminencja przebierze się, to będzie daleko łatwiej.

Mazarini odetchnął lżej.

— Ale trzeba będzie uczynić to, co wasza eminencja powiedział niedawno, że uczyniłby będąc na naszym miejscu.

- Cóż takiego? — Krzyżeć: „Precz z Mazarinim”.

— Będę krzychał.

— Na ulicach widać wielu uzbrojonych ludzi — mówił dalej d'Artagnan — czy wasza eminencja pewny jest, że nikt nie wie o zamiarze królowej?

Mazarini zamyślił się.

— Piękne by to było pole dla zdrajcy — rzekł znowu d'Artagnan — można by się wytłumaczyć przypadkowym napadem.

Mazarini zadrżał, ale pomyślał, że człowiek mający zamiar zdradzić nie uprzedzałby o tym, rzekł więc żywo:

— Dlatego też nie byłbym powierzył siebie nikomu innemu, ale panu ufam ślepo i wybrałem go do odprowadzenia mnie.

- Czy wasza eminencja jedzie razem z królową?

— Nie — odrzekł Mazarini.

— A zatem po królowej.

— Nie — odpowiedział znowu Mazarini.

— Aha! — rzekł d'Artagnan, który zaczął się domyślać.

— Widzisz pan, mam moje powody — mówił znowu Mazarini — jadąc z królową zwiększyłbym jej zagrożenie, jadąc po niej pogorszyłbym swoje położenie, a zresztą skoro dwór wydobyłby się z krytycznej sytuacji, może by zapomniano o mnie: wielki świat jest niewdzięczny.

— To prawda — rzekł d'Artagnan, mimowolnie rzucając wzrokiem na diament królowej, który Mazarini miał na palcu.

Mazarini zauważył kierunek spojrzenia d'Artagnana i obrócił pierścień kamieniem do środka ręki.

— A zatem naprzód, kochany panie d'Artagnan, wyprowadzisz mnie z Paryża.

— Trudna to będzie sprawa! — rzekł d'Artagnan przybierając znowu poważny wyraz twarzy.

— Ależ — rzekł Mazarini patrząc bystro w oczy d'Artagnana, aby zrozumieć każdy odcień jego myśli — nie mówiłeś tego, kiedy chodziło o króla i królową.

— Król i królowa są moim królem i królową — odpowiedział muszkieter — moje życie należy do nich i skoro go żądają ode mnie, nie mam nic do powiedzenia.

— Tak, a ponieważ twoje życie nie należy do mnie — rzekł sam do siebie Mazarini — przeto powinienem je kupić!

I westchnąwszy zaczął znowu odwracać diament na zewnątrz ręki.

D'Artagnan uśmiechnął się.

Ci dwaj ludzie spotykali się ze sobą w jednym punkcie —

w chytrości. Gdyby spotykali się ze sobą w odwadze, mogliby

we dwóch cudów dokonać.

— Ależ — rzekł głośno Mazarini — pojmujesz pan, że żądając od pana tak ważnej przysługi, mam zamiar okazać się wdzięcznym.

— Aha, wasza eminencja ma zamiar?...

— Oto, mój kochany panie d'Artagnan — mówił dalej Mazarini zdejmując z palca pierścień — oto jest pierścień, który niegdyś należał do pana i słuszne jest, aby do pana powrócił — chciej go przyjąć ode mnie, proszę cię.

D'Artagnan nie dał Mazariniemu czasu do powtórzenia tej prośby, wziął pierścień, spojrzał, czy diament jest ten sam, co dawniej, i przekonawszy się o jego prawdziwości, włożył go na palec z największą przyjemnością.

— Lubiłem bardzo ten pierścień — mówił dalej Mazarini żegnając spojrzeniem piękny diament — ale daję go panu z wielką przyjemnością.

— A ja — odrzekł d'Artagnan — przyjmuję go z równym ukontentowaniem. A teraz pomówmy o interesie waszej eminencji. Życzeniem jego jest wyjechać najpierw?

— Koniecznie.

— O której godzinie?

— O dziesiątej.

— A królowa o której godzinie ma wyjechać?

— O północy.

— To się da zrobić; wywozę waszą eminencję za rogatki Paryża i powrócę po królową.

— Doskonale, ale jak wyprowadzisz mię pan z Paryża?

— Co do tego proszę o zupełną swobodę działania.

— Daję panu całkowite pełnomocnictwo; weź tyle eskorty, ile tylko zechcesz.

D'Artagnan potrząsnął głową.

— Zdaje mi się jednak, że to jest najpewniejszy sposób — rzekł Mazarini.

— Tak, dla waszej eminencji, ale nie dla królowej; Mazarini przygryzł usta.

— A więc — rzekł — jakże uczynimy?

— To do mnie należy.

— Hm! — mruknął kardynał.

— Niech wasza eminencja już mnie to pozostawi.

— Jednakże...

— Albo wybierze kogo innego — dodał d'Artagnan zabierając się do wyjścia.

— Do licha! — mruknął Mazarini — wziął diament i odchodzi. — Panie d'Artagnan, kochany panie d'Artagnan — dodał głośno z najprzyjemniejszym uśmiechem — jedno słówko...

— Słucham waszą eminencję.

— Czy ręczysz mi pan za pomyślny skutek?

— Za nic ręczyć nie mogę, ale czynię wszystko, co jest w mocy człowieka.

— A więc powierzam się panu. „Przecież!” — rzekł sam do siebie d'Artagnan.

— Przyjdiesz więc pan tutaj o godzinie wpół do dziesiątej.

— I zastanę waszą eminencję zupełnie gotowego?

— Zupełnie.

— Zatem rzecz skończona. Ale czy wasza eminencja nie pozwoliłby mi zobaczyć królowej?

— Po co?

— Pragnąłbym otrzymać rozkazy z jej ust własnych. — Królowa poleciła mi, abym je panu oznajmił.

— Jej królewska mość mogła czego zapomnieć.

— Chcesz pan koniecznie ją widzieć?

— Najusilniej pragnę.

Mazarini wahał się przez chwilę, na koniec rzekł:

— No, chodźmy, zaprowadzę pana do królowej; ale ani słowa o tym, cośmy tu mówili.

— To, cośmy tu mówili, dotyczy tylko waszej eminencji i mnie.

— Przysięgasz pan, że zachowasz milczenie?

— Nie przysięgam nigdy, mówię „tak” albo „nie” — i dotrzymuję swego słowa jak szlachcic.

— Widzę, że trzeba oddać się panu bezwarunkowo.

— Wierz mi, wasza eminencjo, że to jest najbezpieczniej i najlepiej.

— Chodźmy — rzekł Mazarini.

I poprowadził d'Artagnana do oratorium królowej, gdzie kazał mu zaczekać.

D'Artagnan niedługo czekał. Zaledwie upłynęło pięć minut, weszła królowa w świetnym balowym ubraniu. Wyglądała na lat trzydzieści pięć i była bardzo piękna.

— A, to ty, panie d'Artagnan — rzekła królowa uśmiechając się — dziękuję panu, że żądałeś widzenia ze mną. — Wasza królewska mość przebaczy mi tę śmiałość — odrzekł d'Artagnan — ale chciałem z ust jej otrzymać rozkazy.

— Wiesz pan, o co idzie? — Tak, pani.

— Przyjmujesz pan obowiązek, który mu poruczam?

— Z szczerą wdzięcznością. .

— To dobrze; bądź więc pan tu o północy.

— Będę.

— Panie d'Artagnan — rzekła dalej królowa — zbyt dobrze znam pańską bezinteresowność, abym mówiła mu w tej chwili o odwdzięczeniu się; ale przyrzekam panu, iż nie zapomnę tej drugiej twojej usługi, chociaż nie pamiętałam tak długo o pierwszej.

— Wasza królewska mość masz zupełne prawo pamiętać lub zapomnieć, co jej się podoba, i nie rozumiem, co wasza królewska mość chciała powiedzieć.

I d'Artagnan ukłonił się.

— Żegnam pana, powróć o północy — rzekła królowa z zachwycającym uśmiechem i pożegnała go.

D'Artagnan wyszedł, ale wychodząc rzucił okiem na drzwi, przez które weszła królowa, i za zasłoną, spostrzegł brzeg aksamitnego trzewika.

„Brawo! Mazarini podsłuchiwał, czy go nie zdradzę przed królową — rzekł do siebie nasz Gaskończyk — na honor, ten Włoch niewart, żeby mu uczciwy człowiek służył”.

Mimo to, wierny swemu przyrzeczeniu, d'Artagnan o wpół do dziesiątej już był w przedpokoju kardynała.

Bernonin oczekiwał tam i wprowadził go do gabinetu.

Mazarini był ubrany jak zbrojny szlachcic; wyglądał bardzo korzystnie w tym ubraniu, ale był blady i drżał.

— Jak to, pan jesteś sam?

— Tak jest.

— A ten zacny pan du Vallon, czy nie będzie nam towarzyszył?

— I owszem, czeka na waszą eminencję w swojej karecie.

— Gdzie?

— Przy bramie ogrodu.

— Więc to w jego karecie pojedziemy i bez innej eskorty prócz niego i pana?

- Czy wasza eminencja sądzi, że to za mało? Mnie się zdaje, że jeden z nas wystarczyłby.
- Doprawdy, kochany panie d'Artagnan, przerażasz mię swoją zimną krwią.
- Ja sądziłem, że to powinno zwiększyć ufność waszej eminencji.
- A Bernonin, czy nie pojedzie z nami?
- Nie ma miejsca dla niego, później przybędzie za waszą eminencją.
- Niechże i tak będzie, jeśli mam wszystko uczynić, co pan chcesz.
- Jeszcze jest czas cofnąć się. Wasza eminencja ma zupełną swobodę decyzji.
- Nie, nie — prędko przerwał Mazarini — jedźmy.

I obaj zeszedli skrytymi schodkami. Mazarini wspierał się na ramieniu d'Artagnana, który czuł, że ręka kardynała drżała.

Przeszli dziedziniec pałacu, gdzie stało jeszcze kilka karet, weszli do ogrodu i doszli do furtki.

Mazarini chciał ją otworzyć kluczem, który wydobyl z kieszeni, ale ręka jego tak mocno drżała, że nie mógł trafić do dziurki od klucza.

— Pozwól, wasza eminencjo — rzekł d'Artagnan.

Mazarini dał mu klucz, d'Artagnan otworzył furtkę, zamknął ją za sobą i włożył klucz do kieszeni, zamierzając powrócić tą drogą.

Drzwiczki karety były otwarte, stopień spuszczone. Mousqueton stał przy drzwiczkach. Portos był w karecie.

— Niech wasza eminencja wsiądzie — rzekł d'Artagnan. Mazarini nie dał tego sobie dwa razy powtórzyć i wskoczył do karety.

D'Artagnan wsiadł za nim, Mousqueton zamknął drzwiczki i nie bez westchnienia usiadł za powozem; czynił z początku niejaki trudności wzbraniając się jechać, pod pozorem, że rana jego nie zagoiła się dostatecznie, ale d'Artagnan rzekł do niego:

— Zostań, jeśli chcesz, mój kochany Mousqueton, ale uprzedzam cię, że Paryż zostanie spalony tej nocy.

Na to zapewnienie Mousqueton zapomniał o ranie i oświadczył, że gotów jest pójść za swoim panem i panem d'Artagnan na koniec świata.

Powóz jechał lekkim truchtem, który w żaden sposób nie świadczył, że osoby znajdujące się w nim spieszą się. Mazarini otarł czoło chustką i spojrział wokół siebie.

Portos siedział po lewej, a d'Artagnan po prawej stronie tuż przy drzwiczkach, tworząc dla niego żywy wał ochronny.

Na przednim siedzeniu leżała para pistoletów przed d'Artagnanem i także przed Portosem, prócz tego każdy z nich miał przy boku szpadę.

O sto kroków od pałacu zatrzymał ich patrol.

— Kto jedzie? — zawołał dowódca.

— Mazarini — odrzekł d'Artagnan śmiejąc się głośno.

— Szczęśliwej drogi! — zawołał patrol przepuszczając powóz.

W połowie ulicy spotkali drugi patrol.

— Kto jedzie? — zawołał dowódca.

— Niech się wasza eminencja schowa w głębi — rzekł d'Artagnan.

Mazarini wcisnął się za dwóch przyjaciół tak, że nie było go prawie widać.

— Kto jedzie? — zawołał po raz drugi ten sam głos. D'Artagnan poczuł, że zatrzymano konie; wychylił się więc

przez okienko i zawołał:

— Czy to ty, Planchet?

Dowódca oddziału zbliżył się. Był to istotnie Planchet, którego d'Artagnan poznał po głosie.

— Jak to, panie poruczniku, to pan? — rzekł Planchet.

— Tak, mój przyjacielu, ten poczciwy Portos dostał pchnięcie szpadą i odwożę go do jego wiejskiego pałacyku w St. Cloud.

— Ach, mój Boże! czy podobna! — zawołał z żalem Planchet.

— Mój przyjacielu — odezwał się Portos, którego d'Artagnan trącił w kolano — cierpię okropnie — jeżeli spotkasz jakiego lekarza, przyślij go do mnie.

— Ach, wielki Boże! ale jak się to stać mogło! — zawołał znowu Planchet.

— Ja ci to opowiem — odezwał się Mousqueton.

— Później, jak się zobaczycie, ale teraz każ przepuścić nasz powóz, mój kochany Planchet, bo inaczej może go nie dowiozę żywego, płuca ma uszkodzone.

Planchet potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: to źle! Potem, obracając się do towarzyszy, zawołał:

— Przepuście powóz, to są znajomi.

Powóz ruszył dalej. Mazarini, który do tej chwili nawet oddech wstrzymywał, mruknął:

— Niegodziwcy!

O kilka kroków przed bramą St. Honoré spotkano trzecią gromadę, złożoną z ludzi mało obiecującej powierzchowności, podobnych do rozbójników; byli to podkomendni żebraka z St. Eustache.

— Bacność, Portosie! — rzekł d'Artagnan. Portos wyciągnął rękę do pistoletów.

— Co to jest? — zapytał Mazarini.

— Zdaje mi się — odrzekł d'Artagnan — że dostaliśmy się w złe towarzystwo.

W tej chwili zbliżył się ku drzwiczkom człowiek trzymający w ręku rodzaj tasaka i zawołał: — Kto jedzie?

— Głupcze — odrzekł d'Artagnan — czy nie poznajesz karety jego książęcej mości?

— Ktokolwiek jedzie, otwórz drzwiczki, abyśmy zobaczyli, inaczej nie przepuścimy przez bramę.

— Co tu zrobić — zapytał Portos. — Do pioruna, przejechać! — odrzekł d'Artagnan.

— Ale jak przejechać? — zapytał Mazarini.

— Przez środek, po łbach. Woźnica, galopem!

Woźnica podniósł bicz.

— Ani kroku dalej! — krzyknął człowiek, który zdawał się dowódcą gromady — albo poprzetrącam nogi waszym koniom.

— Szkoda byłaby — rzekł Portos — te konie kosztują mnie sto pistoletów.

— Zapłacę panu za nie po dwieście — rzekł z cicha Mazarini.

— Tak — dodał d'Artagnan — ale jeśli konie padną, to i my zginiemy. .

— Z mojej strony zbliża się ktoś — zawołał Portos — czy mam go zabić?

— I owszem, ale pięścią, jeśli możesz, nie strzelajmy, chyba w ostateczności.

— Dobrze — rzekł Portos.

— Pójdź, otwórz i zobacz, kto jedzie — zawołał d'Artagnan na dowódcę, biorąc pistolet za lufę, aby uderzyć rękocięcią.

Człowiek z tasakiem zbliżył się.

D'Artagnan, aby swobodniej zadać cios, wysunął się z okienka karety, a oczy jego spotkały oczy żebraka, którego oświecało światło latarni.

Zapewne poznał on d'Artagnana, bo zbladł niezmiernie; zapewne muszkieter poznał go także, bo włosy powstały mu na głowie.

— Pan d'Artagnan! — krzyknął żebrak cofając się o dwa kroki — pan d'Artagnan! przepuście, wolny przejazd!

Zdawało się, że d'Artagnan chciał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili rozległ się łoskot jakby obucha spadającego na łeb wołu; było to uderzenie, którym Portos powalił swojego przeciwnika.

D'Artagnan obejrzał się i zobaczył nieszczęśliwego leżącego o kilka kroków.

— Teraz co koń wyskoczy! — zawołał na woźnicę. — Dalej! dalej!

Woźnica silnie uderzył biczem i konie ruszyły jak błyskawica.

Usłyszano krzyki ludzi, których tak gwałtowny ruch powalił na ziemię, potem powóz dwukrotnie się przechylił, bo koła z jednej strony przeszły po jakimś przedmiocie okrągłym i uginającym się.

Powóz przejechał za bramę.

— Do Cours-la-Reine! — zawołał d'Artagnan na woźnicę. Potem dodał obracając się do Mazariniego:

— Teraz wasza eminencja może zmówić pięć Pater i pięć Ave, aby podziękować Bogu za ocalenie. Teraz jesteś, wasza eminencjo, cały i bezpieczny.

Mazarini odpowiedział tylko westchnieniem, nie mógł bowiem nawet uwierzyć w taki cud.

W pięć minut potem powóz zatrzymał się przybywszy do Cours-la-Reine.

— Czy wasza eminencja jest zadowolony ze swojej eskorty? — zapytał muszkietier.

— Zachwycony, kochany panie d'Artagnan! — zawołał kardynał odważając się teraz wyrzeć z karety — teraz uczyni pan to samo dla królowej.

— To będzie daleko łatwiej — rzekł d'Artagnan wyskakując z powozu. — Panie du Vallon, polecam ci jego eminencję.

— Bądź spokojny — odrzekł Portos podając mu rękę. D'Artagnan uściśnął podaną rękę, a Portos mimowolnie

krzyknął.

D'Artagnan z podziwem spojrział na swego przyjaciela i zapytał:

— Co to, czy za mocno ścisnąłem?

— Zdaje mi się, że musiałem stłuc rękę.

— Ależ bo uderzasz jak młotem.

— Musiałem, bo ten łotr chciał do mnie strzelić z pistoletu. Ale ty jakim sposobem pozbyłeś się twojego?

— Och, mój to nie był człowiek.

— A cóż u licha?

— Upiór i odstraszyłem go zaklęciem.

Bez dalszych wyjaśnień d'Artagnan wziął pistolety, które leżały na przednim siedzeniu, wsadził je za pas i nie chcąc wracać tą samą rogatką, którą przybył, puścił się ku bramie Richelieu.

KARETA PANA KOADIUTORA

Zaledwie d'Artagnan uszedł kilka kroków w Paryżu, ponieważ miał na sobie mundur muszkietera, poznano go, otoczono i zmuszono, aby wołał: „Precz z Mazarinim”, zobaczywszy, że o to tylko idzie, nasz Gaskończyk nie dał się długo prosić i tak pięknym głosem przyłączył się do ogólnych okrzyków, że nawet najbardziej wymagający powinni być zadowoleni.

Szedł sobie dalej, rozmyślając, jak wyprowadzić królową z Paryża, bo ani podobna było pomyśleć, aby można było wyjechać w powozie z herbami Francji. Nagle przed pałacem pani de Guémérée spostrzegł stojącą karete.

— Ach, do pioruna! — zawołał — to będzie wyborny podstęp wojenny.

I zbliżywszy się do karety, bacznie spojrział na jej herby i liberię woźnicy, który spał na koźle.

— To kareta koadiutora — rzekł do siebie — na honor, zaczynam wierzyć, że Opatrzność jest z nami.

Wsiadł po cichu do karety i pociągnawszy za taśmę przywiązaną do ręki woźnicy, zawołał:

— Do Palais-Royal!

Woźnica, przebudzony nagle, ruszył w kierunku wskazanym, nie pomyślawszy nawet, że ten rozkaz pochodzi nie od jego pana.

Szwajcar chciał właśnie zamknąć bramę, ale zobaczywszy wspaniałą karete pewien był, że musi to być bardzo ważna wizyta. Kareta wjechała na dziedziniec I zatrzymała się przed samymi schodami.

Tam dopiero woźnica spostrzegł, że nie było lokai za karete.

Sądząc, że koadiutor wysłał ich gdzie za interesem, zeskoczył z koźła nie puszczając lejców i pobiegł otworzyć drzwiczki.

D'Artagnan wyskoczył już z powozu i w chwili kiedy woźnica cofnął się o krok poznając, że to nie jego pan siedział w karecie, porwał go jedną ręką za kołnierz, a drugą przyłożył do piersi pistolet i zawołał:

— Jeżeli jedno słowo wymówisz, zginąłeś!

Woźnica z twarzy d'Artagnana poznał, że nie była to próżna pogróżka, znieruchomiał więc bez tchu prawie, z oczyma i ustami otwartymi.

Dwóch muszkieterów przechadzało się po dziedzińcu. D'Artagnan zawołał ich po nazwisku.

— Panie de Ballière, bądź tak greczny, weź lejce z rąk tego pocziwca, wsiądź na koziół, zajedź przed drzwi boczne schodów i zaczekaj tam na mnie. Jest ważna sprawa dotycząca służby królewskiej.

Muszkieter uczynił zadość rozkazowi, nic nie powiedziawszy, choć mu się ten rozkaz wydawał dziwny. Następnie zwrócił się do drugiego muszkietera:

— Panie du Verges, pomóż mi poprowadzić tego człowieka w bezpieczne miejsce.

Muszkieter myślał, że d'Artagnan pochwycił kogoś podejrzanego w przebraniu, dobył więc szpady i stanął w pogotowiu

D'Artagnan poszedł po schodach mając za sobą swego jeńca, za którym znowu postępował muszkieter. Wszyscy trzej weszli do przedpokoju Mazariniego.

Bernonin niecierpliwie oczekiwał wiadomości o swoim panu.

— I cóż, panie? — zapytał.

— Wszystko idzie doskonale, mój kochany panie Bernonin, ale oto jest człowiek, którego trzeba umieścić w bezpiecznym miejscu.

— Gdzie na przykład?

— Gdzie chcesz, byleby tylko to miejsce miało dobrze zamknięte okiennice i drzwi.

— Mamy coś takiego, panie — powiedział Bernonin.

I zaprowadzili biednego woźnicę do gabinetu, którego okna były opatrzone mocną kratą i który bardzo był podobny do więzienia.

— Teraz, mój przyjacielu — rzekł d'Artagnan — proszę cię, pożycz mi twojego płaszcza i kapelusza.

Woźnica, jak to łatwo domyślić się, nie czynił żadnych trudności, zresztą był on tak zdziwiony tym wszystkim, co się z nim działo, że zdawało mu się to snem.

— Teraz, panie du Verges — rzekł d'Artagnan zabrawszy płaszcz i kapelusz woźnicy — zamknij się pan tu z tym człowiekiem, dopóki pan Bernonin nie otworzy tych drzwi. Może ta warta będzie długa i nudna, ale jest to służba królewska — dodał zupełnie poważnie.

— Stanie się według rozkazu pana porucznika.

— A propos — zawołał odchodząc d'Artagnan — jeśliby ten człowiek usiłował krzyknąć lub uciec, przebij go pan szpadą.

Muszkietier skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że ściśle spełni polecenie.

D'Artagnan wyszedł z Bernoninem, który niósł za nim kapelusz i płaszcz woźnicy. Północ wybiła.

— Zaprowadź mię, panie Bernonin, do oratorium królowej; oznajmij jej, że jestem tu, i zanieś te rzeczy wraz z dobrze nabitym muszkietem na kozioł powozu, który stoi przed bocznymi schodami.

Bernonin wprowadził d'Artagnana do oratorium, gdzie nasz Gaskończyk usiadł zamyślony.

Wszystko w Palais-Royal szło zwykłym trybem. O godzinie dziesiątej prawie wszyscy goście rozjechali się; ci, którzy mieli oddalić się razem z dworem, otrzymali polecenie i wezwanie, aby między północą i pierwszą godziną przybyli do Cours-la-Reine.

O godzinie dziesiątej Anna Austriacką udała się do młodego króla, który bawił się z dwoma synami znakomitych rodzin w równym z nim wieku ustawianiem do boju cynowych żołnierzy.

— Laporte — rzekła królowa — czas by już było, żeby jego królewska mość udał się na spoczynek.

Młody król chciał jeszcze pobawić się upewniając, że wcale mu się spać nie chce, ale królowa rzekła do niego:

— Wszakże jutro, Ludwiku, o szóstej z rana masz jechać kąpać się do Couflans; zdaje mi się, że sam prosiłeś o to.

— Ach, prawda — odpowiedział król — pójdę więc na spoczynek. Laporte, podaj świecę kawalerowi de Coislin.

To rzekłszy młody król zbliżył się do swojej matki, która tkliwie ucałowała go w czoło..

— Staraj się zaraz zasnąć, Ludwiku, bo cię rano obudzę — rzekła królowa.

— Będę się starał uczynić zadość temu poleceniu, ale nie zbiera mi się wcale na sen.

— Laporte — rzekła królowa z cicha — poczytaj królowi jaką nudną książkę, żeby go prędko uśpić, ale się nie rozbieraj.

Król wyszedł w towarzystwie kawalera de Coislin, który niósł świecę.

Królowa powróciła do swoich apartamentów. Jej damy dworu, pani de Brégy, panna de Beaumont, pani de Motteville i jej siostra Socratina, którą tak przezwano z powodu jej zamiłowania w naukach, przyniosły wieczerę.

Królowa następnie wydała jak zazwyczaj rozkazy, mówiła

o obiedzie, na który przyjęła zaproszenie od margrabiego de Villequier, wyznaczyła osoby, które mają jej tani towarzyszyć, zapowiedziała, że nazajutrz uda się do Val de Grâce dla złożenia tam modłów dziękczynnych za powodzenie oręża francuskiego, i wydała rozkaz swemu pierwszemu kamerdynerowi, aby jej tam towarzyszył.

Po wieczerze królowa oświadczyła, że jest bardzo znużona,

i udała się do sypialni. Pani de Motteville, na którą wypadła służba tego wieczora, udała się z nią i pomogła rozebrać się. Królowa położywszy się, mówiła z nią jeszcze przez kilka minut, po czym pożegnała ją.

W tej chwili właśnie d'Artagnan wjeżdżał na dziedziniec Palais-Royal powozem koadiutora.

W kilka chwil potem karety dam dworu wyjechały z pałacu i krata zamknęła się za nimi.

Uderzyła północ

W pięć minut potem Bernonin zapukał do sypialni królowej, przeszedłszy skrytą galerią z pokojów Mazariniego.

Anna Austriacka otworzyła mu sama.

Była już ubrana.

— A, to ty, Bernonin — rzekła — czy pan d'Artagnan przyszedł?

— Znajduje się w oratorium waszej królewskiej mości.

— Jestem już gotowa. Idź do Laporte'a, powiedz mu, żeby obudził i ubrał króla, a potem zawiadom marszałka de Villeroy, że go oczekuję.

Bernonin uklonił się i wyszedł.

Królowa weszła do oratorium oświetlonego jedną tylko lampą, znalazła tam d'Artagnana.

— To pan — rzekła królowa — czy jesteś zupełnie gotów?

— Tak jest, pani.

— A pan kardynał?

— Wyjechał z Paryża szczęśliwie i oczekuje waszą królewską mość w Cours-la-Reine.

— Ale jakim powozem pojedziemy?

— Wszystko przewidziałem i kareta czeka na waszą królewską mość przy bocznych schodach.

— Chodźmy do króla.

D'Artagnan uklonił się i poszedł za królową.

Młody Ludwik był już ubrany, dziwił się bardzo, że go tak wcześniej zbudzono i zarzucał pytaniami Laporte'a, który tylko odpowiadał mu, że królowa tak kazała.

Królowa weszła, a za nią d'Artagnan.

Dziecię, zobaczywszy królową, wyrwało się z rąk Laporte'a, który mu zapinał kaftan, i pobiegło do matki.

Królowa skinęła na d'Artagnana, aby się zbliżył.

— Mój synu — rzekła Anna Austriacka wskazując muszkietera, który stał spokojnie i z godnością — oto jest pan d'Artagnan, waleczny jak ci dawni bohaterowie, o których tak lubisz słuchać opowiadali. Przyjrzyj mu się dobrze i zapamiętaj jego nazwisko, bo on tego wieczora wyświadczy nam wielką przysługę.

Młody król spojrział na oficera i powtórzył:

— Pan d'Artagnan.

— Tak, mój synu.

Młody król podniósł z wolna małą rękę podając ją d'Artagnanowi, który przykląkł na jedno kolano i pocałował ją.

— Pan d'Artagnan... — powtórzył Ludwik — będę pamiętał.

W tej chwili dała się słyszeć wrzawa.

— Co to jest? — zapytała królowa.

— O! O! — odpowiedział d'Artagnan natężając bystry słuch — to jakaś gromada ludu zbliża się do pałacu.

— Trzeba uciekać! — zawołała królowa.

— Wasza królewska mość raczyłaś powierzyć mi cały bieg tej sprawy; trzeba zatem zaczekać i dowiedzieć się, czego oni chcą.

— Panie d'Artagnan!

— Ręczę za wszystko, najjaśniejsza pani.

Comminges, który tej nocy był na służbie, przybiegł oświadczając, że w obrębie pałacu znajduje się około dwustu żołnierzy, którzy oczekują rozkazów jej królewskiej mości.

— I. cóż? — zapytała Anna Austriacka zobaczywszy wchodzącego d'Artagnana.

— Pani — odrzekł muszkieter — rozeszła się pogłoska, że wasza królewska mość opuściła Paryż uwożąc jego królewską mość, i paryżanie chcą przekonać się, że to nie jest prawda.

— Och! tego już za dużo — zawołała z gniewem królowa — i dam im odczuć, że jeszcze nie wyjechała.

D'Artagnan poznał ze spojrzenia królowej, że ma zamiar wydać jakiś gwałtowny rozkaz. Zbliżył się więc do niej i rzekł z cicha:

— Czy wasza królewska mość ufa mi jeszcze? Na ten głos Anna zadrżała.

— Tak, panie — odpowiedziała — ufam zupełnie.

— Wasza królewska mość raczy postąpić podług mojej rady?

— Słucham pana.

— Niech więc wasza królewska mość raczy polecić panu Comminges, aby zamknął się z swymi żołnierzami w koszarach.

Comminges spojrział na d'Artagnana wzrokiem, jakim każdy dworak patrzy na nowego, szczęśliwego rycerza fortuny.

— Panie Comminges — rzekła królowa — uczyn to, co powiedział pan d'Artagnan.

D'Artagnan widział spojrzenie oficera straży, postąpił więc ku niemu i rzekł:

— Panie Comminges, nie gniewaj się na mnie; jesteśmy obaj sługami jej królewskiej mości; w tej chwili na mnie przyszła kolej być jej użytecznym. Nie chciej zazdrościć tego szczęścia.

Comminges uklonił się i wyszedł.

— No — rzekł do siebie d'Artagnan — mam jednego nieprzyjaciela więcej.

— A teraz? — rzekła królowa obracając się do d'Artagnana — cóż należy uczynić, bo słyszysz pan, że wrzawa nie ustaje, ale raczej wzmagą się.

— Najjaśniejsza pani — odrzekł d'Artagnan — Paryżanie chcą zobaczyć jego królewską mość i trzeba, żeby go zobaczyli.

— Gdzie? na balkonie?

— Nie, pani, ale tu w łóżku śpiącego.

— Och, wasza królewska mość, pan d'Artagnan ma zupełną słuszość — rzekł Laporte.

Królowa pomyślała chwilę i uśmiechnęła się jak kobieta, której przewrotność nie jest obca.

— Prawda — rzekła jakby do siebie.

— Panie Laporte — rzekł d'Artagnan — idź do krat pałacu i oświadczyć tam zgromadzonym, że za chwilę będą mogli zobaczyć króla w łóżku; dodaj, że jego królewska mość śpi i że królowa prosi, aby się uciszono, żeby nie przerywać snu jego królewskiej mości.

— Ale żeby wszyscy tu nie przyszli, niech wybiorą kilku spomiędzy siebie — rzekła.

— Owszem, pani — wszyscy.

— To nas zatrzymają do rana.

— Uwolnimy się od nich w kwadrans. Ja ręczę za wszystko. Znam paryżan, są to dzieci, które trzeba pieścić; wobec śpiącego króla będą cisi i lękliwi jak owieczki.

— Idź, Laporte — rzekła królowa. Młody król zbliżył się do swej matki.

— Dlaczegoż mamy uczynić to, co oni chcą? — zapytał.

— Tak trzeba, mój synu! — odrzekła.

— Ale w takim razie, jeżeli trzeba, abym czynił, co ktoś chce, na cóż jestem królem?

Królowa nic nie odpowiedziała. W tej chwili wrzawa ucichła.

Laporte wszedł.

— I cóż, Laporte? — zawołała królowa.

— Najjaśniejsza pani — przepowiednia pana d'Artagnana spełniła się co do słowa, wszyscy od razu ucichli. Otwierają bramy i za kilka minut wszyscy tu będą.

— Laporte — rzekła królowa — gdyby położyć do łóżka jednego z twoich synów zamiast króla, moglibyśmy pojechać tymczasem.

— Jeśli wasza królewska mość rozkaże, moi synowie są na jej usługi, również i ja.

— Nie, nie — przerwał d'Artagnan — bo gdyby który z nich znał rysy jego królewskiej mości i poznał zamianę, wszystko byłoby stracone.

— Ma pan słuszość — rzekła królowa — Laporte, połóż króla do łóżka.

Laporte położył małego Ludwika zupełnie ubranego i przykrył go starannie.

Królowa nachyliła się nad synem i pocałowała go w czoło.

— Udawaj, że śpisz, Ludwiku.

— Dobrze, ale nie chcę, żeby mię który z tych ludzi dotknął.

— Panie, ja tu jestem — rzekł d'Artagnan — i zaręczam, że gdyby który odważył się na to, zapłaciłby za tę śmiałość życiem.

— Cóż teraz trzeba czynić? — zapytała królowa — bo już słyszę nadchodzących.

— Panie Laporte, wyjdź przeciw nim i zaleć im jeszcze raz ciszę. Najjaśniejsza pani raczy zaczekać przy wejściu, ja stanę w głowach jego królewskiej mości, gotów umrzeć w jego obronie.

Laporte wyszedł, królowa stanęła przy drzwiach, a d'Artagnan przy łóżku króla, za firanką.

Za chwilę dało się słyszeć przytłumione powolne stąpanie mnóstwa ludu. Królowa podniosła zasłonę drzwi, kładąc palec na ustach.

Zobaczywszy królowę ludzie ci zatrzymali się.

— Wejdźcie, panowie, wejdźcie — rzekła królowa;

Wtedy w całym tłumie nastąpiło zmieszanie podobne zawstydzeniu; spodziewali się oporu, sądzili, że będą musieli wylamywać bramy i walczyć ze strażą, tymczasem bramy otworzyły się same i król, przynajmniej tak się zdawało, nie miał przy swym łóżku innej straży prócz królowej matki.

Ci, którzy byli na czele, zaczęli mówić coś niezrozumiałego i cofnęli się.

— Wejdźcie, panowie — rzekł Laporte — ponieważ jej królewska mość pozwala.

Wtedy najśmielszy z tłumu postąpił naprzód i przeszedł przez próg stąpając cicho na palcach. Inni poszli za jego przykładem i wkrótce cały pokój napelnił się w milczeniu, jakby ci wszyscy ludzie byli najlepiej ułożonymi dworakami. Za drzwiami widać było głowy tych, którzy nie mogąc wejść wspinali się na palce, aby widzieć lepiej.

D'Artagnan widział wszystko spoza firanki i w człowieku, który wszedł pierwszy, poznał Plancheta.

— Panie — rzekła do niego królowa domyślając się, że on jest przywódcą tej gromady — chciałeś pan widzieć króla i ja sama chciałam ci go pokazać. Zbliź się, zobacz go i osądź, czy można mniemać, że chcemy oddalić się skrycie.

— Och, nie, bez wątpienia — odrzekł Planchet nieco zmieszany zaszczytem, jaki go spotkał.

— Chciej więc pan powiedzieć moim dobrym, wiernym paryżanom — mówiła dalej królowa z uśmiechem, którego znaczenie zrozumiał dobrze d'Artagnan — że widziałeś króla śpiącego w swoim łóżku i królowę zabierającą się do spoczynku.

— Powiem to, najjaśniejsza pani, i ci, którzy tu są ze mną, powtórzą to całemu miastu; ale...

— Ale co? — zapytała królowa.

— Wasza królewska mość przebaczy mi, ale czy to istotnie najjaśniejszy pan spoczywa w tym łóżku? Królowa zadrżała.

— Jeśli tu jest między panami — rzekła — ktoś znający króla, niech się zbliży i rozpozna, czy to jest król w istocie.

Człowiek, okryty płaszczem, którym starannie twarz osłaniał, zbliżył się do łóżka i pochyliwszy nad nim, przypatrzył się królowi.

D'Artagnan przez chwilę sądził, że ten człowiek ma jakieś złe zamiary, i pochwycił za rękęję szpady, ale w chwili gdy nieznajomy nachylił się, poruszenie to odkryło część jego twarzy i d'Artagnan poznał w nim koadiutora.

— Tak, to jest najjaśniejszy pan — rzekł odchodząc koadiutor — niech Bóg błogosławi jego królewską mość.

Wszyscy powtórzyli to pobożne życzenie.

— Teraz — rzekł Planchet — moi przyjaciele, podziękujmy jej królewskiej mości i oddalmy się.

Wszyscy ukłonili się z uszanowaniem i zwolna, jak najciszej oddalili się. Planchet, który wszedł pierwszy, teraz wychodził ostatni.

Królowa zatrzymała go.

— Jak się pan nazywasz? — zapytała.

Planchet odwrócił się, niezmiernie zdziwiony tym zapytaniem.

— Pańskie dzisiejsze odwiedziny są mi tak miłe, jakbym przyjmowała jakiego księcia, i pragnę wiedzieć pańskie nazwisko.

„Tak — pomyślał Planchet — żeby obejść się ze mną jak z jakim księciem”.

— Najjaśniejsza pani — odpowiedział z uszanowaniem Planchet — nazywam się Dulaurier, do usług waszej królewskiej mości.

— Dziękuję, panie Dulaurier — odpowiedziała królowa. — a jego stan?

— Kupiec sukna przy ulicy Bourdonnais.

— To dobrze, bądź pan zdrow, panie Dulaurier, spodziewam się, że wkrótce będę mogła okazać mu moją wdzięczność.

„No, no — pomyślał sobie d'Artagnan — pan Planchet ma rozum i widać, że uczył się w dobrej szkole”.

Po wyjściu Plancheta przez chwilę zupełne milczenie panowało w sypialni króla. Królowa stała jeszcze przy drzwiach, d'Artagnan wysunął się do połowy ze swojej kryjówki, król podparł się na łokciu, gotów położyć się znowu za najmniejszym szelestem, który by zapowiadał powrót oddalających się albo nowe odwiedziny tego samego rodzaju, ale odgłos kroków oddalał się coraz bardziej, na koniec ucichł zupełnie.

Królowa odetchnęła, d'Artagnan otarł czoło, a król zeskoczył z łóżka mówiąc:

— Jedźmy.

W tej chwili wszedł Laporte.

— I cóż? — zapytała królowa.

— Najjaśniejsza pani — odrzekł kamerdyner — odprowadziłem ich aż do kraty; powiedzieli oni swoim wszystkim kolegom, że widzieli jego królewską mość i że najjaśniejsza pani raczyłaś z nimi rozmawiać, i wszyscy oddalili się zadowoleni i dumni z tego zaszczytu.

— Och! niegodni! — rzekła cicho królowa — drogo zapłacą mi za swoje zuchwalstwo.

Potem, odwracając się do d'Artagnana, rzekła głośno: — Panie, udzieliłeś mi tego wieczora najlepszych rad, jakie otrzymałam w całym moim życiu. Nie odmawiaj mi ich i nadal. Cóż teraz czynić nam trzeba?

— Panie Laporte — rzekł d'Artagnan — dokończ ubrania jego królewskiej mości.

— A zatem możemy już jechać? — zapytała królowa.

— Skoro tylko wasza królewska mość zechcesz, raczysz tylko zejść bocznymi schodkami, ja będę czekał przy drzwiach.

— Będę tam za chwilę.

D'Artagnan zszedł, karetą stała przy bramie, muszkieter siedział na koźle.

D'Artagnan wziął tłumoczek, który Bernonin zostawił przy powozie. Znajdował się w nim płaszcz i kapelusz woźnicy koadiutora.

Nasz Gaskończyk ubrał się w to wszystko.

Muszkieter zsiadł z kozła.

— Panie de Bellière, odwołasz w moim imieniu swego kolegę, który pilnuje woźnicy, wsiadziecie na koń, udacie się na ulicę Tiquetonne do mojego mieszkania, weźmiecie tam mojego konia i konia pana du Vallon, potem udacie się do Cour-la-Reine. Jeśliby tam już nas nie było, pojedziecie aż do Saint-Germain. To wszystko należy do służby królewskiej.

Muszkieter ukłonił się po wojskowemu i poszedł spełnić otrzymane rozkazy.

D'Artagnan zajął miejsce na koźle, u pasa miał dwa pistolety, muszkiet przy nogach, u boku obnażoną szpadę.

Królowa ukazała się, z nią szedł król i książę d'Anjou, jego brat.

— Karetą koadiutora! — zawołała królowa cofając się.

— Tak, najjaśniejsza pani, ale ja powożę — odrzekł d'Artagnan.

Królowa wykrzyknęła z podziwu i wsiadła do karety, król i jego brat usiedli przy niej.

— Pójdź, Laporte — rzekła królowa.

— Jak to, pani! w jednym powozie z najjaśniejszym państwem?

— Nie idzie w tej chwili o etykietę dworską, ale o dobro króla. Wsiądź.

Laporte był posłuszny.

— Panie Laporte, spuść zasłony — rzekł d'Artagnan.

— Ale, panie, czy to nie obudzi podejrzeń? — zapytała królowa. . .

— Niech wasza królewska mość będzie spokojna — odrzekł Gaskończyk — mam gotową odpowiedź na wszelki wypadek.

Spuszczono zasłony, powóz ruszył galopem przez ulicę Richelieu. Gdy dojeżdżali do bramy, dowódca posterunku zbliżył się na czele kilkunastu żołnierzy, trzymając latarnię w ręku.

D'Artagnan skinął na niego, aby przystąpił bliżej.

— Czy znasz ten powóz?

— Nie — odpowiedział sierżant.

— Spójrz na herb.

Sierżant zbliżył latarnię do drzwiczek i rzekł:

— To karetka pana de Gondy.

— Cicho, w tej chwili znajduje się w niej z panią de Guémenèe.

Sierżant zaczął się śmiać i zawołał:

— Otwórzcie bramę, znam jadących.

Potem, zbliżając się do spuszczonej zasłony, dodał z cicha: — Przyjemnej zabawy życzę waszej wielbności.

Otworzono rogiatkę, d'Artagnan poczęstował biczem konie, które popędziły galopem.

W pięć minut potem dogonili karetkę kardynała.

— Mousqueton! — zawołał d'Artagnan — podnieś zasłony powozu jej królewskiej mości.

— To ty! — zawołał Portos.

— Na koźle! — krzyknął Mazarini.

— I to jeszcze na koźle karety koadiutora — dodała królowa.

— Corpo de Dio! panie d'Artagnan — rzekł Mazarini — wart jesteś tyle złota, ile sam ważysz.

VI

WIADOMOŚCI O ATOSIE I ARAMISIE

Dzień już świtał, kiedy d'Artagnan udał się w kąć stajni, gdzie spostrzegł trochę słomy. Noga jego natrafiła na jakiś okrągły przedmiot, który wydał okrzyk i zerwał się na kolana przecierając oczy.

Był to Mousqueton.

— Mousqueton! — zawołał d'Artagnan — dalej w drogę! Mousqueton, który poznał głos przyjaciela swego pana,

zerwał się pośpiesznie.

W tej chwili nadszedł Portos. — No i cóż, mamy więc: ty twój stopień, a ja baronię?

— Jedziemy po patenty — odrzekł d'Artagnan — a po naszym powrocie Mazarini podpisze je.

— A dokąd jedziemy? — zapytał Portos.

— Naprzód do Paryża! — odrzekł d'Artagnan — mam tam niektóre sprawy do załatwienia.

— Jedźmy do Paryża — rzekł Portos.

Przybywając do bram Paryża, zdziwili się z powodu groźnego obrazu, jaki przedstawiała stolica. Około rozbitej karety tłumy ludu wydawały złowieszcze okrzyki, a trzy osoby, które chciały wyjechać z Paryża tym pojazdem, to jest starzec i dwie kobiety, zostały oddane pod straż.

Kiedy d'Artagnan i Portos zażądali, aby ich wpuszczono do miasta, otoczono ich z oznakami największej przychylności. Sądząc, że są zbiegami ze stronnictwa rojalistów, chciano ich dla siebie zjednać.

— Co robi król? — zapytano.

— Śpi.

— A królowa?

— Marzy.

— A niegodziwy Włoch?

— Czuwa. Ale możecie nie obawiać się jego czuwania, jesteście silniejsi, dlatego nie wysilajcie się na prześladowanie

starców i kobiet, pozwólcie im udać się, gdzie chcą, a weźcie się do spraw ważniejszych.

Paryżanie przyjęli uprzejmie tę uwagę i puścili zatrzymanych podróżnych, a dwie damy i starzec pełnym wyrazu spojrzeniem podziękowali d'Artagnanowi za tak skuteczne Wstawiennictwo; .

— Teraz, naprzód! — zawołał d'Artagnan.

I udali się dalej, ciągle napotykając rozmaite gromady pytające się i odpowiadając na różne zapytania.

Na placu Palais-Royal spostrzegł d'Artagnan sierżanta, który uczył maszerować i musztrował kilkuset mieszczan, był to Planchet, który wykorzystał swe wspomnienia służby w pułku piemonckim na korzyść milicji obywatelskiej w Paryżu.

Przechodząc koło d'Artagnana Planchet poznał go i zatrzymał się, mówiąc:

— Dzień dobry, panie d'Artagnan.

— Dzień dobry, panie Dulaurier — odrzekł Gaskończyk. Planchet stanął jak wryty, spoglądając na d'Artagnana osłupiałym wzrokiem; pierwszy szereg, widząc zatrzymującego się dowódcę, stanął także, a za nim wszystkie następne.

— Ci mieszczanie są nadzwyczaj śmieszni — rzekł d'Artagnan do Portosa.

I pojechali dalej.

W pięć minut potem zsiadli z koni przed oberżą przy ulicy Tiquetonne.

Piękna Magdalena wybiegła na spotkanie d'Artagnana.

— Kochana pani Torquaine — rzekł d'Artagnan — jeżeli masz pieniądze, zakop je jak najprędzej; jeżeli masz kosztowności, ukryj je starannie; jeśli masz dłużników, ściągnij od nich twoje należności; jeżeli masz wierzycieli, nie płać im.

— Dlaczego tak mówisz? — zapytała Magdalena.

— Ponieważ Paryż zostanie zamieniony w popiół jak niegdyś Babilon, jeśli o tym słyszałaś kiedy.

— I pan opuszczasz mię w takiej chwili?

— I to natychmiast.

— I dokądże pan się udajesz?

— Uczyniłabyś mi wielką przysługę, gdybyś mi to powiedziała.

— Ach, mój Boże! mój Boże!

— Czy nie ma jakiego listu do mnie? — przerwał d'Artagnan, dając znak ręką, że nie czas płakać.

— Właśnie przed chwilą przyniesiono jeden — rzekła łkając jeszcze Magdalena i podała list d'Artagnanowi.

— Od Atosa! — krzyknął d'Artagnan poznając piękne pismo swego przyjaciela.

— Ach! — zawołał Portos — zobaczymy, co też pisze. D'Artagnan otworzył list i czytał:

„Kochany d'Artagnan, kochany du Vallon, moi dobrzy przyjaciele, może po raz ostatni piszę do was. Aramis i ja jesteśmy bardzo nieszczęśliwi, ale Bóg, odwaga i wspomnienie naszej przyjaźni podtrzymują nas. Pamiętaj o Raulu, polecam ci papiery, które znajdują się w Blois, a za trzy miesiące, jeśli nie otrzymasz wiadomości ode mnie, weź je i postąp podług nich. Uściskaj Raula z całego serca.

Atos”

— Och, uściskam go bez wątpienia, tym bardziej że nam wypada po drodze wstąpić do niego i jeśliby miał utracić tego kochanego Atosa, zostałbym jego ojcem.

— A ja — rzekł Portos — uczynię go moim jedynym spadkobiercą,

— Czekaj, jest tu coś jeszcze:

„Jeżeli gdzie zdarzy wam się spotkać młodego człowieka nazwiskiem Mordaunt, strzeżcie się go. Nie mogę więcej mówić o tym w liście”.

— Mordaunt! — zawołał z zadziwieniem d'Artagnan.

— Mordaunt! — powtórzył Portos — dobrze, będę pamiętał. Ale patrz, jest jakiś dopisek ręką Aramisa.

— Ach, prawda! — zawołał d'Artagnan i przeczytał. „Zatailiśmy przed wami miejsce naszego pobytu, kochani

przyjaciele, znając wasze przywiązanie do nas, więcej niż braterskie, i wiedząc, że przybieglibyście, aby umrzeć razem z nami”.

— Do miliona szatanów! — wykrzyknął Portos z takim wybuchem gniewu, że Mousqueton odskoczył na drugi koniec pokoju — a więc oni narażają się na śmierć!

D'Artagnan czytał dalej: .

„Atos przekazuje wam Raula, a ja przekazuję wam zemstę. Jeśli szczęśliwym wypadkiem spotkacie gdzie niejakiego Mordaunta, niech Portos wprowadzi go w jakiś ciasny kącik i skręci mu kark. Nie śmiem listownie obszerniej objaśnić was w tym przedmiocie.

Aramis”

— Jeżeli tylko chodzi o skręcenie karku — odezwał się Portos — to łatwo da się zrobić.

— Przeciwnie — odrzekł d'Artagnan — to jest niepodobieństwo.

— A to dlaczego?

— Bo to właśnie do tego pana Mordaunta jedziemy do Boulogne i z nim mamy się udać do Anglii.

— No, a gdybyśmy zamiast udać się z nim do Anglii, pojechali złączyć się z naszymi przyjaciółmi? — rzekł Portos z gestem, który mógłby przestraszyć całą armię.

— Myślałem o tym — odpowiedział d'Artagnan — ale z listu tego nie możemy domyślić się, gdzie oni się znajdują.

— Prawda! — zawołał Portos.

I zaczął szerokimi krokami przechadzać się po pokoju, jak obłąkany, machając rękami i co chwila dobywając szpadę do połowy.

Na twarzy d'Artagnana malował się najgłębszy smutek.

— To nieszczęście! — zawołał na koniec — Atos krzywdę nam czyni, nie pozwalając nam umrzeć z nimi razem!

Mousqueton widząc tę scenę rozpaczy płakał rzewnie w kącie pokoju.

— Ha! — zaczął znowu d'Artagnan — to wszystko nie doprowadzi nas do niczego. Jedźmy, uściskajmy Raula, a może on więcej będzie wiedział od nas o Atosie.

— Brawo! to dobra myśl! — zawołał Portos. — Na honor, mój kochany d'Artagnan, nie wiem, skąd ty bierzesz tak doskonałe pomysły. Pędźmy uściskać Raula.

„Biada temu, kto by teraz wszedł w drogę mojemu panu, nie dałbym szklanki wina za jego skórę” — rzekł do siebie Mousqueton.

Wsiedli na koń i pojechali. Przybywszy na ulicę Saint-Denis, nasi przyjaciele spostrzegli wielkie zbiegowisko ludu. Powodem tego było przybycie księcia de Beaufort, którego koadiutor przedstawił zdumionym i radosnym paryżanom. Mając księcia de Beaufort, uważali się za niezwyciężonych.

Dwaj przyjaciele udali się boczną uliczką, aby nie spotkać księcia, i przyjechali do rogatki Saint-Denis.

— Czy to prawda — zapytali ich trzymający straż, że księżę de Beaufort przybył do Paryża?

— Nic prawdziwszego — odpowiedział d'Artagnan — a na dowód tego powiemy wam, że właśnie wysłani jesteśmy przez niego do pana Vendôme, jego ojca, aby jak najrychlej przybył tu także.

— Niech żyje pan de Beaufort! — wykrzyknęli żołnierze.

I usunęli się z uszanowaniem, aby przepuścić posłańców wielkiego wojownika.

Wyjechawszy za rogatki, zaczęli pędzić, jak gdyby nie czuli śladu znużenia, konie ich leciały prawie, a oni rozmawiali o swoich przyjaciółach.

Obóz armii znajdował się między Saint-Omer i Lambe. Nasi przyjaciele, przybywszy tam, zawiadomili oficerów o wyjeździe króla i królowej, o czym już dochodziły tam głuche pogłoski. Znaleźli Raula przy namiocie, spoczywającego na wiązce siana. Młodzieniec miał oczy czerwone i zdawał się być smutny. Marszałek de Gramont i hrabia de Guiche powrócili do Paryża i biedny młodzieniec pozostał zupełnie sam.

Raul podniósłszy oczy spostrzegł dwóch jeźdźców, którzy mu się przypatrywali. Poznał ich i poskoczył ku nim z otwartymi ramionami.

— Ach, to wy, kochani przyjaciele! — zawołał — przyjechaliście do mnie, może przywozicie mi jaką wiadomość od mojego opiekuna.

— Czy nie miałeś żadnego listu od niego? — zapytał d'Artagnan.

— Niestety! nic, panie, i nie wiem doprawdy, co to się stać mogło. To mię tak niepokoi, że nie mogę powstrzymać łez.

I istotnie dwie duże łzy spłynęły po opalonych policzkach młodzieńca.

Portos odwrócił się, aby nie pokazać na swojej poczciwej twarzy tego, co działo się w jego sercu.

— Ech, do licha! — zawołał wzruszony d'Artagnan — nie smuć się, mój młody przyjacielu. Chociaż nie otrzymałeś listu od hrabiego, za to myśmy go dostali.

— Ach, czy naprawdę?! — zawołał Raul.

— I to jeszcze bardzo pocieszający — dodał d'Artagnan widząc radość malującą się w oczach Raula.

— I masz go pan przy sobie? — zawołał Raul.

— Tak, to jest miałem go — odpowiedział d'Artagnan udając, że go szuka po kieszeniach — czekaj, tu musi być. Píše mi, że niedługo przyjedzie do Paryża, wszak prawda, Portosie?

Mimo, że był rodowitym Gaskończykiem, nie chciał d'Artagnan na siebie samego brać ciężaru tego kłamstwa.

— A tak — odrzekł Portos pokaszując

— Ach, pozwól mi pan zobaczyć ten list! — zawołał młodzieniec.

— Zaraz, och, czytałem go przed chwilą. Czyżbym go zgubił?... masz tobie, kieszeń dziurawa.

— Tak, panie Raulu — odezwał się Mousqueton — list był bardzo pocieszający; panowie przeczytali go głośno i ja aż się rozplakałem z radości.

— Ale przynajmniej — rzekł nieco uspokojony Raul — wiecie panowie, gdzie się pan hrabia znajduje.

— Naturalnie, że wiem — odrzekł d'Artagnan — ale to jest tajemnica.

— I dla mnie nawet?

— Och nie, bez wątpienia; tobie, mój młody przyjacielu, mogę to powiedzieć.

— Gdzież więc znajduje się w tej chwili pan hrabia? — zapytał Raul swoim słodkim głosem.

— W Konstantynopolu.

— U Turków! — krzyknął Raul przestraszony. — Mój Boże, czegoż się dowiaduję!

— To cię przestrasza! do pioruna! czymże są Turcy dla takich mężów, jak hrabia de la Fère i kawaler d'Herblay?

— Ach, pan d'Herblay jest z nim razem, to mię uspokaja nieco.

— Ach, cóż za dowcip ma ten d'Artagnan — pomyślał sobie Portos zdziwiony wybiegiem swego przyjaciela.

— Teraz — mówił dalej d'Artagnan chcąc jak najprędzej zmienić przedmiot rozmowy — masz tu oto pięćdziesiąt pistolów, które pan hrabia przysłał mi dla ciebie; spodziewam się, że nie masz już pieniędzy i że przyszły w porę.

— Mam jeszcze dwadzieścia pistolów.

— No to z tymi będziesz miał siedemdziesiąt.

— A jeśli potrzebujesz więcej... — zawołał Portos sięgając do kieszeni.

— Dziękuję, panie, serdecznie dziękuję — odpowiedział Raul rumieniąc się.

W tej chwili ukazał się Olivain.

— Ale — rzekł d'Artagnan tak głośno, żeby służący mógł go usłyszeć — czy jesteś kontent z Olivaina?

— Tak, niezupełnie.

Olivain udał, że nic nie słyszał, i cofnął się do namiotu.

— Cóż masz mu do zarzucenia?

— Trochę żarłok.

— Och, panie — odezwał się Olivain wychodząc z namiotu.

— Trochę łakomy na wino — mówił dalej Raul.

— Och, panie, och!

— A nade wszystko tchórz.

— Och, panie, czyliż zasłużyłem na takie zarzuty!...

— Do pioruna! — zawołał d'Artagnan — dowiedz się, mości Olivain, że ludzie tacy jak my nie zwykli trzymać służących tchórzów. Okradaj twego pana, zjadaj jego konfitury i pij jego wino, ale do pioruna! nie bądź tchórzem, bo ci uszy poobcinam. Patrz na Mousquetona — poproś go, niech ci pokaże chlubne blizny, jakie otrzymał, i patrz, jak jego wrodzone męstwo maluje się na jego szlachetnej twarzy.

Mousqueton, gdyby śmiał, byłby uściskał d'Artagnana; tymczasem przynajmniej przyrzekał sam sobie, że pozwoli się zabić za niego, jeśli kiedykolwiek znajdzie do tego sposobność.

— Oddał tego głupca — rzekł znowu d'Artagnan do Raula — bo jest tchórzem, może ci kiedy wstyd sprawić.

— Pan mówi, że jestem tchórzem, dlatego że niedawno chciałem się bić z jednym kadetem z pułku księcia de Gramont i ja nie chciałem mu towarzyszyć.

— Panie Olivain — rzekł surowo d'Artagnan — służący winien ślepo być posłuszny swemu panu.

Potem dodał odsunawszy się z nim na bok:

— Dobrześ zrobił, jeśli twój pan chciał popełnić nieroztropność, i oto masz za to pistola; ale jeśli by kto obraził go, a ty nie dałbyś się pociąć na sztuki w jego obronie, ja ci sam utnę język, pamiętaj.

Olivain uklonił się i schował pistola do kieszeni.

— A teraz kochany Raulu — mówił d'Artagnan — ja i pan du Vallon jedziemy jako ambasadorowie. Nie mogę ci powiedzieć, w jakim celu, bo sam nic o tym nie wiem, ale jeśli byś czego potrzebował, napisz do pani Magdaleny Tourquaine,

w hotelu „Pod Sarną” przy ulicy Tiquetonne, równie śmiało jak do bankiera.

Potem uściskawszy swego obecnego pupila, oddał go w objęcia Portosa, który go uniósł nad ziemię i przez kilka chwil trzymał w powietrzu przy swym szlachetnym sercu.

— Dalej w drogę! — zawołał d'Artagnan.

I puścili się ku Boulogne, gdzie wieczorem zatrzymali konie, zlane potem i zbielone pianą.

O dziesięć kroków od miejsca, gdzie zatrzymali się przed wjazdem do miasta, stał młody człowiek, który zdawał się czekać na kogoś i który od chwili gdy ich spostrzegł, nie odwracał od nich oczu.

D'Artagnan zauważył to i przybliżywszy się do niego, rzekł:

— Mój przyjacielu, nie lubię, żeby mię mierzono oczyma, jak drzewo wystawione na sprzedaż.

Młody człowiek, zamiast odpowiedzieć na te słowa d'Artagnana, zapytał go uprzejmie:

— Za pozwoleniem, czy panowie nie przyjechaliście z Paryża?

D'Artagnan pomyślał, że to jest jakiś parafianin, ciekawy nowin paryskich, więc odpowiedział mu łagodnie:

— Tak, panie, z Paryża.

— Czy nie szuka pan tu kogoś?

— Tak.

— Czy nie ma pan polecenia od jego eminencji kardynała Mazarini?

— Tak, panie, istotnie...

— W takim razie ja jestem tym, którego panowie szukacie: nazywam się Mordaunt.

— Ach — rzekł z cicha d'Artagnan — ten, którego Atos każe mi się wystrzegać.

— Ach — mruknął Portos — to ten, którego Aramis polecił mi udusić.

Obaj bacznie patrzyli na młodzieńca, który nie rozumiał wyrazu ich twarzy i rzekł:

— Jeśli panowie wątpicie o prawdziwości słów moich, mogę dać im natychmiast dowody.

— Nie, panie — przerwał mu d'Artagnan — ufamy słowom jego i oddajemy się na jego rozkazy.

— W takim razie, panowie — rzekł Mordaunt — odjeżdżamy niezwłocznie, bo dziś jest ostatni dzień, w którym oczekiwałem odpowiedzi jego eminencji. Statek mój stoi w pogotowiu i gdybyście panowie nie przybyli, byłbym odpłynął przed nocą, bo generał Oliver Cromwell oczekuje zapewne bardzo niecierpliwie mojego powrotu.

— Aha! — zawołał d'Artagnan — więc to do generała Olivera Cromwella jesteście wysłani.

— Czyż nie macie panowie listu do niego? — zapytał młodzieniec.

— Mam list, którego wierzchniej koperty miałem nie otwierać przed przybyciem do Londynu, ale ponieważ od pana dowiaduję się, do kogo jest adresowany, nie potrzebuję zatem czekać tak długo.

D'Artagnan rozdarł zewnętrzną kopertę i przeczytał adres: „Do pana Olivera Cromwella, generała armii narodu angielskiego”.

— Hm! — mruknął d'Artagnan — szczególne posłannictwo.

— Panowie — zawołał młody człowiek — jedźmy!

— Co, bez wieczerzy? — zapytał Portos — przecież pan Cromwell może cokolwiek zaczekać.

— Ale ja?

— Jak to pan?

— Mnie się spieszy.

— Och, jeśli tylko o to idzie, to już do mnie nie należy — odrzekł Portos — i zjem sobie wieczerzę za pozwoleniem pańskim lub bez jego pozwolenia.

Wzrok młodzieńca zaognił się, gotowy rzucać pioruny, ale po chwili zgasł.

— Panie — odezwał się d'Artagnan — musisz być wyrozumiały dla zgłodniałych podróżnych.. Zresztą, wieczerza nasza niewiele czasu zabierze; popędzimy do oberży, pan pójdiesz do portu i my zjadłszy co naprędce, dopędzimy pana u celu.

— Jak panowie wolą — odrzekł Mordaunt — bylebyśmy pojechali jak najprędzej.

— Jak się zowie statek? — zapytał d'Artagnan.

— „Standard”.

— Dobrze, za pół godziny będziemy na pokładzie!

I spiąwszy konie ostrogami, puścili się ku oberży „Pod herbem Anglii”.

— Co myślisz o tym młodym człowieku? — zapytał d'Artagnan galopując.

— Wcale mi się nie podoba — odrzekł Portos — miałem wielką chęć iść za radą Aramisa.

— Lepiej tego nie czyn, mój kochany Portosie, jest to posłaniec generała Cromwella. Jakie znaleźlibyśmy tam przyjęcie, gdybyśmy zaraz na wstępie pochwalili się panu Cromwellowi, że skrzyliśmy kark jego powiernikowi.

— Jednakże zawsze uważałem, że rady Aramisa były bardzo trafne.

— Słuchaj — rzekł d'Artagnan — jak wypełnimy nasze poselstwo...

— To co?

— Jeśli odprowadzi nas do Francji, wtedy...

— Wtedy?

— Wtedy zobaczymy.

Tak rozmawiając dwaj przyjaciele przybyli do oberży i zjadłszy wieczerzę, natychmiast pospieszyli do portu.

Znaleźli tam bryg gotowy do podróży i na pokładzie poznali Mordaunta, który przechadzał się niecierpliwie.

— To rzecz dziwna — mówił d'Artagnan płynąc małą barką ku brygowi — to rzecz szczególna, jak ten młody człowiek przypomina mi kogoś dobrze znajomego, ale nie mogę sobie przypomnieć kogo.

Przybyli na statek i w chwilę potem byli już na jego pokładzie.

Ale przeprowadzenie koni na pokład trwało daleko dłużej i bryg dopiero o ósmej wieczór mógł podnieść kotwicę.

Mordaunt drżał z niecierpliwości i kazał rozwinąć wszystkie żagle.

Portos nie zatrzymawszy się na pokładzie, wszedł do kajuty i położył się spać.

D'Artagnan przewyciężając wstręt, jaki czuł ku Mordauntowi, przechadzał się z nim po pokładzie, usiłując wciągnąć go do rozmowy.

VII

SZKOT DLA GROSZA MARNEGO SPRZEDAŁ KRÓLA SWEGO

A teraz nasi czytelnicy pozwolą „Standardowi” płynąć nie do Londynu, dokąd d'Artagnan i Portos mieli się udać, ale do Durham, dokąd Mordaunt kazał płynąć wskutek poleceń otrzymanych z Anglii w czasie swego pobytu w Boulogne; my zaś udamy się do obozu królewskiego pod Newcastle niedaleko rzeki Tyne.

Pomiędzy dwiema rzekami przy granicy szkockiej, ale na ziemi angielskiej, rozciągają się namioty małej armii. Bije północ. Dwaj ludzie, w których łatwo poznać górali szkockich po gołych nogach, krótkich spodniach, kraciastych pledach i piórach u czapek — czuwają spokojnie.

U jednego końca obozu, przy olbrzymim namiocie, w którym mnóstwo oficerów szkockich odbywało naradę pod przewodnictwem starego hrabiego de Lewen, ich dowódcy, człowiek w ubiorze szlachcica śpi na murawie, trzymając prawą ręką rękojeść szpady.

O pięćdziesiąt kroków stojący inny człowiek w takim samym ubraniu rozmawia z placówką szkocką.

Z uderzeniem godziny pierwszej śpiący szlachcic obudził się i przeciągnawszy się kilka razy, jak człowiek zbudzony z bardzo głębokiego uśpienia, spojrzął bacznie w koło, a przekonawszy się, że jest zupełnie sam, wstał i okrążywszy namiot przeszedł koło owego szlachcica rozmawiającego z żołnierzem szkockim.

Ten widocznie wypytał już o wszystko, czego pragnął się dowiedzieć, gdyż pożegnawszy żołnierza, udał się tą samą drogą, co pierwszy.

W cieniu jednego namiotu, przy drodze, tamten *czekał* na niego.

— I cóż, mój przyjacielu — rzekł nadchodzący najczystszą francuszczyzną.

— Nie ma czasu do stracenia, trzeba uprzedzić króla.

— Co się stało?

— Za długo byłoby opowiadać. Zresztą usłyszysz to zaraz, a tu każde słowo niepotrzebnie wyrzeczone mogłoby wszystko zgubić. Chodźmy do lorda de Winter.

I obaj udali się na drugi koniec obozu, ale ponieważ cała przestrzeń obozu nie zajmowała więcej nad pięćset metrów kwadratowych, przeto wkrótce przybyli do namiotu, którego szukali.

— Czy pan twój śpi, Tomy? — rzekł po angielsku jeden ze szlachciców do służącego, leżącego w chłodnym oddzielnym namiocie.

— Nie, panie hrabio — odrzekł służący — nie sędzę, żeby spał, bo po wyjściu króla przechadzał się przeszło dwie godziny, po namiocie i odgłos jego, kroków zaledwie przed kilku minutami ustał; zresztą — dodał podnosząc zasłonę przy wejściu — możecie panowie zobaczyć.

W istocie de Winter siedział i melancholijnie spoglądał na księżyc, sunący pośród chmur grubych i czarnych.

Dwaj przyjaciele zbliżyli się do lorda, który z głową opartą na dłoni spoglądał w niebo; nie słyszał on ich przybycia i pozostał w tej samej pozycji aż do chwili, w której uczuł, że położono mu rękę na ramieniu.

Wtedy obrócił się, poznał Atosa i Aramisa i podał im rękę.

— Czy zauważyliście — rzekł — jaki księżyc tego wieczora jest krwawoczerwony?

— Nie — odrzekł Atos — wydawał mi się taki jak zwykle.

— Patrz, kawalerze — rzekł de Winter.

— Przyznam ci się, milordzie — rzekł Aramis — że równie jak hrabia de la Fère nie widzę w nim nic nadzwyczajnego.

— Hrabio — rzekł znowu Atos — w naszym położeniu trzeba przypatrywać się pilniej ziemi niż księżycowi. Czy pan uważałeś bacznie na Szkotów i czy jesteś ich pewien?

— Szkotów? — zapytał de Winter — których?

— Naszych — odrzekł Atos — tych, którym król się powierzył, Szkotów hrabiego de Lewen.

— Wasze przybycie w tej godzinie do mojego namiotu zapowiada ważną jakąś sprawę.

— W istocie, milordzie, chciałbym mówić z królem.

— Z królem? ... ależ król śpi.

— Mam mu donieść o rzeczach niezmiernie ważnych.

— I nie można odłożyć tego do jutra?

— Trzeba, aby król dowiedział się o tym natychmiast i oby to nie było już za późno.

— Chodźmy więc, panowie — rzekł de Winter. Namiot lorda de Winter był tuż przy namiocie królewskim

i tylko wąskie przejście je rozdzielało. W tym przejściu stał na straży nie żołnierz, ale zaufany służący króla, aby w razie nagłej potrzeby król mógł z łatwością porozumieć się z swoim wiernym przyjacielem.

— Ci panowie idą ze mną — rzekł de Winter. Służący uklonił się i przepuścił ich.

Na obozowym łóżku, w czarnym kaftanie, w długich butach spoczywał Karol I. Atos, idący przodem, przez chwilę w milczeniu patrzył na tę twarz bladą, otoczoną długimi, czarnymi włosami i porysowaną błękitnymi żyłkami, które pod oczami zdawały się wzdęte od łez i znużenia.

Atos westchnął głęboko, to westchnienie zbudziło króla, tak sen jego był słaby.

Otworzył oczy.

— Ach — rzekł wspierając się na łokciu — to pan, hrabio de la Fère.

— Tak, najjaśniejszy panie — odrzekł Atos.

— Czuwasz pan wtenczas, kiedy ja śpię, i zapewne przynosisz mi jakąś nowinę.

— Niestety, najjaśniejszy panie, zgadłeś.

— A więc ta nowina jest zła — rzekł król uśmiechając się melancholijnie.

— Tak, najjaśniejszy panie.

— Mimo to ten, który mi ją przynosi, zawsze mi jest miły, bo jego poświęcenie nie zna ni ojczyzny, ni nieszczęścia. Jakakolwiek to wiadomość, którą masz mi powiedzieć, mów, hrabio, bez wahania.

— Najjaśniejszy panie, Cromwell przyjechał tej nocy do Newcastle.

— Aby mi wydać bitwę?

— Nie, aby waszą królewską mość kupić.

— Co pan mówisz?

— Mówię, panie, że armii szkockiej należało się czterekroć sto tysięcy funtów szterlingów.

— Zaległego żołdu, tak, wiem o tym. Od roku blisko moi dzielni i wierni Szkoci walczą tylko dla honoru.

Atos uśmiechnął się.

— Otóż, panie — rzekł — chociaż honor jest rzeczą nader piękną, znudziło im się tak walczyć i tej nocy sprzedali cię, panie, za dwakroć sto tysięcy funtów, to jest, za połowę tego, co im się należało.

— Nie podobna! — zawołał król. — Szkoci mieliby sprzedać swego króla za dwakroć sto tysięcy funtów? I któż jest tym Judaszem, który spełnił ten targ haniebny.

— Hrabia de Lewen.

— Jesteś pan tego pewny?

— Słyszałem na własne uszy. Król westchnął głęboko i spuścił głowę.

— Och, Szkoci! — zawołał — wy, których nazywałem mymi wiernymi, którym powierzyłem się, kiedy mogłem ująć do

Oksfordu; Szkoci! moi współziomkowie! moi bracia! Ale czy pan jesteś pewien?

— Udając, że śpię w tyle namiotu hrabiego de Lewen, przez otwór w płótnie wszystko widziałem i słyszałem.

— I kiedyż mają dokonać tego ohydneho handlu?

— Dziś z rana. Widzisz zatem wasza królewska mość, że nie ma czasu do stracenia.

— Cóż mi pozostaje, kiedy mię sprzedali.

— Przejść przez Tyne, dostać się do Szkocji i połączyć się z lordem Montrose, który waszej królewskiej mości nie sprzeda.

— I cóż będę czynił w Szkocji? Miałbym prowadzić wojnę partyzancką? Podobna wojna nie jest godna króla.

— Przykład Roberta Bruce usprawiedliwi ją.

— Nie, nie, zbyt już długo walczę. Jeśli mnie sprzedali, niech mnie wydadzą i niech wieczna hańba spadnie na nich.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Atos — może tak powinien postąpić król, ale nie powinien tak czynić mąż i ojciec. Przyszedłem tu w imieniu twojej małżonki i córki, najjaśniejszy panie, i w imieniu ich i tych dwojga dzieci, które wasza królewska mość masz jeszcze w Londynie, mówię: „Żyj, najjaśniejszy panie, Bóg tego żąda”.

Król powstał, ścisnął pas, przypasał szpadę i ocierając chustką czoło potem zroszone, rzekł:

— Cóż więc należy czynić?

— Najjaśniejszy panie, czy jest w całej armii choć jeden pułk, na którym mógłbyś bez wahania polegać?

— De Winter — rzekł król — czy ufasz wierności swego pułku?

— Panie, to są tylko ludzie, a ludzie stali się teraz albo bardzo słabi, albo źli. Ufam ich wierności, ale nie ręczę za nią: powierzyłbym im moje życie, ale lękam się powierzyć im życie waszej królewskiej mości.

— Ha — rzekł Atos — w braku pułku jest nas jeszcze trzech ludzi oddanych i będzie nas dość. Niech wasza królewska mość wsiądzie na konia i niech się umieści między nami, a tak przeprawimy się przez Tyne, dostaniemy się do Szkocji i będziemy ocaleni.

— Czy takie jest twoje zdanie, de Winter?

— Tak, najjaśniejszy panie.

— I twoje, panie d'Herblay?

— Tak, najjaśniejszy panie.

— Niech się więc stanie, jak chcecie; de Winter, wydaj rozkazy.

De Winter wyszedł. Pierwsze promienie dnia zaczęły przeciskać się przez otwory namiotu, kiedy powrócił.

— Wszystko już gotowe, najjaśniejszy panie.

— A my? — zapytał Atos.

— Grimaud i Blaisois trzymają wasze konie gotowe do drogi.

— Nie traćmy więc ani chwili i jedźmy!

— Jedźmy! — zawołał król.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Aramis — czy wasza królewska mość nie każe uprzedzić swoich przyjaciół?

— Moich przyjaciół! — rzekł Karol I smutnie potrząsając głową — nie mam innych prócz was trzech. Jednego przyjaciela od lat dwudziestu, który nigdy nie zapomniał o mnie, i dwóch przyjaciół od ośmiu dni, których ja znowu nie zapomnę. Chodźcie, panowie, jedźmy.

Król wyszedł z namiotu i znalazł gotowego swego ulubionego konia, na którym jeździł od lat trzech. Rumak, zobaczywszy go, zarżał z radości.

— Ach — rzekł król — byłem niesprawiedliwy, oto jeszcze, jeśli nie przyjaciel, to przynajmniej istota, która mię kocha. Ty będziesz mi wierny, wszak prawda, Arthus?

Koń, jakby rozumiał te *wyrazy*, zbliżył swoje nozdrza do twarzy króla i pokazał wesoło białe zęby.

Król pogłaskał go po szyi, z lekkością, dzięki której zaliczano go do najznakomitszych jeźdźców jego wieku, wskoczył na siodło i obracając się do de Wintera, Atosa i Aramisa rzekł:

— No, moi panowie, czekam na was.

Ale Atos stał nieporuszony, z oczyma wpatrzonymi i ręką wyciągniętą ku czarnej linii, która się rozciągała wzdłuż brzegu rzeki Tyne.

— Cóż to za czarna linia? — rzekł na koniec Atos, któremu ciemności nocne, walczące jeszcze z pierwszym brzaskiem dnia, nie pozwalały dokładnie rozróżnić przedmiotu, któremu bacznie się przypatrywał.

— To zapewne mgła wznosi się nad ziemią — odrzekł król.

— Najjaśniejszy panie, to jest gęstsze niż mgła.

— W istocie, widzę coś na kształt czerwonej bariery — rzekł de Winter.

— To nieprzyjaciel, który wychodzi z Newcastle, aby nas otoczyć! — zawołał Atos.

— Nieprzyjaciel! — powtórzył król.

— Tak, nieprzyjaciel. Już za późno! Patrz, panie, tam w stronie wschodzącego słońca, czy nie widzisz, wasza królewska mość, świecą się broje straży Cromwella.

— Ha! — zawołał król — zobaczymy, czy to prawda, że Szkoci chcą mnie zdradzić.

— Cóż wasza królewska mość chcesz czynić? — zapytał Atos.

— Rozkazać im, aby uderzyli na nieprzyjaciela, i przebić się wraz z nimi przez jego szeregi.

I spiąwszy konia ostrogami, puścił się król ku namiotowi hrabiego de Lewen.

— Spieszmy za królem! — zawołał Atos.

— Dalej! — krzyknął Aramis.

De Winter puścił się za dwoma przyjaciółmi.

Atos zatrzymał go.

— Jedź, milordzie, zbierz twój pułk, przewiduję, że wkrótce będziemy go potrzebowali.

De Winter zawrócił konia, a dwaj przyjaciele puścili się za królem. W kilka chwil król przybył do namiotu naczelnego dowódcy wojska szkockiego. Zsiadł z konia i wszedł.

Generał znajdował się w towarzystwie najstarszych dowódców.

— Król! — zawołałi wszyscy, powstając i spoglądając po sobie.

Karol stał przed nimi z nakrytą głową, zmarszczonymi brwiami i gniewnie uderzał szpicrutą po nogach.

— Tak, panowie — rzekł — król, który przychodzi, aby zażądać od was sprawozdania z tego, co się dzieje.

— Cóż się stało, najjaśniejszy panie? — zapytał hrabia de Lewen.

— To się stało, mości panowie — zawołał król uniesiony gniewem — że generał Cromwell przybył tej nocy do Newcastle, że panowie wiedzieliście o tym, a mnie nie zawiadomiliście. To się stało, że nieprzyjaciel wyrusza w tej chwili

z miasta i zamyka nam przejście przez Tyne; że wasze straże musiały to widzieć, a mnie nie zawiadomiono o tym. To się stało, że panowie przez haniebny traktat sprzedaliście mnie za dwakroć sto tysięcy funtów szterlingów i że wiem o tym targu. To się stało, mości panowie. Odpowiedzcie, uniewinnijcie się, gdyż ja was oskarżam.

— Najjaśniejszy panie — rzekł jękając się hrabia de Lewen — waszą królewską mość zapewne ktoś zwiódł jakimś fałszywym doniesieniem.

— Widziałem na własne oczy wojsko nieprzyjacielskie, rozciągające się między mną i Szkocją! — odrzekł król — i mogę właściwie powiedzieć, że nieomal na własne uszy słyszałem targi o warunki tej nikczemnej sprzedaży.

Dowódcy Szkotów spoglądali po sobie wzajem, marszcząc brwi.

— Najjaśniejszy panie — rzekł znowu hrabia de Lewen, jesteście gotowi dać waszej królewskiej mości wszelkie dowody naszej niewinności.

— Jednego tylko dowodu żądam — odpowiedział król. — Stawcie wojsko w szyk bojowy i uderzmy na nieprzyjaciela.

— To być nie może — odrzekł hrabia.

— I cóż stoi temu na przeszkodzie? — zapytał Karol I.

— Wiadomo waszej królewskiej mości, że zawieszenie broni zostało zawarte między naszym i angielskim wojskiem.

— Ale Anglicy zerwali je, występując z miasta, w którym powinni byli pozostawać, a zatem, jak powiedziałem, należy wam przebić się przez armię nieprzyjacielską do Szkocji, a jeżeli tego nie

uczynicie, wybierajcie między dwiema nazwami, jakie wywołują pogardę i obrzydzenie — albo jesteście tchórzami, albo zdrajcami.

Oczy Szkotów zaiskrzyły się i jak to zwykle zdarza się w podobnych wypadkach, przeszły momentalnie od najwyższej pokory do ostatniej bezczelności i dwaj naczelnicy, zbliżając się z obu stron do króla, rzekli:

— A więc, tak jest— przyrzekliśmy uwolnić Szkocję i Anglię od tego, który od dwudziestu pięciu lat wysysa ich krew i złoto. Przyrzekliśmy i dotrzemy przyrzeczenia. Królu Karolu Stuartcie, jesteś naszym jeńcem.

I obaj wyciągnęli ręce, aby pochwycić króla, ale nim palce ich dotknęły sukni królewskiej, obaj padli, jeden zemdlony, drugi nieżywy.

Atos ogłuszył jednego rękocięciem pistoletu, a Aramis przeszył drugiego szpadą.

Hrabia de Lewen i inni dowódcy cofnęli się przerażeni na widok tej niespodziewanej pomocy. Tymczasem Atos i Aramis wyprowadzili króla z tego namiotu zdrajców i dosiadłszy koni, które służący trzymali w pogotowiu, wszyscy trzej galopem zawrócili ku namiotowi króla.

Po drodze spotkali lorda de Winter, który pędził na czele swego pułku. Król dał znak, aby mu towarzyszył.

VIII

MŚCICIEL

Wszyscy czterej weszli do namiotu, aby się naradzić, co czynić wypada.

Król rzucił się na krzesło.

— Jestem zgubiony — zawołał.

— Nie, panie — odrzekł Atos — jesteś tylko zdradzony. Król westchnął głęboko.

— Zdradzony, zdradzony przez Szkotów, pośród których urodziłem się, których zawsze wołałem od Anglików. Och, nikczemni!

— Najjaśniejszy panie — rzekł Atos — nie jest to pora na skargi. Musisz pokazać, że jesteś królem i szlachcicem. Dalej, najjaśniejszy panie, masz wasza królewska mość trzech ludzi, którzy cię nie zdradzą, możesz być spokojny. Ach, gdyby nas było pięciu — dodał po cichu Atos — pomyślawszy o d'Artagnanie i Portosie.

— Co zrobić? — zapytał król wstając.

— Jeden tylko jest sposób. Milord de Winter ręczy za swój pułk, stanie więc na jego czele, my dwaj staniemy przy boku waszej królewskiej mości, uderzymy na nieprzyjaciół, przebijemy się i dostaniemy do Szkocji.

— Jest jeszcze jeden sposób — dodał Aramis — żeby jeden z nas wziął ubiór i konia króla. Podczas gdy nieprzyjaciół za

nim się zwróci, król bezpiecznie dostanie się za rzekę.

— Dobra myśl — rzekł Atos — i jeśli wasza królewska mość raczy uczynić jednemu z nas ten zaszczyt, będziemy mu bardzo wdzięczni.

— Co sądzisz o tej radzie, de Winter? — zapytał król.

— Myślę, że jeśli jest sposób ocalenia waszej królewskiej mości, to chyba ten, jaki pan d'Herblay podał. Błagam więc waszą królewską mość o spieszny wybór między nami, ponieważ nie mamy czasu do stracenia.

— Ale jeżeli przyjmę — śmierć, a najpewniej więzienie czeka tego, który zajmie moje miejsce.

— Nie, najjaśniejszy panie, ale zaszczyt ocalenia króla. Król patrzył na swego starego przyjaciela ze łzami w oczach,

zdjął order Św. Ducha, który nosił, aby uczcić dwóch Francuzów, którzy mu towarzyszyli, i zawiesił go na szyi de Wintera, który na kolanach przyjął tę zgubną oznakę przyjaźni i zaufania swojego monarchy.

— To słusznie — rzekł Atos — lord de Winter dawniej już służy królowi niż my.

Król usłyszał te słowa i odwrócił się ze łzami w oczach.

— Panowie — rzekł — zatrzymajcie się chwilę, mam jeszcze inne ordery, które dla was przeznaczyłem.

To mówiąc postąpił ku szafce, w której zamknięte były ordery Anglii, i wyjął dwie wstęgi orderu Podwiązki.

— Te zaszczytne oznaki nie mogą być dla nas — rzekł Atos.

— A to dlaczego, panie, hrabio? — zapytał król.

— Są to ordery prawie królewskie, a my jesteśmy tylko prostą szlachtą.

— Panowie — rzekł król — nie chcecie oddać sobie sprawiedliwości, ale to do mnie należy. Uklęknij, hrabio.

Atos ukląkł, król włożył mu wstęgę z lewej strony na prawą, wedle zwyczaju, i wznosząc szpadę, zamiast zwykłej formuły: „Czynię cię kawalerem orderu Podwiązki, bądź waleczny, wierny i prawy”, rzekł: „Jesteś waleczny, wierny, prawy, czynię cię kawalerem orderu Podwiązki”.

Potem zwracając się do Aramisa rzekł:

— Na ciebie kolej, panie d'Herblay.

I. powtórzył to samo tymi samymi słowami, podczas gdy de Winter z pomocą koniuszego zdejmował swój żelazny pancerz, aby podobniejszym być do króla. Potem król uściśkał po kolei dwóch Francuzów.

— Najjaśniejszy panie — rzekł de Winter — jesteśmy gotowi.

Król spojrzął na trzech swoich przyjaciół i rzekł:

— A więc trzeba uciekać.

— Uciekać przebojem, przez armię nieprzyjacielską — rzekł Atos — to w całym świecie nazywa się nacierać.

— Umrę więc z orężem w ręku! — zawołał król. — hrabio de la Fère, panie d'Herblay, jeśli kiedy będę znowu królem ...

— Najjaśniejszy panie — przerwał Atos — raczyłeś nas wynagrodzić wyżej, niż zasłużyć mogli dwaj zwykli wojacy. Wdzięczność zatem należy się z naszej strony. Ale nie traćmy czasu, już i tak straciliśmy go bardzo wiele.

Król podał wszystkim trzem rękę ostatni raz, zamienił swój kapelusz na kapelusz lorda de Winter i wyszedł.

Pułk de Wintera był ustawiony na płaszczyźnie wzniesionej nad obozem. Król a za nim trzej przyjaciele puścili się kłusem ku temu miejscu.

Obóz szkocki już się budził; żołnierze powychodzili z namiotów i stanęli w szeregach jak do bitwy.

— Patrzcie — rzekł król — może oni żałują swej zdrady i chcą pójść do boju.

— Jeśli tak jest — rzekł Atos — tedy pójdą za nami.

— Dobrze, a my cóż uczynimy?

— Najpierw przyjrzyjmy się armii nieprzyjacielskiej — rzekł Atos.

Oczy całej gromadki zwróciły się ku tej linii, która przy świetle zdawała się mgłą, a teraz przy blasku promieni słonecznych okazała się armią ustawioną w szyku bojowym. Powietrze było łagodne i czyste jak zwykle o tej porze dnia; można było dokładnie rozróżnić nie tylko pułki i chorągwie, ale nawet kolor mundurów.

Na wzgórzu, nieco przed frontem armii ukazał się człowiek niski, krępy i ciężki; człowiek ten miał przy sobie oficerów i w tej chwili skierował lornetkę ku grupie, w której król się znajdował.

— Czy ten człowiek zna osobiście waszą królewską mość? — zapytał Aramis.

Król uśmiechnął się i rzekł:

— Ten człowiek to jest Cromwell.

— A więc nasuń, królu, kapelusz na oczy, aby nie spostrzegł zamiany. straciliśmy dużo czasu — rzekł Atos.

— A więc — rzekł król — rozkaż i jedźmy.

— Czy wasza królewska mość raczysz dać rozkaz? — zapytał Atos.

— Nie, panie hrabio — odrzekł król — mianuję cię moim namiestnikiem.

— A zatem, słuchaj, lordzie de Winter — rzekł Atos — a wasza królewska mość raczy odstąpić parę kroków, bo to, co mamy mówić, nie należy do waszej królewskiej mości.

Król uśmiechnął się i odstąpił trzy kroki w tył.

— Oto mój plan — mówił dalej Atos:— podzielimy twój pułk, milordzie, na dwie części, ty staniesz na czele jednej, a król i my dwaj na czele drugiej; jeśli nic nam nie stanie na przeszkodzie, uderzymy razem, aby złamać linię nieprzyjacielską i dostać się do Tyne, którą przejdziemy w pław lub w bród; jeśli stawią nam jaką zawadę, ty z twoimi żołnierzami dacie się wyciąć do nogi, a my z królem pędzić będziemy dalej, bylebyśmy dostali się do brzegu. Ręczymy za wszystko.

— Na koń! — zawołał de Winter.

— Na koń! — powtórzył Atos — wszystko już przewidziane i postanowione.

— A więc, panowie, naprzód! — zawołał król — przyjmijmy dawny okrzyk francuski: „Montjoie i St. Denis!”

Wsiedli na konie, król na konia lorda de Winter, a ten na królewskiego, potem de Winter stanął na czele pierwszego szwadronu, a król mając przy boku Atosa i Aramisa — na czele drugiego szwadronu.

Cała armia szkocka patrzyła na to wszystko bez poruszenia i z milczeniem wstydu.

Kilku oficerów wystąpiło z szeregów i złamało szpady.

— Ha! — zawołał król spostrzegłszy to — to; mię pociesza, nie wszyscy przynajmniej są zdrajcami.

W tej chwili zagrzmiął głos de Wintera:

— Naprzód!

Pierwszy szwadron ruszył galopem, drugi puścił się za nim. Z drugiej strony pułk kirasjerów, równy w liczbie szczupłemu oddziałowi króla, rozwinął się na przeciwnym wzgórzu i galopem puścił się przeciw Szkotom.

Król pokazał to poruszenie Atosowi i Aramisowi. — Najjaśniejszy panie — rzekł Atos — wszystko jest przewidziane i jeśli żołnierze lorda wykonają swoją powinność, ta okoliczność ocali nas zamiast nam zaszkodzić.

W tej chwili ponad tętent i rżenie koni zagrzmiął silny głos de Wintera:

— Pałasze z pochwy!

Wszystkie pałasze zaświeciły w powietrzu jak błyskawica.

— Dalej, panowie! — zawołał król radośnie — dalej! i my doładźmy pałaszy.

Ale ten rozkaz wypełnili tylko Atos i Aramis.

— Jesteśmy zdradzeni — rzekł król z cicha.

— Czekajmy jeszcze, może oni nie poznali głosu waszej królewskiej mości i czekają na zakomenderowanie dowódcy szwadronu.

— Ach, nędzni! ach, podli! — zawołał w tej chwili de Winter, którego, ludzie, opuszczając szeregi, rozsypywali się po równinie.

Zaledwie piętnastu ludzi zostało około szlachcica angielskiego oczekując natarcia kirasjerów Cromwella. — Spieszmy umrzeć z nimi! — rzekł król. — Spieszmy umrzeć! — zawołał Atos i Aramis.

— Za mną, wierni! — zawołał de Winter.

— Galopem! — krzyknął po francusku głos z przeciwnej strony, na który zadrżeli nasi dwaj Francuzi.

De Winter na ten głos zbladł i prawie skamieniał. Był to głos jeźdźca, który na wspaniałym karym rumaku pędził na czele kirasjerów angielskich i w zapale wyprzedzał ich o dziesięć kroków.

— To on — powiedział z cicha de Winter i spuścił pałasz. — Król! król! — zawołało kilkanaście głosów zobaczywszy niebieską wstęgę orderową i konia królewskiego.

— Nie, to nie król — zawołał dowodzący oficer — mylicie się. Wszak prawda, milordzie de Winter, że nie jesteś królem, wszak prawda, że jesteś moim stryjem?

I w tej samej chwili Mordaunt (bo to on był) wymierzył pistolet ku lordowi de Winter i wystrzelił; kula przeszła piersi starego szlachcica, który rzucił się raz na siodle i padł konający na ręce Atosa, mówiąc:

— Mściciel!

— Przypomnij sobie moją matkę! — krzyknął Mordaunt przebiegając mimo, uniesiony galopem swego konia.

— Nędzny! — krzyknął Aramis i strzelił do niego prawie o dwa kroki, ale mu spaliło na panewce.

W tej chwili cały pułk kirasjerów wpadł na garstkę mężnych, którzy pozostali wierni, i dwaj Francuzi zostali otoczeni. Atos, przekonawszy się, że de Winter skonał, dobył szpady i krzyknął:

— Dalej, Aramisie, za honor Francji! I dwaj Anglicy, którzy znajdowali się najbliżej naszych przyjaciół, upadli śmiertelnie zranieni.

W tej samej chwili okropne „Hura!” zagrzmięło wokoło i pięćdziesiąt szabel błysło nad głowami dwóch Francuzów.

Nagle spośród szeregów angielskich, roztrącając je, wypada zbrojny mąż, rzuca się na Atosa, obejmuje swoim silnym ramieniem i wyrywa mu szablę mówiąc z cicha:

— Milczenie, poddaj się. Poddać się mnie nie jest dla ciebie wstydem.

Drugi olbrzym pochwycił Aramisa za obie ręce tak, że ten na próżno usiłował wydrzeć się. — Poddaj się — rzekł olbrzym.

Aramis podniósł oczy, Atos obrócił się.

— D'Art... — zaczął Atos, ale Gaskończyk zatkał mu usta ręką.

— Poddaję się — rzekł Aramis oddając szpadę Portosowi.

— Ognia! ognia! — krzyczał Mordaunt wracając do grupy, w której znajdowali się nasi czterej przyjaciele.

— Po co ognia? — zapytał pułkownik — wszyscy się poddali.

— To syn milady — rzekł Atos do d'Artagnana. — Poznałem go.

— To mnich — rzekł Portos do Aramisa.

— Wiem.

W tej chwili szeregi zaczęły otwierać się. D'Artagnan trzymał lejce konia Atosa, Portos Aramisa, starając się uprowadzić swoich jeńców z pola bitwy.

To poruszenie odkryło miejsce, gdzie leżały zwłoki lorda de Winter.

D'Artagnan, odwracając się do młodego Anglika, rzekł:

— Dobrze nam się powiodło, kochany panie Mordaunt, ja i pan du Vallon mamy dwóch jeńców, i to kawalerów orderu Podwiązki.

— Ale — zawołał Mordaunt, patrząc krwią nabiegłymi oczyma na Atosa i Aramisa — zdaje mi się, że to są Francuzi.

— Nie wiem; czy pan jesteś Francuzem? — dodał — odwracając się do Atosa.

— Tak jest — odrzekł poważnie Atos.

— A zatem jesteś pan jeńcem współziomka.

— Ale król — rzekł boleśnie Atos — gdzie król? D'Artagnan ścisnął go za rękę i rzekł:

— Król dostał się w nasze ręce.

— Tak — odezwał się Aramis — przez najnikczemniejszą zdradę.

Portos z kolei ścisnął rękę swego jeńca i rzekł z uśmiechem:

— Ha, panie, wojnę prowadzi się równie zręcznością jak siłą. Ale patrz pan.

W istocie, w tej chwili ukazał się szwadron, który miał zasłaniać ucieczkę króla, a teraz otaczał go jako jeńca. Karol Stuart szedł pośród obszernego koła pozornie spokojny.

— Oto Nabuchodonozor — zawołał jeden z kirasjerów Cromwella, stary purytanin, którego oczy zaogniły się na widok tego, który był uważany za tyrana.

— Co mówisz! Nabuchodonozor? — rzekł Mordaunt z szatańskim uśmiechem — nie, to jest król Karol I, dobry król Karol I, który obdziera swoich poddanych, aby brać po nich dziedzictwo!

Karol podniósł oczy na zuchwalca, który tak mówił. — Witam was, moi panowie — rzekł Karol I do dwóch swoich przyjaciół, spostrzegając ich w postawie jeńców obok d'Artagnana i Portosa — dzień dzisiejszy był nieszczęśliwy, ale Bogu dzięki, nie z waszej to winy. Gdzież jest mój szlachetny przyjaciel, mój wierny de Winter?

Dwaj przyjaciele odwrócili głowy w milczeniu.

Król spojrział wokoło siebie i przy nogach swoich spostrzegł trupa nieszczęśliwego de Winter.

Król nie krzyknął, nie wylał ani jednej łzy, tylko bladeńść jego stała się okropniejsza, przyklęknął na jedno kolano, podniósł głowę zabitego, pocałował go w czoło i zdjawszy z jego szyi order Św. Ducha, z religijnym uszanowaniem włożył go na swoją szyję.

— De Winter został zabity? — rzekł d'Artagnan wpatrując się w trupa.

— Tak — odrzekł Atos — i to przez swego synowca.

— No, to już pierwszy spomiędzy nas poszedł — cicho rzekł d'Artagnan — niech spoczywa w pokoju, był to mąż dzielny.

— Karolu Stuarcie — rzekł pułkownik angielski zbliżając się do króla, który tylko co przywdział oznaki swojej dostojności — czy oddajesz nam się do niewoli?

— Pułkowniku Tomlinson — rzekł Karol — król nie poddaje się nigdy, człowiek tylko uległ.

To mówiąc król dobył szpady i złamał ją.

W tej chwili koń bez jeźdźca, pokryty pianą, z zaognionym okiem nadbiegł, poznał swego pana i zatrzymał się przed nim — był to Arthus.

Król uśmiechnął się, pogłaskał go i lekko wskoczył na siodło.

— Moi panowie — rzekł — prowadźcie mnie, gdzie chcecie.

Potem, odwracając się, żywo dodał:

— Zdawało mi się, że de Winter poruszył się. Na wszystko, co jest święte, zaklinam was, panowie, jeśli żyje jeszcze, miejcie nad nim litość.

— Och, nie ma się czego obawiać — rzekł Mordaunt — kula przeszła na wskroś jego piersi.

— Nie dajcie po sobie poznać, że nas znacie — rzekł z cicha d'Artagnan do Atosa i Aramisa — bo milady nie umarła i żyje jeszcze w tym szatanie.

Oddział ruszył ku Miastu, prowadząc jeńca; ale w połowie drogi adiutant Cromwella przywiózł pułkownikowi Tomlison rozkaz poprowadzenia króla do Holdeby-Castle.

W tym samym czasie rozesłano gońców na wszystkie strony, aby donieść Anglii i całej Europie, że Karol Stuart został jeńcem generała Olivera Cromwella.

Szkoci patrzyli na to wszystko z muszkietami u nogi i pałaszami w pochwie.

IX

SZLACHCICE

Kiedy Mordaunt spieszył do namiotu. Cromwella, d'Artagnan i Portos prowadzili swoich jeńców do domu, który im był przeznaczony na mieszkanie w Newcastle.

Polecenie, które Mordaut dał sierżantowi, nie uszło uwagi Gaskończyka i dlatego dał znak spojrzeniem Atosowi i Aramisowi, żeby zachowali największą ostrożność. Atos więc i Aramis postępowali w milczeniu koło swoich zwycięzców. Mousqueton przecierał sobie oczy nie dowierzając, że widzi Atosa i Aramisa. Portos nakazał mu milczenie jednym spojrzeniem, któremu nawykł być posłuszny. Czekał wyjaśnienia rzeczy tak niesłychanej. Najbardziej dziwiło go to, że czterej przyjaciele udawali, że się wcale nie znają.

D'Artagnan i Portos przyprowadzili Atosa i Aramisa do tego samego domu, wyznaczonego im przez generała Cromwella, w którym mieszkali od wczoraj.

Okna na dole, jak się to często w małych prowincjonalnych miastach zdarza, były opatrzone kratami, co je czyniło bardzo podobnymi do okien więzienia.

Dwaj przyjaciele kazali iść swoim jeńcom naprzód, a sami zatrzymali się na progu, poleciwszy Mousquetonowi, żeby wszystkie cztery konie odprowadził do stajni.

— Czemuż my nie wchodzimy z nimi? — zapytał Portos.

— Bo poprzednio — odpowiedział d'Artagnan — trzeba się dowiedzieć, czego chce, od nas ten sierżant i żołnierze, którzy mu towarzyszą.

Sierżant ze swymi żołnierzami umieścił się w ogródku. D'Artagnan spytał ich, czego chcą i czemu tam się rozłożyli.

— Otrzymaliśmy rozkaz — rzekł sierżant — dopomagać panom w strzeżeniu tych jeńców.

Nic nie można było na to odpowiedzieć. D'Artagnan podziękował sierżantowi i dał mu koronę, żeby wypił za zdrowie generała Cromwella.

Sierżant odpowiedział, że purytanie nie piją, i schował koronę do kieszeni.

— Ach! — rzekł Portos — cóż to za okropny dzień, mój kochany d'Artagnan!

— Co ty mówisz, Portosie! Nazywasz okropnym dzień, w którym znaleźliśmy naszych przyjaciół?

— Tak, ale w jakich okolicznościach.

— Prawda, że okoliczności są przykre — rzekł d'Artagnan — ale mniejsza o to — wejdźmy do nich i starajmy się rozejrzeć w naszym położeniu.

— Bardzo jest trudne — rzekł Portos — i teraz pojmuje, dlaczego Aramis tak mi polecał, żebym udusił tego wstrętnego Mordaunta.

— Cicho bądź — rzekł d'Artagnan — nie wymawiaj tego imienia.

— Dlaczego? — rzekł Portos — wszak mówię po francusku, a oni są Anglikami.

D'Artagnan popchnął go mówiąc:

— Chodźmy.

Portos wszedł pierwszy, d'Artagnan za nim. D'Artagnan zamknął za sobą drzwi starannie, a potem uściskał po kolei swoich przyjaciół.

Atos był pogrążony w głębokim smutku; Aramis spoglądał kolejno to na Portosa, to na d'Artagnana, nic nie mówiąc, ale jego spojrzenie było tak wymowne, że d'Artagnan je zrozumiał.

— Chcesz wiedzieć, jak się to stało, że my tu jesteśmy? Ech! mój Boże, to tak łatwo zgadnąć. Mazarini polecił nam zawieźć list do generała Cromwella.

— Ale jakim sposobem jesteście przy boku Mordaunta — rzekł Atos — kiedy cię uprzedził, d'Artagnan, żebyś się go wystrzegał?

— A ja nie poleciłem Portosowi, żeby go udusił? — rzekł Aramis.

— To także Mazarini temu winien. Cromwell posłał Mordaunta do Mazariniego, a Mazarini posłał nas do Cromwella. Jest w tym wszystkim jakieś przeznaczenie.

— Tak, masz słuszość, d'Artagnan, przeznaczenie, które nas rozdziela i gubi. A więc, mój kochany Aramisie, nie mówmy już o tym i bądźmy gotowi na wszystko, co nas spotka.

— Na Boga! pomówmy raczej o tym, przecieżeśmy się ułożyli, że zawsze będziemy razem, choćbyśmy służyli przeciwnym stronom.

— O! tak, bardzo przeciwnym tym razem — rzekł uśmiechając się Atos. — Ach! d'Artagnan, patrz, do czego cię używa ten nędznik Mazarini. Czy wiesz, czego dzisiaj się dopuściłeś? dopomogłeś do ujęcia Stuarta, do jego zhańbienia, do jego śmierci.

— Och! och! — rzekł Portos — czy tak myślisz?.

— Przesadzasz Atosie — rzekł d'Artagnan — nie tak daleko jesteśmy.

— Ach! przeciwnie, mój Boże, widzą to jak na dłoni. Czy myślisz, że by go wzięli na próżno? Gdyby go chcieli szanować jak władcę, nie kupowaliby go jak niewolnika. Czy sądzisz, że Cromwell zapłacił za niego dwakroć sto tysięcy funtów szterlingów dlatego, żeby go przywrócić do jego godności? Przyjaciele, oni go zabijają, bądźcie tego pewni, a to byłoby jeszcze najmniejszą zbrodnią. Lepiej jest pozbawić życia niż honoru.

— Nie będę temu przeczył, to wszystko być może — rzekł d'Artagnan — ale co mnie to wszystko obchodzi? Przybyłem tu, bo jestem żołnierzem, bo służę moim panom, to jest tym, którzy mi płacą żołd. Przysięgłem, że będę posłuszny i jestem, ale wy, coście nie wykonali przysięgi, po coście tu przybyli i jakiej sprawie służycie?

— Sprawie nieszczęścia, króla i religii — rzekł Atos. — Przyjaciel, żona i córka raczyli nas wezwać na pomoc. Służyliśmy im podług naszej możności, a Bóg osądzi, że nam na dobrych chęciach nie zbywało, chociaż nie dopieiliśmy zamiaru. Ty możesz myśleć inaczej, d'Artagnan, i ja ci nie bronię, ale też nie mogę pochwalić.

— Och! och! — rzekł d'Artagnan — co mi zresztą, że p. Cromwell, jakiś tam Anglik, walczy przeciw Stuartowi, który jest Szkotem? Ja jestem Francuzem i to wszystko nic mi nie obchodzi. Dlaczegoż chciałbyś mnie pociągnąć do odpowiedzialności?

— Wytłumacz się — rzekł Portos.

— Ponieważ wszyscy szlachcice są braćmi, ponieważ ty jesteś szlachcicem, ponieważ księżęta jakiego bądź kraju są pierwszymi między szlachtą, ponieważ lud prosty, ślepy, niewdzięczny i głupi największą ma przyjemność poniżając to wszystko, co ma wyższość nad nim. I to ty, ty, d'Artagnan, potomek dawnej szlachty, ty, który nosisz tak piękne imię, ty tak dzielny rycerz — tyś się przyczynił do wydania Stuarta w ręce piwowarów, krawców i wozowodów! Ach, d'Artagnan, jako żołnierz może dopełniłeś powinności, ale jako szlachcic jesteś bardzo winien, powtarzam ci to.

D'Artagnan gryzł w zębach łądygę kwiatka, lecz nic nie odpowiedział.

— A ty, Portosie — mówił dalej hrabia — ty, najlepsze serce, najlepszy przyjaciel, najlepszy żołnierz, jakiego kiedykolwiek znałem, ty, którego dusza czyni godnym najwyższych dostojęństw i który prędzej czy później natrafisz na tych, którzy cię nagrodzą, ty mój kochany Portosie, ty szlachcic z obyczajów, z nawyknięcia, z odwagi, równie winien jesteś jak d'Artagnan.

Portos zarumienił się, ale bardziej z radości niż z pomieszanania, a jednakże schylając głowę, jakby się czuł poniżony, rzekł:

— Tak, tak, zdaję mi się, że masz słuszość, kochany hrabio.

Atos wstał.

— No — rzekł idąc do d'Artagnana i podając mu rękę — no, nie dąsaj się, mój kochany synu, bo to wszystko, com ci powiedział, powiedziałem jak ojciec. Daleko by mi było łatwiej, wierzyć mi, podziękować ci, żeś mi życie ocalił i nie wspominać ani słowa o tym, co myślę.

— Zapewne, zapewne, Atosie — odpowiedział d'Artagnan ściskając rękę, którą mu tamten podał — ale bo też masz szczególny sposób myślenia, który nie każdy może podzielać! Komuż by przyszło na myśl, że człowiek rozsądny opuści swój dom, Francję, swego wychowawcę, ślicznego młodzieńca — bośmy go właśnie widzieli w obozie — aby lecieć, gdzie? na pomoc Stuartowi, którego zresztą sprawa jest tak słaba, jak dom, którego fundamenty toczą robaki, a zgnilizna zniszczy do reszty.

— Nie mam prawa sprzeczać się z moim zwyczajcą. D'Artagnan, jestem twoim jeńcem i powinienes mnie za takiego tylko uważać — odpowiedział Atos.

— Ach, do pioruna! — rzekł d'Artagnan — wiecie przecież, że niedługo będziecie naszymi jeńcami.

— Pewno, że niedługo — rzekł Aramis — bo postąpią z nami. zapewne jak z tymi, którzy kiedyś byli więźni do Philiphouse.

— A jakże to z nimi postąpili? — spytał się d'Artagnan.

— Ot tak — rzekł Aramis — połowę powywieszano, a drugą rozstrzelano.

— Och, ho! — rzekł d'Artagnan — ja wam przyrzekam, że dopóki choć jedna kropla krwi pozostanie w moich żyłach, nie będziecie ani powieszani, ani rozstrzelani. Krośset szatanów! niechby tu przyszli! A potem, widzisz te drzwi, Atosie.

— Cóż więc?

— Tymi drzwiami przejdziecie, kiedy wam się podoba, bo od tej chwili wy, hrabio i Aramisie, jesteście zupełnie wolni.

— Poznając cię po tym postępku, mój poczciwy d'Artagnan — odpowiedział Atos — ale ty nie jesteś wyłącznie naszym panem; tych drzwi pilnują żołnierze, mój przyjacielu, wszak wiesz.

— I cóż? To je wysadziecie — rzekł Portos. — Iluż ich tam, z dziesięciu najwyżej.

— Nie byłoby to nic nadzwyczajnego dla nas czterech, ale dla dwóch to co innego. No, zważ tylko: tak rozdzieleni jak teraz, musimy zginąć. Macie już straszliwy przykład na drodze de Vendemois: d'Artagnan tak waleczny, ty, Portosie, tak mężny i silny, zostaliście pokonani; dziś Aramis i ja temu samemu ulegliśmy losowi — to już taka kolej. A przecież nigdy nam się to nie zdarzyło, nam czterem razem; trzeba więc umierać jak de Winter; co do mnie, oświadczam, że nie zezwalam na ucieczkę, chyba wszyscy czterej razem.

— To nie podobna — rzekł d'Artagnan — jesteśmy pod rozkazami Mazariniego.

— Wiem o tym i nie nalegam już więcej na was. Moje dowodzenie — jak widzę — nic nie poskutkowało. Musiało być złe, skoro nie odniosło zwycięstwa nad ludźmi tak zdrowo myślącymi.

— A zresztą, choćby i odniosło skutek — rzekł Aramis — najlepiej nie narażać dwóch tak szanownych przyjaciół, jakimi są d'Artagnan i Portos. Więc, moi panowie, bądźcie spokojni, potrafimy umrzeć, godni was.

D'Artagnan nic nie mówił, ale w braku łodygi, którą już pogryzł, zaczął gryźć własne palce.

— Koniecznie ułożyliście sobie — odrzekł na koniec — że was zabiją? I dlaczego? Komuż by co przyszło, z waszej śmierci! A poza tym jesteście naszymi jeńcami.

— Szalony! trzykroć szalony! — rzekł Aramis — czy nie znasz jeszcze Mordaunta? Przecież ja raz tylko na niego spojrziałem i poznałem z jego oczu, że nas czeka śmierć.

— Ja wciąż mówię, że żałuję, że go nie udusił, jakieś mi to polecił, Aramisie — odrzekł Portos:

— Ech! ja sobie kpię z Mordaunta! — zawołał d'Artagnan — do szatana! niech się tylko trochę zbliży, zgniotę go jak padalca! Nie uciekajcie więc, to byłoby na próżno, bo ja wam przysięgam: tak tu jesteście bezpieczni, jak byliście przed dwudziestu laty, ty, Atosie, przy ulicy Feron, a ty, Aramisie, w twoim mieszkaniu przy Vaugirard.

— Patrz — rzekł Atos wskazując ręką przez jedno z okien z kratami — dowiesz się za chwilę, czego się masz trzymać, bo właśnie on przybywa,

— Kto?

— Mordaunt.

W istocie, d'Artagnan ujrzał jeźdźca, który przybywał galopem.

Był to rzeczywiście Mordaunt. D'Artagnan wybiegł z pokoju. Portos chciał iść za nim.

— Zostań rzekł d'Artagnan — i nie przychodź, dopóki nie zacznę bębnić w drzwi palcami.

X

O... JEZU!...

Kiedy Mordaunt przybył, ujrzał d'Artagnana stojącego na progu, a żołnierzy leżących z bronią w rękę na trawniku ogródka.

— Hola! — zawołał — jeńcy, czy są tu jeszcze?

— Tak, panie — rzekł sierżant powstając prędko jak również jego ludzie. I wszyscy spiesznie podnieśli ręce do kapeluszy.

— Dobrze. Dać mi czterech ludzi, którzy ich odprowadzą natychmiast do mojego mieszkania.

Czterech żołnierzy stanęło w pogotowiu..

— Co takiego? — zapytał d'Artagnan z tą miną żartobliwą, którą nasi czytelnicy nieraz u niego widzieli. — Proszę mi powiedzieć, co tam nowego?

— Oto, mój panie — rzekł Mordaunt — kazałem, żeby czterech żołnierzy odprowadziło jeńców, których wzięliśmy dziś rano, do mojego mieszkania.

— A to dlaczego? — spytał się d'Artagnan. — Proszę mi darować moją ciekawość, ale pan pojmujesz, że chciałbym być oświecony w tej mierze.

— Bo jeńcy są już teraz moi — odpowiedział Mordaunt z wyniosłością — mogę więc nimi rozporządzać według swego upodobania.

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem, mój młody kawalerze — rzekł d'Artagnan — mylisz się, jak mi się zdaje. Jeńcy zwykle należą do tych, którzy ich wzięli, a nie do tych, co tylko patrzyli, jak ich wzięto. Mogłeś być pan wziąć milorda de Winter, który był twoim stryjem, jak mówią; wolałeś go zabić — to dobrze; myśmy mogli, pan du Vallon i ja, zabić tych dwóch szlachciców, ale woleliśmy ich zabrać. Każdy ma swoje upodobanie.

Usta Mordaunta pobladły.

D'Artagnan zrozumiał, że sprawa zaczyna przybierać zły obrót, zaczął więc bębnić marsza gwardii we drzwi.

Za pierwszym taktem Portos wyszedł i stanął z drugiej strony drzwi..

Nie uszło to uwagi Mordaunta.

— Panie — rzekł z gniewem, który stawał się widoczny — opór wszelki byłby bezużyteczny; tych jeńców dostałem w tej chwili od naczelnego wodza wojsk, mojego szanownego opiekuna, od pana Olivera Cromwella.

To słowo raziło d'Artagnana jak piorunem. Krew uderzyła mu do głowy, w oczach mu się zaćmiło. Pojął dziką myśl młodzieńca i ręka jego spoczęła instynktownie na rękojeści szpady.

Co do Portosa, patrzył on w oczy d'Artagnanowi śledząc jego poruszenia, żeby do nich swoje postępowanie zastosować.

To spojrzenie Portosa więcej jeszcze niepokoiło d'Artagnana i zaczął sobie wyrzucać, że wezwał siły olbrzymiej Portosa w sprawie, którą trzeba było właśnie chytrąścią załatwić.

„Gwałtowność — mówił cicho sam do siebie — zgubiłaby nas wszystkich; d'Artagnan, mój przyjacielu, naucz go, że jesteś nie tylko silniejszy, ale i przebieglejszy od niego”.

— Ach! — rzekł głośno z głębokim ukłonem — czemuż pan nie zacząłeś od tego, panie Merdaunt! Jak to! pan przychodzisz z polecenia pana Olivera Cromwella, tego najslawniejszego generała naszych czasów.

— Idę dopiero od niego — rzekł Mordaunt zsiadając z konia i oddając lejce jednemu z żołnierzy — dopiero idę od niego.

— Czemuż pan tego natychmiast nie powiedział, mój panie kochany! — mówił dalej d'Artagnan. — Cała Anglia należy do pana Cromwella, a ponieważ pan żądasz moich jeńców w jego imieniu, ustępuję panu, bierz ich pan — do ciebie należą.

Mordaunt postąpił ku drzwiom zachwycony, a Portos oniemiały patrzył na d'Artagnana z największym zdziwieniem i już miał usta otworzyć i pytać się, co to wszystko znaczy.

Ale d'Artagnan nadeptał nogę Portosa, który teraz zrozumiał, że wszystko to jego przyjaciel udawał.

Mordaunt wstąpił już na pierwszy stopień przed drzwiami, a trzymając kapelusz w rękę, chciał przejść pomiędzy dwoma przyjaciółmi, dając znak czterem żołnierzom, żeby szli za nim.

— Ach! przepraszam — rzekł d'Artagnan z najśladszym uśmiechem, kładąc rękę na ramieniu młodzieńca — jeżeli sławny generał Oliver Cromwell rozporządził naszymi jeńcami na korzyść pańską, zapewne dał panu na piśmie ten akt darowizny?

Mordaunt zatrzymał się nagle.

— Dał może panu jakiś bilecik do mnie, chociaż świstek mały, który by dowodził, że pan w jego imieniu przybywasz. Chciej mi pan oddać ten papier, żebym mógł czymkolwiek usprawiedliwić opuszczenie moich współrodaków. Inaczej, pan to pojmujesz, chociaż jestem pewien, że generał Oliver Cromwell nie chce im nic złego zrobić, to by jednak źle wyglądało.

Mordaunt cofnął się i pojmując rzecz, rzucił straszliwe spojrzenie na d'Artagnana, ale ten odpowiedział tylko najśladszym i najbardziej przyjacielskim uśmiechem.

— Kiedy ja panu mówię — rzekł Mordaunt — możesz o tym wątpić?

— Ja — zawołał d'Artagnan — ja bym miał wątpić o tym, co, pan mówisz?! A niech mnie Bóg broni, kochany panie Mordaunt. Ja pana uważam za godnego szlachcica, bo takim się być zdajesz; a poza tym, chcesz pan, żebym był szczery? — mówił dalej d'Artagnan udając szczerłość.

— Proszę mówić — rzekł Mordaunt.

— Pan du Vallon jest bogaty, ma czterdzieści tysięcy liwrow dochodu, więc mało dba o pieniądze. Me mówię za nim, lecz za sobą.

— Cóż dalej, panie?

— Więc tedy ja nie jestem bogaty. Dla Gaskończyka to nie jest wstyd; w Gaskonii nie ma bogaczów i Henryk IV świętej pamięci, który był równie wielkim królem jak jego królewska mość Filip IV, król hiszpański, nie miał nigdy grosza przy duszy.

— Dokończ — rzekł Mordaunt — Widzę, dokąd pan zmierzasz, i jeżeli to, co ja myślę, pana wstrzymuje — ta trudność da się usunąć.

— Ach! byłem tego pewien — rzekł d'Artagnan — że pan jesteś młodzieńcem, pełnym konceptu. Otóż właśnie o to idzie. Ja jestem tylko oficerem i niczym więcej. Mam. tylko to, co mi moja szpada przynosi, to jest więcej razów niż dukatów. A więc dziś rano, biorąc tych dwóch Francuzów, którzy mi się zdawali wysokiego urodzenia, mówiłem sobie: „Teraz zrobię majątek”. Rachowałem na obydwu, bo w podobnym razie pan du Vallon, który jest bogaty, ustępuje mi zawsze swoich jeńców. .

Mordaunt, zupełnie oszukany pozorną dobroduszością d'Artagnana, uśmiechnął się z miną człowieka, który doskonale pojął przyczyny przedłożone mu, i odpowiedział łagodnie:

— Będę miał natychmiast podpisany rozkaz i w dodatku dwadzieścia tysięcy pistołów, ale tymczasem pozwól mi ich pan zabrać ze sobą.

— O nie — rzekł d'Artagnan — co panu szkodzi chwilowe opóźnienie? Ja jestem człowiek porządny, niech więc wszystko idzie, jak należy.

— Jednakże — odrzekł Mordaunt — mógłbym pana zmusić, ja tu rozkazuję.

— Ach, mój Boże! — rzekł d'Artagnan ze słodkim uśmiechem. — Widzę, że chociaż mieliśmy zaszczyt, pan du Vallon i ja, podróżować w pańskim towarzystwie, pan nas jednak nie znasz. Jesteśmy szlachtą, jesteśmy Francuzami, potrafimy we dwóch zabić i pana, i jego żołnierzy; na Boga, panie Mordaunt, nie upieraj się, bo znajdziesz we mnie zawziętego przeciwnika, z upartymi jestem uparty do dzikości, a ten pan w podobnym przypadku jeszcze jest zawziętszy i dziwszy niż ja. A przecież nas tu wysłał pan kardynał Mazarini, który zastępuje króla Francji, stąd wypada, że my jesteśmy reprezentantami i króla, i kardynała, co zważywszy — jako posłom — nie wolno nam gwałtu wyrządzić, a pan Oliver Cromwell, który musi być równie wielkim politykiem, jak wielkim generałem, powinien tę rzecz dokładnie rozumieć. Załadaj więc pan od niego rozkazu na piśmie. Cóż to pana kosztuje, kochany panie Mordaunt?

— Tak, rozkaz na piśmie — rzekł Portos, który zaczynał pojmować zamiar d'Artagnana — niczego więcej od pana nie żądają.

Jakkolwiek Mordaunt wielką miał ochotę użyć gwałtu, jako człowiek rozsądny zrozumiał ważność powodów, które mu przedłożył d'Artagnan. A prócz tego, miał on dobre wyobrażenie o jego odwadze. Zastanowił się więc. A ponieważ nie przyszło mu do głowy, że czterech Francuzów łączy stosunki niczym nie zachwianej przyjaźni, wszelkie powody do obaw zniknęły. Żądanie okupu wydawało mu się prawdziwe.

Umyślił zatem wrócić nie tylko po rozkaz, ale przywieźć zarazem dwadzieścia tysięcy pistołów, które sam nazaczył jako wykup za tych dwóch jeńców.

Mordaunt dosiadł więc konia, a poleciwszy sierżantowi, żeby dobrze pilnował, zawrócił i znikł.

— Brawo! — rzekł d'Artagnan — przez kwadrans ledwie dojedzie do namiotu, na powrót drugi kwadrans. Więcej mamy czasu, niż nam potrzeba.

Potem obracając się do Portosa rzekł:

— Przyjacielu, posłuchaj mnie bacznie. A najpierw ani słowa przed naszymi przyjaciółmi o tym, co zaszło: nie ma potrzeby, żeby wiedzieli, jaką im przysługę wyrządzamy.

— Dobrze — rzekł Portos — rozumiem.

— Idź teraz do stajni, znajdziesz tam Mousquetona, osiodłacie konie, włożycie pistolety w olstra, wyprowadzicie nasze wierzchowce na tylną ulicę, żeby były gotowe w drogę. Reszta do mnie należy.

Portos nie uczynił najmniejszej uwagi, był całkowicie posłuszny ufając przyjacielowi.

— Idę — rzekł — tylko wejdę na chwilę do pokoju, gdzie są ci panowie.

— Nie, nie ma po co.

— A więc bądź tak dobry i zabierz mój worek, który położyłem na kominie.

— Bądź spokojny.

Portos udał się zwykłym sobie spokojnym krokiem do stajni i przeszedł pomiędzy żołnierzami, którzy podziwiali jego wzrost i silną budowę.

Na zakręcie ulicy spotkał Mousquetona i zabrał go z sobą.

Wtenczas d'Artagnan wszedł do pokoju.

— Mój kochany Atosie, zastanowiłem się nad twoim dowodzeniem i przekonałem się, że masz słusność: istotnie mocno teraz żałuję, że się wmixsał w tę sprawę. Słusznie powiedziałaś, że Mazarini jest nędznikiem. Postanowiłem więc uciec wraz z wami. Proszę tylko bez żadnych uwag, bądźcie gotowi. Wasze szpady stoją w kącie, nie zapomnijcie o nich, jest to narzędzie, które może się bardzo przydać w podobnym położeniu jak nasze.

Dwaj przyjaciele patrzyli na niego ze zdziwieniem. — I cóż w tym dziwnego? — rzekł d'Artagnan. — Chodźcie no tu.

Dwaj przyjaciele zbliżyli się.

— Widzicie tę ulicę — rzekł d'Artagnan — tam będą czekały konie; wyjdziecie drzwiami, zwróćcie się na lewo, dosiądziecie siodeł i koniec; nie lękajcie się niczego, tylko dobrze uważajcie na hasło. Hasłem będzie „Panie Jezu!”

— Ale ty dajesz nam słowo, że pojedziesz także, d'Artagnan? — zapytał Atos.

— Przysięgam ci na Boga.

— A zatem, rzecz skończona! — zawołał Aramis. — Na krzyk „Panie Jezu!” wychodzimy, przewracamy wszystko, na co natrafiamy po drodze, biegniemy do koni, dosiadamy ich i w drogę — czy tak?

— Cudownie.

I wyszedł tak spokojnie, jak wszedł.

Żołnierze jedni grali w karty, drudzy spali, dwaj z nich śpiewali w kącie fałszywie psalm: Super flumina Babylonis.

D'Artagnan zawołał sierżanta.

— Mój kochany panie — rzekł do niego — generał Cromwell wezwał mnie do siebie przez pana Mordaunt; chciej więc dobrze pilnować jeńców.

Sierżant dał znak, że nie rozumie po francusku.

Wtenczas d'Artagnan usiłował gestem dać do zrozumienia to, czego nie mógł wytłumaczyć słowami.

Sierżant skinął na znak, że rozumie.

D'Artagnan udał się do stajni, znalazł wszystkie pięć koni osiodłane.

— Weźcie obaj po jednym koniu luzem — rzekł do Portosa i Mousquetona — zwróćcie się na lewo, tak żeby Atos i Aramis mogli was widzieć z okna.

— Czy wtenczas przyjdą? — rzekł Portos.

— Natychmiast.

— A nie zapomniałeś mojego worka? — Nie, bądź spokojny.

— Dobrze.

I Portos, i Mousqueton, prowadząc dwa konie luzne, udali się na oznaczone stanowisko.

Wtenczas d'Artagnan, zostawszy sam, dosiadł swego konia i wjechał właśnie pomiędzy żołnierzy, naprzeciw drzwi mieszkania.

Żołnierze, których koń byłby roztratował, zerwali się z pośpiechem.

— Do mnie! do mnie! — krzyknął d'Artagnan. — Trzymajcie! Trzymajcie: mój koń dostał zawrotu głowy. Na pomoc! Czyliż pozwolicie mi się zabić? Panie Jezu!

Zaledwie d'Artagnan wymówił ten wyraz, drzwi się otworzyły, Atos i Aramis ze szpadami w ręku wybiegli.

Ale dzięki przebiegłości d'Artagnana, droga była wolna.

— Jeńcy uciekają! jeńcy uciekają! — wołał sierżant.

— Trzymaj! trzymaj! — wołał d'Artagnan nie wstrzymując wcale rozhukanego konia, który puścił się, przewracając dwóch czy trzech ludzi.

— Stój, stój — krzyknęli żołnierze chwytając za broń.

Ale jeźdźcy dosiedli już koni i nie tracąc czasu galopowali do najbliższej bramy miasteczka.

Na środku ulicy spostrzegli Grimauda i Blaisois, którzy wracali szukając swoich panów.

Jednym skinieniem Atos dał wszystko do zrozumienia Grimaudowi, ten też ruszył za nimi; ta gromadka uciekających była podobna do wiru, a d'Artagnan, który jechał na końcu, pobudzał ją jeszcze krzykiem.

Przelecieli przez bramę jak cienie, tak że straż nawet nie pomyślała o tym, żeby ich zatrzymać, i wyjechali na otwarte pole.

Tymczasem żołnierze ciągle krzyczeli:

— Stop! stop!

A sierżant, który zaczął pojmować, że go oszukano, wydierał sobie włosy z głowy.

Gdy się to działo, ujrzano właśnie jeźdźca, który przybywał w największym galopie, trzymając papier w ręku.

Był to Mordaunt jadący z rozkazem.

— Cóż jeńcy! — zawołał zeskakując z konia.

Sierżant nie miał siły odpowiedzieć, wskazał mu tylko drzwi otwarte i pokój pusty.

Mordaunt poskoczył ku drzwiom, pojął wszystko, krzyknął, jakby mu wydarto wnętrzności, i upadł zemdłony na kamienie.

XI

D'ARTAGNAN WYNAJDUJE PROJEKT

Mały oddział, nie zamieniwszy ani słowa, nie spojrzawszy poza siebie, pędził szybkim galopem, przebywając wprawdzie małą rzeczkę, której nazwy nikt nie znał, i zostawiając na lewo miasto, które Atos podawał za Durham.

Wreszcie ujrano mały lasek i po raz ostatni dano ostrogi koniom, kierując się w tę stronę.

W miarę jak zbliżali się do lasu, zbiegowie nasi spostrzegli ziemię porozrzucaną, jakby tędy przejeżdżał znaczny oddział konny.

— Teraz — rzekł Aramis — wiemy, czego się mamy trzymać; to nie ulega już wątpliwości, że tędy przejeżdżał król i jego strażnicy; trzeba się udać w przeciwną stronę. Jak sądzisz, d'Artagnanie?

— Ja jestem wprost przeciwnego zdania — odrzekł d'Artagnan.

— Jak to! chcesz jechać za eskortą?... — zawołał Portos przestraszony.

— Nie, ale odbywać podróż razem z nią. Oczy Atosa zabłysły radością.

— Odbywać drogę razem z eskortą!.. — wykrzyknął Aramis. — Pozwól d'Artagnanowi mówić, bo on ma zawsze dobre pomysły — rzekł Atos.

— Przyznacie niezawodnie — rzekł d'Artagnan — e trzeba udać się tam, gdzie nas nie będą szukać. Otóż przede wszystkim nie będą nas szukać między purytanami.

— Dobrze, przyjacielu, dobrze, wyśmienity pomysł!... — rzekł Atos — chciałem powiedzieć to samo, aleś mnie uprzedził.

Mały oddział wyruszył w dalszą drogę.

Dwie godziny jechali w milczeniu, kiedy d'Artagnan, jadący na czele, zatrzymał się przy zakręcie gościńca.

— O! o!... — rzekł — otóż i nasi ludzie.

Rzeczywiście, duży oddział jazdy ukazywał się o parę wiorst.

— Drodzy moi przyjaciele — odezwał się d'Artagnan — oddajcie swe szpady panu Mousquetonowi, który je wam zwróci w swoim czasie, i nie zapominajcie, proszę, że jesteście naszymi więźniami.

Potem pojechali kłusem, chociaż konie zaczynały się już męczyć, i wkrótce dogonili oddział.

Król jechał na czele, otoczony częścią pułku Harrisona.

D'Artagnan podjechał na przód kolumny, pozostawiwszy swych przyjaciół pod strażą Portosa, i udał się wprost do Harrisona, który przypomniał sobie, że widywał go u Cromwella i przyjął go grzecznie.

A więc stało się tak, jak d'Artagnan przewidywał: pułkownik nie miał i nie mógł mieć żadnych podejrzeń.

Zatrzymano się; na tym postoju król miał jeść obiad.

— Czy zjecie panowie z nami?... — spytał Harrison przybyłych.

— Dalibóg, pułkowniku, wdzięczni ci jesteśmy za uprzejme zaprosiny — rzekł d'Artagnan — bo gdyby nie pań, narażeni bylibyśmy na niejedzenie obiadu, jak musieliśmy się obyć bez śniadania.

— A jakże się to stało, żeście panowie nie jedli śniadania? — zapytał pułkownik ze śmiechem.

— Dla bardzo prostej przyczyny, pułkowniku — rzekł d'Artagnan — pilno mi było pana dogonić, dlatego jechałem tą samą drogą co i pan, a taki stary wyjadacz nie powinien był tego zrobić, bo powinien był wiedzieć, że tam, którędy przejdzie pański pocziwy i dzielny pułk, nie pozostanie już ani odrobinki do zjedzenia.

— No, panowie — zawołał Harrison, kiedy obiad już był skończony — dalej w drogę!... Zdążamy do Tirks!

Noc już zapadła, kiedy przyjechali do Tirks. Cztery przyjaciele zdawali się zupełnie obojętni na środki ostrożności, które przedsięwzięto ze względu na zabezpieczenie osoby króla. Udali się do osobnego domu, a że co chwila mogli bać się o swój los, umieścili się w jednym pokoju, zabezpieczając drugie wyjście na wypadek napaści. Służący mieli wyznaczone rozmaite stanowiska. Grimaud położył się na pęku słomy pod samymi drzwiami.

D'Artagnan był zamyślony i zdawało się, że chwilowo stracił zwykłą sobie gadatliwość. Nie mówił ani słowa, gwizdał ciągle, chodził to do swego łóżka, to do okna.

Nazajutrz rano najwcześniej wstał d'Artagnan. Był już w stajni, obejrzał konie i wydał rozkazy na cały dzień potrzebne, Atos i Aramis jeszcze leżeli, a Portos w najlepsze chrapał.

O ósmej ruszono w drogę w tym samym porządku co wczoraj. Tylko że d'Artagnan odstąpił swoich przyjaciół, a zbliżył się do pana Groslow, oficera pułku Harrisona, dla zawarcia z nim znajomości.

— Bardzo mi jest miło — mówił — że znajduję osobę, z którą mogę mówić moim językiem. Pan du Vallon, mój przyjaciel, jest tak smętnego charakteru, że nie można czterech wyrazów na dzień z niego wydobyć, a co do naszych dwóch jeńców, łatwo pan pojmujesz, że niewielką mają ochotę do rozmowy.

— To są zawzięci rojaliści — rzekł Groslow.

— Tym większy mają powód dąsać się na nas, żeśmy wzięli Stuarta, któremu — jak się spodziewam — wytoczą państwo piękną sprawę.

— Zapewne — rzekł Groslow — i dlatego prowadzimy go do Londynu.

— Ale go też i z oka nie spuszczać, jak mniemam.

— Ma się rozumieć! Czy pan nie widzisz, ma przecie eskortę prawdziwie królewską.

— Och! w dzień nie ma niebezpieczeństwa, żeby zemknął, ale w nocy...

— W nocy ostrożność się podwaja.

— A któż go w nocy pilnuje?

— Ośmiu ludzi ciągle jest w jego pokoju.

— Do czarta! — rzekł d'Artagnan — dobrze jest strzeżony. Ale zapewne prócz tych ośmiu ludzi są jeszcze warty zewnętrzne. Nie można być dosyć ostrożnym z takim jeńcem.

— Och! nie. Pomyśl pan tylko, coż mogą zrobić dwaj bezbronni ludzie przeciwko ośmiu dobrze uzbrojonym?

— Jak to, dwaj ludzie?

— Tak, król i jego służący.

— Więc pozwolono jego służącemu, żeby ciągle był przy nim?

— A tak. Stuart żądał, żeby mu to było dozwolone, i pułkownik Harrison przystał na jego żądanie. Ponieważ jest królem, zdaje mu się, że się nie może ubrać i rozebrać sam, bez pomocy służącego.

— W istocie, panie kapitanie — rzekł d'Artagnan zamierzając trzymać się systemu pochwalnego, który mu się tak dobrze udał — im więcej słucham pana, tym bardziej mnie zadziwia, z jaką łatwością, a nawet wytwornością pan wyraża się w języku francuskim. Prawda, żeś pan trzy lata mieszkał w Paryżu, ale ja mógłbym mieszkać w Londynie całe życie, a na pewno nie doszedłbym do takiej doskonałości. Co pan robił w Paryżu?

— Mój ojciec, który handlem się zajmował, umieścił mnie u swego korespondenta, a ten nawzajem posłał mojemu ojcu swego syna; między kupcami jest zwyczaj robienia takich zamian.

— Podobał się panu Paryż?

— O, bardzo. Ale i wam zdałoby się zrobić coś na wzór tego, co myśmy u siebie zrobili.

— Podzielam zupełnie zdanie pana i pewno byśmy to przedsięwzięli, gdybyśmy mieli choć ze dwunastu oficerów jak panowie, bez uprzedzeń, czujnych, niesprzedajnych! Ach! Prędko byśmy skończyli z Mazarinim i wytoczylibyśmy mu taką sprawę, jak panowie swojemu Stuartowi.

— Ale — rzekł oficer — ja sądziłem, że panowie jesteście w jego służbie i że on panów przysłał do generała Cromwella.

— My służymy królowi, a wiedząc, że ma wysłać kogoś do Anglii, prosiliśmy, żeby nam zlecono to poselstwo, tak wielką mieliśmy chęć poznać genialnego człowieka, który rządzi teraz trzema królestwami. Toteż, kiedy nas zapytano, czy nie życzylibyśmy dobyć szpady za honor starej Anglii, widziałeś pan, czy nam się ta propozycja podobała.

— A tak, wiem, żeście panowie nacierali przy boku pana Mordaunta.

— Jeden z nas z prawej, drugi z lewej strony. Do pioruna! To także odważny i dzielny młodzieniec. Jak prędko skończył ze swoim stryjem! Czyś pan zauważył?

— Znasz go pan? — spytał oficer.

— Och! znam, mogę nawet powiedzieć, że znam bardzo dobrze. Pan du Vallon i ja przyjechaliśmy z nim z Francji.

— Zdaje się, że to na panów tak długo czekał w Boulogne. — Cóż było robić! — rzekł d'Artagnan — byłem właśnie

w podobnym położeniu jak pan teraz: pilnowałem króla.

— O! o! — rzekł Groslow — jakiegoż to króla?

— Naszego małego króla, Ludwika czternastego.

I d'Artagnan zdjął kapelusz; Anglik uczynił toż samo przez grzeczność.

— Jakże długo pan go pilnowałeś?

— Trzy noce i na honor, będę długo pamiętał te trzy noce tak mile spędzone.

— Młody król jest więc tak przyjemny?

— Król? Król spał w najlepsze.

— A więc cóżes pan chciał powiedzieć?

— Chciałem powiedzieć, że moi przyjaciele, oficerowie z gwardii i od muszkietarów, przychodzili do mnie i spędzaliśmy te całe noce przy winie i przy kartach.

— Ach, tak — rzekł Anglik z westchnieniem — to prawda, Francuzi tak są przyjemni w towarzystwie. ...

— Pan nie grywasz, kiedy jesteś na służbie?

— O, nigdy! — rzekł Anglik.

— W takim razie musisz pan bardzo się nudzić, żałuję pana.

— Dla mnie służba jest bardzo przykra. Jakże długa wydaje się noc, którą trzeba spędzić na samotnym czuwaniu.

— Tak, ale kiedy się czuwa z wesołym towarzyszem, kiedy złoto i kości toczą się po stole, noc przemija jak sen. Czy pan nie lubisz grać?

— Przeciwnie.

— Landsknecht na przykład?

— Ot! grałem zapamiętałe co wieczór w Paryżu.

— A po powrocie do Anglii?

— Nie miałem w ręku ani kart, ani kości.

— Żal mi pana — rzekł d'Artagnan z wyrazem głębokiego współczucia.

— Słuchaj pan — rzekł Anglik — możesz mi pan wielką grzeczność zrobić.

— A to jaką?

— Jutro jestem na służbie.

— Przy Stuarcie?

— Tak. przyjdź pan, przepędzimy noc razem.

— To nie podobna!

— Nie podobna?

— Najzupełniej.

— A dlaczego?

— Co noc grywam z panem du Vallon. Czasem nie kładziemy się wcale... Dzisiaj na przykład, już dniało, a jeszcześmy grali.

— I cóż stąd?

— Nudziłby się, gdybym mu nie dotrzymał towarzystwa.

— Dobry gracz z niego?

— Nieraz widziałem, jak przegrywał do dwóch tysięcy pistołów śmiejąc się aż do łez.

— Więc go pan przyprowadź.

— Jakże pan chcesz? A nasi jeńcy?

— Tam do czarta! to prawda — rzekł oficer — Każ ich pan pilnować służącym.

— Tak, żeby uciekli — rzekł d'Artagnan — lepiej być ostrożnym.

— Muszą więc to być znakomici ludzie, kiedy pan tak bardzo dbasz o nich?

— Jeden z nich jest bogatym hrabią z Touraine, drugi kawaler maltański, wysokiego urodzenia. Ułożyliśmy się już z nimi

o wykup po dwa tysiące funtów szterlingów za każdego po powrocie do Francji. Nie chcemy więc odstąpić ani na chwilę ludzi, którzy by naszych służących mogli przekupić. Wprawdzie jużśmy ich nieco oskubali od czasu ujęcia i przyznam się, że to na ich worki nacieramy co noc z panem du Vallon; ale mogli ukryć przed nami jaki kosztowny kamień, jaki piękny brylant, dlatego to jesteśmy jak skąpcy, którzy nie odstępują nigdy swoich skarbów; uczyniliśmy się ciągłymi strażnikami naszych jeńców,

i kiedy ja śpię, pan du Vallon czuwa.

— O! o! — rzekł Groslow.

— Pojmujesz pan więc, co mnie zmusza do nieprzyjęcia pańskiej grzeczności, którą tym bardziej cenię, że nie ma nic nieznośniejszego, jak grać ciągle z jedną osobą: korzyści i straty następują kolejno i przy końcu miesiąca spostrzegam, że nic nie zyskał ani nie stracił.

— Ach! — rzekł Groslow z westchnieniem — lepiej jest grać z tą samą osobą, niż nie grać wcale.

— Pojmuję — rzekł d'Artagnan.

— Ale powiedz mi pan — zapytał Anglik — czy ci panowie są bardzo niebezpieczni?

— Pod jakim względem?

— Czy byliby zdolni do jakiego kroku gwałtownego? D'Artagnan głośno się roześmiał.

— Mój Boże! — zawołał — jeden z nich ma febrę, bo nie może przywyknąć do kraju, w którym pan mieszkasz; drugi jest kawalerem maltańskim, bojaźliwym jak panienka, a dla większego bezpieczeństwa odebraliśmy im nawet scyzoryki i nożyczki.

— Więc — rzekł Groslow — przyprowadź ich pan z sobą.

— Jak to, pan byś chciał? — rzekł d'Artagnan.

— Tak, panie, mam ośmiu ludzi.

— Cóż więc?

— Czterech będzie pilnowało ich, a czterech króla.

— W istocie — rzekł d'Artagnan — rzecz mogłaby się ułożyć w ten sposób, tylko że wiele bym panu przyczynił kłopotu.

— Och! przyjdź pan, przyjdź, zobaczysz, jak ja to wszystko ułożę.

— Nie obawiam się niczego — rzekł d'Artagnan — takiemu człowiekowi jak pan można ślepo zaufać.

To ostatnie pochlebstwo wywołało na usta oficera uśmiech zadowolenia.

— Ale — rzekł d'Artagnan — zastanawiam się nad tym, czemu byśmy nie mieli zacząć dziś wieczór.

— Co takiego?

— Naszej partii.

— Nic łatwiejszego — rzekł Groslow.

— W istocie, przyjdź pan dziś wieczór do nas, a jutro my pana odwiedzimy. Jeśli się co panu w naszych jeńcach nie spodoba, wolno panu będzie cofnąć swoje słowo, a przynajmniej jedną noc mile przepędzimy.

— Doskonale! Dziś wieczór u pana, jutro u Stuarta, pojutrze u mnie.

— A potem w Londynie. Ach, do szatana! — rzekł d'Artagnan — widzisz pan, że wszędzie można przyjemnie spędzić czas.

— Tak, kiedy się spotka Francuzów i jeszcze takich jak pan — rzekł Groslow.

— I jak pan du Vallon; zobaczysz pan, co to za miły człowiek! Zapalony stronnik frondy, o mało nie udusił raz w kącie Mazariniego. Posługują się nim, bo się go boją.

— Tak — rzekł Groslow — piękny to mężczyzna, a chociaż go nie znam, podoba mi się.

— A cóż będzie, jak go pan poznasz. Ale patrz pan, właśnie mnie woła. Wybacz pan, tak jesteśmy dobrze z sobą, że obejść się nie może beze mnie. Pan się nie gniewasz?

— A za co?

— Do widzenia więc, dziś wieczór. — U pana?

— U mnie.

Pożegnali się i d'Artagnan wrócił do swoich przyjaciół.

— Co, u czarta, mogłeś z tym brytanem mówić? — pytał Portos.

— Proszę cię, mój drogi, nie mów tak o panu Groslow; jest to jeden z moich najlepszych przyjaciół. Wprawdzie pan Groslow jest trochę za żywy, przyznaję, ale odkryłem w nim dwa wielkie przymioty: jest głupi i zarozumiały.

Portos otworzył oczy z podziwu. Atos i Aramis spojrzeli na siebie z uśmiechem, znali oni d'Artagnana i wiedzieli, że nie działa bez celu.

— Ale — dodał d'Artagnan — sam będziesz mógł go ocenić.

— A to jak?

— Przedstawię ci go dziś wieczór, przyjdzie grać z nami.

— O! o! — rzekł Portos, którego oczy zajaśniały na te słowa — a jest bogaty?

— Jest synem najpierwszego bankiera w Londynie.

— Czy zna landsknechta?

— Jak najlepiej.

— Lubi grać?

— Do szaleństwa.

— Brawo! — rzekł Portos — przepędzimy noc przyjemną.

— Tym bardziej, że spodziewam się drugą przepędzić jeszcze przyjemniej.

— A to jak?

— Tak, dziś wieczór my go przyjmujemy, a jutro on nam dostarczy zabawy.

— A gdzie?

— Powiem ci. Tymczasem zajmijmy się tylko jedną rzeczą: żeby godnie odpowiedzieć na zaszczyt, który nam chce uczynić pan Groslow. Dziś mamy nocleg w Derby, niech Mousqueton pojedzie naprzód i jeśli znajdzie choć jedną butelkę wina, niech ją kupi. Nic by nie było złego, żeby przygotowano smaczną wieszercę, do której jednak panowie nie będą należeć. Atos, bo ma febrę, Aramis zaś jest kawalerem maltańskim, którego delikatne uszy drażnią nasze żołnierskie gawędki i wywołują rumieniec na jego skromne lica.

— Czy słyszą panowie?

— Tak — rzekł Portos — ale niech mię piorun trzaśnie, jeśli co rozumiem.

— Portosie, mój przyjacielu, wiesz przecie, że mój ojciec był prorokiem, a matka Sybillą, ja więc mówię samymi zagadkami i przerośniami; niech zatem ci, co mają uszy, słuchają, a ci, co mają oczy, patrzą; tymczasem nic więcej powiedzieć nie mogę.

— Rób, co chcesz, mój przyjacielu — rzekł Atos — jestem pewny, że co ty zrobisz — będzie dobrze zrobione.

— A ty, Aramisie, czy jesteś także tego zdania?

— Zupełnie, mój kochany d'Artagnan.

— To mi się podoba — rzekł d'Artagnan. — otóż to mi prawowierni, dla nich warto cudów próbować, to nie tak jak z tym niedowiarkiem Portosem, który chce wprawdzie zobaczyć i dotknąć, nim uwierzy.

— To pewne — rzekł Portos z przebiegłym uśmiechem — że jestem bardzo nie dowierzający.

D'Artagnan uderzył go po ramieniu, a że właśnie przybyli na miejsce, gdzie król miał jeść śniadanie, rozmowa więc na tym stanęła.

Koło piątej wieczorem, jak się poprzednio ułożono, Mousqueton pojechał naprzód. Nie mówił on po angielsku, ale zauważył, że Grimaud doskonale rozmawiał gestami. Zaczął się więc uczyć mimiki od Grimauda i w kilku lekcjach dzięki wyższym zdolnościom nauczyciela doszedł do pewnego stopnia doskonałości. Blaisoisa wziął ze sobą.

Czterej przyjaciele, przejeżdżając główną ulicą w Derby, ujrzeli Blaisoisa stojącego w progu domu dosyć pięknego z pozoru; tam przygotowano dla nich mieszkanie.

Przez cały dzień nie zbliżali się do króla, żeby nie obudzić podejrzeń, i zamiast jeść obiad u stołu pułkownika Harrisona, jak dnia poprzedniego, obiadowali u siebie.

O umówionej godzinie przybył Groslow. D'Artagnan przyjął go jak dawnego przyjaciela. Portos zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i uśmiechnął się stwierdzając, że chociaż tak znakomitym cięciem obdarzył brata Parry'ego, nie był jednak tak silny jak on. Atos i Aramis starali się — ile możliwości — ukryć przykrość, jaką im sprawiał widok tego nieokrzesanego dzikusa.

Atos i Aramis starannie udawali to, co im polecił d'Artagnan. O północy wyszli do swego pokoju, od którego drzwi zostawiono otwarte, a prócz tego d'Artagnan poszedł za nimi, zostawiając Portosa w utarczkach z Groslowem.

Portos wygrał pięćdziesiąt pistolów od Groslowa i przyznał, kiedy tamten odszedł, że jego towarzystwo było przyjemniejsze, niż mu się zrazu zdawało.

Groslow zaś obiecał sobie powetować nazajutrz na d'Artagnanie to, co przegrał do Portosa, i pożegnał Gaskończyka, przypominając mu przyrzeczone odwiedziny na dziś wieczór.

Prosił go na dziś wieczór, bo gracze rozeszli się o czwartej z rana.

Dzień przeszedł jak zwykle, d'Artagnan rozmawiał to z kapitanem Groslow, to z pułkownikiem Harrison, to ze swymi przyjaciółmi. Dla tych, co nie znali Gaskończyka, takie postępowanie zdawało się naturalne, ale jego przyjaciele, a zwłaszcza Atos i Aramis, uważali, że ta wesołość zdradzała gorączkę.

— Co on znów układa? — pytał Aramis.

— Czekajmy — rzekł Atos.

Portos nic nie mówił, tylko rachował jeden po drugim z widocznym zadowoleniem pięćdziesiąt pistolów, które wygrał od Groslowa.

Przybywszy wieczorem do Royston, zgromadził d'Artagnan przyjaciół. Stracił ten wyraz niedbałej wesołości, który w ciągu dnia — jak maska — przylgnał do jego twarzy.

Atos ścisnął rękę Aramisa.

— Zbliża się chwila — rzekł.

— Tak — rzekł d'Artagnan, który usłyszał te słowa — tak, zbliża się chwila; tej nocy, moi panowie, uwolnimy króla.

Atos zadrżał; oczy jego zajaśniały niezwykłym ogniem.

— D'Artagnan — rzekł wątpiąc, żeby jego nadzieja spełnić się miała — czy to nie żart? Na Boga, za wiele by mnie kosztował!

— Dziwny jesteś, mój Atosie — rzekł d'Artagnan — że mi nie wierzysz. Gdzie i kiedy widziałeś, żebym robił igraszkę z uczuć przyjaciela i z życia takiego człowieka? Powiedziałem ci i powtarzam: tej nocy uwolnimy Karola I. Kazałem mi szukać sposobu — ja go znalazłem.

Portos patrzył na d'Artagnana z uczuciem głębokiego uwielbienia. Aramis uśmiechnął się pełen nadziei. Atos był błąd jak śmierć i drżał cały.

— Mów! — prosił Atos.

Portos otworzył swoje wielkie oczy, Aramis przysunął się, jak mógł najbliżej, do d'Artagnana.

— Pan Groslow zaprosił nas na dzisiejszą noc do siebie, wszak wiecie?

— Tak — odpowiedział Portos — mamy mu dać się odegrać.

— To prawda. Ale wiecie też, gdzie grać będziemy?

— Nie.

— U króla.

— U króla? — krzyknął Atos.

— Tak, moi panowie, u króla. Pan Groslow jest dziś wieczór na służbie przy królu, i dla rozerwania się, zaprosił nas, żebyśmy przyszli do niego.

— Wszyscy czterej? — spytał Atos.

— Zapewne, że wszyscy czterej. Do pioruna! Mielibyśmy odstąpić naszych jeńców?

— Ach! ach! — zawołał Aramis.

— Cóż dalej? — pytał Atos z drżeniem.

— Pójdziemy więc do Groslowa, my dwaj ze szpadami, a wy ze sztyletami, we czterech rozpędzimy tych ośmiu bałwanów i ich głupiego dowódcę. Panie Portosie, cóż ty na to?

— Ja mówię, że to pójdzie łatwo — rzekł Portos.

— Króla przebierzemy za Grosłowa. Mousqueton, Grimaud X Blaisois będą trzymać konie w pogotowiu, na zakręcie najbliższej ulicy dosiądziemy ich i nim dzień zabłyśnie, ujedziemy ze dwadzieścia mil. A co, Atosie, czy dobrze pomyślane?

Atos objął obiema rękami ramiona d'Artagnana i patrzył na niego ze zwykłym sobie słodkim i spokojnym uśmiechem.

— Przysięgam, przyjacielu — rzekł — że nie ma człowieka pod słońcem równego tobie w szlachetności i odwadze; kiedy my sądziliśmy, że jesteś obojętny na naszą boleść, której mogłeś bez grzechu nie podzielać, ty jeden z nas wszystkich znalazłeś to, czegośmy szukali na próżno. Powtarzam ci więc, d'Artagnanie: jesteś najlepszy z nas wszystkich, kocham cię i błogosławię, mój drogi synu.

— Że mi też to na myśl nie przyszło — rzekł Portos uderzając się w czoło — rzecz taka prosta.

— Ale — rzekł Aramis — jeśli dobrze zrozumiał — trzeba będzie wszystkich zabić, wszak tak?

Atos znów zadrżał i zbladł straszliwie.

— Kroćset szatanów! — rzekł d'Artagnan — tak, trzeba będzie zabijać. Długo się namyślałem, czyby nie można tego uniknąć, ale przynaję, że nic nie wymyśliłem.

— Mniejsza o to — rzekł Aramis — nie można mieć skrupułów w takim położeniu. Ale jakże mamy postąpić?

— Ułożyłem podwójny plan — odpowiedział d'Artagnan.

— Jakiż jest pierwszy? — zapytał Aramis.

— Jeśli będziemy wszyscy czterej razem, na mój znak, a tym znakiem będzie wyraz „na koniec”, każdy z was utopi szyć w sercu żołnierza, który najbliżej niego stać będzie; my zrobimy to samo. To już czterech będzie zabitych, wtenczas walka stanie się równa. Ponieważ pozostanie ich pięciu przeciwko nam czterem, tych pięciu poddaje się i wiążemy ich albo się bronią i polegają; jeśli przypadkiem nasz amfitrion zmieni zdanie i nie zechce wszystkich nas przyjąć, ha! wtenczas trzeba się będzie zręczniejsz wziąć do dzieła; siła będzie o wiele przeważać, walka potrwa dłużej, narobimy też więcej hałasu. Wy musicie czekać za drzwiami i przybiegniecie na ten hałas.

— A gdyby też was pozabijali? — rzekł Atos.

— To nie podobna — rzekł d'Artagnan — ci piwosze zbyt są ciężcy i niezgrabni, a potem pamiętaj, Portosie, godzić w gardło, to najlepsza metoda. Ten, któremu taki raz się zadaje, prędko umiera i krzyknąć nie może.

— Bardzo dobrze — rzekł Portos — będzie to — jak widzę — niezła rzeź.

— Okropna, okropna! — rzekł Atos.

— Ech! mój ty czuły kawalerze — rzekł d'Artagnan — lepiej byś sam potrafił na wojnie. A potem, mój przyjacielu, jeśli sądzisz, że życie króla niewarte tego, co ma kosztować — nic się jeszcze nie stało: każę uwiadomić pana Grosłowa, że zasłabł.

— Nie — rzekł Atos — zbłądziłem, mój przyjacielu, masz słusność, przebacz mi.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł jakiś żołnierz.

— Pan kapitan Grosłowa — rzekł złą francuszczyzną — kazał oznajmić panom d'Artagnan i du Vallon, że czeka na nich.

— A gdzie? — spytał się d'Artagnan.

— W pokoju Nabuchodonozora angielskiego — odpowiedział żołnierz, zatwardziały purytanin.

— Bardzo dobrze — odrzekł doskonałą angielszczyzną Atos, któremu krew uderzyła do twarzy na taką zniewagę króla. — Bardzo dobrze, powiedz kapitanowi Grosłowa, że idziemy natychmiast.

Purytanin wyszedł, służący mieli rozkaz osiodłać osiem koni i czekać, nie rozdzielając się ani zsiadając z koni, na rogu ulicy

o dwadzieścia prawie kroków odległej od domu, w którym król przepędzał noc.

XII

PARTIA LANDSKNECHTA

D'Artagnan i Portos mając szpady przy boku, Atos zaś

i Aramis z ukrytymi sztyletami pod suknią postępowali ku domowi, który na ten wieczór służył za więzienie Karolowi Stuartowi. Dwaj ostatni szli za swoimi zwycięzcami pokorni i rozbrojeni —pozornie jak jeńcy.

— Na honor — rzekł Groslow spostrzegając ich — prawie już nie liczyłem na panów.

D'Artagnan zbliżył się do niego i rzekł z cicha: — Rzeczywiście namyślaliśmy się przez chwilę, pan du Vallon i ja.

— A to dlaczego? — spytał Groslow. D'Artagnan wskazał wzrokiem Atosa i Aramisa.

— Ach! — rzekł Groslow — ze względu na opinię. Mniejsza o to! Przeciwnie — dodał śmiejąc się — jeśli chcą zobaczyć swego Stuarta, to go zobaczą.

— Czy przepędzimy noc w pokoju króla? — spytał d'Artagnan.

— Nie, ale obok, a że drzwi zostaną otwarte, będzie to zupełnie, jakbyśmy siedzieli w jego pokoju. Ale czyście się, panowie, zaopatrzyli w pieniądze? Bo ja myślę dziś wieczór grać zawzięcie.

— Słyszysz pan? — rzekł d'Artagnan brzękając złotem w kieszeni.

— Very good! — rzekł Groslow i otworzył drzwi do pokoju.

D'Artagnan odwrócił się do swoich przyjaciół. Portos był obojętny, jakby o nic więcej mu nie szło, tylko o grę w karty; Atos był blady, ale gotów na wszystko; Aramis ocierał chustką czoło, lekko zroszone kroplami potu.

Ośmiu żołnierzy stało na właściwych stanowiskach: czterech z nich było w pokoju króla, dwóch przy drzwiach tego pokoju, a dwóch przy drzwiach, którymi wchodzili nasi przyjaciele. Na widok szpad zdobytych Atos uśmiechnął się — nie będzie to więc rzeź — pomyślał sobie — tylko walka.

I od tej chwili dobry humor jego zdawał się powracać.

Karol, którego widzieć można było przez drzwi otwarte, leżał na łóżku w ubraniu, przykryty tylko kołdrą wełnianą. Przy wezglowiu siedział Parry czytając z cicha, o tyle jednak głośno, żeby go mógł usłyszeć Karol, który słuchał mając oczy zamknięte, ustępów z Biblii.

Prosta świeca; stojąca na brudnym stole, rzucała światło zarówno na wypogodzone oblicze króla, jak i na twarz wiernego sługi zdradzającą wielki niepokój.

Parry często się zatrzymywał sądząc, że król wreszcie zasnął, ale wtenczas Stuart otwierał oczy i mówił z uśmiechem:

— Czytaj, mój poczciwy Parry, ja słucham. I słuchał dalej.

Stół był przygotowany w pierwszym pokoju, na tym stole, okrytym dywanem, stały dwie zapalone świece i leżały kości i karty.

— Niech panowie usiądą — rzekł Groslow — bardzo proszę; ja siądę naprzeciw Stuarta, na którego bardzo lubię patrzeć, nade wszystko w teraźniejszym jego położeniu, a pan d'Artagnan naprzeciw mnie.

Gra się zaczęła. Tego wieczora szczęście się zmieniło i sprzyjało Groslowowi: ciągle wygrywał.

Wybiła dziesiąta godzina. Usłyszano przechodzący patrol.

— Ileż takich patroli wysyła pan? — rzekł d'Artagnan wyjmując więcej pieniędzy z kieszeni.

— Pięć — rzekł Groslow — co dwie godziny jeden.

— To bardzo roztropnie — rzekł d'Artagnan.

I tym razem spojrzął na Atosa i Aramisa.

Słysząc było kroki oddalającego się patrolu.

Tymczasem znęcani powabem gry i widokiem złota, tak przyjemnym dla każdego człowieka, żołnierze, których obowiązkiem było stać w pokoju króla, zbliżyli się nieznacznie do drzwi, a podnosząc się na palce, zaglądali przez ramię d'Artagnana i Portosa. Ci, co mieli stać przy drzwiach, zbliżyli się do nich zupełnie, dopomagając tym sposobem życzeniom czterech przyjaciół, którzy woleli mieć ich pod ręką, niż szukać po kątach pokoju. Dwaj żołnierze przy wejściu mieli ciągle wydobyte szpady, tylko oparte ostrzem o ziemię, i przyglądali się także grającym.

Atos zdawał się coraz bardziej uspokajać, w miarę jak się stanowcza chwila zbliżała, jego ręce białe i delikatne igrały z luidorami, gniótł on je i prostował, jak gdyby złoto było cyną. Aramis nie umiał panować nad sobą, sięgał ciągle do sztyletu, Portos zły, że przegrywa, bezustannie trącał nogą d'Artagnana.

D'Artagnan obejrzał się za siebie. Parry stał pomiędzy dwoma żołnierzami, a Karol oparty na łokciu złożył ręce i zdawał się modlić gorąco. D'Artagnan pojął, że nadeszła chwila, że każdy jest na właściwym stanowisku i że czekano tylko na wyrazy "Na koniec", które jak sobie przypominamy, miały służyć za hasło.

Rzucił spojrzenie na Atosa i Aramisa i obaj odsunęli nieco swoje krzesła, żeby mogli działać swobodniej.

Trącił powtórnie Portosa i ten wstał, jakby się chciał wyprostować, tylko że wstając spróbował, czy szpada jego łatwo wysunie się z pochwy.

— Do czarta! — rzekł d'Artagnan — jeszcze dwadzieścia pistolów przegrałem! Prawdziwie, kapitanie Groslow, za wiele pan masz szczęścia, to dłużej trwać nie może.

Dobyl jeszcze dwadzieścia pistolów z kieszeni. — Jeszcze ostatnia stawka, kapitanie. Te dwadzieścia pistolów na jedną stawkę, na ostatnią.

— Dobrze, niech idzie dwadzieścia pistolów — rzekł Groslow.

I odwrócił dwie karty, jak zazwyczaj, króla dla d'Artagnana, asa dla siebie.

— Król! — rzekł d'Artagnan — to dobra wróżba. Panie Groslow, bacność na króla.

I pomimo mocy, jaką miał nad sobą, dźwięk głosu d'Artagnana tak był niezwykły, że jego przeciwnik zadrżał.

Groslow zaczął odwracać karty jedna za drugą.

Gdyby wyciągnął wpieryw asa, wygrałby, jeśli zaś króla, to by przegrał.

Wyciągnął króla.

— Na koniec! — rzekł d'Artagnan.

Na ten wyraz Atos i Aramis powstali. Portos cofnął się o krok. Sztylety i szpady miały zabłysnąć. Ale z nagła drzwi się otworzyły i Harrison stanął w progu w towarzystwie człowieka owiniętego płaszczem.

Za tym człowiekiem widać było muszkiety czterech lub pięciu żołnierzy.

Groslow zerwał się zawstydzony, że go zastali przy winie, kartach i kościach. Ale Harrison nie zwrócił na niego uwagi, poszedł prosto do pokoju króla wraz z towarzyszącym mu człowiekiem.

— Karolu Stuartcie — rzekł — odebrałem rozkaz, żeby cię prowadzić do Londynu, bez odpoczynku, dniem i nocą. Przygotuj się więc natychmiast do odjazdu.

— A od kogóż ten rozkaz pochodzi? — zapytał król.

— Jest to rozkaz generała Olivera Cromwella.

— Tak — rzekł Harrison — i właśnie pan Mordaunt przywiózł go w tej chwili i ma polecenie dopilnować wykonania.

— Mordaunt! — mruknęli czterej przyjaciele spojrzawszy na siebie.

D'Artagnan zgarnął ze stołu wszystkie pieniądze, które on i Portos przegrali, i wpakował je w kieszeń.

Atos i Aramis stanęli za nim. W tej chwili Mordaunt się obrócił, poznał ich i wydał okrzyk dzikiej radości.

— Zdaje mi się, że nas schwytano — rzekł d'Artagnan do swoich przyjaciół. .

— Jeszcze nie — odrzekł Portos.

— Pułkowniku! pułkowniku! — zawołał Mordaunt — każ otoczyć ten dom, zdradzono cię. Ci czterej Francuzi uciekli z Newcastle i chcą zapewne porwać króla. Każ ich schwycić.

— Och! młodzieńcze — rzekł d'Artagnan dobywając szpady — ten rozkaz łatwiej wydać niż uskutecznić.

A wywijając nią straszliwie wokoło siebie, zawołał:

— Do odwrotu! przyjaciele, do odwrotu!

I w tej chwili rzucił się ku drzwiom, przewrócił dwóch stojących tam żołnierzy, nim ci mieli czas odwieść muszkiety; Atos i Aramis *zdażali* za nim, Portos tworzył tylną straż i wpierv nim żołnierze, oficerowie i pułkownik mieli czas opamiętać się, wszyscy czterej byli już na ulicy.

— Pal! — krzyczał Mordaunt — ognia do nich!

Dwa czy trzy wystrzały muszkietowe dały się słyszeć, ale nie miały żadnego skutku, tylko przy ich błysku widać było czterech uciekających już na zakręcie ulicy.

Konie stały na miejscu oznaczonym, służący podali tylko lejce swoim panom, którzy dosiedli wierzchowców z szybkością najbieglejszych jeźdźców.

— Naprzód! — zawołał d'Artagnan — dać koniom ostrogę i pędzić co tchu!

O pięćdziesiąt kroków od domu, w którym zostawili króla, d'Artagnan się zatrzymał.

— Stójcie! — zawołał.

— Jak to, stójcie? — pytał Portos — chyba chcesz powiedzieć: pędźcie co koń wyskoczy.

— Wcale nie — odpowiedział d'Artagnan — tym razem pogonią za nami, pozwólmy im wyjechać z miasteczka i gonić nas na drodze do Szkocji, a jak nas wyprzedzą, zwrócimy się w przeciwną stronę.

Zaledwie upłynęło z dziesięć minut, usłyszeli szybki galop oddziału jezdnych. W pięć minut potem jezdni ci przejechali ponad ich głowami, nie domyślając się wcale, że ci, których szukali, znajdują się tuż, ukryci pod sklepieniem mostu.

XIII

PROCES

Nazajutrz z rana liczna straż zaprowadziła Karola Stuarta przed kratki Wysokiej Izby, która miała go osądzić.

Cały Londyn tłoczył się do drzwi galerii przeznaczonych dla słuchaczy i nasi przyjaciele — docisnąwszy się do nich — znaleźli pierwsze trzy rzędy ławek całkowicie zajęte.

Ławki były urządzone amfiteatralnie i nasi czterej przyjaciele z swojego miejsca mogli widzieć całe zgromadzenie; przypadek chciał jeszcze, że weszli środkowymi drzwiami i znajdowali się naprzeciw krzesła przeznaczonego dla Karola Stuarta.

Około godziny jedenastej przed południem król ukazał się na progu sali. Wszedł otoczony strażą, ale z głową nakrytą.

Jeden z woźnych zbliżył się do Stuarta mówiąc, że zwyczaj wymaga, aby oskarżony stał z odkrytą głową przed swoimi sędziami. Król, nie odpowiedziawszy ani słowa, nasunął jeszcze bardziej kapelusz na czoło, potem, kiedy woźny odszedł, usiadł na przeznaczonym dlań krześle naprzeciw prezydującego, uderzając po bucie cienką trzcinką, którą trzymał w rękę.

Parry, który nieodstępnie towarzyszył królowi, stanął za jego krzesłem. D'Artagnan nie widział tego wszystkiego, bo tylko patrzył nieustannie na Atosa, którego twarz odbijała wszystkie uczucia, jakie sam Karol zdołał przez moc duszy na tyle przytłumiać, że ich nie zdradzał żadnym zewnętrznym znakiem. To wzruszenie Atosa, człowieka z natury opanowanego i spokojnego, przstraszyło d'Artagnana.

— Spodziewam się — rzekł nachylając się do ucha Atosa — że będziesz naśladował zimną krew króla i nie wystawisz nas na ubicie w tej klatce.

— Bądź spokojny — odrzekł Atos.

— A przecie — mówił dalej d'Artagnan — zdaje się, że się czegoś obawiają, bo oto strażę podwajają się; dotychczas były tylko piki i pałasze, a teraz są i muszkiety. Teraz jest już coś dla każdego, pałasze i piki dla słuchaczy na dole, a muszkiety dla nas.

— Trzydziestu, czterdziestu, pięćdziesięciu, siedemdziesięciu żołnierzy — rzekł Portos policzywszy nowoprzybyłych.

— Oficera nie doliczyłeś — odezwał się Aramis — a zdaje mi się, że zasługuje on na uwagę.

— Ach, prawda! — zawołał d'Artagnan i zbladł z gniewu, bo poznał Mordaunta, który z dobytą szpadą prowadził muszkieterów i ustawiał ich za królem, to jest wprost galerii, gdzie znajdowali się nasi przyjaciele.

Prezydent Bradshaw odezwał się w tej chwili do króla:

— Stuarcie, słuchaj wywołania nazwisk twych sędziów i wymień, jeśli będziesz miał co do powiedzenia względem ich wyboru.

Król — jakby te słowa nie do niego były powiedziane, odwrócił głowę w inną stronę.

Prezydent czekał przez chwilę na odpowiedź, po czym przystąpił do odczytywania nazwisk.

Obecni na wywołane nazwiska odpowiadali głośniejszym lub ciszszym głosem, zależnie od swego wewnętrznego przekonania w tej sprawie.

Gdy wywołano nazwisko pułkownika Fairfax, nastąpiło krótkie, ale uroczyste milczenie, okazujące nieobecność lordów, którzy nie chcieli znajdować się na sali.

— Pułkownik Fairfax! — powtórzył Bradshaw.

— Fairfax — odpowiedział z galerii głos, który był głosem kobiety — Fairfax ma tyle rozumu, że nie przyjdzie tutaj.

Huczny śmiech odpowiedział w całej sali na te słowa wymówione z odwagą, jaką kobiety czerpią ze swojej słabości.

— To głos kobiecy! — zawołał Aramis — na honor, dam pół życia, że jest piękna i młoda.

I wspiał się na ławkę, aby zająrzeć na galerię, z której głos pochodził.

— Na honor, bardzo ładna, spójrz, d'Artagnan, wszyscy patrzą na nią, a ona nie zbladła, chociaż Bradshaw ostro patrzy jej w oczy.

— To jest lady Fairfax! — zawołał d'Artagnan — pamiętasz, Portosie, widzieliśmy ją z jej mężem u generała Cromwella.

Po chwili powrócił spokój przerwany tym zabawnym wypadkiem i przystąpiono do dalszego wywoływania nazwisk.

Po skończeniu apelu prezydent rozkazał przystąpić do odczytania aktu oskarżenia.

Karol słuchał spokojnie całego aktu i tylko uśmiechał się niekiedy z pogardą.

Oskarżyciel zakończył akt oskarżenia tymi słowy:

— Niniejsze oskarżenie przedstawiamy w imieniu ludu angielskiego.

Atos, zapomniawszy się zupełnie, powstał i z wyciągniętą ręką, groźnie spoglądając na oskarżyciela, zawołał: — To nieprawda!

Wówczas król, sędziowie, słuchacze, wszyscy zwrócili oczy ku galerii, gdzie znajdowali się nasi czterej przyjaciele, Mordaunt spojrział także i poznał męża, obok którego stali trzej inni w groźnej postawie.

Jego oczy zaiskrzyły się radością, bo znalazł tych, dla których wyszukania i zguby poświęcił swe życie.

Gwałtownym skinieniem zawołał do siebie kilkunastu muszkieterów i wskazując ręką galerię, gdzie się znajdowali jego wrogowie, zawołał:

— Ognia do tej galerii!

Ale wtedy d'Artagnan, Atos, Portos i Aramis, przeskoczywszy przez ławki, rzucili się w korytarz, zbiegli szybko po schodach i zginęli wśród tłumu, podczas gdy w sali wzniesione muszkiety groziły trzem tysiącom słuchaczy. Ich krzyki przestraszyły zaledwie wstrzymały morderstwo, do którego hasło tak zapalczywie zostało wydane. .

Karol Stuart poznał także czterech przyjaciół, położył jedną rękę na sercu, aby wstrzymać jego bicie, a drugą zasłonił oczy, aby nie patrzeć na ich zgon niechybny. .

Mordaunt, błądy i drżący z wściekłości, wybiegł z sali z doby tą szpadą, pytając, szukając i na koniec wrócił nic nie znalazłszy.

Wreszcie spokój wrócił.

— Karolu Stuarcie — rzekł prezydent Bradshaw — co masz do powiedzenia na swą obronę?

Wtedy wstając z głową nakrytą, nie w pokorze, ale z dumą majestatu, Karol I rzekł te słowa:

— Kupiliście moją wolność od nikczemnych Szkotów, nie bardzo drogo, wiem o tym, i to czyni zaszczyt oszczędności waszego rządu. Ale dlatego, że zapłaciliście za moją wolność, czy sądzicie, że przestałem być waszym władcą? Och, nie! Odpowiadać wam, byłoby to zapomnieć, kim jestem, byłoby to uznać *was* za swoich sędziów, a do tego nie macie prawa.

— A więc — odezwał się znowu prezydent, widząc, że król niezmiennie postanowił milczeć — a więc sądzić cię będziemy pomimo twego milczenia. Jesteś oskarżony o zdradę, nadużycie władzy i zabójstwo. Zeznanie świadków będzie, dostateczne i na przyszłym posiedzeniu skończymy sprawę.

XIV

WHITEHAL

Parlament skazał Karola I na śmierć, jak to łatwo było przewidzieć. Chociaż nasi przyjaciele spodziewali się tego wyroku, przyjęli go jednak z boleścią. D'Artagnan, którego pomysłowość najbardziej rozwijała się w chwilach najkrytyczniejszych, poprzysiągł, że użyje wszystkich w świecie sposobów, aby przeszkodzić wykonaniu wyroku. Ale w jaki sposób, tego jeszcze sam nie wiedział. Wszystko musiało zależeć od zbiegu okoliczności. Tymczasem najważniejszą rzeczą było zyskać na czasie, to jest nie dopuścić do wykonania wyroku nazajutrz, jak było postanowione. Jedynym sposobem było usunięcie z Londynu miejscowego kata, w takim bowiem razie musiano by posłać po kata do Bristolu, co przynajmniej zajęłoby dzień czasu, a jeden dzień w podobnych okolicznościach może być zbawieniem. D'Artagnan wziął na siebie tę sprawę nader trudną.

Nie mniej ważną rzeczą było zawiadomić króla, że pracują nad uwolnieniem go, i aby on, ile możliwości, dopomagał z swojej strony tym usiłowaniami, a przynajmniej nie przeszkadzał im. Aramis podjął się tego dokonać.

Król żądał, aby dozwolono biskupowi Juxon odwiedzić go w jego więzieniu w Whitehall, i Mordaunt zawiadomił biskupa o życzeniu króla i zezwoleniu Cromwella. Aramis postanowił wymóc na biskupie prośbą lub strachem, aby mu pozwolił w swym ubiorze udać się do króla.

Na koniec Atos podjął się przygotować środki ucieczki z Anglii, tak w razie powodzenia, jak i niepowodzenia wspólnych usiłowań.

Król, oparty ręką o stół patrzył na medalion, w który oprawione były miniatury jego żony i córki. Oczekiwał on Juxona, a po nim śmierci.

Niekiedy myśl jego zatrzymywała się na tych walecznych Francuzach i wydawało mu się, że są oni już oddaleni o sto mil. Niekiedy zdawało mu się, że wszystko, co się z nim stało od kilkunastu dni, było tylko dręczącym snem; wtedy wstawał, przechadzał się po pokoju i zbliżywszy się do okna, przez które widać było błyszczące muszkiety straży, przekonywał się o rzeczywistości, swego położenia, milcząc wracał do stołu i dumał wsparłszy głowę na rękach.

Nagle dało się słyszeć stąpanie na korytarzu. Otworzyły się drzwi, pochodnie nappełniły pokój zamglonym od dymu światłem i duchowny w biskupich szatach wszedł w towarzystwie dwóch żołnierzy, których Karol odprawił nakazującym skinieniem ręki.

Straż z pochodniami odeszła..

— Juxon! — zawołał król — dziękuję ci, mój ostatni przyjacielu; w porę przybywasz.

Biskup niespokojnym okiem rzucił na człowieka, który łkając siedział w kącie pokoju.

— No, Parry — rzekł król — nie płacz, oto posłaniec Boga przynosi nam ostatnią pociechę.

— Ponieważ to jest Parry — rzekł biskup — nie mam więc powodu obawiać się; pozwól więc, najjaśniejszy panie, abym ci złożył hołd i powiedział, kim jestem i dlaczego tu przybywam.

Na ten głos Karolomal. nie krzyknął, ale. Aramis położył palec na ustach i uklonił się nisko królowi.

— To ty, kawalerze! — rzekł z cicha Karol.

— Tak, ja, panie — przerwał Aramis podnosząc głos, to ja, biskup Juxon, wierny rycerz Chrystusa, który przybywa, dopełniając życzeń waszej królewskiej mości.

Karol poznał d'Herblaya i osłupiał, zmieszany wobec jednego z tych ludzi, którzy będąc obcymi, nie mając innej pobudki prócz obowiązku nałożonego przez własne ich szlacheckie sumienie, walczyli tak wytrwale przeciw woli całego narodu angielskiego i przeciw przeznaczeniu historii.

— Ty, panie d'Herblay — rzekł na koniec — ty? Jakim sposobem dostałeś się aż tu? Mój Boże, jeśli cię poznają, zginiesz.

— Nie myśl o mnie, panie — rzekł Aramis — pamiętaj najpierw o sobie. Przyjaciele twoi czuwają, jak widzisz. Nie wiem jeszcze, co uczynimy, ale czterej ludzie, przygotowani na wszystko, mogą wiele uczynić. Tymczasem staraj się nie spać w nocy, nie dziw się niczemu, a wszystkiego się spodziewaj.

Karol potrząsnął głową.

— Przyjacielu — rzekł — czy wiesz, że niewiele macie czasu do stracenia i jeśli chcecie działać — należy się spieszyć? Czy wiesz, że jutro p godzinie dziesiątej z rana mam umrzeć?

— Najjaśniejszy panie, przed tą godziną stanie się coś, co uczyni niemożliwym wykonanie wyroku.

Król spojrział na Aramisa z podziwem. W tej chwili pod oknem królewskim usłyszano odgłos jakby zajeżdżającego wozu z drzewem.

— Czy słyszysz? — rzekł król.

Jednocześnie dał się słyszeć krzyk bóleści.

— Słuchani — rzekł Aramis — ale nie mogę. zdać sobie sprawy, co znaczy ten łoskot, a zwłaszcza ten krzyk.

— Nie wiem, kto to krzyczy, ale co do łoskotu, wytłumaczę ci jego powód. Czy wiesz, że wykonanie wyroku śmierci odbyć się ma pod tym oknem? — dodał Karol.

— Tak, najjaśniejszy panie — rzekł Aramis — wiem.

— A zatem drzewo, które przywieziono, ma służyć na wzniesienia rusztowania i zapewne jakiś robotnik zranił się, zrzucając je z wozu.

Aramis mimo woli zadrżał.

— Widzisz więc, przyjacielu, że beużytecznie upieralibyście się walczyć przeciw losowi, który nie może mię ominąć.

— Najjaśniejszy panie — odrzekł Aramis odzyskując panowanie nad sobą, które na chwilę stracił w momencie krzyku za oknem — mogą wznieść rusztowanie, ale nie znajdą na czas wykonawcy wyroku. .

— Co mówisz? — zapytał król.

— Że w tej chwili kat jest albo przekupiony, albo uwięziony; jutra rusztowanie będzie gotowe, ale nie znajdą kata i będą musieli odłożyć wykonanie wyroku do pojutra..

— A więc? — rzekł zdziwiony król.

— A więc — odrzekł Aramis — jutro w nocy, wykradniemy waszą królewską mość.

— Jakim sposobem? — zapytał znowu król, którego twarz mimowolnie zabłysnęła radością.

— Och, panie! — rzekł Parry składając ręce — bądź błogosławiony ty i twoi przyjaciele.

— W jaki sposób? — powtórzył Karol. — Powinien bym wiedzieć o tym, abym w miarę swych sił mógł wam dopomóc.

— W jaki sposób? — odrzekł Aramis — tego jeszcze nie wiem; tyle wiem tylko; że najroztropniejszy, najwaleczniejszy i najbardziej oddany z nas wszystkich powiedział żegnając się ze mną: „Kawalerze, powiedz królowi, że jutro o godzinie dziesiątej wieczorem wykradniemy go”. A ponieważ to przyrzekł, więc wykona.

— Powiedz mi nazwisko tego szlachetnego przyjaciela — rzekł król — abym mu zachował wieczną wdzięczność, czy zamiar jego powiedzie się czy nie.

— D'Artagnan, panie — odpowiedział Aramis. — Teraz, panie — mówił dalej Aramis — chciej mię uważnie posłuchać. Nie zapominaj ani na chwilę, że my ciągle czuwamy nad

ocaleniem cię, uważaj na każde poruszenie, każde słowo, każdy znak tych, którzy się zbliżają do ciebie, i staraj się zrozumieć myśl w nich ukrytą.

— Och, kawalerze! — zawołał Karol — cóż mogę ci powiedzieć! Żaden wyraz, choćby z samej głębi mego serca pochodzący, nie może wyrazić mojej wdzięczności. Kawalerze, oto moja ręka, jest to ręka przyjaciela, który kochać cię będzie do ostatniego tchnienia.

Aramis chciał pocałować rękę, którą mu król podał, ale Karol pochwycił jego rękę i przycisnął do serca.

W tej chwili wszedł jakiś człowiek, nawet nie zapukawszy we drzwi. Aramis chciał usunąć rękę, ale król zatrzymał ją.

Człowiek, który wszedł, był to jeden z tych purytanów, pół-ksiądz, pół-żołnierz, jakich wielu znajdowało się w wojsku Cromwelia.

— Czego chcesz? — zapytał król.

— Chcę dowiedzieć się, czy spowiedź Karola Stuarta już się skończyła — rzekł przybyły.

— Co cię to obchodzi? — rzekł król — nie jesteśmy jednego wyznania.

— Wszyscy ludzie są braćmi — odrzekł purytanin.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Aramis z cicha — bądź ostrożny, to może jaki wysłaniec Cromwella.

— Po przewielebnym biskupie — rzekł król — chętnie będę cię słuchał, mój przyjacielu.

Purytanin oddalił się, spojrzawszy z ukosa na mniemanego Juxona, co nie uszło uwagi króla.

— Kawalerze — rzekł, gdy już drzwi, się zamknęły — strzeż się odchodząc, aby nie spotkało cię jakie nieszczęście.

— Dziękuję waszej królewskiej mości — odrzekł Aramis — za łaskawą troskliwość, ale jestem uzbrojony i pod tą suknią duchowną mam żelazny pancerz.

— Bądź więc zdrow, przyjacielu, i niech cię Bóg ma w swojej świętej opiece.

Aramis wyszedł, a król odprowadził go aż do progu. Aramis po drodze sypał błogosławieństwa i żołnierze schylali się ku ziemi, a on nie poznany przeszedł majestatycznie wszystkie przedpokoje napełnione strażą, wszedł do karety i kazał się na powrót zawieźć do pałacu arcybiskupiego.

Juxon z największym niepokojem czekał na jego powrót.

— I cóż? — rzekł spostrzegłszy Aramisa.

— Wszystko udało się zgodnie z moimi życzeniami Straż, żołnierze, agenci Cromwella, wszyscy wzięli mię za waszą wielebność. Król przesyła wam swoje podziękowanie, zamawiając na jutro wasze odwiedziny.

— Niech ci Bóg dopomaga, mój synu, bo przykład twój dodał mi nadziei i odwagi.

Aramis ubrał się z powrotem w swe szaty i pożegnał biskupa uprzedzając go, że jeszcze raz będzie potrzebował jego pomocy.

Zaledwie uczynił kilka kroków, spostrzegł, że za nim szedł jakiś człowiek okryty wielkim płaszczem. Położył rękę na sztylcie i zatrzymał się. Człowiek ten przystąpił prosto do niego; był to Portos.

— Ach, to ty, przyjacielu — zawołał Aramis podając mu rękę.

— Jak widzisz, mój kochany — odrzekł Portos — każdy z nas miał jakieś zajęcie. Ja miałem pilnować ciebie na wszelki wypadek i wykonałem to. Czy widziałeś króla?

— Tak i wszystko dobrze idzie. A gdzie są nasi przyjaciele?

— Mamy się spotkać z nimi o godzinie jedenastej.

— Nie ma więc czasu do stracenia.

W istocie w tej chwili wpół do jedenastej wybiło na kościele św. Pawła.

Aramis i Portos przybyli, pierwsi do oberży. Po nich wszedł Atos.

— Dobrze idzie! — rzekł, nim jego przyjaciele mieli czas zapytać go.

— Cóż zrobiłeś? — zapytał Aramis.

— Wynająłem małą felukę, wąską jak szczupak i lekką jak jaskółka, czeka nas w Greenwich naprzeciwko Psiej Wyspy; znajduje się na niej sternik i czterech majtków, którzy za pięćdziesiąt funtów szterlingów zobowiązali się być na nasze rozkazy przez trzy dni i noce. Gdy dostaniemy się z królem na pokład, lotem błyskawicy będziemy na brzegach Francji. Jeżeli bym zginął pierwszy, pamiętajcie, że sternik nazywa się kapitan Rogers, a statek „Błyskawica”, chustka biała z czterema węzłami na rogach jest znakiem, po którym nawzajem się poznacie.

W chwilę potem wszedł d'Artagnan.

— Wypróżnijcie wasze kieszenie —, rzekł — trzeba stu funtów szterlingów, a ja już nic nie mam.

W mgnieniu oka złożono żadaną sumę, d'Artagnan wyszedł i wrócił po chwili.

— No! — rzekł — rzecz skończona. Uf! nie było to bez trudu.

— Kat wyjechał z Londynu? — zapytał Atos.

— Ach! to nie byłoby dość pewne, mógłby wyjechać jedną bramą, a wrócić drugą.

— Gdzież więc jest?

— W piwnicy.

— W jakiej piwnicy?

— Naszego gospodarza. Mousqueton siedzi na schodach, a ja mam klucz od drzwi.

— Bravo! — zawołał Aramis — ale w jaki sposób skłoniłeś go do tego?

— Najzwyczajniejszym w świecie — pieniędzmi. To mię kosztowało dwanaście tysięcy liwrów.

— A skądże je wziąłeś? Czy posiadałeś taką sumę? — zapytał Atos.

— A sławny diament królowej? — rzekł d'Artagnan z lekkim westchnieniem.

— Ach, prawda! — zawołał Aramis.

— No — rzekł Atos — już tedy dobrze poszło co do kata, ale na nieszczęście, każdy kat ma swojego pomocnika, zastępcę czy coś podobnego.

— Toteż i ten miał swojego, ale jakoś sprzyja nam los we' wszystkim.

— Jak to?

— W chwili kiedy sądziłem, że będę musiał drugi targ rozpocząć, przyniesiono tego chłopca ze złamaną nogą. Przez zbytek gorliwości odprowadził on aż na miejsce wóz z belkami, i tarcicami przeznaczonymi na zbudowanie rusztowania i jedna z belek, spadłszy z wozu, złamała mu nogę.

— Ach, to pewno jego krzyk słyszałem będąc u króla — rzekł Aramis.

— Być może; ale ponieważ jest to człowiek — jakich większość — dobrze myślący, to jest nienawidzący Stuarta, przeto gdy stał się niezdolny do pracy, pomyślał o zastąpieniu siebie czterema innymi i zaraz jak go przynieśli do domu, napisał do swego przyjaciela, czeladnika ciesielskiego, Toma Low, aby z trzema pomocnikami udał się do Whitehall dla przyspieszenia budowy rusztowania. Oto jest list, który posłaniec miał odnieść za dziesięć pensów, ale wołał oddać mi go za luidora.

— A na cóż ci się ten list przyda? — zapytał Atos.

— Nie zgadujesz? — rzekł d'Artagnan, z oczami błyszczącymi dowcipem.

— Nie zgaduję.

— Otóż widzisz, mój kochany Atosie, ty, który mówisz po angielsku jak sam John Bull, ty będziesz owym Tomem Low, a my trzej twoimi pomocnikami; rozumiesz teraz?

W kilka chwil wszyscy czterej udali się do Whitehall z piłą, młotem, toporem, świdrem itp. i z listem pomocnika katowskiego, który był dowodem, że oni są tymi, na których czekano.

XV

ROBOTNICY

Około północy Karol usłyszał wielki łoskot pod swoim oknem; były to uderzenia młota i topora i chrzęst piły. Dwaj robotnicy najwięcej czynili łoskotu. Parry przystąpił do nich.

— Moi przyjaciele — rzekł — proszę was, pracujcie cokolwiek ciszej, gdyż król nie może spać, a potrzebuje spoczynku.

Człowiek pracujący oskardem spojrział na niego bystro i położył palec na ustach.

Parry zamknąwszy drzwi przystąpił do króla z twarzą błyszczącą od radości.

— Najjaśniejszy panie — rzekł z cicha — czy wiesz, kto są ci robotnicy, którzy tyle łoskotu sprawiają?

— Skądże mam wiedzieć — odrzekł król melancholijnie potrząsając głową.

— Najjaśniejszy panie — mówił dalej Parry jeszcze ciszej i pochylając się nad łóżkiem króla — to jest hrabia de la Fère i jego towarzysze.

— Jak to? Oni wznoszą dla mnie rusztowanie! — zawołał król zdziwiony.

— Tak, ale budując je robią wyłom w murze.

— Pst! — rzekł król spoglądając z przestrachem wokoło. — Czy widziałeś ich?

— Mówiłem z nimi.

Parry nie omylił się, w istocie bowiem Atos z pomocą Portosa wybijał w murze otwór; w który miała być wsunięta jedna z głównych belek mających podtrzymywać rusztowanie.

Ten otwór wchodził do rodzaju niskiej antresoli pod pokojem królewskim. Wszedłszy tam, nie trudno byłoby wysadzić jedną taflę podłogi, co miał wykonać Portos. Przez ten otwór król miał zejść do antresoli, a stąd pod rusztowanie ze wszystkich stron obite czarnym sukniem i przebrawszy się w przygotowane suknie robotnika, wyjść śmiało razem ze swymi wybawcami.

Straże nie mogłyby mieć podejrzenia wobec robotników, pracujących około rusztowania, a jak wiemy, w Greenwich czekał statek najęty przez Atosa.

Atos miał jeszcze ze dwie godziny roboty, aby się dostać do króla, a nasi przyjaciele liczyli, że mają jeszcze cały dzień przed sobą, gdyż po zamknięciu kata londyńskiego trudno było posłać po innego, a najbliższy był w Bristolu.

D'Artagnan, Portos i Aramis naznaczyli sobie schadzkę na placu Whitehall w południe, a tymczasem rozeszli się.

Aramis udał się do Juxona, aby z nim dostać się do króla. Pierwej jednak zbliżył się do kryjówki Atosa, aby mu o tym powiedzieć.

— Idź — rzekł Atos — powiedz królowi, jak rzeczy stoją, powiedz mu, żeby jak tylko będzie w swoim pokoju, zapukał w podłogę, abym mógł być pewien, że nikt nie słyszy mojej roboty. Jeśliby Parry mógł mi dopomóc, podważając nieco taflę przy ścianie, to by przyspieszyło sprawę.

Aramis oddalił się i poszedł do oberży, gdzie zastał swoich dwóch przyjaciół przy dobrym ogniu, butelce wina i pulardzie na zimno. Portos jadł kłnąc purytanów, d'Artagnan milczał, ale w myśli budował najśmielsze plany.

Aramis opowiedział wszystko, co zostało ułożone, d'Artagnan pochwalił to skinieniem, a Portos słowami.

Aramis naprędce zjadł kawałek kury, wypił szklanekę wina i przebrał się.

— Teraz — rzekł — idę do biskupa. — Ty, Portosie, zajmij się przygotowaniem broni, a ty, d'Artagnan, czuwaj nad twoim więźniem.

— Bądź spokojny, Grimaud zluzował Mousquetona i siedzi jak cerber na progu.

Aramis udał się do Juxona prosząc go, aby mu ułatwił dostęp do króla. Juxon z ochotą przystał na to, tym bardziej iż uprzedził Cromwella, że będzie potrzebował pomocy jednego duchownego w tym niewątpliwym wypadku, gdy król zechce się komunikować, a tym bardziej jeśliby chciał słuchać mszy świętej.

Ubrany w szaty, w których wczoraj Aramis odwiedzał króla, Juxon wsiadł do karety, a z nim Aramis, którego bladość i wzruszenie więcej jeszcze zmieniły niż ubiór diakona, jaki przywdział.

Powóz zatrzymał się przed bramą Whitehall; była to godzina dziewiąta z rana.

Król był pełen nadziei. Gdy wszedł Aramis, nadzieja ta zmieniła się w radość. Uściskał Juxona i Aramisa. Biskup wobec świadków głośno mówił z królem o wczorajszym widzeniu się z nim, król odpowiedział, że pragnąłby i dziś korzystać z jego religijnej pociechy. Wtedy Juxon, obróciwszy się do obecnych, prosił ich, aby go zostawili samego z królem i diakonem.

Wszyscy oddalili się, a gdy drzwi zamknięto, Aramis rzekł:

— Panie, jesteś ocalony! Kat londyński znikł, jego pomocnik złamał sobie nogę wczoraj; jego to krzyk słyszeliśmy. Pewno już dowiedziano się o zniknięciu kata, ale innego nie ma bliżej jak w Bristolu, a na sprowadzenie go stamtąd potrzeba dużo czasu.

— A hrabia de la Fère? — zapytał król.

— O dwie stopy od waszej królewskiej mości. Weź, panie, żelazo od poprawiania ognia i uderz nim trzy razy w posadzkę, a hrabia odpowie ci.

Król drżącą ręką wziął żelazo i uderzył nim trzy razy w posadzkę w równych przerwach. Natychmiast uderzenia głuche i ostrożne odpowiedziały pod posadzką.

— A więc — rzeki król — ten, który mi tam odpowiada, jest...

— Hrabia de la Fère — odpowiedział Aramis — przygotowuje on drogę, przez którą, królu, będziesz mógł uciec. Parry z swojej strony podniesie tę taflę marmurową i przejście będzie zupełnie otwarte.

— Ach — rzekł Parry — nie mam żadnego narzędzia.

— Weź ten sztylet — rzekł Aramis — ale nie przytęp go za bardzo, bo może trzeba będzie zanurzyć go gdzie indziej.

Atos ciągle pracował i coraz bliżej słyhać było odgłos jego narzędzi. Ale nagle niespodziany odgłos dał się słyszeć na galerii. Aramis pochwycił szybko żelazo i zapukał w ziemię na znak ciszy.

Wkrótce rozróżnić można było odgłos kroków wielu ludzi. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę drzwi, które otworzyły się z wolna, uroczyście.

Żołnierze stali dwoma rzędami w sali poprzedzającej pokój królewski. Jeden z komisarzy parlamentu, ubrany czarno, wszedł ze złowrogą powagą, uklonił się królowi i rozwinąwszy pergamin odczytał wyrok, jak to zwykle czynią skazanemu na śmierć, w chwili kiedy ma iść na szafot.

— Co to znaczy? — zapytał Aramis Juxona.

Juxon skinął głową na znak, że zupełnie tego nie pojmuje. — A więc to dziś? — zapytał król z pewnym wzruszeniem, które tylko Aramis i Juxon mogli spostrzec.

— Czy nie zawiadomiono waszej królewskiej mości, że wyrok ma być wykonany dziś rano? — rzekł urzędnik.

— Czy mam *zginąć* z rąk kata londyńskiego? — zapytał znowu król.

— Kat londyński znikł, panie — odrzekł urzędnik — ale na jego miejsce ofiarował się jakiś nieznajomy. Wykonanie wyroku opóźni się tylko na czas, jaki będzie potrzebny waszej królewskiej mości dla uporządkowania spraw sumienia.

Lekki pot na czole Karola był jedynym znakiem wzruszenia, jakie mu sprawiła ta wiadomość.

Ale Aramis zbladł jak trup, zamknął oczy i oparł się ręką o stół. Widząc tę głęboką boleść, Karol zdawał się zapominać o swojej.

Postąpił ku niemu, wziął go za rękę i uściskał go.

— Mój przyjacielu — rzekł ze słodkim i smutnym uśmiechem — nabierz odwagi.

Potem odwracając się do komisarza rzekł:

— Panie, jestem gotów. To, czego żądam, niewiele czasu zajmie. Pragnę się wypowiedzieć i przyjąć Najświętszy Sakrament; potem: uściskać moje dzieci i pożegnać je po raz ostatni. Czy wolno mi będzie?

— Tak, panie — odrzekł komisarz i wyszedł.

— Usiądź, Juxonie— rzekł król klękając — ponieważ musisz mnie wysłuchać. Zostań, przyjacielu — dodał obracając się do Aramisa, który chciał wyjść — zostań i ty, Parry.

Juxon usiadł, a król na kolanach przed nim, jak najpokorniejszy z wiernych — zaczął spowiedź.

XVI

REMEMBER! (PAMIĘTAJ!)

Król przypomniał sobie, że Atos czeka na znak rozpoczęcia na nowo roboty, i lękając się, aby jaki łoskot nie zdawał mu się tym znakiem i nie wydał go, zachowywał się zupełnie cicho, a wszyscy poszli za jego przykładem.

Król nie mylił się: Atos istotnie znajdował się pod jego nogami, słuchał, rozpaczał, że nie słyszy hasła, niekiedy z niecierpliwości zaczynał pracować koło odrywania pułapu, ale z obawy, aby go nie usłyszano, przestawał natychmiast.

Ta okropna bezczynność trwała dwie godziny. Grobowe milczenie panowało w pokoju królewskim.

Wtedy Atos postanowił poznać przyczynę tego ponurego i niemego spokoju, który tylko zakłócał gwar ludu. Rozsunął zasłonę sukienną i wszedł na pierwszą kondygnację rusztowania. Nad jego głową, o kilka cali tylko, była podłoga tworząca platformę rusztowania.

Ten gwar, który dotąd głucho tylko dochodził do niego, teraz stał się ponury i groźny i przeraził go. Zbliżył się do samego brzegu rusztowania i przez szparę spostrzegł żołnierzy ustawionych wokół pnia, za nimi szereg halabardzistów i muszkieterów, a dalej niezliczone tłumy ludu.

Nagle bębny zabrzmiały głucho i grobowo na placu, odgłos ciężkich powolnych kroków dał się słyszeć nad jego głową. Spojrzał jeszcze po placu, a postawa widzów wyraźnie okazała mu to, czego jeszcze nie śmiał zgadnąć.

Gwar ustał zupełnie. Wszystkie oczy zwróciły się ku oknu przy balkonie.

Już deski rusztowania nad głową Atosa ugięły się pod ciężarem mnóstwa żołnierzy tak, że prawie dotykały jego głowy.

W tej samej chwili głos dobrze mu znany wymówił parę słów nad jego głową.

Atos zadrżał — głos na rusztowaniu był głosem Karola I.

W istocie, wypiwszy kilka kropel wina, król znużony oczekiwaniem postanowił pójść na spotkanie śmierci i dał znak do pochodu.

Wtedy otworzono drzwi prowadzące na plac i z głębi obszernego pokoju ciekawi spostrzegli najpierw postępującego w milczeniu człowieka zamaskowanego, w którym po toporze, trzymanym w ręku, łatwo poznać było kata. Człowiek przystąpiwszy do pnia złożył na nim swój topór.

Za tym człowiekiem postępowali bladzi, Karol Stuart między dwoma duchownymi, a za nim kilku wyższych oficerów, którzy mieli być obecni przy wykonaniu wyroku. Oddział halabardzistów ustawił się dwoma szeregami na rusztowaniu.

Widok zamaskowanego człowieka spowodował szmer. Każdy był ciekaw wiedzieć, kim jest ten nieznany kat, który tak w porę stawił się do wykonania wyroku, kiedy po zniknięciu kata londyńskiego wszyscy sądzili, że wykonanie wyroku zostanie odłożone do dnia następnego.

Wszyscy więc go pożerali oczyma, ale nie można było zobaczyć nic więcej prócz tego, że był to człowiek średniego wzrostu i tuszy, ubrany czarno i zapewne w starszym już wieku, gdyż koniec siwej brody wystawał spod maski, która mu twarz zakrywała.

Milczenie zapowiadało ostatnie przygotowania. Król odpiął order, który miał na szyi, to jest tę gwiazdę diamentową, którą mu przysłała królowa Henrieta, i oddał ją duchownemu, który towarzyszył Juxonowi. Potem wyjął z zanadru mały krzyż, także diamentowy, również pochodzący od królowej Henriety, i rzekł do tegoż duchownego:

— Panie, ten krzyż chcę zatrzymać w ręku do ostatniej chwili, weźmiesz mi go pan, gdy już żyć nie będę.

— Stanie się tak, najjaśniejszy panie — odpowiedział głos, po którym Atos poznał Aramisa.

Wtedy król, który dotychczas stał z nakrytą głową, zdjął kapelusz i rzucił go o parę kroków, potem odpiął wszystkie haftki swego kaftana, zdjął go i rzucił przy kapeluszu.

Te wszystkie przygotowania odbywały się z przerażającym spokojem. Można było myśleć, że król idzie na spoczynek, a nie do grobu.

Na koniec, podnosząc ręką włosy, rzekł do kata:

— Czy moje włosy nie przeszkodzą panu? W takim razie można by je przewiązać sznurkiem.

Przy tych słowach król patrzył na kata wzrokiem, który zdawał się przenikać pod maskę nieznanego.

— Wystarczy — odpowiedział kat ponurym głosem — odsunąć je na bok.

Król rozdzielił włosy na dwie strony i rzekł znowu: — Czy sądzisz, że od jednego ciosu potrafisz odłączyć moją głowę od ciała?

— Spodziewam się — odrzekł zamaskowany.

W tych słowach „spodziewam się” był tak szczególny akcent, że wszyscy zadrżeli prócz króla.

— To dobrze — rzekł Karol — a teraz słuchaj.

Człowiek zamaskowany postąpił krok naprzód i oparł się na swoim toporze.

— Nie chcę, abyś mię niespodzianie uderzył, uklęknę, aby się pomodlić, nie uderzaj wtedy.

— A kiedyż mam zadać cios? — zapytał nieznanomy.

— Kiedy położę głowę na. pniu i powiem: „Remember” — wtenczas uderz śmiało.

Człowiek zamaskowany uklonił się lekko.

— A teraz, panowie, usuńcie się cokolwiek i pozwólcie mi pomodlić się.

Usunęli się wszyscy, a Karol ukląkł, przeżegnał się i pochyliwszy się, jakby chciał pocałować ziemię, rzekł po francusku:

— Czy jesteś tu hrabio de la Fère i czy mogę mówić do ciebie?

Ten głos uderzył prosto w serce Atosa i przeszył je jak zimne żelazo.

— Tak, najjaśniejszy panie — rzekł drżąc.

— Przyjacielu wierny, szlachetny człowieku, nie mogłem być ocalony przez ciebie: widać Bóg tak zrządził. Mówiłem już do ludzi, mówiłem do Boga, teraz mówię do ciebie ostatniego. Dla utrzymania sprawy, którą uważałem za świętą, straciłem tron moich ojców i naraziłem dziedzictwo moich dzieci. Został mi milion w złocie, zakopałem go w piwnicach zamku Newcastle, w chwili kiedy opuszczałem to miasto. Ty sam wiesz o istnieniu tych pieniędzy, użyj ich wtenczas, gdy będziesz sądził, że to będzie najpotrzebniejsze i najkorzystniejsze dla mojego najstarszego syna. A teraz, hrabio de la Fère, powiedz mi ostatnie słowo.

— Żegnam cię, nieszczęśliwy królu, męczenniku! — wyjęknął Atos zdrętwiały z bóleści.

Nastąpiła chwila milczenia, w której Atosowi zdawało się, że król podniósł się z miejsca, gdzie klęczał.

Potem głosem pełnym i brzmiącym, który nie tylko na rusztowaniu, ale w całym tłumie ludu słyhać było, król wyrzekł to słowo:

„Remember!” (Pamiętaj).

Zaledwie dokończył tego wyrazu, kiedy okropny cios zatrząsł podłogą rusztowania. Kurz z desek i sukna osypał twarz nieszczęśliwego Atosa.

XVII

CZŁOWIEK W MASCE

Chociaż była dopiero czwarta godzina, ciemno było jak w nocy; padał śnieg gęsty i zimny. Aramis przybył wkrótce i zastał odrętwiałego Atosa.

— Wypij szklanę portu — rzekł Aramis nalewając mu wina — to cię orzeźwi.

— Tak, pijmy — rzekł Atos. — Pijmy i opuśćmy ten kraj. Statek czeka na nas. Jedźmy jeszcze tego wieczora, nie mamy tu nic więcej do roboty.

Czterej przyjaciele przebrali się prędko w swoje własne ubrania, przypasali szpady, zawołali Mousquetona i Blaisois, kazali im załatwić rachunek z gospodarzem i przygotować wszystko do wyjazdu, bo mogli spodziewać się, że prawdopodobnie tej nocy opuszczą Londyn.

Mroki nocy bardziej jeszcze zgęstniały. Śnieg ciągle padał. Była siódma wieczorem, ale mało widać było przechodniów w tym tak ludnym mieście; każdy rozmawiał w domu ze swoimi o historycznych wypadkach owego pamiętnego dnia.

Czterej przyjaciele, owinięci płaszczami, przeszli rozmaite place i ulice, zupełnie opustoszałe w tej chwili. D'Artagnan prowadził ich usiłując rozpoznać niekiedy znaki, które porobił sztyletem na murach, ale noc była tak ciemna, że nie podobna było ich dojrzeć. Jednakże d'Artagnan tak mocno wrył w swoją pamięć każdy róg ulicy, że po pół godzinie drogi stanął ze swymi trzema towarzyszami przed odosobnionym domkiem.

Przez chwilę d'Artagnan sądził, że brat Parry'ego znikł, ale dzielny Szkot, przywykły do śniegów w swoich górach, rozciągnął się pod murem jak posąg zwalony z cokołu, ale za zbliżeniem się naszych czterech przyjaciół powstał.

— No — rzekł Atos — oto jeszcze jeden wierny sługa. Jeszcze poczciwi ludzie nie są nadzwyczajną rzeczą; to dodaje odwagi.

D'Artagnan przybliżył się do Szkota i dał mu się poznać, potem skinął na innych, aby się także przybliżyli.

— I cóż? — zapytał go Atos po angielsku.

— Nikt nie wyszedł — odpowiedział brat Parry'ego.

— Dobrze. Portos i Aramis zostanie z nim, a ty, d'Artagnan, pójdź ze mną do Grimauda.

Grimaud, również nieruchomy jak Szkot, przytulił się do spróchniałej wewnątrz wierzby, z której sobie zrobił rodzaj budki.

Z wierzby Grimaud wystawił głowę i cicho zagwizdał.

— Och! — rzekł Atos.

— Tak — odpowiedział Grimaud.

— I cóż? — zapytał d'Artagnan — czy ktoś wyszedł?

— Nie — odpowiedział Grimaud — ale musiał być tam ktoś drugi.

— Dlaczego?

— Bo słyhać rozmowę.

— Ach, więc ich jest dwóch — rzekł d'Artagnan.

— Wolalbym, żeby ich było czterech — rzekł Atos — przynajmniej byłaby równa gra.

— A może ich jest i czterech... i więcej.

— Można by zobaczyć — rzekł Grimaud pokazując okno na piętrze, gdzie przez szpary okiennic przeciskały się promienie światła.

— Prawda — rzekł d'Artagnan — przywołajmy innych. I obszedłszy wokół dom skinęli na innych.

— Czy widzieliście co? — zapytał Aramis. — Nie, ale zaraz dowiemy się — odrzekł d'Artagnan pokazując Grimauda, który czepiając się gzymsów już wdrapał się o kilka stóp od ziemi. Pnąc się w ten sposób ze zręcznością kota, doszedł do miejsca, gdzie mógł mocno uchwycić się haka, na który zwykle zakłada się otwarta okiennica, żeby nią wiatr nie poruszał. W tej samej chwili noga jego napotkała szeroki kapitel, który zapewne przedstawiał mu dostateczny punkt oparcia, bo dał znak głową, że doszedł do celu, i przyłożył oko do szpary w okiennicy.

— I cóż? — zapytał d'Artagnan.

Grimaud pokazał ściśniętą rękę, której dwa palce były otwarte.

— Mów — zawołał d'Artagnan — bo znaków nie widać. Ilu ich jest?

Grimaud rzekł:

— Dwóch: jeden twarzą do mnie, drugi odwrócony.

— Czy nie poznajesz tego, który stoi przodem?...

— Owszem, znam go dobrze — tłusty, niski.

— Któż on jest? — zapytali wszyscy czterej razem.

— Generał Oliver Cromwell. Czterej przyjaciele spojrzeli po sobie.

— A drugi? — zapytał Atos.

— Szczupły, dość wysoki.

— To kat! — zawołali równocześnie Aramis i d'Artagnan.

— Widzę go tylko z tyłu, ale zaraz, obraca się; jeśli zdjął maskę, będę mógł zobaczyć. Ach!...

Grimaud, jakby uderzony piorunem, puścił hak, którego się trzymał, i upadł w tył, ale Portos uchwycił go w powietrzu.

— Widziałeś go? — zapytali wszyscy razem.

— Tak — odpowiedział Grimaud z włosami zjeżonymi i potem na czole.

— Tego wysokiego?

— Tak.

— Kata?

— Tak.

— I któż to jest?

— On! on! — wyjąkał Grimaud blady jak śmierć, chwytając drżącymi rękami za rękę swego pana.

— Kto on? — zapytał Atos.

— Mordaunt! — odpowiedział Grimaud. D'Artagnan, Aramis i Portos wydali krzyk radości. Atos przesunął ręką po czole i rzekł ponuro:

— To jakieś fatum!

XVIII

DOM CROMWELLA

Mordaunt wszedłszy do domu zdjął maskę, odwiązał siwą brodę i stanął naprzeciw człowieka, który siedział przy stole i pisał.

Tym, człowiekiem był Cromwell.

Cromwell miał w Londynie, jak wiadomo, kilka tajemnych mieszkań, o których jego przyjaciele nawet nie wiedzieli, z wyjątkiem kilku najbardziej zaufanych. Mordaunt właśnie należał do tych ostatnich.

Skoro wszedł, Cromwell podniósł głowę. — To ty, Mordaunt? — rzekł do niego — późno przybywasz.

— Generale — odpowiedział Mordaunt — chciałem widzieć obrzęd do końca i to jest przyczyną tego opóźnienia.

— Ach! nie sądziłem, żebyś był tak ciekawy.

— Zawsze jestem ciekawy, kiedy idzie o upadek jednego z nieprzyjaciół waszej części, a ten mógł się liczyć do najzawziętszych. Ale wy, generale, nie byliście w Whitehall?

— Nie — rzekł Cromwell. Nastąpiła chwila milczenia.

— Aleście mieli wiadomości o tym, co zaszło? — pytał dalej Mordaunt.

— Żadnej. Jestem tu od rana. Wiem tylko, że był' spisek w celu uratowania króla.

— Ach! pan to wiedziałeś? — rzekł Mordaunt.

— To mała rzecz. Czterech ludzi przebranych za robotników miało wyprowadzić króla z więzienia i zawieźć do Greenwich, gdzie na nich czekał statek.

— I' wiedząc o tym wszystkim wasza cześć siedziałeś tu z daleka od miasta spokojny i beczynny.

— Tak, spokojny; ale któż ci mówił, że beczynny?

— Sądziłem, że wasza cześć uważa śmierć Karola I za nieszczęście potrzebne dla dobra Anglii.

— Tak właśnie. Takie jest moje zdanie. Ale nie zależało mi na tym, jaką zginie śmiercią — byleby tylko zginął; może by nawet lepiej było, żeby nie na rusztowaniu.

— A to dlaczego, generale? Cromwell uśmiechnął się.

— Wybaczcie mi — rzekł Mordaunt — wasza cześć wie, że jestem uczniem w polityce i chciałbym korzystać w każdej okoliczności z nauk, których mi raczy udzielać mój nauczyciel.

— Bo powiedziano by, że skazałem go na śmierć przez sprawiedliwość, a przez litość pozwoliłem mu uciec.

— A gdyby też uciekł w istocie?

— To było niepodobieństwo.

— Jak to?...

— Przedsięwziąłem stosowne środki ostrożności.

— Czy wasza cześć zna tych czterech ludzi, którzy chcieli ocalić króla?

— Są to czterej Francuzi, z których dwóch przysłała do Stuarta królowa Henrieta, a dwóch do mnie wysłał Mazarini.

— Czy pan myślisz, że Mazarini polecił im tak postąpić, jak postąpili?

— Być może, lecz on się do tego nie przyzna.

— Tak pan sądzisz? .

— Jestem tego pewny.

— I dlaczegoż?

— Bo im się nie powiodło.

— Wasza cześć dałeś mi dwóch z tych Francuzów dziś rano, kiedy tylko ta wina ciążyła na nich, że podnieśli oręż w sprawie Karola I. Teraz czy wasza cześć zechcesz dać mi ich wszystkich czterech?

— Weź ich sobie — rzekł Cromwell. Mordaunt uklonił się z uśmiechem triumfu.

— Ale — dodał Cromwell widząc, że Mordaunt chce dziękować — wróćmy jeszcze do tego nieszczęśliwego Karola. Czy nie było okrzyków między ludem?

— Bardzo mało, chyba tylko: „Niech żyje Cromwell!”

— Gdzieżeś stał?

— Stałem tak, że wszystko doskonale' mogłem i widzieć, i słyszeć — odpowiedział Mordaunt.

Cromwell wpatrywał się bacznie w Mordaunta, lecz z twarzy jego nic wyczytać nie było można. Po kilku chwilach Cromwell odwrócił oczy z obojętnością.

— Zdaje się — rzekł — że ten kat zaimprovizowany doskonale spełnił swoją powinność. Cios, jak mi to doniesiono, był wymierzony wprawną ręką.

Mordaunt przypomniał sobie, że Cromwell powiedział mu poprzednio, iż nie miał żadnych wiadomości. Doszedł więc do wniosku, że generał gdzieś ukryty był obecny przy wykonaniu wyroku.

— W istocie — rzekł Mordaunt głosem spokojnym i z twarzą obojętną — raz jeden tylko uderzył.

— Może też to był rzeczywiście jaki kat — rzekł Cromwell.

— Tak sądzisz, generale?

— Czemuż by nie?

— Nie wyglądał na kata.

— A któż inny, jeśli nie kat — spytał Cromwell — jałby się podobnego rzemiosła.

— Może — powiedział Mordaunt — jaki osobisty wróg króla. Karola, który przysiągł, że się zemści, i dopełnił przysięgi; może jaki szlachcic, który miał ważne powody do nienawiści względem Stuarta i który wiedząc, że ma uciec i wymknąć się mu, stanął na jego drodze, z twarzą okrytą maską, z toporem w rękę, już nie jako zastępca kata, ale jako posłannik przeznaczenia.

— Być może — powiedział Cromwell..

— A jeżeli tak jest — rzekł Mordaunt — czy wasza cześć zgani ten postępek?

— Nie do mnie należy sądzić go — rzekł Cromwell — osądzi go Bóg i jego sumienie.

— Ale gdyby wasza cześć znał tego szlachcica?

— Nie znam go — odpowiedział Cromwell — i znać go nie chcę. Co mi do tego, czy ten, czy inny. Odkąd Karol został skazany, nie człowiek ściął mu głowę, ale topór.

— A przecie, gdyby nie ten człowiek, Stuart byłby ocalony. Cromwell uśmiechnął się.

— Niezawodnie. Sameś, panie, powiedział, że go uwiozą.

— Uwięziliby go do Greenwich. Tam wsiadłby na okręt ze swoimi czterema wybawcami. Ale na tym statku było czterech ludzi wiernych mnie i cztery beczki z prochem. Na morzu moi czterej ludzie wsiadliby w szalupę, a jesteś za dobrym politykiem, panie Mordaunt, abym ci potrzebował tłumaczyć koniec.

— Tak, na morzu proch wysadziłby wszystkich w powietrze.

— Tak, właśnie. Eksplozja dokonałaby tego, czego by nie dokonał topór. Powiedziano by, że uszedł przed sprawiedliwością ludzką, ale go ścigała i dosięgła zemsta nieba; my już tylko bylibyśmy jego sędziami, a sam Bóg wykonawcą wyroku. Widzisz więc, jak wiele straciłem przez twojego zamaskowanego szlachcica. Osądź sam, czy nie mam ważnych powodów, żeby go nie chciać poznać, bo rzeczywiście, pomimo jego doskonałych zamiarów, nie mógłbym być mu wdzięczny za to, co uczynił.

— Panie — rzekł Mordaunt — jak zawsze, tak i teraz schylam głowę, i upokarzam się przed tobą, jako przed głębokim politykiem; pomysł z okrętem i prochem był wspaniały.

— W polityce ten tylko pomysł jest wielki, który osiągnął skutek; wszelki zaś, który się nie powiedzie, jest czczy i niedorzeczny. Pojedziesz więc dziś wieczór do Greenwich, Mordaunt — rzekł Cromwell wstając — będziesz się pytał o właściciela „Błyskawicy”, pokażesz mu białą chustkę z węzłami na rogach, to był znak umówiony; powiesz ludziom, żeby wysiedli na ląd, a proch każesz odnieść do arsenału, chyba że...

— Chyba że...? — zawołał Mordaunt, którego twarz zabłysła dziką radością podczas mowy Cromwella.

— Chyba żeby ten okręt z terazniejszym swoim ładunkiem mógł się przydać do twoich osobistych zamiarów.

Cromwell wstał i wziął swój płaszcz.

— Pan się oddalasz? — spytał Mordaunt.

— Tak — rzekł Cromwell — spałem tu wczoraj i pozawczoraj, a wiesz, że nie mam zwyczaju trzy noce spać na jednym łóżku.

— Więc — mówił Mordaunt — wasza cześć daje mi zupełną wolność na noc dzisiejszą?

— A nawet na 'dzień następny, jeśli tego będzie potrzeba; Od wczoraj wieczór wieleś dla mnie uczynił i jeżeli masz do załatwienia jakie osobiste interesy, słusznie powinienem zostawić ci czas na nie.

— Dziękuję ci, panie; dobrze go użyję, jak się spodziewam. Cromwell skinął głową, a potem spytał:

— Jesteś uzbrojony?

— Mam szpadę — rzekł Mordaunt.

— A nikt nie czeka na ciebie przy wejściu?

— Nikt.

— Powinien byś więc pójść ze mną.

— Dziękuję panu; zakręty, które trzeba, przebywać idąc przez podziemie, zabrałyby mi dużo czasu, a po tym, com usłyszał od was, panie, może go już za wiele i tak straciłem. Wyjdę więc tamtymi drzwiami.

— Jak chcesz — rzekł Cromwell. .

A dotknąwszy ręką niewidzialnego punktu, otworzył drzwi tak dobrze ukryte w obiciu, że nie podobna było, aby najbystrzejsze oko dojrzeć je mogło.

Drzwi, poruszone sprężyną stalową, zamknęły się za nim.

Było to jedno z tych skrytych przejść, o których wspomina historia, a które znajdowały się w każdym tajemniczym mieszkaniu Cromwella.

Podziemie przechodziło pod pustą ulicą i prowadziło do groty w ogrodzie innego domu, z którego wyszedł przyszły protektor Anglii.

To nam wyjaśnia, dlaczego Grimaud nie widział, żeby kto wszedł, pomimo że Cromwell przybył.

Właśnie podczas ostatniej części tej sceny Grimaud przez otwór między dwiema źle zasuniętymi firankami spostrzegł dwie osoby i poznał Cromwella i Mordaunta.

Widzieliśmy skutek, jaki sprawiła ta wiadomość na czterech przyjaciółach.

D'Artagnan pierwszy odzyskał przytomność umysłu.

— Mordaunt — rzekł — samo niebo nam go zsyła.

— Tak — rzekł Portos — wysadźmy drzwi i uderzmy na niego.

— Przeciwnie — rzekł d'Artagnan — nie wysadzimy drzwi i zachowujmy się jak najciszej. Hałas wywoła ludzi, bo jeżeli on jest, jak powiada Grimaud, ze swoim godnym panem, musi tu być gdzie Ukryta jakaś placówka kirasjerów. Hola! Grimaud, chodź no tu.

Grimaud zbliżył się.

— Dobrze — rzekł d'Artagnan — teraz wleź znowu na ten ganek i powiedz nam, czy Mordaunt jest jeszcze w towarzystwie, czy chce wyjść, czy spać się położyć. Jeżeli jest z nim kto, poczekamy, aż sam zostanie; jeżeli wyjdzie, złapiemy go przy wyjściu; jeżeli zostanie, wysadzimy okno. To nie robi tyle łośkotu. Łatwiej i lepiej to uczynić, niż wysadzać drzwi.

Grimaud zaczął wdrapywać się w milczeniu pod okno.

— Pilnujcie drugiego wyjścia, Atos i Aramis, ja tu stanę z Portosem.

Dwaj przyjaciele usłuchali go.

— No cóż, Grimaud? — spytał d'Artagnan.

— Jest sam — rzekł Grimaud. — Jesteś tego pewny?

— Tak.

— Nie widzieliśmy, żeby jego towarzysz wyszedł. — Musiał wyjść tamtymi drzwiami.

— A on co robi?

— Kładzie płaszcz i bierze rękawiczki.

— Baczość! — rzekł d'Artagnan.

Portos chwycił za sztylet i wyciągnął go machinalnie z pochwy.

— Schowaj broń, przyjacielu — rzekł d'Artagnan — nie idzie tu o to, żeby uderzyć natychmiast. Trzymamy go teraz; postępujemy z wyrachowaniem. Powinniśmy wytłumaczyć się wzajemnie, będzie to coś podobnego do sceny w Armentières, tylko, sądzę, że ten nie zostawi potomstwa, i jeżeli go zdołamy udusić, wszystko się skończy.

— Ach! — rzekł Grimaud — zabiera się do wyjścia. Zbliży się do lampy. Gasi ją. Już nic nie widzę.

— A więc, na ziemię! na ziemię!

Grimaud zeskoczył. Na miękkim śniegu nie słychać było skoku. Cisza też panowała zupełna.

— Idź, uprzedź Atosa i Aramisa, żeby stanęli z obu stron drzwi, jak my tu z Portosem; niech klasną w ręce, jak go

schwytają; my to samo uczynimy, jeśli się nam dostanie.

Grimaud znikł.

— Portosie, Portosie — rzekł d'Artagnan — schowaj się lepiej, kochany przyjacielu, widać twoje szerokie barki; trzeba, aby wychodząc nie zobaczył nas. .

— Żeby tylko tędy wyszedł!

— Cicho! — rzekł d'Artagnan.

Portos przycisnął się tak do ściany, jakby chciał w nią wejść. D'Artagnan to samo uczynił.

Usłyszeli odgłos kroków Mordaunta rozlegający się na schodach. Otworzyło się nieznaczne okienko w drzwiach skrzypiąc na zawiasach. Mordaunt wyjrzał i dzięki ostrożności, jaką przedsięwzięli dwaj przyjaciele, nic nie zobaczył. W tej chwili ujrzał przed sobą d'Artagnana.

Chciał drzwi zamknąć. Portos rzucił się do klamki i otworzył je szeroko.

Portos klasnął trzy razy w ręce. Atos i Aramis przybiegli..

Mordaunt zzieleniał, ale nie krzyknął, nie wzywał pomocy.

D'Artagnan postąpił ku Mordauntowi i popychając go niejako piersiami, zmusił, że cofając się wszedł po schodach aż na górę; schody oświetlała lampa, za pomocą której Gaskończyk mógł widzieć ruchy rąk Mordaunta; ale ten pojął, że choćby zabił d'Artagnana, miałby przeciw sobie trzech wrogów. Nie przedsięwziął więc żadnego kroku obronnego ani żadnego znaku groźby. Przybywszy do drzwi, Mordaunt czuł, że go przyciskają, i zapewne sądził, że tu z nim skończą, lecz się omylił. D'Artagnan wyciągnął rękę i otworzył drzwi. Mordaunt i on znaleźli się więc w tym samym pokoju, w którym dziesięć minut temu młodzieniec rozmawiał z Cromwellem.

Portos wszedł za nimi; sięgnął i zdjął lampę, wiszącą u sufitu, i zapalił drugą, będącą w pokoju.

Atos i Aramis weszli także i zamknęli drzwi na klucz za sobą.

— Zechciej pan usiąść — rzekł d'Artagnan podając krzesło młodzieńcowi.

Ten wziął krzesło z rąk d'Artagnana i usiadł błądliwy, lecz spokojny.

O trzy kroki od. niego Aramis postawił trzy krzesła: dla siebie, dla d'Artagnana i Portosa.

Atos usiadł w najodleglejszym kącie pokoju; postanowił on pozostać tylko widzem tego, co zajść miało.

Portos usiadł z lewej strony d'Artagnana, a Aramis z prawej.

Atos zdawał się bardzo cierpieć, Portos zacierał ręce z gorączkową niecierpliwością.

Aramis uśmiechał się, gryzł sobie do krwi usta.

D'Artagnan wydawał się spokojny, przynajmniej pozornie.

— Panie Mordaunt — rzekł on do młodzieńca — ponieważ po tylu dniach straconych na gonieniu wzajemnym za sobą, na koniec przypadek nas gromadzi — pomówmy z sobą.

XIX

ROZMOWA

Mordaunt był schwytyany tak niespodzianie, szedł po schodach pod wpływem wrażenia tak niepojętego, że jego równowaga zachwiała się. Pierwszym uczuciem, jakiego doznał, było wzruszenie i nieprzewyciężony strach, jaki przejmuje każdego, gdy stanie oko w oko z śmiertelnym wrogiem znajdującym się w przewadze, w chwili gdy sądzi, że wróg ten znajduje się zupełnie gdzie indziej.

Ale kiedy usiadł, zrozumiał, że dano mu zwłokę, natężył całą swoją przytomność i odzyskał siłę fizyczną. Mordaunt, gotów korzystać z każdej sposobności, jaka mu się nadarzy, aby wymknąć się swym nieprzyjaciółom czy to za pomocą siły, czy chytryści, nabrał odwagi i przytomności i czekał jak niedźwiedź złapany w norze, gdy śledzi okiem na pozór obojętnym najmniejsze poruszenie strzelca, który go schwytał.

Jednakże to oko ruchem prawie niedostrzegalnym zwróciło się w stronę długiej i mocnej szpady, która wisiała u jego boku. Położył lewą rękę na rękojeści tak, żeby prawa łatwo ją ująć mogła, i usiadł na wezwanie d'Artagnana.

Ten ostatni czekał zapewne jakiego wyrazu zaczepnego, żeby rozpocząć jedną z tych rozmów szyderczych, które tak dobrze umiał prowadzić.

Mordaunt nic nie mówił. Skoro się przekonał, że ma przy boku swoją szpadę, czekał ze spokojem.

To milczenie nie mogło trwać dłużej, żeby się nie stać śmieszne. D'Artagnan pojął to, a że on zaprosił Mordaunta, żeby usiadł dla rozmówienia się, osądził więc, że powinien zacząć rozmowę.

— Zdaje mi się — rzekł z właściwą sobie szyderczą grzecznością — że pan zmieniasz ubrania tak szybko jak ci Włosi, których pan kardynał sprowadził z Bergamo, a których pewno panu pokazał, jak byłeś we Francji.

Mordaunt nic nie odpowiedział.

— Przed chwilą — mówił dalej d'Artagnan — byłeś pan przebrany, chciałem powiedzieć: ubrany jak zabójca, a teraz...

— A teraz przeciwnie, zdaje mi się, że jestem w ubraniu człowieka, którego zabić mają, wszak prawda? — odpowiedział Mordaunt, zwykłym sobie, spokojnym i ostrym głosem.

— Och, mój panie! — odrzekł d'Artagnan — jak możesz mówić takie rzeczy, kiedy jesteś w towarzystwie szlachty i masz przy boku tak dobrą szpadę.

— Nie mam tak dobrej szpady, która by dorównała czterem szpadom i czterem sztyletom, nie licząc szpad i sztyletów pańskich pomocników, którzy przy drzwiach czekają.

— Przepraszam pana — odpowiedział d'Artagnan — ale mylisz się pan; ci, co czekają na nas przy drzwiach, nie są naszymi pomocnikami, ale służącymi. Lubię ściśle wyrażenia we wszystkim.

Mordaunt w odpowiedzi uśmiechnął się szyderczo.

— Ale nie o to idzie — mówił d'Artagnan — wracam do tego, com powiedział. Miałem więc zaszczyt pytać pana, dlaczegoś zmienił ubranie. Maską, jak mi się zdaje, była dla pana bardzo dogodna; z siwą brodą wcale ci było do twarzy; a co do topora, z którym się tak zręcznie umiałeś obchodzić, sądzę, żebyś i tu z nim dobrze wyglądał. Dlaczego więc nie wzięłeś go z sobą?

— Bo przypominając sobie scenę w Armentières, pomyślałem, że znajdę cztery topory zamiast jednego, ponieważ będę miał do czynienia z czterema katami.

— Ależ, panie — odpowiedział d'Artagnan — jakkolwiek jesteś w najwyższym stopniu zepsutym człowiekiem i zbrodniarzem, jesteś jednak zbyt młody i dlatego nie zważam na twoje dziecinne słowa. Tak, dziecinne słowa. Dziecinne, bo to, coś pan powiedział względem Armentières, nie ma najmniejszego związku z dzisiejszym położeniem. Sam przyznaj, czy mogliśmy podać szpadę matce pana i wezwać ją,

żeby jej przeciwko nam użyła? Ale pan, młody rycerz, który jak widzieliśmy, tak dzielnie używa sztyletu, tak trafnie wymierza strzały i tak długą szpadę nosi przy boku, pan *nie możesz* nie przyjąć czyjegokolwiek wyzwania.

— Ach! Ach! — rzekł Mordaunt — więc pan żadasz pojedynku?

I powstał, a oko jego zabłysło, jakby w tej chwili chciał odpowiedzieć na wyzwanie. Portos wstał także, zawsze gotów do podobnych czynów.

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem — rzekł d'Artagnan, zawsze z tą samą zimną krwią — nie śpieszmy się tak bardzo. Usiądź, kochany Portosie, a pan, panie Mordaunt, chciej się zachować spokojnie.. Ułożymy wszystko jak najlepiej, chcę z panem szczerze postępować. Oświadczyć otwarcie, że pragnąłbyś bardzo zabić spomiędzy nas jednych lub drugich?

— I jednych, i drugich — odpowiedział Mordaunt.

— Kochany panie Mordaunt, powiem ci, że moi koledzy byliby zachwyceni, żeby cię zabić mogli. Powiem nawet, że niezawodnie zabiją cię; zawsze to jednak będzie postęp, jaki prawemu szlachcicowi przystoi. Ja pierwszy chcę pana o tym przekonać.

I to mówiąc, d'Artagnan rzucił kapelusz na stół, odsunął krzesło do ściany, dał znak swoim przyjaciółom, żeby uczynili to samo, i kłaniając się Mordauntowi z wdziękiem prawdziwie francuskim, rzekł: .

— Jestem na pańskie rozkazy, bo jeśli pan nic nie masz przeciwko temu, ja chcę mieć zaszczyt być pierwszym. Moja szpada jest krótsza od pańskiej, ale mniejsza o to, ręka potrafi tę nierówność zastąpić.

— Wstrzymaj się! — rzekł Portos postępując naprzód; ja zacznę. .

— Pozwól, Portosie — rzekł Aramis.

Atos nie uczynił najmniejszego poruszenia; wyglądał jak posąg.

— Panowie, panowie — rzekł d'Artagnan — bądźcie spokojni, przyjdzie i na was kolej. Spójrzcie w oczy temu panu, wyczytacie w nich całą nienawiść, jaką czuje ku nam; patrzcie, jak zręcznie dobył szpady; podziwiajcie, z jaką uwagą spogląda wkoło siebie, czy nie znajdzie przeszkody, skoro zechce zemknąć. A potem — rzekł dobywając szpady ze straszliwym zamachem — ja mam szczególne powody zabić tego pana, ja więc zacznę. Tak chcę i tak być musi.

Portos usunął się. Aramis włożył szpadę pod rękę. Atos ciągle siedział nieruchomy wrogu pokoju.

— Włóż szpadę w pochwę, kawalerze — rzekł d'Artagnan do Aramisa — ten pan mógłby cię posądzać o zamiary, których nie masz.

A obracając się do Mordaunta:

— Czekam na pana! — zawołał.

— Ja zaś dziwię się wam, moi panowie. Spieracie się między sobą, kto pierwszy bić się ma ze mną, a mnie się o to nie pytacie; zdaje się jednak, że i mnie to cokolwiek obchodzi.

Wprawdzie wszystkich was nienawidzę, ale nie w jednakowym stopniu. Spodziewam się wszystkich zabić, ale zależy mi na tym, który z was ma polec pierwszy, a który ostatni. Żądam więc, żeby mi wolno było wybrać przeciwnika. Jeśli mi tego nie dozwolicie, panowie — zabijcie mnie, ja się bić nie będę. Czterej przyjaciele spojrzeli po sobie.

— Sprawiedliwie — rzekli Portos i Aramis, którzy mieli nadzieję, że wybór na nich padnie.

Atos i d'Artagnan nic nie mówili, lecz ich milczenie było potwierdzające.

— A więc — rzekł Mordaunt przerywając głęboką i uroczystą ciszę, która panowała w tym tajemnym domu — a więc wybieram za pierwszego przeciwnika tego z panów, który nie sądząc się godnym nosić nazwisko hrabiego de la Fère, przezwał się Atosem.

Atos wstał z krzesła jakby poruszony sprężyną; ale ku wielkiemu zdziwieniu swoich przyjaciół, po chwili milczenia, ciągle nieruchomy, rzekł potrząsając głową:

— Panie Mordaunt, między nami pojedynek nie może się odbyć, przelej więc na kogo innego wybór, którym mnie zaszczytasz.

I usiadł na swoim krześle.

— Ach — rzekł Mordaunt — jeden już się boi.

— Kroćset piorunów! — zawołał d'Artagnan przyskakując do młodzieńca — kto to powiedział, że Atos się boi?

— Daj pokój, d'Artagnan — odpowiedział Atos z uśmiechem pełnym smutku i pogardy.

— Takie jest twoje postanowienie, Atosie? — zapytał Gaskończyk.

— Niezachwiane.

— Dobrze więc, nie mówmy już o tym.

— Słyszałeś pan — rzekł obracając się do Mordaunta — hrabia de la Fère nie chce cię zaszczyścić pojedynkiem. Wybierz więc spośród nas, kto ma go zastąpić.

— Skoro nie z nim — rzekł Mordaunt — wszystko mi jedno, z kim się bić będę. Włóżcie panowie wasze nazwiska w kapelusz, a wyciągnę los.

— Dobra myśl — rzekł d'Artagnan.

— W istocie, ten sposób godzi wszystko — rzekł Aramis.

— Nigdy bym o tym nie pomyślał — dodał Portos — a przecież to rzecz tak prosta.

— Słuchaj, Aramisie — rzekł d'Artagnan — napisz nasze imiona tym pięknym drobnym charakterem, jakim pisałeś do Marii Michon uprzedzając ją, że matka tego pana chce kazać zabić milorda de Buckingham.

Mordaunt przyjął ten nowy pocisk bez zmarszczenia brwi; stał prosto, z rękami założonymi na krzyż i zdawał się być tak spokojny, jak tylko może być człowiek w podobnym położeniu. Jeśli nie był to wynik odwagi, to w każdym razie dumy.

Aramis napisał kartki, zwinął je, wrzucił do kapelusza i podał młodzieńcowi.

Ten sięgnął ręką, wyjął jedną kartkę, którą rzucił z pogardą, nie przeczytawszy nawet.

— Ach, padalcze! — mruknął d'Artagnan — oddałbym wszystkie nadzieje otrzymania patentu na kapitana muszkietarów, żeby ten papier zawierał moje imię.

Aramis rozwinął kartkę, ale jakkolwiek usiłował udać oziębłość i spokój, głos jego drżał z nienawiści i żądz, kiedy przeczytał głośno:

— D'Artagnan! D'Artagnan krzyknął z radości.

— Ach! jest więc sprawiedliwość w niebie!

D'Artagnan pewny, że jego żądanie spełni się i że przeciwnik już mu się nie wymknie, odzyskał spokój i zimną krew i ze zwykłym sobie wyrachowaniem w podobnych wypadkach zaczął przygotowywać się do pojedynku. Zawinął szeroko mankiety, potarł prawą podeszwę o posadzkę i wtenczas spostrzegł,

że Mordaunt znowu rzucił wokoło siebie to szczególne spojrzenie, które już raz był spotkał w przelocie. — Czyś pan gotów? — zapytał.

— Ja czekam na pana — odpowiedział Mordaunt podnosząc głowę i spoglądając na d'Artagnana wzrokiem, którego wyraz trudny był do opisania.

— A więc, pilnuj się pan — rzekł Gaskończyk — bo ja dość dobrze szpadą wywijam.

— I ja także — rzekł Mordaunt.

— Tym lepiej, będę miał sumienie spokojne. A więc, baczność!

— Jeszcze chwilę — rzekł młodzieniec — dajecie słowo, panowie, że będziecie nacierać tylko jeden po drugim?

— Czy. chcesz nas obrazić, pytając się o to, ty gadzino! — rzekł Portos.

— Nie, lecz żeby mieć spokojne sumienie, jak to ten powiedział przed chwilą.

— Jest w tym coś innego — mruknął d'Artagnan potrząsając głową i rzucając wokoło niespokojne spojrzenie.

— Dajemy nasze słowo — rzekli razem Aramis i Portos.

— Kiedy tak — rzekł Mordaunt — usuńcie się, panowie, w jaki kąt, jak pan hrabia de la Fère, który chociaż się bić nie chce, okazuje, że zna przepisy walki, i zostawcie nam wolne miejsce, będziemy go potrzebować.

— Niech i tak będzie — rzekł Aramis. — Ile tu zachodów! — dodał Portos.

— Usuńcie się, panowie — zawołał d'Artagnan — nie chcę, żeby ten pan mógł sądzić, że zamierzamy działać podstępnie, chociaż on sam, muszę wyznać mimo szacunku, jaki mam dla . niego, ma na to wielką ochotę.

Ten nowy żart nie wzruszył bynajmniej Mordaunta.

Portos i Aramis usunęli się w róg sali naprzeciw Atosa i zostawili walczącym cały środek pokoju.

— Cóż? — zapytał d'Artagnan — jesteś pan nareszcie gotów?

— Jestem gotów — rzekł Mordaunt.

Obaj postąpili jeden krok naprzód i szpady skrzyżowały się. Mordaunt tak zręcznie odbijał cięcia d'Artagnana, że ten zawołał:

— Zaczynani przekonywać się, że się będziemy nieźle bawić.

— Tak — mruknął Aramis — ale przy całej zabawie pilnuj się.

— Na Boga, przyjacielu, uważaj — rzekł Portos. Mordaunt roześmiał się.

— Ach! — rzekł d'Artagnan — jak się pan brzydko śmiejesz! Chyba sam diabeł nauczył pana takiego śmiechu, co?

Mordaunt nic nie odpowiedział, a walka ciągle trwała i zwycięstwo nie przechylało się na niczyją stronę.

Mordaunt szybko cofnął się o krok.

— Ach! pan umykasz — rzekł d'Artagnan — obracasz się? Jak się podoba; ja zyskuję nawet na tym: nie widzę pana złośliwej twarzy. Jesteś całkiem w cieniu, tym lepiej. Nie możesz sobie pan wyobrazić, jakie masz fałszywe spojrzenie, nade wszystko, kiedy się boisz. Spójrz mi pan w oczy, a zobaczysz w nich to, czego twoje zwierciadło nigdy ci nie pokaże, to jest spojrzenie otwarte i prawe.

Mordaunt ani jednym słowem nie odpowiedział na tę obfitość wyrazów, która może nie była w najlepszym guście, ale był to zwyczaj d'Artagnana ta ciągła gawęda, którą zajmował swego przeciwnika; ten wciąż się cofał, a krążąc wokoło pokoju, stanął nareszcie na miejscu d'Artagnana.

Uśmiechał się ciągle. Ten uśmiech zaczynał niepokoić Gaskończyka.

— No, no, trzeba raz skończyć! — zawołał.

I natarł silnie na Mordaunta, który jeszcze się cofał, widocznie już przez wyrachowanie i nie popełniając żadnego błędu, z jakiego d'Artagnan mógłby korzystać. Ale walka odbywała się w pokoju i już miejsca brakowało walczącym, wkrótce noga Mordaunta dotknęła ściany, na której oparł lewą rękę.

— Ach! — zawołał d'Artagnan — tym razem się nie cofniesz, mój miły przyjacielu. — Panowie — mówił dalej ściskając usta i marszcząc brwi — czy widzieliście kiedy padalca przybitego do ściany? Nie? A więc teraz go zobaczycie.

I natarł na Mordaunta z całą swą siłą i zręcznością. Ale ten odparł to natarcie. D'Artagnan nie mógł pojąć tego oporu trzech przyjaciół patrzyli na to, nie śmiejąc oddychać i z czołem oblanym potem.

Na koniec d'Artagnan sam musiał się o krok cofnąć, żeby móc znowu uderzyć, bo już był za blisko. Ale w chwili kiedy z największą zjadłością rzucił się na swego przeciwnika, kiedy cios wypadł jak błyskawica, ściana rozstała się: Mordaunt znikł przez otwór, a szpada d'Artagnana, ujęta między dwie krawędzie, przysła, jak gdyby była szklana.

D'Artagnan usunął się, a drzwi się zawarły.

Mordaunt, działając ciągle odpornie, kierował się tak, że dotknął plecami drzwi ukrytych, którymi wyszedł Cromwell. Wyszukał lewą ręką sprężynę i nacisnął ją: a potem znikł, jak znikają w teatrze złe duchy.

Gaskończyk wyzionął straszliwe przekleństwo, na które z drugiej strony żelaznej ściany odpowiedział dziki, złowrogi śmiech, który dreszczem przejął nawet sceptyka Aramisa.

— Do mnie, panowie! — wołał d'Artagnan — wysadźmy te drzwi.

— A to diabeł wcielony! — rzekł Aramis przybiegając na zawołanie przyjaciela.

— Wymknął się nam, do pioruna! wymknął się! — jęknął Portos podpierając szerokimi barkami przegrodę, która wstrzymywana zapewne jakąś sprężyną ani się ruszyła.

— Tym lepiej — mruknął głucho Atos.

— Spodziewałem się tego — rzekł d'Artagnan podwajając nadaremnie usiłowania — spodziewałem się tego, kiedy ten nędznik zaczął się kręcić wokoło pokoju; przewidywałem jakiś niegodny podstęp, zgadywałem, że on coś knuje; któż mógł przypuścić coś podobnego?

— Okropne nieszczęście zsyła nam szatan, jego przyjaciel — zawołał Aramis.

— Owszem, Bóg nam zsyła oczywiste szczęście! — rzekł Atos z widoczną radością.

— Prawdziwie — odpowiedział d'Artagnan wruszając ramionami i odchodząc od drzwi, których nie byli w stanie otworzyć — nie poznaję cię, Atosie! Jak możesz mówić podobne rzeczy ludziom takim jak my? Kroćset szatanów! Chyba nie pojmujesz naszego położenia.

— Jak to? Jakiego położenia? — spytał Portos.

— W takim wypadku, kto nie zabije, powinien się uważać za zabitego — odrzekł d'Artagnan. — Powiedz mi, proszę, mój kochany, czyś sobie ułożył w twoich marzeniach pokutnych, żeby pan Mordaunt poświęcił nas swojej synowskiej miłości? Jeśli takie jest twoje zdanie, powiedz je szczerze.

— Och, d'Artagnan, mój przyjacielu!

— Ten nędznik przyśle nam tu ze stu żołnierzy, którzy nas utłuką na proch w tym mózdzierzu Cromwella. Dalej! dalej! w drogę! jeśli tu zostaniemy jeszcze; pięć minut, już po nas.

— Tak, masz słuszość, w drogę! — odrzekł Atos i Aramis.

— A gdzieś pójdziemy? — spytał Portos.

— Do oberży, kochany przyjacielu; zabierzemy rzeczy i konie, a stamtąd, jeśli się Bogu podoba, dalej do Francji, gdzie przynajmniej znam budowę domów. Statek czeka na nas; na honor, to jeszcze szczęście.

I d'Artagnan włożył w pochwę ułamek swojej szpady, wziął kapelusz, otworzył drzwi i zszedł szybko ze schodów, a za nim trzej towarzysze.

U drzwi nasi uciekający znaleźli swoich służących i pytali o Mordaunta; ale ci nie widzieli nikogo wychodzącego.

ŻAGLOWIEC „BŁYSKAWICA”

Mordaunt szedł szybkim krokiem.

Przybywszy do koszar kawalerii wziął najlepszego konia ze stajni, wskoczył nań i ruszył gościńcem. W kwadrans później stanął w Greenwich.

— Otóż i port — mruknął. — Gdzież jest „Błyskawica”?

W chwili kiedy wymawiał w myśli te wyrazy, człowiek, który leżał na pęku lin, powstał i zbliżył się do niego.

Mordaunt wyjął chustkę z kieszeni i powiewał nią przez chwilę w powietrzu.

Człowiek nie ruszył się ze swego miejsca.

Mordaunt zrobił węzły na końcach chustki; wtenczas człowiek ów zbliżył się do niego.

— Czy pan nie przybywa przypadkiem z Londynu — rzekł marynarz — dla odbycia przejażdżki po morzu?

— Właśnie po to przybyłem — odpowiedział Mordaunt.

— A gdzież pana towarzysze? — rzekł marynarz. — Sądziłem, że miało być panów czterech, nie rachując służących.

— Posłuchaj pan — rzekł Mordaunt zbliżając się do marynarza — ja nie jestem tym, na którego czekasz, jak pan nie jesteś tym, którego oni myślą znaleźć. Pan jesteś tu w miejsce kapitana Rogers, wszak prawda? Jesteś tu z rozkazu generała Cromwella, a ja przybywam także od niego.

— W istocie — rzekł właściciel statku — poznaję pana. Pań jesteś kapitan Mordaunt.

Mordaunt) zadrzał.

— Och, nie obawiaj się pan niczego — rzekł marynarz zdejmując kaptur i odsłaniając głowę — ja jestem przyjacielem.

— Kapitan Groslow! — krzyknął Mordaunt.

— Ten sam. Generał przypomniał sobie, że byłem dawniej oficerem marynarki, i polecił mi tę wyprawę. Czy więc zaszła jaka zmiana?

— Nie, żadna, wszystko zostaje w tym samym stanie. — Ale, bo na chwilę sądziłem, że śmierć Stuarta ...

— Śmierć Stuarta przyspieszyła tylko ich ucieczkę. Za kwadrans, za dziesięć minut może, już tu będą.

— W takim razie po cóż pan przybyłeś? — Żeby z wami wsiąść na statek.

— Miałżeby generał wątpić o mojej gorliwości?

— Nie, ale ja chcę osobiście być obecny przy spełnieniu mojej zemsty. Nie macie tu kogo, kto by mógł wziąć mojego konia?

Groslow gwizdnął i ukazał się marynarz.

— Patrick — rzekł Groslow — zaprowadź konia do stajni najbliższej oberży. Gdyby cię pytano, do kogo należy — powiesz, że do bogatego Irlandczyka.

Marynarz oddalił się.

— A teraz — rzekł Mordaunt — nie boisz się, kapitanie, żeby nie odkryto, kim jesteś?

— Nie ma niebezpieczeństwa w tym przebraniu, w tak ciemną noc, a przy tym, kiedy wy mnie nie poznaliście, to o nich tym bardziej możecie się nie obawiać.

— To prawda — mówił Mordaunt — ani im się przyśni pomyśleć o was. Wszak wszystko gotowe?

— Tak jest.

— Ładunek okrętu gotowy?

— Tak.

— Pięć beczek pełnych?

— Tak, właśnie.

— Teraz przewieźcie mnie do okrętu, a sami wracajcie na stanowisko, oni niedługo przybędą.

— Jestem gotów.

— Ważną jest rzeczą, żeby żaden z waszych ludzi mnie nie widział.

— Mam jednego człowieka na okręcie, którego jestem pewien jak samego siebie. A potem ten człowiek was nie zna i tak jak jego dwaj towarzysze gotów jest być nam posłuszny, ale nie wie o niczym.

— To dobrze. Chodźmy więc. W pięć minut wypłynęli spośród mnóstwa statków i Mordaunt mógł ujrzeć małą felukę kołyszącą się na kotwicy w niewielkiej odległości od Psiej Wyspy..

Kiedy się zbliżyli do „Błyskawicy”, Groslow gwizdnął szczególnym sposobem i ujrzeli głowę człowieka ponad burtą statku.

— Czy to wy, kapitanie? — zapytał człowiek.

— Tak. Spuść drabinę.

Groslow, kierując swoją łodzią zręcznie i szybko, zbliżył się tuż do feluki.

— Wchodź — rzekł Groslow do swojego towarzysza. Mordaunt, nic nie odpowiadając, chwycił za sznur i wdrapywał się wzdłuż boków okrętu ze zręcznością i pewnością.

Marynarz znajdujący się na pokładzie „Błyskawicy” nawet nie zwrócił uwagi na to, że jego pan nie sam powrócił.

Mordaunt i Groslow poszli do pokoju kapitana. Był to rodzaj tymczasowej kajuty zrobionej naprędcę z desek na pokładzie. Bo właściwy pokój kapitana Rogers odstąpił swoim podróżnym.

— A oni? — spytał Mordaunt — gdzie będą?

— Na drugim końcu okrętu — odpowiedział Groslow.

— I nie potrzebują po nic tu przychodzić?

— Po nic zupełnie.

— Ukryję się więc u was. Wy wracajcie do Greenwich i przywieźcie ich. Wszak macie szalupę.

— Tę samą, którąśmy teraz płynęli.

— Każcie ją przywiązać z tyłu feluki liną konopną, niech będą przy niej wiosła, niech będzie zupełnie gotowa, żeby w razie potrzeby tylko linę przeciąć. Zaoopatrzcie ją w rum i suchary. Gdyby przypadkiem morze nie było spokojne, wasi ludzie radzi będą, gdy znajdą pożywienie,

— Każę wszystko zrobić, jak pan żądasz. Czy teraz obejrzymy skład prochu?

— Nie, gdy wrócicie, sam umieszczę lont, żebym wiedział, kiedy nastąpi wybuch. Nade wszystko zakryjcie sobie dobrze twarz, żeby was nie poznano.

— Możecie być spokojni.

— A teraz wracajcie, właśnie dziesiąta bije w Greenwich. W chwili kiedy Groslow wysiadł na brzeg, usłyszał tętent

koni na drodze wyłożonej drobnymi kamieniami.

Mordaunt miał słuszną nagłąć mię do pośpiechu. Nie było czasu do stracenia, to muszą być oni".

W istocie byli to nasi przyjaciele albo raczej ich straż przednia w osobach d'Artagnana i Atosa. Przybywszy naprzeciw miejsca, gdzie się znajdował Groslow, zatrzymali się, jakby zgadując, że ten, którego szukają, był tam właśnie. Atos zsiadł z konia, rozwinął spokojnie chustkę, która miała węzły na wszystkich czterech końcach, i powiewał nią w powietrzu, tymczasem d'Artagnan, zawsze przezorny, pochyliwszy się na koniu, sięgnął jedną ręką do olstr.

Groslow, nie będąc pewny, czy jeźdźcy są istotnie tymi, na których czekał, ukrył się, ale spostrzegłszy umówiony znak, wstał i szedł prosto ku jeźdźcom. Tak był osłonięty kapturem swego płaszcza, że nie podobna było dojrzeć jego twarzy. Noc była tak ciemna, że ta ostrożność była zbyteczna.

Jednakże bystre oko Atosa odgadło pomimo ciemności, że ten, co stał przed nim, nie był kapitanem Rogers.

— Czego pan chcesz ode mnie? — rzekł do Grosłowa, cofając się o krok.

— Mam wam powiedzieć, milordzie — odpowiedział Groslow przybierając akcent irlandzki — że szukacie kapitana Rogers, ale szukacie go na próżno.

— A to dlaczego? — spytał Atos.

— Ponieważ dziś rano spadł z masztu i złamał sobie nogę. Ale ja jestem jego krewnym; opowiedział mi więc całą rzecz i polecił, żebym za niego zawiózł, gdzie zechcą, czterech panów, którzy pokażą mi chustkę tak związaną jak ta, którą pan trzymasz w ręku, i ta, którą ja mam w kieszeni.

Po tych wyrazach Groslow wydobyl z kieszeni chustkę, którą już poprzednio pokazywał Mordauntowi.

— Czy to ma być wszystko? — spytał Atos.

— Nie, milordzie, bo jeszcze idzie o pięćdziesiąt pięć funtów szterlingów przyobiecanych, które mam odebrać, jak was wysadzę w Boulogne albo jakiej innej części Francji, którą mi wskażecie.

— Cóż powiesz na to, d'Artagnan? — spytał Atos po francusku.

— Muszę wpierw wiedzieć, co on powiedział — odrzekł tenże.

— Ach, prawda — mówił Atos — zapomniałem, że nie rozumiesz po angielsku.

I powtórzył d'Artagnanowi rozmowę, którą miał z kapitanem okrętu.

— To mi się zdaje dosyć prawdopodobne — rzekł Gaskończyk.

— I mnie także — odpowiedział Atos.

— A poza tym — dodał d'Artagnan — jeśli ten człowiek nas zwodzi, zawsze będziemy mogli w łeb mu wypalić.

— A któż wtenczas będzie kierować statkiem?

— Ty, Atosie; ty tak wiele rzeczy umiesz, że nie sędzę, abyś się nie miał znać na marynarce.

— Na honor — rzekł Atos śmiejąc się — mój przyjacielu, chociaż mówiłeś żartem, a jednak zgadłeś; ojciec mój przeznaczył mnie do służby morskiej i mam pewne pojęcie o żegludze.

— A widzisz! — zawołał d'Artagnan.

— Wróc po naszych przyjaciół, kochany d'Artagnan, i przybywajcie; jest już jedenasta, nie mamy czasu do stracenia.

D'Artagnan pospieszył ku dwóm jeźdźcom, którzy z pistoletami w ręku stali, jako placówka, przy wejściu do miasta, bacznie patrząc na zakręt drogi; trzej inni jeźdźcy, nieco dalej ukryci za jakąś szopą, także zdawali się na coś czekać, mając się również na ostrożności.

Dwaj pierwsi konni, będący na środku drogi, byli to Aramis i Portos. Trzema jeźdźcami spoza szopy byli: Mousqueton, Blaisois i Grimaud. Jednakże można było rozpoznać, bliżej się przyjrawszy, że ten ostatni miał za sobą na siodle coś, jakby cień własny: był to brat Parry'ego, który miał odprowadzić do Londynu konie naszych rycerzy i ich służących sprzedane oberżyscie dla opłacenia wydatków, jakie u niego poczynili. Dzięki temu handlowi czterej przyjaciele mogli wziąć sumę, chociaż nie bardzo znaczną, jednak wystarczającą na przypadek opóźnienia albo nieprzewidzianych okoliczności.

D'Artagnan oświadczył Portosowi i Aramisowi, że mogą iść za nim, a ci dali znak służącym, żeby zsiadli z koni i zabrali tłumoczeki.

Szkot pożegnał się nie bez żalu ze swymi przyjaciółmi; namawiano go, żeby pojechał do Francji, ale odmówił.

Nasi przyjaciele połączyli się z Atosem. D'Artagnan nie mógł zwyciężyć właściwej sobie nieufności; przystań wydawała mu się zbyt samotna, noc zbyt ciemna, a kapitan okrętu zbyt przystępny.

D'Artagnan wstrzymał swoich przyjaciół chcąc, żeby służący przeszli pierwsi, aby spróbowali deski, która prowadziła od przystani do łodzi.

Trzej służący przeszli bez wypadku.

Atos poszedł za nimi, potem Portos, po nim Aramis. D'Artagnan przeszedł ostatni, ciągle potrząsając głową, — Cóż ci jest, u czarta, mój przyjacielu? — rzekł Portos — słowo daję, że mógłbyś nabawić strachu samego nawet Cezara.

— To mi jest — odpowiedział d'Artagnan — że nie spostrzegam w tym porcie ani inspektora, ani szyldwacha, ani strażników celnych.

— I jeszcze narzekasz — rzekł Portos — wszystko nam idzie jak z płatka.

— Właśnie, że idzie za dobrze, ale trudno, trzeba się zdać na wolę Bożą!

Skoro tylko deskę zdjęto, właściciel feluki usiadł u steru i dał znak jednemu ze swoich majtków.

Po kilku uderzeniach wiosł znalazli się tuż przy statku. Majtek czekał, drabina była spuszczone.

Atos wszedł pierwszy ze zręcznością prawdziwego marynarza. Aramis jak człowiek nawykły od dawna do drabin sznurowych i innych sposobów mniej lub bardziej dowcipnych, d'Artagnan jak strzelec na dzikie kozy; Portos ze swą siłą, która zastępowała mu wszystko.

Kapitan poprowadził podróżnych do mieszkania dla nich przeznaczonego, składającego się z jednej tylko izdebki, którą mieli wspólnie zajmować; po czym chciał się oddalić pod pozorem wydania potrzebnych rozkazów.

— Jeszcze chwilę — rzekł d'Artagnan — ilu macie ludzi na statku, kapitanie?

— Nie rozumiem — odpowiedział tenże po angielsku.

— Spytaj się o to w jego języku, Atosie.

Atos zapytał o to.

— Trzech — odpowiedział Groslow — nie rachując mnie. D'Artagnan zrozumiał, bo właściciel statku odpowiadając podniósł trzy palce.

— Och — rzekł d'Artagnan — trzech; zaczynam się uspokajać. Pomimo to, kiedy wy się tu będziecie urządzać, ja zrobię przegląd statku.

— A ja — rzekł Portos — zajmę się wieczerzą.

Na pokładzie stała latarnia; d'Artagnan podniósł ją jedną ręką, a drugą wziął pistolet i rzekł do kapitana: — Come.

Było to, prócz wyrazu: Goddam, wszystko, co zatrzymał w pamięci z języka angielskiego.

D'Artagnan przez otwór w pokładzie zszedł do środka okrętu.

Środek statku podzielony był na trzy części i jedna z nich rozciągała się pod izbą, w której Atos, Portos i Aramis przygotowywali się do spędzenia nocy; druga, środkowa część przeznaczona była na mieszkanie służących; trzecia rozciągała się pod przodem okrętu, to Jest pod kajutą urządzoną naprędce przez kapitana, a w której ukryty był Mordaunt.

— Chciałbym wiedzieć, co jest w tych beczkach — rzekł d'Artagnan stawiając latarnię na jednej z nich.

Kapitan uczynił ruch, jakby chciał wejść z powrotem na drabinę, ale się wstrzymał.

— Porto — odpowiedział.

— A, wino porto! — rzekł d'Artagnan — to mnie uspokaja, nie umrzemy z pragnienia.

Potem, obracając się do Grosłowa, który ocierał z czoła duże krople potu, zapytał:

— Czy one są pełne? Grimaud wytłumaczył pytanie.

— Kilka pełnych, a reszta próżne — rzekł Grosłow głosem, w którym, pomimo wszelkiego usiłowania, przebijał się niepokój.

D'Artagnan uderzył palcem w beczki i poznał, że pięć było pełnych, a inne próżne; potem zaświecił latarnią w przedziały między okseftami, a znalazłszy, że są puste, rzekł:

— Możemy przejść dalej.

I zbliżył się do drzwi, które prowadziły do drugiego przedziału.

— Zaczekaj pan — rzekł Anglik, który został z tyłu — zaczekaj pan, ja mam klucz od tych drzwi.

Przeszli tędy szybko i udali się do trzeciej części. D'Artagnan wyszedł schodami na pokład okrętu.

— A ten pokój? — spytał.

Grimaud przetłumaczył Anglikowi słowa muszkietera.

— Tu ja mieszkam — rzekł kapitan — czy pan chcesz wejść?

— Otwórz pan drzwi — rzekł d'Artagnan.

Anglik był posłuszny. D'Artagnan wyciągnął rękę, w której trzymał latarnię, zajrzał do wnętrza przez drzwi na wół otwarte i widząc tak maleńki pokój, rzekł:

— No, jeśliby wojsko miało być na statku, pewno by się tu nie schowało. Idźmy zobaczyć, czy Portos znalazł co na wieczerzę.

XXI

WINO PORTO

W dziesięć minut panowie już spali, ale inaczej było ze zgłodniałą służbą.

— Na pokonanie choroby morskiej mamy jedynie chleb jęczmienny i piwo z chmielu! pfe! — powiedział Mousqueton.

Następnie powstał, ujął dzbanek z piwem, wylał co do kropli przez okienko i zbliżył się poważnie do drzwi prowadzących do przyległej izby.

— Ach! ach! zamknięte — wyrzekł. — Diabelscy Anglicy, jacyż oni podejrzliwi!

— To nic, możesz oderwać kilka desek z przepierzenia — rzekł Blaisois — a beczką przewiercić świderkiem.

— To prawda — powiedział Mousqueton — lecz skąd wziąć dłuto do podważenia desek i świder do przedziurawienia beczki.

— Wytrychy — rzekł Grimaud, cały zajęty sporządzaniem rachunków.

Grimaud był nie tylko gospodarzem zgromadzenia, lecz i mechanikiem; oprócz regestrów posiadał i wytrychy. Znalazł się także świderek wcale gruby.

Dłuta Mousqueton nie potrzebował szukać daleko; sztylet, jaki nosił u pasą, mógł go wybornie zastąpić.

Mousqueton wyszukał miejsce, w którym deski nie schodziły się, i zabrał się zaraz do dzieła. Po niedługiej chwili oderwał trzy deski.

Próbował wtłoczyć się w otwór zrobiony, lecz przekonał się ze smutkiem, że potrzeba wyjąć jeszcze kilka desek, aby dziura odpowiadała jego objętości.

Westchnął ciężko i zabrał się do roboty.

Grimaud skończył właśnie rachować, podniósł się, z wielkim zajęciem patrzył na usiłowania Mousquetona, aby się dostać do ziemi obiecanej.

— Ja przejdę — wymówił na koniec.

— To prawda — rzekł Mousqueton obrzucając wzrokiem długą i cienką postać przyjaciela — ty przejdziesz z łatwością nawet.

— Bardzo słusznie, on wie, które beczki pełne — odezwał się Blaisois — przecież zwiedzał piwnicą z panem d'Artagnan... Panie Mousqueton, ustąp, puść pana Grimauda.

— Idź zatem, Grimaud — rzekł Mousqueton podając mu dzban i świderek. Grimaud uśmiechnął się przyjacielsko do Mousquetona, pochylił się, wśliznął jak jaszczurka przez otwór i znikł z oczu towarzyszy.

Nagle Mousqueton zagwizdał cichutko na alarm, sposobem znanym jeszcze z dawnych czasów, usiadł na swoim miejscu przy stole i skinął na Blaisois, by, zrobił to samo.

Drzwi się otworzyły; dwóch mężczyzn okrytych płaszczami ukazało się na progu.

— Oho! — rzekł jeden z nich — już kwadrans na dwunastą, a wy jeszcze czuwacie? Jest to sprzeczne z przepisami okrętowymi. Proszę, aby za kwadrans było tu ciche i ciemno.

Dwaj mężczyźni poszli do drzwi przegrody, w której siedział Grimaud otworzyli, weszli i zamknęli za sobą.

— O Boże! już po nim! — szepnął Blaisois trzęsąc się ze strachu.

— Chytry lis z tego Grimauda — mruknął Mousqueton. I oczekiwali z tchem w piersiach zapartym.

Upłynęło dziesięć minut, a nic nie zdradzało, by Grimauda odkryto.

Drzwi znów się rozwarły, dwaj mężczyźni w płaszczach wyszli, zamknęli je równie starannie jak przedtem i odchodząc ponowili rozkaz udania się na spoczynek i zgaszenia światła.

Po chwili Grimaud odgarnął płaszcz, zasłaniający otwór, i ukazał się blady, z oczyma w słup przewróconymi.

W rękę trzymał dzban pełny jakiejś substancji nieznannej, zbliżył go pomału do światła i szepnął przerażony: — Och!

Obydwaj zajrzeli ciekawie do dzbanka: dzban napełniony był prochem.

Przekonawszy się, że ładunek okrętowy składał się z prochu, a nie z wina, Grimaud pobiegł na pokład i jednym skokiem stanął przed izbą, w której spali czterej przyjaciele. Przybywszy tam, popchnął z lekka drzwi, a one otwierając się, obudziły d'Artagnana leżącego na ziemi.

Zaledwie ujrzał twarz przestraszonego Grimauda, pojął zaraz, że się coś nadzwyczajnego stało i chciał krzyknąć; ale Grimaud przyłożył palec do ust i jednym dmuchnięciem zgasił nocną lampę.

D'Artagnan wsparł się na łokciu, Grimaud przykląkł na jedno kolano i tak uczynił mu do ucha zwierzenie, które w istocie było samo z siebie tak dramatyczne, że obeszło się bez gestów i wyrazu twarzy.

Podczas tego opowiadania Atos, Portos i Aramis spali jak ludzie, którzy nie używali spoczynku od dni ośmiu, a tymczasem pod pokładem Mousqueton z ostrożnością zaczął związywać sznurki swego kaftana; Blaisois przejęty zgrozą usiłował uczynić to samo.

Oto co zaszło:

Zaledwie Grimaud znikł w otworze i znalazł się w składzie, zaczął szukać i natrafił na beczkę. Uderzył w nią: beczka była próżna. Przeszedł do innej — i ta była próżna; ale trzecia wydała odgłos tak stłumiony; że nie można się było omylić. Grimaud poznał, że jest pełna.

Zatrzymał się przy niej i szukał miejsca stosownego do przewiercenia otworu, a w tym poszukiwaniu dotknął ręką rurki.

Przysunął więc swój dzbanek, odkręcił rurkę i słyszał jak to, co beczka zawierała, przechodziło łagodnie w podstawione naczynie.

Grimaud — zakręciwszy rurkę, miał już podnieść do ust dzbanek, zbyt sumienny, żeby dać swoim towarzyszom płyn,

o którego dobroci nie mógłby ich zapewnić; kiedy usłyszał znak ostrzegający, jaki mu dał Mousqueton, domyślił się, że to patrol nocny, przecisnął się więc między dwiema beczkami i ukrył się za okseftem.

W istocie w chwilę potem drzwi otworzyły się i zamknęły za dwoma ludźmi w płaszczach, których widzieliśmy przechodzących koło Blaisoisa i Mousquetona i rozkazujących im, żeby zgasili światło.

Jeden z nich niósł szklaną latarnię starannie zamkniętą

i tak wysoką, że płomień nie mógł dojść do wierzchołka. Prócz tego szyby były pokryte papierem białym, co łagodziło albo raczej zamykało wewnątrz światło i ciepło.

Tym człowiekiem był Groslow.

Drugi trzymał w rękę coś długiego, giętkiego, zwiniętego jak biała lina. Twarz jego zakrywał kapelusz z dużym rondem.

Grimaud sądził, że to samo uczucie, co i jego, sprowadziło ich w to miejsce, i że tak jak on, przyszli oddać wizytę beczkom; bardziej się jeszcze wcisnął za swój okseft, mówiąc do siebie, że w końcu, gdyby go znaleziono, zbrodnia jego nie byłaby tak wielka.

Przybywszy do beczki, za którą siedział Grimaud ukryty, dwaj ludzie zatrzymali się.

— Macie lont? — zapytał po angielsku ten, co trzymał latarnię.

— Oto jest — rzekł drugi.

Na głos tego ostatniego Grimaud *zadrzał* i zimno przeszło go aż do szpiku kości; podniósł się z wolna na tyle, żeby głowa wyjrzała nad obwód beczki, i pod obszernym kapeluszem poznał bladą twarz Mordaunta.

— Jak długo może płonąć ten lont? — spytał.

— Prawie pięć minut — rzekł kapitan okrętu.

I ten głos nie był obcy dla Grimauda. Wzrok jego przeszedł od jednego do drugiego i po Mordauncie poznał Grosłowa.

— Kiedy tak — rzekł Mordaunt — uprzedźcie waszych ludzi, żeby byli gotowi, nie mówiąc im jednak dlaczego. Czy szalupa płynie za okrętem?

— Jak pies za swoim panem, przywiązana sznurem konopnym.

— A więc, gdy zegar uderzy kwadrans na pierwszą, zgromadźcie waszych ludzi, zejście bez hałasu do szalupy.

— Zapaliwszy lont poprzędnio?

— Tę czynność mnie zostawcie. Chcę być pewny mojej zemsty. Wszak wiosła są w łodzi?

— Wszystko jest przygotowane.

— Dobrze.

— Więc już się ułożyli.

Mordaunt przykląkł i przytwierdził lont do rurki.

— Kwadrans na pierwszą — rzekł — to jest... za dwadzieścia minut.

— Doskonale — odpowiedział Groslow. — Tylko chciałbym raz jeszcze zwrócić waszą uwagę, że jest pewne niebezpieczeństwo połączone z czynnością, którą dla siebie zachowujecie, i że lepiej byłoby polecić jednemu z naszych ludzi, żeby lont zapalił.

— Mój kochany Groslow — rzekł Mordaunt — przysłowie mówi, że sam sobie każdy najlepiej usłuży. Ja się tego trzymam.

Grimaud przysłuchiwał się wszystkiemu, a chociaż nie wszystko rozumiał, wzrok zastępował mu brak dobrej znajomości języka: widział on i poznał dwóch śmiertelnych nieprzyjaciół muszkieterów; widział również, jak Mordaunt przykładał lont, dotykał ręką zawartości dzbana, w którym zamiast płynu skrzypiały pod palcami grube ziarnka prochu.

Mordaunt oddalił się z kapitanem. Przy drzwiach zatrzymał się słuchając.

— Czy słyszysz, jak śpią? — rzekł.

W istocie, słyhać było przez podłogę chrapanie Portosa.

— Bóg wam ich oddaje! — mówił Groslow.

— Tym razem — odrzekł Mordaunt — już by sam diabeł ich nie ocalił.

I obaj wyszli.

Grimaud poczekał, dopóki nie usłyszał spuszczenia zamku, a kiedy się upewnił, że jest sam, posuwał się zwolna wzdłuż ściany.

D'Artagnan słuchał tych wszystkich szczegółów z wzrastającym zainteresowaniem i nie czekając aż Grimaud skończy, podniósł się bez najmniejszego szelestu, a przybliżywszy usta do ucha Aramisa, który spał z lewej strony, i dotykając zarazem jego ramienia, żeby zapobiec gwałtownemu poruszeniu, powiedział:

— Kawalerze, wstań i nie rób najmniejszego szelestu.

Aramis się obudził. D'Artagnan powtórzył wezwanie ściskając go za rękę. Aramis usłuchał.

— Atos. śpi koło ciebie — rzekł — uprzedź go, jak ja ciebie uprzedziłem.

Aramis z łatwością obudził Atosa, którego sen był lekki jak zazwyczaj u ludzi delikatnej budowy; ale więcej było trudności z obudzeniem Portosa. Chciał się wypytać o przyczyny tego gwałtownego przerwania jego spoczynku, kiedy d'Artagnan zamiast odpowiedzi przyłożył rękę do jego ust.

— Przyjaciele — rzekł d'Artagnan — musimy natychmiast opuścić statek albo zginiemy. Wiecie, kto jest kapitanem okrętu?

— Nie.

— Pułkownik Groslow.

— Groslow? — powtórzył Aramis — ach, do czarta! — A wiecie, kto jest jego porucznikiem?

— Porucznikiem jego?... on go nie ma — rzekł Atos. — Nie ma nigdy porucznika na takim małym okręcie, którego obsadę stanowią czterej ludzie.

— Tak, ale Groslow nie jest pospolitym kapitanem. On ma porucznika, a tym porucznikiem jest — Mordaunt!

— Cóż czynić? — zapytał Atos.

— Opanować statek — powiedział Aramis.

— I zabić Mordaunta — dodał Portos.

— Mina jest pod okrętem — rzekł d'Artagnan. — Te beczki, w których uważałem, że jest porto, są pełne prochu. Gdyby Mordaunt dostrzegł, że plan jego odkryto, wszystko by wysadził w powietrze, przyjaciół i nieprzyjaciół.

— Masz więc ułożony plan? — zapytał Atos.

— Tak.

— A jaki?

— Czy mi zaufacie?

— Rozkazuj! — rzekli razem muszkietierowie.

— Więc chodźcie.

D'Artagnan zbliżył się do małego okienka, przez które jednak mógł przejść człowiek, otworzył je powoli, bez łoskotu.

— Oto droga — powiedział.

— Do czarta! — zawołał Aramis — bardzo tam zimno, kochany przyjacielu!

— Zostań tu, jeżeli chcesz; ale cię uprzedzam, że wkrótce bardzo tu będzie gorąco.

— Ależ my nie potrafimy płynąć do brzegu.

— Szalupa jest przywiązana, dostaniemy się do niej i przetniemy linę. Oto wszystko. Dalej, panowie.

— Jeszcze chwilę — rzekł Atos. — A służący?

— Jesteśmy — odpowiedzieli Mousqueton i Blaisois, których Grimaud zgromadził w kajucie dla skoncentrowania sił i którzy tak cicho weszli, że ich nawet nie spostrzeżono.

— Do szatana! — rzekł d'Artagnan — ociągamy się. Jeżeli my się wahamy, ciekawym, jak będzie ze służącymi.

— Ja się nie waham — rzekł Grimaud.

— Panie — powiedział Blaisois — ja tylko w rzece umiem pływać, uprzedzam pana.

— A ja wcale pływać nie umiem — dodał Mousqueton. Tymczasem d'Artagnan wsunął się w otwór.

— Nie cofasz swego postanowienia, przyjacielu? — rzekł Atos.

— Nie — odpowiedział Gaskończyk. — Dalej, Atosie, ty, który jesteś wzorem doskonałości, nakaz rozumowi, żeby wziął przewagę, nad ciałem. Ty, Aramisie, daj hasło służącym; a ty, Portosie, zabij każdego, kto by nam stanął na drodze.

I d'Artagnan, ścisnąwszy rękę Atosa, upatrzył chwilę, kiedy okręt zanurzył się głębiej z tej strony, tak że skoro się wysunął z okienka, woda objęła go do pasa.

Atos poszedł za jego przykładem, nim zbliżająca się fala podniosła bok okrętu. Po chwili statek się uniósł i ujrzano wychodzącą nad wodę linę, którą była przywiązana szalupa.

D'Artagnan popłynął do tej liny. i uchwycił ją.

Tam czekał zawieszony jedną ręką, mając samą tylko głowę nad wodą.

W mgnieniu oka Atos był przy nim.

Potem ujrzano w wodzie koło statku jeszcze dwie głowy. Był to Aramis i Grimaud.

— Lękam się o Blaisoisa — rzekł Atos. — Czy nie słyszałeś, jak on mówił, że tylko w rzekach umie pływać.

— Kto umie pływać, pływa wszędzie. — zawołał d'Artagnan — do łodzi! do łodzi!

— Ale gdzie Portos? Nie widzę go.

— Portos przybędzie, bądź spokojny, on pływa jak sam Lewiatan.

D'Artagnan i Grimaud pomogli Mousquetonowi i Blaisoisowi wejść do łodzi, a gdy przyszła kolej na Portosa, skoro wskoczył w nią, tak ją przeważył, że mało nie zatonała z całym towarzystwem.

— A Atos? — spytał d'Artagnan.

— Jestem — rzekł hrabia, który jak dowódca kierujący odwrotem, chciał wsiąść do łodzi ostatni i trzymał się brzegu barki. Czy wszyscy jesteście?

— Wszyscy — rzekł d'Artagnan. — A ty, Atosie, masz swój puginał?

— Mam.

— Więc przetnij linę i przybywaj.

Atos wyjął sztylet zza pasa i przeciął sznur: okręt się oddalił, barka została w miejscu, kołysana przez fale.

— Chodź, Atosie — rzekł d'Artagnan.

I wyciągnął rękę ku hrabiemu de la Fère, który z kolei zajął miejsce w łodzi. — W sam czas skończyliśmy i zobaczycie coś ciekawego.

XXII

PRZEZNACZENIE

W istocie zaledwie d'Artagnan tych słów domawiał, kiedy gwizdnięcie dało się słyszeć na statku, który zaczął nikać w cieniu i odległości.

Cienie przebiegały z przestrachem wzdłuż statku, a krzyki żalosne towarzyszyły tym poruszeniom.

Pośród tych krzyków ukazał się Mordaunt z pochodnią w ręku.

Cienie, które biegały w rozpaczy po pokładzie, byli to Groslow i jego towarzysze, którzy o godzinie wskazanej przez Mordaunta zgromadzili się, podczas kiedy ten podsluchawszy pode drzwiami kajuty, czy też muszkietierowie śpią ciągle, zszedł na spód okrętu, uspokojony milczeniem.

W istocie, któż mógł przewidzieć, co się stanie.

Mordaunt otworzył drzwi i pobiegł do lontu, zapalił go; gwałtowny jak człowiek spragniony zemsty i pewny siebie jak ci, których Bóg zaślepi.

Tymczasem Groslow i jego towarzysze zgromadzili się przy rufie.

— Uchwycić linę! — rzekł Groslow — przyciągnąć szalupę!

Jeden majtek wlaź na krawędź statku, chwycił linę, która nie czyniła żadnego oporu.

— Lina jest przecięta! — zawołał marynarz — nie ma łodzi.

— Jak to! nie ma łodzi? — rzekł Groslow wskazując na burtę — to być nie może.

— Jednak tak jest — odrzekł marynarz — zobaczcie sami; nic nie ma na wodzie i oto koniec sznura.

— Co się stało? — zawołał Mordaunt, który wychodząc przez otwór w pokładzie, spieszył również ku rufie z pochodnią w ręku.

— To się stało, że nieprzyjaciele nasi wymknęli się; linę przecięli i uciekli łódź nam zabrawszy.

Mordaunt jednym skokiem był w kajucie, wysadził drzwi uderzeniem nogi.

— Próżna! — krzyknął. — Och! szatany!

— Trzeba płynąć za nimi — rzekł Groslow — nie mogą być daleko i zatopimy ich z łodzią.

— Tak, ale ogień — rzekł Mordaunt — już podłożyłem ogień.

— Gdzie?

— U lontu.

— Tysiąc piorunów! — jęknął Groslow rzucając się ku schodom. — Może jeszcze czas.

Mordaunt za całą odpowiedź roześmiał się straszliwie, a rysy jego przybrały wyraz nienawiści raczej niż przerażenia, szukał wzrokiem nieba, żeby mu przesłać ostatnie jeszcze bluźnierstwo. Rzucił najpierw swoją pochodnię w morze, potem sam w wodę wskoczył.

W chwili kiedy Groslow zbliżył się do schodów chcąc zejść na spód okrętu, słup ognia wzbil się ku niebu z hukiem jakby wystrzału z armat; powietrze rozogniło się napełnione płonącymi szczątkami, potem ta straszna błyskawica znikła, szczątki spadały kolejno w morze, szumiąc w przepaści, w której gasły. Po chwili można by sądzić, że nic nie zaszło. Tylko okręt znikł z powierzchni wody i Groslow ze swymi trzema ludźmi zginął.

Czterej przyjaciele widzieli to wszystko. Żaden szczegół tego straszliwego dramatu nie uszedł ich uwagi.

Przez chwilę pogrążeni byli w milczeniu. Portos i d'Artagnan, którzy mieli wiosła, trzymali je machinalnie nad wodą, pochylając się nad nimi i ściskając je w zmartwiałych rękach.

— Na honor — rzekł Aramis przerywając pierwszy grobową ciszę — sądzę, że tym razem wszystko się skończyło.

— Na pomoc! milordzie, na pomoc! ratujcie! — wołał płaczliwy głos, który dochodził uszu naszych przyjaciół i wydawał się w tej straszliwej chwili jakby głosem jakiegoś ducha morskiego.

Wszyscy spojrzeli po sobie. Atos nawet zadrżał.

— To on! to jego głos! — zawołał.

Wszyscy milczeli, bo wszyscy, jak Atos, poznali ten głos. Tylko ich wyteżony wzrok zwrócił się w kierunku, w którym znikł statek.

Po chwili można było rozpoznać człowieka. Zbliżał się do nich płynąc.

Atos wyciągnął zwolna rękę, wskazując go palcem swoim towarzyszom.

— Tak, tak — rzekł d'Artagnan — widzę go.

— Jeszcze on! — zawołał Portos oddychając jak miech kuźni. — Do czarta! on musi być z żelaza.

— O, mój Boże! — rzekł z cicha Atos. Aramis i d'Artagnan mówili coś sobie do ucha.

Mordaunt zbliżył się jeszcze o kilka sążni i podnosząc rękę nad wodą, wołał.

— Litości! panowie, litości, na imię nieba was zaklinam! Czuję, że mnie siły opuszczają, już umieram.

Głos, który wzywał pomocy, był tak rzewny, że obudził współczucie w sercu Atosa.

— Nieszczęśliwy! — mruknął.

— Brawo! — rzekł d'Artagnan — tylko tego brakuje, żebyś go żałował. Doprawdy, zdaje mi się, że płynie ku nam. Czy myślisz, że go weźmiemy? Rób wiosłem, Portosie, prędzej.

— Och, panowie! nie opuście mnie, nie pozwólcie mi zginąć! nie bądźcie bez litości! — wołał Mordaunt.

— Ach, tak! — rzekł Portos do Mordaunta — sądzę, żeśmy cię przecie raz złapali, mój szanowny panie, i że aby umknąć stąd — nie znajdziesz innych drzwi niż do piekła.

— Portosie — rzekł z cicha hrabia de la Fère..

— Dajże mi pokój, Atosie. W istocie, stajesz się śmieszny z twoją wieczną wspaniałomyślnością! Jeżeli się zbliży na dziesięć stóp od łodzi, oświadczam ci, że mu rozwalę głowę jednym uderzeniem wiosła.

— Przez litość... nie uciekajcie ode mnie, panowie... przez litość... zmiłujcie się nade mną... — wołał młodzieniec głosem drżącym z wysiłku, a głowę jego często chłonęły bałwany.

D'Artagnan powstał.

— Panie — rzekł zwracając się do płynącego — chciej się łaskawie oddalić. Twój żal wydaje nam się za świeży, żebyśmy mogli mieć doń zaufanie, zastanów się, że statek, w którym chciałeś nas upiec, dymi się jeszcze pod wodą i że położenie, w jakim się pan znajdujesz, wydaje się łożem usłanym różami w porównaniu z tym, na którym chciałeś nas uspić, a uspiłeś tylko Grosłowa i jego towarzyszy.

— Panowie! — zawołał Mordaunt głosem bardziej jeszcze rozdzierającym — przysięgam, że mój żal jest szczery. Panowie! jestem tak młody, mam zaledwie lat dwadzieścia trzy; powodowany byłem uczuciem bardzo prostym, chciałem pomścić śmierć mojej matki. I wy wszyscy to samo byście uczynili na moim miejscu.

— Och! — mruknął d'Artagnan widząc, że Atos rozczuła się coraz bardziej — to jeszcze pytanie.

Mordaunt już się znacznie zbliżył do łodzi, gdyż pewność śmierci zdawała się dodawać mu sił nadludzkich.

— Niestety! Muszę umrzeć. Chcecie więc zabić syna, jakżeście zabili matkę!... A przecież ja nie jestem winien. Zgodnie z wszystkimi prawami boskimi i ludzkimi syn powinien się pomścić za matkę. A jeśli to jest zbrodnia, kiedy jednak tego żałuję, kiedy błagam o przebaczenie — powinniście mi przebaczyć.

I jakby mu sił zabrakło, zdawał się nie móc dłużej utrzymać na wodzie, a bałwan, który mu przeszedł nad głowę, zagłuszył jego głos.

— Och! to mi serce rozdziera! — rzekł Atos. Mordaunt znów wypłynął na wierzch.

— A ja — odrzekł d'Artagnan — powiadam, że trzeba raz skończyć. Panie zabójco swojego stryja, panie kacie Karola Stuarta, panie podpalaczu, radzę ci, żebyś utonął albo, jeśli się jeszcze zbliżysz do łodzi, roztrzaskam ci głowę moim wiosłem.

Mordaunt jakby w rozpacz posunął się ku niemu. D'Artagnan chwycił wiosło w obie ręce, Atos wstał.

— D'Artagnan — zawołał — d'Artagnan! mój synu, błagam cię! Ten nieszczęśliwy zginie, a można patrzeć na śmierć człowieka i nie podać mu ręki, kiedyby przez to można go ocalić. Och! moje serce wzbrania mi podobnego czynu. Nie mogę się oprzeć prośbom jego; on musi żyć.

— Kroćset szatanów! — odrzekł d'Artagnan — czemuż nas nie oddać od razu temu nędznikowi, powiązawszy nam ręce i nogi? Rzecz będzie prędzej skończona. Panie hrabio de la Fère, chcesz zginąć z jego ręki, dobrze więc, ale ja, twój syn, jak mię nazywasz, ja tego sobie nie życzę!

Pierwszy to raz d'Artagnan odmawiał prośbie Atosa, kiedy go ten synem nazywał.

Aramis z zimną krwią wyciągnął z pochwy szpadę, którą płynąc uniósł w zębach.

— Jeśli się ręką dotknie brzegu barki, utnę mu ją jak mężobójcy, którym jest w istocie.

— A ja — rzekł Portos — czekajcie.

— Cóż ty chcesz zrobić? — spytał Aramis.

— Rzucę się w wodę i uduszę go.

— O, panowie! — zawołał Atos z uczuciem, któremu nie można było się oprzeć — bądźmy ludźmi, bądźmy chrześcijanami!

D'Artagnan wydał westchnienie, które podobniejsze było do jęku; Aramis spuścił szpadę; Portos usiadł.

— Patrzcie — mówił Atos — patrzcie, śmierć się maluje na jego twarzy, sił mu już brak, jeszcze jedna minuta, a pójdzie na dno przepaści. O!... nie sprawiajcie mi tak straszliwej zgryzoty, nie przymuszajcie mię, żebym umarł ze wstydu, moi przyjaciele; darujcie życie temu nieszczęśliwemu, a będę was błogosławił, będę was.

— Ach!... umieram!... — jęknął Mordaunt — na pomoc!... na pomoc!...

— Panie hrabio de la Fère — wołał Mordaunt — panie hrabio de la Fère! do pana się udaję! pana błagam!... zlituj się nade mną!... Gdzie pan jesteś, panie hrabio de la Fère... Nic już nie widzę... umieram!... Na pomoc!... ratujcie!...

— Tu jestem, panie — rzekł Atos pochylając się i wyciągając rękę ku Mordauntowi z wyrazem szlachetności i godności, który był mu tak właściwy — oto jestem; uchwyc się mojej ręki i wejdź do naszej łodzi.

— Wolę nie patrzeć na to — rzekł d'Artagnan — ta słabość mię oburza.

I odwrócił się do dwóch swoich przyjaciół, którzy również usunęli się w przeciwną stronę, jakby z obawy zetknięcia się z tym człowiekiem, któremu jeden Atos nie lękał się podać ręki.

Mordaunt uczynił ostatni wysiłek, podniósł się, uchwycił tę rękę ku niemu wyciągniętą i uczeplił się jej.

— Dobrze! — rzekł Atos — a drugą rękę tu pan połóż.

I nadstawił mu ramię tak, że jego głowa dotykała prawie głowy Mordaunta i ci dwaj śmiertelni nieprzyjaciele trzymali się w objęciu jak dwaj bracia. Mordaunt ścisnął swymi zlodowaciałymi palcami szyję Atosa.

— Tak, panie — mówił hrabia — już teraz jesteś bezpieczny, uspokój się więc.

— Ach! moja matko! — zawołał Mordaunt ze spojrzeniem ognistym i wybuchem nienawiści nie do opisania — jedną tylko mogę złożyć ci ofiarę, ale sądzę, że ty sama inaczej byś nie wybrała.

W tej chwili d'Artagnan krzyknął. Portos podniósł wiosło, Aramis szukał miejsca, żeby ugodzić Mordaunta; gwałtowne uderzenie, które wstrząsnęło barką, pociągnęło Atosa w morze; wtenczas Mordaunt wydał okrzyk triumfu. Ścisnąc za szyję swoją ofiarę i chcąc przeszkodzić jej ruchom oplótł ją jak wąż.

Przez chwilę, bez najmniejszego narzekania, nie wzywając pomocy, Atos usiłował utrzymać się na powierzchni wody, ale ciężar go pociągał. Wkrótce widać było tylko jego długie włosy pływające; na koniec i te się zanurzyły, tylko szeroki wir wskazywał miejsce, w którym obaj zatonęli.

Trzej przyjaciele oniemieli ze zgrozy, nieruchomi, przejęci oburzeniem i przerażeniem stali z oczami wytrzeszczonymi, z ustami otwartymi, wyciągając ręce; rzekłbyś, że to posągi, a jednak, pomimo ich nieruchomości, słyszałbyś bicie ich serca. Portos pierwszy przyszedł do siebie.

— Och! — zawołał z rozdzierającym łkaniem. — Och, Atosie, Atosie!. ty szlachetny człowieku! Biada! biada nam, żeśmy ci dali umrzeć!

— O, tak! — powtórzył d'Artagnan — biada!

— Biada! — mruknął Aramis.

W tej chwili pośrodku wodnej przestrzeni, oświeconej promieniem księżycy, o kilka sążni od łodzi, taki sam wir, jaki powstał w miejscu, gdzie zniknęły dwa ciała, powstał znowu i ujrano najpierw włosy, potem bladą twarz z otwartymi, a jednak martwymi oczami, potem całe ciało, które podniósłszy się do pasa nad wodą, upadło z wolna na wznak.

W pierś trupa wbity był sztylet, którego złota rękojeść błyszczała.

— Mordaunt!... Mordaunt!... Mordaunt!... — krzyknęli trzej przyjaciele — to jest Mordaunt!

— Ale Atos? — rzekł d'Artagnan.

Nagle łódź pochyliła się na lewo pod ciężarem nowym i niespodziewanym i Grimaud wydał okrzyk radości; wszyscy obrócili się i ujrano Atosa zbladłego, z okiem przyćmionym, z ręką drżącą, opierającego się o burtę czółna.

Osiem silnych rąk porwało go natychmiast i posadziło w czółnie, i w jednej chwili Atos ożywił się, ogrzał, odrodził w objęciach swych przyjaciół, uniesionych radością, którzy go obsypywali pieścizotami.

— Nie jesteś ranny przynajmniej? — spytał d'Artagnan.

— Nie ... — odpowiedział Atos — a on?

— Och! on, tym razem, dzięki Bogu, umarł już. Patrzaj!

I d'Artagnan, zmuszając Atosa, żeby spojrzał w kierunku, który mu wskazywał, pokazał mu ciało Mordaunta, unoszone falą. Zdawało się ono jeszcze ścigać czterech przyjaciół wejrzeniem pełnym szyderstwa i śmiertelnej nienawiści.

— Brawo, Atosie! — rzekł Aramis z wybuchem rzadkim u niego.

— To mi uderzenie! — zawołał Portos.

— Mam syna — rzekł Atos — chciałem więc żyć.

— Przecież głos Boga usłuchał.

— Nie ja go zabiłem — szepnął Atos — to przeznaczenie!

XXIII

POWRÓT

Pierwszy brzask poranku zaczął rozjaśniać morze, gdy o dziesięć blisko wystrzałów muszkietu spostrzec można było coś czarnego. Powyżej rozwijał się żagiel trójkątny, cienki i przedłużony jak skrzydło jaskółki.

— Statek! — zawołali razem przyjaciele, gdy tymczasem służący ze swojej strony wyrażali także radość rozmaitym sposobem.

Był to w istocie statek kupiecki, który płynął do Boulogne.

Czterej panowie, Blaisois i Mousqueton połączyli swoje głosy i jeden krzyk zadrzął w powietrzu, tymczasem Grimaud włożył kapelusz na swoje wiosło, ażeby zwrócić oczy tych, których ten okrzyk dojdzie.

W kwadrans później czółno, należące do tego statku, zabrało ich; wysiedli na pokładzie małego okręciku. Grimaud ofiarował ze strony swego pana dwadzieścia gwinei właścicielowi statku, a o dziewiątej z rana, przy wietrze przyjaznym, nasi Francuzi wstąpili na rodzinną ziemię.

— Do pioruna! jak tu się jest pewnym! — rzekł Portos zagłębiając szerokie swe stopy w piasek. — Niech teraz kto szuka ze mną zaczepki, niech na mnie krzywo spojrzy, a zobaczy, z kim ma do czynienia! Do szatana! wyzwaliśmy całe królestwo!

— A ja — rzekł d'Artagnan — radzę ci, Portosie, żebyś tak głośno nie czynił tego wyzwania, bo mi się zdaje, że tu na nas bardzo patrzą.

— Wybornie! — rzekł Portos — z uwielbieniem na nas patrzą.

— Co do mnie — odpowiedział d'Artagnan — to wcale nie schlebia mojej miłości własnej, przysięgam ci, Portosie; ja tu tylko spostrzegam ludzi w czarnych sukniach, a w naszym położeniu ludzie czarno ubrani przestraszają mnie.

— To są urzędnicy celni w porcie — rzekł Aramis.

— Za czasów dawnego, wielkiego kardynała — rzekł Atos — więcej by zwracano uwagi na nas niż na towary. Ale teraz, bądźcie spokojni, przyjaciele — więcej będą zważać na towary niż na nas.

— Ja — rzekł d'Artagnan — udaję się przez wzgórze.

— Czemuż nie przez miasto? — spytał Portos — wolałbym przecie dobrą oberżę od tych szkaradnych pustyń piaszczystych, które Bóg stworzył tylko dla królików — zresztą chce mi się jeść.

— Rób, jak ci się podoba, Portosie — rzekł d'Artagnan — co zaś do mnie, przekonany jestem, że w naszym położeniu najbezpieczniej będzie chronić się przed wzrokiem ciekawych, wybieram więc drogę przez pole.

D'Artagnan był pewien, że będzie miał za sobą większość głosów, udał się więc ku wzgórzom, nie czekając odpowiedzi Portosa.

Mała gromadka poszła za nim i znikli niedługo za piaszczystymi pagórkami.

— Teraz — rzekł Aramis, kiedy, uszli o jakie ćwierć mili — rozmawiajmy.

— O!... nie... — rzekł d'Artagnan — uciekajmy. Uszliśmy przed Cromwellem, przed Mordauntem, zwyciężyliśmy morze, pokonaliśmy trojaką przepaść, która nas chciała pochłoniąć, ale nie ujdziemy rąk Mazariniego.

— Masz słuszość, d'Artagnan — rzekł Aramis — i dla większego bezpieczeństwa powinniśmy się nawet rozłączyć.

— Tak, tak, przyjacielu — dodał d'Artagnan — rozłączmy się.

Portos chciał się sprzeciwić temu postanowieniu, ale d'Artagnan dał mu do zrozumienia, ściskając go za rękę, że powinien milczeć. Portos zwykle był zupełnie posłuszny swemu przyjacielowi, przyznawał bowiem z całą dobroduszością swego charakteru wyższość umysłu swemu towarzyszkowi. Wstrzymał więc słowa, które miał na końcu języka.

— Dlaczegoż mamy się rozłączyć? — zapytał Atos. — Dlatego — odpowiedział d'Artagnan — że Portosa i mnie wysłał Mazarini do Cromwella, a my zamiast służyć Cromwellowi, poświęciliśmy usługi naszej królowi Karolowi I, co nie jest wcale to samo. Powrót z panami de la Fère i d'Herblay czyni naszą zbrodnię oczywistą. Jeżeli sami powrócimy, ta zbrodnia będzie wątpliwa, a wątpliwością można ludzi daleko zaprowadzić. Ja też właśnie chcę Mazariniego wywieźć w pole.

— Słusznie — rzekł Portos — to wielka prawda.

— Zapomnieliście — mówił Atos — że my jesteśmy waszymi jeńcami i nie uważamy się wcale za wolnych, a zatem skoro nas odprowadzicie do Paryża...

— Rzeczywiście, Atosie — przerwał d'Artagnan — żal mi, że człowiek tak rozumny jak ty może mieć zdanie, którego by się wstydził uczeń trzeciej klasy. Kawalerze — mówił dalej, zwracając się do Aramis, który dumnie oparty na swojej szpadzie, pomimo iż poprzednio innego był mniemania, po pierwszych jednak słowach swego towarzysza, zdawał się potwierdzać to, co on mówił — kawalerze, chciej rozważyć, że jak zawsze, mój nieufny charakter przesądza. Portos i ja nie jesteśmy tak bardzo narażeni na niebezpieczeństwo. Ale gdyby przypadkiem chciano nas uwięzić w waszej obecności, wtenczas... Me tak łatwo uwięzić siedmiu, jak trzech. Przyszłoby do szpad, a sprawa zła sama przez się pogorszyłaby się jeszcze i zgubiłaby wszystkich.: A zresztą, jeśli nieszczęście spotka dwóch z nas, czyliż nie lepiej, żeby dwaj drudzy zostali wolni i starali się dopomóc tamtym, i wszystkim dołożyć usiłowań.

a w końcu ich oswobodzić? A może, któż wie, każdy oddzielnie uzyska przebaczenie — my od Mazariniego, wy od królowej. Dalej, Atosie i Aramisie, idźcie na prawo; ty, Portosie, chodź ze mną na lewo; niech ci panowie udadzą się do Normandii, a my najkrótszą drogą do Paryża.

— A gdyby też nas w drodze schwytano, jakże się uwiadomimy wzajemnie o tym wypadku? — spytał Aramis.

— Nic łatwiejszego — odpowiedział d'Artagnan — ułożmy się, którędy będziemy przejeżdżać, i już tego stale się trzymajmy. Wy jedźcie przez Saint-Valery, potem Dieppe, a z Dieppe prostą drogą do Paryża; my się udamy przez Abbeville, Amiens, Péronne, Compiègne i Selins, a w każdej oberży, w każdym domu, w którym się zatrzymamy, napiszemy na ścianie końcem noża albo na szybie ostrzem diamentu objaśnienia, które by mogły posłużyć tym, co będą wolni.

— Ach, mój przyjacielu — rzekł Atos — podziwiałbym przytomność twego umysłu, gdyby przymioty serca nie zasługiwały w tobie na większe jeszcze uwielbienie..

I wyciągnął rękę ku niemu.

— A czy lis nie ma dowcipu, Atosie? — rzekł Gaskończyk wzruszając ramionami. — Umie on dusić kury, zwąchać strzelca i trafić do nory tak w dzień, jak w nocy — oto wszystko. Więc jakże, panowie, zgoda?

— Zgoda.

— Rozdzielmy pieniądze — odrzekł d'Artagnan. — Powinno być jeszcze około dwustu pistolów. Ileż tam jest, Grimaud?

— Sto osiemdziesiąt i pół luidora, panie.

— Właśnie tak myślałem. Ach! wiwat! otóż i słońce. Dzień dobry ci, przyjacielu! Chociaż nie jesteś tak piękne jak słońce naszej Gaskonii, zdaje mi się, że cię poznaję. Witaj mi więc. Dawno już, dawno, jakeśmy się nie widzieli.

— No, no — rzekł Atos — nie udawaj stoika; widzę, że masz łzy w oczach. Bądźmy zawsze otwarci jeden względem drugiego, nawet wówczas, gdyby ta otwartość miała odkryć nasze dobre przymioty.

— Ależ bo — rzekł d'Artagnan — czy ty myślisz, że można się rozstać bez wzruszenia z takimi przyjaciółmi jak ty i Aramis?

— Och, nie — rzekł Atos — toteż uściskaj mię, mój synu!

— Kroćset piorunów! — rzekł Portos łkając — zdaje mi się, że płaczę. Jakież to głupstwo!

I czterej przyjaciele rzucili się sobie wzajemnie w objęcia. Ci czterej ludzie złączeni tym braterskim uściskiem zdawali się w tej chwili mieć jedną duszę.

Atos i Aramis udali się drogą, którą im wskazał d'Artagnan, i śpieszyli, jak mogli.

Co wieczór z obawy, żeby ich w nocy nie ujęto, pisali na murze albo na szybie znaki umówione; a za każdym rankiem, dziwili się bardzo, że im się dotąd nic złego nie trafiło.

Na przedmieściach Paryża szyldwach nie chciał przepuścić dwóch rycerzy i zawołał sierżanta.

Sierżant przyszedł natychmiast i spytał:

— Kto panowie jesteście?

— Jesteśmy szlachcicami — odpowiedział Atos.

— Skąd panowie przybywacie?

— Z Londynu.

— A po co przybywacie do Paryża?

— Mamy polecenie do jej królewskiej mości, królowej angielskiej.

— To szczególnie! wszyscy dziś udają się do królowej angielskiej — odrzekł sierżant — już tam jest trzech panów na odwachu, którym przeglądają paszporty, i ci się udają do jej królewskiej mości. A gdzie panów papiery?

— Nie mamy żadnych.

— Jak to nie macie, panowie?

— Nie, przybywamy z Londynu, jakeśmy to już oświadczyli; nie wiemy więc zupełnie, co się tu dzieje, bośmy Paryż opuścili jeszcze przed odjazdem króla.

— Ach! — rzekł sierżant z miną figlarną — panowie jesteście mazarinistami i chcecie zapewne wcisnąć się tu, żeby nas szpiegować.

— Mój dobry przyjacielu — rzekł Aramis, który dotąd pozwolił mówić Atosowi — gdybyśmy byli mazarinistami, mielibyśmy właśnie najdokładniejsze paszporty. W waszym położeniu, moi panowie, powinniście wystrzegać się najmocniej tych, którzy nie uchybiają w niczym przepisom.

— Wejdźcie, panowie, na odwach — rzekł sierżant — przedstawicie wasze żądanie dowódcy oddziału.

Dał znak szyldwachowi; ten się usunął; sierżant przeszedł pierwszy, a nasi podróżni weszli za nim na odwach.

Tu zastali mnóstwo mieszczan i pospólstwa; jedni grali, drudzy pili, a inni sprzeczali się.

W kącie stali trzej poprzednio przybyli, których paszporty wizował oficer. Ten oficer był w przyległej sali, jego wyższy stopień dawał mu prawo zajmowania osobnego pokoju.

Nowoprzybyli, jak również i ci, co ich poprzedzili, rzucili na siebie z dwóch końców izby wzajemne szybkie i badawcze spojrzenie. Pierwsi okryci byli obszernymi płaszczami, których szerokie hafty całkiem ich osłaniały. Jeden z nich, niższy od swoich towarzyszy, usunął się w głąb i stanął w ciemniejszym kącie.

Sierżant wchodząc oświadczył, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa przyprowadza dwóch mazarinistów. Trzej panowie z kąta odwrócili się i bacznie słuchali. Najniższy z nich, który postąpił dwa kroki naprzód, cofnął się znów i stanął w cieniu.

Skoro się dowiedziano, że nowoprzybyli nie mieli paszportów, ogólnym zdaniem będących na odwachu było, że nie wejdą do miasta.

— Przeciwnie, moi panowie — rzekł Atos — niezaprzeczoną jest rzeczą, że wejdziemy, bo sądzę, że mamy do czynienia z rozsądnymi ludźmi. Wypadnie więc tylko uczynić jedną rzecz bardzo prostą, posłać nasze nazwiska jej królewskiej mości królowej angielskiej, a jeżeli ona zareczy za nas, sądzę, że panowie pozwolicie nam wejść do miasta.

Na te słowa nieznajomy ukrywający się w cieniu podwoił swą uwagę.

— Och! mój Boże! — rzekł Aramis trącając Atosa łokciem — czy widzisz?

— Co takiego? — spytał Atos.

— Twarz najniższego z tych trzech panów?

— Nie...

— Ale bo mi się zdawało... lecz to nie podobna...

W tej chwili sierżant, który poszedł do osobnego pokoju, aby odebrać rozkazy od oficera na służbie — powrócił i wskazując trzech nieznajomych, którym oddał papiery, rzekł:

— Paszporty są dokładne, przepuście tych trzech panów. Ci panowie skłonili się i korzystając z pozwolenia, śpiesznie wyszli drogą, którą im otworzono na rozkaz sierżanta.

Aramis ścisnął ich oczyma i w chwili kiedy najniższy przechodził koło niego, ścisnął silnie rękę Atosa.

— Co ci jest, mój kochany?

— Ale... bo... chyba przywidzenie. Potem obracając się do sierżanta:

— Chciej mi pan powiedzieć, czy pan znasz tych rycerzy, którzy stąd wyszli?

— Znam ich z paszportów, są to panowie de Flamarens, de Chatillon i de Bruy, trzech frondyści, którzy przybyli do księcia de Longueville.

— To szczególnie — rzekł Aramis odpowiadając swoim myślom raczej niż sierżantowi — mnie się zdawało, że poznaję samego Mazariniego

Sierżant głośno się roześmiał.

— On! — rzekł — miałby się tak narażać u nas! Chyba że by go powieszono! — o!... nie taki on głupi!

— Ach! — rzekł z cicha Aramis — mogłem się omylić, nie mam tak trafnego oka jak d'Artagnan.

— Kto tu wspomina d'Artagnana — spytał oficer, który właśnie ukazał się na progu swojego pokoju.

— Och! — zawołał Grimaud otwierając szeroko oczy.

— Cóż to? — rzekli jednocześnie Atos i Aramis.

— Planchet! — odpowiedział Grimaud — Planchet ze szlifami! ...

— Panowie de la Fère i d'Herblay! — zawołał oficer — z powrotem w Paryżu! Och! cóż to za radość dla mnie!... panowie zapewne się przyłączą do książąt?

— Jak widzisz, mój kochany Planchet — rzekł Aramis. Tymczasem Atos uśmiechnął się widząc, jak znakomity stopień otrzymał w wojsku miejskim dawny kolega Mousquetona, Bazina i Grimauda.

— A pan d'Artagnan, o którym mówił przed chwilą pan d'Herblay? Mogę się zapytać, czy panowie mają o nim jakie wiadomości?

— Rozstaliśmy się z nim przed czterema dniami, mój przyjacielu, i spodziewaliśmy się, że nas wyprzedził i przybył już do Paryża.

— Nie, panie, jestem najpewniejszy, że nie wrócił do stolicy; chyba został w Saint-Germain.

— Nie sądzę, mieliśmy się zejść „Pod Sarną”.

— Byłem tam dziś właśnie.

— I piękna Magdalena nie miała o nim wiadomości? — spytał Aramis z uśmiechem.

— Nie, panie; nie będę nawet przed panem ukrywał, że zdawała mi się bardzo niespokojna.

— Teraz — spytał Planchet — cóż panowie zamyślają uczynić?

— Wejść do Paryża, jeśli wszelako pozwolisz na to, panie Planchet — rzekł Atos.

— Jak to!... ja mam pozwolić? Żartuje sobie ze mnie pan hrabia.

I uklonił się.

Potem, obracając się do swoich, rzekł:

— Przepuścić tych panów, ja ich znam — są to przyjaciele pana de Beaufort.

— Niech żyje pan de Beaufort! — zawołałi wszyscy zgromadzeni, rozsuwając się i czyniąc wolne przejście Atosowi i Aramisowi.

Sam tylko sierżant zbliżył się do Plancheta. — Jak to, bez paszportu?

— Bez paszportu — odrzekł Planchet.

— Uważaj, kapitanie — mówił dalej, dając już naprzód Planchetowi tytuł, który mu był przyobiecany — uważaj, że jeden z trzech panów, którzy dopiero stąd wyszli, powiedział mi po cichu, żeby być ostrożnym z tymi panami.

— A ja — rzekł Planchet poważnie — znam ich i ręczę za nich.

To powiedziawszy, uściśnął rękę Grimauda, który zdawał się być bardzo zadowolony z tego zaszczytu.

— Do widzenia więc, kapitanie — odrzekł Aramis swoim żartobliwym tonem — gdyby nam się co przytrafiło — odwołamy się do ciebie.

— Panie — rzekł Planchet — jestem jak zawsze na panów usługi.

— Ten chłopak ma rozum, a nawet niepospolicie — mówił Aramis dosiadając konia.

— A jakżeby miał nie mieć rozumu — rzekł Atos — kiedy tak długo czyścił kapelusz swego pana?

XXIV

WYŚLANNICY

Dwaj przyjaciele ruszyli natychmiast drogą, spuszczać się szybko ku pochyłości przedmieścia, ale gdy zjechali na dół, zobaczyli, że ulice Paryża zamieniły się w rzeki, a place w jeziora: wskutek deszczów, które padały w styczniu, Sekwana wezbrała i zalała połowę stolicy.

Atos i Aramis wjechali odważnie w tę powódź, ale konie wkrótce miały wody po piersi i nasi jeźdźcy zmuszeni byli wziąć czółno.

Czółnem dopiero przybyli do Luwru.

Przybyli do królowej, ale trzeba było poczekać w przedpokoju, 'bo właśnie jej królewska mość dawała audiencję dwóm panom, którzy jej przywieźli wiadomości z Anglii.

— I my także — rzekł Atos do służącego — nie tylko, że mamy wiadomości z Anglii, ale nawet przybywamy stamtąd.

— Jak się panowie nazywają? — spytał służący.

— Hrabia de la Fère i kawaler d'Herblay — rzekł Aramis. — O! w takim razie proszę panów z sobą.

Poszedł naprzód, Atos i Aramis szli za nim. Skoro się zbliżyli do pokoju, w którym była królowa, służący dał im znak, żeby się zatrzymali, i otwierając drzwi rzekł:

— Pani, spodziewam się, że wasza królewska mość przebaczy mi przestąpienie jej rozkazów, kiedy się dowie, że ci, których przychodzę oznajmić, są to panowie de la Fère i kawaler d'Herblay.

Usłyszawszy te imiona królowa krzyknęła z radości, tak że dwaj rycerze usłyszeli ten okrzyk z miejsca, w którym się zatrzymali.

— Nieszczęśliwa wdowa! — szepnęła Atos.

— Och!... niech wejdą! niech wejdą! — zawołała również młoda księżniczka biegnąc ku drzwiom.

— Wejdźcie panowie — rzekła otwierając sama drzwi. Atos i Aramis weszli. Królowa siedziała w dużym krześle, a przed nią stali dwaj pomiędzy trzech panów, których spotkali na odwachu.

Byli to Flamarens i Gaspard de Coligny, książę de Chatillon, brat tego, który został zabity przed siedmiu laty w pojedynku z powodu pani de Longueville.

Gdy oznajmiono dwóch przyjaciół, cofnęli się o krok i zamienili ze sobą po cichu kilka słów.

— I cóż!.... moi panowie — zawołała królowa angielska, spostrzegając Atosa i Aramisa. — Wracacie, wierni przyjaciele, ale kurier państwa prędzej jeszcze zdąży od was. Dwór został uwiadomiony o wypadkach w Londynie w chwili, kiedyście wjeżdżali w bramy Paryża] i oto właśnie panowie de Flamarens i de Chatillon przynoszą mi od jej królewskiej mości królowej Anny Austriackiej najświeższe szczegóły.

Aramis i Atos spojrzeli po sobie; ten spokój, ta radość nawet, która jaśniała w wejrzeniu królowej, przejmowała ich zdziwieniem.

— Mówcie dalej — rzekła obracając się do panów de Flamarens i de Chatillon — powiedzieliście więc, że mąż mój, skazany wbrew większości, został jednak ocalony przez swój przychylny lud.

— Tak jest, pani — odpowiedział Chatillon tak cicho, że pomimo najbaczniejszej uwagi dwaj nasi przyjaciele ledwie mogli usłyszeć to potwierdzenie.

Królowa złożyła ręce z wyrazem najwyższej wdzięczności, a córka jej objęła szyję matki i całowała ją, mając oczy pełne radosnych łez.

— Teraz pozostaje nam tylko złożyć królowej nasze najgłębsze uszanowanie — rzekł Chatillon, któremu to położenie zdawało się być przykre i który spotykając pewne, badawcze spojrzenie Atosa, rumienił się widocznie.

— Jeszcze chwilę, panowie — rzekła królowa zatrzymując ich gestem. — Jeszcze chwilę, bądźcie łaskawi! oto właśnie hrabia, de la Fère i kawaler d'Herblay wracają, jakżeście panowie słyszeli, z Londynu i udziela nam może jako naoczni świadkowie szczegółów, które panom mogą nie być wiadome. Odniesiecie je królowej, mojej dobrej siostrze. Mówcie więc, panowie, mówcie, niczego nie oszczędzajcie. Skoro mąż mój żyje i honor domu naszego ocalony — wszystko zupełnie mi jest obojętne.

Atos zbladł i przyłożył rękę do serca..

—: Co to znaczy! — rzekła królowa, która widziała ten ruch i tę bladość — czemu pan nie mówisz, kiedy go proszę o to.

— Wybacz mi, pani — rzekł Atos — ale nie chcę nic dodać do opowiadania tych panów, póki oni sami nie uznają, że się mogli omylić.

— Omylić!? ... — zawołała królowa prawie bez tchu — omylić!... Cóż więc się stało?... o, mój Boże!

— Panowie — rzekł de Flamarens do Atosa — jeżeli my się mylimy, widać, że królowę oszukano, bo my przybywamy z jej polecenia i sędzę, że panowie nie zechcecie błędu tego prostować, bobyście musieli zaprzeczyć słowom jej królewskiej mości.

— Więc to z polecenia królowej, panie? — odrzekł Atos głosem spokojnym i silnym.

— Tak jest — wyjąknął Flamarens spuszczać oczy. Atos westchnął głęboko.

— Czy to aby nie jest polecenie tego, który panom towarzyszył i którego widzieliśmy na odwachu przy rogatce du Roule? — rzekł Aramis ze swoją szyderską grzecznością. — Bo jeśli się nie mylimy, hrabia de la Fère i ja byliśmy świadkami, że panowie we trzech weszliście do Paryża.

Chatillon i Flamarens zadrżeli.

— Wytłumacz się, hrabio — zawołała królowa, której niepokój dochodził do najwyższego stopnia — na twoim czole wyczytuję rozpacz, usta wahają się wyrzec jakąś okropną wiadomość... ręce twoje drżą... Och! mój Boże! i coż się więc stało?

— Boże!... — rzekła młoda księżniczka padając na kolana koło swojej matki — Boże! zmiłuj się nad nami!...

— Panie — rzekł Chatillon — kiedy przynosisz złe nowiny, postąpisz jak człowiek bez czucia, jeśli zechcesz udzielić ich królowej.

Aramis zbliżył się do niego, tak że prawie go dotknął.

— Książę — mówił do niego z przygryzionymi ustami i z iskrzącym okiem — spodziewam się, że nie masz zamiaru uczyć hrabiego de la Fère i mnie tego, co mamy tu powiedzieć.

Podczas tej krótkiej sprzeczki Atos, ciągle trzymając rękę na sercu, z głową schyloną zbliżył się do królowej i klękając, drżącą i zlodowaciałą ręką wyjął zza sukni, zamknięte w jednym pudełku, krzyż diamentowy, który przed ich odjazdem królowa oddała lordowi de Winter, i obrączkę ślubną, którą przed śmiercią Karol wręczył Aramisowi.

Otworzył pudełko i podał je królowej z wyrazem niemej i głębokiej boleści.

Królowa wyciągnęła rękę, chwyciła obrączkę, podniosła ją konwulsyjnie do ust i nie mogąc nawet westchnąć, nie mogąc zapłakać, opuściła rękę, zbladła i padła bez zmysłów w objęcia córki i swoich służebnych.

Atos ucałował brzeg sukni nieszczęśliwej wdowy, z godnością, która na obecnych głębokie uczyniła wrażenie.

— Ja, hrabia de la Fère — rzekł szlachcic — który nigdy nie skłamałem, przysięgam najpierw przed Bogiem, a potem przed tą królową, że co tylko było w ludzkiej mocy dla ocalenia Karola Stuarta, to wszystko uczyniliśmy na ziemi angielskiej. Teraz, kawalerze — dodał obracając się do d'Herblaya — odejźmy, dopełniliśmy obowiązku.

— Nie ze wszystkim — mówił Aramis — powinniśmy słówko powiedzieć tym panom.

A obracając się do Chatillona rzekł:

— Panie, czy nie byłbyś łaskaw wyjść, choćby tylko na chwilę, dla usłyszenia tego słówka, którego nie mogę powiedzieć przy królowej?

Chatillon uklonił się na znak potwierdzenia, ale nic nie odpowiedział; Atos i Aramis wyszli pierwsi. Chatillon i Flamarens za nimi; przeszli przez sień, nie wyrzekłszy słowa; ale przybywszy na taras, który był zupełnie pusty, Aramis stanął i obracając się do księcia Chatillon, rzekł:

— Panie, pozwoliłeś sobie przed chwilą, jak mi się zdaje, obejść się z nami bardzo niegrzecznie. To było w każdym razie jeszcze bardziej niewłaściwe ze strony osób, które przynosiły królowej wiadomości od kłamcy.

— Panie! — zawołał Chatillon.

— Cóżście zrobili z panem de Bruy? — spytał szydersko Aramis. — Czy czasem nie poszedł ucharakteryzować swojej twarzy, która jak uważam, za bardzo jest podobna do twarzy Mazariniego. Wiadomo przecie, że w Palais-Royal jest mnóstwo masek włoskich, od maski Arlekina aż do Pantalona.

— Ależ pan nas wyzywasz, jak widzę — rzekł Flamarens.

— Ach! pan dopiero to spostrzegłeś?

— Kawalerze! kawalerze!... — zawołał Atos.

— Ach! dajże mi pokój — rzekł Aramis z niecierpliwością — wiesz dobrze, że nie lubię zatrzymywać się wpół drogi.

— Dokończ więc pan — rzekł Chatillon z dumą, która w niczym nie ustępowała natarczywości Aramisa.

Ten się uklonił.

— Panowie — rzekł — kto inny na naszym miejscu kazałby was uwięzić, bo my mamy przyjaciół w Paryżu; ale wolę przedstawić panom sposób powrotu do domów bez obawy. Chciejcie rozprawić się w ciągu kilku minut ze szpadą w ręku na tym odosobnionym tarasie.

— Chętnie — rzekł Chatillon.

— Chwilkę, panowie! — zawołał Flamarens. — Wiem, że propozycja jest zniewalająca, ale teraz nie podobna jej nam przyjąć.

— A to dlaczego? — mówił Aramis swoim tonem szyderskim — czyżby towarzystwo Mazariniego tak panów czyniło ostrożnymi.

— Ach! czy słyszysz, Flamarens? jeżeli nie odpowiem, będzie to plamą dla mego imienia i honoru.

— I ja jestem tego zdania — rzekł zimno Aramis. Chatillon chwycił za rękojeść szpady.

— Książę — rzekł Flamarens — zapominasz, że jutro masz dowodzić wyprawą wielkiej wagi i że wyznaczony będąc przez naczelnego wodza, do jutra wieczór nie możesz sobą rozporządzać.

— Niech i tak będzie! Więc pojutrze rano — powiedział Aramis.

— Pojutrze rano — rzekł Chatillon — to za długo.

— Wszak nie ja — dodał Aramis — naznaczam ten termin i nie ja żądam zwłoki, tym bardziej że jak mi się zdaje, można by się spotkać przy tej wyprawie.

— Tak, masz słuszość — zawołał Chatillon — bardzo mi będzie przyjemnie, jeżeli pan zechcesz przybyć do bram Charenton.

— Jak to, panie, dla zaszczytu spotkania się z panem udałbym się na koniec świata.

— A więc — do jutra.

— Liczę na to. Wróćcie teraz, panowie, do swego kardynała, ale poprzednio dajcie słowo honoru, że go nie uwiadomicie o naszym przybyciu.

— Warunki?

— Czemu nie?

— Ponieważ zwycięzcom wolno jest stawiać warunki, a panowie nie jesteście nimi.

— Więc zaczynajmy natychmiast. Dla nas to wszystko jedno, my nie dowodzimy żadną jutrzejszą wyprawą.

Chatillon i Flamarens spojrzeli po sobie; tyle było ironii w słowach i gestach Aramisa, że Chatillon zaledwie gniew swój powściągnął. Ale jedno słowo pana de Flamarens rozbroiło go.

— A więc niech i tak będzie, nasz towarzyszu, ktokolwiek on jest, nie dowie się o tym, co zaszło. A panowie przyrzekacie mi, że jutro będziecie w Charenton. Wszak prawda? — Ach! — rzekł Aramis — bądźcie, panowie, spokojni.

Czterej rozmawiający oddali sobie ukłon wzajemny i tym razem Chatillon i Flamarens wyszli pierwsi z Luwru. Atos zaś i Aramis udali się za nimi.

— Do kogóż się znowu przyczepiłeś z tym gniewem, Aramisie? — spytał Atos.

— Ech, do czarta! jak widzisz, do tych, z którymi rozmawialiśmy.

— A cóż oni ci uczynili?

— Co mi uczynili?... Więc ty nie uważałeś?

— Nie.

— Szydzili z ciebie, kiedyś przysięgał, żeśmy naszą powinność wypełnili w Anglii. Jeżeli uwierzyli, to szydzili z tego oczywiście, aby nas obrazić, a jeżeli nie uwierzyli, to samo już jest obrażą; powinniśmy więc niezwłocznie dowieść im, że jeszcze zdamy się na co. Zresztą nie gniewam się, że do jutra rzecz odłożyli: sądzę bowiem, że dziś wieczór mamy coś lepszego do zrobienia, jak rozprawić się szpadami.

— Cóż więc mamy robić?

— Ach! do pioruna! trzeba wydać Mazariniego.

— Ja nie lubię tego rodzaju czynności, wiesz dobrze, Aramisie.

— A to dlaczego?

— Bo to mi się wydaje podobne do podejścia.

— Rzeczywiście, Atosie, byłbyś szczególnym wodzem: walczyłbyś tylko wśród dnia; kazałbyś uprzedzić twego przeciwnika, o której godzinie uderzysz na niego, i nie poważałbyś się niczego przedsięwziąć w nocy przeciw niemu, z obawy, żeby cię nie oskarżał, żeś korzystał z ciemności.

Atos uśmiechnął się.

— Wiesz, że nie można zmienić swego sposobu myślenia — rzekł — a potem zdaje się, że uwięzienie kardynała więcej by narobiło złego niż dobrego, więcej kłopotu niż korzyści.

— Powiedz raczej, Atosie, że nie potwierdzasz mojego wniosku.

— To nie: owszem, uważam, że jest trafny; jednakże...

— No, co?

— Sądzę, że nie powinienes być wymagać od tych panów, żeby o nas nie wspominali Mazariniemu, bo wymógłszy tę przysięgę, sam prawie zobowiązałeś się nic nie działać.

— Ja żadnego zobowiązania nie przyjąłem, zaręczam ci; uważam się więc za zupełnie... Dalej, dalej Atosie, idźmy.

— Gdzież pójdziemy?

— Do pana de Beaufort albo do pana de Bouillon; powiem im, co zaszło.

— Dobrze; ale pod jednym warunkiem, to jest, że zaczniemy od koadiutora. Jest to duchowny, on nam powie, czy możemy, zgodnie z sumieniem, tak postąpić, jak ty chcesz.

— Ach! — rzekł Aramis — on wszystko popsuje, wszystko sobie przywłaszczy; do niego powinniśmy pójść na końcu.

Atos uśmiechnął się. Widać było, że ma w głębi serca myśl, której nie wyjawiał.

— Niech i tak będzie. Od kogo więc zaczniemy?

— Od pana de Bouillon, jeśli ci się podoba; do niego mamy najbliżej.

. — Ale teraz, na jedną rzecz musisz pozwolić.

— Na jaką?

— Żebym wstąpił do hotelu „Pod Karolem Wielkim” i uściskał Raula.

— Chętnie pójdę z tobą i uściskamy go obaj.

Przybyli więc do czółna, którym przy płynęli, i kazali się przewieźć na targi. Znaleźli tam Grimauda i Blaisois, trzymających ich konie; stamtąd wszyscy czterej udali się na ulicę Guénégaud.

Ale Raula nie było w oberży „Pod Karolem Wielkim”; właśnie tego dnia otrzymał wezwanie od księcia de Condé i pojechał z Olivainem.

POSZUKIWANIA W PIKARDII

Atos i Aramis, zupełnie bezpieczni w Paryżu, wiedzieli dobrze, że gdy tylko wyjdą z miasta, narażą się na poważne niebezpieczeństwo, ale wiemy, czym były dla tych ludzi niebezpieczeństwa. A przy tym sądzili, „że rozwiązanie tej długiej Odysei zbliżało się i że oczekiwało już tylko ostatniego ciosu.

Paryż bowiem nie był spokojny, żywności zaczynało brakować, lud się niecierpliwił, a między jego przywódcami niezgoda się szerzyła.

W takim stanie była stolica, kiedy Atos i Aramis przedsięwzięli swoją podróż — a jako paryżanie, stronnicy frondy, spodziewali się, że ujrzą w obozie nieprzyjacielskim tę samą nędzę, takie same obawy i podobne intrygi. Zdziwili się więc, kiedy przyjechawszy do Saint-Denis, dowiedzieli się, że w Saint-Germain śmieją się, śpiewają i zupełnie wesoło prowadzą życie.

Dwaj rycerze udali się bocznymi drogami, żeby nie wpaść w ręce mazarinistów rozsypanych w Ile-de-France, jak również, żeby uniknąć frondystów, którzy zajmowali Normandię i którzy zaprowadziliby ich niezawodnie do pana de Longueville, aby ten poświadczył, czy są przyjaciółmi, czy nieprzyjaciółmi. Uszedłszy tego podwójnego niebezpieczeństwa, wyjechali na drogę z Boulogne do Abbeville.

Jednakże przez długi czas żaden szczegół nie zaprowadził ich na ślad przyjaciół. Dopiero w Montreuil siedząc przy stole Atos uczył coś nierównego pod swymi delikatnymi palcami. Podniósł obrus i wyczytał na drzewie, wyrżnięte ostrzem noża, te hieroglify.

„Port... d'Art... 2 lutego”.

— Cudownie — rzekł Atos pokazując napis Aramisowi — chcieliśmy tu zanoć, ale teraz jedźmy dalej.

Wsiedli więc na konie i przybyli do Abbeville. Tu się zatrzymali, ale nie wiedzieli, jak postąpić, w mieście mnóstwo było domów zajezdnych. Nie podobna było zwiedzić wszystkich; a jakże zgadnąć, gdzie mieszkali ci, których szukają.

— Wierz mi, Atosie — rzekł Aramis — chyba nic nie znajdziemy w Abbeville. Jeżeli my mamy trudność w wyborze i nasi przyjaciele ją mieli. Gdyby tu był sam tylko Portos, wybrałby on najwykwintniejszy dom zajeczny i my pewni byśmy być mogli, że na jego ślad trafimy. Ale d'Artagnan nie ulega podobnym słabościom, Portos więc na próżno by mu przekładał, że umiera z głodu; wiem, że ten — nieubłagany jak przeznaczenie — pojechał dalej; gdzie indziej więc szukać ich trzeba. Wreszcie dojechali do Peronne.

Atos zaczął tracić nadzieję. Wyrzucał sobie, że dotychczas me wiedzą nic pewnego, że zapewne źle dotychczas szukali, że nie dość starannie się wypytywali. Gotowi więc byli wrócić raz jeszcze, gdy nagle, przejeżdżając przedmieście, na białym murze na rogu ulicy Atos ujrzał rysunek przedstawiający dwóch galopujących jeźdźców; jeden z nich trzymał w ręku kartkę, na której po hiszpańsku były napisane te słowa:

„Gonią nas”.

— Och! Och! — rzekł Atos — to jest jasne jak słońce. Chociaż ich ścigano, d'Artagnan jednak zatrzymał się pięć minut; widocznie pogoń nie była tak blisko, a może nawet zdołali jej umknąć.

Aramis potrząsnął głową.

— Gdyby im się to udało, zobaczylibyśmy się już z nimi lub dowiedzieli o nich przynajmniej.

— Masz słuszność, Aramisie, jedźmy dalej.

Przez dwie lub trzy godziny pędzili podobnie jak dwaj jeźdźcy wyrysowani na murze. Nagle w ciasnym wąwozie ujrzeni, że połowa drogi zawałona jest ogromnym kamieniem.

Zsiedli obaj z koni.

Dwaj przyjaciele obejrzeni kamień ze wszystkich stron nie znaleźli nic godnego uwagi. Zawołali Blaisoisa i Grimauda, we czterech odwrócili go na stronie, którą dotykał ziemi, było napisane.

„Ośmiu jeźdźców z oddziału lekkiej kawalerii goni nas. Jeśli zdołamy dojechać do Compiègne, staniemy pod «Panem w Koronie», gospodarz jest naszym przyjacielem”.

— Mamy wreszcie coś pewnego — rzekł Atos — i w każdym razie będziemy wiedzieli, czego się trzymać. Jedźmy więc pod „Pana w Koronie”.

— Tak — dodał Aramis — ale jeżeli chcemy tam dojechać, pozwólmy cokolwiek wychnąć koniom; już prawie padają pod nami.

W sześć godzin potem Atos i Aramis wjechali do Compiègne i pytali się o „Pana w Koronie”. Pokazano im szyld, na którym był bożek Pan w koronie na głowie.

Dwaj przyjaciele zsiedli z koni nie zastanawiając się dłużej nad szyldem, który w każdym innym wypadku wywołałby krytykę Aramis. Znaleźli poczciwego oberżystę, łysiego i pękatego jak figurka chińska. Wypyтали się go, czy nie gościł u siebie dwóch rycerzy, za którymi gonili jezdni. Gospodarz nie mówiąc wyszukał leżący w kącie ułamek rapiera.

— Czy panowie znacie to? — zapytał. Atos rzucił okiem na żelazo.

— To jest szpada d'Artagnana! — zawołał.

— Czy wyższego, czy niższego? — zapytał gospodarz.

— Niższego — odpowiedział Atos.

— Widzę, że panowie jesteście przyjaciółmi tych rycerzy.

— Cóż im się więc stało?

— Oto zaledwie wjechali na mój dziedziniec, nim zdążyli zamknąć bramę, ośmiu żołnierzy z lekkiej jazdy, którzy ich gonili, wpadło za nimi.

— Ośmiu!? — rzekł Aramis. — To mnie bardzo dziwi, takie zuchy jak d'Artagnan i Portos dali się ująć ośmiu ludziom?!

— Masz pan słuszość. Tych ośmiu ludzi nie dałoby im rady, ale zebrali z miasta ze dwudziestu żołnierzy z pułku królewsko-włoskiego, który tu stoi załogą, i dwaj panów przyjaciele zostali pokonani przez przeważającą liczbę.

— Więc ich aresztowano! — rzekł Atos — a za co? Czy wiadomo?

— Nie, mój panie, uwięziono ich natychmiast, nie mieli więc czasu mówić ze mną, dopiero kiedy odjechali, znalazłem ten ułamek szpady na pobojowisku, pomagając zabrać dwa trupy i pięciu czy sześciu rannych.

— A czy, który z nich nie był ranny?

— Nie, panie, zdaje mi się, że żaden.

— No — rzekł Aramis — i to jest pociecha.

— W którą stronę ich zaprowadzili? — pytał Atos.

— W stronę Louvres.

— Zostawmy Blaisoisa i Grimauda tutaj — dodał hrabia — powrócą jutro do Paryża z końmi, które dziś nie, zdołałyby iść dalej, a my weźmy pocztę.

— Weźmy pocztę — powtórzył Aramis. Posłano po konie.

Wkrótce dwaj przyjaciele przybyli do Louvres. Nie było w tym mieście oberży. Ale sprzedawano tam napój, który do naszych czasów zachował sławę, a wtenczas właśnie zaczęto go produkować.

— Wstąpmy tu — rzekł Atos — d'Artagnan pewnie nie pominął tej sposobności, żeby nie wypić szklanki napoju i nie zostawić nam jakiej wskazówki.

Weszli więc i zażądali likieru. Stół, przy którym zwykle pijano, okryty był blachą cynową. Na tej blasze wryto końcem dużej szpilki: Reuil, D.

— Są więc w Reuil — zawołał Aramis, który pierwszy spostrzegł ten napis.

— Jedźmy do Reuil — rzekł Atos.

— Czy po to, aby rzucić się w paszczę wilka? — zapytał Aramis. .

— Gdybym był takim przyjacielem Jonasza, jak jestem d'Artagnana, poszedłbym za nim aż do środka wieloryba i ty byś to samo uczynił, Aramisie.

— Prawdziwie, kochany hrabio, sądzę, że mnie uważasz za lepszego, niż jestem w istocie. Gdybym był tu sam, nie wiem, czybym się udał do Reuil bez wielkich ostrożności; ale gdzie ty się udasz, ja idę za tobą.

Wzięli więc konie i pojechali do Reuil.

Reuil było przepełnione paryżanami — zjechali adwokaci, radcy i mieszczenie wszelkiego rodzaju; od strony dworu była tu szlachta, oficerowie i straż; łatwo przeto było wśród tego tłumu pozostać nie poznany.

Dwóm naszym przyjaciółom zdawało się, że każdy zajęty jest tymi samymi myślami, które ich trapiły. Mieszały się więc do rozmów sądząc, że usłyszą jaką wiadomość o d'Artagnanie i Portosie, ale każdy zajmował się tu tylko paragrafami i pretensjami. Atos był zdania, żeby udać się wprost do ministra.

— Najlepiej zawsze postępować szczerze i otwarcie. Pójdę . nie do Mazariniego, ale do królowej i powiem jej: „Pani, oddaj nam twoich wiernych poddanych, a naszych przyjaciół”.

Aramis potrząsnął głową.

— Jest to ostateczny sposób i zawsze będziesz mógł go użyć. Ale wierzaj mi, Atosie: nie powinienes uciekać się doń bez konieczności, na to zawsze dość będzie czasu. Tymczasem prowadźmy dalej nasze poszukiwania.

Szukali więc ciągle, dowiadywali się na wszystkie strony, i pod tysiącnymi pozorami, z których jedne były przemyślniejsze od drugich, wyciągali na słówka tyle osób, że na koniec natrafili na jednego żołnierza z lekkiej kawalerii, który się przyznał, że należał do eskorty prowadzącej d'Artagnana i Portosa z Compiègne do Reuil. Gdyby nie ci żołnierze, nie wiadano by nawet, że oni tu przybyli..

Atos ciągle trwał przy swoim zamiarze udania się do królowej.

— Aby być dopuszczonym do królowej, trzeba poprzednio zobaczyć się z kardynałem, a skoro tylko zobaczymy się z nim, pamiętaj, Atosie, żem ja ci to powiedział, złączy on nas z naszymi przyjaciółmi, ale wcale nie w ten sposób, jaki byśmy sobie życzyli. A właśnie taki sposób połączenia się z nimi wcale mi się nie podoba, wyznaję to szczerze. Działajmy z wolnej ręki, jeśli chcemy działać skutecznie i prędko.

— Ja pójdę do królowej — rzekł Atos.

— Dobrze więc, mój przyjacielu, jeśli nie cofniesz tego szalonego postanowienia, uprzedź mnie, proszę cię, o dzień wcześniej.

— Dlaczego?

— Żebym mógł skorzystać z tej okoliczności i złożyć pewną . wizytę w Paryżu.

— Jaką?

— Na honor, nie wiem. Udam się do pani de Longueville. Ona tam panuje wszechwładnie; może mi pomóc potrafi. Tyko staraj się dać mi znać, jak tylko zostaniesz uwięziony; wówczas postąpię, jak będę mógł najlepiej.

— Czemu nie chcesz się narażać na uwięzienie wraz ze mną, Aramisie? — rzekł Atos.

— O, bardzo dziękuję.

— Gdybyśmy byli wszyscy czterej uwięzieni i w ten sposób razem złączeni, wydaje mi się, że już niczego moglibyśmy się nie obawiać. W przeciągu dwudziestu czterech godzin wszyscy bylibyśmy wolni.

— Mój kochany, odkąd zabiłem Chatillona, to bożyszczę dam w Saint-Germain, podwójnie się obawiam więzienia. Królowa mogłaby w tej okoliczności posłuchać rady Mazariniego, a tą radą byłby zapewne wyrok śmierci na mnie.

— Sądzisz więc, Aramisie, że ona kocha tego Włocha, tak jak mówią?

— Alboż nie kochała Anglika?

— Ach, mój kochany, ona jest kobietą!

— Wcale nie, mylisz się, Atosie — jest królową.

— Kochany przyjacielu, ja się poświęcam, idę prosić Annę Austriacką o posłuchanie.

— Żegnaj cię więc, Atosie, ja idę szukać posiłków. — A to do czego?

— Żeby was wydobyć z Reuil.

— Gdzież się zobaczymy?

— Pod szubienicą kardynała.

Dwaj przyjaciele rozeszli się. Aramis udał się do Paryża.

Atos zaś szukał sposobów, które by mu otworzyły drogę do królowej.

XXVI

WDZIĘCZNOŚĆ ANNY AUSTRIACKIEJ

Atos znalazł daleko łatwiejszy dostęp do królowej, aniżeli się spodziewał: za pierwszym krokiem wszelkie trudności znikły i audiencja, której żądał, została naznaczona na dzień następny po obiedzie, na którym dzięki swemu urodzeniu mógł się znajdować.

Pokoje w Saint-Germain były natłoczone: Anna Austriacka nie miała nigdy w Luwrze ani w Palais-Royal większej liczby dworzan. Tylko mała różnica zaszła między ich doborem, ponieważ całe to grono dzisiejsze składało się ze szlachty podrzędnej, gdy tymczasem najpierwsze rodziny francuskie pozostały przy panu de Conti, panu de Beaufort i przy koadiutorze.

Pośród ogólnej wesołości każdego najwięcej interesowała najważniejsza sprawa, czy Mazarini pozostanie ministrem i ulubieńcem lub czy Mazarini, który przybył z południa, wróci do swej ojczyzny, uniesiony wiatrem, który go sprowadził. Każdy pragnął tego tak dalece, że minister czuł dobrze, iż wszystkie te hołdy, jakimi był otoczony, ukrywały nienawiść, którą źle maskowały obawa i własny interes.

Sam książę de Condé, który walczył za niego, nie pomijał żadnej sposobności, żeby go wyszydzić albo poniżyć, a kilka nawet razy, kiedy się zdarzyło Mazariniemu wobec zwycięzcy spod Rocroi objawić swoją wolę, spotykał zawsze jego wzrok, z którego łatwo można było wyczytać, że jeżeli go broni, nie robi tego ani z przekonania, ani z przychylności.

Wtenczas to kardynał uciekał się do królowej, swojej jedynej podpory. Ale kilka razy zdawało mu się, że i ta podpora chwieje się pod jego ręką.

Skoro godzina posłuchania nadeszła, oświadczone hrabiemu de la Fère, że je otrzyma, ale musi trochę poczekać, ponieważ królowa ma właśnie naradę z ministrem. Była to prawda. Paryż przysłał nową deputację, której poruczono zakończenie całej sprawy, królowa więc naradzała się z Mazarinim, jak przyjąć tych posłów.

Wywołało to wielkie wrażenie wśród dygnitarzy państwa. Atos nie mógł wybrać mniej stosownej pory, aby przemówić za swoimi przyjaciółmi, którzy w tym wzburzonym wirze wydawali się drobnym jeno ziarnkiem piasku. Ale Atos był człowiekiem nieugiętym. Nigdy się nie cofał, gdy już raz powziął postanowienie i kiedy to postanowienie wpływało z sumienia i powinności. Nalegał więc, żeby go wprowadzono, mówiąc, że chociaż nie jest posłem ani księcia de Conti, ani pana de Beaufort, ani pana de Bouillon, ani pana d'Elboeuf, ani koadiutora, ani pani de Longueville, ani pana Broussel, ani parlamentu, ale tylko w własnym przybywa imieniu — ma jednak do przedstawienia jej królewskiej mości bardzo ważny interes.

Skoro się konferencja skończyła, królowa kazała go wprowadzić do swego gabinetu.

Atos wszedł i wymienił swoje nazwisko. To nazwisko zbyt często obijało się o uszy, królowej i tyle razy zadrzało w jej sercu, że Anna Austriacka musiała je sobie przypomnieć; zachowała jednak zupełną obojętność, spoglądała tylko na rycerza z tą pewnością, właściwą kobietom posiadającym najwyższą władzę czy to przez swoje wdzięki, czy to przez stanowisko.

— Więc pan hrabia ma nam wyświadczyć przysługę? — spytała Anna Austriacka po chwili milczenia.

— Tak, pani, jeszcze jedną przysługę — rzekł Atos oburzony, że królowa zdawała się go nie poznawać.

Atos miał serce wzniosłe i szlachetne, nie umiał więc być zręcznym dworakiem.

Anna zmarszczyła brwi. Mazarini, który siedząc przy stoliku na boku, przerzucał papiery jak prosty sekretarz, podniósł głowę.

— Mów pan — rzekła królowa.

Mazarini znowu zaczął przeglądać papiery.

— Pani — odrzekł Atos — dwaj nasi przyjaciele, dwaj najwierniejsi słudzy waszej królewskiej mości, pan d'Artagnan i pan du Vallon, posłani do Anglii przez pana kardynała, zniknęli w chwili, kiedy wstępowali na ziemię francuską, i nikt nie wie, co się z nimi stało.

— A więc? — rzekła królowa.

— A więc — rzekł Atos — ja udaję się do łaski królowej pragnąc się dowiedzieć, co się stało z tymi dwoma panami, zachowując sobie na później, jeśli tego będzie potrzeba, udanie się do jej sprawiedliwości.

— Panie — rzekła Anna Austriacka z tą dumą, która w stosunku do niektórych osób stawiała się ubliżająca — dlatego tylko przerwałeś pan ważne czynności, które nas zajmowały? To jest sprawa policji! Mój panie, wiesz zapewne, a przynajmniej wiedzieć powinienesz, że my nie mamy policji, odkąd nie jesteśmy w Paryżu.

— Zdaje mi się — rzekł Atos kłaniając się z zimnym uszanowaniem, — że wasza królewska mość nie potrzebuje udawać się do policji, żeby się dowiedzieć, co się stało z panami d'Artagnan i du Vallon, i że gdyby chciała spytać się kardynała

o tych dwóch rycerzy, kardynał mógłby jej odpowiedzieć nie zasięgając skądinąd objaśnień, jak tylko z własnej pamięci.

— Ależ na Boga! — rzekła Anna Austriacka z tym pogardliwym poruszeniem ust, które jej było właściwe — zdaje mi się, że pan sam czynisz badania.

— Tak, pani, i mam chyba do tego prawo, bo tu idzie o pana d'Artagnana, o pana d'Artagnana, zauważ, najjaśniejsza pani! — powiedział Atos z takim wyrazem, że czoło królowej musiało się schylić przed wspomnieniami kobiety.

Mazarini rozumiał, że czas było przyjść z pomocą Annie Austriackiej.

— Panie hrabio — rzekł — muszę powiedzieć panu jedną rzecz, o której wszakże nie wie królowa, to jest, co się stało z tymi dwoma panami. Przeszli oni rozkazy i zostali uwięzieni.

— Błagam więc waszą królewską mość — rzekł Atos ciągle obojętny i nie odpowiadając Mazariniemu — żeby kazała wrócić wolność panom d'Artagnan i du Vallon.

— To, czego pan żądasz, dotyczy dyscypliny wojskowej i nie należy do mnie — mówiła królowa.

— Pan d'Artagnan nigdy tak nie odpowiedział, kiedy szło o świadczenie usługi waszej królewskiej mości — rzekł Atos kłaniając się z godnością.

I postąpił dwa kroki w tył ku drzwiom.

Mazarini zatrzymał go.

— Pan także przybywasz z Anglii? — zapytał dając znak królowej, która zbladła widocznie i już miała wydać surowy rozkaz.

— I byłem obecny przy ostatnich chwilach Karola I — mówił Atos. — Po raz drugi pan d'Artagnan jeździł do Anglii. Za pierwszym razem szło o ocalenie honoru wielkiej królowej; za drugim — o ocalenie życia wielkiego króla.

— Panie — rzekła Anna Austriacka do Mazariniego — chciej rozważyć, czyby nie można czego zrobić dla tych panów.

— Uczynię zadość woli waszej królewskiej mości — odpowiedział Mazarini.

— Uczyni więc pan zadość żądaniu pana hrabiego de la Fère. Wszak takie jest pana nazwisko?

— Mam jeszcze drugie, pani. Nazywam się Atos.

— Pani — odezwał się Mazarini z uśmiechem — możesz być spokojna, życzenia waszej królewskiej mości zostaną spełnione.

— Wszak pan słyszałeś? — rzekła królowa.

— Tak, najjaśniejsza pani, i tegom śmiało spodziewać się po jej sprawiedliwości. Mam więc zobaczyć moich przyjaciół, wszak tak? Wszak to wasza królewska mość powiedzieć chciałaś?

— Zobaczysz ich pan. Ale proszę o słowo jeszcze: pan jesteś stronnikiem frondy?

— Pani, ja służę królowi.

— Tak, ale na swój sposób.

— Ten sposób przystoi każdemu prawemu szlachcicowi i nie znam żadnego innego — odrzekł Atos wyniośle.

— Idź więc pan — mówiła królowa żegnając Atosa poruszeniem ręki — otrzymałeś to, czegoś żądał, a my dowiedzieliśmy się tego, czegośmy dowiedzieć się chcieli.

Potem, odwracając się do Mazariniego, skoro zasłona zawarła się za odchodzącym Atosem, rzekła:

— Kardynale, każ uwięzić tego zuchwałego szlachcica, zanim wyjdzie z pałacu.

— Myślałem właśnie o tym — odpowiedział Mazarini — i bardzo jestem szczęśliwy, królowo, że dajesz mi rozkaz, o który miałem prosić. Ci śmiałkowie, co wznawiają w naszych czasach wspomnienia z poprzedniego panowania, stoją nam bardzo na drodze, a ponieważ mamy już dwóch spomiędzy nich, dołączmy jeszcze i trzeciego.

Atos nie ufał królowej. Spozrzegł on w jej głosie coś, co mu się zdawało *grozić* wtedy nawet, kiedy mu czyniła obietnicę. Ale nie zwykł był on opierać się na samych pozorach, nade wszystko, kiedy mu wyraźnie powiedziano, że zobaczy swoich przyjaciół. Czekał więc w jednym z pokoi przyległych do gabinetu, w którym był przyjęty, na przyprowadzenie tu d'Artagnana i Portosa albo żeby kto przyszedł po niego, co by go do nich zaprowadził.

W tym oczekiwaniu zbliżył się do okna i spoglądał na dziedziniec. Ujrzał właśnie wchodzącą deputację paryżan, która przybywała dla ułożenia porządku narad i dla powitania królowej. Byli tam radcy parlamentu, prezydenci, adwokaci, a pomiędzy nimi, gdzieś tam, kilku wojskowych. Mocna eskorta czekała na nich za kratami.

Atos przyglądał się z większą uwagą, bo pośród tego tłumu, zdawało mu się, że poznaje kogoś, kiedy uczuł lekkie dotknięcie ramienia.

Obrócił się.

— Ach, to pan de Comminges! — zawołał.

— Tak, panie hrabio, ja sam przychodzę z poleceniem, za które najmocniej zawczasu przepraszam.

— Z jakim, panie? — spytał Atos.

— Chciej mi oddać szpadę, panie hrabio. Atos uśmiechnął się, a otwierając okno zawołał:

— Aramis!

Jakiś rycerz obrócił się. Tym rycerzem był w istocie Aramis. Pozdrowił on przyjaźnie hrabiego.

— Aramis — rzekł Atos — idę do więzienia.

— Dobrze — odpowiedział flegmatycznie Aramis.

— Panie — dodał Atos obracając się do Comminges'a i podając mu z grzecznością szpadę — oto moja szpada; chciej pan przechować ją starannie, żebym ją mógł odebrać, skoro wyjdę z więzienia, bardzo mi jest droga; mój dziad otrzymał ją od Franciszka I. W tamtych czasach uzbrajano szlachtę, a nie rozbrajano jej, jak teraz. Gdzież mnie pan masz zaprowadzić?

— Do mojego pokoju tymczasem — rzekł Comminges. — Królowa później oznaczy miejsce zamieszkania pańskiego.

Atos poszedł za oficerem, nie dodając już ani słowa.

XXVII

OSTROŻNOŚCI

Opuściwszy Annę Austriacką, zwrócił się Mazarini na drogę do Reuil, gdzie było jego mieszkanie. Mazarini w tych niespokojnych czasach nie ruszał się bez znacznej eskorty, często nawet przebierał się. Kardynałowi, jakżeśmy to już powiedzieli, w stroju rycerskim było bardzo do twarzy.

Na dziedzińcu starego pałacu wsiadł do karety i jechał nad Sekwaną do Chatou. Księżę de Condé dał mu pięćdziesięciu żołnierzy z lekkiej jazdy, nie tyle dla jego bezpieczeństwa, ile dla pokazania deputowanym, że generałowie królowej mogli łatwo rozdzielać swoje wojsko i dysponować nim, jak im się podobało.

Atos pod strażą pana de Comminges, na koniu, bez szpady, jechał za kardynałem, nie mówiąc ani słowa. Grimaud, zostawiony przez parta przy drzwiach pałacu, słyszał o uwięzieniu jego, kiedy ten wołał na swego przyjaciela, i na dany sobie znak przez hrabiego poszedł w milczeniu przyłączyć się do Aramisa, jakby nic nie zaszło.

To prawda, że Grimaud od dwudziestu lat służąc swojemu panu widział, jak ten umiał wywikłać się z najtrudniejszego położenia, i dlatego nic go już niepokoić nie mogło.

Deputowani zaraz po posłuchaniu zwrócili się drogą do Paryża, to jest wyprzedzali o pięćset prawie kroków kardynała. Atos mógł więc, patrząc przed siebie, widzieć z tyłu Aramisa, którego złoty pas i dumna postawa wyróżniały wśród tłumu. Atos wodził za nim spojrzeniem, bo pokładał w nim nadzieję swego uwolnienia.

Aramis przeciwnie, zdawał się wcale nie zważać, czy za nim jechał Atos, czy nie. Raz tylko jeden obrócił się; prawda, że wtenczas mijali Chatou. Sądził on, że Mazarini zostawi tam może swego nowego więźnia w małym obronnym zameczku, w którym jeden tylko strażnik pilnował mostu, a kapitan zarządzał nim w imieniu królowej. Ale tak się nie stało. Atos minął Chatou jadąc ciągle za kardynałem.

Tam gdzie się droga rozdziela między Paryżem i Reuil, Aramis się obejrzał znowu. Tym razem jego przypuszczenie nie zawiodło go. Mazarini pojechał na prawo i Aramis mógł widzieć więźnia zwracającego się również na drogę prowadzącą do zamku. Atos w tej samej chwili spojrzął za siebie. Dwaj przyjaciele skinęli wzajemnie głową. Aramis przyłożył rękę do kapelusza, jakby się chciał uklonąć. Atos tylko zrozumiał, że jego towarzysz dawał mu znak, iż ma jakieś zamiary.

W dziesięć minut potem wjechał Mazarini ze swoim orszakiem na dziedziniec, zamku, który jego poprzednik kazał urządzić dla siebie w Reuil.

W chwili kiedy wysiadał z pojazdu, zbliżył się do niego Comminges.

— Gdzie wasza eminencja każe umieścić pana de la Fère?

— W pawilonie pomarańczami, naprzeciw pawilonu, w którym jest odwach. Chcę, żeby miano szczególne względy dla pana hrabiego de la Fère, ponieważ jest więźniem jej królewskiej mości.

— Życzy on sobie być zaprowadzony do pana d'Artagnan, który, jak to wasza eminencja rozkazałeś, zajmuje pawilon naprzeciw oranżerii — dodał nieśmiało Comminges.

Mazarini zastanowił się chwilkę. Comminges dodał:

— To jest miejsce bardzo bezpieczne, mamy tam czterdziestu ludzi pewnych, doświadczonych żołnierzy, prawie samych Niemców, którzy nie mają stosunków ze stronnikami frondy.

— Gdybyśmy zamknęli tych trzech panów razem — rzekł Mazarini — musielibyśmy podwoić strażę, a nie wystarczy nam obrońców na taki zbytek.

Comminges uśmiechnął się, Mazarini widział ten uśmiech i zrozumiał go.

— Pan ich nie znasz, kochany Comminges, ale ja ich znam dobrze, najpierw z własnego doświadczenia, a potem z legendy. Poleciałem im, żeby pomagali Karolowi Stuartowi, a oni cudów

dokazywali, chcąc go ocalić; gdyby los przeciwny nie zniweczył ich planów, dziś ten kochany Karol Stuart byłby bezpieczny pomiędzy nami.

— Kiedy tak dobrze usłużyli waszej eminencji, dlaczegoż pan kardynał każe ich więzić?

— Jak to więzić? — rzekł Mazarini — odkądże to Reuil stało się więzieniem?

— Odkąd w nim są więźniowie — odpowiedział Comminges.

— Ci panowie nie są moimi więźniami, panie Comminges — rzekł Mazarini uśmiechając się drwiąco — oni są moimi gośćmi: tak drogimi gośćmi, że kazałem dać kraty u okien i zasuwy u drzwi pokoi, które zajmują, z obawy, żeby im się nie sprzykrzyło dotrzymywać mi towarzystwa. Ale jakkolwiek na pozór zdają się oni być więźniami, ja ich jednak wysoko cenię, dowodem tego, że pragnę odwiedzić hrabiego de la Fère, aby z nim pomówić sam na sam. A więc, żeby nam nic nie przeszkodziło w tej rozmowie, zaprowadzisz go pan, jakem to już powiedział, do pawilonu pomarańczami; wiesz pan, że zazwyczaj się tam przechadzam. Toteż, odbywając tę przechadzkę, zajdę do niego i rozmówimy się. Jakkolwiek uważają go za mego wroga, czuję ku niemu pociąg i jeżeli będzie rozsądny, może nam się na co przyda.

Comminges uklonił się i wrócił do Atosa, który czekał pozornie obojętny, ale w istocie z wielkim niepokojem, wyniku tej rozmowy.

— I cóż? — spytał porucznika gwardii.

— Panie — odpowiedział Comminges — zdaje się, że to jest niemożliwe.

— Panie de Comminges — mówił Atos — całe życie byłem żołnierzem; znam, co to jest służba, ale mógłbyś mi pan wyświadczyć przysługę w tym, co nie dotyczy tej służby.

— Chciałbym to uczynić z całego serca, panie hrabio — odpowiedział Comminges — odkąd wiem, kto pan jesteś i jakie przysługi wyświadczyłeś dawniej królowej; odkąd wiem, jak cię obchodzi ten młodzieniec, który tak walecznie przybył mi na pomoc w dzień uwięzienia tego starego dziwaka Broussela; jestem gotów na pańskie rozkazy, dopóki nie sprzeciwiają się one powinnościom służby.

— Dziękuję panu, ja też niczego więcej nie żądam; będę tylko prosić pana o rzecz, która nie narazi go na nic.

— Gdyby mnie nawet cokolwiek narazić miała — rzekł Comminges uśmiechając się — żądam jej pan śmiało; nie kocham ja więcej niż pan pana Mazariniego; służę królowej, co mnie zmusza zarazem do służenia kardynałowi, ale o ile z przyjemnością służę pierwszej, o tyle mi jest przykro być posłusznym temu ostatniemu. Proszę więc, chciej pan mówić, czekam i słucham.

— A więc uczyni mi pan grzeczność i pozdrów ode mnie d'Artagnana, a zarazem oświadczyć mu, że jestem jego sąsiadem.

— Bądź pan spokojny. Zawiadomię d'Artagnana o pańskim do nas przybyciu. Kto wie, czy za parę tygodni nie oddasz mi pan wzajemnie podobnej przysługi. — Ja?

— Dlaczegoż nie, czy nie mogę zostać więźniem koadiutora?

— Bądź pan pewny, że w takim razie będę się starał panu odwdziżyć — rzekł Atos kłaniając się.

— Może pan hrabia zechce spożyć ze mną wieczerzę? — spytał Comminges.

— Dziękuję panu, jestem w złym humorze, spędziłbyś pan w moim towarzystwie smutno wieczór. Bardzo dziękuję!

Comminges poprowadził hrabiego do dolnego pokoju w pawilonie przy końcu pomarańczami. Udając się do tej pomarańczami, trzeba było przejść dziedziniec zapelniony żołnierzami i dworzanami.

Dziedziniec ten tworzył podkowę; środek jego zajmował pałac, który zamieszkiwał sam Mazarini, po jednej stronie rozciągał się pawilon myśliwski, w którym był d'Artagnan, po drugiej zaś pawilon pomarańczami, do którego wszedł Atos. Z tyłu za tymi dwoma skrzydłami był dziedziniec.

Atos, wchodząc do pokoju dla siebie przeznaczanego, spostrzegł przez okna, opatrzone kratami, mury i dachy.

— Co to za budynek? — zapytał.

— Jest to tył pawilonu, w którym są uwięzieni pana przyjaciele — rzekł Comminges. — Na nieszczęście okna, które wychodziły na tę stronę, zostały zamurowane za czasów dawnego kardynała, bo nieraz już te dwa budynki służyły za więzienie i Mazarini zamykając tu panów przywrócił mu tylko jego dawne przeznaczenie. Gdyby te okna nie były zamurowane, mógłbyś pan rozmawiać dając znaki swym przyjaciółom.

— I pan jesteś pewien, panie Comminges — rzekł Atos — że kardynał zaszczyci mnie swoimi odwiedzinami.

— Tak mi przynajmniej sam mówił.
Atos westchnął patrząc na te okna za kratami.

XXVIII

ROZUMEM I SIŁĄ

Teraz przejdźmy z pomarańczami do pawilonu myśliwskiego.

W głębi dziedzińca, gdzie za przysionkiem widać było psiarnię, wznosił się budynek podłużny, który zdawał się rozciągać jak ramię naprzeciwko tego drugiego ramienia, jakie tworzył pawilon pomarańczami stojący w półkole i otaczający główny dziedziniec.

W tym pawilonie na dole zamknięci byli Portos i d'Artagnan.

D'Artagnan przechadzał się jak tygrys, pomrukując kiedy niekiedy, wzdłuż krat długiego okna, które wychodziło na podwórze służby.

Portos przeżuwał w milczeniu doskonały obiad, którego resztki zabrano tylko co ze stołu.

— Oto — rzekł d'Artagnan — znowu słońce zachodzi. Musi być koło czwartej. Jest już więc sto osiemdziesiąt trzy godziny, jak tu siedzimy.

— He! — mruknął Portos, byle się zdawało, że odpowiada.

— Słyszysz, ty wieczny śpiochu? — dodał d'Artagnan zniecierpliwiony, że ktoś może spać w dzień, kiedy on pomimo wszelkich usiłowań w nocy zasnąć nie mógł.

— Co takiego? — spytał Portos.

— To, com powiedział.

— A cóż ty mówiłeś?

— Mówiłem, że już jest sto osiemdziesiąt trzy godziny, jak tu jesteśmy.

— Twoja w tym wina — odpowiedział Portos;

— Jak to! moja wina?...

— Tak, chciałem przecie, żebyśmy stąd wyszli. . — Wyłamując kratę albo wysadzając drzwi?

— Zapewne.

— Portosie, tacy ludzie jak my nie powinni uciekać po prostu i zwykłym sposobem. — A zresztą — dodał — czy na tym koniec, żeby wyjść z tego pokoju?

— Kochany przyjacielu — rzekł Portos — zdajesz się mieć dzisiaj cokolwiek lepszy humor niż wczoraj. Wyłumacz mi więc, czy nie wystarczy tylko, abyśmy się stąd wydostali.

— Oczywiście, ponieważ nie mamy broni i nie znamy hasła, nie moglibyśmy zatem ujść nawet pięćdziesięciu kroków na podwórzu, żeby nie natrafić na jakiego sztyldwacha.

— Wielka rzecz — rzekł Portos — zabijemy sztyldwacha i weźmiemy jego broń.

— Tak; a jeżeli go nie zabijemy od razu (a Szwajcarzy mają silną budowę, bardzo silną), będzie krzyczał, a przynajmniej jęknął; wtenczas cała załoga wybiegnie; zrobią na nas oblławę i złapią jak lisów, nas, którzy jesteśmy lwami; i wpakują w jakiś loch podziemny, gdzie nawet nie będziemy mieć tej pociechy, żeby patrzeć na to szkaradne szare niebo, które stąd widzimy. Chociaż jest ono tak podobne do nieba w Tarbes jak księżyc do słońca. Krośset szatanów! gdybyśmy kogo mieli na zewnątrz, co by nam mógł udzielić wiadomości co do topografii moralnej i fizycznej tego zamku, tego, co Cezar nazywa: obyczaje i miejscowości! Ach! że też przez lat dwadzieścia nie przyszło mi do głowy, żeby zająć się przez kilka godzin zbadaniem położenia zamku Reuil! — W jakim celu? — rzekł Portos.

— Mój kochany — powiedział d'Artagnan — wiesz, dlaczego pasztetnicy nigdy nic własnymi rękami nie robią?

— Nie — rzekł Portos.

— Dlatego, że baliby się zrobić ciasto spalone albo krem zwarzony przy swoich uczniach.

— Cóż dalej?

— I śmiano by się z nich, a nigdy tak być nie powinno, by młodzież mogła się śmiać z tych, od których ma się uczyć.

— Cóż za związek mają pasztetnicy z nami?

— Bo i my w ważnych wypadkach nie powinniśmy nigdy doznać niepowodzenia, a tym bardziej wystawić się na pośmiewisko. W Anglii, ostatecznie nie powiodło nam się, zostaliśmy zwyciężeni i to jest plamą na naszej sławie.

— A któż nas zwyciężył? — spytał Portos. — Mordaunt.

— Tak, aleśmy utopili pana Mordaunta.

— Wiem o tym i to nam powinno przywrócić dobre imię u potomności, jeżeli tylko potomność zajmie się nami. Ale posłuchaj mnie, Portosie, chociaż i Mordauntem gardzić nie można było, Mazarini wydaje mi się w innym rodzaju daleko silniejszy od Mordaunta i nie tak łatwo byśmy go mogli utopić jak tamtego. A zatem, bacność! trzeba się dobrze pilnować; bo my we dwóch warciliśmy ośmiu innych, ale to jednak nie to, jakbyśmy byli wszyscy czterej razem, jak dawniej.

— To prawda — mówił Portos odpowiadając wzajemnym westchnieniem na westchnienie d'Artagnana.

— Więc, mój Portosie, postępuj tak jak ja, przechadzaj się wzdłuż i wszerz, dopóki jaka wiadomość nie dojdzie nas od naszych przyjaciół albo póki jaka dobra myśl nam się nie nawinie; ale nie śpij też tak ciągle jak dotąd; nic tak umysłu nie obciąża jak sen. Co zaś dotyczy tego, co nas czeka, może to nie będzie nic tak wielkiego, jak nam się z początku wydawało. Nie sądzę, żeby Mazarini chciał nam głowy kazać pościnać, bo to nie obeszloby się bez procesu; proces narobiłby hałasu, hałas ściągąłby naszych przyjaciół, a ci nie dopuściliby do działania Mazariniego.

— Jak ty pięknie dowodzisz! — zawołał Portos z uwielbieniem.

Gdy nasi więźniowie tak rozmawiali, wszedł Comminges, a za nim sierżant i dwóch ludzi, niosących wieszczkę w koszu napełnionym salaterkami i półmiskami.

— Dobrze! — rzekł Portos — znowu baranina!

— Kochany panie Comminges — odezwał się d'Artagnan — wiedz, że mój przyjaciel, pan du Vallon, gotów jest posunąć się do ostateczności, jeśli pan Mazarini ciągle tą potrawą zechce go karmić.

— Oświadczam nawet — dodał Portos — że nie dotknę żadnej innej potrawy, jeśli tego półmiska nie zabiorą.

— Wynieście baraninę — rzekł Comminges — chciałbym, żeby pan du Vallon wieszczkał smacznie, tym bardziej że mam donieść nowinę, która jestem przekonany, doda mu apetytu.

— Czyżby pan Mazarini umarł? — spytał Portos.

— Nie, z żalem nawet muszę panu oświadczyć, że zdrowie mu służy.

— Tym gorzej! — zawołał Portos.

— Jakaż to jest wiadomość? — spytał d'Artagnan. — Nowina w więzieniu jest to, tak rzadki owoc; spodziewam się przeto, panie de Comminges, że mi wybaczysz moją niecierpliwość, wszak prawda? Tym bardziej żeś nas uprzedził, że nowina ma być dobra.

— Czy przyjemnie byłoby panom dowiedzieć się, że pan hrabia de la Fère jest zdrowy? — odpowiedział Comminges.

D'Artagnan wytrzeszczył swoje małe oczka.

— Czyby mi to było przyjemne? — zawołał — i owszem, byłbym bardzo nawet szczęśliwy.

— A więc mam polecenie od niego samego złożenia panom tysięcznych ukłonów i upewnienia was o jak najlepszym jego zdrowiu.

D'Artagnan skoczył z radości. Szybkie spojrzenie wytłumaczyło Portosowi jego myśli: „Kiedy Atos wie, gdzie jesteśmy — mówiło to spojrzenie — kiedy nam przysłała tę wiadomość, wkrótce działać zacznie”.

— Jak to? — spytał nieśmiało Gaskończyk — hrabia de la Fère, jak pan mówiłeś, przesyła pozdrowienie panu du Vallon i mnie?

— Tak panie.

— Więc go pan widziałeś?

— Naturalnie.

— A to gdzie? jeśli się wolno spytać.

— Bardzo stąd blisko — odpowiedział Comminges uśmiechając się.

— Bardzo stąd blisko!... — powtórzył d'Artagnan z oczyma błyszczącymi radością.

— Tak blisko, że gdyby okna, które wychodzą na pomarańczarnię, nie były zamurowane — mógłbyś go pan widzieć stąd, gdzie pan stoisz.

„Musi chodzić koło zamku” — pomyślał sobie d'Artagnan.. A potem rzekł głośno:

— Spotkałeś go pan na polowaniu, może w zwierzyńcu?

— O nie, bliżej, jeszcze bliżej. Tu za tym murem — mówił Comminges uderzając w ścianę.

— Za tym murem?... A cóż jest za tym murem? Przyprawiono mnie w nocy i dlatego niech mnie diabli porwą, jeśli wiem, gdzie jestem.

— A zatem — rzekł Comminges — przypuść pan jedną rzecz.

— Przypuszczę wszystko, co pan zechcesz.

— Przypuść pan, że jest okno w tej ścianie.

— I cóż więc?

— A więc z tego okna widziałbyś pana hrabiego de la Fère w jego pokoju.

— Pan de la Fère mieszka w tym zamku?

— Tak.

— W jakim charakterze?

— W tym samym co i panowie.

— Atos. jest więźniem?

— Wiesz pan przecież — rzekł śmiejąc się Comminges — że w Reuil nie ma więźniów, ponieważ nie ma więzienia.

— Dajmy pokój grze *słów*, panie. Atos więc został uwięziony?

— Wczoraj w Saint-Germain, gdy wychodził od królowej.

D'Artagnan opuścił ręce bezwładnie. Można by powiedzieć, że został rażony piorunem. Bładość przebiegła po jego ogorzałej twarzy jak biaława chmura, ale znikła prawie natychmiast.

— Uwięziony! — powtórzył

— Uwięziony! ... — mruknął także i Portos.

Nagle d'Artagnan podniósł głowę i zajaśniała w jego oczach błyskawica, nie dostrzeżona nawet przez Portosa.

— Jakże on się zachowuje? — spytał Portos, który widząc, że d'Artagnan nie prowadzi dalej rozmowy, rad był, że się może sam odezwać.

— Bardzo spokojnie — rzekł Comminges: — Zrazu, jak panowie, zdawał się bardzo smutny, ale skoro się dowiedział, że pan kardynał ma go odwiedzić jeszcze dziś wieczór...

— Ach! — zawołał d'Artagnan — pan kardynał ma odwiedzić hrabiego de la Fère?

— Tak, kazał go nawet uprzedzić, a hrabia de la Fère, dowiedziawszy się o tym, polecił mi powiedzieć panom, że będzie korzystał z zaszczytu, jaki mu kardynał uczyni, aby mówić za panami i za sobą.

D'Artagnan pragnął spotkać spojrzenie Portosa, aby się dowiedzieć, czy jego towarzysz rozumie całą wagę tych odwiedzin, ale Portos nie patrzył wcale na niego.

— Więc pan kardynał ma zwyczaj przechadzać się w pomarańczarni? — spytał d'Artagnan.

— Co wieczór zamyka się w niej, zdaje się, że tam rozmyśla nad sprawami, państwa.

— Kiedy tak — rzekł d'Artagnan — zaczynam wierzyć, że jego eminencja złoży wizytę panu de la Fère. Chyba pan kardynał weźmie kogo z sobą.

— Tak, dwóch żołnierzy.

— I będzie rozmawiał o . interesach wobec dwóch obcych?

— Ci żołnierze są z małych kantonów szwajcarskich i mówią tylko po niemiecku. A zresztą, będą czekać przy drzwiach.

— Powinien pan Mazarini mieć się na baczności i nie wchodzić sam do pana hrabiego de la Fère — rzekł d'Artagnan — bo hrabia de la Fère musi być wzburzony.

Comminges głośno się roześmiał.

— Teraz proszę jeszcze o jedną łaskę, kochany panie de Comminges.

— Najchętniej, panie.

— Zobaczysz się pan z hrabią de la Fère?

— Jutro rano.

— Chciej mu pan powiedzieć od nas dzień dobry i prosić, żeby dla mnie starał się uzyskać zaszczyt, jaki go ma dziś spotkać.

— Życzysz pan sobie, żeby pan kardynał tu przyszedł?

— O nie; ja znam siebie i nie jestem tak wymagający. Niech jego eminencja zaszczyci mnie tylko posłuchaniem — więcej nie żądam.

— Spełnię pańskie żądanie — rzekł Comminges.

— Upewnij pan także hrabiego, że jestem zdrow zupełnie i że mnie pan znalazłeś smutnym, ale spokojnym. Powiesz pan to samo i o panu du Vallon.

— O mnie? bardzo przepraszana — zawołał Portos. — Ja nie jestem wcale spokojny.

— Ale się uspokoisz, mój przyjacielu.

— Nigdy!

— On się uspokoi, panie de Comminges. Znam go lepiej niż on sam siebie i wiem o tysiącnych jego przymiotach, których

nawet się nie domyśla. Dajże pokój, kochany du Vallon, i uspokój się.

— Do widzenia, moi panowie — rzekł Comminges. — Dobrej nocy.

— Dziękujemy.

Comminges uklonił się i wyszedł. D'Artagnan odprowadził go wzrokiem. Zaledwie drzwi się zamknęły za kapitanem gwardii, natychmiast poskoczył do Portosa i uścisnął go z wyrazem radości.

— Och! Och! — rzekł Portos — a to co? Czy oszalałeś, mój biedny przyjacielu?

— To nic — mówił d'Artagnan — ale jesteśmy wolni.

— Zupełnie tego nie widzę — rzekł Portos — wiem, przeciwnie, że wszyscy jesteśmy ujęci, wyjąwszy jednego Aramisa, i że nasze nadzieje wyjścia stąd zmniejszyły się, odkąd jeszcze jeden z nas złapał się w pułapkę pana Mazariniego.

— Wcale nie, mój przyjacielu, ta pułapka dostateczna była na dwóch, ale na trzech jest za słaba.

— Ja tego nie rozumiem — mówił Portos.

— Nic nie szkodzi — powiedział d'Artagnan — siądźmy, aby nabrać sił; będziemy ich potrzebować tej nocy.

— Cóż będziemy robić tej nocy? — spytał Portos z coraz większym zajęciem.

— Zapewne będziemy podróżować:

— Ależ ...

— Chodź do stołu, kochany przyjacielu, najlepsze mam pomysły przy jedzeniu. Po wieczerzy, kiedy mój plan dojrzeje, podzielę się nim z tobą.

XIX

SIŁA I ROZUM

Wieczera odbywała się w milczeniu, a jednak nie była smutna, bo co chwila dowcipny uśmiech, który mu był właściwy w przystępie wesołości, rozjaśniał twarz d'Artagnana. Portos nie stracił ani jednego z tych uśmiechów, a na każdy odpowiadał wykrzyknikiem, dając poznać swemu przyjacielowi, że chociaż nie pojmował tej myśli, która snuła ma się po głowie, nie spuszczał jednak z niego wzroku.

Przy deserze rozparł się d'Artagnan, założył nogę na nogę i zaczął się bujać na krześle z wyrazem zadowolenia z samego siebie.

Portos oparł łokcie na stole, brodę wsparł na dłoniach i patrzył na d'Artagnana wzrokiem spokojnym, który nadawał temu kolosowi prawdziwy wyraz dobroduszości.

— A więc? — mruknął d'Artagnan po chwili.

— A więc? — powtórzył Portos.

— Mówiłeś zatem, kochany przyjacielu . . .

— Ja? Ja nic nie mówiłem.

— I owszem, mówiłeś, że chciałbyś stąd wyjść.

— Ach! to, to prawda, oczywiście mam na to ochotę.

— I utrzymywałeś, że w tym celu trzeba by tylko wybić drzwi albo ścianę.

— W istocie, mówiłem o tym i jeszcze teraz powtarzam.

— A ja ci odpowiadam na to, że to byłby zły sposób i że nie uszlibyśmy kilkudziesięciu kroków, a schwytano by nas i zamknięto z powrotem, chyba żebyśmy mieli suknie do przebrania się i szpadę dla obrony.

— Niezawodnie, trzeba by nam sukni i szpad.

— Otóż — rzekł d'Artagnan wstając — mamy je, przyjacielu, a nawet jeszcze coś lepszego.

— Ależ ... — mówił Portos, spoglądając wokoło siebie.

— Nie szukaj na próżno, wszystko przyjdzie do nas we właściwym czasie. O której godzinie mniej więcej zaczęli się przechadzać wczoraj dwaj żołnierze szwajcarscy?

— W godzinę, zdaje mi się, po zapadnięciu zmierzchu.

— Jeśli dziś wyjdą o tym samym czasie co wczoraj, nie będziemy na nich czekać i kwadransa.

— Tak, pewno z kwadrans poczekamy. — Masz zawsze dobrą prawicę, nieprawdaż, Portosie? Portos odpiął rękaw, zawinął koszulę i przyglądał się z zadowoleniem swojej ręce silnej i żylastej.

— Tak — rzekł — dość dobrą.

— To znaczy, że zrobiłbyś bez wielkiego wysiłku obręcz z tych cęgów i korkociąg z łopatk.

— Zapewne — rzekł Portos.

— Zobaczymy — dodał d'Artagnan.

Olbrzym wziął dwa wzmiankowane przedmioty i uczynił z nich z największą łatwością i bez żadnego na pozór wysiłku to, czego żądał towarzysz.

— Oto są — powiedział,

— Przedziwnie! — zawołał d'Artagnan — prawdziwie, Portosie, ty masz rzadki dar.

— Mówiono mi kiedyś — mówił dalej Portos — o jakimś Milonie z Krotony, który dokonywał nadzwyczajnych rzeczy, jak na przykład ścisnął sobie głowę sznurem i rozrywał go, zabijał wołu uderzeniem pięści i niósł go do domu na plecach, zatrzymywał konia w pędzie za tylne nogi — i temu

podobne. Kazałem sobie wymieniać te jego czyny nadzwyczajne, jeszcze w Pierrefonds, i robiłem to wszystko, co on, oprócz zerwania powrozu zawiązanego na skroniach.

— Dlatego, że nie masz siły w głowie — odrzekł d'Artagnan.

— Nie, mam ją w ręku i barkach — odpowiedział dobrodusznie Portos.

— Więc tedy, mój przyjacielu, przybliżmy się do okna i użyj twojej umiejętności, aby wydobyć jedną sztabę. Poczekaj, aż zgaszę lampę.

Portos przystąpił do okna, wziął sztabę w obie ręce, uwiesił się u niej, przyciągnął ją ku sobie i zgiął jak łuk tak dalece, że oba jej końce wyszły z obsady kamiennej, w której od lat trzydziestu trzymały się umocowane cementem.

— Widzisz, mój przyjacielu, tego nie dokazałby nigdy kardynał mimo swego sprytu.

— Czy trzeba ich więcej wyłamać? — spytał Portos.

— Nie, nie, dosyć tej jednej; człowiek może przejść przez ten otwór.

Portos spróbował i przesunął się do połowy przez okno.

— Prawda — rzekł.

— W istocie, ładny otwór się zrobił. A teraz wysuń rękę.

— Którędy?

— Przez ten otwór.

— A to dlaczego?

— Dowiesz się zaraz, tylko mnie słuchaj.

Portos był posłuszny, powolny jak żołnierz i wysunął rękę pomiędzy sztabami.

— Cudownie — rzekł d'Artagnan.

— Zdaje się, 'że nam dobrze idzie?

— Jak na kółkach, kochany przyjacielu.

— Ślicznie. A teraz, co mam robić?

— Nic!

— Więc na tym koniec?

— Jeszcze nie.

— Ja bym jednak chciał wiedzieć ... — rzekł Portos.

— Słuchaj tylko, kochany przyjacielu, a w dwóch słowach rzecz ci wyjaśnię. Drzwi odwachu otwierają się, wszak widzisz.

— Tak ... *widzą*.

— Przyślą więc na nasz dziedziniec, przez który Mazarini musi przechodzić, kiedy się udaje do pomarańczarni, tych dwóch żołnierzy, *co* mu zwykle towarzyszą.

— Właśnie oni wychodzą.

— Żeby tylko zamknęli za sobą drzwi . . . Brawo! zamykają je.

— Cóż dalej?

— Cicho! mogliby nas usłyszeć.

— Więc się niczego nie dowiem?

— I owszem, bo w miarę, jak będziesz działał, będziesz i pojmował.

— Jednakże wołałbym ...

— Będziesz miał przyjemną niespodziankę.

— Tak, to prawda — rzekł Portos.

— Cicho!

Portos stał milczący i nieruchomy.

W istocie dwaj żołnierze szli pod okno, zacierając sobie ręce, bo jak nam wiadomo, działało się to w lutym i było zimno.

W tej chwili drzwi odwachu otworzyły się znowu i zawołano jednego z żołnierzy.

Żołnierz zostawił swego towarzysza i wszedł do izby.

— Czy ciągle dobrze idzie? — spytał Portos.

— Lepiej niż myślałem — odpowiedział d'Artagnan. — A teraz uważaj. Zawołam tego żołnierza i pogadam z nim, tak jak wczoraj z jednym z jego kolegów, pamiętasz?

— Tak; tylko że ja nic nie rozumiał z tego wszystkiego, co on mówił.

— Bo bardzo z niemiecka zatrącał. Ale nie strać ani słowa z tego, co ja ci powiem; wszystko zależy od wykonania.

— Bravo! wykonanie — to ja najlepiej lubię.

— Wiem to dobrze i dlatego rachuję na ciebie.

— Mów przeto.

— Zawołam więc żołnierza i zacznę z nim rozmawiać.

— Jużes to powiedział.

— Obróć się w lewo tak, żeby on był z twojej prawej strony, jak wejdzie na ławkę.

— A jeżeli nie wejdzie.

— Ale wejdzie, bądź spokojny. W chwili kiedy wejdzie na ławkę, ty wyciągniesz swoją silną prawicę i uchwycisz go za szyję. Potem porywając go, jak Tobiasz rybę za skrzele, wciągniesz go do pokoju; staraj się jednak dosyć mocno go trzymać, aby nie mógł krzyczeć.

— Tak — rzekł Portos — a jeżeli go uduszę?

— Przecież to Szwajcar i dlatego mała byłaby szkoda; ale nie spodziewam się, żebyś go udusił. Postawisz go lekko na podłodze, zawiążemy mu usta d umieścimy go, gdzie? — mniejsza o to, gdzie, to się zobaczy. Będziemy już więc mieli jedno ubranie i szpadę.

— Cudownie! — zawołał Portos patrząc na d'Artagnana z największym uwielbieniem.

— A co? — rzekł Gaskończyk.

— Jednak — powiedział Portos niepokojąc się znowu — jedno przebranie i jedna szpada to jeszcze nie dosyć dla nas dwóch.

— Alboż on nie ma towarzysza?

— Słusznie — dodał Portos.

— A więc jak ja kaszlnę, wyciągnij rękę.

— Dobrze.

Dwaj przyjaciele zajęli wskazane sobie stanowiska. Portos był zupełnie ukryty w framudze okna.

— Dobry wieczór, kolego — rzekł z okna d'Artagnan uprzejmie.

— Topry wieczór panu — odpowiedział żołnierz.

— Nie musi być ciepło tak się przechadzać — rzekł d'Artagnan.

— Brrrum — odezwał się żołnierz.

Sądzę, że szklanka wina wcale by nie zaszkodziła. — Szklanka fina bardzo py pyła pożądana.

— Łapie się ryba na wędkę! — mruknął d'Artagnan do Portosa.

— Rozumiem — rzekł Portos.

— Mam ja tu butelkę — mówił d'Artagnan.

— Putelkę!

— Tak!

— Putelkę fina?

— Pełniuteńką i dam ci ją, jeżeli zechcesz wypić za moje zdrowie.

— Pardzo chętnie — rzekł żołnierz zbliżając się.

— Chodź więc i weź ją, mój przyjacielu — mówił Gaskończyk.

— Pardzo chętnie. Zdaje mi się, że tu jest ławka.

— Ach! tak, mój Boże! można by powiedzieć, że ją tu umyślnie dlatego postawiono. Wejdz na nią . . . tak ... dobrze, doskonale, mój przyjacielu.

I d'Artagnan kaszlnął.

W tej samej chwili Portos wysunął rękę; uchwycił swoją żelazną prawicą za szyję żołnierza, szybko jak błyskawica i silnie jak kleszczami porwał go w górę dusząc prawie i przyciągając do siebie przez otwór, położył na podłodze. Wtenczas d'Artagnan dając mu tylko tyle czasu, żeby mógł odetchnąć, zawiązał mu usta swoją szarfą, a skuteczniejszy to, zaczął go rozbierać z pośpiechem i zręcznością

człowieka, który wyuczył się tego rzemiosła na polu bitwy. Następnie związali żołnierza i umieścili go w kominie, w którym poprzednio wygasili ogień.

— Mamy więc jeden ubiór i szpadę — rzekł Portos.

— Ja je włożę — odpowiedział d'Artagnan. — Jeśli chcesz mieć także przebranie i broń dla siebie, musisz powtórzyć raz jeszcze tę samą czynność. Baczość! widzę właśnie, jak drugi żołnierz wychodzi z odwachu i zbliża się w tę stronę.

— Zdaje mi się — rzekł Portos — że byłoby nierozsądnie drugi raz użyć tego samego sposobu. — Nigdy się dwa razy jeden sposób nie uda, tak przynajmniej mówią. Gdyby mi się nie powiodło, wszystko byłoby stracone. Zejdę więc na dół, pochwycę go, kiedy się najmniej będzie spodziewał, i podam ci już związanego.

— Tak będzie lepiej — odpowiedział Gaskończyk. Wszystko poszło po jego myśli i zgodnie z przyrzeczeniem

Portosa. Olbrzym ukryty na drodze, w chwili kiedy żołnierz przechodził koło niego, schwycił go za szyję, zawiązał mu usta, wsunął go jak mumię przez otwór w oknie i sam wszedł za nim. Rozebrano drugiego więźnia tak jak poprzedniego, położono na łóżku i przywiązano do niego pasami, a że łóżko było mocne, dębowe i pasy nowe, podwójne, można' więc było być równie spokojnym o niego jak i o jego kolegę.

— Ślicznie — rzekł d'Artagnan — cudownie się wszystko udaje. Teraz przymierz ubranie tego chłopaka, Portosie. Wątpię, żeby dobrze na tobie leżało; ale choćby było przyciasne, w temblaku ci będzie do twarzy, a nade wszystko w kapeluszu z czerwonymi piórami.

Portos i d'Artagnan ubierali się z pośpiechem.

— Skończyłem — rzekli obaj razem. — Co się was tyczy, koledzy — dodali obracając się do dwóch żołnierzy — nic wara się złego nie stanie, jeśli się zachowacie spokojnie. A jeśli się ruszycie, zginiecie.

Żołnierze leżeli cicho. Poznali oni po pięści Portosa, że tu nie można żartować.

— Teraz — mówił d'Artagnan — zajmijmy miejsce tych dwóch zuchów.

— Dobrze.

— Będziemy się przechadzać wzdłuż i wszerz.

— Dostyc to będzie dogodnie, tym bardziej że wcale nie jest ciepło.

— Za chwilę kamerdyner zawoła jak wczoraj i pozawczoraj żołnierzy na służbę.

— My odpowiemy...

— Nie; przeciwnie, nic nie odpowiemy.

— Jak zechcesz. Me zależy mi na tym żeby odpowiedzieć.

— Więc nic nie odpowiadamy; nasuniemy tylko lepiej kapelusze na oczy i pójdziemy za jego eminencją..

— A to gdzie?

— Tam, gdzie on pójdzie, do Atosa. Jak sądzisz, czy mu przykro będzie, jak nas zobaczy.

— O! — zawołał Portos — o! teraz rozumiem.

— Poczekaj no, nie krzycz jeszcze tak bardzo, Portosie, bo słowo ci daję, że nie na tym koniec — rzekł Gaskończyk swoim szyderyczym tonem.

— Cóż więcej uczynić możemy? — spytał Portos.

— Idź ze mną — odpowiedział d'Artagnan. — Q u i v i r a — v e r r a.

A przesuwał się przez otwór, lekko spuścił się na podwórze.

Portos udał się za nim tą samą drogą, chociaż nie z taką łatwością i nie z takim pośpiechem.

Zaledwie d'Artagnan i Portos dotknęli ziemi, jakieś drzwi się otworzyły i kamerdyner zawołał:

— Służba!

W tej chwili drzwi odwachu otworzono i jakiś głos zakomenderował:

— La Bruyère, du Barthois, marsz.

— Widać, że ja się nazywam la Bruyère — rzekł d'Artagnan.

— A ja du Barthois — mruknął Portos.

— Gdzież jesteście? — spytał kamerdyner, którego oczy, olśnione światłością, nie mogły dojrzeć naszych bohaterów

w cieniu.

— Jesteśmy — rzekł d'Artagnan. A obracając się do Portosa:

— Na honor, jeśli tak potrwa, powiem, że nam idzie pięknie.

XXX

SKARBIEC KARDYNAŁA

Dwaj zaimprovizowani żołnierze postępowali poważnie za kamerdynerem; otworzył on im drzwi od sieni, potem drugie, które zdawały się prowadzić do sali, gdzie zwykle czekali ci, co chcieli mieć posłuchanie u kardynała, a pokazując im dwa taburety, rzekł im:

— Wasza służba jest bardzo prosta: wpuście tu jedną tylko osobę, jedną tylko, rozumiecie? nikogo więcej; tej osobie bądźcie we wszystkim posłuszni. Co do powrotu, nie macie się o co troszczyć, poczekajcie, aż przyjdę po was.

D'Artagnan był bardzo dobrze znany temu kamerdynerowi, był to bowiem ten sam Bernonin, który od sześciu czy ośmiu miesięcy z dziesięć razy wprowadzał go do kardynała. Zamiast więc odpowiedzieć, bojąc się, żeby go nie zdradził właściwy mu akcent gaskoński, wyjąkał tylko „ja”, jak mógł najlepszym dialektem niemieckim.

Co do Portosa, d'Artagnan wymógł na nim, że wcale mówić nie będzie. Gdyby zaś musiał, ostatecznie pozwolił mu tylko za całą odpowiedź mówić „der Teufel” — ten wykrzyknik tak używany. Bernonin odszedł zamknawszy drzwi za sobą.

— Cicho! — szepnął d'Artagnan — oto przybywa ten ktoś, na kogo czekamy.

Słychać było właśnie w sieni odgłos lekkiego stąpania. Zawiasy u drzwi zaskrzypiały i ukazał się człowiek w ubraniu rycerskim, ciemnym płaszczem owinięty, miał duży kapelus, dobrze naciśnięty na oczy, i trzymał w ręku latarnię.

Portos przysunął się do ściany, ale nie mógł się na tyle ukryć, żeby człowiek w płaszczu nie spostrzegł go; podał mu on swoją latarnię i rzekł:

— Zapal lampę wiszącą u sufitu.

A obracając się do d'Artagnana zapytał:

— Wiecie, co macie czynić?

— Ja — odpowiedział Gaskończyk, który postanowił ograniczyć się do tej próbki niemieckiego języka.

— Tedesco — rzekł rycerz. — V a b e n e.

A postępując ku drzwiom, otworzył je i znikł zamykając za sobą.

— A teraz — rzekł Portos — cóż uczynimy?

— Teraz użyjemy ramienia, jeżeli drzwi są zamknięte, przyjacielu. Każda rzecz ma swoją porę i wszystko w czas przybywa dla tego, kto umie czekać. Ale poprzednio zamknijmy i zawalmy pierwsze wejście dostatecznie, a potem udamy się za tym rycerzem.

Dwaj przyjaciele pozastawiali drzwi wszystkimi sprzętami, które znajdowały się w pokoju. W ten sposób nikt nie będzie mógł wejść, ponieważ drzwi otwierały się do środka.

— Brawo — rzekł d'Artagnan — możemy być bezpieczni, że nas nie zajdą zniecka z tej strony. A teraz naprzód.

Przybyli do drzwi, przez które znikł Mazarini, lecz były zamknięte; d'Artagnan na próżno usiłował je otworzyć.

— Otóż tu się przyda twoje ramię — rzekł d'Artagnan. — Popchnij, Portosie, ale bez łoskotu; nie wysadzaj drzwi, tylko rozwiedź podwoje.

Portos oparł silne swe barki o jedną połowę drzwi, które się ugięły, a d'Artagnan włożył szpadę pod rygiel, podważył go i drzwi się otworzyły.

— Kiedyś ci mówiłem, przyjacielu, że najlepiej z drzwiami i z kobietami postępować łagodnie.

— To prawda — odpowiedział Portos — z ciebie jest wielki moralista.

— Wejdźmy — rzekł d'Artagnan.

Weszli przez drzwi szklane, lekko domknięte.

— Nie ma kardynała — szepnął d'Artagnan — ale jego lampa jest tu; gdzież on się podział, u czarta?

To mówiąc Gaskończyk udał się jedną z bocznych ścieżek, dając znak Portosowi, żeby drugą przejrzał. Spozrzegł on na lewo koło siebie wazon z drzewem pomarańczowym odsunięty, a na jego miejscu otwór. Dziesięciu ludzi nie zdołaloby ruszyć tego wazonu, widoczne więc było, że za pomocą jakiegoś mechanizmu usunął się z taflą posadzki, na której był ustawiony.

D'Artagnan ujrzał otwór, a w tym otworze dostrzegł kręte schody.

Skinął na Portosa pokazując mu otwór i schody. Obydwaj spoglądali po sobie z wyrazem zdziwienia.

— Gdyby nam szło tylko o złoto — rzekł cicho d'Artagnan — dobrze byśmy trafili i moglibyśmy wzbogacić się na całe życie.

— A to jak?

— Czy nie pojmujesz, Portosie, że w miejscu, do którego prowadzą te schody, znajduje się prawdopodobnie ów sławny skarbiec Mazariniego, o którym tyle mówią, i że dość byłoby zejść tam, wypróżnić jedną skrzynię, zamknąć w niej kardynała i wyjść zabierając z sobą tyle złota, ile byśmy udźwignąć mogli, postawić to drzewo pomarańczowe na swoim miejscu, a nikt w świecie nie spytałby się nas, skąd mamy ten majątek, nawet sam kardynał.

— Byłaby to niezła sztuczka dla rabusiów — rzekł Portos — ale niegodna, jak mi się zdaje, ludzi szlachetnie myślących.

— Takie jest i moje zdanie — odpowiedział d'Artagnan — toteż powiedziałem: „gdyby nam szło tylko o złoto”, ale nam idzie o co innego.

W tej samej chwili, kiedy właśnie d'Artagnan nachylił głowę w podziemiu, czy czego nie usłyszy, dźwięk metaliczny i suchy doszedł jego uszu. Zadrżał. Jednocześnie drzwi wewnątrz zamknięto i światło ukazało się na schodach.

Mazarini zostawił lampę w pomarańczarni, żeby mniemano, że się przechadza. Ale miał w kieszeni świecę woskową, z którą odwiedzał swój tajemniczy skarbiec.

D'Artagnan i Portos ukryli się, każdy w jednej z bocznych ścieżek, poza wazonem i czekali.

Mazarini o trzy kroki od d'Artagnana poruszył sprężynę w murze. Tafia obróciła się i pomarańcza na niej będąca zajęła swoje miejsce w szeregu.

Wówczas kardynał zgasił świecę, schował ją do kieszeni, a wziął lampę.

— Idziemy teraz do pana de la Fère — rzekł.

„Brawo — pomyślał d'Artagnan — to jest właśnie nasza droga, pójdźmy więc razem”.

Wszyscy trzej poszli. Mazarini ścieżką środkową, a Portos i d'Artagnan bocznymi. Ci dwaj ostatni wystrzegali się bacznie tych linii światła, jakie rzuciła między drzewa lampa kardynała.

Ten przybył do drugich drzwi szklanych, nie spostrzegłszy, że ktoś szedł za nim, bo na miękkim piasku nie słychać było odgłosów kroków dwóch jego towarzyszy.

Potem zwrócił się na lewo, wszedł w korytarz, którego Portos i d'Artagnan zrazu nie widzieli; ale kiedy miał drzwi od niego otworzyć, zatrzymał się zamyślony.

— Ach! diavolo! zapomniałem ostrzeżenia pana Comminges. Miałem wziąć z sobą żołnierzy i umieścić ich przy drzwiach, żeby nie być na łasce tego szpaczka. Wróćmy się.

— Niech sobie wasza eminencja oszczędzi trudu — rzekł d'Artagnan postępując krok naprzód z kapeluszem w rękę, z twarzą słodziutką — szliśmy za waszą eminencją ślad w ślad i oto jesteśmy.

— Tak, jesteście — powtórzył Portos.

I oddał równie uprzejmy ukłon.

Mazarini rzucał przerażone spojrzenie to na jednego, to na drugiego; poznał ich obydwu i upuścił z rąk latarnię, wydając jęk przestachu.

D'Artagnan podniósł latarnię, która na szczęście nie zgasła.

— Och! jak można być tak nieostrożnym!... panie Kardynale — mówił d'Artagnan — niebezpiecznie jest chodzić tu po ciemku; wasza eminencja mógłby się uderzyć o jaki wazon albo wpaść w jaki otwór.

— Pan d'Artagnan! — mruknął Mazarini nie mogąc przyjść do siebie z przestachu.

— Tak, panie, ten sam. I mam zaszczyt przedstawić jego eminencji pana du Vallon, mojego szanownego przyjaciela, którym tak żywo raczyłeś się dawniej zajmować.

I d'Artagnan skierował światło lampy tak, aby padało na wesołą twarz Portosa, który zaczął rzecz pojmować i niesłychanie się tym ucieszył.

— Pan kardynał szedł do hrabiego de la Fère — mówił dalej d'Artagnan — my nie chcemy w niczym przeszkadzać temu zamiarowi. Niech wasza eminencja raczy nam łaskawie wskazać drogę, a będziemy mu towarzyszyć.

Mazarini powoli przychodził do siebie.

— Czy dawno już panowie jesteście w pomarańczarni? — spytał głosem drżącym, myśląc o wizycie, jaką złożył w swym skarbcu.

Portos otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale d'Artagnan dał mu znak i usta jego zamknęły się.

— Dopiero cośmy tu przybyli — rzekł d'Artagnan.

Mazarini odetchnął — już się więc nie potrzebował obawiać o swój skarb.

— No, moi panowie, złapaliście mnie w sidła. Wyznaję, zem zwyciężony. Chcecie żądać waszego uwolnienia ode mnie, wszak prawda? Uwalniam więc panów.

— Och! — powiedział d'Artagnan — to zbytek dobroci, ale nie idzie tu o nasze uwolnienie, my jesteśmy wolni i tak, i wolelibyśmy prosić jego eminencję o co innego.

— Jesteście panowie wolni!... — zawołał Mazarini przestraszony.

— Bez wątpienia, a z panem kardynałem rzecz się ma inaczej. Cóż robić, są to prawa wojenne, wasza eminencja musi się nam okupić:

Mazarini uczuł, jak dreszcz przeszedł mu aż do serca. Jego wzrok, tak przenikliwy, na próżno zatrzymywał się na szyderskiej twarzy Gaskończyka, to na obojętnym obliczu Portosa. Obaj stali w cieniu i sama nawet Sybilla kumejska nie potrafiłaby nic z nich wyczytać.

— Wykupić się panom! — powtórzył Mazarini.

— Tak jest, panie kardynale.

— Ileż by to mogło mnie kosztować, panie d'Artagnan?

— Och! tego jeszcze nie wiem. Spytały się o to hrabiego de la Fère, jeżeli wasza eminencja na to pozwoli. Każ więc pan otworzyć drzwi prowadzące do niego, a za dziesięć minut wszystko się załatwi.

Mazarini znowu zadrżał.

— Wasza eminencja widzi — mówił d'Artagnan — że wszystko chcemy porządnie ułożyć. A jednak musimy go uprzedzić,

że nie mamy czasu do stracenia; chciej więc, kardynale, otworzyć, a zarazem pamiętaj, że za najmniejszym poruszeniem, które byś uczynił, aby nam się wymknąć, za najmniejszym krzykiem, którym byś nas chciał zdradzić, musielibyśmy się posunąć do ostateczności, a nawet nie można by nam tego mieć za złe w naszym teraźniejszym położeniu.

— Moi panowie, bądźcie spokojni — rzekł Mazarini — daję wam słowo honoru, że nic takiego nie przedsięwezmę.

D'Artagnan dał znak Portosowi, żeby podwoił baczność, potem — obracając się Mazariniego — rzekł:

— Teraz wejdzmy, jeśli się waszej eminencji podoba.

XXXI

UKŁADY

Mazarini odsunął rygiel podwójnych drzwi. Na progu czekał już Atos, gotów na przyjęcie swego dostojnego gościa. Spostrzegłszy Mazariniego, ukłonił się.

— Kardynale — rzekł — niepotrzebnie kazałeś sobie towarzyszyć; zaszczyt, którego dostępuję, jest tak wielki, że ani na chwilę nie mógłbym o nim zapomnieć.

— Toteż, kochany hrabio — odezwał się d'Artagnan — kardynał nie chciał wcale wziąć nas z sobą, tylko że du Vallon i ja nalegaliśmy na to w sposób może nawet mało przyzwoity, ale wielką mieliśmy ochotę ciebie odwiedzić.

Na ten głos, na ten szyderski sposób mówienia, na ten gest tak znany, który towarzyszył tym słowom, Atos cofnął się ze zdziwieniem.

— D'Artagnan? Portos?! — zawołał.

— Jak widzisz, kochany przyjacielu.

— Jak widzisz — powtórzył Portos. — Co to ma znaczyć? — spytał hrabia.

— To ma znaczyć — odpowiedział Mazarini, starając się uśmiechnąć, lecz przy tym uśmiechu gryząc sobie wargi — to ma znaczyć, że się postać rzeczy zmieniła i że, zamiast żeby ci panowie byli moimi więźniami, ja teraz jestem jeńcem tych panów; tak dalece, że mnie pan widzisz tu czekającego na wyrok, zamiast żebym ja go miał wydać. Ale, moi panowie, uprzedzam was, że wasze zwycięstwo niedługo potrwa, chyba że mnie zabijecie; inaczej przyjdzie kolej i na mnie; będą mnie szukać.

— Ach! — rzekł d'Artagnan — niech wasza eminencja nie grozi, to mogłoby dać zły przykład. My jesteśmy tak grzeczni i tak łagodni, niech wasza eminencja bierze z nas przykład. Dalej, na bok zły humor, zaniechajmy zawziętości i pomówmy uprzejmie.

— Ja też tego pragnę — powiedział Mazarini — ale kiedy mamy się układać o mój wykup, nie chcę, żebyście panowie uważali swoje położenie za lepsze, niż jest ono w istocie. Złapawszy mnie w sidła, samiście się w nie także wplątali. Jakże stąd wyjść chcecie? Widzicie te kraty, widzicie drzwi, widzicie, a przynajmniej domyślić się powinniście, że żołnierze czuwają za tymi drzwiami i kratami, że dziedzińce pełne są żołnierzy; a teraz układajmy się. Moi panowie, chcę wam dowieść, że postępuję rzetelnie.

„Kiedy tak — pomyślał d'Artagnan — podwójmy baczość, pewno nam chce figla spletać”.

— Ofiarowałem panom uwolnienie, jeszcze raz to powtarzam. Czy przystajecie panowie na to? Nie minie godzina a znajdą was; zostaniecie ujęci i będziecie zmuszeni mnie zabić, co byłoby zbrodnią okropną, a tym samym niegodną ludzi tak szlachetnie myślących, jak panowie.

„Ma słuszność” — pomyślał Atos.

— Toteż — rzekł d'Artagnan, aby zgasić promień nadziei, którą milczące potwierdzenie Atosa obudziło w Mazarinim — chyba ostateczność zmusi nas do tego gwałtu.

— Jeśli — mówił dalej Mazarini — pozwolicie mi odejść, przyjmuję wasze uwolnienie...

— Jakże — przerwał d'Artagnan — mamy przyjąć uwolnienie, kiedy wasza eminencja może nas kazać na powrót uwięzić w pięć minut później? A ja dosyć dobrze znam pana kardynała, abym mógł być pewny, że tak postąpi.

— Nie, jakim kardynał!... Czy mi pan nie wierzysz? — Nie wierzę kardynałom, którzy nie są księżmi.

— A więc! jakim minister!

— Wasza eminencja nie jesteś już ministrem; jesteś teraz naszym jeńcem.

— No, jakim Mazarini, tym przecie jestem i będę na zawsze, jak się spodziewam.

— Hę! — mruknął d'Artagnan — słyszałem o jednym. Mazarinim, co lekceważył swoje przysięgi; boję się zatem, czy to nie był który z przodków waszej eminencji.

— Panie d'Artagnan — rzekł Mazarini — pan masz rozum, jaki rzadko się spotyka, i bardzo mi przykro, że się z panem poróżnił.

— Niech się więc wasza eminencja pogodzi ze mną; ja właśnie tego sobie życzę.

— A zatem — mówił dalej Mazarini — jeżeli panów uwolnię w sposób widoczny, oczywisty?...

— Ach! wtenczas, to rzecz byłaby inna — rzekł Portos.

— Zobaczmy — mówił Atos.

— Zobaczmy — dodał d'Artagnan.

— Najpierw, czy przyjmujecie, panowie? — spytał kardynał.

— Niech wasza eminencja wyjaśni nam swój plan, a będziemy starali się go ocenić.

— Uważajcie, panowie, jesteście zamknięci, uwięzieni.

— Wasza eminencja wie dobrze — rzekł d'Artagnan — że mamy zawsze ostateczną drogę.

— A to jaką?

— Umrzeć wszyscy razem.

Mazarini zadrżał.

— Słuchajcie więc — rzekł — przy końcu tego korytarza są drzwi, od których mam klucz. Jesteście zręczni, silni i uzbrojeni, możecie śmiało uciekać. O sto kroków, obracając się na lewo, natraficie na mur zwierzynca; przeskoczycie go i niebawem znajdziecie się na gościńcu. A znam panów dostatecznie, abym był przekonany, że gdy nawet was napadną, nie byłoby to żadną przeszkodą dla waszej ucieczki.

— Ach! na honor! — powiedział d'Artagnan — to mi się podoba, to się nazywa mówić. Gdzież więc jest ten klucz, który wasza eminencja raczy nam ofiarować?

— Oto jest.

— Ach! gdyby wasza eminencja chciał nas zaprowadzić do tych drzwi — mówił dalej d'Artagnan.

— Bardzo chętnie — rzekł minister — jeśli tylko tego trzeba, żeby panów uspokoić.

Mazarini, który nie sądził, że się tak łatwo wykręci, poszedł korytarzem i otworzył drzwi z wielką ochotą.

Wychodziły one istotnie na zwierzyniec i trzej przyjaciele poznali to po mocnym wietrze, który się zaczął wciskać do korytarza i nawiewał im, śnieg na twarze.

— Ach! do czarta! — zawołał d'Artagnan — noc jest okropna. Nie znamy położenia, nie będziemy mogli znaleźć drogi. Kiedy wasza eminencja tyle zrobiłeś, żeś nas tu doprowadzić raczył, chciej postąpić jeszcze kilka kroków i pokazać ten mur.

— Niech i tak będzie — rzekł kardynał. Idąc prostą drogą zbliżył się szybkim krokiem do muru, przy którym wszyscy czterej stanęli za chwilę.

— Czy panowie jesteście zadowoleni? — spytał Mazarini.

— Ma się rozumieć! Do czarta! jakież to zaszczyt! trzech takich pospolitych ludzi jak my prowadzi księżę kościoła!...

Jeszcze słowo, mości kardynale. Przed chwilą powiedziałeś, że jesteśmy zręczni, waleczni i uzbrojeni?

— Tak. .

— Wasza eminencja myli się; tylko du Vallon i ja jesteśmy zbrojni, pan hrabia de la Fère nie ma szpady, gdyby nas jednak spotkał jaki patrol, trzeba móc się bronić.

— Bardzo sprawiedliwie.

— Skąd tu wziąć szpady? — spytał się Portos.

— Jego eminencja — rzekł d'Artagnan — pożyczmy swojej, która lnu jest zupełnie niepotrzebna.

— Z największą chęcią — powiedział kardynał; a nawet będę prosił pana hrabiego, żeby ją zachował na pamiątkę.

— Sądzę — mówił d'Artagnan — że jest to dowodem wysokiej grzeczności, hrabio.

— Toteż — odpowiedział Atos — przyrzekam jego eminencji, że się z nią nigdy nie rozstanę.

— Bravo! — krzyknął d'Artagnan — szlachetność wzajemna, jak to rozrzewnia! Czy nie masz czasem łez w oczach. Portosie?

— Właśnie mam — odpowiedział — tylko nie wiem, czy ten postępek, czy wiatr mi je wyciska. Ale zdaje mi się, że wiatr.

— Teraz wejdź na mur, Atosie — mówił d'Artagnan i spiesz się.

Atos przy pomocy Portosa, który go porwał jak piórko, doszedł wierzchołka muru.

— Zeskocz na ziemię, hrabio.

Atos skoczył i znikł z drugiej strony.

— Jesteś na ziemi? — spytał d'Artagnan.

— Jestem.

— I bez przypadku?

— Zupełnie.

— Portosie, pilnuj pana kardynała, a ja tymczasem wejdę; nie, nie potrzebuję twojej pomocy, wejdę sam. Trzymaj tylko pana kardynała i nic więcej.

— Trzymam — rzekł Portos. — No cóż?...

— Masz słuszność, trudniejsza to sprawa, aniżeli sędził. Pomóż mi swymi plecami, ale nie puszczaj pana kardynała.

— Nie puszczę go.

Portos przychylił się cokolwiek i d'Artagnan dzięki tej podporze w jednej chwili usiadł na wierzchu parkanu jak na koniu. Mazarini udawał, że się śmieje. — A co, wlałeś? — spytał Portos.

— Wlałem, mój przyjacielu; a teraz...

— Teraz co?

— Teraz podaj mi pana kardynała; a gdyby usta chciał otworzyć, uduś go.

Mazarini chciał krzyknąć, ale Portos ścisnął go za szyję obiema rękami i podał d'Artagnanowi, który z kolei uchwycił go za kołnierz i posadził przy sobie. Potem rzekł tonem groźnym:

— Zeskocz pan natychmiast na ziemię, koło pana de la Fère albo cię zabiję, jakem szlachcic.

— Panie! panie! — wołał Mazarini — nie dotrzymujesz pan obietnicy.

— Ja? A cóżem to waszej eminencji obiecywał? Mazarini westchnął głęboko.

— Przeze mnie, panowie, jesteście wolni — rzekł — wasza wolność miała być moim okupem.

— Zgoda, ale gdzież jest okup tego ogromnego skarbu, zagrzebanego, w podziemiach galerii? Aby się do niego dostać, dość jest poruszyć sprężynę ukrytą w ścianie, ta sprężyna odsuwa wazon, a wtedy ukazują się schody; czy nie warto i o nim pomówić, przyznaj pan sam.

— O, Jezu! — zawołał Mazarini prawie bez tchu, załamując ręce. — Jezu! Maria! jestem zgubiony.

Ale d'Artagnan, nie zważając na te narzekania, wziął go pod ramię i zsunął lekko w ręce Atosa, który dotąd stał z drugiej strony muru, nie mieszając się do niczego.

Następnie obracając się do Portosa rzekł:

— Uchwyc się mojej ręki, ja się trzymam parkanu. Portos dostał się także na wierzch.

— Ja tego wszystkiego nie rozumiałem — powiedział — ale teraz pojmuję, że to bardzo śmieszne.

— Tak ci się zdaje? — mówił d'Artagnan — tym lepiej! Ale żeby się móc śmiać do końca, nie traćmy czasu.

I zeskoczył na dół.

Portos uczynił to samo.

— Panowie — rzekł d'Artagnan — towarzyszenie panu kardynałowi; ja szukam drogi, uprzętam przeszkody.

Gaskończyk wyjął z pochwy szpadę i poszedł naprzód. — Niech wasza eminencja raczy powiedzieć, w którą stronę trzeba się zwrócić, żeby dojść do gościńca? Ale niech się pan kardynał dobrze namyśli, nim odpowie, bo gdyby zaszła jaka pomyłka, mogłoby to wielkie nieprzyjemności ściągnąć nie tylko na nas, ale i na jego eminencję.

— Postępuj pan wzdłuż muru — wyjąkał Mazarini — a nie zabłądzisz.

Trzej przyjaciele przyspieszyli kroku; ale niedługo musieli wstrzymać ten pośpiech; pomimo najszczerzych chęci, kardynał nie mógł za nimi nadążyć.

Nagle d'Artagnan potrącił coś, co się poruszyło, — Wiwat! koń — zawołał. — Panowie, znalazłem konia.

— I ja także — rzekł Atos.

— I ja także — dodał Portos, który wierny nałożonemu obowiązkowi ciągle trzymał kardynała za rękę.

— Otóż to może się nazywać prawdziwym szczęściem — rzekł d'Artagnan; — właśnie wasza eminencja skarżyłeś się, że nie możesz iść pieszo.

Kiedy wymawiał te wyrazy, lufa pistoletu zabłysła mu przed oczyma i usłyszał groźnie wyrzeczone słowa:

— Ani kroku dalej!

— Grimaud! — zawołał d'Artagnan— Grimaud! co ty tu robisz? czy cię tu niebo zsyła?

— Nie, panie — rzekł poczciwy sługa — ale pan Aramis kazał mi pilnować koni.

— Aramis jest tutaj?

— Tak, panie, od wczoraj.

— A cóż tu robicie?

— Czatujemy, pilnujemy.

— Jak to? Aramis jest tu? — powtórzył Atos.

— Przy małych drzwiczkach pałacu. Tam jest jego stanowisko.

— Jesteście więc w większej liczbie? — Jest nas sześćdziesięciu.

— Każ go zawiadomić.

— Natychmiast, panie.

I sądząc, że nikt nie spełniłby lepiej polecenia niż on, Grimaud pobiegł co tchu, gdy tymczasem trzej przyjaciele, szczęśliwi, że się na koniec połączą, czekali.

Jeden tylko Mazarini z całego tego grona był w bardzo złym humorze.

W KTÓRYM POCZYNAMY WIERZYĆ, IŻ PORTOS BĘDZIE NARESZCIE BARONEM, A D'ARTAGNAN KAPITANEM

W dziesięć minut przybył Aramis w towarzystwie Grimauda i ośmiu jeźdźców. Uniesiony radością, rzucił się na szyję swoich przyjaciół.

— Jesteście więc wolni! Bracia, wolni bez mojej pomocy? Nic więc dla was nie zdołałem uczynić pomimo wszelkich usiłowań.

— Nie trap się, kochany przyjacielu, co się odwlecze, to nie uciecze. Jeśliś dotąd nic nie uczynił, to jeszcze będziesz miał dosyć na to czasu.

— A przecież zdaje mi się, że użyłem wszelkich stosownych środków — rzekł Aramis. — Otrzymałem sześćdziesięciu ludzi od koadiutora; dwudziestu z nich strzeże muru zwierzyńca, dwudziestu drogi z Reuil do Saint-Germain, dwudziestu zaś rozstawiłem w lesie. I tak schwytałem, dzięki tym rozporządzeniom strategicznym, dwóch posłańców Mazariniego do królowej.

Mazarini zaczął się bacznie przysłuchiwać.

— Ale przecie, spodziewam się — przerwał mu d'Artagnan — żeś ich przez delikatność odesłał panu kardynałowi?

— Tak, właśnie — mówił Aramis — miałbym dla niego mieć podobne względy! W jednej z tych depech kardynał oznajmia królowej, że skarb jest próżny i że królowa nie ma już pieniędzy; w drugiej donosi, że chce kazać przeprowadzić swoich jeńców do Melun, ponieważ zamek w Reuil nie zdaje mu się być dosyć bezpieczny. Pojmujesz, kochany przyjacielu, że ten drugi list obudził we mnie nadzieję. Zaczaiłem się z moimi ludźmi, otoczyłem pałac, kazałem trzymać w pogotowiu luźne konie, które powierzyłem roztropnemu Grimaudowi, i czekałem, żeby was wyprowadzili. Spodziewałem się, że to nastąpi dopiero jutro rano, i nie sądziłem, abym was uwolnił bez utarczki. A wy jesteście wolni dziś jeszcze i bez walki. Tym lepiej. Jakaście sobie poradzili, żeby się wymknąć temu tchórzowi Mazariniemu? Musiał wam niezłe dokuczać?

— Nie tak bardzo — rzekł d'Artagnan.

— Czy być może?...

— Powiem nawet śmiało, że wiele nam zrobił grzeczności.

— To nie podobna.

— Tak jest, w samej istocie: jemu to powinieneś podziękować, że nas tu widzisz.

— Jemu podziękować!

— Tak: on nas kazał zaprowadzić panu Bernonin, swemu kamerdynerowi, do pomarańczami, a potem stamtąd poszliśmy z nim razem do hrabiego de la Fère. Wtenczas ofiarował nam nasze uwolnienie; myśmy przyjęli, a on posunął swoją uprzejmość do tego stopnia, że wskazał nam drogę i doprowadził pod mur zwierzyńca, któryśmy przeskoczyli bardzo szczęśliwie, aż nareszcie spotkaliśmy Grimauda.

— Ach! brawo! — rzekł Aramis — kiedy tak, to się z nim pogodzę; rad bym nawet, aby tu był, bobym mógł mu powiedzieć, iż nie sądziłem, że jest zdolny do tak szlachetnego postępu.

D'Artagnan, który nie mógł się dłużej powstrzymać, zawołał:

— Niech wasza eminencja pozwoli przedstawić sobie kawalera d'Herblay, który życzy sobie, jak to pan kardynał mógł słyszeć, złożyć mu swoje pełne uszanowania powinszowanie.

I usunął się, odsłaniając Mazariniego, który stał zmieszany wobec zdziwionego Aramisa.

— O! o! — zawołał — pan kardynał!... Piękna zdobycz! Hola! hola! przyjaciele. Panowie! panowie!

Kilku jeźdźców nadbiegło.

— Na honor! — dodał Aramis — widzę, że się przecie zdam na co. Niech więc eminencja przyjmie moje najgłębsze uszanowanie. Założyłbym się, że to ten drugi święty Krzysztof, Portos, przyczynił się do tego! Ale, ale, byłbym zapomniiał.

I dał po cichu rozkaz jednemu z jeźdźców.

— Sądzę, że najroztropniej będzie odjechać stąd śpiesznie — rzekł d'Artagnan.

— Tak, ale czekam na kogoś... na jednego z przyjaciół Atosa.

— Z przyjaciół? — zapytał hrabia.

— Patrz, oto przybywa galopem przez zarośla.

— Panie hrabio! panie hrabio! — zawołał nadjeżdżający głosem, który przejął na wskroś Atosa.

— Raul! Raul! — krzyknął hrabia de la Fère. Młodzieniec, zapominając o zwykłym uszanowaniu, rzucił

się na szyję swemu ojcu.

— Niech się pan kardynał przypatrzy, czy nie żal by mu było rozłączyć ludzi, którzy się tak jak my kochają?

— Panowie — mówił dalej Aramis obracając się do jeźdźców, których liczba wciąż się powiększała, ponieważ przyjeżdżali tu z różnych swoich stanowisk — panowie, otoczcie kardynała dla okazania mu szacunku: jego eminencja chce nam łaskawie towarzyszyć; wiem, że panowie potraficie okazać się wdzięcznymi. Portosie, nie spuszczaaj z oka pana Mazariniego.

Po czym Aramis przystąpił do d'Artagnana i Atosa, którzy się naradzili, i również naradzał się z nimi.

— Dalej! — rzekł Aramis po pięciu minutach rozmowy — w drogę!

— Gdzie pojedziemy? — spytał Portos.

— Do ciebie, kochany przyjacielu, do Pierrefonds. Twój piękny pałac godzien jest przyjmować jego eminencję, a przy tym położenie zamku jest bardzo korzystne: nie jest on ani za blisko, ani za daleko od Paryża — można będzie stamtąd . nawiązać łatwo łączność ze stolicą. Prosimy pana — znajdziesz tam przyjęcie jak prawdziwy książę.

— Książę... pozbawiony władzy — mruknął smutnie Mazarini.

— Wojna ma swoje koleje — odpowiedział Atos. — Niech jednak wasza eminencja będzie pewny, że w niczym nie nadużyjemy przewagi, jaką nam dziś los w ręce daje.

— Ale korzystać z niej potrafimy — dodał d'Artagnan.

W południe wjechali na dziedziniec pałacu Portosa. Mazariniego umieszczono w najpiękniejszym salonie pałacu.

— Panowie — odezwał się tenże, kiedy go już do wyznaczonego pokoju zaprowadzono — sądzą, że nie zechcecie zatrzymywać mnie tu długo tajemnie.

— O, nie — odpowiedział d'Artagnan — przeciwnie, zamierzamy rozgłosić natychmiast, że waszą eminencję trzymamy.

— Ten pałac będą oblegać.

— Spodziewamy się tego.

— Cóż więc panowie zrobicie?

— Będziemy się bronić. Gdyby nieboszczyk kardynał żył jeszcze, mógłby waszej eminencji opowiedzieć wypadek o bastionie św. Gerwazego, w którym my walczyliśmy przeciw całemu wojsku tylko z naszymi czterema służącymi i dwunastu trupami.

— Takie figle raz się udają, moi panowie, i nie powinny się powtarzać.

— Toteż teraz nie będziemy potrzebowali uciekać się do takiej ostateczności; jutro wojsko paryskie zostanie zawiadomione, pojutrze tu przybędzie. Potyczka zamiast pod Charenton lub Saint-Denis, odbędzie się pod Compiègne albo Villers Coterets.

— Książę do Condé pobije was znów, jak już tyle razy.

— Być może, ale przed potyczką zawieziemy kardynała do drugiego pałacu naszego przyjaciela du Vallon, a on ma ich trzy. Nie będziemy chcieli narażać kardynała na niebezpieczeństwa wojny.

— No, no — rzekł Mazarini — widzę, że trzeba kapitulować.

— Przed oblężeniem?

— Tak; warunki może będą łatwiejsze.

— O, co do warunków, zobaczy wasza eminencja, jak my jesteśmy umiarkowani.

— Przedstawcie mi więc, panowie, te swoje warunki.

— Niech sobie wasza eminencja tymczasem nieco odpocznie, a my się namyślimy.

— Nie potrzebuję spoczynku, chcę tylko wiedzieć, czy jestem w ręku przyjaciół, czy nieprzyjaciół.

— Przyjaciół! przyjaciół!

— A więc, kiedy tak — powiedzcie mi, panowie, natychmiast, czego chcecie, żebym mógł wiedzieć, czy potrafimy się z sobą ułożyć. Panie hrabio de la Fère, zaczynaj pan.

— Ja dla siebie niczego nie żądam — odezwał się Atos — a za wiele miałbym do żądania dla Francji. Usuwasz więc i ustępuję miejsca panu d'Herblay.

To powiedziawszy Atos uklonił się, cofnął nieco, a oparłszy się o komin, został tylko widzem konferencji.

— Niech więc pan d'Herblay — mówił kardynał — oświadczy, czego sobie życzy. Tylko proszę bez wielkich przygotowań i dwuznacznych wyrażen. Wytłumacz się pan jasno, krótko i zwięźle.

— Ja — rzekł Aramis — zawsze jasno mówię, co myślę. Mam właśnie w kieszeni spis warunków podanych eminencji pozawczoraj w Saint-Germain przez deputację, do której należałem. Szanujmy więc przede wszystkim dawne prawa. Czy żądania zawarte w spisie zostaną spełnione?

— Jużśmy się prawie zgodzili na te warunki, przejdźmy zatem do żądań osobistych — powiedział Mazarini.

— Czy pan mniemasz, że i takie się znajdują? — rzekł Aramis z uśmiechem.

— Sądzę, że nie wszyscy panowie będą tak bezinteresowni jak pan hrabia de la Fère — dodał Mazarini obracając się do Atosa i kłaniając mu się.

— Ach, eminencjo! masz zupełną słusność — mówił Aramis — i bardzo jestem szczęśliwy, że nareszcie oddajesz sprawiedliwość hrabiemu. Pan de la Fère jest wyższy ponad pospolite wymagania i żądze ludzkie; jest to charakter nacechowany nieugiętością bohaterskich czasów. Pan de la Fère nie jest zwyczajnym człowiekiem. Wasza eminencja trafnie ocenia, że my nie możemy się z nim równać, i my sami przyznajemy to otwarcie razem z panem kardynałem.

— Aramisie, czy szydzisz sobie ze mnie? — spytał Atos.

— Nie, mój kochany hrabio, nie; mówię tylko to, co myślimy i co muszą myśleć wszyscy ci, którzy cię znają. Ale masz słusność, nie idzie tu o ciebie, ale o pana kardynała i o jego niegodnego sługę, kawalera d'Herblay.

— Jakież są więc pana żądania, oprócz ogólnych warunków, do których jeszcze wrócimy?

— Żądam, żeby oddano Normandię pani de Longueville z pełnym i całkowitym przebaczeniem i pięćkroć sto tysięcy liwów. Żądam, żeby młody król raczył być ojcem chrzestnym jej nowonarodzonego syna i żeby wasza eminencja po odbytych obrzędzie chrztu, na którym może być obecny, pojechał złożyć swoje uszanowanie Ojcu świętemu.

— To znaczy, że pan chcesz, żebym złożył urząd ministra, żebym opuścił Francję, żebym się skazał na wygnanie.

— Chcę, eminencjo, żebyś został papieżem przy pierwszym wakansie, a wtenczas pojechałbym do Rzymu prosić o odpusty zupełne dla mnie i moich przyjaciół.

Mazarini skrzywił się w szczególny sposób.

— A pan?... — spytał się d'Artagnana.

— Ja — rzekł Gaskończyk — we wszystkim zgadzam się z kawalerem d'Herblay, wyjąwszy ostatni punkt, w którym całkiem innego jestem zdania. Nie tylko nie żądam, żeby pan kardynał opuścił Francję, przeciwnie, pragnę, żeby pozostał w Paryżu; nie tylko nie życzę sobie, żeby został papieżem, ale przeciwnie: chciałbym ciągle widzieć go ministrem, bo pan jesteś wielkim politykiem. Postaram się nawet, ile będzie w mojej mocy, żeby kardynał wziął górę nad frondą; ale pod warunkiem, że będziesz pamiętać trochę o wiernych poddanych króla i oddasz dowództwo kompanii muszkietierów temu, którego ja wymienię. Na ciebie kolej, du Vallon!

— Tak, ty teraz powiedz, czego żądasz — odezwał się Mazarini.

— Ja — rzekł Portos — chciałbym, żeby kardynał dla zaszczytowania mego domu, w którym gości, i na pamiątkę tego wypadku, nadał mojej włóści tytuł baronii z obietnicą orderu dla jednego z moich przyjaciół.

— Pan wiesz, że trzeba udowodnić kwalifikację, kto chce otrzymać order.

— Ten przyjaciel potrafi ją udowodnić. A potem, gdyby tego konieczna była potrzeba, wasza eminencja mógłbyś mu wskazać, jak unika się tej formalności.

Mazarini przygryzł wargi, pocisk był celnie wymierzony. Odrzekł więc sucho:

— Zdaje mi się, moi panowie, że te wszystkie żądania nie zgadzają się z sobą, ponieważ jeśli zadowolnię jednych, muszę się sprzeciwić drugim. Jeśli zostanę w Paryżu, nie udam się do Rzymu; jeśli zostanę papieżem, nie będę równocześnie ministrem, a jeśli nie będę ministrem, nie mogę zrobić pana d'Artagnana kapitanem, a pana du Vallon baronem.

— To prawda — powiedział Aramis. — A że mam większość przeciw sobie, usuwam więc warunek dotyczący się wyjazdu do Rzymu i złożenia urzędu ministra.

— Zostaję więc ministrem? — spytał Mazarini.

— Ależ oczywiście, to się samo przez się rozumie — zawołał d'Artagnan. — Francja potrzebuje waszej eminencji.

— Ustępuję więc — mówił dalej Aramis — niech jego eminencja pozostanie pierwszym ministrem, nawet ulubieńcem jej królewskiej mości, byleby tylko uczynił dla mnie i moich przyjaciół to, czego żądamy dla Francji i dla siebie.

— Zajmujcie się, panowie, swoimi interesami, a pozwólcie Francji układać się ze mną — odrzekł Mazarini.

— Och nie, nie! — przerwał Aramis — fronda domaga się traktatu, musisz go więc, eminencjo, ułożyć i podpisać wobec nas, podejmując się przy tym otrzymać zatwierdzenie go przez królową.

— Mogę ręczyć tylko za siebie, nie mogę odpowiadać za królową. A jeśli jej królewska mość odmówi?

— Och! — odezwał się d'Artagnan — wasza eminencja wie dobrze, że jej królewska mość niczego mu odmówić nie może.

— Oto jest — mówił Aramis — traktat przedstawiony przez deputację frondystów. Czy wasza eminencja raczy go przeczytać i zastanowi się nad nim?

— Umieć go na pamięć — rzekł Mazarini.

— Więc go pan podpisz.

— Zważcie, panowie, że podpis uczyniony w takim położeniu jak nasze mógłby być uważany za wymuszony gwałtem.

— Wasza eminencja zaświadczy, że jest dobrowolny.

— A jeśli nie podpiszę?

— Wtenczas kardynał przyjmie na siebie odpowiedzialność, za to, co wyniknie z tego nieporozumienia — odpowiedział d'Artagnan.

— Śmielibyście podnieść rękę na kardynała?

— Wasza eminencja podniosłeś przecie swoją na muszkieterów jej królewskiej mości!

— Królowa pomści się za mnie — przerwał Mazarini.

— Nie sądzę, chociaż nie wątpię, żeby jej nie brakowało dobrych chęci; ale my udamy się do Paryża z waszą eminencją, a paryżanie potrafią nas obronić.

— Jaki tam musi być niepokój w tej chwili w Reuil i Saint-Germain! — mówił Aramis — jak się tam muszą pytać: gdzie jest kardynał? co się stało z pierwszym ministrem? gdzie się podział ulubieniec! Jak tam muszą szukać waszej eminencji po wszystkich kątach! Jakie uwagi przy tym robią! A jeżeli fronda dowiedziała się o zniknięciu pana kardynała, jakże musi triumfować.

— To okropne! — mruknął Mazarini.

— Niech więc wasza eminencja podpisze traktat — zawołał Aramis.

— A jeżeli ja podpiszę, a królowa nie zechce?

— Ja podejmuję się pojechać do królowej — rzekł d'Artagnan — otrzymać jej podpis.

— Zastanów się pan — mówił Mazarini. — Obawiam się, że w Saint-Germain znajdziesz przyjęcie, jakiego słusznie możesz się spodziewać.

— Ach! ba! — odpowiedział d'Artagnan — już ja się o to postaram, żebym był dobrze przyjęty, mam na to sposób.

— Jaki?

— Zawiozę jej królewskiej mości list, w którym wasza eminencja donosi o zupełnym wyczerpaniu funduszków.

— Cóż dalej? — spytał się Mazarini blednąc.

— Potem, kiedy zobaczę królową zakłopotaną, zaprowadzę ją do Reuil i wskażę jej w pomarańczarni pewną sprężynę, za pomocą której odsuwa się jeden wazon...

— Dosyc, mości panie! — mruknął kardynał — gdzie jest traktat?

— Oto jest — rzekł Aramis.

— Widzisz pan — dodał d'Artagnan — że jesteśmy wspaniałomyślni, bo moglibyśmy daleko zejść z podobnym odkryciem.

— Podpisz więc pan — powiedział Aramis — podając mu pióro.

Mazarini powstał, przechadzał się przez chwilę bardziej zamyślony niż smutny. Potem, zatrzymując się nagle, zapytał:

— A jak podpiszę, jakąż będę miał rękojmię?

— Moje słowo honoru, panie — odezwał się Atos. Mazarini zadrzał, obrócił się do hrabiego de la Fère, patrzył

przez chwilę na tę twarz szlachetną i prawą, a biorąc pióro rzekł:

— To mi wystarczy, panie hrabio. — I podpisał.

— A teraz, panie d'Artagnan, przygotuj się — dodał — do podróży do Saint-Germain, zawieziesz z sobą ode mnie list do królowej.

XXXIII

JAK PIÓREM I GROŻBĄ WIĘCEJ NIŻ SZPADĄ I POŚWIĘCENIEM DOKONAĆ MOŻNA

D'Artagnan pojechał sam z pismem Mazariniego, które mu miało ułatwić widzenie się z królową. W sześć godzin po wyjeździe z Pierrefonds stanął w Saint-Germain.

Zniknięcie Mazariniego nie było jeszcze wiadome: jedna tylko Anna Austriacka wiedziała o nim, ale ukrywała tę wiadomość nawet przed najzaufanšzymi osobami.

Pierwszą osobą, którą nasz poseł ujrzał, wjeżdżając w dziedziniec starego zamku, był Bernonin, który stojąc na progu czekał na wiadomości o swoim panu.

Na widok d'Artagnana, wjeżdżającego na główny dziedziniec, Bernonin przecierał oczy i sądził, że to sen, że się myli. Ale d'Artagnan skinął nań głową przyjaźnie, a oddając lejce swego konia jakiemuś służącemu, który przechodził, zsiadł i postąpił do kamerdynera z uśmiechem na ustach.

— Pan d'Artagnan!.. — zawołał Bernonin. — Ten sam, panie Bernonin.

— Po co pan tu przybywasz?

— Przywożę wiadomości od pana Mazariniego.

— Cóż się z nim dzieje?

— Zdrow jest, jak pan i ja.

— Nic mu się więc złego nie przytrafiło?

— Nic a nic. Przyszła mu ochota odbyć przejażdżkę do prowincji Ile-de-France i prosił pana hrabiego de la Fère, pana du Vallon i mnie, żebyśmy z nim pojechali, a my, ceniąc bardzo ten zaszczyt, nie mogliśmy mu odmówić. Wyjechaliśmy wczoraj wieczór i oto przybywam.

— Pan przybywasz...?

— Pan kardynał miał coś donieść królowej, ale coś tajemniczego i ważnego, co mogło być powierzone tylko człowiekowi zaufanemu, dlatego też mnie wysłał do Saint-Germain. Tak więc, kochany panie Bernonin, jeżeli chcesz uczynić przyjemność twemu panu, uprzedź jej królewską mość, że przybyłem i w jakim celu.

Bernonin nie czynił żadnej trudności i poszedł natychmiast uwiadomić królową o tym szczególnym poselstwie. Jak to przewidział, królowa rozkazała wprowadzić natychmiast d'Artagnana.

D'Artagnan przystąpił do swojej monarchini z oznakami najgłębszego uszanowania; zbliżywszy się o trzy kroki, przykląkł na jedno kolano i podał jej pismo.

Był to, jakeśmy już powiedzieli, prosty list, mający służyć za świadectwo, że z polecenia i woli Mazariniego d'Artagnan przyjechał. Królowa przeczytała go, poznała pismo kardynała, jakkolwiek pisał on ręką drżącą; a że ten list nie uwiadomiał jej wcale o tym, co zaszło, żądała więc wyjaśnienia szczegółów.

D'Artagnan opowiedział wszystko z tą szczerą prostotą, którą umiał tak odpowiednio w pewnych okolicznościach stosować.

Królowa w ciągu opowiadania patrzyła na niego z wzrastającym podziwem; nie pojmowała, w jaki sposób człowiek mógł powziąć podobny zamiar a tym bardziej odważyć się opowiadać o nim przed tą, której obowiązkiem było ukarać go.

— Jak to! — zawołała królowa zarumieniona z oburzenia, skoro skończył mówić — pan śmiesz wyznawać przede mną swoją zbrodnię! wyjawić mi swoją zradę!

— Przebacz mi, najjaśniejsza pani, ale albo ja się źle wytłumaczyłem, albo, królowo, źleś mnie zrozumiała; nie idzie tu ani o zbrodnię, ani o zradę. Mazarini trzymał nas w więzieniu, pana du Vallon i

mnie, za to żeśmy nie mogli uwierzyć, żeby nas wysłał do Anglii po to, abyśmy spokojnie patrzyli, jak będą ścinać głowę Karola Stuarta, szwagra nieboszczyka króla i małżonka pani, a męża królowej Henriety, która jest siostrą i gościem waszym, o pani.. Byliśmy więc mocno przekonani, mój przyjaciel i ja, że musiała zajść w tym względzie jakaś pomyłka, której my zostaliśmy ofiarą, i że konieczne jest porozumienie między kardynałem a nami. Żeby jednak takie porozumienie przyniosło pożądany owoc, zachodziła nieodzowna potrzeba, aby się odbyło spokojnie, z dala od zgiełku i naprzykrzonych. Dlatego to zawieźliśmy kardynała do zamku mojego przyjaciela i tam wytłumaczyliśmy się wzajemnie. Pokazało się, królowo, że właśnie zaszła pomyłka: Mazarini sądził, żeśmy służyli generałowi Cromwellowi zamiast królowi Karolowi, co ściągnęłoby hańbę, która spłynęłaby z nas na niego, a z niego na waszą królewską mość i splamiłaby jeszcze w zarodku panowanie najjaśniejszego syna waszej królewskiej mości. Dowiedliśmy więc panu kardynałowi, że nie tak się rzecz miała, i gotowiśmy dowieść tego waszej królewskiej mości, powołując się na świadectwo szanownej wdowy, która oplakuje tę stratę w Luwrze, gdzie ją umieściła wspaniałomyślność waszej królewskiej mości. Tak dalece zdołaliśmy go przekonać, że na dowód swego zadowolenia przysłał mnie, jak to wasza królewska mość widzi, dla rozmówienia się z królową co do wynagrodzenia, należącego się słusznie ludziom nie docenionym i prześladowanym niesłusznie.

— Słucham pana i podziwiam — rzekła Anna Austriacka. — W istocie rzadko mi się zdarzyło widzieć podobne zuchwalstwo.

— Spostrzegam — mówił d'Artagnan — że i teraz wasza królewska mość źle tłumaczy nasze zamiary, podobnie jak poprzednio Mazarini.

— Mylisz się pan — odpowiedziała królowa — tak dobrze je oceniam, że za dziesięć minut każę pana uwięzić, a za godzinę pojedę na czele wojska zwolnić mojego ministra.

— Jestem pewny, że królowa nie popełni podobnej nieostrożności — rzekł d'Artagnan — raz dlatego, że krok ten byłby bezskuteczny, a następnie, że spowodowałby najgorszy skutek. Zanim, królowo, zdołasz zwolnić kardynała, zostanie on zabity i jego eminencja jest tak mocno o tym przekonany, że nawet prosił mnie, abym czynił wszystko, co będzie w mojej mocy, by królowa zrezygnowała z tego zamiaru.

— A więc pozostaje mi tylko kazać pana uwięzić.

— I to nie, bo ten przypadek był równie przewidziany jak i poprzedni. Jeżeli jutro o naznaczonej godzinie nie powrócę, pojutrze pan kardynał zostanie zawieszony do Paryża.

— Widać, mój panie, że żyłeś z dala od ludzi i nie znasz stosunków, bo inaczej wiedziałbyś, że kardynał był pięć czy sześć razy w Paryżu, odkąd stamtąd wyjechaliśmy, i widział się z panami de Beaufort, de Bouillon, koadiutorem, d'Elboeuf, a jednak żadnemu z nich nie przyszło na myśl kazać go uwięzić.

— Przebacz, pani, ale wiem o tym wszystkim, toteż moi przyjaciele nie zaprowadzą pana kardynała ani do pana de Beaufort, ani do pana de Bouillon, ani do pana koadiutora, ani do pana d'Elboeuf, dlatego że ci panowie walczą tylko dla własnych korzyści i że pan kardynał prędko by z nimi skończył przyobiecując im to, czego żądają; ale do parlamentu, którego poszczególnych członków można ująć, jednak na przekupienie go w całości nie wystarczyłyby nawet skarby Mazariniego.

— Zdaje mi się — rzekła Anna Austriacka rzucając na d'Artagnana spojrzenie, które u zwykłej kobiety wydawałoby się pogardliwe, u królowej zaś stawało się przerażające — zdaje mi się, że pan grozisz matce swojego władcy.

— Najjaśniejsza pani, grozę, ponieważ czuję się do tego zmuszony. Ale chciej wierzyć, iż bije jeszcze w tej piersi serce oddane królowej. Byłaś pani bożyszczem naszego życia, któreśmy — mój Boże! pani to wiesz sama — tyle razy narażali dla naszej królowej. Czy, o pani, nie zlitujesz się nad swymi sługami, co przez lat dwadzieścia żyli w ustroniu, nie wydając; nawet jednym westchnieniem tajemnic świętych i drogich, w których mieli szczęście brać udział wraz z królową? Spójrz, pani, na mnie, którego pani oskarżasz, że zbyt głośno podnoszę i grozę. Czym ja jestem? biednym oficerem bez majątku, bez schronienia, bez przyszłości, jeśli wzrok mojej monarchini, którego tak długo szukałem, nie zatrzyma się na mnie przez chwilę. Spójrz, pani na hrabiego de la Fère, to człowiek szlachetny, to kwiat rycerstwa; złączył się on z stronnictwem przeciwnym królowej albo raczej jej ministrowi, a jednak ten niczego nie żąda dla siebie. Spójrz, pani, na pana du Vallon; jest to serce wierne, a prawica żelazna, czeka on od lat dwudziestu jednego wyrazu z ust królowej, który by dał mu taki herb, jakiego jest godny uczuciem i męstwem. Przypatrz się na koniec twojemu ludowi, który także zasługuje na przychyłność pani, który cię kocha, a przecie cierpi; pani go kochasz, a głód mu dokucza; który pragnąłby najgoręcej,

żeby mógł cię, pani, błogosławić, a który jednak... Tak więc wyrzecz jedno słowo, o pani, a wszystko się skończy. Pokój nastąpi po wojnie, radość po łzach, szczęście po niedoli.

Anna Austriacka patrzyła z podziwem na męską twarz d'Artagnana, na której można było wyczytać szczególny wyraz rozczulenia.

— Czemużeś pan nie powiedział tego wszystkiego nim działać zacząłeś?

— Dlatego, że trzeba było przekonać królowę o jednej rzeczy, o której powątpiewać zdawałaś się, pani, to jest: że my mamy jeszcze trochę odwagi i że zasługujemy na to, żeby nam oddawano sprawiedliwość.

— Ta panów odwaga nie cofnęłaby się przed niczym, jak widzę.

— Wszak nie cofała się przed niczym w przeszłości — powiedział d'Artagnan — czemuż by miała mniej dokazać na przyszłość?

— I dlatego, na wypadek odmowy, w razie otwartej walki, ośmielilibyście się mnie samą wykraść z mojego dworu i wydać frondzie, jak teraz chcecie wydać mojego ministra.

— Nigdyśmy o tym nie pomyśleli, pani — odrzekł d'Artagnan z gaskońską przechwałką, która jednak była szczerą — jednak gdyby to nam przyszło do głowy, niezawodnie we czterech dokazalibyśmy tego.

— Powinnam się była tego spodziewać — rzekła z cicha Anna Austriacka — to są ludzie z żelaza.

— Niestety! najjaśniejsza pani, to mnie przekonywa, że dziś dopiero wasza królewska mość nabiera właściwego wyobrażenia o nas.

— Dobrze — powiedziała Anna — ale jeśli powzięłam to wyobrażenie...

— Królowa słusznie nas oceni i nie będzie nadal z nami obchodzić się jak z ludźmi pospolitymi. Zechce mnie więc uważać za posła, godnie mogącego spełnić ważne sprawy, jakie mu poruczono.

— Gdzież jest traktat? — rzekła królowa.

— Oto jest.

— Widzę w nim tylko warunki ogółu. Żądania pana de Conti, pana de Beaufort, pana de Bouillon, pana d'Elboeuf i pana koadiutora także są tu zamieszczone. Ale nic tu nie ma o was, moi panowie?.

— My sobie sprawiedliwość oddać umiemy, pani, i umieszczamy się na właściwym szczeblu. Osądziliśmy, że nasze nazwiska nie są godne, żeby były położone obok tych wielkich imion.

— Zdaje mi się jednak, że nie zaniedbasz pan, przynajmniej ustnie, przedłożyć mi waszych życzeń.

— Wszak pani jesteście wielką i możną królową, nie zgadzałoby się więc z waszej królewskiej mości wielkością i władzą, gdybyś nie wynagrodziła godnie ludzi walecznych, którzy przyprowadzą do Saint-Germain jego eminencję.

— Właśnie też chcę ich wynagrodzić: mów więc pan, słucham.

— Ten, który układał rzecz całą (przebac mi pani, że zaczynam od siebie; ale muszę przyznać sobie tę wyższość nie dlatego, że ją sobie sam przywłaszczył, ale przyznano mi ją); ten, który układał punkty do wykupu kardynała, powinien, zdaje mi się (żeby nagroda była godna królowej), ten by powinien zostać dowódcą gwardii, na przykład pułkownikiem muszkietierów.

— Więc to miejsca pana de Treville pan żądasz?

— To miejsce nie jest zajęte i od roku, jak je pan de Tréville opuścił, nikomu nie zostało przeznaczone.

— Ale to jest jeden z najpierwszych urzędów przy królewskim dworze.

— Pan de Treville był, jak ja, młodszym synem szlachcica gaskońskiego, a piastował go przez lat dwadzieścia.

— Pan masz odpowiedź na wszystko — rzekła Anna Austriacka.

I wzięła z biurka patent, na którym umieściła nazwisko i podpisała go.

— Prawdziwie, pani — mówił d'Artagnan odbierając patent i kłaniając się — piękna to i szlachetna nagroda, ale ja znam niestałość rzeczy ziemskich i wiem, że skoro by kto popadł w niełaskę waszej królewskiej mości, mógłby jutro postradać ten stopień.

— Czegoż więc pan żądasz — spytała królowa rumieniąc się mimo woli, że jej zamiar został odgadnięty przez tego człowieka, którego umysł równie był bystry jak jej.

— Stu tysięcy liwrów dla tego biednego dowódcy muszkietierów, wypłaconych w dniu, w którym jego usługi nie podobałyby się waszej królewskiej mości.

Anna wahała się.

— A jednak paryżanie — dodał d'Artagnan — ofiarowali niedawno, 'uchwałą parlamentu, sześćkroć sto tysięcy temu, kto by im wydał kardynała, czy żywego, czy umarłego; żywego, żeby go mogli skazać na śmierć, umarłego — żeby trupa wyrzucić na rozstajne drogi.

— No — rzekła Anna Austriacka — żądanie pana jest umiarkowane, kiedy domagasz się od królowej szóstej części

tego, co ofiarował parlament.

I podpisała asygnację na sto tysięcy liwrów.

— Cóż dalej? — powiedziała.

— Pani, mój przyjaciel du Vallon jest bogaty, nie ma więc potrzeby żądać powiększenia swego majątku; ale przypominam sobie, jak mi się zdaje, że zachodziły układy między nim i panem Mazarinim o nadanie jego włości tytułu baronii. O ile nawet pamiętam, przyrzeczono mu to.

— Świeżo upieczony baron! — mówiła Anna Austriacka. — Będą go wyśmiewać.

— Być może. Ale przecież jestem tego pewny, że ci, którzy w oczy mu się śmiać będą, drugi raz tego nie uczynią.

— Niechże będzie baronem — *rzekła* Anna Austriacka. I podpisała.

— Teraz zostaje nam kawaler czy opat d'Herblay, jak chce wasza królewska mość.

— Ten pewno prosi o biskupstwo.

— O nie, pani, idzie mu o rzecz daleko łatwiejszą.

— Jakąż to?

— Żeby król raczył być ojcem chrzestnym syna pani de Longueville.

Królowa uśmiechnęła się.

— Pan de Longueville — mówił dalej d'Artagnan — jest z rodziny królewskiej.

— Tak jest — rzekła królowa — ale jego syn?

— Jego syn, pani... musi także być potomkiem królów, kiedy mąż jego matki jest nim.

— Jakże, czy przyjaciel pana o nic więcej nie prosi dla pani de Longueville?

— O nic, pani, bo się spodziewa, że młody król, trzymając do chrztu jego dziecko, zapewne ofiaruje matce podarunek najmniej pięciukroć stu tysięcy liwrów, ma się rozumieć, że również pozostawi ojcu zarząd Normandii.

— Co do zarządu Normandii, spodziewam się, że się to da ułożyć, ale co do pięciukroć stu tysięcy liwrów, pan kardynał ciągle mi powtarza, że nie ma pieniędzy w skarbie państwa.

— Poszukamy razem, jeżeli wasza królewska mość pozwoli, i sądzę, że znajdziemy.

— A dalej?

— Dalej... najjaśniejsza pani?

— Tak.

— To już wszystko.

— Przecie panowie mieliście czwartego towarzysza?

— Tak jest, pani: pana hrabiego de la Fère.

— Czegoż on więc wymaga?

— On?... niczego.

— Niczego?

— Tak pani: niczego.

— Jak to, jest więc na świecie człowiek, który mogąc prosić o coś, o nic nie prosi?

— Jest nim pan hrabia de la Fère, pani. Ale też pan hrabia de la Fère nie jest człowiekiem.

— Czymże on jest?

— Pan hrabia de la Fère jest pół-bogiem.

— Czy on ma syna, krewnego, czy siostrzeńca, o którym mi mówił Comminges jako o walecznym młodzieńcu, a który z panem de Chatillon przywiózł chorągwie spod Lens?

— Ma on, jak wasza królewska mość powiedziałaś, wychowańca, który się nazywa wicehrabia de Bragelonne.

— Gdybyśmy dali temu młodzieńcowi dowództwo pułku, cóż by powiedział jego opiekun?

— Może by przyjął. — Może, tylko?

— Tak, gdyby wasza królewska mość sama go o to prosiła.

— Słusznie pan mówisz: to człowiek szczególnie. Dobrze więc, pomyślimy nad tym i poprosimy go może. Jesteś pan zadowolony?

— Tak, najjaśniejsza pani. Ale pozostaje jeszcze jedno pismo, którego wasza królewska mość nie zatwierdziłaś.

— Jakież jeszcze?

— Właśnie to, co jest najważniejsze.

— Warunki traktatu?

— Tak.

— A to na co? jutro je podpiszę.

— Mogę śmiało zapewnić cię, pani — rzekł d'Artagnan — że jeśli pani nie podpiszesz dzisiaj, nie znajdziesz czasu podpisać go i później. Racz więc, pani, błagam cię, napisać u dołu tego traktatu, który jest całkowicie ręką pana Mazariniego napisany, jak to wasza królewska mość widzisz:

„Przystaję na zatwierdzenie traktatu, przysłanego przez paryżan”.

Anna podpisała. Ale gdy to uczyniła, duma w niej zawrzała, jak burza, i królowa zaczęła płakać.

D'Artagnan zadrżał zobaczywszy te łzy. Królowe płakały tak jak zwyczajne kobiety.

Gaskończyk potrząsnął głową. Te łzy zdawały się palić mu serce.

— Pani — zawołał przyklękając — spojrzij na nieszczęśliwego człowieka u nóg twoich: błaga on cię, pani, abyś raczyła wierzyć, że na jedno twoje skinienie na wszystko jest gotów. Ufa on we własne siły, ufa w swoich przyjaciół, chce równie zaufać swojej monarchini. Na dowód, że się niczego nie obawia, że nie chce korzystać z okoliczności, zobowiązuje się przywieźć królowej Mazariniego bez żadnych warunków. Odbierz więc, pani, święte podpisy swoje, jeśli zechcesz mi je zwrócić, to je zwrócisz; ale od tej chwili nie obowiązują one w niczym waszej królewskiej mości.

I ciągle klęcząc d'Artagnan z okiem rozognionym szlachetną dumą i męską odwagą oddał Annie Austriackiej te wszystkie papiery, z których każdy z osobna i z taką trudnością od niej wyprosił.

— Miałaś pan słuszność — rzekła Anna — nie poznałam się na panu. Oto są papiery z moimi podpisami, oddaję je panu dobrowolnie; jedź pan i przywieź kardynała jak najspieszniej.

— Pani — rzekł d'Artagnan — przed dwudziestu laty, w czasie balu na ratuszu, dobrze to pamiętam, dostąpiłem zaszczytu ucałowania spoza zasłony jednej z tych pięknych rąk.

— Oto jest druga — mówiła królowa — i aby lewa nie była mniej hojna od prawej, weź pan ten pierścień i zatrzymaj go na pamiątkę.

To mówiąc zdjęła z palca pierścień brylantowy, prawie zupełnie podobny do pierwszego.

— Pani — zawołał d'Artagnan powstając — jedno już tylko mam życzenie, to jest: żebyś wasza królewska mość życia mojego *zażądała*. — I wyszedł.

— Nie poznałam się na tych ludziach — rzekła Anna Austriacka patrząc za oddalającym się d'Artagnanem — a teraz już za późno, żebym ich mogła użyć: za rok król dojdzie do lat!...

Po piętnastu godzinach d'Artagnan i Portos odprowadzili Mazariniego królowej i otrzymali — jeden patent na dowódcę muszkietarów, drugi dyplom barona.

— Jakże, moi panowie, jesteście zadowoleni? — spytała Anna Austriacka.

D'Artagnan uklonił się; Portos zaś obracał w rękę swój dyplom spoglądając na Mazariniego.

— O cóż jeszcze idzie? — powiedział minister.

— O to, że zapomniałeś, eminencjo, obietnicy orderu, za pierwszym mianowaniem kawalerów.

— Ależ — odparł Mazarini — baron wiedzieć powinien, że nie można zostać kawalerem orderu, nie udowodniwszy kwalifikacji.

— Och! — zawołał Portos — niech wasza eminencja nie myśli, żebym dla siebie prosił o wstęgę.

— A dla kogo? — spytał się kardynał.

— Dla mojego przyjaciela, pana hrabiego de la Fère.

— O! dla niego — rzekła królowa — to co innego, on ma kwalifikacje.

— Otrzyma więc order?

— Już go posiada.

Tego samego dnia traktat z Paryżem podpisano i ogłoszono wszędzie, że kardynał zamknął się na trzy dni, żeby go starannie opracować.

XXXIV

W KTÓRYM DOWIEDZIANO, ŻE NIEKIEDY TRUDNIEJ JEST KRÓLOM POWRÓCIĆ DO STOLICY SWEGO KRÓLESTWA ANIŻELI JĄ OPUŚCIĆ

Kiedy d'Artagnan i Portos odprowadzili kardynała do Saint-Germain, Atos i Aramis, rozstawszy się z nimi w Saint-Denis, wrócili do Paryża.

Każdy z nich miał coś do załatwienia.

Aramis, za ledwie zsiadł z konia, pobiegł do ratusza, gdzie mieszkała pani de Longueville. Pierwszą wiadomość o pokoju piękna księżna przyjęła z wyraźnym nieukontentowaniem: wojna czyniła ją wszechwładną, pokój zaś — pozbawiał tej' władzy; oświadczyła więc, że nie zgodzi się na podpisanie traktatu i że chce, aby wojna trwała wiecznie.

Ale skoro Aramis przedstawił jej ten pokój we właściwym świetle, to znaczy ze wszystkimi jego korzyściami, kiedy jej wyjaśnił, że zamiast pozornego i niepewnego panowania w Paryżu, otrzyma wicekrólestwo w Pont de l'Arche, to jest całej Normandii, kiedy brzęknął koło jej uszu pięććroć stu tysiącami liwrów, które jej kardynał przyobiecał; kiedy jej przedstawił zaszczyt, jaki na *nią* spłynie, skoro król będzie trzymał do chrztu jej syna — pani de Longueville sprzeczała się już tylko z przyzwyczajenia, jakie mają wszystkie kobiety. I broniła się tylko dlatego, aby móc się poddać.

Atos rozszedłszy się z Aramisem na Placu Królewskim, udał się do pani de Chevreuse. I tu zachodziła potrzeba przekonania frondystki, ale tę nie tak łatwo można było zaspokoić jak jej młodą rywalkę; nie wyjednano dla niej żadnych korzyści. Pan de Chevreuse nie został gubernatorem żadnej prowincji, a gdyby królowa chciała zostać matką chrzestną, to chyba jakiego przyszłego wnuka czy wnuczki.

Dlatego też na pierwszy wyraz o pokoju pani de Chevreuse zmarszczyła brwi i pomimo całej wymowy Atosa, przekonywającego ją, że dłuższa wojna byłaby niemożliwa, obstawała ciągle za utrzymaniem kroków nieprzyjacielskich. W tej chwili wszedł Raul, doniósł on hrabiemu i księżnej, że de Guiche, jego przyjaciel, uwiadomił go o ceremonialnym wjeździe króla, królowej i ministra, naznaczonym na dzień następny.

Nazajutrz już o świcie dwór się przygotowywał do odjazdu z Saint-Germain.

Królowa kazała wezwać d'Artagnana.

— Panie — mówiła do niego — zapewniam cię, że Paryż nie jest spokojny. Lękam się o syna, jedź pan przy drzwiczkach z prawej strony.

— Niech wasza królewska mość nie obawia się — rzekł d'Artagnan — ręczę za króla.

I kłaniając się królowej, wyszedł.

Wychodząc spotkał Bernonina, który mu doniósł, że kardynał czeka na niego w ważnej sprawie.

Udał się więc natychmiast do kardynała.

— Panie — powiedział Mazarini — słyhać o niepokojach w Paryżu. Ja będę siedział po lewej stronie króla, a że mnie to głównie dotyczy — bądź pan przy karecie z lewej strony.

— Niech wasza eminencja będzie spokojny — nie spadnie włos z jego głowy.

— Tam do czarta! — rzekł sam do siebie Gaskończyk, skoro już był w przedpokoju — jak się tu z tego wywinąć? Nie mogę przecie być jednocześnie z prawej i z lewej strony pojazdu. Ech, ja będę pilnował króla, a Portos kardynała.

Ten układ wszystkim zdawały się dogadzać, co się rzadko zdarza. Królowa miała zaufanie do odwagi d'Artagnana, którego dobrze знаła, a kardynał wierzył w siłę Portosa, której na sobie doświadczył.

Orszak udał się drogą do Paryża.

Skoro przybyli do rogatek, pojazd królewski powitały okrzyki: „Niech żyje król!”, „Niech żyje królowa!” Kilka okrzyków; „Niech żyje Mazarini!” przyłączyło się także, ale nie zostały podtrzymane.

Orszak zmierzał do kościoła Panny Marii, gdzie miało być odśpiewane Te Deum.

Gała ludność paryska wyległa na ulicę.

Kardynał, który był wydał z tysiąc ludorów, żeby krzyczano: „Niech żyje Mazarini!” a który okrzyków, jakie słyszał, nie mógł ocenić nawet na dwadzieścia pistoli, spoglądał na Portosa, który odpowiadał na to spojrzenie tak pięknym basem: „Niech wasza eminencja będzie spokojny”, że w istocie Mazarini uspokoił się powoli.

Skoro wjechali na plac, dały się słyszeć okrzyki: „Niech żyją ich królewskie moście!” Mazarini Wyrzwał przez okienko. Dwa czy trzy głosy odezwały się: „Niech żyje kardynał!” — odpowiadając na to ukazanie, się, ale prawie jednocześnie gwizdy i syki zagłuszyły je bez litości. Mazarini zbladł i schował się w głąb pojazdu.

Anna Austriacka i jej minister mieli słuszną doznając pewnego niepokoju. Tłum, jakkolwiek zachowywał na pozór uszanowanie, a nawet przychylny dla króla i dla regentki, zaczął się poruszać. Słychać było głuchy szmer, który kiedy przebiega nad wodą, oznacza burzę, a kiedy powstaje wśród tłumu — zapowiada rozruchy.

D'Artagnan obrócił się do muszkietierów.

Szeregi koni ścisnęły się i lekkie wzruszenie przejęło żołnierzy.

Przy rogatce des Sergents musiano się zatrzymać. Comminges opuściwszy swoje stanowisko, na czele eskorty zbliżył się do karety królowej. Anna zapytała spojrzeniem d'Artagnana, który odpowiedział jej w ten sam sposób.

— Jechać dalej! — rzekła królowa.

— Naprzód! — zawołał d'Artagnan silnym głosem.

— Naprzód! — powtórzył Portos.

Ale tłum jakby czekał tylko na to, żeby okazać swoje nieprzyjazne uczucia, które dotąd powściągał. Ze wszech stron słyszano okrzyki: „Precz z Mazarinim! śmierć kardynałowi!”

I w tejże chwili przez ulice de Grenelle-Saint-Honoré i du Coq podwójny wir ruszył się, przełamał słabą zaporę gwardii szwajcarskiej i zaczął krążyć prawie pod nogami konia d'Artagnana i Portosa.

Ten nowy napływ był bardziej niebezpieczny niż inne, bo składał się z ludzi uzbrojonych, a nawet lepiej uzbrojonych niż zazwyczaj w podobnych okolicznościach.

Każda z tych gromad miała na czele przywódcę; jeden z nich zdawał się nawet nie należeć do pospólstwa, ale chyba raczej do zgromadzenia żebraków; drugi, jakkolwiek usiłował naśladować ułożenie gminne, łatwo można było poznać, że był szlachcicem.

Obaj zdawali się działać w jednym zamiarze.

Nastąpiło silne natarcie, które wstrząsnęło nawet pojazdem królewskim, po czym tysiące okrzyków, tworzących okropną wrzawę, wzniosło się, a nawet kilka wystrzałów dało się słyszeć.

— Do mnie, muszkietierowie! — zawołał d'Artagnan. Eskorta rozdzieliła się na dwa szeregi; jeden zbliżył się z prawej strony karety na pomoc d'Artagnanowi, drugi na lewo do Portosa.

Jak wszystkie rozruchy ludowe, natarcie tego tłumu było straszliwe: muszkietierowie, w małej liczbie, źle ustawieni, nie mogąc w tłumie kierować końmi, zaczęli się mieszać. D'Artagnan chciał kazać pospuszczać firanki u karety, ale młody król wyciągnął rękę mówiąc:

— Nie, panie d'Artagnan, ja chcę widzieć.

— Wasza królewska mość chcesz widzieć? — powiedział d'Artagnan — niech i tak będzie. Patrz, wasza królewska mość!

I z wściekłością, która go czyniła tak straszliwym, rzucił się na przywódcę powstańców, który z pistoletem w jednej ręce, a w drugiej z szeroką szpadą usiłował dostać się do drzwiczek pojazdu walcząc z muszkietierami.

— Z drogi! kroćset szatanów! — wołał d'Artagnan — z drogi!

Na ten głos człowiek z pistoletem i szeroką szpadą podniósł głowę, ale już było za późno; uderzenie d'Artagnana już go dosięgło, rapier jego przeszył mu piersi.

— Ach! do stu piorunów! — krzyknął d'Artagnan usiłując za późno wstrzymać cios — co tu u czarta robisz, hrabio?

— Dopełniam mego przeznaczenia — rzekł Rochefort padając na jedno kolano — wyleczyłem się trzy razy po pchnięciu twojej szpady, ale ten czwarty raz będzie ostatni.

— Hrabio — powiedział d'Artagnan ze wzruszeniem — uderzyłem nie wiedząc, że to ty. Przykro by mi było, gdybyś umarł z nienawiścią ku mnie.

Rochefort podał rękę d'Artagnanowi, który ją uściskał. Hrabia chciał mówić, ale wpływ krwi wstrzymał jego słowa, rzucił się on raz jeszcze konwulsyjnie i skończył.

— Precz mi stąd, łotry! — zawołał d'Artagnan. — Wasz przywódca zginął, nie macie tu już nic do roboty.

W istocie, jak gdyby hrabia de Rochefort był duszą napaści nacierającej z tej strony pojazdu, cała zgraja, która za nim postępowała i słuchała jego rozkazów, rozpierzchła się widząc, że zginął. D'Artagnan ruszył naprzód z oddziałem dwudziestu muszkieterów w ulicę du Coq i ta część buntowników zniknęła jak dym, rozpierzchnąwszy się na placu Saint-Germain l'Auxerrois i uciekając na bulwary.

— I cóż, panie? — spytała królowa.

— Najjaśniejsza pani — odpowiedział d'Artagnan — droga jest zupełnie wolna i wasza królewska moc może jechać dalej.

W istocie orszak królewski przybył bez wypadku do kościoła Panny Marii, w którego przedsionku całe duchowieństwo, mając koadiutora na czele, czekało na króla, na królową i na ministra, za których szczęśliwy wjazd miano odśpiewać Te Deum. Po tej uroczystości orszak wjeżdżał do Palais-Royal.

— Moja matko — rzekł młody król — ten pan d'Artagnan jest bardzo waleczny i dzielny.

— Tak jest, mój synu, wyświadczył on tysiąc usług twojemu ojcu. Staraj się pozyskać jego przychyłność.

— Panie kapitanie — rzekł młody król do d'Artagnana wysiadając z pojazdu — królowa poleciła mi, żebym zaprosił na dzisiejszy obiad pana i pańskiego przyjaciela, pana barona du Vallon.

Było to wielkim zaszczytem dla d'Artagnana i dla Portosa. A jednak przez cały obiad szanowny baron zdawał się roztargniony, zamyślony.

— Co ci jest, przyjacielu? — rzekł do niego d'Artagnan schodząc ze schodów Palais-Royal — wydawałeś się zakłopotany podczas obiadu.

— Myślałem ciągle i nie mogłem sobie przypomnieć — rzekł Portos — gdzie widział tego żebraka, którego musiałem zabić.

— I niceś nie mógł wymyślić?

— Nic.

— Myśl więc, mój przyjacielu, dalej, a jak sobie przypomnisz, to i mnie powiesz; wszak prawda?

— Naturalnie! — odrzekł Portos.

XXXV

ZAKOŃCZENIE

Dwaj przyjaciele wróciwszy do swego mieszkania zastali list od Atosa, który miał na nich czekać nazajutrz w obozisku „Pod Karolem Wielkim”.

Obaj położyli się spać wcześniej, ale ani jeden, ani drugi nie mogli zasnąć.

Nazajutrz, o oznaczonej godzinie, udali się razem do Atosa. Znaleźli hrabiego i Aramisa w ubraniu podróżnym.

— Brawo — rzekł Portos — jedziemy więc wszyscy? Ja także wybrałem się w drogę dziś rano.

— Ach, tak! — odezwał się Aramis — nie ma już co robić w Paryżu, kiedy w nim nie ma frondy. Pani de Longueville zaprosiła mnie na jakiś czas do Normandii i poleciła, żebym zanim ochrzczą jej syna, przygotował dla niej mieszkanie w Rouen. Muszę spełnić to polecenie, a jeśli tymczasem nie wypadnie nic nowego, wrócę zagrzebać się w moim klasztorze w Noisy-le-Sec.

— A ja — mówił Atos — wracam do Bragelonne. Wiesz, mój kochany d'Artagnan, że jestem już teraz tylko poczciwym wieśniakiem. Raul nie ma innego majątku prócz tego, co po mnie odziedziczy, biedne dziecko! Muszę więc czuwać nad gospodarstwem, ponieważ jestem tylko niejako zarządcą cudzej własności.

— A co zrobisz z Raulem?

— Zostawiam ci go, przyjacielu. Wojna się zaczyna we Flandrii, weźmiesz go ze sobą; obawiam się, żeby sąsiedztwo Blois nie stało się niebezpieczne dla tej młodej głowy. Pojedzie z tobą, tam go nauczysz być walecznym i prawym jak ty.

— Miło mi będzie — rzekł d'Artagnan — kiedy ciebie nie będę miał, Atosie, że przynajmniej tego kochanego młodzieńca znajdę przy swym boku, a choć to prawie jeszcze dziecko, twoja jednak dusza odbija się w nim, kochany przyjacielu; będę więc ciągle myślał, że ty jesteś przy mnie, że mi towarzyszysz, że mnie wspierasz.

Czterej przyjaciele uściskali się ze łzami w oczach.

I rozłączyli się, nie wiedząc, czy się kiedy znowu zobaczą.

KONIEC